

VIRGINIA C. ANDREWS

A woman with dark hair, wearing a light-colored, possibly lace-trimmed dress and gloves, is leaning over a dark wooden railing. She is looking towards the camera with a slight smile. The background is a wooden wall with horizontal planks.

Mroczny las

Prószyński i S-ka

VIRGINIA C. ANDREWS

Mroczny las

Przełożyła
Małgorzata Fabianowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
WICKED FOREST

Copyright © 2002 by the Vanda General Partnership
First published by Gallery Books, a Division of Simon & Schuster, Inc.
All rights reserved

Projekt okładki
Izabella Marcinowska

Zdjęcie na okładce
© Jill Hyland/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Lucyna Łuczyńska

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Marianna Chałupczak

ISBN 978-83-8123-422-1

Warszawa 2017

Wydawca
Prószynski Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

PROLOG

Obudził mnie odgłos kroków na korytarzu. Miałam wrażenie, że te szurające kroki są elementem snu, ale także po obudzeniu jakby coś mrocznego i złowieszczonego wypełzło z cmentarzyska sennych koszmarów i nadal prześladowało mnie w rzeczywistości. Lodowata ręka zdławiła mi gardło. Pod piersiami zaciskała się zimna stalowa obręcz.

Miałam zamęt w głowie, nie wiedziałam, gdzie jestem. Spędziłam za kółkiem prawie dziesięć godzin w drugim etapie mojej podróży ze Spring City w Karolinie Południowej. Zamierzałam przybyć do domu mamy na Florydzie na tyle wcześnie, żeby zjeść kolację z nią i z moim przyrodnim bratem Lindenem. Jednak część drogi była w przebudowie, a do tego złapała mnie potężna marcowa burza, więc dopiero o jedenastej w nocy wjechałam na Flagler Bridge, który prowadzi do Palm Beach. Przy tej pogodzie świat wyglądał mrocznie i odpychająco. Nawet wytworna Worth Avenue jawiła się niczym elegancka i zadbana kobieta, której ulewa zrujnowała drogą fryzurę i zmoczyła ekskluzywne ciuchy.

Mama i ja byłyśmy tak podekscytowane naszym ponownym spotkaniem, że gadałyśmy do pierwszej w nocy. Linden już spał, kiedy przyjechałam. Mama powiedziała, że nie zareagował na wieść o moim przybyciu ani o decyzji pozostania na Florydzie i studiowania tutaj. Pomyślałam, że gdyby wątpli w moje zamiary, powinien go przekonać fakt, że wcześniej dotarł do domu transport moich rzeczy.

– Czy on na pewno zrozumiał, co zamierzam? – nie kryłam rozczarowania. W głębi serca miałam nadzieję, że ta wiadomość zedrze z jego umysłu szarą zasłonę depresji i przyczyni się do szybszego wyzdrowienia. Czy wiara, że

samą swoją obecnością mogę wnieść odrobinę słońca w czyjeś życie, jest arogancją z mojej strony? Zwłaszcza że do niedawna nade mną wisiały czarne chmury...

Najbardziej się obawiałam, że Linden mnie znienawidził, dowiedziawszy się, jaki jest mój związek z przeszłością jego matki. Syn ojczyma naszej wspólnej mamy, tego drania, który ją uwiódł i zgwałcił, już w chwili, kiedy go poznałam, był zgorzkniałym, udręczonym młodym człowiekiem. Opowieści, moja i mamy, musiały być jak sól sypana na jego otwarte rany. Wtedy zrozumiał, że w plotkach krążących wokół Grace jest ziarno prawdy. Widziałam pytanie w oczach Lindena, kiedy po raz pierwszy usłyszał, jak naprawdę było: dlaczego nie zachowałam w tajemnicy swojej tożsamości; dlaczego nie zagrzebałam tego sekretu głęboko i na zawsze? Jako artysta wierzył, że niewygodne prawdy można ukryć jednym pociągnięciem pędzla. Nikt nie będzie dociekał, co się kryje pod warstwą farby, i nikogo to nie będzie interesować.

– Och, tak, zrozumiał, kiedy powiedziałam mu o twoim powrocie, ale wierz mi, Willow, niewiele jest teraz rzeczy, na które reagowałyby z ożywieniem – mówiła mama smutno. Pochyliła się ku mnie i dodała szeptem: – Czasami jego spojrzenie jest tak puste, jakby miał szklane oczy, albo jakby obrócił je do środka i wpatrywał się wyłącznie w swoje czarne myśli. – Opadła na oparcie fotela i pokręciła głową. – Nigdy się nie uśmiecha. Od czasu tego wypadku ani razu nie słyszałam jego śmiechu. – Tłumiła łkanie.

Konsekwentnie nazywała żeglarską katastrofę Lindena wypadkiem, choć obie wiedziałyśmy, że chciał skończyć ze sobą. Na pamiątkę pozostała mu długa i głęboka blizna na czole – tam, gdzie dostał bomem. Wypłynął małą łódką na ocean, gnany samobójczą furią i rozpaczą po tym, jak się dowiedział, że nasza matka urodziła mnie w klinice psychiatrycznej mojego ojca, gdzie był ordynatorem, a ona pacjentką. Z czego wynikało niezbitcie, że jestem jego przyrodnią siostrą. Kiedy to wszystko do niego dotarło, stał się nieszczęsną, zagubioną duszą, która marzy już tylko, żeby spalił ją grom. Pogarda dla własnego życia i gniew na to, co uważał za okrutny i nieuczciwy świat wokół siebie, popchnęły go do zgubnego działania.

Kiedy przeczytałam dziennik ojca i dowiedziałam się, kim jest moja rodzona matka, postanowiłam doprowadzić do naszego spotkania, bo koniecznie chciałam ją poznać. Gdy pierwszy raz przyjechałam do Palm Beach, zrobiłam to pod przykrywką, udając, że jako studentka psychologii zbieram materiały do

pracy dyplomowej, bazującej na próbie badawczej elity Palm Beach. Bałam się wyjść na scenę i wyjawić, kim naprawdę jestem, bo nie wiedziałam, jak zareaguje moja mama. A przede wszystkim bałam się odrzucenia.

Początkowo Linden nie chciał mieć ze mną nic wspólnego, choć jeszcze nie wiedział, kim naprawdę jestem – a może właśnie dlatego. Nie ufał mi i sądził, że ktoś nasłał mnie na niego i matkę, przedstawiając ich jako swoiste kuriozum Palm Beach, warte plotkarskiego, niezdrowego zainteresowania, nie tylko ze względu na przeszłość naszej mamy, ale i jego dziwaczne obrazy. Wkrótce złagodził jednak swoje podejście, a ja zgodziłam się pozować mu do obrazu w ubraniu mamy, pod warunkiem że pozwoli mi z nią porozmawiać. Wtedy jeszcze nie wiedział, kim naprawdę jestem, a ja – choć mogło się to wydawać dziwne – niespecjalnie się tym przejmowałam. Wszystko przyćmiewała perspektywa spotkania i rozmawiania z mamą.

Może dlatego nie zauważyłam czegoś bardzo ważnego, z czego powinnam wcześniej zdać sobie sprawę – że Linden zakochał się we mnie. Kiedy zrozumiał, że nie możemy być kochankami, jego gniew i rozzalenie skierowały się przeciwko okrutnemu światu, rządzonemu przez bezwzględny los, przed którym nie sposób uciec i nie sposób się obronić. Po jego próbie samobójczej, na szczęście nieudanej, zarówno mnie, jak i mamę dręczyło poczucie winy. Był to jeden z głównych powodów, dla którego postanowiłam powrócić na Florydę i tu kontynuować studia.

– Wszystko się zmieni, mamó – zapewniłam i poklepałam ją po dłoni. – Zobaczysz, uśmiech jeszcze wróci na wargi Lindena i usłyszysz jego śmiech. – Mówiłam tak, bo zawsze lepiej jest dać komuś nadzieję i zachęcać go, żeby uwierzył w tęczę.

– Może – przytaknęła, słysząc radosny zapach w moim głosie, czemu towarzyszył błysk w oczach. – Kiedy wreszcie uwierzy, że naprawdę tu zamieszkałaś i że zostaniesz z nim, zacznie wracać do rzeczywistości... – Jej głos zamierał stopniowo, jak rozwiewająca się smużka dymu.

– Dokładnie tak – przekonywałam, usiłując przelać w swój głos tyle entuzjazmu, ile zdołam. – Zobaczysz, przywrócimy mu twórczy zapach i znów będzie artystą. – Wysoko podniosłam sobie poprzeczkę. Nie jest łatwo przywrócić komuś chęć do życia, cel jego życia i najpiękniejsze marzenia. Wiedziałam coś o tym, bo ja też miałam swoje demony. Ramiona przygniatał mi ciężar własnych problemów, wystarczających do zatopienia *Titanica*.

Choć wróciłam do Palm Beach, aby tam zamieszkać z rodzoną matką

i przyrodnim bratem, nie mogłam się pozbyć poczucia, że trafiłam do nieprzyjaznego świata, którego mieszkańcy czerpią przyjemność z obserwacji naszych zmagañ z losem i napawania się naszym smutkiem. W trakcie pierwszego pobytu w Palm Beach poznałam Thatchera Eatona, wziętego młodego prawnika z Palm Beach, syna Ashera i Bunny Eatonów – pary, która wynajmowała duży dom w posiadłości mojej mamy. Zaiskrzyło między nami i szybko staliśmy się parą. Teraz jednak, kiedy moje pokrewieństwo z Grace i Lindenem Montgomerymi przestało być tajemnicą, zaczęłam wątpić, czy mężczyzna, w którym – jak sądziłam – się zakochałam i który – jak sądziłam – zakochał się we mnie, zechce jeszcze mnie widzieć. Nie byłam pewna, czy chciałby skomplikować sobie życie, stając wobec wyboru pomiędzy mną a swoją rodziną, pozycją w socjocie Palm Beach i zawodowymi ambicjami.

Te ponure myśli krążyły mi w głowie i ręce drżały na kierownicy, kiedy skręcałam w bramę posiadłości Joya del Mar, Morski Klejnot. Zastanawiałam się, czy to miejsce będzie dla mnie klejnotem, czy domem „demonów” – jak moja niania Amou określała mroczne przeczucia.

Mama uśmiechała się do mnie ponad stołem. Udało mi się jednak wykrzesać z siebie optymizm i tym obudzić w jej oczach ciepły promyk nadziei. Z ożywieniem zaczęła mi opowiadać, że Eatonowie nie chcą przyjąć do wiadomości odmowy sprzedania im posiadłości i przedłużenia umowy wynajmu. Za niecałe dwa miesiące powinni się wyprowadzić, ale zdaniem mamy udawali, że problem nie istnieje.

– Unikają mnie, jakbym była zadzumiona – mówiła. – Wolą na mnie nie patrzeć. Wcześniej Asher Eaton raczył na mój widok skinąć głową i czasami nawet pytał, jak się czuję.

– Nie przejmuj się, mamó. To typowe dla ludzi z Palm Beach. Usiłują ignorować wszystko, co jest dla nich niewygodne, i udawać, że problemy nie istnieją. Gdyby mogli, zatrudnialiby kogoś, kto chodziłby za nich do toalety.

Roześmiała się.

– Święta racja! – przyznała.

– Moim zdaniem oni nie mogą się pogodzić z faktem, że już ich nie potrzebujesz.

Ponieważ ojczym doprowadził ich niemal do bankructwa, Grace musiała wynająć główną rezydencję i przenieść się do domu przy plaży, gdzie zamieszkała razem ze służbą Eatonów. Teraz, kiedy po śmierci mojego taty sprzedałam nasz dom w Karolinie Południowej, miałam dość pieniędzy, żeby

uwolnić mamę z finansowej opresji i sprawić, by ona i Linden przestali być wyrzutkami we własnym domu.

– Pewnie tak jest – odrzekła. – Niewiele im trzeba, żeby popadli w stan frustracji. Znasz Bunny Eaton. Wystarczy, że w kuchni zabraknie kawioru, a już cierpi na depresję i łąduje na kozetce u psychiatry.

Znów się śmiałyśmy. Mama popatrzyła na mnie z miłością, uśmiechając się łagodnie samymi kącikami oczu. Pokochałem ten matczyzny uśmiech, potrzebuje go każde dziecko, żeby czuć się bezpiecznie i nie bać świata. Tym bardziej trzeba współczuć sierotom, którym brakuje takiego wsparcia. Mnie też go brakowało.

– Co takiego? – zapytałam, bo znałam ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że za tym uśmiechem kryje się myśl, która domaga się ujścia.

– Oczywiście jest jeszcze Thatcher – podjęła po chwili. – Niecierpliwie oczekiwał na twój powrót i zarzucał mnie pytaniami o ciebie.

– Serio? – Aż trudno uwierzyć. – Nie zadzwonił do mnie ani razu, odkąd wyjechałam.

W pośpiechu poleciałam do domu, żeby uporządkować sprawy spadkowe i pochować Milesa, wiernego sługę taty, który po jego śmierci sprawował pieczę nad domem i terenem podczas mojej nieobecności. Kiedy i on odszedł, nic już nie powstrzymywało mnie przed sprzedażą domu. Potem załatwiłam przeniesienie z Uniwersytetu Karoliny Północnej, gdzie zaliczyłam pierwszy rok, na uczelnię na Florydzie. I cały czas czekałam na telefon od Thatchera. Obiecał zadzwonić, i byłam pewna, że to zrobi, choć moja mama miała sceptyczny stosunek do naszej znajomości.

– Teraz zadzwoni – oznajmiła.

– Teraz mogę już nie mieć ochoty na rozmowę z nim – mruknęłam.

– Nigdy nie mów nigdy – nauczyła z uśmiechem. Musiała dostrzec w moich oczach nadzieję, że stanie się tak, jak powiedziała. – Widzę twój uśmiezek, Willow. Też jak ja na ułamek sekundy unosisz kąciki ust.

Wzruszyłam ramionami i chichotałyśmy jak dziewczynki. Cudownie było wreszcie mieć mamę, bliską jak siostra czy przyjaciółka od serca. Matka adopcyjna z trudem znosiła mój widok i nie omieszkała przy każdej okazji przypominać mi, że jest wielkoduszna, przecież pozwala mi mieszkać w swoim domu. Nie wiedziała, że jest on zarazem domem mojego rodzonego ojca, i do końca nie poznała prawdy. Takie osoby jak ona powinny zabierać własne kłamstwa do grobu, pomyślałam. Nie byłam mściwa. Chciałam tylko

oddać cesarzowi, co cesarskie. Kiedy żyła, ceniła udawanie, kłamstwa i fałsz niemal na równi z ukochanymi brylantami. Miała zawsze na podorzędziu dziesiątki kłamstw na każdą okazję, również na swój temat. Dlatego uważałam, że całe to bogactwo powinna zabrać ze sobą do grobu.

– Oczy mi się kleją – wyznałam. Gadałyśmy już od paru godzin.

– Mnie też – przytaknęła mama. Włożyłyśmy naczynia do zmywarki, po czym uścisnęłyśmy się w korytarzu i rozeszłyśmy do swoich sypialni.

– Tak się cieszę, że jesteś, Willow – szepnęła.

– Ja też, mamó. Ja też.

Dotąd słowo „mama”, czy nawet sama myśl, że można mieć mamę, były dla mnie tak samo abstrakcyjne jak jednorożec. Teraz wymawiałam je często i z radością, nawet zastanawiałam się, czy nie powtarzam we śnie.

Położyłam się do łóżka i nadal miałam wrażenie, że prowadzę samochód. Pod powiekami przemykały mi obrazy światła, oślepiających z przeciwka, szyby zalane deszczem i pasma mgły, kłębiące się na poboczach. Byłam zbyt zmęczona, żeby zasnąć, i przewracałam się z boku na bok, wreszcie zapadłam w niespokojny półsen. Ocknęłam się na odgłos kroków. Zdziwiłam się, że moje uszy są zdolne wychwycić dźwięk z korytarza i przesłać go do otępiącego mózgu.

Uniosłam głowę znad poduszki i czujnie nasłuchiwałam. Jakby ktoś szurał nogami w kapciach o podszwach z papieru ściernego. Zaskrzypiały stare zawiasy. Przeciąg przeszedł przez dom i drzwi się zamknęły. Zerknęłam na podświetloną tarczę budzika na szafce nocnej – trzecia trzydzieści nad ranem. Kto wychodzi na dwór o takiej dzikiej porze i po co? Czyżby mama znów poszła na pomost z latarnią, wypatrywać taty, który obiecał przed laty, że któregoś dnia przypłynie do niej? Nadzieja mogła nie zgasnąć pomimo okrutnej rzeczywistości jego odejścia. Serce mi się ścisnęło.

Wstałam, wsunęłam bose nogi w klapki, włożyłam swój biało-różowy szlafrok i w pośpiechu wybiegłam z domu, żeby zobaczyć, co się stało. Dom tonął w ciemności, ale silny wschodni wiatr odgonił na moment deszczowe chmury i cienki sierp księżyca w nowiu oświetlił wejście. W tylnej części budynku znajdowały się kwatery pokojówek oraz lokaja Eatonów, Jenningsa, nie miałam jednak wątpliwości, że ktoś wyszedł przez drzwi frontowe.

Odgarnęłam włosy z twarzy, wyszłam na taras i wpatrzyłam się w ocean. Woda była wzburzona i białe grzywy fal wznosiły się wyżej niż zazwyczaj. Wydawało się, że nikogo tam nie ma, i pomyślałam, że coś mi się

przywidziało. Kiedy jednak przeniosłam wzrok w prawo, zobaczyłam Lindena. Powoli, powłócząc nogami, szedł plażą, ubrany tylko w pizamę. I bosy!

Chciałam zawrócić do domu i zawołać mamę, ale Linden był coraz bliżej wody. Umysł przeszyła mi nagle straszna myśl. Czy możliwe jest, że mój powrót zaburzył go na nowo i znów dopadły go samobójcze myśli? Matka mówiła, że jest z nim lepiej. Nie chciałam być odpowiedzialna za kolejną tragedię. Panika wlała mi ołów w nogi. Przemagając ich ciężar, pospieszyłam za Lindenem. Wiatr szarpał poły szlafroka i sypał mi piaskiem w twarz, jakby sama natura nie chciała, żebym dogoniła brata.

– Linden! – krzyknęłam. – Co ty wyprawiasz? Dokąd idziesz? Linden!

Nie odwrócił się; nawet nie drgnął i nie wstrzymał tego dziwnego, letargicznego kroku. Włókł się, a ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała. Podbiegłam do niego.

– Linden!

Byłam tuż przy nim i musiał mnie usłyszeć, ale nie zareagował i szedł dalej z opuszczoną głową. Chwyciłam go za łokieć. To go zatrzymało, ale nie odwrócił się do mnie i nie powiedział słowa. Po prostu stał, lekko kołysząc rękami, jakby ciągle jeszcze szedł.

– Co to ma być? Dlaczego to robisz? Dokąd idziesz? – zarzuciłam go gradem pytań, ale nie odpowiedział. – Linden!

Wreszcie jego ramiona znieruchomiały i zastygł jak posąg. Nie uniósł głowy i zlepione pasma długich, jasnych włosów zasłaniały mu twarz.

Stałam przed nim i zobaczyłam, że ma zamknięte oczy. Zapadł w sen lunatyczny?!

– Linden? Co z tobą?

Obrócił się bez słowa i skierował w stronę domu; idąc, unosił stopy, jakby parzył go piasek.

On lunatkuje, pomyślałam z przerażeniem. Pierwszy raz spotkałam się z czymś takim i byłam przerażona. Zupełnie jakbym znalazła się w cudzym sennym koszmarze. Z bijącym sercem zastąpiłam mu drogę.

– Linden – mówiłam spokojnie. – Linden, proszę, obudź się. Wyszedłeś z domu i jesteś na plaży.

Delikatnie potrząsnęłam go za ramię z obawy, żeby nie ocknął się zbyt gwałtownie. Miał przecież poważne rany głowy i przeszedł operację. Gdyby nagle otworzył oczy i zobaczył, że jest na plaży, mógłby doznać fatalnego

w skutkach wstrząsu. Przypomniałam sobie, że lekarze zdiagnozowali u niego objawy wstrząsu pourazowego. Czyżby lunatyzm był jednym z nich? Mógłby wpaść w histerię i zrobić sobie krzywdę, a ja nie miałam dość siły, żeby go powstrzymać.

Mimo że szedł w stronę domu, obawiałam się, że może nie zauważyć wejścia. Na szczęście trafił na taras i pozwolił się poprowadzić korytarzem do swojej sypialni. Myślałam, że mama się obudzi, ale wszędzie panowała cisza, więc musiałam położyć go do łóżka. Chociaż był bardzo usztywniony, jakoś udało mi się ułożyć go w pościeli. Ani na moment nie otworzył oczu i nie wydał najmniejszego dźwięku.

Stałam przy łóżku i wpatrywałam się w niego. Odgarnęłam mu włosy z twarzy, odsłaniając bliznę – okropną pamiątkę tej erupcji smutku, gniewu, rozpacz i samotności. Linden zacisnął wargi i gałki oczne poruszyły się gwałtownie pod powiekami. Wtem otworzył usta i cicho jęknął, ale zaraz ucichł. Oddech uspokoił mu się i wyrównał.

Stwierdziłam, że nic złego już nie powinno się zdarzyć, więc wróciłam do siebie i usiłowałam zasnąć. Bezskutecznie. To, co stało się w nocy – pogoń za Lindenem i sprowadzenie go do domu – dużo mnie kosztowało. Miałam wrażenie, że minęły wieki, zanim nadszedł sen. Za ledwie zamknęłam oczy, blask słońca obudził mnie w jednej chwili, niczym hipnotyzer, który kłaśnięciem wytrąca pacjenta z transu.

Słyszałam stłumione odgłosy służby, szyczącej się do pracy u Eatonów, i słyszałam, jak mama mówi coś cicho do Lindena. Odpowiedziało jej milczenie. Moje ciało każdą swoją częścią protestowało przeciw wstaniu z łóżka. Z westchnieniem powlokłam się do łazienki. Obmyłam twarz zimną wodą, żeby pozbyć się senności, a potem rozczesałam włosy i związałam je z tyłu. Wreszcie włożyłam szlafrok i poszłam do kuchni, gdzie mama i Linden zaczęli już śniadanie.

– Och, Linden – mówiła z ożywieniem, kiedy tam weszłam – zobacz, kto przyjechał! Willow przyjechała wczoraj późnym wieczorem, kiedy poszedłeś spać.

– Nie odwrócił głowy i nawet na mnie nie spojrział.

– Cześć, Linden. Jak się czujesz?

Siedział wpatrzony w talerz z owsianką, a potem bezwiednie sięgnął po kubek i upił łyk kawy.

– Linden, Willow wróciła – zagadnęła mama. – Nie chcesz się z nią

przywitać?

Spojrzał na nią, ale nie na mnie. Znów upił łyk kawy.

Wymieniłyśmy z mamą zatroskane spojrzenia. Uśmiechnęłam się, żeby ją pocieszyć.

– Głodna jesteś, Willow?

– Zrobię sobie tost z dżemem.

– Nie spodziewałam się, że po całym dniu jazdy i naszej nocnej rozmowie wstaniesz tak wcześnie.

– Ja też nie – przyznałam. – W ogóle kiepsko spałam – dodałam, zastanawiając się, czy Linden przypomni sobie, co się z nim działo w nocy. Obserwowałam go spod oka, sprawdzając, czy patrzy na mnie, ale nie spojrzał ani razu. W pewnym momencie odsunął krzesło i wstał od stołu.

– Nie skończyłeś śniadania, Linden – zauważyła mama.

Pokręcił głową.

– Nie chce mi się jeść – mruknął. Nadal zdawał się mnie nie zauważać. Mógłby chociaż powiedzieć „dzień dobry”! Podejrzywałam, że ciągle jest na mnie wściekły z powodu samego mojego istnienia. I faktu, że włożyłam mu na kark ciężar, który go przerastał – przeszłość naszej mamy i mojego ojca. Zapewne reagował w myśl starożytnej zasady, która usprawiedliwiała zabicie posłańca, przynoszącego złe wieści.

Odwrócił się na moment i jego wzrok prześliznął się po mnie niczym opadające piórko. A potem wyszedł.

Odczekałam, aż się oddali, i powiedziałam mamie o nocnych krokach na korytarzu.

– Wstałam, żeby sprawdzić, bo myślałam, że to ty i że coś się stało. Tymczasem zobaczyłam Lindena, który wyszedł z domu. – Ruchem głowy pokazałam w stronę plaży. – Lunatykował.

Opisałam wszystko, co się potem działo, zaznaczając, że ani na moment nie otworzył oczu.

Mama zacisnęła usta i powieki, jakby chciała powstrzymać łzy, a potem westchnęła boleśnie.

– Od chwili, kiedy wyszedł ze szpitala, ciągle zdarzają się takie rzeczy – wyjaśniła. – Jego terapeutka ostrzega, że depresja się pogłębia, i sugeruje intensywną terapię lekową. Uważa, że powinnam go umieścić w najbliższej klinice psychiatrycznej, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć, choć podejrzewam, że odziedziczył po mnie skłonności maniakalno-depresyjne.

– Nie, mam, twoje zaburzenie w żadnym stopniu nie było uwarunkowane genetycznie – odparłam z przekonaniem. Wszak czytałam jej historię choroby w klinice ojca.

Kiwnęła głową.

– Miałam nadzieję, że dotychczasowe leczenie przyniesie poprawę, przynajmniej go wyciszy, a tymczasem... – Przełknęła z wysiłkiem. – W każdym razie lunatykowanie jest czymś nowym. – Pokręciła głową. – Co z tym zrobić? Zamykać go w sypialni?

– Może to już się nie powtórzy – pocieszyłam ją. – Wypadek nastąpił stosunkowo niedawno i pamięć o nim jest świeża. – Odprężyła się nieco i kiwnęła głową, westchnąwszy lekko.

– Możliwe, ale musimy się zastanowić, co zrobimy, gdyby to się powtórzyło. Chyba zadzwonię do lekarki prowadzącej i opowiem jej o tym, chociaż jestem pewna, że znów zasugeruje leczenie szpitalne.

Przerwałyśmy rozmowę, bo przyszedł Linden. Włożył wiatrówkę i skierował się do wyjścia.

– Dokąd idziesz, Linden? – zapytała mama.

Milczał chwilę, jakby odpowiedź wymagała głębokiego namysłu.

– Przejść się – rzucił.

– Ja też mam ochotę się przejść. Możemy iść razem? – zagadnęłam niewinnie.

Zamilkł. Miałam nadzieję, że wreszcie spojrzy na mnie i przemówi, ale ruszył w milczeniu do wyjścia.

– Tylko nie odchodź daleko – poprosiła mama zaniepokojona.

– Już odszedłem za daleko – powiedział dobitnie. Otworzył drzwi i wyszedł, a my patrzyłyśmy za nim, zastanawiając się, co to ma znaczyć i czy ktokolwiek ma szansę odnaleźć sens w tej chaotycznej chmurze myśli, marzeń, koszmarów i wspomnień, wirujących niczym tornado w tej ciągle niespokojnej głowie.

Ale w mojej głowie też kłębiły się tysiące nowych pytań – dużo myślałam o swoim życiu i przyszłości – domagających się odpowiedzi. Mój nowy świat czekał, abym skosztowała jego smaku, niczym owocu z rajskiego drzewa wiadomości dobrego i złego. Zaryzykuj i posmakuj, Willow De Beers, mówiłam sobie w duchu.

I miej nadzieję, że ciebie oraz tego nieszczęśnika nie spotka los Adama i Ewy. Że nie zostaniecie wypędzeni z raju.

Rozdział pierwszy

POWRÓT DO JOYA DEL MAR

Teraz, kiedy już na dobre sprowadziłam się do Palm Beach, aby w pełni zaangażować się w życie mojej rodzonej matki i jej syna, czułam się jak ktoś, kto wysiadł z kolejki górskiej. Jeszcze niepewnie stałam na nogach, ale czas przestał wreszcie pędzić. Wzięłam głęboki oddech i sprawiłam, że wątki mojej pamięci, zwłaszcza najnowsze, przestały powiewać za mną niczym wstążki na wietrze i zostały schowane w bezpiecznym zakątku umysłu. Już nie próbowałam ich ignorować. Przeciwnie, teraz miały być dla mnie lekcją, wskazówką, służyć mi w tym nowym rozdziale życia.

Tuż przed moim wyjazdem na drugi rok studiów spędziłam z tatą cudowne chwile. Po kolacji usiedliśmy na tarasie naszego domu w Karolinie Południowej. Takie chwile spokoju i bliskości były rzadkie jak spadające gwiazdy. Nie miałam odwagi wypowiadać życzeń. Szczeniaki śmiało ocierają się o nogi ukochanego pana w nadziei, że zostaną pogłaskane. Zazdrościłam im tej ufnej śmiałości. Dorastałam w domu, gdzie matka adopcyjna bardzo dbała, abym czuła się w nim jak nieproszony gość, toteż byłam dzieckiem wycofanym i niepewnym. Irytowałam ją na każdym kroku. Dlatego kurczowo trzymałam się spódnicy mojej ukochanej niani Amou, która była mi bliższa niż matka.

Pamiętam, że próbowałam za wszelką cenę stać się niewidzialna dla złego, podejrzliwego spojrzenia matki adopcyjnej, które śledziło mnie, kiedy znalazłyśmy się w tym samym pokoju, a nawet kiedy przechodziłam obok niej. Jej oczy wiecznie mnie oskarżały i gardziły mną. Amou była dla mnie tarczą obronną i ostoją. Łagodny, ciepły głos niani pomagał mi przeżyć nocne koszmary i rozwiewał ciemne chmury, wiecznie gromadzące się nad moją głową.

Nie bałam się szukać pocieszenia u taty, ale dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego we wczesnych latach mojego życia był tak chłodny i zdystansowany wobec mnie, zwłaszcza przy matce adopcyjnej. Nie chciał z nią zadzierać, gdyż miał romans z moją prawdziwą matką i musiał to ukrywać, więc wznosił wokół siebie mury beznamiętnego domowego autorytetu. Innymi słowy: starał się być przede wszystkim psychiatrą, terapeutą czy doradcą personalnym, a dopiero potem ojcem.

Tata, zawsze logiczny i racjonalny, wpajał mi behawioralny katechizm od chwili, kiedy byłam zdolna odpowiadać „tak” lub „nie” na jego pytania. Matka adopcyjna przy każdej okazji pomstowała na moje niechlujstwo i roztrzepanie. Wytykała każdy błąd, bałaganiarstwo i niezbornosć, choć miałam tylko trzy latka. Niczym oskarżyciel na sali sądowej, próbowała obciążyć mnie winą za jakąś okropną niedoskonałość, za umysłową słabość i żądać surowej kary. Kiedy miałam pięć lat, bałam się, że zażąda dla mnie kary śmierci.

Tata rzadko jawnie się jej przeciwstawiał. Nawet w pewien sposób się z nią zgadzał, kiedy niedostrzegalnie kiwał głową albo jego oczy rozszerzały się na moment. Zaraz potem zwracał się do mnie jak do pozwanej i zaczynał serię tych swoich łagodnych, lecz precyzyjnych i racjonalnych pytań wyjaśniających.

– Chcesz, żeby twój pokój ładnie wyglądał, prawda, Willow? Przecież chciałabyś tam zapraszać swoje koleżanki, czyż nie? I na pewno nie chcesz, żeby Isabella miała więcej sprzątanania?

Isabella – tak naprawdę nazywała się Amou. To ja nazwałam ją Amou, gdy tylko nauczyłam się mówić. Niania mówiła do mnie *amou um*, co po portugalsku znaczy „kochanie”, a ja po prostu powtarzałam jej słowa. Matka adopcyjna nie znosiła takich zdrobnień i usiłowała mi zakazać nazywania niani Amou. Nie posłuchałam, choć przerażało mnie wściekłe spojrzenie jej oczu, które ciskały gromy, gotowe mnie spopielić.

Oczywiście kiwałam głową w odpowiedzi na każde pytanie, które zadawał mi tata, i na całe szczęście ten rodzaj ojcowskiej reprimendy satysfakcjonował matkę adopcyjną na tyle, że gniew w jej oczach gasł i znikającym z pola rażenia. Za to moje oczy szklily się od łez, lecz dzielnie powstrzymywałam płacz. Jakbym już wtedy instynktownie rozumiała, że jeśli rozplączę się na oczach swojej matki adopcyjnej, potwierdzę jej fatalną opinię o mnie jako o dziecku kobiety upośledzonej psychicznie, które odziedziczyło jej zaburzenia, więc tylko patrzeć, aż zaczną się problemy.

Po takich incydentach nieraz widziałam niesmak i smutek na twarzy taty, ale pojawiał się tylko na mgnienie. Ojciec musiał się bardzo kontrolować. I udawać, że traktuje mnie jak dziecko kogoś obcego, przygarnięte z litości, jak uważała moja matka adopcyjna. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jakie piekło zgotowałyby ojcu, gdyby dowiedziała się prawdy. Zafundowałyby mu rozwodowy koszmar i złamała karierę zawodową, a tym samym życie. Utrzymywanie romansu w tajni własnych serc było wysoką ceną, jaką musieli zapłacić moi prawdziwi rodzice, ale robili to także i dla mnie.

Teraz już byłam pewna, że tata jednak wyznałby mi prawdę w rozmowie w cztery oczy, a nie po swojej śmierci. Nie robił tego, gdyż czekał, aż dojrzeję na tyle, bym mogła ją przyjąć bez szkody dla swojej psychiki. A ponadto musiałby najpierw na nowo zdefiniować siebie jako innego człowieka – bardziej ojca niż opiekuna; kogoś, kto kocha, a nie tylko się troszczy. I nawet zaczął tak się zmieniać, lecz śmierć przerwała ten proces. Może zwlekał za długo, ale przecież zarówno on, jak i ja nie do końca wierzyliśmy w siebie. Ciągłe mieliśmy poczucie, że trzeba pokonać jeszcze jeden zakręt, przebyć jeszcze jedną drogę, cieszyć się jeszcze jedną minutą spokoju – i w ten sposób traciliśmy kolejne okazje.

Na szczęście tata zadbał, abym po jego śmierci otrzymała dziennik, który prowadził – swoistą polisę ubezpieczeniową dla prawdy, którą musiałam wreszcie poznać. Po przeczytaniu dziennika dowiedziałam się o nim o wiele więcej i zrozumiałam, co mam dalej robić. Moja najbliższa żyjąca krewna, ciotka Agnes Delroy, owdowiała siostra ojca, usiłowała mnie powstrzymać przed planowaniem nowego życia. Jak cała reszta mojego otoczenia, zaprzeczała prawdzie i rzeczywistości.

– Cieszę się, że podoba ci się na uczelni, Willow – zaczął tata tamtego ciepłego wiosennego wieczoru, którego wspomnienie ożyło z całą siłą w moim umyśle. Przypomniałam sobie, jak gwiazdy rozjarzały się nad naszymi głowami, niczym zapalone świece, płonące jaśniej z każdą minutą.

– Tak, tato. Lubię swoje zajęcia i wykładowców. Prawdę mówiąc, moi nowi przyjaciele uważają mnie za kujona.

Roześmiał się.

– Ja musiałem strasznie wkuwać, żeby dostać się na uniwersytet, i potem dręczyło mnie głupie poczucie winy w momentach, kiedy zamiast się uczyć, oddawałem się uciechom studenckiego życia – wyznał.

– Ja też tak mam – potwierdziłam.

– Studia to nie bajka – ciągnął, spoglądając w dal, na łąkę, jezioro i las na horyzoncie, jakby sięgał wzrokiem w otchłań czasu ku tamtym szczęśliwym dniom. Uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Trzeba się na nich napracować. Sam się nie spodziewałem, że tak zareaguję. Podobnie jak twoi nowi przyjaciele, moi też uważali mnie za jakiegoś dziwaka. „Psychiatria to dobry adres dla ciebie, Claude” – mówili. „Po dyplomie będziesz mógł terapeutyzować sam siebie i przysyłać sobie rachunki”.

Rozśmieszył nas żart, ale tata szybko spoważniał.

– Jeśli nie kochasz tego, co robisz – powiedział – nie kochasz tej, którą jesteś, czyli nie kochasz siebie. Bowiem najgorsze, Willow, jest uczucie uwięzienia we własnym ciele. Nie lubisz swojej twarzy. Nienawidzisz własnego głosu. Zaczynasz nawet nienawidzić własnego cienia. Jak w takiej sytuacji możesz marzyć, że kiedyś kogoś uszczęśliwisz – męża, dzieci, przyjaciół – skoro sama jesteś nieszczęśliwa? To brzmi jak prosta prawda – dodał – ale zwykle jest zagrzebana głęboko pod warstwą kłamstw i złudzeń. Na szczęście wiem, że tobie taki stan nie grozi.

Był ranek i po śniadaniu wybrałam się na spacer po plaży. Szłam, wspominając tamtą rozmowę. Słowa ojca pomagały mi zrozumieć Lindena. Przyrodniego brata, który krążył po obrzeżach rzeczywistości, usiłując znaleźć drogę ucieczki od samego siebie – od tego, za kogo go uważano i za kogo sam się uważał.

Samobójstwo było jedną z takich dróg i niedawno tę wybrał, ale wierzyłam, że zejdzie z niej, znajdzie lepszą. I gotowa byłam mu w tym pomóc.

Być może moje podejście graniczyło z arogancją. Chciałam go wspierać, a sama nadal byłam dość młodą kobietą, również pełną wahań i niepewną siebie, niepewną własnych uczuć, ciągle prześladowaną przez lęki dzieciństwa. Dla mnie, córki światowej sławy psychiatry i kogoś, kto pragnie podążać w ślady ojca, chęć pomocy powinna być naturalna. A jeśli przysłowiowy ślepy będzie wiódł kulawego? Czy nie powinnam się obawiać, że zrobię Lindenowi jeszcze większą krzywdę i pogrążę go jeszcze głębiej w mroku? Zazdrościłam tacie spokojnej pewności, z jaką podejmował zawodowe decyzje! Decyzje, które miały znaczący wpływ na życie innych ludzi. Jak można zdawać sobie sprawę z konsekwencji możliwych błędów, a zarazem działać z takim przekonaniem i pewnością? Czy kiedykolwiek będę tak potrafiła? Czy kiedykolwiek będę tak asertywna?

Śmiech dobiegł z tylnego tarasu dużego domu i odciągnął moją uwagę od

oceanu i ponurych myśli. Właśnie weszłam na niewielką wydnię i znalazłam się prawie na poziomie tarasu. Ku swojemu zdumieniu zobaczyłam Bunny i Ashera Eatonów. Normalnie balowali do bladego świtu, gdyż w Palm Beach trwał sezon balowy, i śniadania jedli najwcześniej w południe, ubrani w różowo-białe i niebiesko-białe stroje tenisowe. Przeważnie towarzyszyły im siostry Thelma i Brenda Carriage, przyjaciółki Bunny Eaton. Poznałam je już wcześniej. Bunny powiedziała mi, że to dwie naczelne plotkary, które potrafią bezbłędnie wywęszyć cudze brudy.

Nazwała swoje przyjaciółki „solą Palm Beach” i poinformowała mnie, że ich mężowie byli braćmi, największymi deweloperami w okolicy, którzy poślubili dwie siostry – obecnie wdowy.

Wiedziałam, że mnie zauważą. Wszyscy patrzyli w moją stronę. A jednak ani Bunny, ani Asher nie zareagowali.

Nawet z tej odległości dostrzegłam na twarzy Bunny wyraz niechęci, jaki pojawił się na mój widok. Od razu przypomniała mi się nasza nieprzyjemna rozmowa tuż przed moim wyjazdem do Karoliny Południowej. Szybko odwróciła się do gości i za chwilę z tarasu rozległ się perlisty śmiech, głośny i na pokaz, jakbym była klaunem, który urwał się z cyrku i zabłądził na plażę. Powiedziała coś jeszcze, śmiejąc się, i wszyscy jej zawtórowali.

Już miałam ruszyć dalej, kiedy pojawił się Thatcher, ubrany do pracy. Był odwrócony do mnie plecami, więc nie wiedział, że stoję na wydnie. Jasne, że ani Bunny, ani Asher nie zamierzali mu o tym powiedzieć, ale jedna z sióstr Carriage, jak widać, nie omieszkała, bo odwrócił się szybko i poszukał mnie wzrokiem. Patrzyliśmy na siebie chwilę. Serce waliło mi coraz szybciej, z trudem łapałam powietrze. Wcześniej ani razu nie zadzwonił do mnie i wyczułam, że teraz też nie pali się do kontaktu ze mną. Tymczasem moja ręka jakby samoistnie rwała się, żeby mu pomachać, ale powstrzymałam ten odruch, przeklinając zdradzieckie serce za słabość. Taki gest uwłaczałby mojej dumie.

Thatcher powiedział coś do towarzystwa na tarasie i zniknął we wnętrzu domu. Bunny Eaton zerknęła na mnie i roześmiała się głośno.

Odwróciłam się i ruszyłam dalej plażą, wypatrując Lindena. Na pewno poszedł w przeciwną stronę, bo zaczynał się już teren następnej posiadłości, a jego nigdzie nie było widać. Nagle poczułam się straszliwie samotna i znów opadły mnie wątpliwości, które jak zwykle kwestionowały sens każdej ważniejszej podjętej przeze mnie decyzji.

Zatrzymałam się i popatrzyłam na żagle sunące po oceanie. Ciepły, ale silny

wschodni wiatr popychał po niebie białe puchate obłoczki. Pasażerski odrzutowiec, który wystartował z lotniska w West Palm Beach, szybko nabierał wysokości. Patrzyłam, jak mknie ku chmurom.

– Wyglądasz, jakbyś chciała być tam na pokładzie – usłyszałam. Odwróciłam się i zobaczyłam Thatchera, zbliżającego się ścieżką wśród krzewów.

Musiał wyjść z domu drugimi drzwiami i skręcić w lewo, ścieżką prowadzącą na plażę. Po prostu wymknął się do mnie tak, żeby inni nie widzieli. Rumieniec zakłopotania palił mi twarz. Miałam wrażenie, jakby ktoś przystawił mi do policzka zapaloną zapałkę.

– Co to ma być, Thatcher? – Prostując się, skrzyżowałam ręce na piersi. – Boisz się, że dostaniesz lanie od mamusi, jeśli przyłapie cię w moim towarzystwie? Albo że siostrzyczki Carriage puszczą to do mediów?

Zrobił ruch, jakby chciał podejść, wziąć mnie w objęcia i pocałować, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i tylko się uśmiechnął.

– Powinienem wiedzieć, że nie da się zmylić córki słynnego psychiatry – powiedział. Ostrożnie postąpił parę kroków w moją stronę.

Spojrzałam w dół, na jego eleganckie, lśniące pantofle; przylepił się do nich mokry piasek. Wiatr rozwiewał mu włosy. Thatcher Eaton był niewątpliwie przystojnym facetem. W opalonej twarzy lśniły niebieskie oczy i połyskiwały białe zęby. Nie miał wzrostu koszykarza, ale był szeroki w ramionach i wąski w pasie, toteż sprawiał wrażenie wyższego, niż jest – zwłaszcza jeśli dodać do tego lekko wyniosłą minę i władcze spojrzenie.

Łatwo było się zakochać w takim mężczyźnie, ulec jego czarowi i rzucić się mu w ramiona. Jego wątpliwy żart nie wywołał u mnie najmniejszego uśmiechu. Miałam nadzieję, iż moja mina informuje go jasno, że nie będę tolerować gładkich przeprosin, półprawd czy wymysłów, mających usprawiedliwić jego milczenie po moim wyjeździe z Joya del Mar do Karoliny Południowej. Nie podobało mi się też jego zachowanie, kiedy musiał się kryć przed swoją histeryczną matką snobką i chronić jej uczucia.

Uśmiech zgasł mu na twarzy i szybko zastąpiła go normalna, służbowa, pewna siebie mina wziętego prawnika.

– Jestem tutaj, żeby cię przeprosić za to, że ani razu nie zadzwoniłem, a także za wszystko, co moja matka powiedziała ci w momencie wyjazdu. Powtórzyła mi całą waszą rozmowę, choć podejrzewam – dodał z uśmiechem – że podostrzyła trochę twoje kwestie, żebyś wypadła wrednie i wrogo.

– Przeciwnie, sądzę, że powtórzyła wiernie moje słowa, i wcale się ich nie

wypieram. Nie mogłam dopuścić, by mnie upokorzyła i dała do zrozumienia, że jestem gorsza od Eatonów, gdyż mam nienormalną matkę – oświadczyłam.

– Nieprawda. Na pewno tak nie powiedziałaś.

Oczy mu pociemniały, a rysy złagodniały w uśmiechu.

– Posłuchaj, Willow, tu nie chodzi o to, kto ma rację, a kto nie. Oczywiście, że moi rodzice są niezdolnymi snobami. Nigdy temu nie zaprzeczałem, pamiętasz?

– Zgoda, ale ty także robisz wiele rzeczy przez snobizm, Thatcher. Miałam ogromny żal do ciebie, było mi przykro, że nie zadzwoniłaś. A przecież wiedziałaś, że nie poleciałam do domu dla przyjemności. I wcześniej zdarzyła się ta straszna rzecz z Lindenem. Z bólem musiałam zostawić mamę i jego, żeby załatwić ważne sprawy w Karolinie Południowej. Nie wyjechałam na długo, ale bardzo potrzebowałam kontaktu z tobą. A kiedy nie dzwoniłaś, zastanawiałam się, czy potrafisz zrozumieć, jak szybko rozwija się uczucie i troska o drugiego człowieka, kiedy myślisz, że możesz być z nim szczery, i naprawdę ci na nim zależy.

– Willow, posłuchaj, proszę – powiedział błagalnym tonem. – Naprawdę chciałem do ciebie zadzwonić. Jednocześnie w czasie twojej nieobecności prowadziłem zakulisowe starania, mające zapewnić Lindenowi najlepszą opiekę medyczną, a twojej mamie dostarczyć wszystkiego, czego potrzebowała.

– Dlaczego zakulisowe? – zdziwiłam się. – Jesteś dorosłym mężczyzną, wziętym prawnikiem. Przekonywałeś mnie, że nie dałeś się uwieść temu ostentacyjnemu bogactwu i blichtrowi; że tak samo jak ja kpisz sobie z tych nadętych snobów, paradujących po Palm Beach, jakby czuli się bogami i boginiami.

– To prawda. I nadal tak jest, ale...

– Ale co?

– Posłuchaj, Willow. – Podszedł jeszcze bliżej. – Aby odnieść sukces w tym świecie, musisz iść na pewne kompromisy. Ci, którzy tego nie robią i sztywno trzymają się swoich szlachetnych zasad, są tutaj uważani za dziwaków i takich samych snobów jak reszta.

– Co? – Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem. – Ludzie z zasadami mają być snobami?

– Właśnie tak. Sztywne trzymanie się zasad jest również rodzajem arogancji. Ktoś, kto uważa, że ma zawsze rację i wie, co jest dobre, a co złe, często

bywa nietolerancyjny i zadufany w sobie. Bogaci też potrafią być żałośni. Zdarzają im się wpadki, mają niedoskonałości i lęki – dodał szybko, jakby się obawiał, że zaraz parsknę śmiechem albo uśmiechnę się z niedowierzaniem.

Nie miałam takiego zamiaru. Ludzie tacy jak rodzice Thatchera budzili moją litość, a nie zazdrość czy nienawiść.

– W tym świecie człowiek sukcesu to ten, który jest biegły w sztuce kompromisu i osiąga sukces, nie tracąc szacunku dla samego siebie. To kwestia właściwych proporcji, dyplomacji i negocjacji – wyjaśnił tonem wykładowcy.

– I nie tracisz szacunku dla siebie, przekradając się do mnie potajemnie na terenie własnej posiadłości? – zapytałam szyderczo.

Westchnął i potrząsnął głową.

– Willow, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak kruche są moje stosunki rodzinne, zwłaszcza w przypadku siostry i jej sytuacji. Rodzice robią dobrą minę do złej gry, ale ojciec musi dźwigać wielki ciężar.

– Jaki? Skrzynkę szampana?

– Możesz się śmiać, lecz nie ty jedna masz burzliwą przeszłość i aktualne problemy. Małżeństwo mojej siostry od lat chwieje się na krawędzi. Jej mąż nie zrobił takiej kariery, jak można było się spodziewać. Wielu rzeczy nie wiesz, Willow, ale nie mam zamiaru dodawać moich demonów do twojego koszmaru – powiedział łagodniejszym tonem. Jak widać zapamiętał moją opowieść o Amou i jej przesądach.

– Do tego trzeba jeszcze dodać te wszystkie rewelacje o tobie, Grace i Lindenie... – ciągnął w nadziei, że zrozumiem. – Wszystko działo się tak niespodziewanie i szybko... Trzeba czasu, żeby się z tym oswoić, zrozumieć to i zaakceptować. Pomimo pozorów beztroski i zabawy toczy się tutaj codzienne, normalne życie. Przynajmniej w moim przypadku.

Popatrzyłam na niego. Brzmiał diabelnie racjonalnie, irytująco rozsądnie.

– Och, zdążyłam już zapomnieć, jakim jesteś wybitnym adwokatem, Thatcherze Stevenie Eaton, choć przeważnie zajmujesz się sprawami wadliwych kocich miotów, czy czymś w tym stylu – skomentowałam zjadliwie. Thatcher roześmiał się.

– Hej, nie gardź mną aż tak. Mam z tego całkiem niezłe dochody.

Zaczerpnęłam powietrza i rozejrzałam się. Może jednak Thatcher ma rację co do swojej strategii i sytuacji w jego rodzinie? Chciałam, żeby miał rację. Może to objaw mojej słabości? Ale czy ja sama nie tworzyłam sobie złudzeń?

Nie okłamywałam się świadomie i w dobrej wierze, aby ocalić swój spokój i zadowolenie z życia, podobnie jak ludzie z Palm Beach i wielu innych, na czele z moją matką adopcyjną? Była ostatnią osobą, na której chciałabym się wzorować.

Nienawidziłam tych ciągłych autoanaliz, jakim się poddawałam, ale nie mogłam powstrzymać myśli, że pociąg do silnych, pewnych siebie mężczyzn jest moją słabością. Psycholog powiedziałby, że bezustannie poszukuję figury ojca.

Thatcher stanął tak blisko, że prawie mnie dotykał. Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć w te piękne oczy i nie pogłębiać swojej słabości.

– Uwierz mi, Willow, że bardzo cierpiałem, wiedząc, że jesteś tam sama i musisz się zmagać z tymi wszystkimi problemami bez mojego wsparcia – rzekł łagodnym, głębokim głosem.

Spiorunowałam go spojrzeniem.

– Więc dlaczego nie zadzwoniłeś... choć raz?

– Myślałem, że wrócisz szybko, bo przecież Linden był w szpitalu, a twoja mama szalała ze zmartwienia.

– Nie pleć bzdur – warknęłam.

Zrobił wielkie oczy.

– Szukasz wymówek, żeby usprawiedliwić swoje zaniechanie. Twoje wyjaśnienia są mało wiarygodne, mecenasie. Wręcz naciągane.

Kiwnął głową, zaciskając usta, i jego spojrzenie stało się nagle mroczne.

– Masz rację – przyznał. – Chodzi o coś jeszcze.

– O co? – Zaskoczył mnie tym nagłym wyznaniem.

– Coś jeszcze wydarzyło się po twoim wyjeździe.

– Mów!

Umknął spojrzeniem w bok i wyraz jego twarzy sprawił, że serce zabiło mi niespokojnie. Czy mogło się zdarzyć coś gorszego niż to, co już się stało z moją mamą i Lindenen?

– Moja siostra uświadomiła sobie, jak bardzo jestem zaangażowany w znajomość z tobą – wyjaśnił.

– No i co z tego? Przecież wcześniej miałeś w nosie jej opinie! – odpowiedziałam prawie z krzykiem.

Zerknął na dom, jakby obawiał się, że usłyszano mnie z tarasu, i odszedł kilkanaście kroków dalej, aby nasze głosy tam nie dotarły. Zrównałam się z nim, coraz bardziej zdenerwowana.

– Dobrze, znów masz rację – przyznał. – Wcześniej nie liczyłem się z jej zdaniem. Nie zamierzałem zmieniać swojego życia czy planów, aby sprawić przyjemność Whitney. Różnimy się tak, jak tylko potrafi się różnić rodzeństwo, ale...

Obrócił się ku mnie szybko.

– Ale co?

– Ale w tym, co powiedziała, była jedna rzecz, która...

– O czym rozmawialiście, Thatcher? Co się nagle stało? Powiedz wreszcie jasno, o co...

– Nie chciałem ci nic mówić, zanim nie zbadam sprawy i nie potwierdzę faktów. Podejrzewam, iż siostra wspomniała o tym celowo, bo zdarzało się już, że posługiwała się takim chwytem, aby wymóc na mnie coś bądź odwieść mnie od czegoś.

– Od czego? – Krążył wokół tematu i coraz bardziej mnie irytował.

Wziął głęboki oddech, przygryzł wargę i nerwowo przeczesał palcami włosy.

– Zapewne wiesz, kim był Kirby Scott? – zaczął.

– Tak. Ojczymem mojej mamy, który ją uwiódł i zgwałcił, oraz ojcem Lindena. Wiem o nim wszystko – odparłam zniecierpliwiona.

Oczywiście, że znałam tę historię. Opowieść o tym człowieku dobrze zapadła mi w pamięć. Kiedy mąż mojej babci Jackie Lee Houston, oficer marynarki, zginął w katastrofie helikoptera, babcia razem z moją mamą, wówczas dwunastoletnią, przeprowadziła się do Palm Beach. Tam pracowała jako kelnerka w ekskluzywnych restauracjach, aż poznała Winstona Montgomery'ego – bardzo bogatego wdowca, starszego od niej o dwadzieścia pięć lat. Zakochał się w niej, a potem był ślub i zamieszkała z nim w Joya del Mar. Po śmierci Winstona moja babcia zakochała się w playboyu, Kirbym Scotcie. Wzięli ślub i wtedy on pokazał swoje prawdziwe oblicze. Błyskawicznie przegrał w kasynach majątek mojej babci i Jackie Lee stanęła na krawędzi bankructwa. Zdążył jeszcze uwieść moją mamę, która zaszła w ciążę. Ten fakt był starannie ukrywany. Mało tego, babcia wzięła wszystko na siebie i wmówiła światu, że Linden jest jej dzieckiem. Uczyniła to tak skutecznie, że sam Linden był o tym przekonany.

– Oboje znamy tę nieszczęsną historię, Thatcher – mruknęłam. – Nie rozumiem, po co ją przypominasz.

Wahał się długą chwilę, zanim odpowiedział.

– Nie tylko twoja matka została uwiedziona przez niego. Był ktoś jeszcze – a przynajmniej tak twierdzi moja siostra.

– Co to ma znaczyć? Kogo jeszcze uwiódł ten drań i co to ma wspólnego z nami, Thatcher? Może wreszcie przestaniesz kręcić i powiesz jasno, o co...

– O moją matkę – wykrztusił.

Popatrzyłam na niego wielkimi oczami. Czy ja śnię? Thatcher chce powiedzieć, że jego matka także została uwiedziona i wykorzystana? Przez tego samego drania?

– Co takiego? – wyjąkałam. Chyba jakiś diabelski wiatr igrał ze słowami, wychodzącymi z naszych ust, złośliwie zmieniając ich brzmienie!

– Przejdźmy się jeszcze – zaproponował, jakby chciał z każdym słowem swojej opowieści zwiększyć dystans pomiędzy sobą a rodzicami.

– Thatcher...

Uciszył mnie gestem.

– Pozwól mi wyjaśnić. Zaraz po tej nieprzyjemnej rozmowie, jaką przed odjazdem odbyłaś z moją matką, Bunny zadzwoniła do Whitney. Ma z nią o wiele lepszy kontakt niż ze mną. Obie mają podobne cele w życiu, wyznają te same wartości i potrafią wiele sobie wybaczyć.

– No dobrze, i co dalej?

– Mama wypłakiwała się Whitney w mankiet, analizując całą sytuację, co tak naprawdę znaczyło, że mówi o swoich obawach. Siostra twierdzi, że poradziła jej, aby wzięła mnie na bok i wyznała całą prawdę. Zatem, jeśli mam temu wierzyć, matka musiała już dawno powierzyć mojej siostrze ten sekret, ukrywając go przede mną. Po tej rozmowie Bunny przeżyła poważne załamanie nerwowe. Pozwól, że ci wytłumaczę, jak to jest w jej wypadku. Popada w głęboką depresję, nie wychodzi z łóżka i ciągle płacze. Kiedy coś takiego się zdarzy, ojciec od razu do mnie dzwoni i razem staramy się ją z tego wyciągnąć sprawdzonym sposobem. Wieziemy mamę do spa, gdzie jest traktowana z wyjątkową troską. I to działa – masaż, błotne kąpiele, świece i setki innych atrakcji sprawiają, że, jak się zdaje, znów może używać życia.

– Można tylko pozazdrościć, że tak niewiele potrafi jej przywrócić szczęście – stwierdziłam zgryźliwie.

Kiwnął głową, marszcząc brwi.

– Willow, jeśli miałbym ci teraz coś doradzić... – podjął. – Myślę, że twój ojciec zawdzięczał swój wielki sukces tolerancji i współczuciu. Nigdy nie tuszowałem wad swojej matki i teraz też nie mam zamiaru tego robić. Znam je

i toleruję. Nie jestem zawodowym psychoterapeutą, ale współczuję jej bardzo i staram się traktować Bunny tak, jak ty pewnego dnia będziesz traktowała swoich pacjentów. Staram się też, gdy ma obniżony nastrój, wyciągać ją z dołka.

– Cóż, są ludzie tak bogaci, że nawet koronowane głowy sprawiają przy nich wrażenie nędzarzy; ludzie, których stać niemal na wszystko – odparłam. – Powinni być szczęśliwi, a jednak przeżywają lęki, depresje, rozczarowania i wątplenia, przed którymi nie uchronią ich żadne pieniądze. Dlatego trzeba mieć w sercu miejsce zarówno dla bogatych, jak i dla biednych.

– Jednym słowem uważasz, że lekarz, który traktuje bogacza z mniejszym współczuciem niż biedaka, nie jest dobrym lekarzem? – upewnił się Thatcher.

– Otóż to, Thatcher. Czułabym się nie w porządku, gdybym nierówno dawkowałam swoje współczucie ludziom go potrzebującym. Są jednak ludzie tak zepsuci, że bardziej niż współczucia potrzebują zdyscyplinowania. Uleganie ich kaprysom i nastrojom tylko im szkodzi. Cierpią przy tym oni sami oraz ich bliscy. Ja bym nie posłała twojej matki do spa, żeby tam ją w dwójnasób dopieszczano. Lepiej, żeby tydzień popracowała przy rozkładaniu towarów w supermarkecie.

Roześmiał się.

– Dobrze, może kiedyś o tym podyskutujemy. Ale na razie, bez względu na dylemat, czy moja matka powinna dostać lanie, czy zostać pogłaskana po główce, po twoim wyjeździe wpadła w depresję, a ja musiałem radzić sobie z nią oraz pomagać twojej mamie i Lindenowi. Kiedy wróciła ze spa, przyszedłem wieczorem do jej sypialni. Czuła się lepiej, ale widziałem, że nadal jest rozbita i przygnębiona. Na stoliku leżały stosy nieotwartych zaproszeń na bale i kolacje. Zapytałem ją, czym się tak zamartwia. Oczywiście podejrzewałem, że sprawa musi mieć coś wspólnego z tobą i ze mną. Byłem gotów spokojnie z nią o tym porozmawiać. Tego wieczoru zamierzałem też zadzwonić do ciebie, żeby powiedzieć, co się dzieje, zapytać, jak idą twoje sprawy i kiedy wracasz... Tymczasem mama zabrała mi cały wiatr z żagli – ciągnął. – Zaczęła od wyrażenia obaw, że skoro jesteś córką Grace Montgomery, a Linden jest twoim przyrodnim bratem, usprawiedliwione są obawy o dziedziczenie problemów psychicznych przez twoje dzieci... i dalej w tym stylu. Nie zgadzałem się z nią; usiłowałem przekonać, opowiadając o twoim ojcu i jego związku z twoją mamą. To była jedna z najlepszych mów obrończych, jakie wygłosiłem w życiu. Zgniatałem jej argumenty jak komary

na tarasie.

Kiedy mnie wysłuchała, usiadła na łóżku, podparła się tymi swoimi puchatymi poduchami i idąc za radą Whitney wyznała mi swoją tajemnicę. Mówię ci, Willow, spowiadała się, jak księdzu w konfesjonale. Byłem tak oszołomiony, że nie mogłem wykrztusić słowa. Matka przyznała się do cudzołóstwa własnemu synowi!

Największą sensacją była dla mnie wiadomość, że ojciec Lindena i mój to jedna i ta sama osoba, a zatem Linden jest również moim bratem przyrodnim. Ostrzegła mnie, że jeśli związę się z tobą, nasze dzieci będą obciążone ryzykiem. Nie tylko odziedziczenia problemów mentalnych po twojej matce, lecz także skłonności do niemoralnych zachowań po moim ojcu. Szanse są bardzo duże. Teraz rozumiesz?

Gwałtownie potrząsnęłam głową, jakbym chciała wytrząsnąć jego słowa z uszu.

– Nie – wykrztusiłam.

– Opisała mi Kirby’ego Scotta jako bardzo romantycznego, uwodzicielskiego mężczyznę, który posiadał ją pewnej nocy, kiedy wypila za dużo szampana. Z czasem okazało się, że jest w ciąży. Kiedy lekarz określił jej przybliżony moment zapłodnienia, zrozumiała, że nosi w sobie dziecko Kirby’ego, bo w tym czasie nie spała z moim ojcem. A przynajmniej tak twierdzi.

Urwał i z wielkim wysiłkiem wziął oddech, jakby pierś przygniatał mu wielki ciężar.

– Niemożliwe, przecież jesteś podobny do Ashera. Widzę podobieństwo – powiedziałam i pokręciłam głową. – Nie, to nie może być prawda.

– Wiem, Willow, lecz po rewelacjach mamy zacząłem grzebać w archiwach prasowych. Znalazłem fotografie Kirby’ego Scotta i wypatrzyłem podobieństwo. Nie na tyle ewidentne, żeby mieć całkowitą pewność, ale prawdopodobieństwo jest duże.

– Posłuchaj, Thatcher, nawet jeśli twoja matka mówiła prawdę, nie musimy się tym martwić. Na całe szczęście nie jesteśmy spokrewnieni i to jest najważniejsze. Poza tym moja mama nie odziedziczyła choroby psychicznej. Została zgwałcona i trauma wywołała zaburzenia. Nie ma żadnych dowodów, że problemy psychiczne rodziców, spowodowane czynnikami społecznymi czy środowiskowymi, mogą zostać genetycznie przekazane dzieciom. Cała ta sprawa jest po prostu śmieszna.

– Tak, ale jednak chodzi o skandal i wywołane przez to komplikacje. Gdyby cała historia wyciekła na zewnątrz, mógłbym się pożegnać z karierą.

– No i co z tego? Bez trudności zrobisz karierę w każdym innym mieście.

– Tak? Czy wtedy wyszłabyś za mnie i wyjechała ze mną, zostawiając tu swoją mamę i Lindena?

Chciałam odpowiedzieć, ale zrezygnowałam.

– Rozumiesz, o co mi chodzi, Willow? Sytuacja nie jest prosta, biało-czarna, i nie możemy podejmować pochopnych decyzji.

– Chcesz powiedzieć, że twoja matka mogłaby powiadomić świat o swojej hańbie? – Nie mogłam uwierzyć. – Tylko po to, by uniemożliwić ci związek ze mną?

– Gdybyś zadała mi takie pytanie dwadzieścia lat temu, zaprzeczyłbym z całym przekonaniem, ale obecnie to, co dawniej było wstydlive i problematyczne, staje się pożądanym, dramatycznym ozdobnikiem telewizyjnych show. Każdego dnia ktoś w studiu zdradza swoje rodzinne tajemnice. Wstyd jest jak organ w zaniku, więc nam niepotrzebny. Sądzę, że mama raczej tego nie robi, ale nie mogę ręczyć za siostrę.

– Może to jednak nieprawda. Wymyśliła tę historię, żeby nie dopuścić do naszego związku. Może...

– Tak, Willow. Może. Potrzebuję czasu, żeby sprawdzić, jaka jest prawda. I chciałbym prosić, żebyś starała się być wyrozumiała i cierpliwa. Dla dobra nas wszystkich, nie tylko ciebie i mnie. Po co ryzykować, że pojawią się podejrzenia i zaczną krążyć plotki? Niektórzy z nas mogliby tego nie wytrzymać.

Wiedziałam, że ma na myśli moją mamę i Lindena. Musiałam przyznać mu rację. W tym momencie oni najmniej potrzebowali bagażu kolejnego skandalu, który by ich przygniótł. Poza tym jak zareagowałby Linden na takie wieści? Gardził Thatcherem, więc co by czuł, dowiedziawszy się, że są braćmi?

Jak taka wiadomość podziałałaby na mamę? Raz już doznała zaburzeń psychicznych w wyniku stresu i wylądowała w klinice. Tych dwoje było tak kruchych i nadwrażliwych, że każdy dodatkowy ciężar by ich załamał. Do reszty zniszczyłabym im życie. Czy powinnam zachować się egoistycznie i powiedzieć Thatcherowi, że nic mnie to wszystko nie obchodzi? I na podobieństwo jego matki na pierwszym miejscu stawiać własny spokój i prawo do przyjemności?

– To niesprawiedliwe – mruknęłam. – Z jakiej racji musimy cierpieć

z powodu słabości i niedyskrecji innych?

– Jest wiele prawdy w biblijnych sentencjach... gdzie jest powiedziane, że grzechy rodziców pozostają w głowach ich dzieci – powiedział Thatcher.

Wpatrzył się w rejsowy samolot, unoszący się ponad horyzontem w locie do innego świata, tak odległego od naszej przeszłości.

– Chciałbyś być tam na pokładzie, co?

Uśmiechnął się.

– Owszem, często tak myślę, ale... – przysunął się bliżej – ...musiałabyś lecieć ze mną.

– Może zamiast marzyć, powinniśmy po prostu robić to, czego pragniemy – odparłam.

– A co by wtedy mieli do roboty psychiatry? – zapytał ze śmiechem.

Ja też się roześmiałam i Thatcher objął mnie mocno. Chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Nieważne, jaka jest prawda i jakie jeszcze przeszkody pojawią się na naszej drodze. I tak będziemy razem, Willow – oświadczył z taką mocą i determinacją, że aż zadrżałam. Musnął wargami moje wargi. Zaczęliśmy się całować, zrazu lekko i czule, a potem długo i namiętnie, jakby ten pocałunek miał trwać wieczność. Z moich ust wyrwał się jęk rozkoszy. Thatcher przerwał, muskał wargami moje policzki, a potem wrócił do pocałunku.

Kiedy wreszcie się nasyciliśmy, przyciągnął mnie do piersi. Długo staliśmy tak bez ruchu, wtuleni w siebie. Czułam, jak bije mu serce, i on z pewnością czuł moje.

– Muszę wracać do pracy. – Jego głos brzmiał głucho.

Zobaczyłam, że oczy zaszkliły mu się łzami.

– Dobrze.

– Spotkamy się, gdy tylko skończę. Na razie nic nikomu nie mówmy. W tym czasie postaram się sprawdzić wszystko, abyśmy jak najszybciej mogli się ustosunkować do całej sprawy – obiecał. – I znaleźć rozwiązanie, które nie skrzywdzi nikogo. Zgadzasz się ze mną?

– Tak. – Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiałam, z czym mam się zgodzić.

– Kiedy dzisiaj zobaczyłem cię z tarasu, miałem wrażenie, jakby chmury nagle się rozplynęły i powróciło słońce. Teraz rozumiem, dlaczego nazwano to miejsce Joya del Mar, Klejnot Morza. Dla mnie jesteś tym klejnotem, Willow.

Teraz mnie zaszkliły się oczy. Uśmiechnęłam się przez łzy.

Ruszył w stronę domu, ale po paru krokach zatrzymał się i odwrócił.

– Nadal zamierzasz podjąć kroki prawne, mające doprowadzić do przejęcia przez Grace posiadłości? – spytał.

– Tak. Dzisiaj mamy podpisać papiery u księgowego.

– I jesteś pewna, że działasz dla dobra matki i Lindena?

– Tak – zapewniłam z przekonaniem.

Skinął głową.

– Później porozmawiamy – powiedział i się oddalił.

Kiedy zniknął mi z oczu, odwróciłam się i poszłam dalej wzdłuż plaży. Wrzaski mew, wyłapujących z wody ryby, znów zwróciły moją uwagę ku oceanowi. Przystanąłam i głęboko wciągnęłam w płuca słone powietrze, potem szłam dalej. Nagle coś kazało mi spojrzeć w lewo.

Zrazu nic nie zauważyłam – były tylko niskie wydmy, krzaki oraz rój much, krążący nad czymś w piasku. Po chwili, jakby zmaterializowała się z powietrza, ukazała się postać Lindena, wyzierająca zza krzaka. Siedział na piasku jak Budda, nieruchomy i wpatrzony w ocean.

Nie zrobił ruchu, żeby przyciągnąć moją uwagę, i nie zawołał do mnie.

Od jak dawna tu był?

Czy słyszał coś z naszej rozmowy?

W pierwszym odruchu chciałam go zawołać, podejść do niego, ale zawahałam się. Może lepiej udać, że go nie zauważyłam? Patrzeć na niego, jakby był niewidzialny, tak samo jak on patrzył na mnie?

Przynajmniej na razie, uznałam.

Zawróciłam. W dużym domu nie było już nikogo na tarasie, nie licząc służących, którzy sprząтали po śniadaniu Eatonów oraz ich gości. Spojrzeli w moją stronę, ale zachowali się tak jak powinni – jakby mnie nie zauważyli. Służba w tym domu miała być przezroczysta, wręcz niewidzialna.

A może wszyscy byliśmy niewidzialni.

Tato, pomyślałam, jak bardzo cię teraz potrzebuję! Skoro noszę cię w sercu, muszę dotrzeć do ciebie i posłuchać twoich mądrych rad.

Nic nie przerażało mnie bardziej niż myśl, że ojciec odpływa ode mnie coraz dalej z każdym dniem, godziną, z każdą minutą. Może jest tak, że umarli stopniowo tracą zainteresowanie losem żywych, którzy kiedyś byli im bliscy. Zresztą my też coraz rzadziej odwiedzamy ich groby, prawda? Rodzinne albumy pokrywają się kurzem. Zapominamy głosy tych, których kiedyś kochaliśmy.

A co potem?

Jeśli nie znajdziemy miłości, zostanie nam samotność.
Do tego punktu doszedł Linden.
I moja mama.
I być może ja.

Rozdział drugi

WALKA O DOM

Później tego ranka pojechałam do miasta na spotkanie z Leo Rossem, księgowym mamy. Miał biuro przy Via Encantada, w eleganckim perłowobiałym budynku, przypominającym raczej hiszpańską hacjendę niż siedzibę biznesową. Lśnił w słońcu, jakby został wyłożony macicą perłową.

Wystrój pomieszczeń był bogaty – marmurowa posadzka w poczekalni, stoliki z kremowego marmuru, wykwintne kanapy i fotele oraz reprodukcje portretów słynnych rezydentów Palm Beach pędzla Ralphi Cowana. Nie wiem, czy obrazy miały sugerować, że owi celebryci korzystają z usług Leo Rossa, czy ludzie ich pokroju – ale całość robiła wrażenie.

Z tego, co się orientowałam, kancelaria zatrudniała prawie pół tuzina renomowanych księgowych i zapewne jeden z nich został oddelegowany do naszej sprawy. Zdziwiłam się, kiedy powitał mnie sam Leo Ross. Możliwe, że zadziałał tu autorytet pana Bassingera, mojego prawnika z Karoliny Południowej, który umówił mnie na wizytę. Ross miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, przerzedzone, siwiejące blond włosy, oczy koloru wyblakłych džinsów, a wargi o dziwnym pomarańczowym odcieniu, zdawały się pomalowane. Na moje oko przekroczył już sześćdziesiątkę.

Wyciągnął do mnie miękką, różową dłoń o starannie wypielegnowanych paznokciach i przytrzymał w niej moją, wygłaszając mały pean pochwalny na cześć pana Bassingera.

– Miałem zaszczyt korzystać z jego usług w sprawie jednego z moich klientów – wyjaśnił. – Świat jest mały, prawda?

Zęby koloru kości słoniowej błysnęły w gładkim, zawodowym uśmiechu. Przez głowę przemknęła mi zabawna myśl, że ten człowiek w poprzednim

wcieleniu był porcją lodów waniliowych – chłodnych, orzeźwiających i słodkich.

– O tak, prawda – przyznałam uprzejmie.

Ujął mnie pod łokieć i przez szeroki korytarz poprowadził do swojego gabinetu. Pomieszczenie wyglądało elegancko i nienagannie, jakby w ogóle nie było używane. Na stoliku do kawy, stojącym przed kanapką z miękkiej skóry, i na blacie biurka w prawym rogu stały świeże kwiaty. Ścianę zdobił portret Rossa z pudłem. Rozliczne dyplomy, plakietki i inne dowody uznania od organizacji charytatywnych układały się w kształt litery X na ścianie za wielkim biurkiem z blatem z czarnego marmuru. W kącie stała wytworna skórzana torba z połączanymi kijami golfowymi.

Od razu zauważyłam, że akta Joya del Mar są rozłożone na stoliku do kawy i przysunięto do niego fotel, niewątpliwie przeznaczony dla gospodarza.

– Proszę usiąść – zachęcił Ross, wskazując gestem na kanapę. – Czego się pani napije? Mamy wodę sodową, kawę, herbatę, soki... do wyboru.

– Nie, dziękuję.

Nieco zaskoczony zczekał, aż usiądę, i usadowił się w fotelu. Chwilę przyglądał mi się z szerokim, niedowierzającym uśmiechem, który odbierał mi pewność siebie.

– Spodziewałem się, że Grace przyjdzie z panią – zaczął. – Liczyłem na to, gdyż dawno jej nie widziałem.

– Nie jest jeszcze gotowa – wyjaśniłam oględnie w nadziei, że nie będę musiała opowiadać o stanie Lindena.

– Rozumiem. Wiele ostatnio przeszła; to był dla niej bardzo trudny czas. Cóż, powiem, co jest mi wiadome w tym momencie. Wiem, że posiada pani fundusz powierniczy i może liczyć na dywidendy. I że prosiła pani pana Bassingera, aby zarekomendował mi panią. Mam pokierować pani dochodami tak, aby pokrywały koszty utrzymania Joya del Mar. Z tym nie będzie problemu – zapewnił z firmowym uśmiechem.

– Cieszę się – powiedziałam, ukrywając westchnienie ulgi. Bardzo się bałam, że wzbudziłam w mamie i Lindenie fałszywą nadzieję i nie podołam swojej obietnicy.

– Nie wiem jednak, czy jest pani świadoma istnienia zastawu na tej nieruchomości?

– Zastawu?

Ukłucie strachu przeszło mi pierś niczym uderzenie prądem.

– Zastaw jest legalnym sposobem zabezpieczenia wiarygodności. W ten sposób wierzyciel gwarantuje sobie spłatę należności. W tym konkretnym przypadku trzeci mąż pani babci, Kirby Scott, wziął kredyt na hipotekę i go nie spłacił.

– Och. Co to dokładnie znaczy? – Aż przeszedł mnie dreszcz. Niewiele wiedziałam o mechanizmach finansowych, choć i tak po śmierci taty edukowałam się w przyspieszonym tempie.

– Znaczy, że pani matka nie może sprzedać posiadłości, nie spłaciwszy wcześniej długu, i trzeba szybko zacząć go spłacać.

– O jakiej sumie mówimy? – Wstrzymałam oddech.

Na moment zacisnął powieki – jawny znak, że odpowiedź będzie bolesna.

– Ćwierć miliona dolarów. I oczywiście odsetki, co jeszcze komplikuje sprawę.

– Co on zrobił z takimi pieniędzmi? – zapytałam, zastanawiając się, czy da się cokolwiek odzyskać.

– Możemy się tylko domyślać. Najprawdopodobniej przepuścił wszystko w Vegas czy w Monte Carlo. Przykro mi, że mam dla pani niedobre wieści.

– Moja mama wie o tym?

– Wysyłam jej regularnie sprawozdania finansowe, ale nigdy o tych sprawach nie rozmawialiśmy.

– Jeśli spłacę dług, zostanie nam jeszcze coś na życie?

Uśmiechnął się. Najwidoczniej zadałam właściwe pytanie.

– Owszem, ale bez tej całej armii służby. Nie rezygnowałbym z ogrodnika, ale resztę – pokojówki, lokaja, kucharza i kierowcę – radziłbym odprawić.

– Rozumiem.

– Kiedy skończą się dochody z wynajmu, będziecie musiały racjonalnie gospodarować pieniędzmi, dopóki Grace nie sprzeda posiadłości. Ja w tym czasie, prowadząc wasze rachunki, postaram się wygenerować jak najwięcej zysku bez zbędnego ryzyka. Przypuszczam, że niedługo podejmie pani studia, prawda?

– Tak.

Odchylił się na oparcie fotela i wyglądał teraz jak wujek niezbyt zadowolony z siostrzenicy.

– Warto by było trzymać z Eatonami – odezwał się po chwili. – Mógłbym coś z nimi wynegocjować.

– Nie – ucięłam stanowczo.

– Dom jest bardzo duży, zbyt duży dla pani, Grace i Lindena – powiedział z naciskiem. – Muszę rozmawiać z panią szczerze, jeśli mam być uczciwy wobec pani i pana Bassingera.

– Dla Eatonów jest tym bardziej za duży.

– Owszem, ale ich stać na wynajem i stado służby.

– Wolałabym, żeby przejął nas bank – odparłam cierpko.

Wzruszył ramionami.

– Gdyby doszło do zajęcia nieruchomości, Eatonowie, nie mówiąc o dziesiątkach innych rodzin, rzuciliby się, aby kupić posiadłość po okazyjnej cenie. Okazyjnej, bo nie bylibyście w stanie jej utrzymać na odpowiednim poziomie.

– Sępy ze złotymi dziobami – mruknęłam ze złością. Popatrzył na mnie zaskoczony, ale za moment jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie słyszałem, aby dotąd zachowywali się w ten sposób, ale... – Zawiesił głos. Nie ma nic bardziej ukrytego niż niewypowiedziana myśl.

Odchyliłam się na oparcie kanapy i chwilę zastanawiałam się nad tym, co mi powiedział.

– Był pan księgowym rodziny Montgomerych, prawda?

– Owszem. Całe lata prowadziłem księgowość Winstona Montgomery’ego, aż do jego śmierci. Byłem też na jego ślubie z Jackie Lee Houston. Jako jeden z wybranego grona jego biznesowych współpracowników – oznajmił z dumą.

– Musiał pan zatem znać osobiście Kirby’ego Scotta.

Kiwnął głową.

– Jednak nie chlubię się tą znajomością – zaznaczył. – Przeciwnie. Siedziałem za tym biurkiem i musiałem patrzeć, jak Kirby przejada – a raczej pożera – majątek Winstona Montgomery’ego. Próbowałem ostrzec Jackie Lee, lecz Scott miał na nią hipnotyczny wpływ i nie potrafiła się zdobyć na inicjatywę ochrony siebie i córki, przynajmniej do czasu, kiedy urodził się Linden. Ale wtedy było za późno. Hipoteka posiadłości już została obciążona. Trzeba przyznać, że Kirby Scott to mistrz, staromodny drań wysokiej klasy.

– Staromodny?

– Był przystojny i czarujący jak większość mężczyzn z Palm Beach, a nawet bardziej. Uwodzicielski oszust w smokingu. Jackie Lee Houston Montgomery nie była pierwszą ofiarą jego zniewalającego uśmiechu i bajecznych obietnic. I pewnie nie ostatnią.

– Widzę, że towarzyskie plotki krążą tak samo w biurach, jak i na salonach

Palm Beach – zauważyłam, ciekawa dalszych informacji.

– Nie tyle w biurach, ile w lokalach i innych miejscach, gdzie wszyscy stale się spotykamy. Tu się trzeba pokazywać – dodał szybko. – Plotki i posądzania w świecie bogatych elit są tak samo podłe jak wszędzie, choć u nas rodzą się w blasku brylantów i są podlane szampanem.

– Czy jeszcze jakieś rodziny w Palm Beach ucierpiały przez Kirby’ego Scotta? – spytałam.

Przyglądał mi się chwilę, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma mi powiedzieć prawdę, czy nie.

– Jak już mówiłem, jestem pewien, że są inne ofiary, ale nie znam żadnych szczegółów. Jeśli lubi pani tego typu plotki, znalazła się pani we właściwym miejscu kraju.

– Tego typu plotki są w każdym miejscu kraju – odparowałam. – Wie pan, co się teraz dzieje z Kirbyem Scottem?

Wzruszył ramionami.

– Co nieco słyszałem. Jeden z moich klientów twierdził, że w zeszłym roku widział go w hotelu George V w Paryżu w towarzystwie kobiety uwieszanej u jego ramienia. Była tak okutana w futra, iż mój klient pomyślał, że widzi handlarza futer z Alaski. Do tego błyszczała od brylantów, które miała na szyi, w uszach i na palcach. – Pokręcił głową. – Zdumiewające, jak temu człowiekowi udaje się łowić coraz to nowe ofiary. Gdyby zrobił właściwy użytek ze swoich talentów, byłby dzisiaj szanowanym prezesem wielkiej korporacji.

– I jest nim – odparłam. – Kirby Corporation.

Pan Ross roześmiał się.

– W tamtym czasie mało kto nie zapraszał go do siebie na kolacje czy imprezy. Ba, o ile sobie przypominam, bywał także u Eatonów. Kiedy dzisiaj o tym myślę, nabieram pewności, że to Kirby natchnął Ashera i Bunny myślą o wynajęciu Joya del Mar od Montgomerych. Chyba miał wyrzuty sumienia.

Wiedząc, że wkrótce doprowadzi Montgomerych do bankructwa, usiłował przynajmniej doprowadzić do wynajęcia posiadłości, żeby nie zostali wyeksmitowani. To tak, jakby ktoś cię pobił i obrabował, a potem zawiózł do szpitala.

– Wątpię, czy on posiada jakiegokolwiek sumienie – stwierdziłam. – Pewnie chciał, żeby był ruch w interesie, na którym mógłby skorzystać.

– Możliwe. – Ross w zamyśleniu kiwnął głową i zastanawiał się, zanim

podjął rozmowę. – Proszę, tutaj są dla pani dokumenty do przejrzenia i podpisania. – Podniósł się z fotela. – Muszę sprawdzić jedną rzecz, a potem odpowiem na wszystkie pani pytania.

– Dziękuję. – Sięgnęłam po dokumenty i zaczęłam je czytać.

Kiedy wrócił, miałam parę pytań o niektóre inwestycje. Wreszcie podziękowałam panu Rossowi i wyszłam. Zanim wróciłam do Joya del Mar, postanowiłam kupić sobie parę kosmetyków u Saksy. Potrzebowałam także tego, co Amou zwykła była nazywać *luz do sol*, kawałkiem słońca – czegoś ładnego, co wniosłoby radość i jasność do tego szarego dnia. Moja mama zapewne od lat nie była na zakupach i ciągle używała ubrań, biżuterii i innych rzeczy, odziedziczonych po swojej matce. Twierdziła, że i tego nie potrzebuje, bo nigdzie nie chodzi. A przecież nawet mój tata, który gardził romantycznymi wzlotami, mawiał, że kobieta jest bardziej jak ogród niż jak człowiek.

„Kobieta potrzebuje świeżych kwiatów, troskliwej opieki i pielęgnacji. Nowa biżuteria, bukiet róż czy bombonierka sprawiają, że twarz kobiety promienieje, a jej blask rozjaśnia świat, nie tylko dla niej, ale i dla wszystkich wokół niej” – powiedział mi kiedyś.

Mama uwielbiała szale, i postanowiłam kupić jej pashminę. W sklepie ekspedientka poprosiła mnie o adres.

– Abyśmy mogli przesyłać pani katalogi i próbki naszych nowości – wyjaśniła.

Nie widziałam powodu, aby nie zdradzać adresu, więc spełniłam prośbę. Dwie kobiety, które razem weszły do sklepu, stały nieopodal i kiedy podałam adres Joya del Mar, nastawiły uszu, a potem podeszły do mnie z uśmiechem.

– Przepraszam, ale przypadkiem usłyszałam adres – powiedziała ta wyższa. Miała skórzany kostium z futrzanym kołnierzem i brylantowe kolczyki. – Czy mieszkasz u Eatonów? Jesteśmy przyjaciółkami Bunny – dodała szybko.

– Nie, mieszkam z moją matką i bratem, Grace i Lindenem Montgomerymi – odpowiedziałam z uśmiechem.

Odsunęły się, jakbym zionęła na nie zatrutym oddechem.

– Och – powiedziała wyższa. – Jesteś tą zaginioną córką.

Młodsza, w szarej garsonce, wpatrywała się we mnie z jawną niechęcią. Miała kruczoczarne, kręcone włosy i krępa sylwetkę, prawie bez szyi.

– Tak się składa, że pracuję jako praktykantka w kancelarii Mangle, Orseck i Lapolt – wycedziła grubymi wargami – i mogę ci powiedzieć, że namawianie tej kobiety do niesprzedania posiadłości Eatonom jest nie tylko głupie, ale po

prostu podłe i żałosne.

– „Ta kobieta”, jak ją nazywasz, jest moją matką. Ma imię i nazwisko oraz więcej inteligencji i wrażliwości w jednym małym palcu niż wy w całych swoich ciałach – odparowałam.

Obróciły się i wściekle wymaszerowały ze sklepu. Kiedy znów zwróciłam się do sprzedawczynie, gapiła się na mnie z ustami tak rozdziawionymi, że widać jej było migdałki.

– Jeszcze coś potrzeba? – warknęłam i to ją otrzeźwiło. Szybko zajęła się moimi zakupami.

Serce wciąż mi waliło, kiedy wyszłam z domu towarowego. Ludzie potrafią być okrutni, myślałam. Jak trudne musiało być przez te wszystkie lata życie mojej mamy. Teraz dopiero zrozumiałam, czemu wybrała życie pustelnicze. Szłam, mijając ekskluzywne sklepy i galerie, aż nagle coś przyciągnęło moją uwagę.

Za szybą niewielkiej kawiarni zobaczyłam Thatchera. Siedział przy stoliku z atrakcyjną ciemnowłosą, elegancko ubraną kobietą w modnych okularach przeciwsłonecznych. Najpierw pomyślałam, że jest jego klientką, ale trzymał ją za rękę i tak intensywnie się w nią wpatrywał, że wyglądali jak para zakochanych. Ten widok na moment odebrał mi oddech; krew odpłynęła mi z twarzy. Po chwili Thatcher cofnął rękę, odchylił się na oparcie krzesła i sięgnął po swojego drinka. Jego spojrzenie powędrowało ku oknu i było jasne, że mnie dostrzegł. Znieruchomiał na ułamek sekundy, ale zaraz znów zwrócił się ku swojej towarzyszce, jakby w ogóle mnie nie widział.

Już drugi mężczyzna traktuje mnie, jak gdybym była niewidzialna, pomyślałam gorzko i szybkim, gniewnym krokiem ruszyłam w stronę samochodu. Wrzuciłam do środka zakupy i pojechałam do domu.

Tak jak się spodziewałam, uśmiech mamy był promienny, pełen słońca, kiedy wręczyłam jej prezent. Jednak za moment, jakby uświadomiła sobie, że nadużyła cierpliwości swojego anioła stróża, ukryła radość i stwierdziła, że niepotrzebnie wydałam pieniądze, bo i tak bardzo dużo robię dla niej i dla Lindena.

– Nie musisz mi kupować prezentów, Willow.

– Nie muszę, mam, ale chcę.

Wpatrywała się skrycie w kaszmirowy szal, rozdarta pomiędzy zachwytem a poczuciem winy.

– Nie bój się być szczęśliwa, mamó – powiedziałam. Miałam wrażenie, jakbym wcelowała strzałką w sam środek tarczy. Mama zerknęła na mnie szybko, a jej mina potwierdziła moje przypuszczenia. Niemal słyszałam łomot jej serca. Bycie sobą potrafi boleć, zwłaszcza jeśli jest to głęboko skrywany sekret.

– Willow, za każdym razem, kiedy pozwalam sobie na radość z czegoś, nie mogę się oprzeć myśli, że jestem małą dziewczynką, która nadmucha balon na swoich urodzinach z takim zapałem, że balon pęka z hukiem – wyznała.

– Już nie musisz tak myśleć, mamó. Możemy nadmuchać tyle balonów, ile chcemy. Udekorujemy nimi całą posiadłość.

Uśmiech powrócił na jej twarz. Zarzuciła szal na ramiona i obejrzała się w lustrze. Nagle uśmiech zniknął tak szybko, jak się pojawił, i zastąpił go ponury, udręczony wyraz.

– Co się stało? Nie podoba ci się?

– Ależ skąd, Willow, jest piękny. Naprawdę. Tylko... po prostu szkoda go dla mnie... To jakbyś wprawiła nowe okno do walącej się rudery. Popatrz na te moje matowe, posiwiałe włosy z rozdwijającymi się końcówkami, na tę bladą, wręcz chorobliwą cerę. I żałosne stare ciuchy, które noszę...

Podsunęła mi dłonie pod oczy.

– Paznokcie mam jak mechanik w warsztacie. Widzisz? Dlatego nienawidzę luster. Za bardzo przypominają mi, czym się stałam – mówiła z goryczą, ściągając szal z ramion. – Po co mam się dręczyć?

– Nie musisz się dręczyć – rzuciłam ostro i chwyciłam ją za rękę. Piękny szal zawisł na prawym ramieniu. – Niech to będzie początek twojej odnowy, mamó. – Magicznej przemiany, pomyślałam z nadzieją i udrapowałam na nowo szal na ramionach.

W tym momencie, zamiast żarówki, symbolizującej nowy pomysł, rozjarzyła mi się w głowie cała święteczna iluminacja.

– Wiem, co zrobimy – powiedziałam zdecydowanie. – Jeszcze w tym tygodniu zabiorę cię do spa. Zafundujemy sobie wszystko, co mają w ofercie – masaż twarzy, okłady, kąpiele błotne i parafinowe, manikiur, pedikiur i co jeszcze sobie wymarzymy, łącznie z fryzjerem, który wyczaruje cuda na twojej głowie.

Mama już chciała odrzucić pomysł, jakby usłyszała herezję, która tylko sprowadzi na nią nowe klątwy i nieszczęścia.

– Czemu nie, mamó? Dlaczego nie mamy zaszaleć w stylu elity Palm Beach?

Cofnęła się o krok, kręciła głową, choć jej oczy zdradzały, jak bardzo tego pragnie.

– Nie mogę... Nawet bym nie potrafiła...

– Pójdziemy tam razem. Ja też muszę zrobić porządek ze swoimi włosami, a zresztą dawno nie robiłam nic miłego dla siebie. Popatrz tylko na mnie. – Podeszłam do lustra i przegarnęłam włosy palcami. – To nie kaprys. Muszę coś ze sobą zrobić, skoro mam stawić czoło tym wrednym babom z Palm Beach, nie uważasz? A ty musisz mi pomóc – dodałam w nadziei, że poczuje rodzinną solidarność.

Moja przemowa nie poszła na marne, bo jej spojrzenie złagodniało, a w oczach zamiast strachu pojawił się błysk.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zafundowałam sobie taki luksus – przyznała. – Chyba w klinice, ale po tym, gdy twój ojciec i ja... – Urwała, jakby powiedziała za dużo. – To był element naszej terapii... Pozwolono kosmetyczkom wolontariuszkom działać w klinice, aby pomogły nam w podniesieniu samooceny. To było fajne, ale kiedy wróciłam do domu, nie widziałam już sensu w dalszym dbaniu o siebie.

– Ale teraz znów widzisz sens – podchwyciłam. – Niedługo wprowadzimy się do dużego domu. Będziemy przyjmować ludzi, urządzać przyjęcia. Wróci dobra przeszłość, którą jeszcze pamiętasz, mamo.

– Tak uważasz? Myślisz, że mogę mieć nadzieję? – Patrzyła z niedowierzaniem.

– A czemu nie? – zirytowałam się. – Tylko Eatonowie mają tu prawo do szczęścia? Zasłużyli na nie bardziej niż ty?

– Oni nie muszą żyć w mroku – odpowiedziała smutno. – W mroku odziedziczonym po swojej rodzinie i w mroku, w który sami się wpędzili.

– Skąd ta pewność? Każdy, a zwłaszcza człowiek stąd, ma swoją szafę pełną szkieletów, mamo – powiedziałam, przypomniawszy sobie rozmowę z Thatcherem. – Choć są bajecznie bogaci i wytwornie ubrani, muszą przecież stanąć przed lustrem, aby zetrzeć makijaż, zdjąć biżuterię i peruki. Kiedy zostają nadzy, widzą zmarszczki swoich grzechów i przed zaśnięciem muszą się napić, łyknąć te swoje pigułki albo zapłacić innym za stworzenie dla nich świata z bajki, by mogli zignorować ten realny, czy zapomnieć o nim. Właśnie dlatego tak się ciebie boją.

– Oni się mnie boją? – Mama się roześmiała.

– Oczywiście – zapewniłam z takim przekonaniem, że uśmiech zniknął jej

z twarzy. – Jesteś jak zwierciadło, odbijasz przed ich oczami prawdę, której woleliby nie znać. W głębi serca zdają sobie sprawę, że są tak samo wrażliwi jak ty i że ich krucha równowaga może się rozprysnąć w jednym momencie, jak ich drogocenna porcelana.

– Nigdy nie myślałam o nich w ten sposób, Willow.

– W takim razie pomyśl teraz, a od razu poczujesz się silna i piękna – taka, jaka naprawdę jesteś.

Przyglądała mi się chwilę, zanim skinęła głową.

– Masz wiele ze swojego ojca. Często mówił mi, co powinnam zrobić i co powinnam w sobie zmienić, a w jego słowach było słycać skrywaną niecierpliwość i gniew. Nienawidził mojej choroby jeszcze bardziej niż ja i usiłował mnie skłonić, abym myślała o niej jako o czymś zewnętrznym; o czymś, czemu mogę stawić czoło i wygrać.

– W takim razie nie ustawaj w wysiłkach – zachęcałam.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się. – Dobrze, Willow De Beers, córko doktora. Nie ustane.

Obie się śmiałyśmy.

– Masz może jakieś sugestie co do salonu piękności? – spytałam.

– Skądże, w ogóle nie wiem, od czego zacząć.

– Jasne. W takim razie zorientuję się, który będzie najlepszy, i zamówię wizytę – obiecałam.

Zostawiłam mamę przed lustrem. Drapowała sobie na różne sposoby szal na ramionach, robiąc to, co każda kobieta w podobnej sytuacji – wyobrażała sobie, że jest coraz piękniejsza. Poczułam się jak kapłanka Wicca; jak dobra wiedźma, wspomagająca swoje siostrzyce magią.

Niestety, moje moce nie wystarczyły do zaczarowania Lindena.

Zastałam go siedzącego przy oknie w pokoju, gdzie urządził sobie pracownię; zauważyłam go w ostatniej chwili, gdyż był nieruchomy jak manekin. Spoglądał w stronę plaży i oceanu. Drzwi pracowni były otwarte, więc skorzystałam z okazji i obrzuciłam spojrzeniem wewnątrz. Niedokończone obrazy zakrył płótnami, a te już gotowe, spiętrzone na stosie stały oparte o ścianę. Pędzle i farby zostały schowane. Na sztaludze w najdalszym kącie obraz okryty płótnem czekał niczym posłuszny sługa, lecz polecenia nie nadchodziły.

Zapukałam do drzwi. Muszę podjąć wyzwanie, pomyślałam; zmusić go, żeby porozmawiał ze mną i wysłuchał mnie. Musiałam to jednak zrobić z należytą

delikatnością.

– Cześć, Linden. Nie przeszkadzam?

Nawet nie drgnął.

– A więc tutaj powstają twoje dzieła. Ładny pokój, ale wkrótce będziesz miał dużo większe i lepsze pomieszczenie do pracy. Prawdziwą pracownię, Linden.

Ciaśniej wtulił głowę w ramiona. Podeszłam bliżej i stanęłam przy nim.

– Ładny dzień dzisiaj – ciągnęłam. – Nie jest zbyt gorąco ani parno i wieje lekka bryza. Powinieneś wyjść z domu i popłynąć na ryby, aby poszukać natchnienia, jak mi kiedyś mówiłeś.

To była nasza pierwsza rozmowa i wówczas Linden chętnie opowiadał mi o sobie. Powiedział, że jest jak rybak, który zarzuca swoją twórczą wędkę i czeka, aż złowi wizję, inspirację, którą wciągnie do swojego umysłu.

Z wolna obrócił się ku mnie – tak wolno, że moje serce zaczęło bić mocniej w oczekiwaniu.

– Nie mogę wyjść z domu, bo oni tam szepczą – powiedział i znów wpatrywał się w ocean.

– Co? Co ty mówisz, Linden? – Podeszłam jeszcze bliżej. – Kto szpecze? O kim mówisz?

Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem, spodziewając się, że zobaczę kogoś na plaży, ale nikogo tam nie było.

– Nikogo tam nie ma, Linden. I nikt nie szpecze. – Pomyślałam, że ma na myśli Eatonów. – Poza tym nie mają prawa szeptać o tobie czy o kimkolwiek innym.

– Nie mają. Ale szepczą.

Przysunęłam sobie taboret i usiadłam. Tyle osiągnęłam, że raczył ze mną rozmawiać, nawet jeśli mówił od rzeczy. Jego spojrzenie było uważne, skupione na czymś, co w swoim pojęciu widział na plaży.

– O czym oni szepczą, Linden? Czemu się tym przejmujesz?

– Są źli. Są źli na mnie.

– Dlaczego? – zapytałam, ale on milczał. – Za co są na ciebie źli? I jakim prawem?

Znów obrócił się ku mnie powoli i sztywno jak robot. Spojrzenie miał mroczne, zmęczone. Patrzył na mnie, ale jakby mnie nie widział. Miałam wrażenie, że mówię do ducha albo do cienia.

– Bo malowałem ich na swoich obrazach. A oni nie chcieli być widziani.

Nie chcieli, żeby ktokolwiek się o nich dowiedział.

Momentalnie uświadomiłam sobie, że nie chodzi mu o Eatonów ani żadnych żyjących ludzi, i przeszedł mnie dreszcz.

– To głupie, Linden. Powinni być szczęśliwi, że artysta uwiecznił ich na obrazach. Twoje dzieła są niezwykle, intrygujące. Przecież wystawiasz je w galeriach, prawda?

Oczy rozszerzyły mu się gwałtownie. Chwycił mnie za rękę i ścisnął tak mocno, że się skrzywiłam.

– Galerie! Na śmierć zapomniałem. Musimy je stamtąd wyciągnąć. Pomożesz mi, dobrze?

– Dlaczego?

– Musimy je stamtąd wyciągnąć. Oni nie przestaną, dopóki obrazy do mnie nie wrócą.

Żyły wystąpiły mu na czoło i napięły się mięśnie karku, co świadczyło, jak bardzo jest poruszony i przejęty. Kurczowo ścisnął moją rękę.

– Dobrze, Linden, dobrze. Wycofamy obrazy, jeśli sobie tego życzysz.

– Obiecuj – zażądał. – Obiecuj mi.

– Obiecuję. Pojedziemy po nie jutro, dobrze?

– Tak. – Uścisk zelżał i napięte ramiona Lindena opadły. – Tak, jutro. Zrobimy to jutro. Jutro – powtarzał, patrząc w dal, jakby powiadamiał o tym duchy na plaży.

To było dziwne i zarazem przerażające. Linden zdawał się przekonany, że nadużył zaufania, malując coś lub kogoś, kogo widział na plaży. Biedak, pomyślałam. Czy kiedykolwiek pozbędzie się tego wszystkiego, co mroczy jego wzrok i serce, zaciemnia myśli? Ciągłe nie mógł się otrząsnąć po upadku i wpadał z jednego tunelu grozy w drugi.

Miałam nadzieję, że do jutra zapomni o swojej obsesji. Po nocy wstanie nowy dzień i blask słońca przegoni koszmary. Obserwowałam go chwilę. Twarz miał nieruchomą i prawie nie mrugał, za to jego wargi poruszały się niedostrzegalnie, jakby pilnie nasłuchiwał głosów i odpowiadał im.

– Masz ochotę się czegoś napić albo coś zjeść, Linden? – zagadnęłam.

Nie odpowiedział; nawet nie pokręcił głową.

– Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Postaraj się wyjść na spacer. Z chęcią będę ci towarzyszyć, oczywiście jeśli zechcesz, dobrze?

Nie dał najmniejszego znaku, że słyszał, co mówię.

Powoli wstałam, odstawiłam stółek i jeszcze chwilę obserwowałam go,

zanim ruszyłam do wyjścia. Przystanąłam na moment, żeby przyjrzeć się bliżej obrazom leżącym na stosie. Wszystkie były odwrócone tyłem do mnie. Coś przyciągnęło moją uwagę, jakaś szrama na płótnie. Zerknęłam na Lindena, ale trwał zapatrzony w dal. Przyklęłam i odchyliłam górny obraz ze sterty.

Widok mnie poraził.

Płótno było rozplątane na kształt litery X. Podobnie następne i następne. Wszystkie zostały pocięte!

Szybko wstałam i uchyliłam zasłonę na stojącej w pobliżu sztaludze. Ten obraz został pochlastany w jeszcze większej furii. Pochyliłam się nad płótnami opartymi o ścianę. Wyglądały podobnie.

– Och, Linden, dlaczego to zrobiłeś? Zniszczyłeś swój dorobek! – zawołałam z rozpaczą.

Odwrócił się i zobaczył mnie z pociętym obrazem w rękach.

– Dlaczego to zrobiłeś, Linden?

– Żeby przestali mi tu szeptać – odpowiedział takim tonem, jakbym była dzieckiem zadającym głupie pytania. I znów odwrócił się do okna.

– Aby przestali szeptać – zanucił.

Wyprostowałam się z wolna, porażona widokiem tej koszarnej destrukcji, a potem wyszłam stamtąd z ciężkim sercem, wiedząc, że muszę powiedzieć o tym mamie i przyćmić w jej oczach blask iskierek, które sama wznieciłam.

Weszłyśmy do pracowni. Mama na widok tego, co zobaczyła, zalała się łzami. Linden spojrzął na nią, wstał i powłóczęc nogami, minął nas, kiedy usiłowałam ją uspokoić.

– Linden! – zawołała za nim. Nie obejrzał się. Wszedł do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi. – Co my teraz zrobimy? – jęknęła z rozpaczą. – Thatcher miał rację, on powinien być w klinice. Kto wie, co jeszcze wymyśli?

– Nie, nie, Thatcher nie miał racji, mammo. Teraz ja tu jestem i razem pomożemy Lindenowi. Nie musimy go nigdzie odsyłać – oświadczyłam z naciskiem.

– Ale... Willow, on może potrzebować czegoś więcej niż nasza, nawet najlepsza opieka. Konieczne mogą być leki i terapia.

– Możliwe, ale dajmy mu jeszcze trochę czasu. Kiedy odzyskamy już duży dom i Linden zobaczy, jak zmieniło się nasze życie, jest szansa, że jego stan się

polepszy, nie uważasz? Liczę, że wróci do życia.

– Nie wiem – powiedziała przez łzy, ocierając oczy. – W moim świecie nie ma nic pewnego poza jednym: kiedy myślę, że już nic gorszego nie może się wydarzyć, zawsze wydarzy się coś gorszego.

Już chciałam ją pocieszyć, kiedy zadzwonił telefon. Mama wciągnęła głęboko powietrze i odebrała, po czym dała mi znak, żebym przejęła słuchawkę. Myślałam, że dzwoni pan Bassinger albo pan Ross, ale to był Thatcher.

– Jak tam u ciebie? – zapytał.

– W porządku.

– Wystarczy, że powiesz jedno słowo, a już wiem, że jesteś wściekła. Przepraszam, że nie przywitałem się dziś wcześniej z tobą.

– Uhm.

– Kobieta, z którą tam byłem, jest moją klientką. Zaczęła właśnie bardzo niemiłą sprawę rozwodową. Usiłowałem ją uspokoić, kiedy nagle pojawiłaś się za oknem. Byłem tak zaskoczony, że nawet twój widok przypisałem swojej wyobraźni. W samym środku tego ludzkiego nieszczęścia objawiłaś mi się jak anioł.

– Mógłbyś chociaż skinąć mi głową – powiedziałam z pretensją.

– Zrozum, Willow, nie mogłem zdawkowo powitać cię skinieniem głowy, a potem się odwrócić, jakbyś była jedną z wielu osób, jakie spotykałem w życiu, jedną z wielu twarzy i imion. Wolałem udać, że cię nie zauważyłem, niż skazać na cierpienie ciebie i siebie.

– Thatcherze Eaton, powinieneś napisać *Splecione serca* albo inną operę mydlaną, zamiast tworzyć te nudne prawnicze dokumenty – rzuciłam i usłyszałam chichot w słuchawce.

– Masz rację. Wyzwoliłaś we mnie romantyka. Cóż mogę powiedzieć? Dobra kobieta czyni mężczyznę lepszym.

– Będę ci o tym przypominać.

– Mam nadzieję, że bezustannie. Możemy się spotkać dzisiaj wieczorem?

– Nie wiem. A po co?

– Wiesz, o co mi chodzi, Willow. Czy możemy się spotkać, powiedzmy... o siódmej? Jest takie dyskretne miejsce, gdzie zjemy kolację, a potem...

– Co potem?

– Przyjaciel zostawił mi klucze do swojego domu na plaży. W tej chwili jest w Europie i zostanie tam na miesiąc czy nawet dłużej. Może to być miejsce

naszych tajnych randek. Dorobię dla ciebie klucz. Stworzymy tam sobie nasz prywatny świat, do którego będziemy wchodzić jak do rajów, zostawiając na progu cały obłęd rzeczywistości – ciągnął w natchnieniu, coraz bardziej rozmarzony.

– Zupełnie jakbyśmy byli parą szpiegów czy zbiegów – skomentowałam.

– Tylko parą kochanków – odparł. – I jak?

– Dobrze. Jedna połowa mnie jest przeciw, ale...

– Serce mówi „tak”?

– Mówi: „być może”. – Jeszcze próbowałam bronić się przed jego czarem.

Roześmiał się.

– Będą świece, muzyka, twoja ulubiona pasta i wino. Restauracja nazywa się U Diany. Lokal jest niewielkim, uroczym rodzinnym przedsięwzięciem i znajduje się na północ od Palm Beach Gardens. Nie sposób go przeoczyć, bo stoi przy drodze i ma prosty neon nad wejściem. Dom mojego przyjaciela znajduje się o kwadrans drogi od niego. Przyjedź tam o siódmej.

– Dobrze. – Straciłam do reszty zdolność oporu.

– A co w domu?

– Kiepsko, Thatcher. Lindenowi się nie polepsza. Martwię się o niego i o mamę.

– Linden musi się leczyć, Willow. Odraczanie tej decyzji tylko pogorszy sprawę.

– Chyba na tym się skończy – mruknęłam.

– Pewnie tak, ale nie ma co ukrywać, że leczenie będzie drogie i niekoniecznie może mieć dobre skutki dla kogoś takiego jak Linden – ostrzegł. – Pomogę wam, jeśli zajdzie potrzeba – dodał.

– Zobaczymy, co będzie. – Jeszcze się łudziłam, że potrafię magicznie uzdrowić go sama.

– Nie myślmy o tym dzisiaj wieczorem, dobrze? – poprosił. – Nam też coś się należy od życia, prawda?

– Masz rację – odparłam bez entuzjazmu.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział i odłożył słuchawkę.

Znalazłam mamę na tarasie. Siedziała w fotelu, wpatrzona w ocean. Przyniosłam sobie krzesło i usiadłam obok. Milczaliśmy dłuższą chwilę.

– Czy ty i Thatcher się spotykacie? – spytała.

– Można tak powiedzieć. – Mama spojrzała na mnie uważnie. – Ostatnio spotykamy się nieoficjalnie – uściśliłam. – Sprawy się skomplikowały, wiesz,

chodzi o jego rodziców. Dlatego Thatcher nalega na dyskrecję. Tajne randki, rozumiesz?

– Och?

– Tak, ale to nic poważnego – zapewniłam. Dotarło do mnie, że powiedziałam za dużo. Nie powinnam nakładać jej na barki kolejnego ciężaru.

– Zobaczymy, co będzie dalej.

– Mam nadzieję, że ci się powiedzie, Willow. Wierzę, że twój przyjazd tutaj nie okaże się wielkim życiowym błędem; że mój pech i moja mroczna karma nie zarażą cię jakimś nieszczęściem, jak grypą.

– Och, mam, pewno, że nie. Nie mów tak!

– Moja mama, a twoja babcia Jackie Lee Houston uważała, że nasze życia są częścią jakiegoś wielkiego planu, gdzie zapisane jest wszystko, co ma się wydarzyć, i nie mamy na to wpływu. Myślę, że w taki sposób próbowała przejść do porządku dziennego nad coraz to bardziej bolesnymi i smutnymi kolejami swojego życia. Być może spodziewała się, że moje będzie wyglądać podobnie, i podsuwała mi tę filozofię przetrwania. Tylko czasami się zastanawiam, w imię czego mam wytrwać. Na co mam czekać?

– Na coś lepszego, mam.

– Tak, na coś lepszego. Marzenie o żeglarzu. – Popatrzyła na horyzont. – O żeglarzu, który pewnego dnia przyplynie po mnie. Twój ojciec miał zabrać mnie stąd i wywieźć daleko, daleko od wszystkich trosk.

– Ja też w to wierzę, mam.

Uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście, w pewien sposób się pojawił. Przysłał ciebie.

– Właśnie – przytaknęłam, wdzięczna za światło w jej oczach, za cień uśmiechu, który zagrał na jej wargach.

– Dla niektórych z nas nadzieja jest niemal grzechem – dodała gorzko.

Szybko chwyciłam ją za rękę.

– W takim razie pójdziemy razem do piekła, mam.

Teraz już się śmiała.

– Chodź – zachęciłam, pomagając jej wstać. – Przejrzyjmy parę magazynów i wybierzmy dla ciebie modną fryzurę. A jutro umówię cię na wizytę.

– Tak szybko?

– A na co masz czekać? Wahanie dodaje całej sprawie zbytej powagi.

– Bo sprawa jest poważna. Dla mnie – powiedziała cicho.

Podniosła się lekko, niedostrzegalnie, jakby była zrobiona z eterycznej

materii, i pozwoliła się prowadzić jak balon na nici, tak samo lekki, a jednocześnie ulotny i bezbronny wobec porywów silnego, sztormowego wiatru.

Rozdział trzeci

NOWE POCZĄTKI

Thatcher nie mógł wybrać bardziej dyskretnego miejsca. Dwa razy je minęłam i musiałam zawracać. Jechałam wolniutko, zanim wreszcie wypatrzyłam swój cel. Żeby zauważyć neon, o którym mówił, trzeba było wjechać na podjazd do budynku, wcześniej nie rzucał się w oczy. Sama restauracja wyglądała jak zwykły dom z niewielkim gankiem. Deski sidingu, którym był obłożony, wytrawione przez lata słonym morskim powietrzem, miały charakterystyczny szary odcień drewna starych żaglowców. Zobaczyłam rolls-royce'a Thatchera zaparkowanego w mroku drzew z prawej strony. Dyskretnie, aby nie dostrzegły go niepowołane oczy.

Stałam na niewielkim parkingu, gdzie znajdowało się już pół tuzina innych aut, i weszłam do środka. W krótkim korytarzu za drzwiami, po prawej stronie znajdowała się lada z czarnego dębu. Oświetlenie było dyskretne – tylko mała lampa na biurku i kinkiety sączące słabe żółte światło; wystarczyło, aby dostrzec wieszak i dużą mapę Italii. Przytłumiony gwar rozmów dobiegał z pomieszczenia po lewej, ale zanim zrobiłam krok w tamtą stronę, z drzwi po prawej wyłoniła się niska posiwiata dama w czarnej sukni z kameą i stanęła za ladą. Miała pucołowatą twarz w stylu świętego Mikołaja o rumianych policzkach i oczach jak czarne perły.

– *Buona sera* – powiedziała. – Witamy w Dianie. Czy ma pani rezerwację?

– Mam się tutaj spotkać z kimś, kto powinien mieć rezerwację – odparłam. – Chodzi o pana Eatona.

– Ach, tak, naturalnie. Pan Eaton już jest. Proszę za mną. – Wyszła zza lady, zapraszając mnie gestem.

Poprowadziła mnie na prawo, ale zdążyłam zerknąć do sali po lewej

i zobaczyłam tam z pół tuzina stolików. Wszystkie zajęte. W tle płynęły głosy słynnych tenorów – Carrerasa, Domingo i Pavarottiego. Muzyka sączyła się dyskretnie z głośników, nie głuszając rozmów.

Pomieszczenie z prawej strony było mniejsze i mieściły się tam tylko trzy stoliki. Ten, przy którym czekał Thatcher, stał w najdalszym kącie, w boksie z lewej strony. Thatcher zerwał się na mój widok. Obok znajdował się kubełek z lodem i szampanem, a na stoliku stały butelka czerwonego wina i koszyczek z małutkimi bułeczkami.

– Dzięki, mamma Diana – powiedział. Przyciągnął mnie do siebie. – Willow – szepnął, pocałował mnie szybko i przysunął mi krzesło.

– *Buon appetito* – życzyła nam mamma Diana.

– *Grazie, ma con il suo cibo, non c'è problema con l'appetito* – odpowiedział Thatcher, a właścicielka oddaliła się ze śmiechem.

– Co powiedziałaś?

– Podziękowałam jej i zapewniłam, że przy jej wspianiałym jedzeniu nikt nie ma problemu z apetytem.

– Nie wiedziałam, że tak płynnie mówisz po włosku.

– *Così, così, abbastanza d'arrangiarmi*. Tak sobie, wystarczy, żeby się dogadać – odpowiedział i usiadł.

– Nie bądź taki skromny! – zażartowałam, a on zaczął się śmiać.

Sięgnął przez stół i położył dłoń na mojej dłoni.

– Tęskniłam za tobą, Willow. Tamte dni, spędzone razem, piknik na łodzi i nasze noce były wyjątkowe, po prostu niezwykle. Pamięć o nich pozwoliła mi doczekać twojego powrotu. Dlatego pomyślałam, że musimy uczcić szampanem fakt, że znów jesteś... że jesteś ze mną.

Przechyliłam głowę, uśmiechając się sceptycznie.

– Może ty naprawdę jesteś synem Kirby'ego Scotta, Thatcher.

Jego uśmiech lekko przybladł.

– Mówię, jak myślę, Willow. Kirby Scott używa słów, tak jak magik używa gestów rąk do odwrócenia uwagi widzów od swoich trików – odparł poważnie. – Ja nigdy tak nie robiłem.

Był jawnie urażony i dotknięty. Chyba rzeczywiście przesadziłam, pomyślałam.

– Jest dziwną ironią losu, że jeśli twoje słowa są prawdziwe, masz wiele wspólnego z Lindenem – stwierdziłam. – Podobną niezgodę na świat i na los.

Chwilę rozważał moje słowa i już spokojnie kiwnął głową.

– Pewnie masz rację. Prawdę mówiąc, nie starałem się wgłębić w jego punkt widzenia. Jak widzę, powinienem.

Szybko streściłam mu swoją rozmowę z Leo Rossem i jego rewelacje o Kirbym Scotcie – a zwłaszcza przekonanie, że to Kirby podsunął Asherowi i Bunny ideę wynajęcia domu mojej matki.

– Nie wiem, co o tym sądzić. Nie słyszałem takich sugestii, ale nie twierdzę, że Ross nie ma racji. W sumie zgadzam się z tobą, że jeśli jest to prawda, jego motywacja z pewnością nie była altruistyczna. Co za kanalia!

– Mówiąc o nim w ten sposób, mówisz jednocześnie o swoim ojcu!

Skrzywił się i pokręcił głową.

– Willow, prawnicze doświadczenie nauczyło mnie, że trzeba czegoś więcej niż związków krwi, aby powstała więź pomiędzy ludźmi. Reprezentowałem ojców przeciwko synom, synów przeciwko ojcom, rodzeństwo przeciw sobie, we wszystkich możliwych konfiguracjach. Wzdrygam się na myśl, że mógłbym mieć coś wspólnego z takimi ludźmi, nawet jeden gen.

– Co w takim razie zamierzasz? Jak chcesz dojść do prawdy, Thatcher? Nie możesz żyć z tym ciężarem, a my nie możemy sobie pozwolić, żeby ta sprawa wisiała nad naszymi głowami jak złowroga gradowa chmura.

– Wiem, wiem. – Uciskał palcami skronie, jakby ta kwestia wywoływała u niego ciężki ból głowy. Współczułam mu.

– Zrobisz sobie badanie DNA czy coś w tym stylu?

– Wtedy musiałbym wyznać prawdę ojcu. Ale nie wyobrażam sobie tego! – Już prawie krzyczał. – Dlaczego ode mnie miałby się dowiedzieć, że żona go zdradziła? Nawet jeżeli zrobiła to tylko raz – mruknął, ścisząc głos, bo zauważył, że para przy sąsiednim stoliku spogląda na nas.

Sprawa miała wrażenie załamanej, zdesperowanej i zniechęconej.

– Czuję się, jakby zagoniono mnie w róg, a nie przywykłem do takich sytuacji. – Westchnął ciężko.

– Jestem pewna, że znajdziesz sensowną drogę wyjścia z tej sytuacji, Thatcher. – Ścisnęłam jego dłoń, dodając otuchy.

Tak oto znów znalazłam się w roli cheerleaderki, obciążonej brzemieniem własnych problemów. Tata powiedział mi kiedyś, że są chwile, kiedy branie na siebie problemów innych ludzi pomaga zdystansować się od własnych. Pomaganie komuś w radzeniu sobie z przeciwnościami losu sprawia czasem większą przyjemność niż borykanie się z własnymi. Mimo wszystko czułam się jak pacjent, który pociesza lekarza, że wszystko będzie dobrze. Z nas dwojga

Thatcher był człowiekiem czynu, operatywnym, o wielu talentach i możliwościach. Kim więc jestem, żeby mu cokolwiek doradzać?

Pochylił się ku mnie i szepnął:

– Śledzę go.

– Ty?

– Tak. I prawda wkrótce wyjdzie na jaw. – W oczach zabłysła mu furia.

– Skąd masz pewność, że ten człowiek powie ci choć słowo prawdy, kiedy go wreszcie dopadniesz?

– Mam mocnych świadków, z którymi skonfrontuję go w sądzie. Wyciągnę od niego prawdę, Willow – powiedział twardo, z przekonaniem.

Patrzyłam na Thatchera, podziwiając jego pewność siebie. Człowiek sukcesu musi być bardziej pewny siebie niż inni, może nawet mieć przerośnięte ego. Kiedy ja się taka stanę? Czy kiedykolwiek się stanę?

– Dobrze, zostawmy na razie te ponure sprawy. Powinniśmy się od początku umówić, że zostawiamy nasze problemy za progiem, tak jak kowboje zostawiali broń, wchodząc do domów. Albo że nie znaliśmy się wcześniej. Ten wieczór jest wyjątkowy, Willow. Spotkaliśmy się, aby zacząć wszystko od nowa, aby ustanowić nowy początek naszej znajomości – mówił tonem uroczystym. Sięgnął po moją rękę i tak trwaliliśmy chwilę, a potem nalał nam szampana. – Zacznijmy od toastu. Za nasze szczęście! – Uniósł kieliszek. – Za zdrowie i sukces w miłości. Niech wzniesie się ponad wszystkie przeszkody.

Trąciliśmy się kieliszkami i wypiliśmy, patrząc sobie w oczy sponad krawędzi szkła.

– Bułeczki czosnkowe są własnego wypieku. – Podsunął mi koszyczek. – Zaraz spróbujesz dań, które serwują. Tu się czujesz jak w gościnnym domu, a nie jak w lokalu. Świat zostaje za progiem. A dla nas jest cudowne jedzenie, muzyka i śpiew.

Kiedy skończyliśmy, przekonał mnie, żebym zostawiła samochód na parkingu obok lokalu i pojechała z nim do domu przyjaciela.

– Nie chcę, żeby cię złapano na prowadzeniu po kieliszku – wyjaśnił. – Wtedy musiałbym cię bronić przed sądem, a sędzia szybko by się przekonał, że łączy mnie osobista więź z klientką.

Zanim ruszyliśmy, całowaliśmy się i tuliliśmy w jego samochodzie. Czułam się jak ktoś porwany falą, ale przecież na to pozwoliłam. Zagarnął mnie poryw namiętności. Opór był daremny. Nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia pragnęłam poddać się tej sile. Marzyłam o tym i zrobiłam to.

Dom plazowy znajdował się bliżej, niż się spodziewałam. Zamknęłam oczy i odchyliłam się na siedzenie, a dosłownie za parę minut skręciliśmy w żwirową drogę i zatrzymaliśmy się przed pięknym budynkiem z dużym, zadaszonym basenem. Dom znajdował się nie dalej niż trzysta metrów od plaży. Miał nowoczesną architekturę i wyglądał na prawie nowy.

– Chyba niedawno go zbudowano? – spytałam, a Thatcher zaczął się śmiać.

– Nie. Podobnie jak wielu moich klientów, ten gość ma więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać, i większość życia spędza w podróżach, mieszkając w drogich hotelach, więc nie potrzebuje wielkiej posiadłości, gdzie przebywałby tylko parę tygodni w roku. Za to takich wypoczynkowych posiada zapewne kilka. Niektórzy kolekcjonują domy, tak jak inni kolekcjonują znaczki.

– Niektórzy ludzie z twojego świata, ale nie z mojego – zaznaczyłam i dalej zwiedzałam dom. Był tam obszerny salon z dużym telewizorem oraz dwie sypialnie, z których jedna miała okna z widokiem na ocean.

– Wystarczająco elegancki? – upewnił się Thatcher. Podszedł do mnie od tyłu i pocałował mnie w szyję.

Momentalnie przylgnęłam do niego, jakby te usta przyciągały mnie niczym magnes. Chwilę staliśmy nieruchomo, spojeni ze sobą, i wsłuchani w monotony szum fal spoglądaliśmy na odbicia gwiazd tańczące na wodzie.

Takie niezwykle momenty są równie rzadkie jak bezcenne drogie kamienie, pomyślałam. Większość swojego życia spędzamy w jednym nurcie codziennych zmagania i wypełniania przyziemnych, nudnych obowiązków. Mogą upłynąć dni, tygodnie, nawet miesiące jednostajne i podobne do siebie, zanim zdarzy się coś prawdziwego, cudownego, co wyniesie nas ponad szarą rzeczywistość. Są wspomnienia, które lśnią w mroku niczym diamenty, przywracając nam marzenia i piękne sny, ale przede wszystkim przypominają nam, że jesteśmy zdolni do dawania i brania miłości.

Odwróciłam się ku niemu i się całowaliśmy.

Namiętność narastała w nas jak wzbierające oceaniczne fale, potężniała z każdym dotknięciem, z każdym oddechem. Thatcher uniósł mnie jak piórko i położył na łóżku. Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że serce zaczęło mi walić jak karaibski stalowy bęben. Wyciągnęłam do niego ręce, a on ukląkł przy łóżku i powoli mnie rozbierał – najpierw zdjął pantofle, potem rozpiął suwak sukienki na plecach i ściągnął ją ze mnie. Dalej przyszła kolej na pończochy, stanik i figi. Leżałam przed nim naga, z nerwowo bijącym sercem,

a mój oddech był tak płytki i spazmatyczny, że musiałam zacisnąć powieki, by sufit nie zaczął krążyć nad moją głową.

Z drzeniem czekałam, że za moment będzie przy mnie, nagi i rozpalony, ale kiedy otworzyłam oczy, nadal był ubrany i wpatrywał się we mnie.

– Thatcher – jęknęłam. – Co robisz?

– Chcę zapamiętać na zawsze ten widok ciebie spragnionej, cudownej, wyczekującej.

– To nie fair – mruknęłam i Thatcher zaczął się śmiać.

Kontynuował tę czułą torturę, muskając moje wargi swoimi, ale nie dotykał mnie. Każda cząstka mojego ciała drżała w oczekiwaniu, błagając o jego dotyk, ale Thatcher nie uległ i kontrolował się, przedłużając w nieskończoność grę wstępną, aż poczułam, że nie zniosę tego dłużej, i zaprotestowałam desperackim krzykiem.

Zaśmiał się z nieskrywaną satysfakcją, a potem dotknął ustami moich piersi i z nieznośną powolnością zaczął sunąć w dół, aż wreszcie się nade mną zlitował. Błyskawicznie zrzucił ubranie i położył się przy mnie.

– Wzięłam pigułkę, nie musisz się obawiać – powiedziałam.

– Ach, tak. Skąd wiedziałaś, że będziemy to robić? – zapytał dociekliwie.

– Nietrudno było się domyślić. Poza tym dziewczyna zawsze musi być przygotowana na nagły szal miłosny.

– Mam nadzieję, że nie z każdym – mruknął.

– Przecież wiesz, że nie z każdym. Wiesz czy nie? – nalegałam, kiedy nie odpowiedział dość szybko.

– Tak – powiedział po dręczącym namyśle, złośliwie udając wątpliwości. – Wiem, kim jesteś, i kocham cię za to.

Ten pocałunek był dłuższy. Nasze usta przyłgnęły do siebie, a w tym czasie Thatcher mościł się we mnie.

– Krzycz do woli – zachęcił, kiedy zdławiłam jęk rozkoszy. – Nikt nas tutaj nie usłyszy oprócz mew, a im jest to obojętne.

Krzyczałam więc, jęczałam i wbijałam mu paznokcie w ciało, aż oboje, zdyszani jak po długim biegu, cudownie wyczerpani legliśmy obok siebie bez słów, porozumiewając się tylko gorączkowymi oddechami, drzeniem ciał i uściskiem splecionych palców. Za panoramicznymi oknami ocean szumiał swoją kołysankę. Przymknęłam oczy i pozwoliłam się nieść łagodnemu, rytmicznemu poszumowi; odbijał się echem w uszach niczym powracająca fala.

Kiedy znów otworzyłam oczy, Thatcher już wstał i się ubierał.

– Co się stało? Zasnęłam?

– Tak, na chwilę. Nie chciałem cię budzić, ale chyba pora, żebyś podwiózł cię do samochodu. Wszystko w porządku?

Czułam się jak ktoś, kto budzi się z głębokiego snu.

– Co? A, tak, dobrze. – Sięgnęłam po ubranie.

– Muszę sprawdzić parę rzeczy w domu – powiedział. – Spotkamy się w salonie – dodał, wychodząc.

Czułam zmęczenie, ale było to przyjemne zmęczenie. Głowę miałam lekką jak na rauszu, i zachichotałam, patrząc na siebie w lustrze. Właściciel domu ozdobił ściany wyrafinowanymi maskami z karnawału Mardi Gras. Zdjęłam jedną i włożyłam na twarz, a potem ruszyłam na poszukiwanie Thatchera.

Usłyszałam, że bardzo cicho rozmawia przez telefon.

– Na pewno będę – mówił. – Przestań się tym martwić.

Stałam w progu kuchni. Thatcher był odwrócony do mnie plecami.

– Oczywiście, że myślę o tobie – zapewnił. – Co za głupie pytanie! Słuchaj, muszę kończyć. Porozmawiamy o tym później, dobrze? – Odłożył słuchawkę i stał chwilę bez ruchu, wpatrując się w telefon, jakby się zastanawiał, czy powiedział wszystko, co powinien.

Kiedy się odwrócił, aż podskoczył. Zapomniałam, że mam na twarzy maskę.

– Bardzo zabawne – mruknął.

Zdjęłam maskę.

– Do kogo dzwoniłeś tak późno? – zapytałam tonem ostrzejszym, niż się spodziewałam. Sama byłam zaskoczona, ale skoro się z nim związałam, powinnam przecież wiedzieć różne rzeczy.

Myślałam, że nie odpowie, ale uśmiechnął się lekko.

– Jak myślisz, kto nie śpi o tej porze? Oczywiście moja matka.

– Och. Wydawało się, jakbyście się kłócili.

– Często tak z nią mam. Doprowadza mnie do pasji i mam ochotę cisnąć telefonem o ścianę.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

– Chodziło o nas? – zapytałam z niepokojem.

– Nie, nie. Moja siostra jutro wieczorem urządza huczne urodziny mojej siostrzenicy i kochana mamusia boi się, że nie przyjdę. Każde kolejne urodziny są wystawniejsze, mają większą skalę i coraz więcej kosztują. Zastanawiam się, co wymyślą na szesnastkę. Może wynajmą Biały Dom –

stwierdził zgryźliwie. – Tutaj ludzie rywalizują, kto ma bardziej udane dzieci oraz ile potrafi dla nich zrobić, a moja matka dobrze wie, że nie mam ochoty uczestniczyć w tym cyrku. Ale czy musimy o tym rozmawiać?

– Nie musimy, Thatcher. Zapytałam, widząc, że jesteś zdenerwowany.

– Willow, kiedy jestem z tobą, nie potrafię długo czymś się przejmować. – Podszedł do mnie. – Nawet jeśli chowasz się za maską.

Parsknęłam śmiechem i pocałowaliśmy się.

– Chodź – powiedział. – Trzeba wracać. Mam nadzieję, że wkrótce uda nam się tu spędzić cały weekend. Co o tym myślisz?

– Byłoby fajnie – odparłam bez większej nadziei.

Przyglądał mi się chwilę, po czym kiwnął głową.

– Dobra, opowiedz mi o Lindenie – poprosił, kiedy ruszyliśmy do wyjścia. – Co on teraz robi?

Opisałam zachowanie Lindena i rzeź, jaką urządził swoim obrazom. Thatcher słuchał uważnie, z zatroskaną miną. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, milczał, zanim uruchomił silnik.

– Thatcher?

– Nie podoba mi się to, Willow. Twórczość była dla niego całym życiem. Jeśli się jej wyrzekł, sprawa musi być bardzo poważna. Nie jestem psychiatrą, ale dla mnie jest to kolejna próba samobójcza. On niszczy siebie, tylko w inny sposób. Odwlekając decyzję o oddaniu go do kliniki, ryzykujesz jego zdrowiem. I narażasz swoją matkę na kolejne traumy. Nie lubię pouczać – zastrzegł. – Nie znoszę, kiedy ktoś mnie poucza, ale naprawdę mi się wydaje, że ty i Grace macie teraz trudny okres i ostatnią rzeczą, jaką powinnyście zrobić, jest przejęcie Joya del Mar. Pozwól, żeby moi rodzice wynajmowali dom jeszcze przez rok, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

Zastanawiałam się nad jego słowami. Niewykluczone, że miał rację; może za dużo wymagam od innych i to jest mój błąd. Może mama tak naprawdę nie chce się przenieść do dużego domu, lecz ulega mojej presji.

– Nie musicie mieszkać na terenie posiadłości, jeśli nie macie ochoty – ciągnął Thatcher. Uruchomił silnik i ruszył. – Jeśli trzeba, pomogę wam znaleźć lokum odpowiednie do waszych potrzeb i możliwości finansowych. Nie uważasz, że Grace dobrze by zrobiła zmiana otoczenia? Nadałaby jej myśleniu nowe perspektywy?

– Sama nie wiem, Thatcher.

– I w tym sedno sprawy. – Pokiwał głową. – Nie wiesz, co zrobić, ale

usilnie działasz. Mogę ci szybko pomóc. Zgadzasz się?

Milczałam. Dotąd w moim życiu zawsze był ktoś – matka adopcyjna, Amou, tata – kto podejmował za mnie ważniejsze decyzje. Nawet mój były chłopak ze studiów, Allan Simpson, próbował sterować moim życiem i wściekał się, kiedy się z nim nie zgadzałam. Przyjmowanie rad i wysłuchanie czyichś racji to jedno, a podejmowanie całkowicie samodzielnych decyzji to drugie.

– Nie. – Przypomniałam sobie blask w oczach mamy, kiedy dzisiaj rozmawialiśmy o wizycie w salonie piękności i powrocie do dużego domu. – Myślę, że tak będzie lepiej.

– Popełniasz błąd, Willow. Bierzesz na siebie zbyt dużą odpowiedzialność.

– Wcale tak nie uważam – odparłam z większą pewnością siebie. – Nie jestem już przybłądą, Thatcher. Mam tutaj rodzinę i decyduję o różnych sprawach. Nie – ciągnęłam, coraz bardziej przekonana do swoich racji. – Nie musisz nam pomagać. Damy sobie radę. Muszę tylko spędzać więcej czasu z Lindenem. W pewien sposób czuję się odpowiedzialna za to, co sobie zrobił.

– To śmieszne, Willow.

– Nie mów tak. Wcale nie jest śmieszne. Nie mam zamiaru temu zaprzeczać. On jest bardzo wrażliwy i wtedy mi zaufał. Nie wyczułam tego i zraniłam go. Uznał, że go zdradziłam. Naprawić ten błąd mogę tylko ja. Nie wyobrażam sobie, że miałyby to zrobić ktoś obcy.

Uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że staniesz się cenioną psycholożką czy psychiatryczką, Willow. Żałuję, że nie poznałem twojego ojca. Ale mam nadzieję, że poznam go poprzez ciebie.

– Ja też.

Szybko przyciągnął mnie do siebie jedną ręką i pocałował w policzek.

– Cokolwiek postanowisz, zawsze możesz liczyć na moje wsparcie.

– Będiesz miał na to czas? – zapytałam z lekką irytacją.

Roześmiał się.

– Będę miał. Wkrótce. Obiecuję. Moje problemy zaraz się skończą.

Zamilkliśmy zgodnie i jechaliśmy dalej w ciszy. Na parkingu restauracji Thatcher zaczekał, aż wsiądę do swojego samochodu i odjadę. Wcześniej obiecał, że zadzwoni nazajutrz po południu.

Kiedy wróciłam, zastałam mamę w kuchni pijącą herbatę. Była w swojej domowej sukni i miała rozpuszczone włosy.

– Co się stało? – zapytałam od razu.

– Nic, Willow. Po prostu nie mogę zasnąć, więc zaparzyłam sobie herbatę.
Jak randka?

Usiadłam przy stole naprzeciwko niej.

– Powinno być cudownie, mamó. Romantyczna kolacja, jak trzeba. Mieliśmy chwilę dla siebie, ale w tajemnicy, w ciągłym strachu, że ktoś nas nakryje, zabierze światło gwiazd, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Myślę, że tak – powiedziała ze szczerym, szerokim uśmiechem. – Choć nie mam zbytniego doświadczenia w takich sprawach.

– Jak to nie masz? Jak mogłam egoistycznie uważać, że tylko ja wiem, jak to jest mieć potajemny romans? Ty bardziej niż ktokolwiek powinnaś mnie rozumieć! Dziwię się, jak tobie i tacie udało się ocalić swoje szczęście pomimo nieustannego lęku, że ktoś was zobaczy czy usłyszy.

– Nie mieliśmy jakiejś specjalnej strategii, ale sprawę ułatwiały nasze oficjalne relacje w klinice. Często się zdarza, że pacjentka zafiksuje się na swoim lekarzu, co może tłumaczyć wiele zachowań, a twój ojciec... – Zawiesiła głos.

– Co? – zapytałam niecierpliwie.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

– Twój ojciec potrafił w ułamku sekundy stać się „panem doktorem”. Ton jego głosu poważniał i pogłębiał się. Spojrzenie robiło się przenikliwe, jakby jego oczy emitowały promienie rentgenowskie, prześwietlając rozmówcę. Cała postać prostowała się i usztywniała. Zmieniała się cała jego aura.

Uśmiechnęłam się, bo dobrze wiedziałam, o czym mówi.

– Cały tata!

– Jak wiesz, przyjechała tu kiedyś pielęgniarka Nadine Gordon, która próbowała nas szantażować. Ona jedna wiedziała, albo przynajmniej coś podejrzewała. Gdyby to był ktoś inny, zachowałby tajemnicę dla siebie.

– Nie mogę się równać z ojcem pod względem ukrywania swoich uczuć. Różnica polega na tym, że nie widzę powodu ukrywania ich. I mówię ci – sekret nie potrwa długo. Jeśli Thatcher szybko nie zdobędzie się na odwagę, żeby wyznać rodzicom prawdę, wtedy...

– Na pewno się zdobędzie. – Poklepała mnie po dłoni. – To bardzo bystry młody człowiek. Ufam, że będzie wiedział, kiedy to zrobić.

– Może i tak – odparłam. Zamilkłam na moment. – On chce, żebyśmy niezwłocznie oddały Lindena do kliniki. Opowiedziałam mu, co się stało,

i stwierdził, że igramy z ogniem.

– Wiem. Myślałam o tym od chwili, kiedy zobaczyłam, co zrobił.

– Jak się zachowywał dzisiaj po moim wyjeździe?

– Tak samo jak wcześniej. Miał lepszy apetyt, ale był jak zwykle nieobecny. Natomiast zauważyłam, że wiele razy wchodził do mojego pokoju, żeby popatrzeć na obraz, na którym namalował ciebie.

– O rany, chyba nie zamierza go pociąć?

– Nie sądzę. Raczej wydawał się zaintrygowany tym dziełem, bardziej niż jakimkolwiek innym swoim obrazem. Jak gdyby uważał, że kryje się w nim jakaś ważna odpowiedź na jego problemy, którą wreszcie z niego wydobędzie.

– Może tak jest. Pytałaś go o to?

– Ciągłe go pytam, czy dobrze się czuje. Przeważnie nie odpowiada, ale czasami kiwa głową. Raz odpowiedział „już niedługo”. To mnie lekko zmroziło. Jak myślisz, co przez to rozumiał?

– Postanowiłam, że będę spędzała z nim jak najwięcej czasu – powiedziałam. – Ale uzgodnijmy jedną rzecz, mamó. Jeżeli w ciągu najbliższych dni czy tygodni nie nastąpi jakakolwiek poprawa, będzie musiał zacząć leczenie.

Z westchnieniem kiwnęła głową.

– Trzeba myśleć pozytywnie, mamó. Kiedy Linden zobaczy, jak się zmieniasz, robisz się żywsza, radosna i pełna nadziei, na pewno mu się polepszy. Zobaczysz.

– Mam nadzieję – odparła drżącym głosem, tak cichym i słabym, że łyzy zakręciły mi się w oczach. – Nie wiem, czy możemy zostawić go samego, kiedy pójdziemy do tego salonu piękności.

– Zobaczymy rano. Umówiłam się z nim, że pojedziemy do galerii, by zabrać stamtąd jego prace. Może zapomni o tym.

– Mogłybyśmy poprosić Jenningsa, żeby miał na niego oko. Z całej służby Eatonów z nim mam najlepszy kontakt i już wcześniej mi pomagał.

– Dobrze. Chodźmy spać – zaproponowałam. Mama skinęła głową, wstała i odstawiła filiżankę do zlewu.

Leżałam wpatrzona w ciemność i nasłuchiwałam odgłosów domu, szmerów i poskrzypywania, mieszających się z odgłosami oceanicznego wiatru, które brzmiały, jakby ktoś przebiegał palcami po szybach. Jakiż kalejdoskop emocji uruchomił dzisiaj wir myśli, marzeń i snów mieszkańców tego domu, myślałam. Sekrety każdego z nas wiją się i wikłają jak nici z kolorowych

kłębków, ciskanych w mroki nocy nad moją głową.

Jest taki moment w nocy, kiedy myśli się przenikają? Kiedy ludzie patrzą sobie nawzajem w umysły i widzą tam strach, smutek czy euforię, w jednym ułamkowym błysku, niczym pasażerowie pociągów mijających się w ciemności?

Czy wiedząc to wszystko, stajemy się współczujący, czy zazdrośni? Czy chcielibyśmy mieć cudze sny, czy cieszymy się, że nie dręczą nas takie koszmary?

Gdzieś musi być miejsce, źródło, z którego wszyscy, bogaci czy biedni, muszą czerpać siłę, bo kiedy śpimy, jesteśmy nieskończenie samotni. A kto jest bardziej samotny niż nasza trójka, krążąca w pustce niczym trzy planety szukające gwiazdy, która mogłaby być ich domem?

Kiedy zamknęłam oczy, wydawało mi się, że słyszę tajemnicze głosy – o nich mówił Linden – szepczące za moim oknem. Namawiają mnie, żebym odeszła czy została?

Brzask czekał, przyczajony w ciemnościach jak pantera, gotowa do skoku na cienie, zalegające w zakamarkach naszego umysłu. Byłam mu za to wdzięczna; byłam wdzięczna za nowy dzień. Przyniósł mi nadzieję, że zdołam przekonać Lindena, aby przejął ten sposób myślenia.

Nazajutrz rano moje pierwsze podejście do salonu piękności skończyło się klęską. Jedna z recepcjonistek zaczęła się śmiać, kiedy zapytałam, czy jest na dzisiaj wolne miejsce.

– Mamy rezerwacje na dwa i pół miesiąca naprzód – poinformowała. – To jest Palm Beach, a nie Miami Beach.

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Thatcher, ale uznałam, że jego sekretarka mogłaby zyskać natchnienie do plotek, choć takie osoby powinny być wzorem dyskrecji. Wydawało się, że w Palm Beach, jak w żadnym innym miejscu, sprawdzało się stare porzekadło: „Dwie osoby potrafią dotrzymać tajemnicy, tylko jeśli jedna nie żyje”. Postanowiłam zadzwonić do pana Rossa, gdyż w czasie naszego spotkania oferował mi pomoc w każdej sprawie. Miałam nadzieję, że nasza pilna potrzeba dostania się do salonu piękności nie wzbudzi jego podejrzeń.

– Zajmę się tym natychmiast – powiedział, kiedy wyłuszczyłam mu, o co chodzi. – Jednym z moich klientów jest Renardo de Palma. Jego salon należy do najbardziej prestiżowych, a lista klientów to prawdziwe *who is who* Palm

Beach.

– Chcemy olśnić swoim wyglądem tylko siebie, nikogo innego – zapewniłam.

– Żadna z kobiet, które znam, nie zdobyłaby się na takie wyznanie – odparł ze śmiechem. – Dobrze, zobaczę, co się da zrobić.

Po dwudziestu minutach oddzwonił i zawiadomił, że jesteśmy umówione na drugą.

– Ta sama zasada, co w renomowanych restauracjach – wyjaśnił. – Zawsze mają parę wolnych miejsc dla szczególnych gości, a wierz mi, Renardo ma wobec mnie zobowiązania w paru ważnych sprawach.

– Teraz i ja jestem zobowiązana – zauważyłam ze śmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dzwon, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować, Willow.

Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym mamie. I zaczęły się trudności. Teraz, kiedy nasz projekt ze sfery luźnych zamiarów miał przejść do rzeczywistości, mama się spięła. Zapewniałam ją, że wszystko będzie dobrze i że nie rozstanę się z nią ani na chwilę. W trakcie rozmowy w drzwiach nagle pojawił się Linden. Był ubrany jak do wyjścia i miał gładko przyczesane włosy.

– Linden, kochanie – zawołała mama. – Jak się miewasz?

– Jestem głodny – oświadczył.

Zastanawiałam się, czy słyszał naszą rozmowę o wyprawie do salonu piękności i będzie żądał, żebym to odwołała, bo mieliśmy pojechać do galerii po obrazy.

– Dzień dobry – odezwałam się, a Linden popatrzył na mnie i skinął głową. Spojrzenie miał żywe, a twarz nie była już tak blada i wymięta.

– Wybaczcie, ale zasnęłam – powiedział. – Ostatnio byłem mocno dezorientowany, rozkojarzony i raczej mało kontaktowy. Nie odnotowałem nawet faktu twojego powrotu, Willow. Grace musiała mi opowiedzieć, co się działo. Czułem się idiotycznie.

Zaniemówiłam. Miałam wrażenie, że z sypialni wyszedł zupełnie inny Linden Montgomery. Nawet trzymał się prosto. Każdy, kto teraz by go zobaczył, a słyszał ode mnie, co było przedtem, zarzuciłby mi, że grubo przesadziłam.

– Nic się nie stało – zapewniłam. – Rozumiem, jak ci było ciężko, Lindenie.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to się stało, ale czuję się, jakby zdjęto mi z barków ogromny ciężar – wyznał. – No cóż, Grace mówiła mi, że chcesz przenieść się do nas na studia – ciągnął. Nalał sobie kawy i z filiżanką usiadł przy stole naprzeciwko mnie.

– Tak. W najbliższej uczelni znalazłam program, który odpowiada moim planom.

– Wspaniale. Grace z pewnością jest zachwycona. – Uśmiechnął się do mamy.

Ona również patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, z absolutnym niedowierzaniem, ale też z ogromną ulgą i radością. Jeśli coś było dziwnego w nowym zachowaniu Lindena, to zupełna obojętność na nasze reakcje.

– Zjesz jajka, synu? – zapytała.

– Chętnie bym zjadł, mamó. Może być ten twój omlet z serem. Nie wiem dlaczego, ale obudziłem się dzisiaj straszliwie głodny.

Uśmiechnął się do mnie.

– Grace mówiła mi również, że wybieracie się dzisiaj do salonu piękności – podjął.

– Tak, umówiliśmy się wczesnym popołudniem. Pojadę na uczelnię, o której mówiłam, a potem wrócę po mamę. Wcześniej przydałoby się wpaść gdzieś na lunch. Liczę, że do nas dołączysz, Lindenie.

– Byłoby miło, ale chyba jednak popracuję. Mamó, spakuj mi lunch, dobrze? Wyjdę na cały dzień. Pogoda zapowiada się pięknie.

– Nie jesteś jeszcze za słaby, Linden? – Patrzyła na niego z troską.

– Ależ skąd! Dlaczego miałbym być słaby? Twój cudowny omlet doda mi sił – stwierdził ze śmiechem.

Obie wstrzymywałyśmy oddech, choć rozpierało nas uniesienie. Ciągle nie mogliśmy uwierzyć w jego przemianę. A on zdawał się nic nie zauważać. Nie przestawał mówić i był nawet bardziej rozgadany niż przed wypadkiem. Z zachwytem wypowiadał się o naszej przeprowadzce do dużego domu i rozstaniu z Eatonami.

– Co za ulga, wreszcie będziemy mogli swobodnie poruszać się po całej posiadłości, bez tego ich ciągłego wścibstwa – perorował. – Wiesz, mamó, nie mogę uwierzyć, że od czasu, kiedy oni się wprowadzili, nie byłem ani razu w tym domu. A może jednak byłem?

– Nie, Linden. Żadne z nas nie było – zapewniła.

Zastanawiał się chwilę, a potem roześmiał.

– Chyba stanę przy bramie i pomacham im z uśmiechem, gdy będą wyjeżdżać. A kiedy dokładnie się wyprowadzą? – zwrócił się do mnie.

– O ile mi wiadomo, ostatecznym terminem jest piętnasty maja.

– Doskonale – powiedział z zadowoleniem i zabrał się do omletu.

Obserwowałyśmy go w zdumieniu, bojąc się powiedzieć za dużo. Obchodziłyśmy się z nim jak z kruchą porcelaną, kiedy to nieostrożny ruch może spowodować szkodę. Jakaś część mnie martwiła się, że tak gwałtowna i radykalna zmiana może być symptomem czegoś o wiele poważniejszego.

Kiedy szłam do siebie, żeby się przyszykować do wizyty na uczelni, zerknęłam do pracowni i zauważyłam, że wszystkie pocięte obrazy zniknęły. Kiedy wyjrzałam przez okno sypialni, zobaczyłam, że ktoś w nocy albo bardzo wcześnie rano wyniósł je do pojemników na śmieci. Z drzeniem pomyślałam, że ciężar, który ubył z barków Lindena, był ciężarem winy, o której tyle mówił w swoim szaleństwie. Kiedy pociął wszystkie swoje dzieła i wyrzucił na śmietnik, depresja ustąpiła. Ale jak to wpłynie na jego dalszą twórczość? Co będzie teraz malował? Czy wróci do poprzedniego stanu? Nie chciałam psuć mamie radości z powodu przemiany Lindena i kiedy wychodząc, wstąpiłam na chwilę do kuchni, nie zamierzałam wspominać o swoich obawach.

Szykowałam lunch dla Lindena, a on siedział i rozprawiał o pracowni, którą urządzi sobie w dużym domu, kiedy wreszcie się tam wprowadzimy. Mama promieniała. Cieszyłam się, że jest szczęśliwa, ale kiedy tak stałam w progu i słuchałam, zauważyłam, że Linden mówi ze wzrokiem wbitym w blat stołu, a jego opowieść jest pełna dziwnych detali, takich jak precyzyjnie określone miejsce, gdzie będzie trzymał ołówki, albo uwagi, pod jakim kątem ustawi sztalugę. Dziwnie się tego słuchało.

Zaczęłam uważniej obserwować Lindena. Napędzała go jakaś frenetyczna, nerwowa energia. Brwi skakały mu w górę i w dół, a ręce były w bezustannym ruchu. Mama raczej nie wsłuchiwała się w jego słowa ani nie przyglądała mu się, zajęta szykowaniem jedzenia. Zbyt podekscytowana i uszczęśliwiona przemianą syna, nie zwracała uwagi na szczegóły.

– Wychodzę – powiedziałam, przerywając jego potok wymowy. Widać było, że nie odnotował mojego wyjścia i powrotu; rozprawiał tak gorączkowo, że brakowało mu oddechu.

Spojrzał na mnie i oczy mu pociemniały. Głowa przechyliła się na bok, jakby nie udało mu się wyważyć ciężaru emocji.

– Jak długo tu jesteś? – zapytał.

Pracowite ręce mamy zamarły. Spojrzała na mnie, a potem na niego.

– Gdzie? W Joya del Mar?

– Tak, tak, o to właśnie mi chodziło – odpowiedział skwapliwie.

– Od paru dni.

Kiwnął głową.

– Grace powiedziała mi, że wróciłaś. I że będziesz tu studiować.

– Tak, Lindenie. Właśnie tam jadę – na spotkanie z doradcą, z którym ustalę mój program studiów. Ale chyba już ci o tym mówiłam?

– Wiesz, że przeprowadzamy się do dużego domu? – zagadnął, jakby nie słyszał, co powiedziałam.

Mama złapała się rękami za gardło, tłumiąc cichy okrzyk.

– Tak, Lindenie. Wiem o tym i bardzo się cieszę.

– Nie powinniśmy w ogóle wynajmować go tym ludziom.

– I już więcej nie wynajmiemy, zapewniam cię.

– To dobrze. – Znow spjrzał na stół.

– Linden, brałeś dzisiaj rano lekarstwa? – zapytała mama z niepokojem.

– Lekarstwa? Jakie lekarstwa?

Wpatrzył się w stół.

– Synku, czy brałeś dzisiaj rano leki? – powtórzyła.

– Leki? Jakie leki?

– Boże – szepnęła i szybko poszła po pigułki. Linden patrzył, jak odchodzi, po czym podjął swoją opowieść dokładnie w miejscu, w którym mu przerwałam.

– Farby i pędzle będą w szafie po prawej od wejścia. Muszę mieć cały zapas, żeby nie musiał nikogo prosić o kupowanie. Tam będzie dużo miejsca. W szafie jest mnóstwo półek, wiesz? Pamiętam to. I jeszcze pamiętam trzy kinkiety, mosiężne, tak, i sejf... Chyba to był sejf. Ale może się myliłem, a oni mówili, że to miejsce zmyłki. Jackie Lee też tak mówiła. Masz pojęcie? Zmyłka! Tak, Jackie Lee. Mów mi Jackie Lee. Nie nazywaj mnie mamą, babcią, czy jak je tam zwał. Wymyśl coś innego, jasne? Ty jesteś Linden. Ja jestem Jackie Lee. I dobra. Nawet gdy masz koszmary, nie krzycz. Babciu, nie krzycz. Mamo. Nie wołaj o pomoc, ale jeśli już musisz, wołaj Jackie Lee. Jackie Lee...

Nagle ucichł i znieruchomiał na krześle. W następnej chwili ożył, popatrzył na nas i uśmiechnął się.

– Chyba trochę się prześpię przed robotą. Za wcześnie wstałem dzisiaj. Od

wielu godzin jestem na nogach, prawda, mam?

– Tak – skłamała. – Ale najpierw weź lekarstwo. – Podała mu pigułkę i wodę. Połknął ją szybko.

Przeniósł spojrzenie na mnie.

– Będiesz na kolacji? – zapytał.

– Tak, Lindenie.

– To dobrze. Odnowimy znajomość. – Przestał się uśmiechać, tylko wpatrywał się we mnie z zaciśniętymi ustami. – Przepraszam, ale zapomniałem twojego imienia.

– Willow. Willow De Beers.

– Och tak, oczywiście. Wybacz, ale ostatnio mam za dużo spraw na głowie. De Beers, De Beers... Mam, znaleźliśmy jakichś De Beersów, prawda?

– Tak, Lindenie – odpowiedziała przez łyzy.

– No jasne. Przepraszam. – Wstał. – Siedzę i gadam, a robota czeka. Wybacz, ale muszę już iść.

– Jasne, rozumiem. – Odprowadziłam go wzrokiem, kiedy ruszył do swojej sypialni.

Łzy niepowstrzymanym strumieniem popłynęły po twarzy mamy. Zamrugła i wzięła głęboki oddech.

– Przyznam, że prawie uwierzyłam... Wydawało się, że naprawdę jest lepiej – mówiła płaczliwie.

– Mam, zapominanie i dezorientacja nie powinny dziwić przy jego stanie psychicznym.

– Nie wiem, czy pójdę na lunch i do salonu piękności, Willow. Nie nadaję się do niczego po tych przeżyciach. Nie chcę ci narobić wstydu.

– Będzie dobrze, mam, tylko musisz się zdobyć na mały wysiłek. Proszę, spróbuj.

Otarła łyzy.

– Nie chcę cię rozczarować, Willow.

– Więc spróbuj – powtórzyłam stanowczo.

Kiwnęła głową.

– Dobrze, postaram się – obiecała. – Porozmawiam z Jenningsem i poproszę, żeby miał oko na Lindena.

– Świetnie. Będę za parę godzin, albo nawet szybciej. – Uściskałam ją. – A stanem Lindena nie powinnaś się martwić. Widoczny jest postęp – zapewniłam, choć byłam świadoma, że może być wręcz przeciwnie. – Jest

pełen energii, odzyskał apetyt, więc trzeba myśleć pozytywnie.

– Długo starałam się myśleć pozytywnie, ale nie wiem, czy mam jeszcze siłę.

– Dasz radę, mamo. Masz teraz mnie i możesz zawsze liczyć na moją pomoc.

Jesteś silna.

Uśmiechnęła się blado.

– Muszę znów uwierzyć w tęczę.

– I tak trzymaj! No to na razie – rzuciłam i szybko wyszłam, bo robiło się późno.

Moim celem była filia Uniwersytetu Florida Atlantic, znajdującego się na kampusie Johna D. MacArthura, w samym sercu Abacoa, willowej dzielnicy Jupiter na Florydzie. Uczelnia znajdowała się niedaleko od nas i miała dobry, odpowiadający mi program psychologii. Umówiłam się na rozmowę z profesorem Miguelem Fuentesem, którego przydzielono mi jako opiekuna. Uczelnia była dość młoda, gdyż założono ją w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku i studiowało na niej tylko trzy tysiące studentów, co akurat mi odpowiadało. Liczyłam, że w tak kameralnej placówce będę miała lepszy dostęp do kadry naukowej.

To jest nowy początek, Willow, powtarzałam sobie w myślach. I nowy, dobry początek dla nas wszystkich. Dobry dla nas wszystkich, dla nas wszystkich, nuciłam jak refren.

Urwałam, słysząc huk zatraskiwanych drzwi, i odwróciłam się, żeby zobaczyć, co się dzieje w domu przy plaży.

Linden biegł w stronę oceanu z płótnem i sztalugą pod pachą, wymachując kasetą z farbami, trzymaną w drugiej ręce. Wyglądał jak ktoś, kto spóźnia się na spotkanie.

Miałam nadzieję, że nie goni go jakiś koszmar.

Rozdział czwarty

W KRĘGU PLOTEK

Biuro profesora Fuentesesa było niewielkie, ale bardzo schludne. Jego asystent, wysoki, chudy i przedwcześnie wyłysiały doktorant o rudawych włosach, cienkich jak nici dentystyczne, nosił bardzo stosowne, moim zdaniem, imię Norman. Jako żywo przypominał mi Normana Batesa z *Psychozy*. Miał to samo wrażliwe spojrzenie samotnika i mówił tym samym łagodnym, niepewnym tonem, jakby każda wypowiedziana przez niego sylaba mogła się stać zagrożeniem dla jego przydatności i kompetencji. Nie uściśnął mi dłoni, tylko musnął moje palce swoimi i szybko cofnął rękę jak ktoś, kto właśnie popełnił towarzyski nietakt.

– Profesor Fuentes prosił, abym się tobą zaopiekował, gdyż spóźni się parę minut. Ma pilne spotkanie z dziekanem – wymamrotał Norman i machnął ręką koło ucha, jakby łapał komara. – Może napijesz się czegoś? Mam wodę mineralną, a w automacie jest nawet kawa.

Jabłko Adama skakało mu przy każdym zdaniu, dodatkowo je akcentując.

– Nie, dzięki.

Widać było, że jest skrępowany i nie wie, co dalej robić. Zastanawiałam się, co taki nieśmiały dziwak robi w świecie psychologii.

– No cóż... – mruknął. Jego oczy robiły rozpaczliwe uniki, byle tylko nie patrzeć w moje.

– W porządku – zapewniłam. – Obsłużę się sama.

Przyjął to z ulgą i szybko wyszedł, zostawiając mnie w gabinecie profesora Fuentesesa. Rozejrzałam się i zobaczyłam na jego biurku fotografię jakiejś starszej pary, a obok drugą, która przedstawiała wysoką, ciemnowłosą kobietę, stojącą obok mężczyzny z wędką. Znajdowali się na pomoście, a w tle

widać było żaglówkę.

Oprawione w złote ramki dyplomy profesora wisały na ścianie za biurkiem. Po prawej stronie znajdował się regał z książkami, stół z papierami ułożonymi w równy stos w rogu, a dalej kopiarka i drukarka. Laptop na biurku był zamknięty.

Na stoliku do kawy obok mojego fotela leżały egzemplarze magazynu „Psychology Today”. Zaczęłam przeglądać pierwszy z brzegu i natrafiłam na artykuł o moim ojcu, zatytułowany *Dziedzictwo wybitnego psychoanalityka*. Zilustrowano go zdjęciem taty w jego gabinecie w klinice. Wyglądał o dwadzieścia lat młodziej niż w chwili śmierci. Oczy zaszklily mi się łzami i otarłam je, żeby przeczytać artykuł. Autor wychwalał prace i artykuły ojca oraz jego książkę o chorobie dwubiegunowej.

– Właśnie pomyślałem, że to może być pani ojciec. – Głęboki, dźwięczny głos zadudnił nad moją głową. Odwróciłam się i zobaczyłam wysokiego, przystojnego mężczyznę o kruczoczarnej, wypielęgnowanej brodzie, zasłaniającej cały dół jego twarzy. Był ubrany w szarą klubową marynarkę i ciemnoszare spodnie. Nie miał krawata i w wycięciu koszuli solidny złoty łańcuszek połyskiwał na tle karmelowego koloru skóry.

– Nie chciałem pani wystraszyć – ciągnął bardzo przyjaznym tonem. Łagodny uśmiech uniósł szczupłe policzki ku oczom o kolorze hebanu. Gęstą, długą grzywkę miał szczesaną na bok, a boki i tył były podgolone. – Czy Norman zaproponował pani coś do picia? – zapytał, kładąc swoją teczkę na biurku.

– Tak, dziękuję.

– Czy to rzeczywiście pani ojciec? – Gestem głowy wskazał na artykuł.

– Tak – potwierdziłam i oczy mu się lekko rozszerzyły.

– Czytałem książkę, o której się tu wspomina. Co za błyskotliwy umysł! – powiedział, sadowiąc się za biurkiem.

– Dziękuję.

– Cóż, zostanie opiekunem córki doktora De Beersa to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Jest pani nowym pędem na starym pniu, jak to mówią?

– Powiedzmy raczej, że kawałkiem kory – odpowiedziałam i Fuentes się roześmiał, ukazując nieskazitelnie białe, idealnie równe zęby. Zobaczyłam, że nosi rolexa, a na serdecznym palcu ma piękny złoty sygnet z brylantem.

– Przejrzałem pani papiery, więc niech pani mi nie mówi, że jest przeciętną studentką. Świetnie sobie pani radziła. Jaki jest powód przenosin, jeśli wolno

spytać?

Uśmiechnęłam się do siebie. Ciekawe, jak byś zareagował, gdybym opowiedziała całą historię, pomyślałam.

– Mieszkają tu moja mama i mój przyrodni brat, więc po śmierci ojca postanowiłam zamieszkać z nimi – wyjaśniłam. Odpowiedź była najprostsza i jednocześnie prawdziwa.

Profesor skinął głową.

– Cóż, zyskaliśmy świetną studentkę.

– Postaram się sprostować tej opinii.

Uśmiechnął się z uznaniem dla mojej skromności.

– Mam tu pani plan zajęć. Pozwoliłem sobie umieścić panią na moim seminarium z teorii psychospołecznej. Będzie pani zaskoczona, ilu psychiatrów potrafię wykreować już po paru zajęciach – zażartował. – Przed końcem semestru cała grupa dokonuje autoanalizy i każdy wykrywa u siebie jakiś ładny syndrom.

Śmiejąc się, powiedziałam, że mu wierzę.

– Czy interesują panią zajęcia dodatkowe? Z pani dossier wynika, że raczej nie korzystała z nich pani na tamtej uczelni.

– Zgadza się.

– Tylko nauka, żadnych zabaw? – zapytał z nieco flirciarskim uśmiechem.

– Powiedzmy, że zabawową część życia realizuję poza kampusem.

Uniósł brwi i kiwnął głową.

– *Muy bien*. Czasami mój hiszpański sam się włącza – wyjaśnił szybko. – Moja rodzina pochodzi z Kuby. Zdążyli wyemigrować stamtąd, zanim Castro przejął władzę i zamknął wyspę. Ja urodziłem się i wychowałem tutaj. To są moi rodzice – dodał, podsuwając mi fotografię. – A tu siostra i jej mąż wędkarz. Traktuje swoje hobby bardzo poważnie, niemal jak formę sztuki. Więcej nie powinienem mówić, bo jeśli powiem cokolwiek o kimś z mojej rodziny, od razu się jeży, podejrzewając, że robię mu psychoanalizę. Czy w pani domu też tak było?

– Czasami. – Uśmiechnęłam się, przypominając sobie burzliwe rozmowy taty z moją matką adopcyjną. Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że w gruncie rzeczy urządzał jej małe seanse.

– Rozumiem, że urodziła się pani i wychowała w Karolinie Południowej, tak?

– Zgadza się.

Skinął głową i na moment zapadła znacząca cisza. Tempo, w jakim stowarzyszyliśmy się ze sobą już na pierwszym spotkaniu, zadziwiało mnie i zarazem odprężyło.

– Jestem ciekaw – podjął – jak widzi pani siebie, powiedzmy, za dziesięć lat?

– Słucham?

– To taka zabawa, którą odgrywam ze wszystkimi moimi studentami, ale ma poważny podtekst. Pozwala mi uzyskać wgląd w ich osobowość, dowiedzieć się, czego się spodziewają po swoim wykształceniu, jakie zakładają sobie cele i tak dalej.

– Mam nadzieję, że osiągnę chociaż połowę sukcesu ojca. Nie chciałabym jednak pracować w klinice. Wolałabym działać w mniej formalnej strukturze. Coraz poważniej myślę o pracy z młodymi ludźmi, o specjalizacji w tej dziedzinie.

Uśmiechnął się i kiwnął głową, jakby spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi.

– Dzięki. Teraz już jestem pewien, że będzie się pani dobrze u nas czuła. Jesteśmy bardzo młodą uczelnią, zaledwie zarodkiem w porównaniu z innymi uniwersytetami i akademiami w całym stanie, nie mówiąc już o kraju, ale dzięki temu naszym atutem jest brak skostnienia. Wszyscy tutaj jesteśmy studentami.

– Cieszę się, że znalazłam uczelnię z interesującym mnie programem tak blisko Palm Beach.

– Tak. A zatem – ruchem głowy wskazał na plan zajęć – jak się pani podoba nowy program?

Przeczytałam dokumenty, czując na sobie jego spojrzenie.

– Bardzo mi odpowiada – zapewniłam po chwili. – Jest tu wszystko, na czym mi zależało.

– Znakomicie. W takim razie poproszę Normana, żeby oprowadził panią po kampusie, jeśli oczywiście pani zechce.

– Nie trzeba, poradzę sobie. Zdążę go zwiedzić, zanim zacznę zajęcia. Przyjadę tu innym razem.

– Proszę śmiało dzwonić do mojego biura, gdyby pani miała jakieś pytania albo potrzebowała pomocy – zaoferował.

– Dziękuję.

– Podobnie jak pani mam niedaleko na uczelnię – zaznaczył z uśmiechem. –

Dojeżdżam z Palm Beach Gardens. Moi rodzice są właścicielami dość znanej restauracji w West Palm Beach. Nazywa się Havana Molena. – Znów się uśmiechnął. – Molena to imię mojej mamy. Moja siostra i jej mąż – o ile ten ostatni nie jest na rybach – prowadzą lokal, ale nasz ojciec zawsze jest w pobliżu, gotów do pomocy, a mama nadal zarządza kuchnią.

– Z pewnością tam zajrzę.

– Jeśli powoła się pani na mnie, dostanie pani za darmo rum i colę – powiedział ze śmiechem. – Wie pani, kiedy zaczyna się semestr. Działamy w systemie trymestralnym. Powiadomiłem już pani wykładowców. Tutaj – dodał i wręczył mi wyjętą z teczki kopertę – ma pani listę książek oraz inne materiały do nauki.

– Dziękuję.

– Jest też plan kampusu, godziny urzędowania mojego biura i temu podobne informacje. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania, sprawy?

– Na razie nie. Bardzo mi pan pomógł. Dziękuję, profesorze.

Wstałam, a Fuentes zerwał się i wyciągnął do mnie rękę.

– Witamy w naszych skromnych murach. Mam nadzieję, że studia będą dla pani przyjemne i owocne.

– Jeszcze raz dziękuję.

Skinął mi głową na pożegnanie. Wyszłam, myśląc o tym, jak dziwnie intensywnie wpatrywał się we mnie. Ciągle czułam na sobie jego wzrok – nawet kiedy wsiadłam do samochodu i wyjeżdżałam z parkingu.

Już w chwili, kiedy weszłam do domu w Joya del Mar, wyczułam, że mama będzie się chciała wycofać z wizyty w salonie piękności. Nie czekała ubrana do wyjścia; w ogóle nie mogłam jej znaleźć i pomyślałam, że poszła na plażę poszukać Lindena. Zadzwoiłam na komórkę, ale nie odpowiadała. Mamy nie było też w niewielkim salonie i w kuchni. Zajrzałam do sypialni i do łazienki. Tam też jej nie było.

Wyszłam na taras, żeby popatrzeć na plażę, ale wydawała się pusta. Jednak w pewnym momencie, kątem oka, zobaczyłam mamę w oddali, na lewo od domu, ledwie widoczną zza niewielkiego pagórka. Wiatr rozwiewał jej włosy. Pobiełam tam. Nie odwróciła się, kiedy ją wołałam. Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi, intensywnie wpatrzona w ocean, sztywna i wyprostowana jak posąg.

– Mamo! – krzyknęłam jej niemal do ucha.

Pokręciła głową, nie odwracając się do mnie.

- Czemu nie jesteś gotowa? Przecież zaraz mamy jechać na lunch!
- Wybacz – powiedziała szybko i rzuciła mi bardzo zatroskane spojrzenie. – Nie mogę. Jedź tam beze mnie, Willow.
- Mamo, dlaczego? Wszystko było już ustalone. Nie ma żadnych przeszkód, żebyś pojechała.
- Dla ciebie nie ma, a dla mnie są, Willow. Zrozum, nie mogę tak po prostu ubrać się i wyjść, jak gdyby nic się nie zdarzyło w ciągu tych wszystkich lat. Zresztą po co miałabym się upiększać? Nie wyobrażam sobie, że miałabym wrócić do życia towarzyskiego. Nie łudźmy się. Nawet jeśli przeprowadzimy się do dużego domu, nie zamierzam wydawać wystawnych przyjęć ani składać wizyt.
- Nie przenosimy się tam, żeby prowadzić próżniacze życie, mamo. Robimy to dla siebie – argumentowałam z rosnącą desperacją. – Poczujesz się lepiej, kiedy o siebie zadbasz. Jestem tego pewna. Proszę, mamo, spróbuj.
- Uśmiechnęła się do mnie.
- Za bardzo się o mnie martwisz, Willow. Dobrze mi tak, jak jest, wierz mi.
- Znow się uśmiechnęła i poklepała mnie po dłoni. – Przyznam, że kiedy pojechałaś zapisać się na uczelnię, usiadłam przy toalecie i stwierdziłam, że nie mam ochoty nic robić z włosami i z twarzą. Tak ukształtowało mnie życie i taka jestem. Widzę w lustrze kobietę, w której przed laty zakochał się twój ojciec; kobietę, która nie tracąc nadziei, stawała na pomoście i modliła się, aby przyplłynął do niej. Nie jestem gotowa, żeby ją odrzucić. Potrafisz to zrozumieć? – zapytała łagodnie.
- Oczywiście, że rozumiałam. A zarazem próbowałam robić to, na co ona nie potrafiła się odważyć – zamknąć drzwi do przeszłości, wyjść z mroków ku światłu, nieomal stworzyć siebie na nowo. Chciałam zostawić sobie tylko najpiękniejsze, wybrane wspomnienia. Poza tym nie widziałam więcej powodów, aby pielęgnować związki ze swoim dawnym światem. Natomiast mama miała wszelkie powody, aby trwać przy nim za wszelką cenę, bo nie znała innego szczęścia niż to, które kiedyś przeżyła.
- Tak – odparłam niechętnie.
- Podejrzewasz, albo wręcz jesteś przekonana, że żyję w świecie naiwnej fantazji? Zamierzasz zdiagnozować u mnie jakieś schorzenie psychiczne i przekonywać, że w ten sposób krzywdzę siebie? – Uśmiechnęła się gorzko.
- Nie, mamo. Żaden psychiatra nie namawiałby ciebie, żebyś porzuciła marzenia. Twój świat marzeń i wspomnień służy ważnemu celowi. Co innego,

gdyby fantazje zaczęły górować nad twoim życiem i je kontrolować. Wtedy psychiatrzy mieliby powody do niepokoju.

– Przypuszczam, że to się dzieje od pewnego czasu – przyznała mama. – Musisz mi wybaczyć, że wolę ten stan i nie mam ochoty wracać tam. – Gestem wskazała na duży dom z wypielegnowanym otoczeniem, jawną oznakę królewskiego statusu, obowiązującego w Palm Beach. – Całe to piękno, cały ten luksus nie zastąpią mi tego, co straciłam, i tego, co ciągle chcę zachować. – Uśmiechnęła się. – Czy wiesz, że twój ojciec często czytał mi wiersze?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie pamiętam, żeby czytał coś innego niż prasę fachową czy dzieła jego słynnych kolegów.

– No widzisz, sięgał jednak do poezji i literatury. Mówił, że w poezji często znajduje głębokie i złożone idee, wyrażone w piękny i prosty sposób. Kiedy się rozstawaliśmy, cytował Dantego Gabriela Rossetiego: „Piękno bez ukochanej osoby jest niczym miecz wbity w serce”. W ten sposób chciał mi powiedzieć, że od chwili, kiedy się rozstaniemy, jego życie stanie się o wiele mniej warte i niczego nie będzie już cenił tak, jak przy mnie. Ja czułam to samo, tylko nie umiałam tego tak ładnie wyrazić.

Przez te wszystkie lata starałam się na swój sposób utrzymać go przy sobie pomimo rozstania. Gdybym miała zamknąć ten rozdział, zacząć nowe życie z nową twarzą i nowym spojrzeniem na rzeczywistość... Cóż, wbrew temu, co sądzisz, niewiele by mi to dało.

Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki mama nie wyjęła chusteczki.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. Czule otarła mi łzy i pocałowała mnie w czoło. – Rób, na co cię stać, a będziesz szczęśliwa, Willow. I nie pozwól, żebym cię w tym hamowała. Nie mogę być dla ciebie przeszkodą w realizacji twoich planów. Przyj do przodu, nie oglądając się na mnie. Bardzo cię o to proszę.

– Nigdy nie będziesz dla mnie ciężarem, mamó.

– Wiem. Ale tak się czuję, kiedy widzę, że zamartwiasz się o mnie. Źle mi z tym, a mój stan wpływa z kolei na ciebie i nawet na Lindena. Koło się zamyka. – Zerknęła w stronę plaży.

– Gdzie on teraz jest?

Westchnęła ciężko.

– Wyszedł, żeby malować. Jest trochę spokojniejszy. Lekarstwa musiały zadziałać.

Wciągnęłam głęboko powietrze. To musi być dla niej trudne. Zawsze było

trudne, pomyślałam.

– Jedź, Willow. Nie trać umówionej wizyty. I wróc jako dziecko fortuny – dodała i zaczęłyśmy się śmiać. Wielu młodych ludzi z Palm Beach i nawet starszych żyło na koszt rodziców, czerpiąc pełnymi garściami z ogromnych fortun, zgromadzonych przez ich rodziców i dziadków. Ich właśnie nazywano dziećmi fortuny.

– Pojedźmy chociaż na lunch – zaproponowałam z nadzieją.

Pokręciła głową.

– Zrobiłam sałatkę jajeczną dla Lindena. Choć jest to jedno z jego ulubionych dań na lunch, nie zje, jeśli nie będę nad nim stała.

– Dobrze, w takim razie zjem lunch z wami.

Mama zacisnęła usta w bolesnym grymasie i pokręciła głową.

– Mówiłam już, że nie chcę, abyś ciągle musiała się ze mną liczyć, Willow. Tak nie powinno być. Rób swoje i nie oglądaj się na mnie.

– Nie muszę się czegoś wyrzekać ze względu na ciebie. Nie mam tu jeszcze zbyt wielu przyjaciół, a nie lubię sama jeść lunchu. Pójdę poszukać Lindena i powiem, że czekamy na niego z lunchem.

– Okay. A ja nakryję stół na tarasie.

– Świetnie. – Zeszłam na plażę.

Znalazłam Lindena w jednym z jego stałych miejsc, wpatzonego w ocean. Siedział obok sztalugi i sprawiał wrażenie, jakby medytował. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że płótno jest nietknięte.

– Cześć, Lindenie – powitałam go. Nie poruszył się. – Mama mnie przysłała. Zbliża się lunch i zrobiła sałatkę jajeczną, którą uwielbiasz.

Wstrzymałam oddech, oczekując odpowiedzi; jakiegokolwiek odpowiedzi – ale Linden milczał jak zakłęty.

– Morskie powietrze wzmacnia mój apetyt. Twój też?

Wreszcie powoli obrócił się ku mnie i popatrzył na mnie podejrzliwie spod zmrużonych powiek.

– Dlaczego wróciłaś? – Jego gniewny ton niemile mnie zaskoczył. Na moment straciłam rezon.

– Teraz tutaj jest mój dom. Ty i mama jesteście moją rodziną. Nie mam już niczego w Karolinie Południowej. Mój ojciec odszedł i sprzedałam posiadłość. Czy nie chcesz, żebym była z wami?

Patrzył na mnie i jego twarz nie złagodniała, ale zamrugał gwałtownie.

– Myślisz, że skłonicz go do małżeństwa? Łudzisz się, że będziesz dla niego

całym światem? On nie jest do tego zdolny. – Uśmiechnął się chłodno. – Dorastałem tutaj, w cieniu, obserwując, jak uwodzi kolejne dziewczyny i łamie im serca. Każda z nich, tak jak ty, była święcie przekonana, że przy niej się ustatkuje. Ale, powtarzam, on nie jest do tego zdolny – zakończył jadowitym tonem.

– Każdy w pewnym momencie chce się zmienić, gdyż zdaje sobie sprawę, że kiedyś może zostać sam.

Moje słowa były niczym ostre strzały, wbijające się w sam środek celu. Widziałam – po sposobie, w jaki Linden zgarbił ramiona i odwrócił głowę – że trafiły.

– To niejedyny powód mojego powrotu – mówiłam. – Wróciłam, żeby zamieszkać z tobą i mamą, a jednocześnie realizować swoje życiowe cele. Chcę także pomóc wam obojgu. Przeprowadzimy się do dużego domu. Mama powinna być szczęśliwa, nie uważasz?

– Nie – odparł ostro.

– Nie? Dlaczego? Wcześniej się cieszyłeś, planowałeś swoją nową pracownię.

– Sam siebie zwodziłem. Tam jest za dużo duchów – wymamrotał.

– Wypędzimy duchy, Linden. Ty i ja, razem – zapewniłam. – Wypędzimy na zawsze.

Znów odwrócił się do mnie, z nowym wyrazem twarzy, i pomyślałam, że promyk nadziei przebija tę maskę nieszczęścia.

– Ty i ja?

– Tak, Linden. Urządźmy dom po swojemu. Będziesz miał wielką pracownię i stworzysz wspaniałe dzieła. Och, Linden, należy się nam szczęście! Spróbujmy być szczęśliwi razem, proszę – powiedziałam błagalnym tonem.

Nikły uśmiech na moment rozświetlił twarz mojego brata, ale za chwilę Linden szybko zacisnął usta, rysy nabrały twardości, jakby przyłapał siebie na wstydlivej czynności tolerowania optymizmu.

– Chodźmy do domu na lunch, Linden – ponagliłam łagodnie. – Mama nakryła już do stołu na tarasie. Miło będzie zjeść razem lunch, nie sądzisz?

– Myślałem... – Pokręcił głową.

– Co?

– Nie wiem. Czasami mam taki mętlik w myślach... i we wspomnieniach.

– A o czym myślałeś? Powiedz, a ja powiem ci, czy rzeczywiście masz zamęt, czy tylko ci się wydaje. – Spojrzał na mnie sceptycznie. – Zawsze

byłam z tobą szczerą – dodałam.

Na ten jeden krótki moment zyskałam jego zaufanie.

– Myślałem, że zjesz lunch przy Worth Avenue, a potem pojedziecie z Grace do salonu piękności.

– Ona nie chce. Nie powinniśmy naciskać. Sama musi dojrzeć do pewnych rzeczy.

Uniósł brwi, słysząc, że włączyłam go do swoich planów. Z łatwością, z jaką zdejmuje się maskę, odrzucił resztki gniewu i niechęci, przybierając łagodny, rozmarzony wyraz. Niespiesznie przeniósł wzrok na płótno.

– Nie podoba mi się to, co dotychczas robiłem. Niedobry objaw – powiedział, wstając.

Znow popatrzyłam na puste płótno, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam – jakichś szkicowych linii, może jeszcze czegoś – ale nic tam nie było. Kiedy odwróciłam się do Lindena, zobaczyłam, że wpatruje się we mnie wyczekująco.

– I jak? – zapytał. – Jakie jest twoje zdanie? Zdążyłem się zorientować, że co nieco wiesz o sztuce.

– Ale... Nadal za mało, żeby wygłaszać opinie, Linden – zastrzegłam ostrożnie.

Uśmiechnął się.

– Bardzo dyplomatyczna odpowiedź. Myślę, że kiedyś będziesz dobrym psychiatrą. – Przeszedł przed pustym płótnem i zatrzymał się parę kroków dalej. – No i co? – rzucił. – Idziemy na ten lunch czy nie?

– A jak twoje inne obrazy? – zagadnęłam, patrząc na sztalugę.

– W porządku. Ale to nieważne. Idziemy?

– O, tak, tak. – Szybko zrównałam z nim krok.

Szliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Kiedy niechący trąciłam go ramieniem, aż podskoczył. Zatrzymał się i popatrzył na mnie.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Chciałbym dzisiaj malować ptaki – mruknął i ruszył w stronę domu. – Tyle że one kiepsko współpracują. Wiedzą, kiedy chcę je malować, i bawią się ze mną w kotka i myszkę. Po prostu mnie dręczą. Tak samo jak morze, niebo, chmury, gwiazdy i ty! – wykrzyknął, przyspieszając kroku, żeby pierwszy dopaść domu. Włosy mu się rozwiewały i wyrzucał w górę ramiona, jakby ściągnął z góry linę i wspinał się po niej z wysiłkiem.

Linden spokojnie jadł lunch. Sprawiał wrażenie zatopionego w myślach i automatycznie pochłaniał jedzenie. Sposób, w jaki na nas patrzył, zarazem nas nie widząc, denerwował mamę. Ciągłe mówiła, jakby chciała zagadać przedłużające się momenty ciszy; jakby się bała, że Linden zrobi albo powie coś strasznego, jeśli ona zamilknie chociaż na chwilę. Najwięcej rozprawiała o dużym domu i o tym, co powinna tam przenieść, a czego nie.

– Prawie wszystkie meble należą do wyposażenia domu – wyjaśniła. – Także większość dzieł sztuki. To duży budynek, za duży dla nas. Trudno będzie o niego dbać. Będziemy musieli zdecydować, której części mamy używać, a którą trzeba zamknąć, bo przecież wiecie, że nie stać nas na więcej służby.

– Nie mam nic przeciwko temu, mamo.

– Utrzymanie dużego domu jest kosztowne – ciągnęła. – Wiesz, prąd, woda, naprawy i różne inne rzeczy.

– Damy radę – zapewniłam ją. – Zwłaszcza że Linden będzie malował i sprzedawał wiele swoich obrazów. – Zerknęłam na niego z uśmiechem.

– Tak, stać go na to, jeśli tylko zechce – powiedziała.

Linden oderwał wzrok od stołu i popatrzył na nią, na mnie i znów na nią. Wyraz jego twarzy zdradzał zaskoczenie.

– Nie wiem, czy sprzedam jakieś swoje prace, mamo.

– Oczywiście, że tak. Tylko musisz próbować. Będziesz próbował, prawda?

Kiwnął głową.

– Tak, mamo.

– Cieszę się. – Westchnęła. – Może to jednak będzie nowy początek.

Znów zrobił zaskoczona minę i przeniósł wzrok na mnie, jakby wreszcie sobie uświadomił, że naprawdę wróciłam i jesteśmy razem. Kiwnął głową.

– Może – powiedział prawie szeptem.

Uśmiechnęłam się, ale twarz Lindena pozostała nieruchoma. Jego uśmiechy stały się ostatnio rzadsze od brylantów, ale tym bardziej wyczekiwane i cenne.

Po lunchu pojechałam sama do salonu piękności. Miałam żal do mamy, że zmieniła zdanie. Bardzo mi zależało, żebyśmy spędziły ten dzień jak matka z córką, lecz zrozumiałam już, że nie można niczego przyspieszać. Przed nami była długa droga i ogromne pokłady emocjonalnego bólu, które należało po trochu łagodzić i likwidować. Tego nie dokona się w ciągu jednej doby. I proces nigdy nie zostanie zakończony, ale jak mawiał tata – „ruch o centymetr też jest ruchem do przodu”.

W salonie panował ogromny ruch i recepcjonistka nie była zachwycona,

kiedy powiedziałam, że mama nie przyjdzie.

– Czy pani nie zdaje sobie sprawy, jak trudno jest umówić się z nami? – wycedziła. Nie była dużo starsza ode mnie, ale zachowywała się arogancko i protekcjonalnie.

Miała na sobie czarne skórzane spodnie i białą przezroczystą bluzkę, pod którą rysował się niewielki, ale jędrny biust. Włosy utlenione na blond. Uznałam, że przesadziła z makijażem, a zwłaszcza ze szminką. Nabrzmiąte usta wyglądały, jakby były zrobione z wosku.

– Zapłacę za wizytę – powiedziałam.

– Nie o to chodzi. – Niepotrzebnie podniosła głos. Jawnie pragnęła przyciągnąć uwagę najbliższych pracowników i ich klientek. – Mamy klientów, którzy na nas liczą, a zadowolenie klientów jest naszym priorytetem – wyrecytowała.

– Doprawdy? – warknęłam. – W takim razie nie rozumiem, jakim cudem ktoś tak antypatyczny może tu pracować.

– Ja? Antypatyczna?

– Co się dzieje? – zapytał męski głos zza moich pleców. Odwróciłam się i zobaczyłam mężczyznę o ciemnych włosach związanych w kucyk. Miał czarne spodnie i czerwoną koszulę z żabotem, podwinięte rękawy powyżej szczupłych nadgarstków. Czarne perełki oczu patrzyły to na mnie, to na recepcjonistkę.

– Ta klientka po prostu przyjechała i powiedziała, że druga osoba się nie zjawi. Nawet nie uprzedziła!

– Rozumiem.

– Nie miałam na to wpływu – wyjaśniłam. – Przeprosiłam i zaproponowałam, że zapłacę za niewykorzystaną wizytę. Miałam tu być z matką.

– A, pani De Beers?

– Tak.

– Jestem Renardo de Palma. Nic się nie stało, Candace. Nie trzeba wytaczać aż takich dział – dodał władczym tonem, z naganą, która doprowadziła dziewczynę niemal do łez.

– Ja tylko robię, co mi kazano – odparła płacząco.

– Zajmę się tą panią – poinformował. – Czy pani matka źle się poczuła? – zapytał konfidencjonalnym, niemal zatroskanym tonem, choć wiadomo było, że nie pyta szczerze. Tym uśmiechem czarusia mógłby ugłaskać kobrę.

- Tak – odpowiedziałam, uznawszy, że tak będzie najprościej.
- Cóż, zdarza się. Nic się nie stało. Pani pozwoli, że zajmę się nią osobiście.
- Nie czekając na odpowiedź, poprowadził mnie do jednego ze stanowisk. – I proszę się nią nie przejmować. To córka brata i wypadało mi ją zatrudnić. – Dziewczyna zrobiła urażoną minę. Podobała mi się jego brutalna szczerłość.
- Tędy. – Zaprowadził mnie na wolny fotel w samym końcu salonu.
- Idąc, czułam na sobie spojrzenia i słyszałam, jak cichły rozmowy, kiedy się zbliżałam. Fryzjerki i kosmetyczki zamierały na moment z przyrządami w rękach. Salon wrócił do życia dopiero wtedy, kiedy Renardo wziął ode mnie zakiet i torebkę, dając znak, żebym zajęła miejsce w fotelu.
- Cóż – powiedział, stając za oparciem. – Zobaczymy, od czego trzeba zacząć.
- Zważył moje włosy w dłoniach i popatrzył na moje odbicie w lustrze.
- Panno De Beers. – Nagle zaczął zwracać się do mnie jak do dziecka. – Widzę, że nie dbało się o włosy tak, jak powinno. – Z naganą pokręcił głową.
- Rozdwojone końcówki i włosy są za suche. Najpierw musimy je zregenerować, a dopiero potem sięgnę po nożyczki.
- Nożyczki? Chce mi pan zmienić fryzurę? – zaniepokoiłam się.
- Ależ naturalnie, *señorita*. Nie wykorzystujesz szansy, jaką włosy mogłyby dać twojej pięknej buzi – odparł. – Dla mnie kobiece włosy są ramą dla twarzy, tak samo ważną jak rama dla obrazu. Piękny obraz wymaga odpowiedniej oprawy, nieprawdaż? Jeśli nie będzie efektowna, zabierze mu blask.
- Słusznie – przyznałam.
- *Muy bien*. W takim razie zaczynamy. Jesteś w rękach artysty, więc się nie obawiaj – zaznaczył i się odwrócił. – Trinity! – zawołał do młodej, ciemnowłosej dziewczyny, paplającej z recepcjonistką. Urwała w pół zdania, przeprosiła koleżankę i pospieszyła do nas. – Mycie i odżywka – polecił. – Formuła czterdzieści dwa.
- *Sí* – odpowiedziała służbiście. Była energiczna, o bystrych ciemnych oczach i wyglądała na nie więcej niż siedemnaście lat.
- Wróć, kiedy będziesz gotowa.
- Rzucił młodej praktykantce surowe, niemal groźne spojrzenie, po czym zostawił nas same. Miałam wrażenie, że dziewczyna drży, kiedy zakładała mi ochronną kapę i odchyłała głowę do tyłu.
- Wygodnie? – spytała.

– Tak.

Sprawdziła, czy woda nie jest za gorąca, i zaczęła myć włosy, masując mi głowę długimi, pewnymi pociągnięciami palców, z zapalem i starannością kogoś, kto niedawno nauczył się różnych technik i chce się upewnić, że idealnie się nimi posługuje.

– Nie za ciepła?

– Nie, dobra. – Zamknęłam oczy. – Od jak dawna tu pracujesz? – Byłam prawie pewna, że jestem jedną z jej pierwszych klientek.

– Pięć lat.

Otworzyłam oczy.

– Pięć lat? W takim razie... ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden. Ojciec zatrudnił mnie w tym salonie, kiedy miałam szesnaście.

– Ojciec?

– Renardo de Palma. Jestem jego córką.

– Córką? – Czyżby rodzinne przedsiębiorstwo?

Jej palce poruszały się teraz bardziej energicznie, jakby była zła na siebie za to wyznanie. Teraz naprawdę robiła mi masaż skóry głowy.

– Chciał, żebym kiedyś poprowadziła salon, ale powiedziałam mu, że mam inne plany – mówiła cicho. – Na razie trzyma mnie tu jako pomoc i ma nadzieję, że z czasem zacznę strzyc i czesać. Być może ojciec nie zdaje sobie sprawy, że tkwi jedną nogą w zeszłej epoce. Ma takie starodawne przekonanie, że rodzic musi układać życie swojemu dziecku. Wybrał mi nawet męża, kuzyna piątego stopnia. Czy to jest do pomyślenia, żeby w dzisiejszych czasach rodzice dyktowali córce, za kogo ma wyjść za mąż? – dodała z irytacją.

Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, ilu rodziców nadal traktuje swoje dzieci jak własność, jak marionetki, którymi mogą manipulować, westchnęłam w duchu, myśląc o Bunny Eaton, ale nie powiedziałam tego głośno. Chciałam się zrelaksować, nic nie robić i nie myśleć. Dziewczyna spłukała włosy, nałożyła na nie odżywkę zaleconą przez ojca i powiedziała, że mam siedzieć pięć minut. Skóra na głowie przyjemnie mrowiła.

– Mogę przynieść magazyn, jeśli pani sobie życzy – zaproponowała.

– Nie, dziękuję.

Odstąpiła w tył, ale została przy mnie.

– Pani jest z Joya del Mar. Kuzynka mi mówiła – powiedziała po chwili.

- Zgadza się.
 - Pani jest u nas po raz pierwszy czy była już, tylko nie na moim dyżurze?
 - Po raz pierwszy. Mieszkam w Palm Beach od niedawna.
 - W Joya del Mar mieszka też pan Eaton. Wiem, bo wczoraj myłam głowę jego narzeczonej – poinformowała nie bez dumy.
 - Narzeczonej? Zaraz, o kim ty mówisz? – Uniosłam głowę. Może chodzi o jego siostrę?
 - Mówię o tym prawniku, panu Eatonie – wyjaśniła.
 - Skąd wiesz, że jest zaręczony? – dopytywałam się bardziej agresywnym tonem, niż zamierzałam. Zaskoczona dziewczyna cofnęła się o krok.
 - Wiem, bo czytałam w prasie. Poza tym kiedy myłam głowę pannie Raymond, też o tym wspomniała. Przychodzi tutaj dwa razy w miesiącu ze swoją przyszłą szwagierką, ale jej nie myję głowy. Zawsze idzie do Carol Ann – dodała, zerkając z niechęcią na młodą kobietę, która w innej części salonu myła głowę starszej pani.
 - Mówiłaś, że pisano o tym? Niedawno?
 - *Sí*. Przynieść? – spytała.
 - Tak, poproszę. – Opuściłam głowę. Miałam wrażenie, jakby serce zsuwało mi się na samo dno klatki piersiowej.
- Dziewczyna przeszła na front salonu i zagadała do recepcjonistki, a ta sięgnęła pod ladę i podała jej kolorowy magazyn. Trzymając go w ręce, przybiegła do mnie pospiesznie, jakby miała doręczyć pilny telegram samej królowej angielskiej.
- Proszę. To jest w rubryce *Puls miasta*. – Podsunęła mi „Błysk”, jak nazywano popularny tutaj magazyn w lśniącej lakierowanej okładce, otwarty w odpowiednim miejscu. Pod kolumną towarzyską podpisała się jakaś Suzy Q. Większość tekstów była poświęcona ostatniemu balowi charytatywnemu, wydanemu przez jakiegoś księcia w Muzeum Flaglera. Wydrukowano pełną listę gości. Dalej donoszono, że Vera, córka sir Floyda Raymonda, niedawno uszlachconego adwokata, jakoby spodziewa się... Ale nie dziecka, jeszcze nie. Vera spodziewa się otrzymać pierścioneł zaręczynowy od jednego z najbardziej pożądaných kawalerów w Palm Beach, Thatchera Eatona. Drżycie, dziewczyny, gdyż wzięty prawnik zdaje się wychodzić naprzeciw jej oczekiwaniom, a z tego, co wiemy, rodzina nie zgłasza jakichkolwiek obiekcji.
- Ilustracją było zdjęcie Very Raymond z Thatcherem. To ta sama kobieta, którą widziałam z nim w kawiarni! Poczulał, że krew odpływa mi z twarzy.

– Mam wrażenie, jakby pani ją znała i wszystko o tym wiedziała. – Ciekawość Trinity rosła coraz bardziej.

– Nic nie wiem, bo niedawno się tu sprowadziłam. – Z trudem panowałam nad głosem. Nawet proste zdanie utykało mi w krtani, jakby było zrobione z drutu kolczastego. Kurczowo zaciskałam palce na gazecie, wpatrzona w fotografię Thatchera i Very Raymond. Otoczył ramieniem jej talię i oboje uśmiechali się do obiektywu. Musiałam sprawiać wrażenie, jakbym chciała przepalić papier spojrzeniem.

– Może pani to sobie zatrzymać – powiedziała córka Renarda, cofając się nieznacznie.

– Nie – wycedziłam i podsunęłam jej magazyn na wyciągniętej ręce, jakby był nasycony trucizną. Wzięła go ostrożnie, uśmiechnęła się do mnie i pobiegła, żeby zwrócić go do recepcjonistki, która obserwowała nas z daleka. Widziałam, jak ich głowy zbliżyły się na moment do siebie, kiedy dziewczyny dzieliły się nową plotką.

Z powrotem odchyliłam głowę do tyłu. Trudno mi było oddychać. Pomimo klimatyzacji powietrze wydawało się gorące i duszne. Zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, miałam wrażenie, że cały salon patrzy na mnie i szepcze. Po chwili Trinity wróciła, aby spłukać mi włosy i owinąć je ręcznikiem.

– Jest pani krewną pana Eatona? – spytała. Najwidoczniej została oddelegowana do wyciągnięcia ze mnie jak najwięcej informacji, na które czekały już plotkary, żeby sprzedać je, komu się da.

– Przyjechałam tutaj, żeby się uczesać – ucięłam. – Po nic więcej.

Cofnęła ręce, jakby dotknęła rozgrzanego piecyka.

Spiorunowałam ją gniewnym spojrzeniem.

– Powiem tacie, że może już panią przejąć. – Oddaliła się w pośpiechu.

Za moment stanął przy mnie Renardo de Palma; przesłodzony uśmiech lukrował mu twarz.

– Teraz strzyżenie, prawda?

– Nie. – Wstałam.

– Słucham?

-- Przepraszam, ale zmieniłam zdanie. Nie chcę nic robić z moimi włosami.

Rozwiązałam narzutkę ochronną i cisnęłam ją, nie patrząc, gdzie upadnie. Moje serce dudniło jak przebita opona w pędzącym samochodzie.

– Ależ *señorita*...

– Muszę iść. – W pośpiechu wkładałam zakiet. Renardo gapił się na mnie

z otwartymi ustami, znieruchomiały w geście zaproszenia na fotel.

– Ale pani włosy... są mokre i...

– Nic się nie stało – przerwałam mu. – Ile jestem panu winna?

Pokręcił głową.

– Dobrze, w takim razie proszę mi przysłać rachunek. – Pod ostrzałem dziesiątków spojrzeń pomaszerowałam przez salon do wyjścia. Wszyscy ucichli i obserwowali moją ucieczkę. Kiedy drzwi się za mną zamknęły, poczułam się, jakbym wyszła z sauny. Odetchnęłam głęboko i wsiałam do samochodu. Woda z włosów ściekała mi po szyi i twarzy.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że muszę wyglądać jak wariatka i że przechodzący ludzie patrzą na mnie dziwnie. W mojej głowie kołatała się tylko jedna myśl – uciec jak najdalej od tych nachalnych spojrzeń i szeptów, które krępowały mnie jak łańcuchy. Czułam się zniewolona, złapana w pułapkę i obnażona tak, że każdy mógł zobaczyć pęknięcia w moim sercu.

Jak on mógł mi to zrobić? Jak mógł mnie zwodzić i wykorzystać, kłamać i oszukiwać? Pomyślałam, że to gorsze, niż gdyby mnie zgwałcił. W jakimś sensie zostałam zgwałcona, tylko zamiast siły, Thatcher użył obietnic i czułych słówek. Furia narastała we mnie, rozdmывая się jak balon, który zaraz eksploduje.

Nie pamiętałam, jak wsiałam do auta i uruchomiłam silnik. Oderwałam się od krawężnika, nie spojrzawszy w lusterka, i omal nie zderzyłam się z nadjeżdżającym samochodem, który odbił gwałtownie i sam omal nie spowodował karambolu. Kierowca zaczął trąbić i przycisnęłam gaz, aby uciec jak najszybciej z tego miejsca. Za moment zahamowałam z piskiem przed światłami i nagle zamigotały za mną światła policyjnego wozu. Policjant podszedł i dał znak, żeby opuszczała szybę.

– Można spytać, co pani robi?

Patrzyłam na niego z drżącymi wargami, niezdolna wykrztusić słowa.

Światła się zmieniły i funkcjonariusz nakazał samochodom za mną, żeby mnie wyminęły.

– Proszę zjechać na bok i przygotować dokumenty.

– Przepraszam – wybąkałam, mając płonną nadzieję, że skrucha podziała jak magiczna różdżka i policjant po prostu zniknie.

Nie zareagował. Odszedł do swojego auta i czekał, aż zaparkuję przy krawężniku. Wtedy zjawił się ponownie. Po chwili nerwowego grzebania wyciągnęłam z torebki prawo jazdy i wyjęłam kartę wozu ze schowka.

Gliniarz wziął ode mnie dokumenty i ruchem prawego kciuka zsunął czapkę z czoła. Zauważyłam, że wygląda bardzo młodo; za młodo jak na funkcjonariusza.

– Karolina Południowa, co?

– Właśnie się stamtąd przeprowadziłam. Nie miałam czasu się przerejestrować.

– Rozumiem. I prowadzi pani jak ktoś, kto nie ma czasu.

Zerknął na moje mokre włosy.

– Przepraszam – powtórzyłam. – Bardzo się zdenerwowałam i przestałam myśleć.

– Rozumiem. Czy to nowy styl fryzury? – zapytał. Mokre kosmyki oblepiały mi czoło i policzki, a krople wody ciągle spływały po twarzy.

– Nie – odparłam drżącymi wargami.

– Zatrzymała się pani w hotelu?

– Nie, w domu.

– Jaki adres?

– Posiadłość nazywa się Joya del Mar. Gdzieś mam dokładny adres. – Znów sięgnęłam po torebkę.

– Nie trzeba, znam ten adres. Mieszka pani u Eatonów?

– Nie, u Montgomerych. – Nerwowym ruchem otarłam mokrą twarz.

Skinął głową.

– Proszę chwilę poczekać. – Oddalił się do swojego wozu. W tylnym lusterku widziałam, jak mówi do słuchawki samochodowego telefonu. Po paru minutach był z powrotem.

– Okay, panno De Beers. Nasze miasto, choć sławne i pełne znanych postaci, jest niewielką, spokojną społecznością i chcielibyśmy, aby zawsze tak było.

– Rozumiem – odparłam pokornie.

– Mam nadzieję.

Oddał mi dokumenty.

– Radzę, aby na przyszłość rezygnowała pani z prowadzenia auta w nerwowych sytuacjach.

– Wiem, nie powinnam.

– Normalnie otrzymałaby pani mandat za niebezpieczną jazdę w terenie miejskim, ale znany obywatel poręczył za panią. Może pani podziękować panu Eatonowi. Proszę się odprężyć i jak najszybciej wysuszyć włosy – dodał z uśmiechem i ruszył do swojego samochodu.

– Proszę mi wypisać mandat! – zawołałam za nim. – Nie chcę, żeby ktoś za mnie ręczył, a zwłaszcza pan Eaton! – krzyczałam, lecz on albo mnie nie słyszał, albo świadomie ignorował. Wsiadł do wozu i szybko odjechał. Ze złością wcisnęłam prawo jazdy do torebki.

W pierwszym odruchu chciałam odjechać, ale zamiast tego opadłam na oparcie i tak siedziałam parę minut, usiłując ochłonać. Spojrzałam na swoje odbicie w lusterku. Włosy miałam w wilgotnych strąkach i wyglądałam jak wypłosz. Gliniarz musiał naprawdę być w szoku, kiedy mnie zobaczył, pomyślałam, wyobrażając sobie, jak wyglądałam z jego perspektywy. Nagle zaczęłam się śmiać i nie mogłam przestać. Śmiałam się z siebie; zanosiłam się śmiechem do utraty tchu, łzy jak groch ciekły mi po policzkach i rozboleł mnie brzuch. Krztusiłam się i łapałam oddech, wreszcie mi przeszło i mogłam jechać dalej. Teraz już prowadziłam uważnie i nawet wolniej niż zwykle. W pewnym momencie zjechałam do przydrożnej zatoczki, zaparkowałam i weszłam na plażę. Tam usiadłam w ciepłych promieniach zachodzącego słońca i czekałam, aż wyschną mi włosy.

Czasami tak bardzo chcemy, żeby ktoś nas kochał, że stajemy się kompletnie bezbronni i wrażliwi na ciosy; stajemy się ofiarami własnego głodu uczucia, rozmyślałam. I poprzysięgłam sobie solennie: nie będę odgrywać ofiary. Nie będę się smucić i płakać. Może to jednak nie jest miejsce dla mnie. Może faktycznie Thatcher jest tyle samo wart, ile człowiek, który może być jego prawdziwym ojcem. Tym bardziej nie mogę mu pozwolić, żeby tak mnie oszukiwał i upokarzał.

Wstałam, czując się dużo bardziej spokojna i pozbierana. Zanim ruszyłam, rozczesałam jeszcze włosy. Wstydziałam się za siebie, za swój emocjonalny wyskok. Jeśli chcesz zostać terapeutką, musisz być mocniejsza, powiedziałam sobie. Tata zawsze był silny.

A może tylko lepiej ukrywał swój ból?

Rozdział piąty

UTAJNIONY PIERŚCIONEK

Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak ludzie, którym na sobie zależy, mogą mieć przed sobą tajemnice. Były niczym krosty na pięknej twarzy, ciemne plamy. Przyciągały spojrzenie jak magnes, przesłaniając cały widok. A jednak nie chciałam mówić mamie o tym, co się wydarzyło i jak bardzo zaboląło. Uznałam, że lepiej będzie jej nie wtajemniczać i nie dokładać zmartwień.

Na tyle już doszłam do siebie, że miałam siłę udawać. Miałam też nadzieję, że choć spędziłyśmy wiele czasu razem, mama nie zna mnie jeszcze na tyle, żeby rozpoznawać moje najgorsze nastroje. Wkrótce jednak przekonałam się, że więź pomiędzy matką a córką jest czymś mistycznym, czego nie zmienia czas ani odległość. Jak gdyby każda matka miała wbudowany wewnętrzny radar. Moja nie była wyjątkiem, bo kiedy weszłam do domu, wystarczyło jej jedno spojrzenie. Choć przywdziałam na twarz starannie wykonaną maskę szczęśliwości, natychmiast zapytała mnie, co się stało.

– Nic się nie stało – odpowiedziałam zbyt szybko. Nieznacznie uniosła brwi i podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Nie wydaje się, Willow, żeby twoje włosy się zmieniły.

– Nie spodobał mi się ten salon, bo się czepiali o niewykorzystaną wizytę, a poza tym uznałam, że sugestie fryzjera są bez sensu. Po co zmieniać coś, co jest dobre, prawda?

Nie przekonałam jej. Widocznie nie miałam zdolności aktorskich. Kiedy wyczuje, iż coś przed nią ukrywam, pomyśli, że jej nie ufam. Z drugiej strony nie chciałam jej zmartwić. Żadne wyjście nie było dobre. Co mam zrobić, myślałam rozpaczliwie – trzymać swój ból w sekrecie czy wypłakać się w jej ramionach, opowiedzieć o zdradzie Thatchera?

– Dzwonił do ciebie Thatcher Eaton. – Zabrzmiało to, jakby wiedziała, o co chodzi. – Trzy razy w ciągu ostatnich dwóch godzin. Prosił, żebyś jak najszybciej oddzwoniła do jego biura.

– Rozumiem. Jeśli jeszcze raz zadzwoni, powiedz, że mnie nie ma – wypaliłam.

Rzuciła mi wszystkowiedzące, matczyne spojrzenie i kiwnęła głową.

– Co zaszło pomiędzy wami?

Przygryzłam usta i pokręciłam głową.

To wszystko było straszne. Przybyłam, żeby pomóc jej i Lindenowi, a tymczasem niedługo dołączę do nich, też sfrustrowana. Czułam się jak lekarz, który przyszedł do chorego i okazało się, że sam jest chory.

– Powiedzmy, że mnie rozczarował i na razie chciałabym od niego odpocząć, mam. – W moim tonie brzmiało błaganie, by nie wypytywała mnie więcej.

– Jak wolisz, Willow. Nie jestem na tyle silna, żeby być ostoją dla innych, i pewnie nigdy nie byłam, ale pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć w potrzebie.

– Dziękuję, mam. Linden jest w domu czy poszedł na plażę?

– Jeszcze nie wrócił z plaży. Pomyślałam, że pójdę zobaczyć, co robi, ale nie chcę, aby uznał, że go szpieguję. I tak już narzeka, że zachowuję się jak kwoka.

– Uśmiechnęła się. – Podkreśla, że nie jest jajkiem, bo już dawno się z niego wyklął. To dla mnie trudne. Czasami zdaje się nie słyszeć, co do niego mówię, a potem nagle staje się przesadnie wrażliwy, łowi moje spojrzenia i ma pretensję, że obserwuję go jak preparat pod mikroskopem.

– Po prostu ma wahania nastroju i chwile lepszego bądź gorszego kontaktu z rzeczywistością – powiedziałam. – Mam nadzieję, że wszystko się wkrótce wyrówna i że doktorowi udało się dobrze ustawić mu leki.

– Też mam nadzieję. – Westchnęła.

Poszłam do swojego pokoju, po czym szybko przebrałam się w dzinsy i bluzę uniwersytecką z Karoliny Północnej. Bluza przypomniła mi o Allanie Simpsonie, moim byłym chłopaku, i o tym, że tak jak Thatcher, też mnie rozczarował. Zdystansował się ode mnie, kiedy tylko dowiedział się prawdy o moich prawdziwych rodzicach, i nie wspierał mnie w wysiłkach odnalezienia mojej rodzonej matki. Egoista zajęty swoją karierą!

Trudno jest dojść do ładu z mężczyznami. Albo są płytycy, nudni i przewidywalni do bólu, albo gładcy, zdradliwi i potrafią nagle złamać ci serce.

Może powinnyśmy hodować sobie mężów, rozmarzyłam się; wybierać ich ze stada małych chłopców, a potem pielęgnować i dożywiać jak cenne rośliny, aby wreszcie zebrać żniwo i wybrać dorodny okaz. Aż się uśmiechnęłam na tę myśl i świat od razu zrobił się weselszy.

Wtem usłyszałam, jak dzwoni telefon, i podeszłam do drzwi, żeby posłuchać, co odpowie mama. Dzwonił Thatcher, pytał o mnie, bo powiedziała, że jeszcze nie wróciłam. Niestety, kłamanie wychodziło mamie kiepsko. Musiał wyczuć, że mówi nieprawdę, i najwyraźniej na nią naciskał. Wreszcie usłyszałam, jak mama mówi:

– Wybacz, ale mogę jej tylko powiedzieć, kiedy wróci, żeby oddzwoniła do ciebie.

Odłożyła słuchawkę. Włożyłam tenisówki i zesłam do niej do kuchni.

– Przepraszam, że musiałaś to zrobić. Sama powinnam z nim porozmawiać.

Kiwnęła głową.

– Nie wiem, co się stało, Willow, ale radzę, żebyś powiedziała mu szczerze o swoich uczuciach i jak najszybciej przecięła ten wrzód, zamiast skazywać was oboje na niepotrzebne cierpienia.

– Masz rację, zadzwonię do niego.

Jasne, że miała rację. Po co robić uniki i kłamać? To jest jego gra, a nie twoja, powiedziałam do siebie i sięgnęłam po słuchawkę. Kiedy jednak zadzwoniłam do biura, sekretarka powiedziała, że Thatchera nie ma.

– Musi tam być – upierałam się. – Przed chwilą do mnie dzwonił. Proszę mu powiedzieć, że czekam przy telefonie.

– Nie ma go w biurze – powtórzyła z irytacją. – A dokładnie: wyszedł przed chwilą i nie zostawił numeru kontaktowego. – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, rzuciła słuchawkę.

Ja też rzuciłam, tak samo wściekła jak ona. Nie chcąc żalić się więcej mamie, wybiegłam z domu i ruszyłam przed siebie plażą. Znalazłam spokojne, osłonięte miejsce przy wydmach i położyłam się na piasku. Zamknęłam oczy, wsłuchiwałam się w szum fal, kojący moje nerwy. Pomysł okazał się świetny. Ocean miał na mnie mesmeryczny wpływ i okazał się najlepszym lekarstwem na moją obolałą psychę. Zanim się zorientowałam, ukołysał mnie do snu.

Obudził mnie dotyk chłodu. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że pada na mnie długi cień. Usiadłam szybko, rozejrzałam się i zobaczyłam Thatchera, który stał nade mną i przyglądał mi się z uśmiechem. Zachodzące słońce miał za plecami i musiałam zasłonić oczy dłonią. Przesunęłam się, żeby go widzieć.

- Wiem, dlaczego jesteś wściekła i mnie unikasz – powiedział szybko.
- Serio, Thatcher?
- Słyszałem, co się wydarzyło w salonie piękności. – Usiadł po turecku na piasku. W krwistym świetle odchodzącego dnia wpatrywał się we mnie, jego piękne błękitne oczy błyszczały, ale w tym momencie uroda Thatchera tylko mnie drażniła. Chętnie udostępnia tę urodę każdej atrakcyjnej młodej kobiecie z Palm Beach, myślałam zła jak furia.
- I co tam ćwierkały ptaszki? – spytałam zjadliwie.
- W tym mieście wieści rozchodzą się błyskawicznie – powiedział. – Przez PST.
- Co to jest?
- Plotkarska Sieć Telefoniczna. – Roześmiał się.
- Nie jest mi do śmiechu, Thatcher.
- Wiem, wiem. Posłuchaj, Willow, od lat nie schodzę z plotkarskich kolumn „Błysku”. Jeśli jest się uważanym za pożądaną partię i człowiek pokaże się więcej niż raz z jakąś panną, od razu rusza lawina plotek. Przy czym z niezrozumiałych względów mnie najczęściej biorą na celownik.
- Wcale się nie dziwię.
- Rzecz w tym, że w żadnej z tych plotek nie ma nawet ziarenka prawdy. Ostatnią ich serię rozprowadzają niezmordowanie moja matka i siostra. Po prostu wierzą, że jeśli słowo zostanie wydrukowane, stanie się ciałem. – Rozłożył z niewinną miną ręce. – I to wszystko, wierz mi.
- Akurat! – Milczałam chwilę, zanim przystąpiłam do ataku. – Widziałam zdjęcie w magazynie i rozpoznałam w Verze Raymond kobietę, z którą widziałam cię w kawiarni. I okazało się, Thatcher, że nie jest biedną, skołowaną klientką w trakcie krwawego rozwodu. Jedno kłamstwo rodzi drugie i kolejne, aż zaczynają krążyć niczym rój pszczoł i jak to pszczoły – mogą uządlić.
- Z uśmiechem pokręcił głową.
- Nie wiem, dlaczego głupio uważałem, że miałbym cokolwiek przed tobą ukrywać, Willow. Tak, w kawiarni byłem z Verą i chodziło o pewną sprawę, choć rzeczywiście nie rozwodową. Jej rodzice, a zwłaszcza ojciec, jawnie mi podsuwają córeczkę i tak się niestety składa, że jej tatuś jest jednocześnie głównym klientem mojej firmy. Dlatego chciałem mu zrobić przyjemność, paradując z Verą pod czujnym okiem plotkarskiego światka, aby mógł dalej pielęgnować swoje marzenia. Ale skończę z tym sztafajem, obiecuję.

– I doprowadzisz do rozpaczy swoją matkę i siostrę?

– Nic im nie będzie, są przyzwyczajone. Powinienem ostrzec cię przed tutejszymi plotkarskimi kolumnami i plotkarską siecią, ale nie przypuszczałem, że potraktujesz to śmiertelnie poważnie.

– W waszym świecie prawda czy fałsz są zwykle po jednej i drugiej stronie monety. Każdy rzut jest dobry. Skąd mam wiedzieć, co brać poważnie, a co nie?

– To masz brać poważnie. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej błękitne jubilerskie pudełeczko z nadrukiem „Tiffany”.

Gapiałam się na nie bez słowa.

– Otwórz i zobacz, co jest w środku, Willow.

Z wahaniem wzięłam od niego pudełeczko. W środku był pierścionek zaręczynowy z brylantem – musiał być dwu- czy trzykaratowy – oprawnym w platynę. Serce zabiło mi tak szybko, że straciłam oddech.

– Nie znałem rozmiaru twojego palca, ale potrafię oszacować takie rzeczy. – Wyjął pierścionek z pudełka i wsunął mi na palec. Pasował idealnie. – Widzisz?

– Thatcher, to pierścionek zaręczynowy!

– Tak nazywają te rzeczy. – Odchylił się do tyłu i tak leżał, wsparty na łokciach, mrużąc oczy w blasku zachodzącego słońca. – Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za parę miesięcy, najwyżej za sześć, możemy wziąć ślub. Oczywiście – ciągnął w pośpiechu i znów usiadł – nie chcę, abyś myślała, że masz zrezygnować ze swoich planów ze względu na małżeństwo, a zwłaszcza ze studiów i kariery. Sądzę też, że ślub powinien się odbyć tutaj, prawda? To znaczy nie chcę przesądzać, ale wydaje mi się, że tak będzie najlepiej, nie uważasz?

Mówił szybko i nonszalancko o tak ważnych rzeczach w moim życiu, a ja miałam wrażenie, że mój świat zatrzymał się na moment. Fale oceanu znieruchomiały, ptaki umilkły w oczekiwaniu i nawet bryza wstrzymała oddech.

– Prosisz mnie o rękę? – wykrztusiłam.

Roześmiał się.

– To by sugerował pierścionek zaręczynowy, Willow, nawet w Palm Beach.

– Och, Thatcher. – Zarzuciłam mu ramiona na szyję. – Tak mi głupio, tak się wstydzę tego, co zrobiłam i jak się zachowałam. Żenada!

Pocałował mnie w policzek i w czoło, a potem przycisnął swoje czoło do

mojego.

– Jesteś idealna.

– Idealna? – Odchyliłam głowę i popatrzyłam na niego. – Jak możesz tak mówić? Wybiegłam stamtąd z mokrymi włosami. Prowadziłam jak szalona i nadziałam się na policjanta. Po prostu zrobiłam z siebie idiotkę.

– Wiem.

– No właśnie, więc wiesz, jak dalekie to jest od ideału.

– Chciałem tylko powiedzieć, że takie numery to woda na młyn dla plotkarskich sfer Palm Beach. Kto wie, może jutro owo wydarzenie trafi na łamy „Błysku”, oczywiście pikantnie przyprawione!

– Oby nie! Chyba że trafimy do rubryki z tym – powiedziałam z rozmarzeniem, obracając dłoń z lśniącym kamieniem.

– Tak... ale... Willow, mam tylko jedną małą prośbę. – Skinieniem głowy wskazał na pierścionek.

– Prośbę?

Poczułam leciutki ruch w brzuchu, jak nagły trzepot skrzydeł motyla, który ustał tak szybko, jak się zaczął.

– Tak. Jak wiesz, mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia, i lepiej będzie nie kłuć tym w oczy.

– Nie kłuć w oczy? Znaczący: nie nosić pierścionka?

– Tylko przez krótki czas, ale...

– Czyli nasze zaręczyny też musimy utrzymywać w sekrecie?

– Na razie. Jak powiedziałem, muszę jeszcze załatwić parę spraw.

– Chodzi o sprawy z twoją matką, siostrą czy nawet z ojcem?

– Tak będzie lepiej dla nas i dla wszystkich, Willow. Zrozum, nie chciałbym nikogo skrzywdzić.

Zdjęłam pierścionek z palca i włożyłam do pudełeczka.

– Dlaczego w takim razie dałeś mi go teraz?

– Chcę, abyś wiedziała, że mi na tobie zależy. Ile dla mnie znaczysz.

Po chwili namysłu oddałam mu pierścionek.

– Nie składaj mi obietnic, Thatcher.

– To nie jest pusta obietnica, tylko platynowy pierścionek z trzykaratowym brylantem klasy A.

– Dla mnie mógłby być ze szkła, byle oznaczał prawdziwe zaręczyny i można było pokazać światu dowód naszego szczęścia. Bo jeśli nie, będzie tylko fantazją, marzeniem, ulotnym jak bańka mydlana.

– Mylisz się, Willow. Ten pierścionek znaczy, że cię kocham i jesteś dla mnie całym światem. Dotąd ty też nie miałaś ochoty rozgłaszać naszego romansu. Co się zmieniło?

– Romans to coś innego niż zaręczyny, Thatcher. Chcesz, żebym trzymała pierścionek w szufladzie i oglądała przy zasłoniętych oknach. To by była tortura! W tej sytuacji wolę już go nie mieć i poczekać, aż wręczysz mi pierścionek oficjalnie. Albo nie wręczysz, jeśli tak się sprawy ułożą. Po co się zwodzić nawzajem?

– Nie zwodzę cię, Willow. Proszę tylko o odrobinę dyskrecji i cierpliwości.
– Był tak zdesperowany, że prawie krzyczał.

– A w tym czasie będziesz pozował z kolejnymi kobietami do rubryki towarzyskiej, tak?

– Och, wiesz, że to nic nie znaczy! Twoja matka miała potajemny romans, czyż nie? – wytknął mi.

– Jej romans to zupełnie inna sprawa. Mógł utracić karierę mojego ojca.

– Przeciwnie, widzę tu podobieństwa. Muszę załatwić pewne sprawy i liczyć na twoją dyskrecję, aby moja kariera mogła kwitnąć z pożytkiem dla nas obojga, Willow.

– A ja nie widzę podobieństw – powiedziałam uparcie. – Gdybyś nie traktował naszej miłości tak koniunkturalnie, zważałabym na ciebie i na twoją karierę. – Wstałam.

Popatrzył na mnie, na pudełeczko z pierścionkiem, trzymane w ręce, i wsunął je do kieszeni.

– Dobrze – powiedział, też wstając. – W takim razie czekamy, aż załatwię swoje sprawy. A tymczasem...

– Co? Jakie jeszcze masz zamiary, Thatcher?

– Porozmawiamy jutro, Willow. Proszę. Spotkajmy się jutro wieczorem w domu, w naszym domu przy plaży. O siódmej. Zamówię dla nas pastę na kolację.

– Nie wiem... – Wahałam się.

– Willow, proszę. – W jego głosie zabrzmiał błagalny ton. Chwytał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. – Nie stracmy tego, co zyskaliśmy, co już nas połączyło.

– Raczej przypomina mi to zamki na lodzie – mruknęłam.

– Nieprawda, budujemy na fundamencie miłości, mocnej i głębokiej. Przecież nie zaprzeczam, że miałem różne dziewczyny i parę związków było

poważnych, ale to ty jesteś pierwszą kobietą naprawdę dla mnie ważną, przy której ja też czuję się ważny, spełniony. Z tobą mogę coś zbudować, stworzyć rodzinę i razem trwać w życiu. Wiem, możesz pomyśleć, że jestem w gorącej wodzie kąpany, ale byłbym kompletnym idiotą, gdybym zaprzeczał, że oszalałem na twoim punkcie. Poznanie ciebie jest najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przydarzyć. Wierysz mi, prawda?

– Chcę ci wierzyć, Thatcher.

Nie kłamałam, a on miał iście diabelską – albo anielską – siłę przekonywania. Nadal nie wiedziałam, czy bliżej mu do anioła, czy do diabła.

– Dobrze, więc przestań już się na mnie boczyć. Przy okazji, jutro zapewne będę miał wieści o Kirbym Scotcie – dodał.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego.

– Kirby Scott?

– Wiem z wiarygodnego źródła, że jest w Palm Beach, i zamierzam się z nim jutro zobaczyć. Ktoś ma zaaranżować nasze spotkanie.

– I co zrobisz?

– Wyciągnę z niego tyle prawdy, ile się da, nawet gdybym miał mu ją wydusić z gardła. Nie tylko prawdy o mnie, Willow, ale też o Grace i wszystkim, co działo się dalej. Może nawet dowiem się czegoś, co by mogło pomóc Lindenowi – dodał. – Liczę, że ta wiedza ułatwi rozwiązanie większości naszych problemów, a może nawet wszystkich. Za chwilę wszystko się odmieni, Willow.

– Zobaczymy. Na razie mam w głowie zamęt. Muszę pomyśleć, Thatcher. Przemyśleć sobie to wszystko spokojnie.

– Jasne, oczywiście. – Pochylił się i pocałował mnie delikatnie. – Nie chcę już cię dzisiaj męczyć. Ale jutro dopadnę cię i już nie puszcę – zapowiedział.

– Nie żartuję!

Patrzyłam, jak się oddala. Wstałam i już miałam ruszyć w stronę domu, kiedy zobaczyłam Lindena. Musiał ukrywać się za krzakiem. Odprowadził wzrokiem Thatchera i zwrócił się do mnie.

– Widziałem – powiedział. – Widziałem, jak wręcza ci pierścionełk zaręczynowy i jak mu go zwracasz. Cieszę się, że podjęłaś słuszną decyzję. – Spojrzał w stronę dużego domu. – Pewnie ma w szufladzie całą kolekcję fałszywych zaręczynowych pierścionków. Kto wie, ilu kobietom je dawał, obiecując gruszki na wierzbie?

– Linden, upraszczasz. Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Ale

dzięki, że się o mnie troszczysz.

– Wcale nie jest skomplikowana! – Emocjonalnym gestem uderzył się pięściami w uda, ale po chwili się uspokoił i krew odpłynęła mu z twarzy. – Posłuchaj, ja przecież wychowałem się w tej posiadłości. Często widywałem Thatchera i mogłem obserwować, jak uwodzi naiwne dziewczyny jedną po drugiej, omamiając je obietnicami, aż lewitowały ze szczęścia niczym balony napompowane gorącym powietrzem. Mówiłem ci już o tym wcześniej, ale nie wierzyłaś. A powinnaś. Musisz mi wierzyć – dodał z naciskiem.

Urwał i rozejrzał się, jakby ciągle widział duchy kobiet Thatchera.

– Miał swoje ulubione miejsca – podjął po chwili. – Jedno to altana. Kiedy zauważyłem, że wstawiono tam leżankę, wiedziałem, że zjawi się tam późno w nocy z kolejną ofiarą. Albo za wzgórkami koło domu przy plaży, gdzie rozkładał koc w krzakach. Kiedyś skropiłem tam ziemię terpentyną i smród ich wygonił. Odtąd załatwiał te sprawy w którejś z przycumowanych łodzi. On jest taki sam jak jego ojciec.

Zmroził mnie ten ostatni komentarz. Był niemal profetyczny, choć oczywiście Linden nie mógł wiedzieć, którego ojca miałam na myśli. A może wiedział?

– Co masz na myśli? – Mimo woli zniżyłam głos do szeptu.

– Ashera Eatona niejednemu raz widziałem, jak w czasie tych ich słynnych balów zgarniał jedną czy dwie kobiety i wymykali się z domu w jakieś ustronne miejsce. Oni nie mają wstydu, mówię ci. Wiem, bo wszystko widziałem.

Kiwnęłam głową, myśląc intensywnie. Linden, żyjący poza nawiasem tutejszego towarzyskiego bagienka, bez wątplenia zdobył tajemną wiedzę o kulisach elit Palm Beach. I musiał cierpieć, że ci rozwięzli grzesznicy patrzyli z góry na niego i na jego matkę. Ten świat był do dna przesiąknięty hipokryzją i zdradą; zaludniali go świętoszkowaci kłamcy, mający usta pełne frazesów na temat prawdy i uczciwości, którzy gustowali w hedonizmie i snobizmie.

– Nie przeczę, że to może być prawda, Lindenie, ale ludzie się zmieniają i z czasem uświadamiają sobie, że ich życie nie ma poważnego celu czy sensu, i starają się go znaleźć.

– Ale nie Eatonowie – wycedził przez zaciśnięte zęby. Przygryzał wargi tak mocno, że czekałam, aż zaczną krwawić.

– Udało ci się dzisiaj coś namalować? – zapytałam łagodnie, licząc, że zmiana tematu go uspokoi.

– Tak – odparł i w tym momencie musiał sobie uświadomić, że zostawił wszystko w innej części plaży. Zapewne gdy usłyszał albo zobaczył Thatchera, swoim zwyczajem zaczął go śledzić, aż trafił za nim tutaj.

Linden oddalił się szybko, a ja wolniej podążyłam za nim. Kiedy podeszłam do sztalugi, ucieszyłam się, że wreszcie zaczął nowy obraz, podobny w stylu do jego dawnych prac. Przedstawiał coś, co wyglądało jak dziób łodzi, płynącej prosto w gęste kłęby mgły. Przyjrzawszy się bliżej, dostrzegłam twarz, wyłaniającą się z mgły bądź też pochłanianą przez nią. Wyglądała jak moja twarz.

Zanim zdążyłam obejrzeć dokładnie obraz, Linden narzucił na sztalugę płótno i spakował kasetę z farbami.

– Może coś poniosę? – zaproponowałam.

Spojrzał na mnie tym swoim pustym, szklistym wzrokiem, jakby znów przestał mnie poznawać.

– Linden? Dobrze się czujesz?

Zamrugął gwałtownie i drgnął, wracając do rzeczywistości.

– Co? A, tak. Możesz wziąć to? – Podał mi kasetę z farbami.

– Jasne – odparłam. Szedł przede mną ze sztalugą na ramieniu i zrolowanym płótnem pod pachą. Był dziwnie przygięty i przygarbiony, niczym neandertalczyk wlokący się do jaskini.

– Cieszę się, że znów malujesz, Lindenie – powiedziałam. – Masz wielki talent i grzechem byłoby go nie używać.

Przystanął i obrócił się, obrzucając mnie ostrym, badawczym spojrzeniem.

– Może znów będziesz pozować dla mnie – rzucił.

Zdumiewał mnie sposób, w jaki funkcjonował jego mózg. Jakby Linden mógł w dowolnym momencie wchodzić do swoich wspomnień i wychodzić z nich, tracąc poczucie czasu i rozeznanie, w jakiej rzeczywistości aktualnie przebywa. Jego myśli były niczym fale radiowe, czekające na przekaźnik, który wyemituje je w czystej, pozbawionej szumów postaci.

– Jeśli chcesz, mogę pozować.

Kiwnął głową.

– Dobrze – mruknął i ruszył dalej, mamrocząc pod nosem. – Dobrze, dobrze...

Zanieśliśmy rzeczy do pracowni, a potem poszłam do kuchni, żeby pomóc mamie w przygotowaniu kolacji. Linden zadekował się w swoim pokoju, więc mogłam spokojnie jej opowiedzieć, co się zdarzyło.

– Nie mogłam sobie wyobrazić, że przyjmuję ten pierścionek i trzymam go w ukryciu jak jakiś mroczny sekret – wyznałam. – Chyba dobrze zrobiłam?

– Oczywiście. Sama wiem najlepiej, jak to jest, jeśli trzeba milczeć, nosząc maskę obojętności, gdy twoje serce pragnie miłości, żaru i prawdy. Ileż to razy twój ojciec i ja patrzyliśmy na siebie z dwóch końców sali pełnej ludzi i na ułamek sekundy otwieraliśmy dla siebie swoje serca, drżąc z obawy, że ktoś dostrzeże nasze spojrzenia, mój skrywany uśmiech, jego ukradkowy kochający dotyk.

Potajemna miłość jest bardzo bolesna, jest torturą. Wieczne szukanie chwil na osobności, skradzione pocałunki i uściski, przelotne pieszczoty, ciągła czujność... To wszystko jest bardzo trudne, nie do zniesienia.

A potem najgorsze – ciągnęła – śmierć na żywo, kiedy trzeba było się rozstać, pożegnać nie tylko z nim, ale i ze sobą, bo wiedziałam, że już nigdy nie będę taka sama. Powtarzałam sobie, że zostałam ukarana za grzechy z poprzedniego wcielenia albo grzechy, których jeszcze nie popełniłam. Oczywiście twój ojciec ze wszystkich sił starał się mnie przekonać, że tak nie jest. „Miłość bywa często przypadkiem, przełomem w ułamku sekundy, jak niespodziewany grom z jasnego nieba” – mówił. „Nie mogę pozwolić, żeby któreś z nas uważało ją za coś złego, za rodzaj kary”. I cytował: „Lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie mieć miłości”.

– On był zupełnie inny przy tobie – powiedziałam z nieukrywaną zazdrością. Czułam żal, że mama poznała tę ciepłą, cudowną stronę ojca. – Wobec mnie dopiero zaczynał taki być, ale nie zdążył – dodałam gorzko.

Uśmiechnęła się i przytuliła mnie.

Odsunęliśmy się od siebie, gdy w drzwiach stanął Linden.

– Podjąłem decyzję – oznajmił.

– Och – powiedziała mama i zerknęła na mnie. – Jaka jest twoja decyzja?

– Postanowiłem, że ostatecznie powinniśmy się przeprowadzić do dużego domu, ale dopiero wtedy, kiedy zostanie dokładnie oczyszczony ze wszystkich rzeczy Eatonów. Nie może zostać po nich najmniejszy ślad.

– Oczywiście – przytaknęła mama, udając, że ona i ja chcieliśmy poznać jego zdanie.

– I zaczniemy wszystko od początku, jako nowa rodzina.

– Tak, tak, Linden, właśnie tego chcemy. Takie mamy zamiary.

– Będziemy wspierać siebie nawzajem, ufać sobie i nigdy nie zdradzimy siebie.

– Nigdy nie zdradzimy – potwierdziła mama. Linden spojrzał na mnie.

– Nigdy nie zdradzimy – powtórzyłam.

Uśmiechnął się i podszedł do nas. Chwilę stał przed nami, a potem objął nas i przyciągnął do siebie.

– Moje dziewczyny. Nie pozwolę, żeby coś się stało moim dziewczynom.

Puścił nas tak szybko, jak nas objął, odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni.

Popatrzyliśmy na siebie z mamą, nie wiedząc, czy mamy śmiać się z radości, czy płakać.

– Może wszystko znów będzie dobrze – powiedziała. – Z czasem może będzie dobrze.

Atmosfera przy kolacji była cudowna. Linden z zainteresowaniem słuchał, jak opowiadałam o spotkaniu z profesorem Fuentesem na uczelni. Rozmowa była ożywiona i wesoła jak nigdy. Wyraził nawet zainteresowanie studiami na wydziale sztuki.

– W ten sposób sprawiam wrażenie, że wiem, co mam robić, nawet wiem, jak to zrobić – wyznał i wszyscy troje się roześmialiśmy.

Po jedzeniu przenieśliśmy się z kawą na taras. Mama opowiadała o babci mojej i Lindena, Jackie Lee Houston Montgomery.

– Była silną, pewną siebie osobą – mówiła. – Pamiętam, jak dzielnie trzymała się po śmierci mojego ojca. Wczesny okres mojego życia wydaje mi się teraz snem. Czasami się zastanawiam, czy to wszystko nie działo się w mojej wyobraźni.

Tata mnie rozpieszczał, traktował mnie jak małą księżniczkę. Wtedy myślałam, że całe moje życie będzie jak długi, piękny letni dzień, nie za gorący i nie za duszny, z wiaterek, który niesie radość i zapowiedź jeszcze piękniejszych chwil.

– Jest bardzo ważne, aby mieć oczekiwania, jakieś cele w życiu – ciągnęła, kierując te słowa do nas obojga. – Musicie mieć zawsze w sercu miejsce na nadzieję. Nie można żyć w wiecznym strachu przed odrzuceniem czy rozczarowaniem. Trzeba podejmować ryzyko. Tego nauczyłam się od waszej babci.

– Nie było jej łatwo zacząć nowe życie w nowym miejscu, jeszcze z młodą córką – powiedziałam. Linden kiwnął głową.

– Zwłaszcza w tym miejscu – mruknął.

– Jackie Lee – bo lubiła, żeby tak się do niej zwracano – miała nie tylko silny charakter. Miała też w sobie ogień. Tragiczna śmierć mojego ojca była dla niej dramatem i długo nie mogła wyjść z żałoby, ale pamiętam, że kiedy już wyszła, przepełniała ją furia, gniew na cały świat. To dawało jej siłę do podejmowania jednego wyzwania za drugim.

– Kiedyś powiedziała mi, że z zemsty obstawiała mojego pierwszego ojczyma, Winstona Montgomery’ego. Małżeństwo z nim i wejście do tutejszych sfer było dla niej wyrównaniem rachunków z niesprawiedliwym losem. Pragnęła pokazać światu, że jest nie do pokonania.

– A jednak pozwoliła się pokonać, zadając się z Kirbym Scottem – odezwał się Linden ostro. – Sprowadziła do domu zło. Wolałbym się nie urodzić – dodał szybko.

Pogodny nastrój mamy błyskawicznie się ulotnił.

– A ja byłabym gotowa przejść jeszcze raz przez ten ból i cierpienie, aby mieć ciebie, Lindenie.

Zacisnął usta i spojrzał na mnie, oczekując mojej reakcji.

– Ze złych doświadczeń mogą wynikać dobre rzeczy – powiedziałam miękko.

– Skąd wiesz, że ja jestem taką dobrą rzeczą? – zapytał wyzywającym tonem. – Mogłem odziedziczyć coś po nim.

– Masz więcej cech mamy niż jego – odparłam.

– I babci Jackie Lee – dodała mama. – Dlatego ci o niej opowiadam. Myśl o jej genach, a nie jego.

– Myślę, że to jest jak choroba i że muszę wzmocnić swój system odpornościowy.

– Nigdy nie będziesz taki jak on – zapewniła go mama.

Znów zerknął na mnie.

– Może nie wszystko w nim było takie złe – zawahał się. – Przynajmniej kobiety zdawały się tak uważać.

Miałam wrażenie, że chodzi mu o Thatchera i o mnie.

– Był przystojny – mówiła mama. – Trzeba przyznać, że miał wiele uroku. Ale nie wracajmy do bolesnych wspomnień. Porozmawiajmy lepiej o naszej przyszłości i naszych nadziejach.

Linden przytaknął z niechętnym mruknięciem. Teraz zaczęłam rozumieć, co sprawiło, że stał się takim przewrażliwionym introwertykiem. Mógł się czuć jak ktoś, komu się mówi, że jego ojcem jest diabeł. Jesteś synem szatana

i w twoich żyłach krążą zarodki zła, które zawładnie tobą i zmieni cię w coś rodem z horroru. Gdy dorastał, zapewne przy każdym spojrzeniu w lustro wypatrywał oznak trawiącej go zarazy.

Jakże odmienne były reakcje Lindena i Thatchera na wieść, że Kirby Scott jest ich ojcem. Thatcher nie poczuł się upośledzony czy zagrożony tym dziedzictwem. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że dowiedział się prawdy w późniejszym okresie życia, kiedy jego osobowość była już ukształtowana. Rewelacja mogła być szokiem, ale tylko chwilowym.

Tymczasem Linden musiał dźwigać ciężar tej wiedzy od chwili, kiedy poznał słowo „tata”. Ja wyrastałam w tęsknocie za rodzoną matką, a on – za rodzonym ojcem. Dlatego rozumiałam jego ból. I współodczuwałam z nim, więc szczerze chciałam mu pomóc.

Kiedy zadzwonił telefon wstałam pierwsza i odebrałam.

– Jestem umówiony – oznajmił Thatcher, poznawszy mój głos.

– Na kiedy?

– Jutro około południa. Spotkam się z nim prywatnie. Możesz być w domu przy plaży o siódmej?

– Tak.

– Świetnie. Włóżysz pierścionek szybciej, niż myślisz – obiecał. – Willow Eaton... Ładnie brzmi, prawda?

– Ładnie brzmi ta obietnica – odparłam i Thatcher się roześmiał.

Kiedy wróciłam do kuchni, mamie wystarczył jeden rzut oka na mnie, by wiedzieć, że rozmawiałam z Thatcherem. Podobnie domyślny był Linden.

– Idę się przejść – powiedział zachmurzony i prawie wyskoczył z tarasu.

– On ma straszną huśtawkę nastrojów. – Mama pokręciła głową. – I to mimo leków. Ja też byłam zaburzona, miałam w głowie zamęt, ale dobrze pamiętam, jak taka choroba psychiczna objawiała się u innych pacjentów kliniki. Widziałam różne zachowania, zwłaszcza po tym, kiedy twój ojciec ustawił mi leki i odzyskałam jasność myślenia. W czasie mojego pobytu jedna osoba popełniła samobójstwo, ale o tym pewnie wiesz.

– Nie, nie wiedziałam. Tata nigdy nie opowiadał w domu o pracy, a już na pewno nie mówiłby o czymś takim przy mnie. Wątpię też, czy powiedziała by o tym mojej matce adopcyjnej. Nie lubiła jego pracy i nie mógł liczyć na jej zrozumienie.

– Wiem. Opowiadał mi o niej, czy raczej skarżył się na nią, jeśli mam być szczerą. „Każdemu zdarza się czasem wpaść w pułapkę” – powiedział kiedyś.

– W moim przypadku to już nie była pułapka, tylko ruchome piaski – mruknełam.

Roześmiała się, ale widziałam, że zerka w stronę plaży, wypatrując Lindena.

– Pójdę do niego, mamó.

Z wdzięcznością skinęła głową. Zeszłam z tarasu i ruszyłam w mrok.

Linden stał na samym brzegu plaży, jakby kusił przypływ, który podchodził mu pod stopy. Ręce miał wciśnięte w kieszenie.

– Uwielbiam tę ciepłą wieczorną bryzę – zagadnęłam, podchodząc do niego.

Nie odpowiedział. Stałam obok niego i patrzyłam na ocean. Na horyzoncie przesuwiał się liniowiec, jarzący się jak choinka. Choć nic nie było słyhać, wyobraziłam sobie muzykę, bufet i podekscytowanie tłumu pasażerów wyruszających w rejs z Florydy.

– Chciałeś kiedyś popłynąć w taki rejs? – spytałam.

Z wolna obrócił się ku mnie.

– Byłem na rejsie z babcią, kiedy miałem czternaście lat. Grace by nie popłynęła. Wtedy już prawie nie wychodziła z domu i nie prowadziła życia towarzyskiego. Za to babcia Jackie Lee uwielbiała imprezy, a taki rejs jest jedną wielką zabawą.

– I podobało ci się?

– Nie – odpowiedział szybko. I dodał: – Przeważnie nie, ale wtedy jeszcze myślałem, że Jackie Lee jest moją rodzoną matką, więc robiłem, co chciała. I tam – patrzył na statek – poznałem miłą dziewczynę, która obiecała do mnie napisać. Była z Nowego Jorku.

– I nie napisała?

– W czasie takich rejsów ludzie obiecują sobie różne rzeczy i potem nie dotrzymują obietnic. Tak mówiła mi babcia Jackie Lee.

– Musiałeś ją bardzo lubić.

– Tak, ale nawet kobieta tak silna i mądra jak ona może łatwo stać się ofiarą – powiedział przez zaciśnięte wargi. – To, co się jej przytrafiło, co zrobił jej Kirby Scott, nie było jej winą. Ten drań potrafiłby z czarować węża. Faceci tacy jak on wiedzą, jaki guzik nacisnąć w kobiecie, jakimi nierealnymi obietnicami ją omamić, a do tego zawsze znajdą wiarygodne i na pozór racjonalne wyjaśnienie, usprawiedliwiające ich egoistyczne postępowanie.

Wyobraź sobie, iż prawie udało mu się przekonać Jackie Lee, że nie zgwałcił Grace. Że to była jej wina, bo go sprowokowała. Myśl o tym wywoływała w niej furię. Jak byś się czuła, gdyby twoja matka wierzyła, że

naprawdę jesteś odpowiedzialna za coś takiego? Kirby nie odszedł z powodu tego, co zrobił Grace, tylko z powodu tego, co zrobił z naszym majątkiem. Odszedł, bo nie było już nic, co mógłby przepuścić. Grace świadomość tego złamała serce. Mnie też, kiedy dorosłem i dowiedziałem się, jak było – dodał.

Zdumiewające, jak spokojny i rozważny ton nagle przybrał, choć zarazem mówił jak ktoś wprowadzony w stan hipnozy. Nie spuszczał oczu z liniowca, dopóki statek nie zniknął za horyzontem.

– Ludzie są skomplikowani, Linden – powiedziałam. – Czasami wydaje mi się, że przez większość naszego życia wybaczymy różnym ludziom różne rzeczy. Gdybyśmy bowiem tego nie robili, narastałyby w nas nienawiść i gniew, domagając się ujścia. Wiem, że łatwiej jest mówić, niż zrobić, ale spróbuj przejść do porządku dziennego nad pewnymi faktami ze swojej przeszłości. Musisz więcej myśleć o swojej przyszłości.

– Przyszłość! – prychnął ze śmiechem. – Jaką ja mam przyszłość?

– Dobrą. Tworzysz niezwykle dzieła. Planujemy nowy dom dla Grace, w którym będziesz miał wspaniałą pracownię; zaczniesz poznawać ludzi, podróżować i robić wszystko, o czym marzyłeś.

Popatrzył na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Tak będzie – zapewniłam – pod warunkiem że przestaniesz się wreszcie o mnie martwić. Ja sobie poradzę. Nie wpadnę w żadną pułapkę, nie bój się.

Twarz Lindena jaśniała w świetle gwiazd i widziałam, jak uniósł brwi i zacisnął usta w kącikach.

– Poza tym – mówiłam – chcę, żebyś odzyskał zdrowie i siły, abyś kiedy ja się potknę, mógł mnie podnieść, rozumiesz?

Niedostrzegalnie kiwnął głową.

– Bądź moim starszym bratem – poprosiłam z naciskiem. – Bądź mi bratem, którego nigdy nie miałam, a którego rozpaczliwie potrzebuję.

Jego rysy złagodził szeroki uśmiech.

Otoczyłam go ramieniem w pasie i na moment przycisnęłam głowę do jego ramienia.

Kiedy się wyprostowałam, promieniał jaśniej od gwiazd.

– Przejdźmy się. – Wziął mnie za rękę.

Już nic nie musieliśmy mówić. Spacerowaliśmy tam i z powrotem po plaży. Cisza koła nasze stare rany, a noc, rozjaśniona blaskiem gwiazd i światłami łodzi, działała jak narkotyk. Takiej chwili ciepła i bliskości dotąd nie doświadczyliśmy.

Kiedy wróciliśmy do domu, promieniejąca naturalnym, zdrowym szczęściem twarz Lindena zachwyciła mamę.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęłam do niej. – Wszystko będzie dobrze z nami.

Pocałowałam Lindena w policzek i podziękowałam mu za spacer, życząc dobrej nocy.

Jakiś czas później, leżąc w łóżku, patrzyłam przez okno na chmury – napływały z zachodu i rozwijały się jak ogromny czarny koc. Kojarzyły mi się z obietnicami składanymi w świetle gwiazd w czasie rejsów wycieczkowych, o których tak łatwo dawało się zapomnieć.

Znów poczułam się jak mała dziewczynka i wyobraziłam sobie, że w drzwiach staje tata. Przyszedł, żeby wpajać mi swój katechizm bez jawnych zasad, mający mnie doprowadzić do odpowiednich życiowych wniosków.

Czy możliwe jest, że wzięłaś na siebie zbyt szybko zbyt dużą odpowiedzialność, Willow?

Nie wiem. Może.

A jeśli tak, czy wiesz, jak się z niej wycofać, nie raniąc siebie ani innych?

Raczej nie. Nie.

Wybrałabyś się w ciemne, nieznanne miejsce bez latarni, która by ci oświetliła drogę?

Nie.

Co byś więc najpierw zrobiła?

Zorganizowała sobie światło.

Zrobisz to, Willow?

Tak, tato.

Zanim posuniesz się dalej na tej drodze?

Tak, tato.

W takim razie się cieszę. Dobranoc, Willow.

Dobranoc, tato.

Drzwi się zamknęły, kończąc moją wyimaginowaną rozmowę, ale to wystarczyło, żebym cofnęła się w czasie.

Wspomnienia wyciszyły rzeczywistość i przywołały głosy z przeszłości. Stłumiony głos mojej matki adopcyjnej przeniknął przez podłogę jak przykry zgrzyt, lecz na szczęście zaraz ucichł. Gdzieś z tyłu usłyszałam Amou, nucącą portugalską ludową piosenkę, którą zawsze umiała sobie składać bielizny.

Aż wszystko ucichło.

Nadciągnął sen i niczym koc z chmur zgasił wszystkie gwiazdy. Nawet te, które zawsze wskazywały mi drogę.

Rozdział szósty

WYSTRZAŁOWA KREACJA

Kiedy obudziłam się rano, mimo woli zaczęłam myśleć o Thatcherze i jego spotkaniu z niesławnym Kirbym Scottem. Gdyby lekarze potrafili prześwietlać rentgenem nerwy, moje byłyby z całą pewnością poszarpane. Uznałam, że muszę się czymś zająć, i postanowiłam pojechać na kampus, pójść do uniwersyteckiej księgarni i kupić książki z listy, którą dostałam od profesora Fuentesesa. Oprócz nich kupiłam jeszcze kilka innych pozycji, które mnie zainteresowały. Po dwudziestu minutach miałam już całe naręcze i ugiinałam się pod ciężarem tomów. Wystarczyło, żeby ktoś mnie potrącił, i byłaby katastrofa.

Nikt mnie nie potrącił, ale ktoś lekko dotknął mojego ramienia. Odwróciłam się ostrożnie i spojrzałam w hebanowe oczy profesora Fuentesesa.

– Widzę, że pani na serio wzięła się do rzeczy.

– Tak.

– Pani pozwoli, że pomogę. – Zanim zdążyłam zaprotestować, zabrał część książek z mojego stosu. Spojrzał na tytuły. – Ambitnie – pochwalił i z aprobatą kiwnął głową. – Ktoś inny zadowoliliby się obowiązkowymi lekturami, a szkoda. Wbrew temu, co się potocznie uważa, prawdziwy student uczy się sam – dodał teatralnym szeptem.

Roześmiał się.

– Tylko niech pani nie mówi moim kolegom, że mam takie bluźniercze poglądy.

– Mój ojciec lubił mawiać, że możesz zaprowadzić konia do wody...

– ...ale nie zmusisz go do jej wypicia – dokończył razem ze mną. Zaczęliśmy się śmiać.

– Może jeszcze coś pani weźmie? Ma pani parę tysięcy tomów do wyboru. – Pokazał gestem na półki.

– Nie, myślę, że wystarczy.

Stał i patrzył, gdy wyjmowałam z portfela kartę, żeby zapłacić za zakupy.

– I jak się pani podoba życie w Palm Beach? – zagadnął, kiedy podałam ją kasjerce.

– Podoba mi się, z wyjątkiem ruchu i florydzkiej sygnalizacji na skrzyżowaniach.

– Florydzkiej sygnalizacji?

– Z czterema czerwonymi światłami. Jeśli nie przejedziesz na zielonym, musisz stać tyle, że zdążysz przeczytać rozdział jednego z tych dzieł – wyjaśniłam, wywołując u niego kolejny wybuch śmiechu.

– Przecież chyba macie takie same w Karolinie Południowej?

– Owszem, ale nie na każdym skrzyżowaniu – odparłam, podpisując fakturę. Kiedy sięgnęłam po torby, chwycił je szybko.

– Zaniose je pani do samochodu.

– Dzięki, nie liczyłam na bagażowego – rzuciłam. Lekko się zaczerwienił, ale zaniósł mi książki

– Bardzo dziękuję – powiedziałam.

– *De nada*. Nie ma za co.

Stał, patrząc na mnie, jakby usilnie się nad czymś zastanawiał. Nie spuszczał z mnie oczu, a mnie to rozbawiło. Czekałam, co dalej wymyśli.

– Spiesz się pani?

– Niespecjalnie, a czemu pan pyta?

– Umówiłem się dzisiaj na lunch z dziekanem, ale wypadło mu coś pilnego i musiał odwołać. Może zechciałaby pani mi towarzyszyć? Znam tu taką miłą dziurkę, gdzie serwują najlepsze w południowo-wschodniej Ameryce burritos z kurczakiem i nadziewane papryki. Chyba że nie lubi pani meksykańskiej kuchni?

– Rzadko jadam meksykańskie dania, ale bardzo mi smakują.

– Czyli *sí*?

– *Sí* – odpowiedziałam.

– *Muy bien*. Może pani zostawić tu samochód i przesiąść się do mojego albo jechać za mną.

– A nie możemy pojechać moim samochodem?

– Jasne, zupełnie o tym nie pomyślałem – odparł ze śmiechem i zajął miejsce

koło mnie. – A właściwie pomyślałem – przyznał – ale uznałem, że nie wypada mi prosić pani o podwiezienie.

– Latynoskie machismo? – zapytałam domyślnie.

– Stare nawyki dobrze się trzymają, choć zapewniam, że nie jestem męskim szowinistą. Muszę wyznać, że powód, dla którego zaprosiłem panią na lunch, jest szczególny.

– Tak? – Uruchomiłam silnik i wyjechałam z parkingu.

– Bardzo mnie pani intryguje, Willow, a szczególnie chodzi mi o pani życie z ojcem. Przeczytałem wszystko, co napisał, i zachowałem nawet jego odpowiedź na mój list, gdzie zadałem mu pytanie w kwestii poruszanej w jednej z jego książek. Uznałem, że ma wyjątkowo trafny i spójny pogląd na ludzkie zachowania. Wyobrażałem go sobie jako spokojnego, świetnie zorganizowanego człowieka, którego niełatwo jest wytrącić z równowagi. Czy mam rację?

– Tak. Właśnie taki był mój ojciec.

– A jednocześnie jako człowieka o dużej uczuciowości, także empatii.

Kiwnęłam głową.

– Teraz proszę skrócić w lewo i zaraz na pierwszym skrzyżowaniu w prawo. Tak, to tam, na rogu. Niech się pani nie sugeruje skromnym wyglądem lokalu. Nie należy sądzić książki po okładce – dodał z uśmiechem.

Zaparkowałam i weszliśmy do niewielkiego bistro. Choć sprawiało wrażenie czystego i zadbanego, na stołach leżały papierowe obrusy, a sztuce były jednorazowe, co już wyglądało na ostentację. Menu wydrukowano na zwykłym papierze i jak wynikało z nagłówka, zmieniało się codziennie. Wszyscy znali profesora Fuentesę i powitali go serdecznie. Przedstawił mnie jako jedną ze swoich nowo przyjętych studentek. Zajęliśmy stolik przy oknie.

– Czy może pan zamówić dla mnie? – poprosiłam, gdyż menu było tylko po hiszpańsku.

– Naturalnie.

Podyktował kelnerce zamówienie, a potem pochylił się ku mnie nad stołem z wyrazem intensywnego skupienia.

– Tylko niech mi pani obieca, że powie, kiedy będę zbyt dociekliwy, dobrze?

– Dobrze.

– Cóż, w takim razie zacznijmy. – Uśmiechnął się. – Czy ojciec wypróbował na pani którąkolwiek ze swoich teorii dotyczących zachowania?

– Jeśli nawet, musiał to robić bardzo subtelnie, gdyż nic takiego nie zauważyłam. Kiedy dorosłam na tyle, żeby zrozumieć go i docenić, zobaczyłam, jak sprytnie i sprawnie używa swoich psychologicznych narzędzi w stosunku do innych, zwłaszcza mojej matki adopcyjnej.

– Adopcyjnej?

– Tak, byłam dzieckiem adoptowanym.

– Och. – Wyprostował się na krześle. – Rozumiem. Zakładałem, że...

Było jasne, że rozczarował go brak więzów krwi. Odczekałam jeszcze chwilę, po czym wypuściłam bombę.

– Jednak jestem córką swojego ojca.

Brwi podjechały mu w górę.

– Słucham?

– Moja matka adopcyjna nigdy się nie dowiedziała, że jestem rodzonym dzieckiem ojca. Ja tę prawdę odkryłam dopiero po śmierci obojga. Kiedy poznałam swoje pochodzenie, przyjechałam tutaj, do prawdziwej mamy, i postanowiłam z nią zamieszkać. I tutaj ukończyć studia.

– Ach, teraz rozumiem, dlaczego powiedziała mi pani, że mieszka w Palm Beach z matką i przyrodnim bratem.

– Zgadza się.

– Wypytyuję panią, ale nie jestem plotkarzem. Mam nadzieję, że mi pani wierzy.

– Tak, oczywiście.

Kelnerka postawiła przed nami mrożone herbaty.

– W nauce trwa wieczna dyskusja na temat relacji pomiędzy tym, co wrodzone, a tym, co nabyte. Jeden z moich kolegów lansuje tezę „genu zła”. Jedni ludzie potrafią obrócić jego wpływ w zachowania społecznie akceptowalne, jak agresja w sporcie, w wojsku czy też – dodał z uśmiechem – w polityce.

Roześmiałam się.

– Tata nigdy z góry nie deprecjonował żadnej teorii – powiedziałam.

– Wiem. Był prawdziwym człowiekiem Renesansu, naukowcem o otwartym umyśle. Nie wyobrażam sobie, że mógłby mieć uprzedzenia.

Zastanawiałam się chwilę.

– Jedyłą rzeczą, jaką mogę z całą pewnością powiedzieć o ojcu, to że nie tolerował uprzedzeń. Co najwyżej był uprzedzony wobec ludzi o ciasnych umysłach.

Podano jedzenie i już po pierwszym kąsie stwierdziłam, że jest pyszne.

– Cieszę się, że pani nie rozczarowałam. A wracając do sprawy – wyobrażam sobie, że pani matka adopcyjna musiała być specyficzną osobą.

– Dosyć – stwierdziłam cierpko.

Znów uniósł brwi.

– Powiedzmy, że mój ojciec był przede wszystkim mężczyzną, a potem profesorem, i to powinno panu wystarczyć – ucięłam.

Uśmiechnął się.

– Zatem – podjął, ocierając usta serwetką – mogę przypuszczać, że skoro sprowadziła się tu pani niedawno, nie zdążyła jeszcze nawiązać romantycznych kontaktów?

– Nie.

– „Nie” w sensie, że nie jest pani romantycznie z kimś związana, czy „nie” w sensie, że moje przypuszczenia są niesłuszne?

– Są niesłuszne.

Nadal się uśmiechał, ale dostrzegłam w jego oczach rozczarowanie.

– A pan, profesorze? Nie widzę obrączki.

– Ciepło, ciepło, ale obrączki nie ma – odparł. – Niewiele jest kobiet, które zdecydowałyby się związać z mężczyzną do tego stopnia zaangażowanym w pracę naukową, zwłaszcza w tak abstrakcyjnej specjalizacji. Nie widzisz produktu końcowego, jak dom czy garnitur. Idee są zbyt nieoczywiste.

– To prawda. Moja matka adopcyjna nigdy nie traktowała poważnie pracy ojca. Chyba że w kategoriach konkurencji, która go jej odbiera.

Kiwnął głową.

– Pracuje pan teraz nad własną teorią? – spytałam, sądząc, że rozmowa ze mną może mieć charakter wywiadu.

– Tak. Nie jest zbyt oryginalna; w każdym razie badam wpływ różnych czynników środowiskowych na psychikę. Pewne zależności są już dawno stwierdzone – jak wpływ trudnego klimatu na nastroje depresyjne i tak dalej – lecz moim zdaniem nauka powinna systematycznie oceniać wpływ rozwijających się technologii na nasze osobowości. Ale proszę, niech mi pani nie każe wsiadać na ulubionego konika i nudzić panią wykładem – chyba że trafi pani na moje zajęcia na uczelni – ostrzegł, a ja się roześmiałam.

Trzeba przyznać, że jest przemiłym człowiekiem, pomyślałam. Tata na pewno by go polubił.

Profesor wypytywał mnie o zajęcia na Uniwersytecie Karoliny Północnej

i chwilę rozmawialiśmy o uczelni. Wyjadłam wszystko do czysta, nie zostawiając nawet okruszka.

– Cieszę się, że pani smakowało. Życzy sobie pani coś jeszcze? Kawa, może lody?

– Nie, dziękuję. Muszę już wracać.

– Ja również. Jestem wdzięczny, że zechciała pani zjeść ze mną lunch i zgodziła się odpowiedzieć na wszystkie pytania.

– I ja dziękuję, profesorze.

Przywołał kelnerkę i zapłacił rachunek.

Odwiozłam go na kampus. Po drodze opowiedział mi więcej o swojej rodzinie, o ich restauracji i swoich studiach. Okazało się, że jest rzeczywiście tak młody, na jakiego wygląda, i ma zaledwie dwadzieścia osiem lat.

– Zakwalifikowałem się do szkoły dla uzdolnionych uczniów i zdałem maturę w wieku lat szesnastu, potem w trzy lata zrobiłem dyplom i w wieku dwudziestu dwóch lat miałem już doktorat – opowiadał. – Dlatego zapuściłem brodę, żeby zakryć tę nieszczęsną *cara del bebé*, jak mówiła moja matka, buzię dziecka – wyznał szczerze i dodał po chwili: – Jestem pani bardzo wdzięczny za szczerść.

– *São benvindo* – odpowiedziałam.

– Słucham?

– Portugalski odpowiednik „nie ma za co”. Skoro częstuje mnie pan hiszpańskim, rewanzuję się portugalskim. Znam trochę ten język, bo miałam portugalską nianię – dodałam.

Uśmiechnął się.

– Jest szansa, że nauczymy się nowych języków – powiedział, wysiadając. Pomachał mi na pożegnanie.

Naprawdę miły gość, pomyślałam znów, ale zaraz opadły mnie wątpliwości, czy powinnam tak bratać się z moim wykładowcą.

To tylko przyjaźń, tłumaczyłam sobie. Co może zaszkodzić? Doprawdy, miałam ważniejsze problemy, skumulowane za murem posiadłości Joya del Mar.

– Thatcher kazał ci przekazać, żebyś zadzwoniła do niego, gdy tylko przyjdiesz – powiedziała mama, kiedy weszłam do domu. – Był bardzo podekscytowany.

– Tak?

– Kazał mi dwa razy potwierdzać, że nie zapomnę ci przekazać!

Odłożyłam torby z książkami i podeszłam do telefonu. Zaledwie przedstawiłam się sekretarce, połączyła mnie z Thatcherem.

– Jestem po spotkaniu z Kirbym Scottem – oznajmił. – Kiedy powiedziałem mu bez ogródek, czego chcę się dowiedzieć, przestraszył się, że zaciągnę go do sądu. Zaskoczyła go moja bezpośredniość i może dlatego był ze mną bardzo szczery, jak chyba nigdy nie był. Dowiedziałem się wielu rzeczy na temat jego relacji z Jackie Lee oraz twoją matką. I powiem ci, że mu wierzę.

Tymczasem moja siostra i matka przedstawiały sprawę zupełnie inaczej. Sprawdziłem wszystko, co mi powiedział, i potwierdziłem, że w żadnym razie nie może być moim ojcem. W okresie, o którym mówiła moja matka, Kirby znajdował się w odległości kilku tysięcy kilometrów od Joya del Mar i Palm Beach. Potwierdziły się moje przypuszczenia i zarazem nadzieja, że to była intryga, spisek mojej kochanej siostrzyczki i mamusi. Zdążyłem już powiedzieć Whitney, co o tym myślę. Mamuśka będzie następna.

– Cieszę się, że to wyjaśniłeś, Thatcher. Wiem, że nie chciałeś mieć żadnych związków z tym człowiekiem.

– Ciesz się ze względu na nas, Willow. Już nie muszę niczego przed nikim ukrywać – mówił z determinacją. – Zmieniłem nasze wieczorne plany. Na razie nie poznasz moich kuchennych talentów. Zamówiłem dla nas stolik w Ta-Boo – pierwszym miejscu, do którego cię zabrałem, kiedy się poznaliśmy. Ten lokal nie ma sobie równych, jeśli chodzi o rolę tuby do nagłośnienia zaręczyn na całe Palm Beach. Potem możemy pojechać do domu mojego przyjaciela. Bądź gotowa na siódmą. I ubierz się wystrzałowo! – nakazał. – Chcę, żeby każdy widział, jak królujesz u mojego boku.

– Jesteś pewien? – Lekko oszołomiona, z trudem łapałam oddech. Nagle całe moje życie, moja przyszłość, wszystko wokół mnie zaczęło pędzić do przodu w tempie, na które nie byłam przygotowana.

– Czy jestem pewien? Mówię ci, Willow De Beers, trzymam ten pierścionek w pogotowiu. Wyjdziemy z szafy! Dziś wieczorem będziemy jawnie świętować! – Prawie krzyczał w słuchawkę.

Rozłączyłam się i zobaczyłam, że mama stoi nieopodal, w napięciu wstrzymując oddech.

– Wszystko w porządku? – Z niepokojem spoglądała na moją zaczerwienioną twarz. Piekły mnie policzki i szyja. – Willow?

– Chyba tak – odezwałam się wreszcie. – Jak zrozumiałam, mam dzisiaj

przyjąć oświadczyły na oczach całego Palm Beach.

Była zaskoczona, ale pozostała czujna.

– Jesteś szczęśliwa? Czy tego chciałaś?

– Myślę, że tak. Tak, jestem.

– W takim razie cieszymy się i uczcijmy to razem. – Chwyliła mnie w objęcia.

Linden od razu się domyślił, co chcemy uczcić. Własne problemy nie przysłoniły mu jasności spojrzenia. Być może zadziałał ten rodzaj wyczucia i przenikliwości, właściwy tylko artystom. Podszedł do mamy i do mnie, roześmianych i dalej trwających w uścisku. Dopiero po chwili dostrzegłyśmy jego ponurą, nieszczęśliwą minę.

– Zamierzasz poślubić Thatchera Eatona – stwierdził, zanim zdążyłam powiedzieć słowo.

– Życz jej szczęścia, Linden – upomniała go mama.

– Szczęścia? Raczej powinienem jej współczuć. Co teraz zrobimy? Pozwolimy Eatonom dalej mieszkać w naszym domu? – zapytał napastliwie.

– Nie, Linden – odparłam. – Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Pokręcił głową.

– Poczekamy i zobaczymy. Thatcher jest mistrzem w uzyskiwaniu tego, co zechce. Potrafi sprzedać każdemu wszystko, nawet lód Eskimosowi.

– Linden, proszę – powiedziałam błagalnie. – Daj mu szansę. Thatcher chce być twoim przyjacielem. Wiele razy wyciągał do ciebie rękę.

– Och, czyżby? Ciekawe, czy pamięta, ile razy on i jego bogaci przyjaciele z Palm Beach wyśmiewali się i szydzili ze mnie. I zapytaj go, jakie numery mi robili. Zanim zaczniesz ci wmawiać, że mu na mnie zależy, niech się najpierw wytłumaczy z tego wszystkiego.

– Linden, każdy ma prawo dojrzeć i zmienić przekonania – wtrąciła mama łagodnie. – Jestem pewna, że sam w młodości popełniłeś wiele błędów, których teraz żałujesz.

Zmroził ją spojrzeniem, jakby nie był pewien, że kobieta, która wypowiedziała te słowa, jest jego matką.

– Nie rozumiem, jak możesz się tym cieszyć. Czyżbyś nagle zapomniała, jak przez całe lata traktowała cię ta rodzina!

– Jestem już zmęczona, Linden. Zmęczona brakiem szczęścia, gniewem, żalem. Chcę, żebyśmy wszyscy wreszcie byli szczęśliwi. Patrzyli w przyszłość, a nie ciągle oglądali się na przeszłość. Dlatego proszę, abys

spełnił życzenie Willow i dał losowi szansę. Zrobisz to? Proszę!

Popatrzył na nią, na mnie i znów na nią.

– Dobrze, ale kiedy to wszystko zawali się z hukiem – powiedział wieszczym tonem – nie przepraszajcie mnie. Nie oczekujcie ode mnie współczucia. – Podeszedł do mnie. – Dobrze wiesz, co czuję na myśl, że mam życzyć szczęścia tobie czy komukolwiek. To samo, co mógłby czuć kulawy królik, życzący szczęścia drugiemu kulawemu królikowi w rewirze łowieckim lisa. Więc życzę ci szczęścia, Willow – rzucił i wyszedł z pokoju.

– Przejdzie mu – pocieszyła mnie mama z dziwnym jak na nią optymizmem. – Kiedy zobaczy, że jesteś szczęśliwa i jak odmienił się nasz los, przestanie się boczyć.

– Nie jestem taka pewna. Może jednak powinnam wstrzymać się z decyzją do czasu, aż mu się polepszy?

– Nie daj się zwariować, Willow. Mówiłam ci już wcześniej i powtarzam teraz, że nie musisz się nami przejmować. Jeśli stwierdzę, że jesteśmy dla ciebie ciężarem, poproszę cię, żebyś stąd wyjechała i zostawiła nas – zagrożiła.

– Na pewno do tego nie dojdzie – zapewniłam. Znów się uścisnęłyśmy, ale już bez wcześniejszego entuzjazmu.

Wróciłam do siebie i zaczęłam przeglądać swoją garderobę w poszukiwaniu kreacji odpowiedniej na dzisiejszy wieczór. Thatcher chciał, żebym przyciągała wszystkie spojrzenia. Miałam sukienkę, której dotąd nie ośmieliłam się włożyć, bo uważałam, że jest zbyt seksy i nie zostawia pola dla wyobraźni. Była to mała czarna na ramiączkach, z zakardu typu węzowa skóra, tak krótka, że siadanie i schylenie się w niej było ryzykiem. Włożyłam ją tylko raz, na randkę z Allanem. Wyznał mi, że co do tej kiecki ma mieszane uczucia: „Z jednej strony jestem dumny, że taka wystrzałowa dziewczyna wisi u mojego ramienia... a z drugiej nie podoba mi się sposób, w jaki inni faceci pozerają cię wzrokiem”.

W rezultacie odwiesiłam sukienkę do szafy i więcej jej nie włożyłam. Teraz jednak, spoglądając na siebie w lustrze, zastanawiałam się nad Thatcherem i Palm Beach. Jemu powinnam się spodobać, myślałam. On nie będzie miał rozterek.

Rozmyślałam, automatycznymi ruchami rozczesując włosy. Nagle poczułam, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą mamę. Spokojnie mnie obserwowała.

- Przepraszam – powiedziała – nie chciałam się zakradać.
- Nie przepraszaj. Zamyśliłam się i kompletnie odleciałam.
- Stałam i obserwowałam twoje przygotowania, tak jak kiedyś obserwowałam swoją mamę, kiedy byłam jeszcze młodą dziewczyną. Stałam za nią, patrząc, jak rozczesuje włosy, a ona mówiła do mojego odbicia w lustrze. Miałam wrażenie, że patrzymy na siebie z dwóch stron magicznego okna. Rozmawiała ze mną jak z dorosłą kobietą, bez protekcyjnego tonu. Może dlatego, że tak wiele razem przeszliśmy; ona straciła męża, ja – ojca, a potem musiałyśmy opuścić dom, przenieść się tutaj i zacząć wszystko od nowa. Takie przeżycia sprawiają, że szybciej się dorasta. Czasami myślę, że nie miałam młodości.
- Uwielbiałam te wspólne chwile. – Uśmiechnęła się do wspomnień. – Zwykle taka okazja pojawiała się, kiedy mama miała gdzieś wyjść z Winstonem, na bal czy wystawną kolację. Jak wiesz, była bardzo atrakcyjną kobietą.
- Wiem. Widziałam fotografię na twojej toalecie.
- Jesteś do niej podobna, Willow.
- Trudno mi uwierzyć.
- W przeciwieństwie do dzisiejszych kobiet nie robiła nic dla swojej figury. Zajadała się najgorszymi, tuczącymi rzeczami i nie tyła, a cerę miała jak alabaster, gładziutką, z brzoskwiniowym puszkciem na policzkach, taką jak ty. Prawie się nie malowała; robiła tylko lekkie cienie na powiekach i przeciągała szminką po wargach. Za to uwielbiała dobre perfumy, a z całej biżuterii, jaką posiadała, najbardziej lubiła to – powiedziała mama. Rozpostarła dłoń i pokazała platynową klamerkę do włosów z brylantami.
- Och, jaka piękna!
- To jedna z niewielu cennych rzeczy, której Kirby Scott nie dostał w swoje chciwe paluchy. Wykonano tę spinkę na zamówienie, specjalnie dla niej. Była prezentem od Winstona. Pomyślałam, że będzie pięknie wyglądać na twoich włosach – dodała i wręczyła mi ozdobę.
- Zrobiłam ruch, żeby pokręcić głową, ale mama powiedziała szybko:
 - Jestem pewna, że ona by sobie życzyła, abyś to nosiła, Willow. Tak piękny przedmiot nie powinien leżeć zapomniany pod skarpetkami na dnie szuflady. Poza tym uważam, że okazja jest specjalna i wymaga specjalnej oprawy. Proszę, zepnij nią włosy – ponagliła.
- Ostrożnie rozpięłam klamerkę i robiłam, o co prosiła, a potem usiadłam

przed toaletką i obie patrzyłyśmy na moje odbicie w lustrze. Widziałam, jak twarz mamy promienieje. Pochyliła się ku mnie i przycisnęła policzek do mojego.

– Tak mi przykro, że nie mogłam być z tobą, kiedy dorastałaś, Willow. Powinnam ściągnąć cię do siebie, ale mama była już wtedy bardzo chora. Przez dwa lata walczyła z rakiem piersi i zaczęła przegrywać tę walkę. Była jak piękny kwiat, pozbawiony słońca i wody, który więdnie i usycha, aż zostaje w nim tylko ślad dawnej urody. Dręczyłam się, że nie było mnie przy mamie, kiedy najbardziej mnie potrzebowała, i nie byłam przy tobie, kiedy potrzebowałaś prawdziwej matki.

– Ale jesteś przy mnie teraz, mamó. A ja jestem tutaj i wreszcie mieszkamy razem.

– Tylko czemu tak późno... Zastanawiam się czasem, czy nie za późno.

– Nie jest za późno. Mamy przed sobą wiele lat – zapewniłam.

Obie zerknęłyśmy w stronę drzwi, słysząc kroki Lindena w korytarzu. Czyżby wcześniej stał tam i podsłuchiwał?

– Pójdę, pobędę trochę z nim – szepnęła i poklepała mnie po ramieniu. – Nie martw się.

Wyszła, a ja wróciłam do garderoby, żeby poszukać swojego czarnego szala. A potem znów oglądałam się w lustrze, wyobrażając sobie, że tata stoi za mną.

„Ślicznie wyglądasz” – mógłby powiedzieć. Miałam nadzieję, że tak by powiedział. Nigdy nie był pruderyjny, a moja matka adopcyjna przyzwyczaiała go do widoku modnych ciuchów i drogiej biżuterii.

Nagle wyobraziłam sobie, że jego uśmiech niknie, spędzony przez poważną, naukową minę.

Jesteś pewna swoich decyzji, Willow?

Na zmianę to jestem pewna, to mam wątpliwości.

Pytałaś siebie, dlaczego tak jest?

Nie, ale to przecież nic nadzwyczajnego. Czyż ludzie nie mają wahań, podejmując ważne życiowe decyzje?

Znów się uśmiechnął.

I kto tu jest psychiatrą, odpowiadającym pytaniem na pytanie, co?

Miałam dobrego nauczyciela.

Roześmiał się i obraz zbladł.

– Tato – szepnęłam do lustra.

Ale odbijałam się w nim tylko ja, samotna, niepewna i pełna obaw.

Kiedy wyszłam z pokoju, zobaczyłam, że Linden z mamą siedzą na tarasie. Drzwi były otwarte i słyszałam ich rozmowę. Powiedział rozzalony:

– Założę się, że wolałabyś mieć dwie córki.

– Oczywiście, że nie. Większość rodziców woli mieć parkę.

– Ani razu nie byłaś zameżna – przypomniał jej gorzko.

– Co nie znaczy, że którekolwiek z was mniej kochałam – zaprzeczyła żywo.

– Willow miała większe szczęście, bo przynajmniej jest owocem miłości – mruknął.

– Mówiłam ci sto razy i powtórzę, Linden, że byłabym gotowa jeszcze raz przeżyć ten ból i upokorzenie, byle mieć ciebie.

– Mówisz tak, bo wiesz, że nie da się cofnąć czasu – warknął.

– Nieprawda!

– Owszem, prawda – upierał się.

Zerwał się z fotela i wyszedł z tarasu tak szybko, że omal nie potrącił mnie w drzwiach. Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Twój książkę już przyjechał. Baw się dobrze – wycedził i wyminął mnie.

Chwyciłam go za ramię i obrócił się ku mnie zaskoczony.

– Chciałabym, żebyś życzył mi tego szczerze, Linden.

Zamrugął i jego napięcie zelzało. Opuścił wzrok, chyba był zawstydzony, przynajmniej tak mi się wydawało.

– Szczerze ci życzę. Naprawdę. Przepraszam – wybąkał.

Uśmiechnęłam się.

– Dzięki, Linden.

Kiwnął głową i odszedł, już nie tak szybkim krokiem. Za to zgarbił się, jakby przybyło mu lat.

Wyszłam przed dom. Thatcher, wystrojony w złotą wieczorową marynarkę oraz czarne spodnie, koszulę i krawat, spojrzał na mnie i gwizdnął przeciągle, a potem zerknął na mamę i pokręcił głową.

– Grace, kwoki będą o tym gdakać przynajmniej przez miesiąc!

– Niech sobie gdaczą, byle nie składały jaj pod moim progiem – odpowiedziała i Thatcher parsknął śmiechem.

Podszedł i podał mi ramię.

– Przyszła pani Eaton, czy mogę pani towarzyszyć? – zapytał, parodiując zabawnie południowy akcent.

– Nie myślałam, panie Eaton, że pan raczy zapytać – odpowiedziałam. Mama

śmiała się jeszcze głośniej od nas.

W tak cudownym, szczęśliwym momencie nic nie może przywiać z powrotem czarnych chmur rozpacz, pomyślałam.

Rozdział siódmy

HERBATKA Z BUNNY

Całe zachowanie Thatchera tego wieczoru było nastawione na rozgłoszenie naszego narzeczeństwa po całym Palm Beach. Zarezerwował najbardziej wyeksponowany stół, żeby każdy nas widział, a kiedy weszliśmy do lokalu, zadbał, aby zaanonsowano mnie głośno jako jego narzeczoną. Na moim palcu lśnił pierścionek. Wręczył mi go ponownie, gdy tylko wsiedliśmy do jego rolls-royce'a.

– Daję ci go wcześniej, niż się spodziewałem. – Wsunął mi klejnot na palec.
– Tak.

Pocałował mnie.

– Odtąd tak już będzie, Willow. Ty mi wyznaczasz cele, a ja odpowiadam za ich realizację. Twoje szczęście jest moim szczęściem.

To z pewnością była tylko gra wyobraźni, ale przez moment miałam wrażenie, jakby pierścionek zaciążył mi na ręce – zwłaszcza kiedy Thatcher zaczął mnie przedstawiać jako swoją narzeczoną. Kiedy podawałam komuś rękę na przywitanie, widziałam, jak jego czy jej wzrok przyciąga skrzący się brylant. Zanim zdążyliśmy dojść do stolika, cały lokal mówił tylko o nas. Dochodziły mnie strzępki zdań: „...kto by pomyślał, że Thatcher Eaton potraktuje tak poważnie związek... Nie, nie wierzę... Córka Grace Montgomery, serio? ”.

Goście, których nie wyznaczył do roli „przekazników”, sami podchodzili do naszego stolika, żeby się przedstawić i usłyszeć, jak Thatcher przedstawia mnie jako swoją narzeczoną, jakby nie wystarczał im widok pierścionka.

Jedna z kobiet, mniej więcej w wieku mojej mamy, ale ubrana jak młódka, kompletnie mnie zaskoczyła. Chwyciła moją rękę i uniosła ją w górę, aby

wszyscy mogli podziwiać brylant, po czym zwróciła się do mnie, mówiąc głośno:

– Czy zdajesz sobie sprawę, czego dokonałaś? Zarzuciłaś lasso na najbardziej narowistego ogiera z całej stajni!

– Naprawdę? – udałam niewinne zdziwienie i cofnęłam rękę. Zerknęłam na Thatchera. – Nie wierzę, że mógłby taki być. Jest bardzo dobrze wychowany i odnosi się do mnie niezwykle uprzejmie.

Parsknął śmiechem, a kobieta, która przedstawiła się jako Muffy Anderson, tępo rozdziawiła usta. Jej towarzysz, szczupły, niski mężczyzna, trwał przy niej z przyklepionym do twarzy uśmiechem. Pomyślałam, że stanowią osobliwą parę. Miało się wrażenie, że potężna partnerka może go zgnieść w uścisku, zwłaszcza gdyby dostał się w rowek pomiędzy olbrzymimi piersiami, wysuwającymi się z dekoltu.

– Kto to jest? – zapytałam szeptem, kiedy się oddalili.

– Muffy? Wdowa po Lowellu Andersonie, który opatentował i wytwarzał plastikowe korki do wina; sprzedawały się jak świeże bułeczki w zachodniej Europie. Zaś jej towarzysz to jeden z tych etatowych lowelasów z Palm Beach, gorsza kopia Kirby’ego Scotta.

Chciałam usłyszeć więcej o jego spotkaniu z Kirbyem, ale szybko stało się jasne, że w Ta-Boo nie mamy szansy na poważną rozmowę. Do naszego stolika pielgrzymowali coraz to nowi przyjaciele i współpracownicy Thatchera. Pod koniec wieczoru do lokalu wparowała dama, która wyglądała, jakby urwała się z balu kostiumowego. Miała kowbojski kapelusz zdobiony klejnotami, bluzkę z cekinami, różową spódnicę w kratę i kowbojki ze skóry aligatora. Towarzyszył jej młody człowiek z imponującej wielkości aparatem fotograficznym. Kobieta od razu ruszyła w stronę naszego stolika. Właśnie byliśmy przy deserze.

– Thatcherze Eaton, ty łobuzie! – zawołała i skinęła mi głową. – Jak śmiałeś wyciąć taki numer i nie dać mi wcześniej cynku?

Zbaraniała popatrzyłam na Thatchera, który rozparł się na krześle z leniwym, pełnym satysfakcji uśmiechem.

– Po prostu wiedziałem, że znajdzie się mały ptaszek, który szepnie ci co trzeba do ucha, Suzy. Willow, poznaj Suzy Q, autorkę kolumny towarzyskiej, najbardziej wpływową dziennikarkę w Palm Beach.

– Potrzebuję paru zdjęć – zarządziła, nie pytając nas o zdanie. Skinęła na fotografa, który zaczął strzelać fotki. – Obejmij ją, Thatcher. Niech to wygląda

maksymalnie naturalnie, dobra?

– To jest naturalne. – Thatcher podsunął jej pod oczy moją dłoń z pierścionkiem.

Suzy Q przechyliła głowę, unosząc kąciki grubo wymalowanych ust. Pomyślałam, że wygląda jak chodząca reklama chirurgii plastycznej. Nos miała podrasowany, a powieki tak podciągnięte, że zastanawiałam się, czy może zamknąć oczy w nocy. Podobnie było z podbródkiem, który musiał utrudniać połykanie. Tlenione blond włosy zwisały spod kapelusza jak plastikowe strąki.

– Dobra – powiedziała do fotografa. – Wystarczy. – Przysunęła sobie krzesło. – Teraz parę słów dla mnie, kochani. – Położyła na blacie miniaturowy dyktafon i włączyła go. – Gdzie się poznaliście?

– Jak myślisz? – Thatcher spojrzał na mnie z uśmiechem. – Może być południowa Francja? Nicea?

– Nie mam nic przeciwko Nicei. – Roześmialiśmy się.

– Kochani, muszę ludziom rzucić coś na żer, więc nie róbcie sobie żartów z Susy Q, dobra?

– Ona ma rację, Willow. Nie ma sensu niczego ukrywać. Susy ma wszędzie swoje uszy i oczy, więc nie ochronią nas nawet najgrubsze mury. Donald Trump nie czuje się bezpieczny, a co dopiero my! – Z powagą zwrócił się do dziennikarki: – Willow wynajmuje mi dom.

Suzy uniosła brwi i popatrzyła na mnie.

– Serio?

– Tak, jest właścicielką Joya del Mar. Wykombinowałem, że jeśli się z nią ożenię, obniży mi czynsz.

Susy Q z westchnieniem wyłączyła dyktafon i wsunęła go do małej czarnej torebki na pasku, zwisającej z ramienia.

– Okay, panie Cwaniaczku, sięgnę do swoich źródeł i dowiem się całej prawdy, albo przynajmniej czegoś, co jest do niej zbliżone. Cóż, sam chciałeś, więc ryzykujesz.

– Ryzyko jest wpisane w twoją rubrykę, Suzy.

– Sprytnie, bardzo sprytnie. Moja kochana – zwróciła się do mnie – przyjmij moje kondolencje. I oczywiście najlepsze życzenia – dodała z najbardziej przymilnym uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Jeszcze się zobaczymy – rzuciła na pożegnanie. Zabrzmiało to raczej jak ostrzeżenie niż obietnica. Skinęła na fotografa i opuścili lokal tak szybko, jak się w nim pojawili.

Thatcher zaczął się śmiać.

– Czy to już wszystko? – spytałam.

– Przynajmniej na razie. – Skinął na kelnerkę.

Wyjście z lokalu okazało się jeszcze większym wyzwaniem niż wejście, bo ciągle przyjeżdżali nowi ludzie, przygnani tu plotką, która jak widać zataczała coraz szersze kręgi. Poznałam przynajmniej drugie tyle osób i kiedy udało się nam dotrzeć do auta, byłam kompletnie wykończona.

– Czuję się, jakby mnie przemielono, prześwietlono, obejrzano pod mikroskopem i przebadano pod kątem wszystkich możliwych grzechów i schorzeń towarzyskich – narzekałam. – Wypalili mi wzrokiem dziury w twarzy!

– Zapewniam cię, że nie patrzyli tylko na twoją piękną buzię – odpowiedział Thatcher.

– Równie dobrze moglibyśmy się zamknąć w szklanym słoju, jak rybki!

– Bo takie właśnie jest Palm Beach. – Pokiwał głową, śmiejąc się. – Socjeta pod szklanym kloszem.

Z jękiem osunęłam się w fotelu.

– Liczę, że zaraz złapiesz drugi oddech – powiedział, kiedy ruszyliśmy. – Noc jest jeszcze młoda, zwłaszcza dla nas.

– Och, Thatcher, tylko nie mów, że jedziemy do kolejnego modnego miejsca w Palm Beach!

– Nie, już wystarczy, i tak narobiliśmy szumu. Moja mamuśka oraz siostrzyczka będą jutro wisieć cały dzień na telefonie i stawiać czoło huraganowym pytaniom i komentarzom. Przewidując umówiłem się na sprawę w Miami, żeby nie mogły mnie dosięgnąć w biurze. W sumie należy przypuszczać, że już dzisiaj słuchawki im się rozgrzeją, bo szybkość rozchodzenia się plotek w tym mieście jest ponaddzwiękowa. Zresztą wystarczy, że pogadają ze sobą. Już słyszę, jak Whitney uspokaja i pociesza naszą kochaną mamuśkę, a poczciwy tatuś pociesza się wódką Grey Goose z lodem. – Parsknął śmiechem.

– Widzę, że cię to strasznie bawi – powiedziałam podejrzliwie. – Nie wiem tylko, czy z mojego powodu, czy z powodu twojej słodkiej zemsty na siostrze i matce?

– Głównie z twojego powodu – odparł szczerze – choć nie przeczę, że cieszę się słodka zemsta.

– No, to świetnie, Thatcher. Jak mam ułożyć sobie życie z twoją rodziną,

kiedy wcierasz im w twarzę mnie, niczym ostrą paprykę!

– Och, szybko o tym zapomną i przyjmą cię na rodzinne łono tak gościnnie, na ile to u nich możliwe – odpowiedział beztrąsko. – Zresztą, Willow, wychodzisz za mąż za mnie, a nie za moją rodzinę, prawda?

– Wiesz, że tak nie będzie, Thatcher. Proponuję, żebyśmy zawarli układ i obiecali, że zawsze będziemy ze sobą szczerzy.

Kiwnął głową.

– Dobrze. Masz rację. Nie będę się głupio mścił. Kiedy moja rodzina zrozumie, że traktuję sprawę poważnie, wszystko się zmieni. I mówię to szczerze – zapewnił. – A skoro mowa o sprawie, powinniśmy pomyśleć o dacie ślubu.

– Niedługo zacznę naukę na uczelni – odparłam. – Spotkam się z moim opiekunem i ustalimy plan zajęć. Semestr kończy się na początku czerwca.

– Dobrze. W takim razie niech to będzie podstawa naszego planu. Co byś powiedziała na ślub w końcu czerwca? Zarezerwuję nasz pobyt na miesiąc miodowy we Francji, na Lazurowym Wybrzeżu, w hotelu Château de la Chevre d'Or. To miejsce jest jak z bajki, więc trzeba wcześniej zrobić rezerwację.

Serce mi zabiło na myśl o ślubnych planach. Tyle się będzie działo!

– Dla mnie wszystko dzieje się trochę za szybko – powiedziałam z wahaniem. – W maju mamy się wprowadzić do dużego domu i...

– Zawsze możesz to odwołać.

– Nie! – odpowiedziałam niemal krzykiem. Tego tylko potrzeba mojemu bratu, żeby na nowo się zaburzył. – Obiecałam to mamie i Lindenowi. Zapalili się do tego pomysłu i bardzo czekają na przeprowadzkę. Wolałabym już raczej przesunąć termin ślubu, Thatcher. Możemy też uciec razem – podsunęłam.

Roześmiał się.

– Możemy, ale i tak chcę, żebyśmy wzięli ślub.

– Dlaczego?

– Dlaczego? To jest Palm Beach, Willow, i musisz do tego przywyknąć. Teraz jesteś częścią elity, a potwierdzenie i usankcjonowanie tego faktu znajdziesz jutro w gazetach.

– Tylko tyle wystarczy?

– Tylko? Słyszałaś, co mówiła Suzy Q. Osadziłaś najbardziej narowistego ogiera z tutejszej stajni, więc bądź gotowa na wszystko. Twój telefon też się jutro rozgrzeje.

– Czemu?

– Zaproszenia – wyjaśnił krótko. – Każdy będzie chciał gościć cię u siebie, zobaczysz. Zaraz staniemy się najgorętszą parą sezonu.

– Czy to dobrze?

– Dobrze dla mnie i dla mojej kariery – a co jest dobre dla mnie, Willow, będzie dobre dla ciebie.

Odchyliłam głowę na siedzenie i przymknęłam oczy, zastanawiając się, czy naprawdę wiem, w co się pakuję, godząc się wyjść za Thatchera. Patrzyłam na niego – uśmiechniętego i szczęśliwego, przystojnego i spełnionego zawodowo młodego mężczyznę, który zapałał do mnie takim uczuciem, że nie potrafił pogodzić się z myślą o opóźnieniu ślubu.

– Nie martw się tak. – Sięgnął po moją dłoń. – Obronię cię przed rekinami grasującymi w tutejszych wodach. Od czego masz męża prawnika?

– Nie martwię się o siebie – powiedziałam.

Przytaknął ze zrozumieniem.

– Teraz wspólnie będziemy troszczyć się o wszystkich, Willow. Przywrócimy radość w Joya del Mar, aby zamieszkała tam na zawsze. – Uśmiechnął się. – Czy mówiłem ci, że wyglądasz dzisiaj piekielnie seksownie?

– Za mało mi mówiłeś – mruknęłam, a on się roześmiał.

– Hej, noc dopiero się zaczyna. – Skręcił w drogę do naszego domu schadzki na plaży.

Kiedy wchodziliśmy do środka, zadzwonił jego pager. Zerknął na niego i pokiwał głową.

– Twoja matka? – spytałam domyślnie.

– Dziwię się, że dopiero teraz. Musiały się zatkać linie telefoniczne, albo coś w tym stylu.

– Zadzwonisz do niej?

– Nie, nie dzisiaj. Zamkniemy drzwi i odetniemy się od świata. Tutaj jesteśmy tylko ty i ja. – Przyciągnął mnie do siebie. – Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, zwłaszcza gdy tak na mnie patrzysz. – Pocałował mnie krótko, a potem porwał w ramiona i zaniósł do sypialni.

– A co zostanie na miesiąc miodowy? – zagadnęłam, kiedy się rozbierał.

Przerwał i uśmiechnął się.

– Zaczekaj, aż znajdziemy się w bajecznym zamku na szczycie góry i popatrzymy na błękitne morze. Wtedy zrozumiesz, że każdy dzień, spędzony razem będzie lepszy od poprzedniego. A to tylko – dodał, kłękając przy łóżku

– mała cząstka wszystkich atrakcji.

– Zupełnie jakbyś mówił o filmie, a nie małżeństwie.

– Nasze małżeństwo zawsze będzie romanssem, Willow. – Thatcher pocałował mnie w czubek nosa, a potem położył się przy mnie i zaczęliśmy się kochać.

Kiedyś podsłuchałam, jak moja matka adopcyjna mówiła do swojej przyjaciółki od serca, że kiedy kochasz się z kimś z zamkniętymi oczami, może uda ci się zapomnieć o mężczyźnie, z którym jesteś, i zastąpić go innym, wyimaginowanym i wymarzonym. Przyjaciółka odparła, że gdyby to była prawda, już dawno przestałaby sypiać ze swoim mężem. Zachichotały, a potem moja matka adopcyjna zaskoczyła mnie wyznaniem, że zawsze starała się w łóżku zapomnieć o mężu. „Nawet w czasie miodowego miesiąca pod powiekami wyświetlał mi się ktoś inny”.

Ich śmiech palił jak ukłucia żadeł.

Gdyby matka adopcyjna miała rację i można było jej wierzyć w sprawach miłosnych, nie powinnam się obawiać o swoje uczucia do Thatchera.

Tak, kiedy mnie pieścił i całował, a jego gorący oddech na szyi budził we mnie błogi dreszcz oczekiwania, czasami miałam ochotę zamknąć oczy. Jednak nie robiłam tego, bo uwielbiałam patrzeć na Thatchera. Był naprawdę przystojnym mężczyzną i kiedy patrzyłam, jak narasta w nim rozkosz, on też otworzył oczy, spojrzał głęboko w moje i powiedział z uśmiechem:

– Willow, jesteś taka piękna, taka świeża i niezwykła!

Pomyślałam, że gdyby nawet nie udało się nam pozostać ze sobą na zawsze i kochałabym się z kimś innym, i tak pewnie pod moimi powiekami pojawiałby się Thatcher Eaton.

Taka miłosa magia iskrzyła pomiędzy nami. Byliśmy jak dwa patyki, pocierane o siebie tak intensywnie, że wytworzą płomień, żywy, jasny, rosnący, który podpali nas jak pochodnie. Kiedy nadeszło spełnienie, opadliśmy bez sił na łóżko i długo łapaliśmy oddech. Leżeliśmy na boku i Thatcher obejmował mnie od tyłu.

– Teraz możesz mi opowiedzieć o Kirbym Scotcie, Thatcher. Jaki on jest? Co powiedział o mojej mamie i Lindenie?

Wysunął spode mnie ramię, przewrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Ułożyłam się przy nim na boku, podparta łokciem, żeby widzieć jego twarz.

– Cóż – zaczął – dobrze jest być czarusem i leserem. O nic na serio nie musi się martwić, za nic nie odpowiada, myśli tylko o sobie, toteż wygląda

niezwykle młodo. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że chyba chodzi o innego Kirby'ego Scotta. Poszukiwałem przecież faceta mającego co najmniej sześćdziesiąt parę lat, który był mężem twojej babci. Wtedy sobie przypomniałem, że był o pięć lat od niej młodszy. A może nawet jeszcze młodszy, bo mógł skłamać na temat swojego wieku. Kto wie? W każdym razie patrząc na niego, zrozumiałem, jak może jeszcze teraz uwodzić kobiety nie tylko starsze, ale i młodsze od niego. Aktualnie zaczepił się przy Jill Littleton, wdowie po Hunterze Littletonie. Świętej pamięci Hunter był prezesem Mars Industries, kompanii, która specjalizowała się w budowie centrów handlowych na lotniskach. Robiłem coś dla niej dwa lata temu i w ten sposób załatwiłem sobie spotkanie z Kirbym.

– Dobrze, ale jaki on jest? – dopytywałam się niecierpliwie.

– Tupeciarski, pewny siebie drań. Domyślał się, dlaczego chciałem go widzieć, ale specjalnie się tym nie przejął, a przynajmniej nie dał nic po sobie poznać. Był ubrany w niebieską sportową marynarkę, białe spodnie i włoskie pantofle bez skarpet. I lśnił od złota – łańcuch na szyi i bransoleta były tak grube, że mogłyby służyć jako łańcuchy kotwiczne. Do tego sygnet na małym palcu, z szafirem wielkości piłeczki pingpongowej.

– Cieszę się, że masz oko do biżuterii, ale ciągle mi nie powiedziałeś, jaki on jest.

Zaczął się śmiać.

– Och, wierz mi, błysk złota zawsze jest intrygujący, zwłaszcza na złodzieju. Taki jest właśnie Kirby – złodziej w wersji glamour. Jest bystry, gładki i świetnie ułożony. Zaznaczył, że obchodzi go los Grace. Jak się ona miewa? Chciałby odwiedzić ją i Lindena, ale obawia się, że tylko pogorszyłby sytuację. Mówił o tamtych czasach w taki sposób, jakby chciał przekonać sam siebie, albo już dawno przyjął taką wersję, że był wtedy młody, niewinny i łatwowierny. Według niego Jackie Lee omamiła go, wykorzystała, a kiedy jej się znudził, odrzuciła go jak śmiecia, żeby sięgnąć po nowych kochanków. Osamotniony i sfrustrowany, jak twierdził, stał się podatny na wdzięki młodziutkiej Grace, która go podziwiała i jawnie uwielbiała. Tak zawróciła mu w głowie, że uległ porywowi namiętności i bla, bla... – Thatcher machnął ręką. – Kiedy przycisnąłem go na temat mojej matki, powietrze uszło z niego jak z przekłutego balonu. Usta mu drżały, kiedy się wiał przede mną, przerażony, że mogę wszcząć jakieś postępowanie przeciwko niemu. I tak bredził, aż wreszcie wydusił z siebie twarde dowody, które po sprawdzeniu

ostatecznie mnie przekonali.

Potem znów wróciliśmy do rozmowy o Grace i Jackie Lee. Kirby mówił, że Grace była dziewczyną introwertyczną, miała zaledwie parę przyjaciółek i stroniła od życia towarzyskiego. Wolała żyć jego życiem i potrafiła godzinami słuchać, jak opowiadał o swoich podróżach i przygodach. Kojarzył mi się z Otellem, uwodzającym Desdemonę opowieściami o walce i podróżach do egzotycznych krain.

Oczywiście twierdził, że nie zdawał sobie sprawy, że Grace jest coraz bardziej w niego wpatrzona. Była śliczną młodą kobietą i coraz trudniej było mu jej się oprzeć. A kiedy po fakcie uświadomił sobie, co zrobił, postanowił, że musi opuścić Joya del Mar.

Zagroziłem mu, że jeśli będzie rozpowszechniał takie fantastyczne opowieści, zaciągnę go do sądu. Byłem zaskoczony, że wie wszystko o tobie. Podkreślał, że romans Grace w klinice i twoje narodziny są najlepszym dowodem prawdziwości jego historii i działają na jego korzyść, niedwuznacznie sugerując, że taka mogłaby być linia jego obrony. Widać było, że w tych sprawach się mnie nie boi. I zmienił temat, nagle wykazując ogromne zainteresowanie tobą.

– Mną?

– Był bardzo zaintrygowany i zadawał mnóstwo pytań.

– Na przykład?

– Och, różnych. Powiedziałem mu, że jeśli spróbuje zbliżyć się do ciebie choć na parę metrów, osobiście wprawię go w stan nieodwracalnej śpiączki. Miałem ochotę przeskoczyć stół i chwycić go za gardło, ale zjawiała się Jill i musiałem sobie przypomnieć o dobrym wychowaniu. Ale żądza mordu pozostała w moich oczach i z pewnością zrozumiał, że nie żartuję.

W każdym razie po sprawdzeniu wszystkich jego informacji doszedłem do pożądanego i satysfakcjonującego mnie wniosku, że ten człowiek w żadnym razie nie może być moim ojcem. Teraz, kiedy poznałem tego podłego, śliskiego oszusta, niesprawiedliwie obdarzonego urodą i wdziękiem, z satysfakcją mogłem odrzucić obrzydliwe sugestie mojej siostry i matki. Gniew we mnie buzował i nawrzucałem siostrze, jak chyba nigdy w życiu. Kiedy skończyłem, chlupała w słuchawce.

– Mam nadzieję, że nie były to krokodyle łzy – powiedziałam i Thatcher zachichotał.

– Sądzę jednak, że byłoby lepiej, abyś nie mówiła Grace i Lindenowi, że

Kirby Scott jest w Palm Beach. Długo tu nie zabawi. Jill ma własny luksusowy jacht i niedawno mówiła, że wybierają się na Barbados.

Absolutnie się z nim zgadzałam.

Kiedy wróciliśmy do Joya del Mar, odprowadził mnie do domu przy plaży. Pocałowaliśmy się i powiedzieliśmy sobie dobranoc. Thatcher obiecał, że kiedy tylko wróci z Miami, zaczniemy planować nasz ślub.

– Chciałbym, żeby Grace włączyła się w przygotowania, jeśli tylko zechce. Ale nie należy jej naciskać ani zbytnio obciążać.

– A twoja matka włączy się?

– O, z całą pewnością. Przecież chodzi o jedną z ważniejszych imprez w Palm Beach. Jak mogłaby ją zignorować? Prawdę mówiąc, przewiduję sytuację odwrotną niż z twoją matką – będziemy mieli pełne ręce roboty, usiłując utrzymać ją z daleka od sprawy.

– Nie martw się, już ja o to zadbam – obiecałam i Thatcher zaczął się śmiać.

– Nie doceniasz uporu towarzystwa z Palm Beach. Nie odpuszczają, jeśli pojawi się okazja do zabłyśnięcia na imprezie, a w dodatku takiej, która ściągnie flesze i kamery.

– Jasne, przecież nasz ślub musi być wyjątkowy – mruknęłam.

– Tak, i dla Bunny jest to oczywiste. Zresztą sama się przekonasz – dodał ze śmiechem. Jeszcze raz mnie pocałował i wrócił do dużego domu.

Weszłam po schodkach na taras i dopiero po chwili zauważyłam Lindena w mrocznym kącie. Zdawał się mnie nie widzieć. Siedział nieruchomo, obawiałam się nawet, że znów wkroczył w swoją somnambuliczną fazę i śpi na krześle.

– Linden?

Odwrócił się niespiesznie, ale nic nie powiedział.

– Czemu siedzisz tu o takiej porze? Dobrze się czujesz?

– Tak, w porządku – zapewnił z zaskakującym ożywieniem. – Po prostu lubię sobie czasami popatrzeć na ocean. Większość ludzi myśli, że wygląda zawsze tak samo, ale nie widzą zmian w kształcie fal, w świetle gwiazd i księżyca w nich odbitych, nawet w pojawianiu się ryb. Można przepowiadać przyszłość, obserwując nocny ocean.

– Jak?

– Trzeba mieć wprawę. Uczysz się tego, obserwując, jak daleko jest ciemność i gdzie się zagęszcza. Teraz nadchodzi od horyzontu. – Wskazał ruchem głowy na mroczną dal. – Podchodzi coraz bliżej. Niedobrze.

– Linden, takie siedzenie w ciemnościach rodzi mroczne myśli – ostrzegłam. Spojrzał na mnie. Nie widziałam jego oczu, ale domyślałam się, że są nieruchome i gorejące.

– Tak czy owak, on zostanie w tym domu – stwierdził. – Thatcher chce tam zostać. Dlatego ci się oświadczył.

– Linden, nie wierzę, żeby głównym celem Thatchera było pozostanie w Joya del Mar. W okolicy jest mnóstwo też pięknych albo jeszcze piękniejszych domów.

Odwrócił głowę.

– Będziemy tu wszyscy szczęśliwi, Linden. Zobaczysz.

– Widzę, jak nadchodzi ciemność. To widzę.

– Nie jesteś śpiący? Już późno.

– Nie, wszystko dobrze. – Spojrzał na mnie. – Nie martw się – powiedział twardszym, mocniejszym głosem. – Już więcej nie zrobię sobie krzywdy. Muszę być silny.

– Cieszę się.

– Bo muszę cię chronić. – Odwrócił wzrok. – Muszę być silny.

Tym razem zamilkł na dobre i znieruchomiał jak głaz. Chciałam posiedzieć tam z nim, ale uznałam, że lepiej będzie go zostawić i mieć nadzieję, że światło dnia rozproszy mrok w jego duszy i umyśle.

Mama już spała. Położyłam się, ale mimo woli nasłuchiwałam, co robi Linden. Minęło prawie pół godziny, kiedy usłyszałam, jak cicho idzie korytarzem, na ułamek sekundy przystaje pod moimi drzwiami i znika w swoim pokoju.

Rano był w zadziwiająco pogodnym nastroju. Rozprawiał o dużym domu i naszej przeprowadzce i wszyscy poculiśmy dobrą energię. Thatcher, jakby słyszał, o czym się mówi, zaskoczył mnie telefonem. Dzwonił z samochodu, w drodze do Miami.

– Nie mogłem się doczekać, żeby ci to powiedzieć – zaczął. – Właśnie skończyłem rozmawiać z moim ojcem. Oczywiście wiedzą już o wszystkim i tak jak ci mówiłem, akceptują nasz związek w miarę swoich możliwości. Postanowili wyprowadzić się z Joya del Mar wcześniej, niż się spodziewałem. Mój zwykle tak wycofany ojciec absolutnie mnie zaskoczył. Musiał już wcześniej koło tego chodzić, bo złożyli ofertę i właśnie kupują dom pod klucz, gotowy do zamieszkania.

– Serio?

– Tak. Podejrzewam, że moja siostra też musiała maczać w tym palce. W każdym razie pomyślałem, że ty, Grace i Linden na pewno ucieszą się z tej wieści. Rodzice wyprowadzą się w ciągu miesiąca i zapłacą wam całą należną sumę. To da ci czas, żeby się zorganizować i pomyśleć o naszym ślubie – zauważył.

– Cudownie, Thatcher!

– Zadzwoń do ciebie, gdy tylko tu skończę, Willow.

Oznajmiłam dobrą nowinę mamie i Lindenowi. Jeszcze nigdy nie widziałam Lindena tak uszczęśliwionego. Od razu zaczął rozprawiać, jak urządzi swoją pracownię. Ja też poczułam radość i ulgę, gdyż w tej sytuacji dużo łatwiej mogłam układać plany na następne pół roku. Mój ślub, przeprowadzka i moje studia ożywiły także ducha mamy. Teraz miała o czym myśleć i co robić.

Z drugiej strony myśl o tak wielkim przedsięwzięciu, jak ślub w Palm Beach, ją także przerażała.

– Zastanowimy się jeszcze, jak to zaplanować – powiedziałam. – Na razie pomyśl, co mogłybyśmy razem zrobić.

Uśmiech powrócił na twarz mamy. Miała teraz błysk w oku i młodzieńcze, ożywione ruchy.

Czemu nie mielibyśmy uwierzyć, że po latach staniemy się prawdziwą rodziną?

Po południu Jennings, lokaj Eatonów, zapukał do nas i przekazał mi, że pani Eaton z przyjemnością spotkałaby się ze mną jeszcze dzisiaj, żeby porozmawiać. Czy zechcę wpaść na herbatę o czwartej? Zamierzałam się wymówić pod pretekstem, że jestem bardzo zajęta. Mama dostrzegła moje wahanie i rzuciła mi spojrzenie, które sugerowało, że powinnam być miła, więc uległam.

– Jeśli chcemy, żeby wszystko się ułożyło, my także musimy się starać – skomentowała rozsądnie. – Przeszłość już była. Teraz powinniśmy się martwić wyłącznie o naszą przyszłość.

Wstyd mi było, że to właśnie ona musi mi mówić takie rzeczy.

I tak stanęłam pod drzwiami dużego domu i przybrawszy dobrą minę do złej gry, nacisnęłam dzwonek. Jennings powitał mnie z miną, w której można się było doszukać współczucia. Zaprowadził mnie do oranżerii, gdzie była już Bunny. Rozmawiała przez telefon. Gestem pokazała mi fotel, nie przerywając konwersacji.

– Nie, Angelo, tylko mi nie mów, że potrzeba ci więcej czasu. Dobrze wiem,

czego potrzebujesz, a czego nie i oczekuję, że menu będzie oszałamiające, jak to, które przygotowałeś dla Turnerów. Nie, cofam, oczekuję czegoś lepszego. Dostarcz mi listę nowych dań, których jeszcze tu nie serwowano... Tak, tak, pomiędzy siedmiuset a ośmiuset. Chyba nie sądziłeś, że mniej? Na litość boską, Angelo, co się z tobą dzieje? Martwię się o ciebie – dodała z tym swoim manierycznym śmieszkiem. – Oczekuję cię w końcu tygodnia – zakończyła stalowym tonem generała. – Dzięki. *Arrivederci*.

Odłożyła słuchawkę i wyszczerzyła się do mnie, po czym dała znać pokojówce, która stała przy drzwiach nieruchoma jak manekin. Za moment nalała nam herbaty ze srebrnego dzbanuszka i podała ciasteczka.

– Dzięki, Mary – rzuciła Bunny, co znaczyło: „Teraz nas zostaw”.

Ldwie pokojówka się oddaliła, uśmiech Bunny zbladł.

– Cóż, moja droga, muszę ci pogratulować. Jesteś dużo sprytniejsza, niż myślałam.

– Co to ma znaczyć?

– Nic, po prostu nie mogę się nadziwić, jak udało ci się tak szybko usidlić mojego syna. To prawdziwy komplement. Ale dzięki temu przynajmniej wiem, że masz olej w głowie. Zawsze cierpiałam, kiedy Thatcher prowadził się z kolejną słodką idiotką.

Uśmiechnęłam się do siebie, słysząc ten oryginalny komplement. To był sposób Bunny na wyjście z twarzą z sytuacji. Sięgnęłam po filiżankę.

– Nie musiałam używać sprytu, Bunny. Thatcher a i mnie połączyła miłość; głębokie i szczerze uczucie – powiedziałam.

– Miłość – jęknęła, jakbym mówiła o jakiejś romantycznej mrzonce. – To tylko pretekst dla dwojga, żeby wykorzystywać siebie nawzajem.

– Przykro mi, że jesteś tak cyniczna

– Nie cyniczna, tylko starsza i bardziej doświadczona, ale przestańmy już się spierać, jak w mydlanej operze. Fakt jest taki, że za sprawą Thatcher a staniemy się rodziną, i postanowiłam, że musimy rozpocząć od nowego rozdania, jak gdyby nic pomiędzy nami nie zaszło. Ty też tak uważasz? – spytała. – Myślę, że łatwiej będzie wystartować jeszcze raz, niż wyjaśniać sobie różne rzeczy i przeproszać. Po co te kwasy, zwłaszcza w takim momencie? Thatcher naciska na tę nierealną moim zdaniem datę ślubu i jak to zwykle mężczyźni, zostawił to niewykonalne zadanie na naszej głowie.

– Skoro jest niewykonalne, to jak mu sprostamy? – Uśmiechnęłam się niewinnie. Trzeba przyznać, że ta kobieta ma charakter. Niemal zaczęłam ją

lubić.

– Normalnie. Dokonamy niemożliwego. Oczywiście zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się udało. Wiem, że masz różne problemy i mnóstwo rzeczy na głowie, podczas gdy ja mam... tylko czas – dodała, popijając herbatę. – Proszę, poczęstuj się. – Podsunęła mi ciasteczka. – Są świeże i wyborne.

– Nie, dziękuję.

– Och, weź jedno! – zawołała. – Nie będę sama jadła tuczących rzeczy w obliczu kobiety o tak silnej woli. Zlituj się!

Niechętnie sięgnęłam po ciasteczko. Ugryzłam kawałek i popiłam herbatą. Bunny przyglądała mi się z zadowoleniem, jak gdyby była szatanem w rajku i właśnie namówiła mnie na zakazany owoc.

– Co dokładnie planujesz, Bunny? – zapytałam.

– Dzięki, że z biegu nie zaczęłaś tytułować mnie mamusią. Nie cierpię tych młodych kobiet, które nie mogą się doczekać, kiedy przyczepią tę etykietkę swoim teściowym i szermują nią w towarzystwie. Zabroniłam Hansowi, mężowi Whitney, nazywania mnie mamą, mamusią czy jeszcze jakoś bardziej pokraccie. On jest niewiele młodszy ode mnie i wyglądałoby po prostu śmiesznie, gdyby zwracał się do mnie inaczej niż Bunny. Dlatego proszę, żebyś zawsze mówiła do mnie Bunny. – Miażdżyła w zębach kolejne ciasteczko.

– Dobrze, Bunny na wieki wieków, co planujesz?

– Jak słyszałaś, konferowałam przez telefon z szefem cateringu. Takie rzeczy trzeba natychmiast załatwiać. Sporządziłam już listę gości, ale ciągle ją uzupełniam. Koperty i zaproszenia już przygotowane. Od dawna czekam na ślub Thatchera i mam całą szufladę pomysłów, własnych i ściągniętych z innych imprez tego typu, na których gościłam przez lata.

– Jak pewnie wiesz – ciągnęła niemal jednym tchem – wkrótce się stąd wyprowadzimy, więc dobrze by było jak najszybciej zastanowić się nad rozplanowaniem miejsc. Byłaś już tu na imprezie i wiesz, jak w ten sposób buduje się nastrój. Moim zdaniem ceremonia powinna się odbyć na patio i dolnym tarasie – paplała, jakby miała to wszystko zaplanowane od lat. – Zbudujemy tam ołtarz z kwiatów. Oczywiście kwiaty będą wszędzie, ale te muszą być specjalne. Optowałam za mieszanką czerwonych i białych róż. Co o tym myślisz?

– A nie moglibyśmy wziąć ślubu w kościele i przyjechać tu na przyjęcie? – zasugerowałam.

– Ale po co? – Skrzywiła się, jakby trafiła na zjełczały orzech. – Nie ma tu kościoła, w którym by się pomieścili wszyscy goście. Zresztą to nieodpowiednie miejsce na ślub.

– Kościół?

– No pewnie. Na zmianę ze ślubami są tam pogrzeby i wszyscy są strasznie poważni. Niech lepiej pastor przyjedzie do nas. Ojej! – wykrzyknęła nagle i myślałam, że się zakrztusiła, bo właśnie podnosiła do ust kolejne ciasteczko.

– Co się stało?

– Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że nie wiem, jakiego jesteś wyznania. Przejęłaś wiarę od ojca? Jesteś katoliczką? Wiem, że nie żydówką. Więc jak?

– Tata raczej nie był religijny, ale moja matka adopcyjna należała do Kościoła episkopalnego. Moja mama też pewnie do niego należy.

– Uff. – Odetchnęła z ulgą. – Dzięki Bogu nie mamy w tej sprawie presji. A teraz co do listy gości – kontynuowała, ożywiając się na nowo, jakby chciała jak najszybciej uciec od spraw mojego życia i mojej przyszłości. – Radzę, żebyś jak najszybciej ją ustaliła. Jeśli chodzi o nas, to licząc znajomych i współpracowników Thatchera oraz naszych, musimy się zmieścić w przedziale pięciuset – sześciuset gości. Przy założeniu, że ty zaproponujesz drugie tyle.

– Tylko małą cześć tej połowy – odparłam.

– Słucham? No dobrze, jak uważasz. W każdym razie zrobiłam listę zadań i podkreśliłam na czerwono wszystko, co ja mogę załatwić. – Wręczyła mi kartkę z jej osobistej papeterii.

– Interesujące – stwierdziłam, zapoznawszy się z listą. Prawie wszystkie pozycje były podkreślone na czerwono. – Dzięki. Wezmę to i przedyskutuję z moją mamą.

– Co?

– Muszę się dowiedzieć, co o tym sądzi i co może dołożyć od siebie – wyjaśniłam.

– Ale... twoja matka? Czy ona jest w stanie ocenić takie sprawy i podjąć decyzję? Od lat nie zna życia towarzyskiego. Nie będzie nawet wiedziała, jak zacząć.

– Och, Bunny, kobieta zawsze wie, jak zacząć przygotowania do ślubu swojej córki, nie uważasz? Zwłaszcza takiego ślubu! Porozmawiamy jeszcze o tym – dodałam, wstając.

Bunny gapiła się na mnie zaskoczona.

– I wolałabym bzy – powiedziałam.

– Słucham?

– Chodzi o kwiatowy ołtarz. Myślę, że lepsze będą bzy. Zresztą zapytam mamę. Dzięki za herbatkę. Miałaś rację, te ciasteczka są wyborne.

Zrobiła minę, jakby zaraz miała się zadławić. Obdarzyłam ją rozkosznym uśmiechem i wyszłam, zostawiając moją przyszłą teściową znieruchomiałą z nadgryzionym ciasteczkiem w palcach.

Willow De Beers, odezwała się moja podświadomość, kiedy szłam ku plaży, niezła z ciebie suka. Za bardzo się tym bawisz.

Ale przecież mi się podoba, prawda?

Dam radę. Pokażę im, na co mnie stać, pomyślałam butnie.

Czy to nie nadmiar arogancji, córeczko? – zapytałby tata.

Nie, odpowiedziałam sobie w myślach. To tylko spokojna pewność siebie. Dobra odpowiedź, tato?

Przekonamy się.

Przekonamy się prędzej czy później.

Prawda?

Rozdział ósmy

LUNCH Z WHITNEY

Moje życie przyspieszyło, jakby Bóg wcisnął guzik wyrzutni. Choć początkowo najeżyłam się na Bunny, która chciała zawłaszczyć przygotowania do ślubu, po rozmowie z mamą przyznałam, że tak będzie lepiej. Bunny słusznie argumentowała, że moja matka od lat nie bierze udziału w życiu towarzyskim i nie ma kontaktów z ludźmi. Ja z kolei musiałam przygotowywać się do rozpoczęcia roku akademickiego, a poza tym mnie i mamę czekało zorganizowanie przeprowadzki do dużego domu. W tej sytuacji tylko Eatonowie mieli czas i możliwości, aby podołać organizacji imprezy. I Bunny będzie mogła być w swoim żywiole.

– Trzeba jej na to pozwolić, niech się wykaże – argumentowała mama. – Ona ma te sprawy w małym palcu, przecież głównie tym żyje.

Choć w głębi duszy nadal uważałam, że powinnam wyjechać z Thatcherem i wziąć skromny ślub bez pompy, przyznałam mamie rację. Przez Jenningsa przekazałyśmy wiadomość, że chciałybyśmy przedyskutować sprawy z Bunny.

Na podobieństwo dwóch wrogich stron, przystępujących do pokojowych negocjacji, spotkałyśmy się na neutralnym gruncie, w połowie drogi pomiędzy jednym a drugim domem, na patio przy basenie. Bunny poczyniła już odpowiednie kroki i zatrudniła asystentkę, co miało jawnie świadczyć o jej profesjonalizmie i zaangażowaniu w sprawę.

– Poznajcie Patricję Prescott, moją czasową asystentkę – przedstawiła ją Bunny, kiedy się przywitałyśmy. – Będzie notować i pomagać nam w ustaleniu planu działań.

Patricia wyglądała na trzydzieści parę lat, miała ciemne włosy i bladą cerę. Jej uśmiech był tylko krótkim błyskiem, jakby każdy inny wyraz radości i luzu

był zakazany. Pozdrowiła nas niemal bezgłośnie, po czym szybko usiadła, otworzyła teczkę i wyjęła wyjątkowo wielki notes.

– Cieszę się, że postanowiłaś jak najszybciej skontaktować się ze mną w tej ważnej sprawie, Grace – powiedziała Bunny i odwróciła się ku mnie, żeby odpalić swoją petardę: – Mam nadzieję, że ten cały pośpiech nie jest spowodowany ciążą? Pytam, bo Thatcher by mi nic nie powiedział. Jest prawdziwym dżentelmenem.

– Na jakiej zasadzie uważasz, że nie jestem damą i odpowiem ci na to pytanie, uwłaczające mojej godności? – odparowałam.

Asystentka Bunny miała minę, jakby chciała wejść pod stół.

– Po prostu chciałam na wstępie wyjaśnić tę sprawę. – Bunny mówiła takim tonem, jakby chodziło o wyrzucenie śmieci. – Nie ma nic bardziej niegustownego niż widok panny młodej z brzuchem jak piłka.

– Mój brzuch nie będzie sterczał jak piłka – zapewniłam, przesywając ją wściekłym spojrzeniem.

Nic by nie przebiło pancerza Bunny Eaton. Prychnęła tym swoim ironicznym śmieszkiem i zwróciła się do mamy:

– Dzisiejsi młodzi ludzie w pewnych sprawach są jak dzieci we mgle. I przeważnie spychają wszystko na nasze pokolenie.

– Po prostu dla nich najważniejsze jest, aby wypowiedzieć przysięgę i uprawomocnić swój związek, zawarty z miłości – odparła mama z łagodnym uśmiechem. – A reszta jest raczej dla nas niż dla nich, nie sądzisz?

Bunny na moment zaniemówiła. Z zainteresowaniem obserwowałam, jak odzyskuje równowagę.

– Nie, nie sadzę. Po latach podziękują nam za perfekcyjnie przygotowaną ślubną oprawę, bo dzięki niej będą mieli wspaniałe wspomnienia. Zawsze doceniałam pod tym względem swoich rodziców i wiem, że Asher też. Ale zostawmy te filozoficzne rozważania. Mamy za dużo do roboty. – Spojrzała na asystentkę. – Patricio?

– Zaproszenia – wyrecytowała Patricia jak dobrze wytresowana papuga.

– Zgadza się. Ozdobne zaproszenia, naturalnie z potwierdzeniem odbioru, choć śmiem przypuszczać, że będzie minimalna liczba zwrotów – stwierdziła Bunny. Wskaźnik jej ego wyraźnie poszybował w górę. – Nasza społeczność od dłuższego czasu czeka, aż Thatcher Eaton się ustatkuje. I wszyscy są oczywiście zdumieni, jak szybko się zdecydował, ale stało się i już się nie odstanie – zakończyła dramatycznie.

Popatrzyłyśmy na siebie z mamą, tłumiąc histeryczny chichot.

– Jak mają wyglądać zaproszenia? – spytała mama i Patricia szybko sięgnęła do teczki.

– Poszukujemy najlepszego wzoru. Oto próbki, które naszym zdaniem mogą się nadawać – informowała Bunny, kiedy Patricia rozłożyła na stoliku próbki niczym karty tarota. – Ślub tego formatu musi mieć motyw przewodni, nie sądzicie? Dlatego starałyśmy się zgrać wygląd zaproszeń z księgą gości, albumem fotograficznym i księgą pamiątkową.

– Oto jedwab w kolorze zimnego różu z wytłaczanymi różami. – Patricia zaczęła prezentację. – A tu subtelna kokarda z organzyny, upięta na morze, zaakcentowana satynową różą. Tutaj mamy satynową wstążkę zdobioną ręcznie naszywanymi perłami, choć może być również biała satyna ze złotymi, brokatowymi wzorami.

Mama i ja wpatrywałyśmy się w próbki.

– Skąd tak szybko to wzięłaś? – spytałam Bunny.

– Doprawdy, Willow. – Zaśmiała się perliście. – Chyba nie sądzisz, że załatwiłam to w nocy? Jak ci mówiłam, już od pewnego czasu szykowałam się do ślubu Thatchera. Zdarzały mu się poważniejsze związki z dziewczynami, debiutującymi na salonach i młodymi kobietami z dobrych rodzin. Wiele razy myślałam, że za moment ruszę z przygotowaniami do ślubu.

I pchałaś go do tego ślubu wszystkimi sposobami, pomyślałam, przypominając sobie rubryki towarzyskie.

– Zrozumiałe, że w tej sytuacji nie chciałam zostać zaskoczona. Prawda jest taka – ciągnęła, zwracając się teraz bardziej do mnie niż do mamy – że od dłuższego czasu jestem w stałym pogotowiu, bo uważam to za swój obowiązek. Na pewno mnie rozumiesz, Grace. Mieszkasz tutaj i byłaś świadkiem wielu cudownych spotkań i wydarzeń; imprez, które stale trafiają na pierwsze strony miejscowej prasy. Słyniemy z dbałości o poziom, jakość i styl wszystkiego, co robimy.

– Dla mnie one wyglądają jednakowo. – Głos mojej mamy zabrzmiał głucho.

Bunny uniosła brwi i zerknęła na asystentkę. Patricia w skupieniu poprawiała i wygładzała próbki.

– Cóż, chyba wiesz, o czym mówię – powiedziała Bunny. – Mnie najbardziej podoba się kokarda z satynową różą. A wam? Pamiętajcie, że ten motyw będzie powtórzony na wszystkich innych materiałach – zaproszeniach, serwetkach, kotylionach i tak dalej.

- Jest bardzo ładna – oceniła mama.
- No właśnie. Teraz rozumiesz, Willow, czemu sugerowałam róże na łuku powitalnym? Motyw, motyw, motyw. – Bunny już prawie nuciła.
- Dobrze, niech będą – zaakceptowałam wybór. Martwiłam się o mamę. Mrugała bezradnie i wydawało się, że traci energię, pogrąża się w melancholijnym nastroju.
- Świetnie. – Bunny dała znak Patricii, a ta zrobiła stosowną notatkę i schowała próbki. – Grace, jak już pewnie mówiła ci Willow, zaczęliśmy komponować jadłospis. Bufet będzie oczywiście świetnie zaopatrzone. Jeśli zechcesz, możesz się jutro spotkać ze mną i z Anżelem Di Vitą, który odpowiada za catering. Przejrzemy razem wszystkie pozycje i powiesz, co o nich sądzisz.
- Na pewno jest dobrze – odparła mama. – Jedzenie to jedzenie.
- O, mylisz się, Grace. W Joya del Mar jedzenie nie jest tylko jedzeniem. Mam nadzieję, że w głębi serca też tak uważasz. Zależy nam, żeby w menu...
- Zdajemy się całkowicie na ciebie, Bunny – przerwałam jej szybko. – Wiemy, że wybierzesz najlepiej.
- Och. No dobrze. – Nabrała powietrza. – Kiedy mogę się spodziewać waszej listy gości?
- Jutro – odpowiedziałam i spojrzałam na mamę.
- Tak, jutro – zgodziła się.
- Pytam, bo musimy się spieszyć – usprawiedliwiała się Bunny. – Pamiętajcie, że ludzie tutaj mają kalendarze wypełnione datami imprez.
- Jestem dziwnie pewna, że wszystko ci się uda, Bunny. – Nie zauważyła mojego sarkazmu i wzięła te słowa za komplement.
- Oczywiście, zrobię co mogę – zapewniła. – Słuchajcie, musimy też wybrać suknię ślubną dla ciebie, Willow. Mogę was jutro umówić u Rose Le Carré. Każdy u niej szyje, i w Palm Beach, i w Monte Carlo.
- Nie – odparłam. – To akurat załatwię z mamą.
- Och, rozumiem. – Nie kryła rozczarowania. – Dobrze, tylko pamiętaj, że to uroczystość ceremonialna. Musisz mieć suknię do ziemi, z krótkim rękawem albo bez rękawów, z długim trenem i do tego długie rękawiczki. Druhny też w długich sukniach, w stroikach na głowach i też w rękawiczkach.
- Urwała i popatrzyła na mnie.
- Czy wiesz, że powinnaś mieć w orszaku minimum cztery do dwunastu druhen?

– Nie mam żadnych pomysłów; co najwyżej mogę zaprosić moją kuzynkę z Charlestonu. Nie mogłam być na jej ślubie, więc liczę, że zechce być na moim.

– O, na pewno zechce. Ale tylko jedna drużna? Nie, to śmieszne. Nie masz przyjaciółek czy chociaż koleżanek z uczelni?

– Nie. – Naprawdę nie miałam. Zaczęłam się kolegować z paroma dziewczynami z mojej dawnej uczelni, ale głupio byłoby im wysłać zaproszenia. I dawno już straciłam kontakt z koleżankami ze szkoły.

– Dobrze, więc załatwimy ci brakujące drużny. Wielu moich przyjaciół ma córki, które będą się bić o tę zaszczytną rolę. Natomiast dwójka dzieci Whitney załatwi nam sypanie płatków i niesienie obrączek. Brat Ashera i jego żona przybędą z Teksasu razem z dwójką zamężnych dzieci. Jedna z tych par ma córeczkę o prawdziwie anielskiej urodzie, która świetnie się nadaje do trzymania trenu. Dlatego nie musisz się martwić – zapewniła.

– Cieszę się. Czy to wszystko?

– Co? – Bunny spojrzała na Patricię, która szybko spuściła wzrok. – Nie, oczywiście, że nie. Teraz pora na muzykę. Mam kogoś, kto załatwia dla nas orkiestrę Billa Rennera, dwudziestosześcioosobową. Zwykle bukuje się ich z rocznym wyprzedzeniem, ale jest szansa, że się uda. Musimy także pomyśleć o wyrafinowanych kwiatowych ozdobach, upominkach dla gości i oczywiście o fotografii. W sumie potrzebujemy dwóch fotografów do obsługi tak wielkiej imprezy. Ma przecież być mnóstwo zdjęć. Wiesz, jak to jest ze ślubami – ciągnęła z ożywieniem. – Spotykają się ludzie, którzy rzadko mają okazję się kontaktować. Każdy chce mieć zdjęcia krewnych, a będzie też sporo celebrytów. Fotografie i filmy pomogą zachować wspomnienia.

Trzeba zamówić limuzyny, które przywiozą i odwiozą gości, na czele z tą najważniejszą, ślubną, która potem odwiezie ciebie i Thatcherem na lotnisko. I na tym na pewno nie koniec. Co jeszcze, Patricio?

Asystentka sięgnęła do teczki.

– Bunny, to będzie kosztować majątek – zauważyłam.

– Oczywiście, Willow, ale przecież chodzi o twój ślub z Thatcherem Eatonem! Nieczęsto robi się w życiu coś takiego. A przynajmniej mam nadzieję, że jeden raz wam wystarczy. Ty też, Grace, prawda? – dodała ze śmiechem.

– Tak. Zwłaszcza że mamy ograniczone środki.

– Wiem, Grace. A będzie jeszcze gorzej, kiedy się wyprowadzimy i stracicie

dochód z wynajmu. Ale ja po prostu nie mogę pozwolić, żeby ślub Thatchera był jakąś podrzędną imprezką! O finansach porozmawiamy później, bo nie ma nic nudniejszego niż rachunki, prawda? Zresztą to już sprawa Ashera. Mamy przyjemniejsze tematy, nie?

– Tak... pewnie... – Głos mamy zacichł, jakby nie potrafił udźwignąć ciężaru jej myśli.

– Nie chcę cię ponaglać, Grace, ale czy pomyślałaś o jej wieczorze panińskim?

– Wieczór paniński? – Mama zerknęła na mnie. – Nie, ja...

– Nic nie szkodzi. To też załatwię. Możemy urządzić wieczór tutaj, zanim jeszcze się stąd wyprowadzimy. Jestem pewna, że Whitney nam pomoże... albo nawet udostępni Willow swój piękny dom.

– Jesteś tego pewna? – zapytałam prowokacyjnie.

– Oczywiście, Whitney zawsze mi pomagała. Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez mojej córki. Myślę, że któregoś dnia powiesz to samo, Grace.

– Już to mówię. – Głos mamy nagle zabrzmiał głośno i dźwięcznie.

– Pięknie, pięknie. – Bunny znów zwróciła się do mnie. – Kiedy już będziesz wiedziała, jaką chcesz suknię, powiedz, a ja załatwię resztę – dodała, wstając. – Patricia, bierzemy się do roboty.

– Tak, pani Eaton – powiedziała asystentka. – Miło było panie poznać. – Skinęła głową mamie i mnie. – Życzę powodzenia.

– Och, samymi życzeniami nie załatwi się sprawy – skomentowała Bunny. – Tu trzeba perfekcyjnego planowania, logistyki, koordynacji i negocjacji. Naturalnie lepiej jest mieć więcej czasu, ale kto potrafi przewidzieć eksplozję pasji i pragnień dwojga młodych, którzy się w sobie zakochali? Jesteśmy pod pewną presją, ale damy radę! – Podkreśliła swoje słowa bohaterskim gestem aktorki ze szkolnego dramatu. – Będziemy w kontakcie, Grace – rzuciła i odeszła, zagłębiona w rozmowie z asystentką.

– Brzmi jak generał planujący bitwę – mruknęła mama i parsknęłyśmy śmiechem. – Pozwólmy jej działać, Willow. Przynajmniej będzie miała cel w życiu. Muszę jednak przyznać, że też się w to wciągnęłam i jestem bardzo ciekawa, jaką suknię wybierzesz. Rozumiesz, mnie los nie dał tej szansy i teraz chcę przeżyć ten czas razem z tobą.

– Dobrze, mamó. Biorę się do roboty, jak mówi Bunny.

Późnym popołudniem zadzwonił Thatcher, ale nie poprosił do telefonu mnie,

tylko Lindena, który akurat wrócił z pleneru na plaży.

– On prosi Lindena – powiedziała do mnie mama, przysłaniając dłonią słuchawkę, i go zawołała.

– Co? – odkrzyknął ze swojego pokoju.

– Kochanie, Thatcher Eaton dzwoni do ciebie.

– Thatcher Eaton? – Linden wszedł do kuchni. – Czego on chce ode mnie?

– Nie wiem. – Mama wzruszyła ramionami. Spojrzał na mnie.

– Przysięgam, nie mam pojęcia – zarzekałam się.

Nie dowierzał, ale ciekawość przeważyła. Podeszedł do telefonu.

– Halo? – powiedział, a potem słuchał. – Ja? – upewnił się po chwili. – No, nie wiem. Czemu ja? – Obrócił się i spojrzał na mnie. Kiwnął głową, jakby stał przed Thatcherem. – Dobra, zastanowię się... Tak, pomyślę, na pewno... Dobrze. Cześć... Co? Tak, jest tutaj. Chce z tobą mówić. – Podsunął mi słuchawkę.

Linden wyszedł. Nie wiedziałyśmy, czego dotyczyła rozmowa. Mama czekała, licząc, że czegoś się dowie ode mnie.

– Thatcher?

– Hej, co porabiasz? Słyszałem, że byliście z mamą na konferencji.

– Tak, spotkanie na szczycie. Planowałyśmy ślubną ofensywę.

Śmiech dobiegł ze słuchawki.

– Bunny jest wielka. Możesz być spokojna.

– Nie mogę, Thatcher. Wzięła niesamowity rozmach. Planuje imprezę, której koszt wyniesie setki tysięcy dolarów.

– Tego się spodziewałem. – Nie wydawał się zdziwiony.

– Ale nas nie stać na...

– Nie martw się o koszty, tylko wymyśl sobie suknię ślubną. Resztę załatwią moi rodzice. I to z przyjemnością.

– Ale ja nie mogę... Nie myślałam o tak wystawnym ślubie.

– Pozwól, że porozmawiamy o tym później, kochanie. Wybacz, ale muszę kończyć, bo wracam do biura.

– A o co chodziło z Lindenem?

– Poprosiłem go, żeby był drużbą na naszym ślubie.

– Linden miałby być drużbą? – powtórzyłam na użytek mamy.

– Tak, pomyślałem, że byłby to miły gest, pomógłby nam obu zbliżyć się do siebie. Uważasz, że nie?

– Skąd, przeciwnie, tylko mnie zaskoczyłeś.

– Posłuchaj, w pewnym momencie byłem prawie przekonany, że ja i Linden jesteście przyrodni braćmi. Nadal chcę, żeby tak o mnie myślał.

– Bardzo ci się to chwali, Thatcher.

– W takim razie namawiaj go, żeby się zgodził.

– Spróbuję.

– Udało mi się zarezerwować pobyt w Eze, we Francji.

– Cudownie.

– Również się cieszę. Wszystko jest takie ekscytujące, prawda?

– Tak – przyznałam z ociąganiem. Siedmiuset czy więcej gości, wymyślne kwiatowe dekoracje, dwudziestosześcioosobowa orkiestra – byłam raczej oszołomiona niż rozentuzjasmowana.

– Zadzwoń później. – Rozłączył się.

Popatrzyłyśmy na siebie z mamą.

– Nie wierzę, że się zgodzi – stwierdziła. – A ty?

– A ja wierzę. – Poszłam do pokoju Lindena.

Siedział na skraju łóżka i gapił się na podłogę pod swoimi stopami. Kiedy zapukałam w otwarte drzwi, uniósł głowę tak powoli, jakby była z kamienia.

– Ty go podpuściłaś, tak? – zaatakował, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

– Absolutnie nie, Linden. Byłam tak samo zaskoczona jak ty. Moim zdaniem pomysł jest świetny i liczę, że się zgodzisz.

– Nie ufam mu, on zawsze kombinował i knuł – mruknął wrogo.

Podeszłam bliżej.

– Może jednak dasz mu szansę?

– Dać mu szansę? Zapominasz, że całe życie tu mieszkam, tak samo jak on. Setki razy dawałem mu szansę i nie wykorzystał żadnej.

– Linden, proszę – powiedziałam błagalnym tonem, siadając obok niego na łóżku. Wyprostował się gwałtownie. – Tak bym chciała, żebyśmy byli jedną, zgodną rodziną. I wiem, że w głębi serca ty też tego chcesz, chociażby ze względu na mamę. Czy się mylę?

Przyglądał mi się chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– Drużba. Ja mam być drużbą? Będę pewnie potrzebował smokingu i innych takich rzeczy.

– Naturalnie, wszyscy musimy mieć odpowiednie stroje. Mama pojedzie ze mną wybrać suknię ślubną, a potem kupimy piękną suknię dla niej. Z przyjemnością zabiorę cię na przymiarkę nowego smokingu.

Nie zdążył stłumić błysku zainteresowania w oczach.

– Przy okazji, kiedy ma nastąpić to wiekopomne wydarzenie?

– W ostatni weekend czerwca.

Zamyślił się.

– Zgoda, jeśli tylko pozwolisz, żebym dał ci prezent ślubny.

– Mam ci pozwolić? A czemu miałabym zabraniać? – zdziwiłam się.

– Musisz mi pomóc go stworzyć – wyjaśnił. – To trochę potrwa.

– Chcesz znów mnie malować? – Zrozumiałam, o co mu chodzi. – Przecież namalowałeś już mój piękny portret, Linden – powiedziałam miękko.

– Ten będzie inny – zapewnił. – Wtedy patrzyłem na ciebie innymi oczami.

Więc jak?

– Dobrze. Thatcher się ucieszy, kiedy się dowie.

– Zrobię to dla ciebie, nie dla niego.

– Ale chodzi przecież o prezent ślubny, prawda? Czyli dar i dla mnie, i dla niego?

Milczał.

– Zapewne tak – przyznał po chwili. – Thatcher właściwie nie wypowiadał się na temat mojej twórczości. Raz tylko powiedział, że coś w tym jest, cokolwiek by to miało znaczyć. Zawsze czułem, że śmieje się ze mnie za moimi plecami.

– Nie wierzę, Linden. Nie zapominaj, że pomógł ci umieścić twoje prace w galeriach. Pamiętasz?

– No tak, pamiętam.

– Więc daj mu jeszcze jedną szansę, prawdziwą szansę, dobrze?

Kiwnął głową.

– Dzięki, Linden. – Pocałowałam go w policzek. Przyłożył dłoń do tego miejsca, jakby moje usta nadal tam były.

Były chwile, kiedy mama i ja żałowałyśmy, że wybór sukni ślubnej i sukien dla druzhen nie pozostał w rękach Bunny Eaton. Pojechałyśmy do miasta nazajutrz po południu, naiwnie sądząc, że po paru godzinach wszystko będzie załatwione. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jestem złotą rybką, kręcącą się w kółko w słoju. Thatcher miał absolutną rację co do szybkości rozchodzenia się wieści i plotek. Zastanawiałam się, czy w promieniu osiemdziesięciu kilometrów znalazłby się ktoś, kto by nie wiedział, że jestem jego narzeczoną i planujemy ślub. Wystarczyło, żeby ktoś mnie zobaczył

i powiedział o tym innym, a już ludzie rozglądali się, przyspieszali kroku, popadali w ekscytację.

Tym niemniej całe to rozplotkowanie miało też swoją dobrą stronę – nie musiałyśmy się zastanawiać, dokąd się wybrać po suknię ślubną. W niecałą godzinę po naszym spotkaniu z Bunny Eaton rozdzwonił się telefon. W ciągu pierwszych dziesięciu minut zgłosiły się trzy firmy, w tym jeden z salonów poleconych przez Bunny. Ani na moment nie uwierzyłam w szczerze motywy mojej przyszłej teściowej, toteż podejrzewałam, że ma wszędzie swoich szpiegów, z ich pomocą zdoła narzucić swoje zdanie mamie i mnie. W rezultacie wybrałyśmy trzeci salon, dlatego że spodobała się nam nazwa – Kącik Panny Młodej. Załedwie stanęłyśmy przed drzwiami, otwarto je na całą szerokość, jakby załodze kazano od rana wypatrywać naszego przybycia.

Potraktowano nas z honorami, iście po królewsku. Zostałyśmy zaprowadzone do showroomu, gdzie trzy modelki prezentowały nam po kolei ślubne kreacje. Menedżerka salonu, Francuzka Monique Patachou, omawiała każdą z sukien, nie omieszkawszy wspomnieć o znanych kobietach, które wybrały te modele. Po piętnastej sukni miałyśmy już z mamą zawrót głowy i byłyśmy wykończone. Po radzie, o dziwo, zgodnie wytypowałyśmy suknię z odkrytymi ramionami z jedwabnego szyfonu i szantungu, ze stanikiem obszytym koronką naszywaną kryształkami. Ta sama koronka zdobiła również obręb sukni oraz doczepiany, długi tren. Zgodnie wybrałyśmy również kolor – kość słoniową.

Zaczęły się przymiarki. Kiedy zdejmowałam suknię, widziałam zachwyt i podekscytowanie w oczach mamy. Jej twarz jaśniała zdrowym blaskiem szczęścia, a moje serce się ucieszyło.

– Proponuję, abyśmy teraz skupiły się na pantoflach – zasugerowała Monique. – Te, które pani wybierze, może pani nosić teraz i przy wszystkich przymiarkach, aby ułożyły się do stopy. Proszę wybrać typ, który pani lubi. Z tego, co widzę, nie są to wysokie obcasy – dodała i zaproponowała satynowe pantofelki zdobione warkoczowym sutaszem.

Następnie wybrałyśmy rękawiczki – długie, operowe. Minęły cztery godziny od chwili, kiedy weszłyśmy do salonu, i byłam zbyt wykończona, żeby wybierać jeszcze suknie dla drухen. Widząc to, Monique zwróciła się do mamy i podjęła temat jej stroju.

– Matki z reguły odkładają wybór swoich kreacji na ostatni moment, ale nie zalecałabym tego. Z pewnością chciałaby pani, aby jej strój korespondował stylem ze strojem córki. Kość słoniowa i przełamana biel są

najpopularniejszymi kolorami dla matek panien młodych i mam szeroki wybór strojów z pewnością niekojarzących się z matroną. Na przykład ładna sukienka typu halter i żakiet bardzo by do pani pasowały. Będzie pani wyglądała modnie i młodo.

– Dobrze, ale nie dzisiaj – powiedziała mama błagalnie. – Bardzo proszę.

– Załatwiłyśmy wszystko, co było przewidziane na dzisiaj – wyjaśniłam. – Niedługo znów do was wrócimy.

– *Oui*. – Monique skinęła głową. – Tylko proszę nie czekać za długo, żeby potem nie było niepotrzebnych napięć. Wydaje się, że jest jeszcze dużo czasu, ale po drodze są przymiarki i wiele rzeczy, o których trzeba zdecydować, toteż...

– Rozumiem – ucięłam. – I dziękuję.

– Zadzwonimy do pani, aby się umówić na pierwszą przymiarkę. Może wtedy pani coś wybierze – dodała i spojrzała na mamę, która skwapliwie przytaknęła.

– Ledwo żyję – jęknęła mama, kiedy wsiadłyśmy do samochodu i ruszyłyśmy do domu. – Podziwiam Bunny Eaton, która wzięła sobie tyle rzeczy na głowę.

– A co ona ma innego do roboty? Wiesz, ciągle myślę, że popełniam błąd, zgadzając się na tak wystawny ślub. Może powinnam bardziej naciskać na Thatchera, żeby było skromniej, i sugerować tylko udział najbliższej rodziny?

– Nie, nie, Bunny ma rację. To musi być niezapomniane wydarzenie.

– Zastanawiam się, czy huczne, wystawne przyjęcie nadaje większą rangę ślubowi. Sprawia, że przysięga małżeńska ma większą wagę? Tak jak przysięga koronacyjna?

– Często marzyłam o ślubie z twoim ojcem. Miała to być ceremonia skromna, prosta, a jednocześnie piękna. Żaden z tych szybkich ślubów w biurze sędziego pokoju. W głębi serca uważam, że bez względu na twarz, jaką pokazujemy światu, wszystkie marzymy o czymś cudownym i romantycznym, Willow. O szansie, żeby choć na chwilę stać się gwiazdą, aby lśnić i zachwycać, być królową dnia.

– Tutaj nie możesz zostać królową dnia, mamó. Albo się nią jest przez całe życie, albo wcale.

Roześmiała się.

– Trudno, widać nie jest mi to pisane.

Zerknęłam na nią znad kierownicy. Trwała w zamyśleniu, z twarzą odwróconą w stronę okna, odpłynęła myślami, jakby spoglądała raczej w głąb

siebie niż na krajobraz. Jakby wspominała cudowne, ukochane, dobre czasy. Pomogłam jej ożywić wspomnienia. Przynajmniej coś dla niej zrobiłam, pomyślałam.

Cieszyło mnie to. Obojętnie, jakie kłody Bunny Eaton będzie nam rzucać pod nogi, nie rozbije naszego porozumienia. Będziemy błyszczeć na tym ślubie wszyscy – Thatcher i ja, mama i Linden.

Ślub to chwila szczerzej wiary w stare powiedzenie: „i odtąd żyli długo i szczęśliwie”.

Niech nam się sprawdzi, modliłam się w duchu.

Teraz, kiedy mój ślub z Thatcherem stawał się rzeczywistością, nie zdziwiłam się zbyt, gdy zadzwoniła do mnie jego siostra Whitney. Mieliśmy siadać do kolacji, kiedy najpierw zadzwonił Thatcher z wiadomością, że musi iść na służbową kolację z nowymi, interesującymi klientami, na których bardzo mu zależy. Obie z mamą, w pogodnym nastroju, tak świetnie się bawiłyśmy, szykując jedzenie, że zajął do nas Linden, ciekaw, co się dzieje. Natychmiast został zatrudniony do obierania ziemniaków. Odgrywałyśmy przed nim sceny z naszego spotkania z Bunny Eaton i zarykiwał się ze śmiechu. Jak dobrze było słyszeć jego śmiech! To były najmiłsze, najbardziej rodzinne chwile, jakie dotąd ze sobą spędziliśmy. Mama i ja dosłownie promieniałyśmy szczęściem.

I wtedy zadzwoniła Whitney.

– To wszystko staje się coraz bardziej realne – powiedziała. – Powinniśmy zjeść razem lunch, nie uważasz?

– Tak by wypadało – odparłam głosem ociekającym sarkazmem. Wywołał go sposób, w jaki wymówiła słowo „realne”, jakby chodziło o właśnie zdiagnozowaną chorobę, a nie o ślub i małżeństwo.

Nie wyczuła sarkazmu, a może udawała. Wcześniej tylko parę razy krótko miałam do czynienia z Whitney i zawsze wydawała mi się chłodna, nawet lekko wyniosła, zdystansowana. Była kobietą wysoką, może nawet odrobinę przewyższała wzrostem Thatchera. Miała długą, pociągłą twarz, cienkie usta przecinały jej oblicze niczym bladoczerwona blizna, zawsze ściągnięte w kącikach, jakby trwała w wiecznym napięciu. Od pierwszego razu zrobiła na mnie wrażenie kogoś, kto wciąż szuka potknięć i słabości u innych, a potem im je wytyka, żeby poczuć swoją wyższość.

Musiałam przyznać, że w tej nieciekawej twarzy było coś niezwykłego – oczy dziwnego, rdzawego koloru, o spojrzeniu tak intensywnym, że niemal

przysysało się do twarzy osoby, z którą rozmawiała, zmuszając do uważnego słuchania świątłych uwag i kąśliwych komentarzy. Była typem osoby, w której towarzystwie nie sposób się czuć swobodnie, ale kiedy przypadkiem, choć na moment zawiesiła krytykę, człowiek czuł się wdzięczny, a nawet uprzywilejowany wobec jej innych ofiar.

Mąż Whitney, Hans Shugar, był dużo od niej starszy, jak powiedziała mi Bunny. Mógłby być jej ojcem. Stanowili niezwykłą parę, nieokazującą sobie żadnych miłych gestów ani ciepła, przynajmniej w towarzystwie. Mogłabym pomyśleć, że ich dzieci, piętnastoletnia Laurel i trzynastoletni Quentin, są adoptowane, gdyby nie ich podobieństwo do rodziców. Laurel była podobna do matki, a Quentin wyglądał jak skóra zdjęta z Hansa.

Umówiłam się z Whitney nazajutrz o pierwszej, w restauracji Brazilian Court's Chancellor. Lokal znajdował się przy Australian Avenue, tylko dwie przecznice od Worth Avenue, czyli niedaleko od salonu sukien ślubnych. Przed lunchem wstąpiłam tam, żeby zabrać dwie sukienki, które Monique zaproponowała dla mamy. Miała je przymierzyć w domu, spokojnie się zastanowić i ewentualnie podjąć decyzję. Byłam wdzięczna Monique za tę propozycję. Szybko zrozumiała, że tylko w ten sposób możemy załatwić sprawę stroju dla mamy.

Kiedy przyjechałam do lokalu, Whitney jeszcze nie było, ale hostessa zaprowadziła mnie do stolika na patio, obok dużej fontanny. Po kwadransie zamówiłam kieliszek białego wina. Miejsce było miłe, całkiem romantyczne, ale czekanie zaczęło być męczące i miałam wrażenie, że mój wygłodniały żołądek zachowuje się jak betoniarka, do której nie wlewo betonu. Było dwadzieścia po pierwszej, kiedy pojawiła się Whitney. Po drodze przywitała się z kilkunastoma osobami, zanim wreszcie zechciała mnie zauważyć.

– Cześć, Willow.

– Wydawało mi się, że umówiliśmy się na pierwszą – burknęłam. Było jasne, że nie zamierza przeprosić za spóźnienie.

– Naprawdę byłaś tu o pierwszej? Przecież w Palm Beach wszyscy zwyczajowo spóźniają się dwadzieścia minut.

– Ale ja nie jestem z Palm Beach. Tam, skąd pochodzę, ludzie starają się być punktualni.

Uniosła brwi. Pomyślałam, że ktoś, kto doradzał jej w sprawach makijażu, ma dziwaczny gust. Nałożyła na usta grubą warstwę szminki, zapewne pragnąc je powiększyć.

– Miałam nadzieję, że nie zaczniemy od falstartu – powiedziała i zanim zdążyłam odpowiedzieć, przywołała kelnera i zamówiła szampana. – Postanowiłam urządzić twój wieczór panieński u siebie – wypaliła, przenosząc na mnie swoje przenikliwe spojrzenie. – Możesz mi dać listę osób, które chciałabyś zaprosić.

– Na razie nikt mi nie przychodzi do głowy. Zresztą nie sądzę, żeby ktoś z moich stron, czy nawet ktoś z moich krewnych zechciał przylecieć na mój wieczór panieński.

– Czemu nie? Przecież to nie czasy, kiedy ludzie tłukli się dylizansami. Parę godzin w samolocie, czy nawet mniej, i już się jest na miejscu. Mam wrażenie, że z przyjemnością wykorzystają okazję, żeby zobaczyć Palm Beach.

– Wbrew temu, co myślisz ty i reszta tutejszego towarzystwa, nie każdy jest zafascynowany Palm Beach. Naturalna sceneria tutaj wcale nie zachwyca, a domy bogatych i sławnych można oglądać na całym świecie, nie mówiąc już o telewizji czy magazynach.

– Skoro tak niepochlebnie myślisz o Palm Beach, czemu postanowiłaś tu zamieszkać? – warknęła.

– Nie myślę niepochlebnie o Palm Beach. Po prostu realistycznie ujmuję życie. Zamieszkałam tutaj, bo tu jest dom mamy i Lindena, a teraz również dom mojego przyszłego męża.

Kelner podał szampana.

– Co panie zamawiają? – zapytał.

– To, co zawsze. – Zbyła go machnięciem długiej ręki.

Przejrzałam menu i zamówiłam sałatkę z krewetek.

– Mój wybór – skomentowała Whitney z aprobatą.

– Szczęściara ze mnie – mruknęłam.

– Mogłabyś chociaż podziękować za moją propozycję, Willow.

– Nie prosiłam cię, żebyś urządziła mi wieczór panieński – odparowałam i pochyliłam się nad stołem, żeby uniknąć kolejnego krytycznego spojrzenia. – Wiem, z jakim uporem usiłowałaś odwieść Thatchera i mnie od zaręczyn i ślubu. Wiem wszystko o intrydze z Kirbym Scottem.

– Nie wiedziałam, że to była intryga – odpowiedziała sztywno. – Ale nie zamierzam się kajać ani za siebie, ani za moją matkę. Zawsze musiałam pilnować Thatchera, kiedy zadawał się z jakimiś kobietami.

– Słucham?

Pociągnęła łyk szampana i też pochyliła się ku mnie.

– Muszę się troszczyć o mojego brata, bo w kontaktach z kobietami Thatcher traci swoją wielką inteligencję. Hormony rzucają mu się na mózg. Krótko mówiąc, myśli penisem – podsumowała.

– Rozumiem, że twoja wielka inteligencja pozwala ci jasno rozstrzygać, co jest dobre dla Thatchera, a co nie, tak?

– Znam mojego brata lepiej, niż on zna siebie. Jak sądzisz, kto mu matkował, kiedy bardzo tego potrzebował? Bunny? Śmieszne! Spadło to na mnie, choć byłam tylko parę lat starsza od niego, ale bardziej dojrzała umysłowo i fizycznie. Nie pamiętam już, ile razy wyciągałam go z nieudanych związków – paplała z rosnącym ożywieniem. – Mało kto wie, że uratowałam go przed Mai Stone. Powiedziałam jej parę rzeczy i przestała wyciągać po niego swoje brudne łapska.

– Kłamiesz. Gdybyś tak zrobiła, Thatcher by cię znienawidził.

– Znienawidził? On mi podziękował! Z pewnością nie znasz mojego brata tak dobrze jak ja, Willow. Może moja matka miała rację, mówiąc, że za szybko weszliście w to wszystko.

Czy Whitney może mieć rację? – pomyślałam. Była taka pewna siebie, arogancka i przekonująca. Możliwe, że istnieje taka część osobowości Thatchera, której i nie znam, i być może nigdy nie poznam.

Siedziałam, milcząc.

– Powiem ci coś – podjęła, kiedy nie odpowiedziałam. – Mój brat jeszcze nigdy nie działał z taką determinacją i w takim tempie. Chyba go zahipnotyzowałaś.

– Tu chodzi o miłość, a nie manipulację, Whitney.

– Jak zwał, tak zwał – mruknęła. – Teraz głównie chodzi o to, żebyśmy spróbowały się polubić dla dobra rodziny. Zaprosiłam cię na lunch, bo chciałam, byśmy lepiej mogły się poznać. Radzę ci też, żebyś nie próbowała odciągać Thatchera od rodziny.

– Nigdy nie miałam takiego zamiaru. Thatcher się od was dystansuje z powodu gry, jaką prowadziłyście z Bunny na długo przedtem, zanim mnie poznał, jak mi się wydaje.

Znów uniosła brwi.

Kelner przyniósł nasze sałatki.

– Planujesz zamieszkać w Joya del Mar, prawda?

– Tak.

– Nie sądzisz, że będzie trudno żyć tam na kupie? Chodzi zwłaszcza

o twojego brata, który jak wiadomo ma problemy.

– Nie sądzę, żeby trzeba się było tłoczyć w Joya del Mar. Dom jest duży jak niejeden hotel. Z tego, co mówiła mi Bunny, wynika, że czasami nie widuje Thatchera całymi dniami, czy nawet tygodniami.

– Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie mieszkania pod jednym dachem z moją mamuszką.

– To twoja matka, nie moja.

Zacisnęła usta, ale nie podjęła wyzwania.

– Nadal myślisz o dalszych studiach i karierze?

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się z politowaniem, jakbym ulegała naiwnym złudzeniom.

– Rozmawiałam już o tym z Thatcherem, Whitney. Nie ma problemu.

– Zawsze uważałam, że obietnice składane sobie nawzajem przez mężczyzn i kobiety są tyle samo warte, ile obietnice, jakie składaliśmy kiedyś Indianom – stwierdziła z goryczą. – Większość mężczyzn, w tym mój brat, ma rozdwojone języki.

– Nie będę udawać, że jestem znawczynią stosunków międzyludzkich, ale zaryzykuję stwierdzenie, że w każdym związku musi być zaufanie. Nie masz tego z Hansem?

Zaniosła się niepowstrzymanym śmiechem.

– Hans? Hans Shugar? Mój mąż podniósł oszustwo do rangi sztuki i uprawia tę sztukę we własnych interesach i w życiu osobistym.

Pokręciłam głową. Jak żona może tak krytycznie wyrażać się o mężu, z którym żyje pod jednym dachem? Whitney, jakby słyszała moje myśli, pochyliła się ku mnie przez stół.

– Po prostu nie pozwalam sobie na złudzenia, Willow. Jestem realistką do szpiku kości.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytałam prowokująco.

Gwałtownie zamruła i energicznie wbiła widelec w sałatkę. Zjadła trochę, upiła łyk wina, skinęła głową znajomym przy innym stoliku i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Szczęście jest zbyt odległym celem, żeby go sobie stawiać. Chwile radości, satysfakcji, przyjemności czy brak bólu to wszystko, co w sumie udaje nam się osiągnąć. Każdy, kto myśli inaczej, jest...

– Kim jest?

– Kimś, kto chodzi po linie bez siatki zabezpieczającej. Upadki są bolesne –

stwierdziła.

W tym momencie ją rozumiem, pomyślałam. Whitney się boi. Być może bała się przez całe życie. Kiedy uświadomiłam sobie, w jakim domu musiała dorastać i jakim punktem odniesienia mogło być dla niej małżeństwo rodziców, ten strach stał się zrozumiały. Nie chciałam jednak pozwolić, żeby rozsunęła czarne chmury nad moim życiem i moją przyszłością.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy wzajemne zaufanie, Whitney?

– Mam przeczucie, że ty mi to powiesz.

– Zaufanie to znaczy gotowość do ryzyka. Tak, masz rację, to jest jak chodzenie po linie bez asekuracji, ale jeśli otoczysz się grubym kokonem cynizmu, nigdy się nie dowiesz, jak to jest być wolnym, czuć wiatr we włosach i miłość w sercu.

Uśmiechnęła się do mnie chłodno.

– Jesteś dokładnie taka, jak się spodziewałam – oświadczyła. – Z wrażliwością odpowiednią dla kobiety godnej Thatchera Eatona. Życzę ci szczęścia. – Uniosła kieliszek do ust i dopiła szampana. – Ale zapomnijmy o tym wszystkim – dodała szybko – i porozmawiajmy o ślubnych planach. – Sięgnęła po torebkę. – Gadałam wcześniej z Bunny i mam dla ciebie pewne sugestie.

Teraz ja uśmiechnęłam się cynicznie.

Thatcher mógłby poślubić diabła, a Whitney i Bunny byłoby wszystko jedno. Chodziło o szum, ruch w interesie, imprezę, odzew i miejsce wydarzenia w hierarchii innych towarzyskich fajerwerków.

Tak jak ciągle mi powtarzają: to przecież jest Palm Beach.

Rozdział dziewiąty

CLUB D'AMOUR

Były momenty, kiedy nagle przestawałam myśleć, co mam robić w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, i oblewał mnie zimny pot w napadzie totalnej paniki. Na parę chwil wpadałam niemal w katatonię, z zaciśniętym gardłem i ciałem wstrząsanym dreszczami. Nic dziwnego, teraz już byłam odpowiedzialna nie tylko za siebie. Przekonałam mamę i Lindena, aby podjęli tę podróż, i usiłowałam podtrzymać ich na duchu swoją wiarą, którą musiałam ciągle pompować, żeby nie oklapła jak balon. Próbowałam sprawić, żeby uznali każdy z moich wymarzonych celów za osiągalny.

Przede wszystkim musiałam znaleźć czas na przygotowanie się do zajęć i przeczytać lektury. Profesor Fuentes miał rację, kiedy zobaczywszy górę książek, które kupiłam w uniwersyteckiej księgarni, nazwał mnie ambitną studentką. Tymczasem, jak się okazało, może nie starczyć mi czasu na przeczytanie wszystkiego, a cóż dopiero na dodatkowe lektury. Jedną z właściwości mojego taty była zdolność realistycznej oceny siebie i innych. Byłam lekko przerażona, przeszacowałam swoje możliwości i wyznaczyłam sobie zbyt ambitne cele. Czułam się jak pilot samolotu, który po starcie zorientował się, że nie zdoła jednocześnie sterować i nawigować, choć wcześniej myślał, że da radę. A do tego ma na pokładzie ważne osoby!

Zajęta czytaniem, robieniem notatek i innymi sprawami organizacyjnymi w związku z uczelnią, nie miałam czasu ani cierpliwości do błaahych szczegółów, a nimi Bunny Eaton zarzucała mnie bez końca.

Minimum dwa, trzy razy dziennie dzwonił telefon i zadawała mi pytanie lub żądała potwierdzenia w sprawach tak bardzo ważnych, jak kształt krzesel do stołów na ucztę weselną czy kolory uniformów obsługi. I nalegała, żebyśmy

z mamą stale były przy telefonie, jeśli nie chcemy regularnie przychodzić do niej na narady. Zwykle wybierałyśmy dyżury przy telefonie. Mama odbierała w kuchni, ja równolegle w swoim pokoju.

Bunny, tłumacząc swoje naciski i tempo działania, zwałała wszystko na coraz bliższy termin wyprowadzki z Joya del Mar. Jęczała, że oprócz przygotowań do ślubu ma jeszcze pakowanie i urządzenie nowego domu. A jednak, pomimo takiej dramatyczności sytuacji znajdowała czas, żeby wtykać nos w naszą działkę. Okazało się, że była w salonie sukien ślubnych, żeby sprawdzić, co wybrałam dla siebie, a co przywiozłam do przymiarki dla mamy.

– Nie chcę wchodzić przed ślubem w rolę wścibskiej teściowej – mówiła – ale byłabym zachwycona, gdybyście rozważyły kolekcję Rose Le Carré, zanim ostatecznie się zdecydujecie. Przecież suknia ślubna zostanie z tobą na zawsze.

– Jestem zadowolona ze swojego wyboru – powiedziałam twardo.

– Och, przepraszam – odparła ze smutkiem, jakbym oznajmiła, że ktoś umarł. I niezrażona przerzuciła się na inny temat.

Kiedyś przez cały tydzień wałkowałam przez telefon sprawę podarków dla gości.

– Podarki dla gości mają być formą podziękowania za przybycie i wsparcie uroczystego połączenia naszych dzieci – objaśniała tonem wykładowcy. – Potem staną się dla nich pamiątkami, ale w czasie uroczystości mogą być również elementem dekoracji, który przetrwa dłużej niż sama uroczystość. W sumie – ciągnęła, śmiejąc się – większość ślubnych podarków trwa dłużej niż te małżeństwa.

– A co to by miało być, Bunny? – spytałam, bo nie mogłam już tego słuchać.

– A co chcecie? Zakładki do książek, breloczki do kluczy, długopisy, pióra wieczne, magnesy, nożyki do papieru? Świece są świetnym pomysłem. Natomiast nie trawię tych tanich, jednorazowych aparatów fotograficznych. Będziemy mieli zawodowych fotografów i ich piękne zdjęcia absolutnie wystarczą. Więc jak?

– Mamo?

– Pióra są praktyczne – stwierdziła mama.

– Za to artystyczne zakładki są eleganckie – zauważyła Bunny.

– Dobrze, niech będą zakładki – warknęłam. Miałam jeszcze do przeczytania parę rozdziałów z książki o psychologii społecznej.

– Willow, ty i Thatcher będziecie musieli pozować do wstępnych fotografii,

aby można je było włączyć do zakładek. Jakie kolory sobie życzyście? Od razu zaznaczam, że nie zamówię żadnej papierowej taniocy, tylko zakładki ze skóry.

– Może ty wybierz kolor, Bunny? – zaproponowałam. – Na pewno lepiej się na tym znasz.

– To prawda. Pomyślałam, że kolor musi współgrać z naszym motywem przewodnim i kolorystyką zaproszeń.

– Otóż to – przytaknęłam.

– Na ostatnim ślubie, na jakim byłam, rozdawano podstawki pod piłki golfowe dla mężczyzn i zakładki do książek dla kobiet... Ale to może było zbyt szowinistyczne? Tutaj wiele kobiet gra w golfa i ja też, kiedy tylko mam czas.

Czułam, jak przewraca mi się żołądek.

– Mamo?

– Willow, idź się uczyć, a ja już ustalę kolory z Bunny. – Mama jak zwykle była gotowa do największych poświęceń.

– Naprawdę? – Bunny była zdumiona. – Moim zdaniem panna młoda powinna osobiście się...

– Willow ufa moim opiniom – weszła jej w słowo mama. Wyczułam, że coraz lepiej się bawi.

– Zgadza się – potwierdziłam i zakończyłam telefoniczną konferencję, z trzaskiem odkładając słuchawkę, zanim Bunny zdążyła powiedzieć słowo.

Po dziesięciu dniach zaczęłam pierwszy semestr na nowej uczelni. Miałam zajęcia z profesorem Fuentesem o jedenastej we wtorki i w czwartki. Nasza grupa liczyła tylko piętnaście osób; okazało się, że wszyscy są bardzo mili i przyjaźni. Jeden chłopak, Holden Mitchell, bardziej zainteresowany nauką niż inni, często ze mną rozmawiał. Chodziliśmy razem na drugie zajęcia, z literatury angielskiej. Holden był wysoki, ciemnowłosy, rysy miał tak doskonałe, że aż nienaturalne i niezwykle, kobaltowe oczy o zielonym odcieniu. Trudno było jednak podziwiać jego twarz, bo zazwyczaj pochylał głowę, kiedy do kogoś mówił, jakby w trakcie rozmowy wpatrywał się w jakąś scenę, odgrywającą się w jego mózgu. Na obu zajęciach siedział za mną.

Profesor Fuentes przywitał mnie serdecznie, kiedy weszłam do sali. A potem zobaczył pierścionek zaręczynowy i spojrzał na niego z zaskoczeniem i rozbawieniem zarazem.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał, kiedy grupa sadowiła się na miejscach.

– Tak.

– Jak widać, nie doceniłem pani uczuciowego zaangażowania. Moje gratulacje. Kiedy ślub?

– W końcu czerwca. Będzie pan zaproszony – powiedziałam, a profesor się roześmiał.

– Proszę się jeszcze wstrzymać z zaproszeniem. Mogą się pani nie spodobać moje zajęcia i nie będzie pani chciała mnie widzieć.

– Nie wierzę – odparłam. Spojrzał na mnie ciepło.

Jego zajęcia od początku mi się spodobały. Miał swobodny styl, ale wykłady były bardzo merytoryczne. Mówił składowo, jakby czytał z niewidzialnych notatek na tablicy. Potrafił wciągnąć ludzi w temat, co sprawiało, że dyskusje po wykładach były ożywione i bardzo interesujące. Kiedy wyznaczał prace czy testy, ich zaliczenie nie przedstawiało najmniejszego problemu, przynajmniej dla mnie.

Inni nauczyciele też mi się podobali, podobnie jak ich zajęcia. Już w pierwszym tygodniu zaprzyjaźniłam się z siostrami bliźniaczkami, Loni i Petulą Butterworth, atrakcyjnymi młodymi kobietami o jasnych włosach i z koloniami piegów – dokładnie w tych samych miejscach ich twarzy o kremowej, gładkiej cerze – na policzkach i na skroniach. Były mojego wzrostu, ale drobniejsze, przez co wyglądały młodziej. Szybko się dowiedziałam, że ojciec nazywa Petulę Pet, tak samo jak większość jej przyjaciół. Siostry rywalizowały ze sobą i Loni zdążyła mi szepnąć, że Petula jest „pupilką tatusia”. Pet oczywiście zaprzeczyła, ale zauważyłam, że doniesienie siostry ją śmieszy. Pomyślałam, że bliźniaczki są znakomitym materiałem do badań psychologicznych, i kiedyś wspomniałam o tym profesorowi Fuentesowi. Absolutnie się ze mną zgodził.

– Niech pani je obserwuje – zachęcił. – I notuje swoje spostrzeżenia. Kto wie, może kiedyś się przydadzą. Czytałam – chyba w artykule pani ojca – że w psychologii żadne badanie nie jest kompletne. Zawsze jesteśmy w trakcie, zawsze jest coś do zmiany, do dodania.

– Tak samo tata traktował siebie i swoje życie. – Pokiwałam głową.

Na uczelni poznałam wielu interesujących ludzi, zwłaszcza z kadry. Jeśli cokolwiek odziedziczyłam po ojcu, to właśnie ogromną ciekawość ludzi. Tata zachowywał się wobec nowo poznanych ludzi niczym mentalny kanibal

i dosłownie rzucał się na nich, pożerając historie ich życia, gnany nieustannym głodem spraw, które ich spotykały – tragicznych, emocjonalnych czy po prostu znaczących. Przypuszczam, że źródłem jego geniuszu była zdolność zadawania mądrych pytań i wykorzystania do maksimum każdej chwili spędzonej z drugim człowiekiem, bez względu na trudność sytuacji czy krótki czas kontaktu.

Ciekawił mnie Holden Mitchell. Z jednej strony był towarzyski i gadatliwy, a jednak wyczuwało się w nim dziwną blokadę, jakby obawiał się ujawnić coś mrocznego o sobie. Szybko zrozumiałam, że nikt, nawet spośród tych, którzy znali go wcześniej, nie nawiązał z nim bliższego kontaktu.

Pochodził z zamożnej rodziny i mieszkał w domu, który w Palm Beach uchodził za średni standard, a który reszta kraju śmiało nazwałaby rezydencją. Dowiedziałam się jeszcze, że jego ojciec jest rozwodnikiem bez dzieci z pierwszego małżeństwa, o dwadzieścia pięć lat starszym od jego mamy. Stąd dwudziestoletni zaledwie Holden miał sześćdziesięcioośmioletniego ojca, emerytowanego chirurga szczękowego, który kiedyś prowadził bardzo dochodową klinikę. Większość tych wiadomości uzyskałam od samego Holdena, choć nie prowadziłam życia towarzyskiego na studiach.

Moje życie studenckie jakże się różniło od życia w Joya del Mar; miałam czasami wrażenie, że potrzebuję paszportu, bo przekraczam granicę dwóch różnych krain. Na uczelni obracałam się w zupełnie innych sferach niż te, które – jak przewidywał Thatcher – wkrótce się o mnie upomną.

I miał rację. Zaczęło się od zaproszenia na lunch do prywatnego klubu w Palm Beach. Manon Florette, córka właściciela i wnuczka założyciela klubu, przysłała mi pisemne zaproszenie, a potem, zanim zdążyłam odpowiedzieć, zadzwoniła do mnie, by potwierdzić, że je przyjęłam.

– Powinno ci to pochwlebiać – stwierdził Thatcher.

– Czemu?

– Club Florette jest najbardziej ekskluzywnym spośród prywatnych klubów w Palm Beach. Każdego roku siedemset do ośmiuset osób stara się o członkostwo, a Henri Florette przyjmuje dziesięć.

– Dziesięć? Z tyłu starających się? Jakie jest jego kryterium – wartość netto?

– Nie. Powiedział mi kiedyś, że wybiera najbardziej interesujących ludzi, nie zwraca uwagi na status majątkowy, stara się utworzyć w klubie atrakcyjną mieszankę osobowości. Wpisowe wynosi pięć tysięcy dolarów, roczna składka trzy tysiące.

– Tyle kasy, żeby tam zjeść?
– I chwalić się członkostwem. Taki kolejny kotylion do przypięcia na pierś – odparł z uśmiechem. – Fakt, iż Manon do ciebie zadzwoniła, świadczy, że zależy im na tobie.

Zerknęłam na niego spod oka.

– Jesteś członkiem tego klubu?
– Nigdy dotąd się nie starałem, ale może wkrótce do niego wstąpimy.
– Sądzę, że są lepsze rzeczy, na które warto tracić pieniądze – mruknęłam i Thatcher się roześmiał.

– Może są, ale nie w Palm Beach. Po co tracić gdzieś daleko, skoro można blisko?

Śmialiśmy się z tego oboje.

Pomyślałam, że dopóki potrafimy się razem śmiać z siebie i ze świata, wszystko będzie dobrze.

Club Florette rzeczywiście był ekskluzywny. Znajdował się w stosownej odległości od South Ocean Boulevard, ukryty za bardzo wysokim żywopłotem i bramą ze strażnikiem. Nawet brama stanowiła znak ekskluzywności tego miejsca – połączana i zdobiona ornamentami w kształcie palm. Kiedy podałam swoje nazwisko, otwarła się powoli i majestatycznie. Pomyślałam, że tak mogą się otwierać wrota nieba. Teren za nią, przepiękny, z dużym stawem, pełnym łabędzi i flamingów, urzekał widokiem. Wszędzie, gdzie spojrzałam, kwitły bajecznie kolorowe kwiaty, dogłądane przez widocznych tam ogrodników w jednolitych kombinezonach, wykonujących swoje prace.

Sam budynek restauracji wyglądał raczej jak niewielki hotel plażowy. Był utrzymany w wystawnym, śródziemnomorskim stylu, z jasnofioletowymi stiukami na części frontowej i białym marmurowym portykiem. Na podjeździe czekał już na mnie lokaj. Otworzył drzwi samochodu i zaprowadził mnie do wejścia. Na parkingu przeważały mercedesy i rollsy. Był też porsche, a obok niego lamborghini. Nic dziwnego, że lokaj uśmiechnął się na widok mojego auta. Dotąd parkował wyłącznie wozy warte przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Zaledwie przekroczyłam próg, pojawił się szpakowaty mężczyzna w smokingu. Zdziwiłam się, bo zwrócił się do mnie, jakby znał mnie od lat. Czyżby moje zdjęcie już trafiło do „Błysku”?

– Panno De Beers. – Z promiennym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. – Mam na imię Jorge. Witam w Club Florette. Pani i jej goście już czekają.

Proszę za mną.

Poprowadził mnie przez niewielkie, lecz eleganckie lobby, gdzie na ścianach wisiały obrazy w złotych ramach, a na puszystych perskich dywanach stały wytworne skórzane fotele i szklane stoliki. Za nim znajdowała się również niewielka jadalnia o bogatym wystroju, w oknach zdobnych draperiami z czerwonej satyny wisiały złote zasłony. Wszystkie stoliki już zajęto, ale szmer rozmów był dyskretny, jakby nikt nie chciał zostać podsłuchany.

Na parę sekund rozmowy umilkły i głowy zwróciły się w moją stronę. Po chwili wszystko wróciło do normy, jak gdyby uznano, że moje pojawienie się nie jest warte dalszej uwagi.

Manon Florette siedziała z trzema kobietami w tym samym wieku co ona, czyli w okolicach trzydziestki. Była atrakcyjną brunetką, dość wysoką, o niebieskich oczach. Podobnie jak jej towarzyszki, też obwieszona biżuterią. Nie wyobrażałam sobie, że można nosić tyle kosztowności w czasie zwykłego lunchu – brylantowe kolczyki, sznury pereł i broszka z brylantem przypięta nad prawą piersią. Na każdym palcu lewej ręki miała pierścionki, przy czym zaręczynowy dwakroć okazałszy od mojego. Złota ślubna obrączka była wysadzana brylantami. Pasek czarnego spodniomu również migotał od klejnotów.

– Willow, jak miło, że przyszłaś. – Wyciągnęła do mnie rękę.

– A ja dziękuję za zaproszenie – odpowiedziałam. Najwidoczniej te słowa chciała usłyszeć, gdyż niedostrzegalnie skinęła głową w stronę przyjaciółek, które też wyglądały na usatysfakcjonowane.

– Pozwól, że przedstawię ci moje przyjaciółki. To jest Liana Knapp – zaczęła.

Liana była dużo wyższa od niej. Miała krótkie, ciemnokasztanowe włosy i zielone oczy z brązowymi plamkami. Oczy były jedyną jej ozdobą, usta zbyt szerokie i lekko krzywe nie dodawały jej uroku, jak też wystająca broda i szyja długa jak u flaminga.

– Miło cię poznać. – Podała mi rękę omdlewającym gestem, jakby liczyła, że przytrzymam ją i pocałuję, niczym poddana rękę królowej.

Uścisnęłam ją szybko i ręką opadła.

– A to jest Sharon Hollis – ciągnęła Manon. Dużo niższa kobieta o hebanowych włosach i ciemnej karnacji uniosła się lekko na krześle, wyciągając do mnie rękę przez stół. Miała miły, przyjazny uśmiech, ładne rysy, w tym mały zadarty nosek i szare oczy o niemal perłowym odcieniu.

- Cześć – rzuciła.
- I wreszcie Marjorie Lane – oznajmiła Manon.
- Manon, czemu zawsze przedstawiasz mnie na końcu i zawsze z tym dodatkiem „wreszcie”? – zapytała Marjorie z pretensją.
- Och, nie masz się o co obrażać, to zwykła kolejność alfabetyczna – odpowiedziała Manon z szelmowskim błyskiem w oku. Pozostałe dwie przyjaciółki uśmiechnęły się jeszcze szerzej. Marjorie wzruszyła masywnymi ramionami, jakby otrząsała pióra, po czym odwróciła się do mnie.
- Była kobietą najbardziej postawną z nich wszystkich, o puciołowatej twarzy prawie bez makijażu i grubych wargach. Oczy miały burobrązowy kolor, który zdawał się nawiązywać do spłowiałych, jasnobrązowych włosów, zwisających w cienkich pasmach do linii szczęki. Nosiała czarną sukienkę, ilością biżuterii dorównywała Manon, ale nie elegancją.
- Cieszę się, że mogę cię poznać – wyrecytowała jak dobrze wychowana dziewczynka, której rodzice wbili do głowy grzecznościową formułkę. Spiorunowała wzrokiem Manon, po czym wpatrzyła się w menu.
- Proszę, usiądź – zachęciła Manon. Usiadłam pomiędzy Lianą a Marjorie.
- Nie mogliśmy się na ciebie doczekać – powiedziała Sharon Hollis. – Mówi o tobie całe Palm Beach.
- Naprawdę? Nie rozumiem dlaczego – udałam zaskoczenie.
- Nie wiesz? – Marjorie zerknęła na mnie znad menu.
- Rozumiem, że Thatcher jest znanym adwokatem i zapewne stąd bierze się zainteresowanie naszym ślubem – zasugerowałam.
- Tak, tak – przytaknęła Marjorie ze zniecierpliwieniem. – Ale przecież wiesz, że wchodzisz do jednej z najsłynniejszych rodzin w Palm Beach?
- Nie mam pojęcia – odpowiedziałam z naiwnym zdziwieniem, robiąc wielkie oczy.
- Manon się roześmiała.
- Marjorie ma zwyczaj od razu przechodzić do sedna. Po prostu nie lubi wstępów – wyjaśniła.
- Czy to znaczy, że nie lubi też gry wstępnej? – spytała Liana i roześmiały się wszystkie, poza Marjorie i mną.
- Więc jak, Marjorie? – naciskała Sharon. – Lubisz czy nie lubisz?
- Przestańcie się wygłupiać jak smarkule – warknęła i zwróciła się do mnie.
- Nie widzę powodu, żeby sprawę owijać w bawełnę, i nie jestem hipokrytką – dodała, z naganą zerkając na swoje towarzyszki.

- Myślę, że masz rację – powiedziałam – choć osobiście lubię grę wstępną. Teraz śmiały się wszystkie, nawet Marjorie.
 - Czy po ślubie planujesz pozostać w Joya del Mar? – zagadnęła.
 - Dlaczego nie? Tam jest pięknie.
 - O, tak – przyznała Sharon.
 - A co z Eatonami? Zamieszkacie razem, jak szczęśliwa rodzinka? – dopytywała się Marjorie.
 - Eatonowie? Czyli ja i Thatcher? – Dalej udawałam, że nie rozumiem.
 - Chodzi mi o jego rodziców – uściśliła ze zniecierpliwieniem.
 - Nie wiem, gdzie zamieszkają, ale przypuszczam, że niedaleko od nas.
- A czemu pytasz?
- Nie tak łatwo jest odessać od siebie teściów – skomentowała gorzko.
 - Marjorie jest świeżo rozwiedziona – wtrąciła Manon. – I bardzo rozczarowana małżeństwem, teściami i tak dalej. Dobrze mówię, Marjorie?
 - Głównie moim eks – mruknęła i jej przyjaciółki zachichotały.
- Ani Sharon, ani Liana nie miały pierścionków zaręczynowych ani obrączek. Manon dostrzegła, że patrzę na ich palce.
- Obie były kiedyś zamężne – wyjaśniła. – Sharon dwa razy, a Liana raz. Moim mężem jest Earl Lapel, z rodu jubilerów.
 - Czemu w takim razie nie używasz nazwiska Lapel?
- Wszystkie cztery się roześmiały.
- Nie musisz zmieniać nazwiska po ślubie, chyba że nazwisko twojego męża jest bardziej znane niż twoje – wytłumaczyła Marjorie. – Rozumiem, że będziesz chciała być znana jako Willow Eaton, prawda?
 - Dlaczego? Widocznie nie wiesz, że moim ojcem był doktor De Beers, słynny psychiatra – oznajmiłam z demonicznym uśmiechem. – Nazwisko De Beers jest o wiele bardziej znane niż Eaton.
 - Myślałam o pokrewieństwie z Montgomerymi – odparła tonem usprawiedliwienia.
- Popatrzyłam jej twardo w oczy.
- Nie wstydzę się swojej matki i brata. Są cudownymi, kochającymi, szczerymi ludźmi.
 - To pięknie z twojej strony – powiedziała Manon szybko. – Marjorie na pewno też tak uważa, prawda, Marjorie? – zapytała z delikatnością młota.
 - Tak, oczywiście. – Marjorie skinęła głową.
 - Zaprosiłyście mnie tutaj, bo koniecznie chciałyście mnie poznać

i dowiedzieć się, jak zdobyłam serce Thatchera Eatona, czy tak?

– W dużym stopniu tak – przyznała Sharon szczerze. Marjorie uniosła brwi.

– Po co owijać w bawełnę? – spytałam prowokacyjnie.

Spojrzała na koleżanki. Wszystkie się uśmiechały.

Odchyliłam się na oparcie krzesła.

– To było jak w bajce – zaczęłam. – Od razu między nami zaiskrzyło. Nie widzieliśmy świata poza sobą. Zawsze byłam sceptyczna wobec romantycznej miłości, a tymczasem dosięgło mnie gorące uczucie, pulsujące namiętnością, której nie sposób się oprzeć.

Wszystkie cztery siedziały nieruchomo, chłonąc moje słowa.

– Spotykaliśmy się, potem musiałam wyjechać, ale nie mogliśmy bez siebie żyć. Powiedziałam „tak”, bo poczułam, że umrę, jeśli tego nie zrobię, gdyż jestem w nim zakochana po uszy. Robiliśmy różne romantyczne rzeczy i chcemy je robić po ślubie, przez całe nasze życie – zakończyłam i powiodłam spojrzeniem po kobietach. Patrzyły na mnie wielkimi oczami.

– Wow. – Sharon odetchnęła głęboko. – To naprawdę niezwykle. Ani razu nie przeżywałam czegoś takiego w obu moich małżeństwach.

– Niezwykle?

– Tutaj może być uważane za niezwykle – odezwała się Manon. – W Palm Beach małżeństwo to bardziej wynik dobrego planowania niż gorącego romansu. A dlatego, że raczej nie ufamy mężczyznom, prawda, dziewczyny?

– Raczej? Za grosz im nie ufamy! – poprawiła ją Marjorie.

– Dla mężczyzn kłamstwo, zdrada, oszustwo i egoizm są czymś bardziej naturalnym niż u kobiet – dodała Liana.

– Dlatego zawarliśmy swoisty sojusz i zaprosiłyśmy dzisiaj ciebie nie z czystej ciekawości, jak uważasz, ale po to, aby wy badać, czy jesteś odpowiednią kandydatką do naszego klubu, który nazywa się Club d'Amour, czyli Klub Miłości – oświadczyła Manon.

– Co wy właściwie robicie w tym klubie? – zaciekałam się.

– Po pierwsze, przysięgamy, że zawsze będziemy ze sobą szczerze; a po drugie, że będziemy pielęgnować... powiedzmy, nasze romantyczne zainteresowania. Dobrze mówię?

Klubowiczki przytaknęły.

– Można nas uznać za rodzaj firmy ubezpieczeniowej z Palm Beach, oferującej rodzaj polisy dla członkiń klubu – ciągnęła Manon, konfidencko pochylając się ku mnie nad stołem. – Wszystkie prowadzimy

podobny styl życia, spotykamy się z tymi samymi ludźmi, a jednocześnie każda z nas ma swoją własną specjalność, można powiedzieć – ekspercką dziedzinę. To pozwala nam uzyskać bardziej całościowy ogląd różnych spraw i wydarzeń, a zwłaszcza takich, które mogą mieć – i często mają – wpływ na życie którejs z nas.

– Spreczyzuj – upomniała ją Marjorie.

– Na przykład – wtrąciła Liana – to Sharon pierwsza uświadomiła Marjorie, że jej były już mąż Hugh Durrel robi skoki na boki.

– Później pomagałyśmy jej zdobywać informacje i dowody potrzebne do przyszpilenia go – dodała Manon i wszystkie cztery wybuchnęły śmiechem.

Patrzyłam na nie i sens ich słów powoli do mnie docierał.

– Chcecie powiedzieć, że działacie jak szpiedzy, rodzaj prywatnych detektywów, pracujących dla siebie nawzajem?

– Świetnie to ujęłaś. – Manon skinęła głową i odchyliła się na oparcie krzesła. – Po prostu doszliśmy do wniosku, że w pojedynkę nie mamy szans wygrania z naszymi aktualnymi czy byłymi mężami, którzy są dobrze ustawionymi, zdolnymi, wpływowymi i pewnymi siebie facetami, należącymi oczywiście do starych, dobrych męskich klubów.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową.

– Dzięki, że rozważacie zaproszenie mnie do klubu, ale to wszystko brzmi dla mnie dosyć szatańsko. Jeśli kobieta i mężczyzna nie mają do siebie zaufania, miłość jest niemożliwa.

– Właśnie! My też tak uważamy, Willow – powiedziała Liana. – Dlatego wymyśliłyśmy towarzystwo ubezpieczeń wzajemnych.

– Powiedzcie dokładniej, jak działacie i jakimi metodami? – dopytywałam się, wyobrażając sobie rodzaj szpiegowskiej siatki, armię wynajętych detektywów, śledzących niewiernych mężów, zakładanie podsłuchów i tym podobne rzeczy.

– Gdy dowiadujemy się o zdradzie lub podejrzewamy zdradę, informujemy naszą siostrzycę, a potem jej pomagamy, gromadząc dowody i informacje, których będzie potrzebowała – odpowiedziała Liana.

– Krótko mówiąc, robimy wszystko, co niezbędne, aby osiągnąć cel – podsumowała Manon.

– Jestem pewna, że Thatcher podsunie ci jakiś rodzaj umowy ślubnej – podjęła po chwili Marjorie. – Zwłaszcza że jest prawnikiem.

– Mąż Marjorie usiłował udowodnić jej niewierność, aby pozbawić ją

udziału w posiadłości – przypomniała Sharon.

– Na szczęście przyłapałyśmy go na gorącym uczynku, role się odwróciły i Marjorie wydarła mu wszystko, co się jej należało – dokończyła Manon. – Teraz ty bierzesz ślub z Thatcherem, zaczniecie prowadzić życie towarzyskie i zapewne poznacie ludzi, których my nie znamy. W ten sposób możesz rozszerzyć pole naszych radarów, a my w zamian podzielimy się z tobą wszystkim, czego się dowiemy.

– Dlaczego ja? – spytałam, nadal lekko oszołomiona.

Klubowiczki popatrzyły na siebie.

– Znamy Thatchera Eatona dłużej niż ty, Willow – powiedziała Manon. Zrozumiałam, że nie od najlepszej strony.

– Jesteś młodsza niż którakolwiek z nas w momencie swojego ślubu – dodała Sharon.

– Poza tym, jak mówiłam, układ działa w obie strony – podjęła. – Ty też masz kartę do wyłożenia na stół. Thatcher parę razy pracował dla mojego męża, a Sharon spotyka się z Franklinem Bradleyem, który również jest adwokatem. Kto wie, może wkrótce zechce go poślubić?

– Co ty na to? – Liana patrzyła na mnie.

– Sama nie wiem, co powiedzieć. Prawdę mówiąc, myślałam, że przyjadę na typowy lunch w Palm Beach, z typowo towarzyskimi pogaduszkami i...

– I mile się zdziwiłaś, że jesteśmy bardziej konkretne, co? – podchwyciła z uśmiechem Manon. – Jesteśmy nowoczesnymi kobietami, a ponieważ myślisz o karierze i chcesz być profesjonalistką, uznałyśmy, że nam przykłaśniesz.

– Powiedzmy sobie jasno – zaczęła Marjorie. – W dzisiejszych czasach relacje pomiędzy kobietą a mężczyzną bardziej niż kiedykolwiek przypominają pole bitwy, z potyczkami prawnymi, zdradami i oszustwami.

– Dlatego musimy trzymać się razem – oświadczyła z pasją Sharon.

– Fakt, że mieszkasz w Palm Beach, nie znaczy, że możesz liczyć tutaj na więcej szczęścia w życiu i bardziej udane związki niż kobiety w innych miejscach kraju – wyjaśniła Liana.

– Przeciwnie, tu masz znacznie gorzej – dodała Marjorie gorzko.

Zgodnie kiwnęły głowami.

– Zjedźmy coś wreszcie – zachęciła Manon – i dajmy biednej Willow pomyśleć spokojnie o wszystkim.

– Zastanów się – Marjorie pochyliła się ku mnie – gdyby twoja babcia miała takie przyjaciółki i klub jak nasz, czy Kirby Scott dokonałby takich spustoszeń

w twojej rodzinie? Od razu byśmy ją wsparły i pomogły uniknąć nieszczęścia.

– Krótko mówiąc, zawsze będziemy sobie potrzebne – stwierdziła Sharon. – Choćby twój związek wydawał ci się precudowny, choćby były wszystkie dzwony, nadejdzie dzień, kiedy zaczniesz słyszeć echa, a nie realne głosy, i przekonasz się, że dla twojego małżeństwa spoiwem są już tylko piękne wspomnienia...

– Będiesz jak ptak, który stracił wszystkie pióra – dokończyła Manon dramatycznie. – I utoniesz w oceanie.

Klubowiczki pokiwały głowami i oczy im pociemniały. Ogarnął mnie nagły smutek.

– Tato! – zawołała nagle Manon. – Chodź i poznaj nową mieszkankę Palm Beach, Willow De Beers, narzeczoną Thatcherą Eatona.

W ciszy, która znów zapadła w jadalni, Henri Florette ruszył ku nam pomiędzy stolikami. Był dystyngowanym mężczyzną w niebieskiej sportowej marynarce, pasującej do jego niebieskich oczu.

– *Enchanté*. – Uścisnął mi dłoń. – Witaj w Club Florette i w naszej małej społeczności. – Zwrócił się do Manon: – Jest tak piękna, jak mówiono, *mais oui, chérie?*

– Tak, tato.

Henri znów zwrócił się do mnie:

– Przekaż, proszę, moje gratulacje Thatcherowi i powiedz mu ode mnie, że jest wielkim szczęściarzem. Bawcie się dobrze – rzucił do nas wszystkich, potem obchodził pozostałe stoliki i zarażał wszystkich swoim urokiem, niczym domokrażca sprzedający szczęście w butelce.

Zjawił się kelner i rozmowa zveksłowała na jedzenie. Poczułam głód, lecz w mojej głowie krążyły myśli o prawdziwych powodach, dla którym mnie tu zaproszono. Z jednej strony przystąpienie do klubu wydawało mi się spiskowaniem za plecami Thatcherą i nie pasowało do nowej, szczęśliwej drogi życia, na którą miałam wstąpić. Z drugiej strony cel i sposób działania tych kobiet bardzo mnie pociągały.

Obiecałam im, że poważnie się zastanowię, i już nawet ta obietnica wzbudziła u mnie wyrzuty sumienia. Życie jest proste wyłącznie dla ślepych i głuchych, nie widzą i nie słyszą zła. Są bezgranicznie ufni, bo nie mogą wiedzieć, kiedy ktoś ich zdradzi, oszuka czy wyśmieje. Ale nigdy nie zobaczą zachodu słońca albo nie usłyszą śpiewu ptaków, dlatego cena za ów stan niewinności jest zbyt wysoka, zwłaszcza że szczęście takich ludzi zależy

od troski i dobrego serca innych.

Doszłam do wniosku, że mogłabym przystąpić do Club d'Amour w ramach moich psychologicznych obserwacji. Takie doświadczenia mogą mi się kiedyś przydać na studiach. Powód był przekonujący, ale miał w sobie chłodny, racjonalny rdzeń. W rzeczywistości wzdragałam się przyznać przed tymi kobietami, a przede wszystkim przed sobą samą, że mam wątpliwości co do Thatchera. Jak mogę robić coś takiego i nadal go kochać?

A może nie da się kochać kogoś całkowicie i bezwarunkowo?

W drodze do domu usłyszałam, że tata pojawił się w tłumie moich myśli.

Czy możesz żyć z kimś i nie kochać go? – zapytał.

Nie wiem. Skąd mam wiedzieć, nie miałam dotąd takich doświadczeń. Wszystko zaczęło się za wcześnie i dzieje się zbyt szybko. Ale ty powinieneś wiedzieć, prawda, tato?

Byłaś tam, Willow. Ty mi powiedz, czy byłem wtedy szczęśliwy?

Nie sędzę. Ale byłeś również z moją mamą. Ufałeś jej całkowicie?

Teraz już dużo wiesz o naszym związku. Więc jak myślisz?

Myślę, że tak. I że mama też była szczęśliwa z tobą.

Dobrze, ale to byliśmy my. Tymczasem ja zawsze cię uczyłem, że każdy jest inny. Nie ma klucza, który pasowałby do wszystkich zamków, Willow.

A jednak wyznaczyłeś mi cel, do którego mam aspirować, prawda? Przecież byłeś doskonały.

Nikt nie jest doskonały, Willow. Pamiętaj o tym.

W takim razie miłość też nie może być doskonała.

A musi być? Może prawdziwa miłość jest wtedy, kiedy wiemy, że jest niedoskonała, ale trzymamy się jej i wspieramy ją całym sercem.

Ty mówisz o wybaczeniu.

Próbowałaś przekonać do tego Lindena, prawda? Przecież wiesz, że nie ma miłości bez wybaczenia.

Tak, tato.

Nie powinnaś poprosić kogoś innego, żeby spojrzeć w lustro, skoro sama boisz się to zrobić, Willow? Czy nie powinnaś go poprosić, żeby zaakceptował świat, którego ty nie możesz lub nie chcesz zaakceptować?

Nie, tato.

W takim razie masz swoją odpowiedź, Willow, czyż nie tak?

Może. Nie wiem.

Zobaczyłam, jak tata się uśmiecha.

*Będiesz wiedziała, kiedy ona się pojawi, Willow.
Będiesz wiedziała.*

Rozdział dziesiąty

RADA OD KOBIET Z PALM BEACH

Wydawało się, że Linden zapomniał o mojej zgodzie na pozowanie do portretu, który miał być dla nas prezentem ślubnym. Może widział, jak bardzo jestem zajęta studiami i przygotowaniem do ślubu. Do tego dochodziło jeszcze życie towarzyskie, bo przyjaciele i współpracownicy Thatchera zasypywali nas zaproszeniami. Miałam poczucie winy, że za mało czasu poświęcam przyrodniemu bratu. W pewnym momencie zagadałam do niego i zaproponowałam, żebyśmy niedługo pojechali do miasta, aby wybrać dla niego smoking. Wtedy przypomniał mi o portrecie. Postanowił, że będzie to pierwszy obraz, jaki namaluje w swoim nowym studiu.

Tymczasem Whitney wyznaczyła termin mojego wieczoru panieńskiego, który miał się odbyć w jej domu na tydzień przed wyprawieniem się Eatonów z Joya del Mar. Oczywiście Bunny przy każdej okazji narzekała na ogrom pracy i morderczy termin ślubu, który narzuciliśmy z Thatcherem.

- Niektórzy myślą, że jesteś w ciąży – powiedziała pewnego dnia.
- W takim razie się rozczarują – odparłam. Domyśliłam się, że ona również do nich należy.

Choć zaprzeczyłam, nie zwolniła tempa. Zorientowałam się, że tylny taras wyobraża sobie jako rodzaj łoża czy trybuny, z której będzie mogła dyrygować całą uroczystością, przemawiać, gestykulując szeroko, albo wzdychać ze wzruszenia. To wszystko miało być adresowane do gości, zgromadzonych tłumnie w dole. Zależało jej, aby towarzystwo z Palm Beach na bieżąco śledziło jej pracę, gdyż dzień w dzień trwała parada gości, wpadających na popołudniowe herbatki. Oczywiście nie mogło tam zabraknąć sióstr Carriage, które rozprzestrzeniały wiadomości z szybkością godną największych agencji

prasowych.

Thatcher był osobliwie tolerancyjny wobec tej całej teatralizacji. Zauważyłam, że w towarzystwie woli zwracać się do niej „Bunny”, a nie „mamo”. Domyślałam się, że w duchu postrzega ją jako postać z opery mydlanej, co pozwala mu nie traktować zbyt serio jej samej ani tego, co robi. Potrafił po mistrzowsku rozbrajać humory czy fochy matki i uspokajać ją jeszcze skuteczniej niż jej mąż. Zwłaszcza że Asher często się dystansował i zachowywał jak outsider, gość w swoim własnym małżeństwie, cedując zadanie okiełznania Bunny na syna i córkę. Sama już nie wiedziałam, kto jest bardziej egocentryczny – on czy jego żona.

Wiele rozmyślałam o swoim nowym życiu w Palm Beach. Miło jest mieć kogoś, z kim można sobie swobodnie porozmawiać, i taką osobą okazał się profesor Fuentes. Od czasu do czasu przychodziłam do niego na konsultacje, jak każdy ze studentów, ale z czasem nasze spotkania stawały się coraz częstsze i dłuższe. Bardzo go polubiłam i łąpałam się na tym, że otwieram się przed nim, zwierając się z bardzo osobistych spraw. Śmiał się i wytykał mi, że zrobiłam z niego swojego osobistego terapeutę. Uśmiechałam się, podejrzewając jednak, że ma rację.

– Co nie znaczy, że się wycofam z tej usługi – zapewnił. Zobaczył, że mój uśmiech zamiera wraz obawą, czy się tak nie stanie. – Willow, zawsze może pani liczyć na moją pomoc i wsparcie.

Ośmielona, opisałam mu swoich przyszłych teściów, a potem się zastanawiałam nad postawą Thatchera wobec rodziców.

– Dla mnie on się zachowuje jak ktoś bardzo bystry, kto już dawno, zapewne w młodości, pogodził się z sytuacją i świetnie ją rozgrywa – stwierdził profesor. – Z tego, co pani mówi, wynika, że Thatcher nie potępia rodziców, ale też ich nie idealizuje, traktuje z miłością i szacunkiem, choć pobłażliwie. Ma cechy urodzonego prawnika, i to bardzo dobrego. Wie, jak budować rozsądne kompromisy. Proszę pamiętać o starym porzekadle – dodał z uśmiechem. – Przyjaciół się wybiera, ale rodziny – nie.

– W tym wypadku mam wybór. Mogę wziąć ślub albo też nie.

– Gdy słucham pani i widzę światło w pani twarzy, Willow, obawiam się, że straciła pani tę opcję.

Roześmiałam się.

– Możliwe, profesorze.

– Błogosławiony jest wiatr, który porywa nas na szczyty szczęścia. Sam

wyczekuję takiego – powiedział z rozmarzeniem i popatrzył na mnie przeciągle, dłużej niż zwykle. Moje serce na moment zgubiło rytm i zapiekły mnie policzki.

Czy widzisz sympatię i ciepło w czyimś spojrzeniu? Potrafisz wyczuć prawdziwą szczerłość? – zapytywałam sama siebie. Nie przeraża cię to? A może przeciwnie, ekscytuje i porusza w twoim sercu miejsca zarezerwowane dla kogoś innego?

Czasami, myślałam, lepiej jest zostawić pewne pytania bez odpowiedzi, nie otwierać niektórych drzwi; czasami zbyt wiele światła oślepia.

Nie mówiłam Thatcherowi o moich tête-à-tête z profesorem Fuentesem; wspominałam tylko, że chodzę na konsultacje. Cieszył się, że podoba mi się uczelnia, i żartował, że kiedyś będę zarabiać więcej od niego i zostanie mężem swojej żony.

– Twoim utrzymankiem, Willow.

– A nie chciałbyś żyć bez trosk, z imprezy na imprezę?

– Nie potrafię żyć bez wyzwania – oświadczył i ze śmiechem patrzył, jak przyglądam mu się spod oka, przechylając głowę. – Dobra, inaczej – poprawił się. – Kocham swoją pracę o wiele bardziej niż inni rozrywki i łatwe życie. Więc nie bój się, nie będziesz musiała mnie utrzymywać.

Tak sobie rozmawialiśmy w naszym romantycznym gniazdku, samotnym domu na plaży, gdzie staraliśmy się jak najczęściej bywać.

– Wiesz, Thatcher, zastanawiam się, czy ten twój mityczny przyjaciel, który zostawił nam klucze, w ogóle istnieje – powiedziałam pewnej nocy. – Kiedy on zamierza wrócić?

– Jeżeli zechce wrócić, na pewno zawiadomi mnie o tym z wyprzedzeniem.

– A będzie na naszym ślubie?

– Oczywiście. Przecież wiesz, że będzie tam cały świat! – Śmialiśmy się.

Jaki ten czas był dla mnie cudowny! Cieszyło mnie studiowanie, nowe szczęście mamy i polepszający się stan Lindena. Nie było dnia, żeby nie zgłaszał nowych pomysłów, jak urządzić duży dom i co w związku z tym powinniśmy zrobić – przede wszystkim chodziło mu o zatarcie wszelkich śladów obecności Bunny i Ashera.

– Muszę ci wyznać – powiedziała mama, kiedy jechałyśmy do domu Whitney na mój wieczór paniński – że aż się boję, bo wszystko idzie za dobrze. Wcześniej podświadomie oczekiwałam jakiegoś telefonu, znaku, że znów mi się wszystko zawali. Dotąd bałam się uwierzyć w szczęście, mieć nadzieję.

Wniosłaś tyle radości w nasze życie, Willow! Jestem wdzięczna ojcu, że miał odwagę ujawnić ci prawdę i tym sposobem odesłać cię do mnie. To prawdziwy dar miłości!

– Tak, mamo, dar dla nas. Dla ciebie i dla mnie.

Podjechałyśmy do bram posiadłości Whitney. Wysoki żywopłot otaczał posesję i sama brama zdawała się sięgać nieba. Ktoś musiał nas obserwować przez kamerę, bo wrota magicznie zaczęły się otwierać.

– Są strzeżeni nie gorzej niż prezydent Stanów Zjednoczonych – mruknęłam.

Mąż Whitney, Hans Shugar, był prawdziwym dzieckiem fortuny – w tym wypadku imperium środków czystości Shugarów. To koncern niemiecki, który rozprowadzał swoje produkty w Europie i na Dalekim Wschodzie. Whitney i Hans z dziećmi mieszkali przy El Vedado – jednej z trzech „elek” Palm Beach, czyli trzech ulic o hiszpańskich nazwach, które biegnęły równoległe od South Ocean Boulevard do Lake Worth i wyznaczały enklawę, gdzie rezydowała najczystsza błękitna krew. Thatcher mi mówił, że Hans kupił posiadłość za cztery miliony i zrównał ją z ziemią, żeby wznieść nowe cudo w georgiańskim stylu.

Wiedziałam wcześniej, że dom ma trzydzieści pokoi i dwa razy większy teren niż Joya del Mar, ale nie byłam przygotowana na rozmach i przepych posiadłości, na jej ogród i labirynty, na urokliwe alejki i szeregi palm, strzegące jej granic niczym wartownicy. Dom bardziej przypominał pałac. Nic dziwnego, że Whitney czuje taką wyższość wobec innych, myślałam. Ona chyba codziennie budzi się z poczuciem, że jest księżniczką, rządzącą swoim księstwem.

Na parkingu stały prawie dwa tuziny luksusowych aut oraz dwie limuzyny; szoferzy stali i gawędzili sobie.

– Roczny koszt utrzymania tej posiadłości jest pewnie równy dochodowi narodowemu któregoś z krajów Trzeciego Świata – zauważyłam, kiedy zaparkowałyśmy.

– Kiedy z Jackie Lee przybyłam do Palm Beach, zapraszano nas do takich pałaców dzięki związkowi mojej matki z Winstonem. Jackie Lee radziła mi wtedy: „Zamknij oczy, Grace, i wyobraź sobie, że jesteś Alicją w Krainie Czarów. Trik polega na tym, aby nikt się nie domyślił, że to wszystko, co cię otacza, robi na tobie wrażenie. Dlatego nie wytrzeszczaj oczu, a kiedy się będziesz wypowiadać, zapomnij o wykrzyknikach”.

– Niezła rada – przyznałam.

– W takim razie weźmy ją sobie do serca – odparła mama. Widziałam, że jest mocno spięta przed skokiem na główkę do elitarnego towarzyskiego basenu po latach odosobnienia, ale dzielnie przybrała na twarz uśmiech i ruszyła z podniesioną głową, aby powitać córkę Whitney, Laurel.

– Zapraszam. – Laurel przepuściła nas w wejściu. – Mama i goście już na was czekają – powiedziała tonem pełnym nagany, jakby potępiała nas za spóźnienie. Potrafiła tak samo jak matka wywrócić zimnymi, szarymi oczami i wyduć usta w wyrazie surowej dezaprobaty.

– Cześć, Laurel. – Mama uśmiechnęła się ciepło. – Dawno cię nie widziałam. Ale wyrosłaś!

– Nie ma nic złego w tym, że kobieta jest wysoka – odpowiedziała Laurel z ukrytą urazą. – Moja mama też jest wysoka.

– Oczywiście, że nie – zapewniła mama z życzliwym uśmiechem. Widok Laurel obudził we mnie jakieś wspomnienia, może siebie samej, choć nie byłam tego do końca pewna.

Życzliwość mamy złagodziła nieco ostre kanty Laurel.

– Normalnie powitałby was lokaj, ale mama uznała, że będzie przyjemniej, jeśli zrobię to ja – wyjaśniła.

– I tak jest – zapewniłam.

Sprawiła wrażenie, jakby miała ochotę się uśmiechnąć, ale powiedziano jej chyba, że nie można się ciągle uśmiechać, i wzięła to sobie do serca.

– Wszyscy już są – poinformowała. – Ostatni goście przyjechali niedługo przed wami.

– Dobrze – powiedziałam. – Zatem zjawiliśmy się w porę.

Sztywno obróciła ku mnie głowę.

– Zostaniesz moją ciotką. Czy chcesz, żebym mówiła do ciebie Willow, czy ciociu Willow?

– Po prostu Willow.

– Rozumiem. Po prostu Willow. Proszę, Willow. – Obróciła się na piętach sprawnie jak żołnierz na paradzie, cały czas wyprostowana, jakby miała niewidzialną książkę na czubku głowy.

Mama i ja zerknęliśmy na siebie z uśmiechem i ruszyliśmy za nią.

Laurel poprowadziła nas szerokim korytarzem przez marmurowy hol do sali niewiele mniejszej od sali balowej królewskiego pałacu. Towarzystwo już tam ucztowało, popijano szampana i raczono się zakąskami ze srebrnych tac, roznoszonych przez trzy kelnerki. Dwaj kelnerzy dbali o napełnianie

kieliszków.

– Przybyli goście honorowi! – zawołała Whitney i tłumek przynajmniej dwóch tuzinów kobiet zamilkł nagle. Spojrzały na nas. Zobaczyłam, że obecne są cztery moje nowe znajome z Club d’Amour, na czele z Manon. Bunny, siostry Carriage oraz kobiety, które przelotnie widywałam w Joya del Mar, siedziały na kozetkach w stylu barokowym. Miało się wrażenie, że panie konkurują ze sobą w ilości biżuterii, którą się bogato obwiesiły.

Ktoś zaczął klaskać i zaraz w całej sali rozległy się oklaski. Whitney szybko podeszła do nas.

– Dziękuję, Laurel – powiedziała do córki. – Jesteś wolna.

– Czy mogę zostać?

– Nie – odparła Whitney stanowczo, po czym uśmiechnęła się do mojej mamy. – Jak miło widzieć cię w miejscu innym niż Joya del Mar, Grace. Dobrze wyglądasz. Jaka ładna sukienka!

– Dzięki, Whitney. – Mamie nieco drżały usta, ale utrzymała uśmiech. Lekko ścisnęłam jej ramię.

– Pozwolicie, że przyniosą wam szampana. – Whitney jednym spojrzeniem przywołała kelnera. Wzięłyśmy kieliszki z tacy.

– Pierwszy toast dnia! – ogłosiła Whitney i wszystkie uniosły kieliszki. – Za przyszłą pannę młodą! Witaj w najbardziej zwariowanej rodzinie w Palm Beach, Willow.

Przez salę przebiegł szmer śmiechu, jakby Whitney popełniła *faux pas*.

– Większość z nas nie zna ciebie, Willow, podobnie jak ty ich. Ty też pewnie znasz tylko parę z nas, Grace. Wymyśliłyśmy zabawną formę przedstawienia wam wszystkich dziewczyn. Do dzieła!

Kobiety zerwały się i stanęły wokół okrągłego stołu. Służba wniosła duży, prosty fotel, który przypominał tron, i ustawiła go obok stołu. Na stole postawiono srebrną misę, w której były zwitki papieru.

– Willow. – Whitney dała mi znak, żebym usiadła.

Spojrzałam na mamę, która z uśmiechem pokiwała głową.

– Będzie świetna zabawa – zapewniła Whitney. Podeszłam do krzesła i siadając, zerknęłam na Manon i jej drużynę. Patrzyły na mnie, uśmiechając się nieznacznie, i tylko Marjorie miała tak samo surową i krytyczną minę, jak wtedy w klubie.

– Na czym ta zabawa ma polegać? – spytałam.

– Każda dziewczyna napisała dla ciebie dobrą radę, jak zapewnić sobie

sukces małżeński. Masz wyjmować po kolei karteczki i czytać głośno tekst, a my za każdym razem spróbujemy odgadnąć, która to napisała. A ty poznasz poglądy swoich nowych przyjaciółek na temat bardzo ważny i ostatnio ci bliski, jakim jest małżeństwo. – Whitney powiodła spojrzeniem po zebranych.

Teraz, pomyślałam sobie, te kobiety zachowują się jak nastolatki na piżama party, czekające na ujawnienie sekretów. Oczy im błyszczą z podekscytowania.

– Nie wszystkie tutaj są mężatkami – zauważyłam, spoglądając na Club d’Amour.

Whitney wydeła usta i znów się uśmiechnęła.

– Owszem, co nie znaczy, że nie mają przemyśleń na temat udanego małżeństwa, w tym także rozwódki. Albo właśnie rozwódki – dodała znacząco, co wywołało śmiech.

– A nie możemy się po prostu przedstawić?

– Och, nie mów, że się boisz dobrych rad, Willow – odparła Whitney prowokująco. – Taki drobiazg nie przestraszy kobiety z Palm Beach, a przecież niedługo staniesz się jedną z nas, prawda, moje damy?

– Prawda! – zakrzyknęły.

Znów spjrzałam na mamę. Nadal uprzejmie się uśmiechała, ale dostrzegłam w jej oczach błysk niepokoju. Nie chciała, żebym czuła się tak niekomfortowo w tym towarzystwie, jak z pewnością czuła się ona. Postanowiłam robić dobrą minę do złej gry i udawać, że cieszy mnie ta głupia, właściwie nieszkodliwa zabawa.

– Świetnie, zaczynamy! – zawołałam.

Whitney z zadowoleniem skinęła głową. Spojrzała na Bunny, a ta wymieniła spojrzenia z siostrami Carriage, które wyczekująco nastawiły uszu.

Wyjęłam z misy pierwszy zwitek papieru i rozprostowałam go.

– Czytaj głośno – przypomniała Whitney.

– „Każ mu spać w osobnej sypialni i dwa razy prosić o wejście do ciebie” – przeczytałam i odpowiedział mi wybuch śmiechu.

– No i kto to, drogie panie? – spytała Whitney.

– Lucien Castle! – odkrzyknęły, pokazując na kobietę, która musiała być po pięćdziesiątce, choć starała się ukryć wiek liftingiem twarzy i platynowymi włosami.

– U mnie ten system działa – pochwaliła się Lucien, zwracając się do mnie.

– Oni nie mogą dostawać niczego za darmo. Zresztą widać, że inne też o tym myślą, skoro od razu rozpoznały moją radę – dodała z dumą.

– Dalej! – nakazała Whitney.

Rozprostowałam kolejny świstek.

– „Przynajmniej raz w miesiącu każ mu włożyć koszulę nocną, a sama włoż do łóżka piżamę”.

Znów śmiech, a potem cisza.

– Jakież propozycje? – Whitney powiodła wzrokiem po skonsternowanych twarzach. – Według regulaminu, jeśli nie odpowiecie po trzydziestu sekundach, autorka musi się ujawnić.

Ujawniła się ta, której nikt nie podejrzewał – niska, pulchna kobieta, wyglądająca na swoje sześćdziesiąt pięć – siedemdziesiąt lat.

– Och, niektórym z was już kiedyś o tym mówiłam – zaczęła. – Z moim pierwszym mężem przestrzegaliśmy tego jak katechizmu i nasze małżeństwo było nadzwyczaj udane, aż do jego śmierci. Nazywam się Jean Blackman. Mój pierwszy mąż, Wesley Shaw, robił interesy z twoim ojczymem Winstonem, Grace.

– Ach, tak – powiedziała mama, choć widziałam, że sobie nie przypomina.

– Cieszę się, że zabiłam wam ćwieka – ciągnęła Jean. – Widać, moje młode panie, że potrzebujecie dobrych małżeńskich rad, bo choć trudno wam w to uwierzyć, w buduarze nie jesteście tak atrakcyjne jak my, kobiety starej daty.

Odpowiedziały śmiechem, ale ciągle nie mogły się nadziwić porażce.

– Może już damy sobie z tym spokój? – szepnęłam do Whitney.

– Ależ skąd! Zobacz, jak szybko je poznajesz. Następny! – zawołała i upiła łyk szampana.

Sięgnęłam po kolejny zwitek.

– „Za każdym razem, kiedy cię zaniedbuje, kup sobie dwa razy więcej rzeczy niż poprzednio”.

– Heather Dresser – odezwały się chórem siostry Carriage, zanim ktoś zdążył powiedzieć słowo.

– Trafiony, zatopiony! – Wysoka, ciemnowłosa kobieta wyrzuciła rękę w górę i wystąpiła przed szereg. – Musiałam ogłosić upadłość w dwóch małżeństwach, a teraz terroryzuję trzeciego męża. Ale ten dużo szybciej się uczy i ma szansę przeżyć.

Nawet mama się śmiała.

– Garderoba Heather, gdyby ułożyć ją w linii prostej, sięgałaby do jej rodzinnego miasta w Kanadzie – skomentowała Jean Blackman.

– I kto to mówi!

– Dalej, dalej – ponagliła Whitney coraz bardziej rozochociona. Powoli rozprostowałam papier. Sala czekała w napięciu.

– „Nawet jeśli robisz dokładnie coś przeciwnego, niż ci sugeruje teściowa, i tak z nią nie wygrasz”.

– To ja – ujawniła się Marjorie Lane, nie czekając na domysły. – Willow i ja już się znamy, więc pewnie by odgadła. Psychoanalityk ostrzegł mnie kiedyś, że moja eksteściowa może stawać pomiędzy mną a mężem, nawet w łóżku. Zapadła wymowna cisza.

– O to Willow nie musi się martwić – odezwała się wreszcie Bunny. – Mój syn nie jest w moim typie. Jest zbyt poważny i odpowiedzialny. Atmosfera od razu się rozluźniła. Whitney popędzała mnie wzrokiem. Sięgnęłam po kartkę z jeszcze większym ociąganiem.

– „Zawsze udawaj, że masz wielokrotny orgazm, nawet jeśli nie masz go w ogóle. Przewrażliwione męskie ego tego potrzebuje”.

– To pasuje do nas wszystkich – stwierdziła Heather Dresser. Roześmiały się, ale nikt nie wytypował autorki ani się nie zgłosił.

– I co? – niecierpliwiła się Whitney. Stała z rękami na biodrach i świdrowała kobiety wzrokiem. – Dlaczego któraś boi się przyznać, że mąż jej nie zaspokaja?

– Przejdźmy do następnej rady, Whitney – zarządziła Bunny.

– Nie. Ktoś tu złamał zasady. To nie fair. Pokaż to. – Wyjęła mi kartkę z ręki i przyjrzała się charakterowi pisma. – Dobra, zostawimy to na stoliku przy drzwiach. Każda z nas przed wyjściem spojrzy na pismo, napisze na kartce, kogo podejrzewa, zwinie i wrzuci do miski. Zanim się pożegnamy, policzymy głosy. To ostatnia szansa, żeby przestać się kryć – ostrzegła.

– Nie chcę, żeby ktoś się czuł zakłopotany, Whitney – powiedziałam twardo. – Miałyśmy się dobrze bawić, prawda?

– Ona ma rację, Whitney – poparła mnie Manon Florette. – A ja jestem głodna. Chyba już pora!

Szmer aprobaty przebiegł przez publiczność. Whitney spiorunowała mnie spojrzeniem, w którym irytacja mieszała się z rozczarowaniem, lecz nagle stała się uprzejma i ozdobiła twarz uśmiechem słodkim jak syrop.

– Dobrze, zatem niech w takim razie reszta przedstawi się Willow tradycyjnie – poleciła. – Proponuję, żeby zjeść brunch w ogrodzie, a następnie w salonie zajmiemy się prezentami. Ukoronowaniem będzie wiedeński deser na patio. Tylko nie chcę słyszeć jęków na temat diety! Dlaczego właściwie nie

chciałaś przeczytać reszty tych rad? – zapytała mnie ściszone głosem. – Może niektóre by ci się przydały?

Odstawiłam miskę i wstałam.

– Może zostaw je komuś, kto ich naprawdę potrzebuje – odparowałam.

Zerknęłam ukradkiem na mamę. Promieniała satysfakcją i dumą.

Whitney zaśmiała się pustym, nerwowym śmiechem i poszła doglądać służby, szykującej brunch. Kobiety, których nie zdążyłam poznać, podchodziły do mnie i do mamy, aby się przedstawić. Przy tym rozmawiały z mamą tak samo jak ze mną.

Jedna z nich przedstawiła się jako Arlette Mitchell i powiedziała, że jest matką Holdena.

– Co za zbieg okoliczności, że jesteś w tej samej grupie na studiach, co mój syn! Opowiadał mi o tobie.

– Tak?

Pochyliła się ku mnie, żeby inne nie słyszały.

– Wpadł niemal w depresję, kiedy się dowiedział, że już jesteś zaręczona i wkrótce będzie ślub. Chybaby umarł, gdyby się dowiedział, że ci o tym powiedziałam – dodała.

Miałam zapytać, po co w takim razie wypaplała, ale ugryzłam się w język.

– Holden jest bardzo nieśmiały. Poradziłam mu, żeby szukał, aż znajdzie kogoś podobnego do ciebie. Ja też, będąc w jego wieku, nie miałam szansy na związek z mężczyzną, którego uwielbiałam. A potem było tak, jak mówią: zakochujesz się stale w tym samym mężczyźnie; w mężczyźnie, który skradł twoje serce. Ale to pewnie nonsens – dodała szybko. – Taki romantyczny nonsens. Życzę ci szczęścia. – Oddaliła się, żeby porozmawiać z kimś jeszcze przed brunchem.

Posiłek był wspaniały i moim zdaniem mógłby konkurować z ucztą weselną. Serwowano homara, krewetki, dania z ryb oraz wybór mięs i drobiu. Potrawy znajdowały się na stołach, przy których stali kelnerzy, dzielili je na porcje i nakładali nam na talerze. Półmiski z warzywami wyglądały cudownie, iście malarsko; wiele polano sosami, o których nazwy musiałam pytać. Szampana i różnego rodzaju win dolewano do woli.

Mama i ja usiadłyśmy z Bunny i siostrami Carriage, które natychmiast zaczęły opłotkowywać na nasz użytek każdą z kobiet goszczących na mojej imprezie. Po kilkunastu minutach wiedziałyśmy, które małżeństwo jest zagrożone, kto ma problemy z dziećmi czy rodziną, czyj mąż ma kłopoty

finansowe, a czyj wzbogacił się od zeszłego roku.

Zanim zaprowadzono nasze stadko do salonu na uroczystość rozpakowania prezentów, podeszła do mnie Manon Florette.

– W czasie tej zabawy w dobre rady mogłaś się przekonać, jakie one potrafią być wredne. Potrzebujesz sojuszniczek w Palm Beach, Willow. Potrzebujesz przyjaciółek takich jak my. Zadzwoń niedługo i umówimy się na następne spotkanie – dorzuciła i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Ze sposobu, w jaki patrzyła na mnie mama, wywnioskowałam, że musiała to usłyszeć, ale nic nie powiedziała. Cieszyłam się, że jest rozrywana, bo kobiety ciągle do niej podchodziły, żeby porozmawiać. Czy tego chciała, czy nie, była dla nich obiektem fascynacji i na swój sposób osobą sławną. Zdumiała ją niewiarygodnie duża liczba zaproszeń, jakie otrzymała. Thatcher miał rację, stałyśmy się sensacją miesiąca.

Stos prezentów w salonie był imponujący i pomyślałam, że potrzeba będzie sporego busa, żeby je przewieźć. Kiedy jadłyśmy brunch, Whitney kazała komuś ze służby ułożyć je w zgrabny stos, w którym największe pudła były na dole, a całość tworzyła piramidę. Gromada uczestniczek panieńskiego wieczoru rozsiadła się wokół kręgiem. Czekały, aż zacznę otwierać je po kolei przy akompaniamencie ochów i achów.

Były tam srebrne i złote świeczniki, kasetki z biżuterią i drogie wazony. Dziewczyny z Club d'Amour podarowały mi różne rodzaje wymyślnej bielizny – w tym nawet skórzanej! – co wywołało lawinę śmiechów i komentarzy. Szybko jednak poczułam się zmęczona tym niekończącym się odpakowywaniem, okrzykami i uwagami. Byłam szczęśliwa, kiedy sięgnęłam po ostatnią paczkę. Whitney zapewniła, że wszystkie będą odesłane do domu.

– Rozumiem, że zostaną dostarczone do dużego domu, bo przecież lada chwila moi rodzice się stamtąd wyprowadzą, a wprowadzisz się ty z mamą i z bratem – powiedziała. – I chyba Thatcher tam już zostanie, bo po co miałyby się wyprowadzać, żeby za chwilę wrócić?

– Masz rację – potwierdziłam, dzielnie utrzymując uśmiech. – Rzeczywiście najlepiej będzie to dostarczyć od razu do dużego domu.

– Tak też myślałam. – Odwróciła się do gości i zawołała: – Dziewczyny, zapraszam na deser!

Jeśli nawet któraś z dam martwiła się o swoją wagę, nie dała tego po sobie poznać. Przeciwnie, moje nowe znajome zachowywały się tak, jakby puściły im hamulce. Sceneria była iście bajeczna, a pogoda wprost wymarzona. Na

błękitnym czystym niebie tylko parę puchatych obłoczków przesuwało się leniwie z południa. Poniżej patio, na dolnym tarasie terenu Whitney i Hans mieli pięknie wypielęgnowany angielski labirynt. Kwiaty i drzewa też wyglądały bajecznie. Pomyślano również o basenach, jeden dla dzieci, drugi dla dorosłych, oraz altankach i palenisku do grillowania. Muzyczne trio grało wiązanek klasycznych utworów. Nie było łatwo iść za radą Jackie Lee i wypowiadać każde zdanie bez pełnego zachwytu wykrzyknika. Whitney przechadzała się pośród nas majestatycznie jak królowa. Kiedy spojrzałam w stronę domu, zobaczyłam Laurel w szparze lekko rozsuniętej zasłony w oknie na piętrze; spoglądała ku nam smutno, wzrokiem uwięzionego dziecka.

Tata mówił mi kiedyś, że są różne rodzaje więzień: „Ludzie, o których myślimy, że są wolni, często są zniewoleni swoim stylem życia albo własnymi myślami i koszmarami. Miotają się jak w klatce, a moim zadaniem – i być może kiedyś twoim, Willow – jest pomoc w wyzwoleniu się z tej klatki”.

Pomyślałam, że tutaj na pewno powtórzyłby swoją tezę.

Przed samym zakończeniem spotkania Thatcher sprawił nam niespodziankę, kiedy pojawił się nagle i wygłosił krótką powitalną mowę, dziękując swojej matce i siostrze za tak entuzjastyczne przyjęcie mnie do rodziny. Bunny w zachwycie chłoneła jego słowa, jakby pomyślał, aby Thatcher mnie poślubił, był wyłącznie jej autorstwa. Wymieniłyśmy z mamą uśmiechy.

– Domyślam się, że nieźle się obłowiłaś – powiedział do mnie. – Widziałem, jak do busa ładowano górę prezentów.

Cmoknął Whitney w policzek, po czym przeprosił wszystkich, tłumacząc się, że musi wracać i zarabiać pieniądze, abym mogła żyć na poziomie, do którego on przywykł. Te ostatnie słowa wywołały salwę śmiechu. Zanim wyszedł, Manon Florette podstępnie zapytała, czy byłby zachwycony, gdybym to ja pojawiła się jako niespodzianka na jego wieczorze kawalerskim.

– Wtedy to już nie byłby mój wieczór – odparł ze śmiechem, po czym cmoknął mnie szybko w policzek i wyszedł.

Mój paniński wieczór był długi i wyczerpujący, a na to nałożyło się jeszcze napięcie, które odczuwałyśmy z mamą. Kiedy wreszcie zaczęłyśmy się żegnać, myślałam, że zaraz padnę.

– Marzę o łóżku. – Odetchnęłam z ulgą, gdy przejeżdżałyśmy przez bramę.

W domu Linden powiedział, że dzwoniła moja kuzynka, Margaret Selby, i prosiła o przekazanie mi, że ona i ciotka Agnes Delroy postanowiły przylecieć na mój ślub. Do tego Margaret pragnie być jedną z moich druzhen.

– Dzwonił też Thatcher – dodał – ale tym razem do mnie. Zaprosił mnie na swój wieczór kawalerski.

– To miło z jego strony. Jaka była twoja odpowiedź?

– Powiedziałem, że pomyślę o tym. Uważasz, że powinienem się zgodzić?

– Tak, ale zrobisz, jak zechcesz, Linden. Nie chcę, żebyś się do czegokolwiek zmuszał i potem czuł się nieszczęśliwy.

Skinął głową i zastanawiał się długą chwilę, aż nagle wykrzyknął:

– Pójdę tam!

– Tylko pamiętaj, że nie możesz pić alkoholu, kiedy bierzesz leki – ostrzegła go mama.

Mruknął coś pod nosem i wyszedł.

– Powiem o tym jeszcze Thatcherowi – powiedziałam. – Będzie go pilnował.

– Wiem, że chciałabyś, aby jak najwięcej wychodził do ludzi, ale ja się ciągle martwię – przyznała. I dodała z westchnieniem: – Pewnie chodzi o kłatwę mojej mamy, która każe mi się ciągle martwić. Zresztą zaczekaj, aż sama zostaniesz matką. Wtedy zrozumiesz.

– Już rozumiem – zapewniłam.

Tydzień później pod dom zajechała wielka ciężarówka firmy przewozowej i pracownicy wynosili rzeczy Bunny i Ashera Eatonów. Ja byłam na zajęciach, ale kiedy wróciłam, ciężarówka jeszcze tam była. Obok stał Linden i obserwował załadunek. Na jego twarzy malowało się zadowolenie i pomyślałam, że przypomina kogoś, czyj kraj przez lata był pod okupacją i teraz patrzy na wycofującego się wroga. Przez większą część swojego życia mieszkał na zapleczu i widziano w nim dziwaka, którego należy unikać. Jak często spoglądał na duży dom i rozmyślał o sytuacji swojej i matki? Lata goryczy musiały się skumulować w jego sercu.

Bunny zapewniła mamę i mnie, że już wydała polecenia służbie i zostawi nam dom w nienagannym stanie. Linden mówił, że powinniśmy go okadzić.

– Nie wypada jej inaczej załatwić sprawy. Zresztą dla nas to chyba lepiej, prawda? – powiedziała do niego mama.

Oszacowałam z Thatcherem koszty utrzymania dużego domu. Stwierdził, że dopóki nie doczekamy się własnego domu, weźmie je na siebie. Miały pozostać dwie pokojówki, Joan i Mary, oraz na jego prośbę – lokaj Jennings, który nie miał ochoty służyć dalej Bunny i Asherowi. To zdjęło mi z głowy duży kłopot.

Jennings z pokojówkami poszli do domu przy plaży i zaczęli przenosić rzeczy. Postanowiliśmy już, że apartamenty Thatchera staną się naszymi małżeńskimi apartamentami, mama zajmie pokoje po Bunny i Asherze, a Linden dostanie sypialnię obok pomieszczenia, które ma być jego pracownią.

Jeden tylko pokój miał pozostać nieużywany i w niezmienionym stanie, jak za czasów Bunny i Ashera. Była to sypialnia mojej mamy, kiedy mieszkała tutaj z Jackie Lee i Kirbym Scottem. Eatonowie traktowali to pomieszczenie jak miejsce zbrodni. Tu moja mama została uwiedziona i zgwałcona przez swojego ojczyma. Zauważyłam, że kiedy mijają te drzwi, przyspieszyła kroku i odwróciła wzrok, jakby ciężar wspomnień nadal był zbyt wielki. Linden mruknął, że powinniśmy zamurować wejście.

Thatcher, jak słusznie sądziła Whitney, został. Choć od ślubu dzieliło nas jeszcze sześć tygodni, nie było sensu, żeby się wyprowadzał i za chwilę znów wprowadzał. Nie obawialiśmy się, że Palm Beach będzie tym zniesmaczone.

– Teraz będę jeszcze bardziej zajęty, bo muszę popchnąć robotę, aby mieć potem wolne na ślub i miesiąc miodowy – powiedział. – Właściwie nie będzie mnie w domu. – W pierwszym tygodniu naszego wspólnego mieszkania pojechał na ryby z klientem. Zapowiadał to już wcześniej i teraz uznał, że nastał stosowny moment.

– Tym samym dam szansę tobie, mamie i Lindenowi, żebyście spokojnie przyzwyczaili się do nowego miejsca, nie musząc zważać na mnie – wyjaśnił. – Choć będzie mi Ciebie brakować.

Nie było go cztery dni. Popłynęli do Florida Keys, popływali po Zatoce Meksykańskiej i wrócili. Ja miałam gorący okres na uczelni, gdyż zbliżały się egzaminy semestralne i cały swój czas poświęcałam na naukę.

Jeśli łądziłyśmy się z mamą, że Bunny zwolni tempo ślubnych przygotowań po wyprowadzeniu się z Joya del Mar, byłyśmy naiwne. Już następnego dnia przyjechała, żeby omówić z nami sprawę podarków dla druzhen. Jej przyjaciółka, której córka niedawno brała ślub w Rzymie, opowiedziała jej o pomysle, który bardzo się Bunny spodobał – zdjęcie panny młodej i pana młodego z najbliższą rodziną, umieszczone na tarczy budzika.

– Za każdym razem, kiedy sprawdzają czas, przypominają sobie o waszym pięknym ślubie, a zamiast prymitywnego alarmu słyszą waszą weselną pieśń. Co o tym myślicie?

– Myślę, że na fotografii powinno być po prostu wesele – zasugerowałam. – Najlepiej, żeby oni byli w tej scenie.

Bunny miała rozczarowaną minę.

– Och, ale czy taka scena zbiorowa się zmieści? – spytała szybko w nadziei, że zmienię zdanie.

– Po prostu kupimy większe zegary i po problemie.

Zastanawiała się chwilę i na jej twarz powrócił uśmiech.

– Chyba zamówię też zegar dla siebie, z całą rodziną na zdjęciu – zdecydowała.

Pomyślałam, że nie ma dla niej przeszkód, jeśli można je pokonać większą sumą pieniędzy. Przez całe życie kupowała sobie szczęście.

Ale czy nie przyjdzie w jej życiu taki czas, kiedy zostanie sama, otoczona wyłącznie zbytkiem, i wreszcie zrozumie, że brakuje jej czegoś bardzo ważnego?

I pewnie będzie się zastanawiać, co to jest. Czy ma za mało biżuterii? A może potrzeba jej więcej wystrzałowych ciuchów? Powinna zmienić meble? Samochód?

Może zadrży w swoim cennym futrze, bo przeniknie ją budzący grozę lodowaty dreszcz, i spojrzy na ocean z tarasu swojej posiadłości albo z bajkowego patio i zobaczy tam stado ptaków odprawiających zbiorowy taniec na lazurowym niebie.

I nagle zrozumie.

Że chodzi o samotność.

Że ten mrok w jej sercu jest samotnością.

I że nic, co może kupić albo dostać, nie odpędzi tej samotności.

Rozdział jedenasty

MÓJ OBROŃCA

W tydzień po tym, gdy wprowadziliśmy się do dużego domu, Linden powrócił do sprawy mojego nowego portretu i wyjawiał, jak zamierza nad nim pracować.

– Wiem, ile pracy masz na uczelni i z przygotowaniem do ślubu – powiedział. – I dlatego postanowiłem zrezygnować z prośby, abyś pozowała mi całymi godzinami w studiu.

– Naprawdę?

– Tak, mam inny pomysł. Muszę mieć twój obraz w głowie, aby przetrwać go twórczo przed położeniem na płótno. Wiesz, jak zamierzam wdrukować go sobie w głowę bez twojego pozwolenia? – Był podekscytowany i przejawiał taki entuzjazm, że pozostało mi tylko z uśmiechem pokiwać głową.

– No, jak?

– Zamierzam fotografować cię bez przerwy, z ukrycia, w codziennych sytuacjach, nieupozowaną. Czytałem o takich artystach i metodzie ich pracy – mówił w pośpiechu, nie czekając na moją odpowiedź. – Podziwiam szczególnie jedną artystkę, Arliss Thornbee, która uważa, że trzeba kompletnie zespolić się ze swoim modelem – jeść, spać i oddychać, nie rozstając się z myślami o nim i z jego obrazami. I czekać, aż twoja artystyczna podświadomość wygeneruje z tego wizerunek doskonały, kompletną wizję, którą wystarczy już tylko przelać na płótno. Nie uważasz, że ta idea jest niezwykła, wprost fantastyczna?

– Owszem – przyznałam i jednocześnie poczułam nieznaczące tąpnięcie w sercu, jak niedostrzegalny alarm, jak cichutkie ćwierknięcie bezbronnego ptaszka, osamotnionego w gnieździe. – Ale czy to nie jest trochę niezdrowe?

Rozumiesz, takie totalne zafiksowanie się na jednej sprawie?

– Tylko w taki sposób twórcza podświadomość artysty może wytworzyć wizję – wyjaśnił.

– Te zdjęcia muszą być robione z ukrycia? – dopytywałam się.

Linden pokręcił głową z nieskrywanym rozczarowaniem.

– Byłem pewien, że ty, Willow, na pewno mnie zrozumiesz. Kiedy ludzie pozują, są na to nastawieni, ukrywają swoje prawdziwe ja, nawet nieświadomie. Jesteś córką psychiatry i kiedyś sama otworzysz praktykę, więc powinnaś wiedzieć, że jeśli się chce dotrzeć do czyjegoś wnętrza, trzeba zerwać wszystkie zasłony, maski i parawany. Najlepsi fotografowie to tacy, którzy fotografują ludzi nieświadomych obecności aparatu.

– Dobrze, ale skoro zdradziłeś mi metodę swojej pracy, na jakiej zasadzie uważasz, że będę nieświadoma tego, co robisz? – zapytałam łagodnie.

Uśmiechnął się.

– Teraz jesteś świadoma, ale to się zmieni. Nie będziesz myślała dniami i nocami o mnie i obiektywie mojego aparatu, więc znajdę okazję, żeby zrobić ci zdjęcie – powiedział z niezwykłą pewnością siebie.

– Ile czasu zajmą te przygotowania?

– Tydzień, mniej więcej. Nie mogę udzielić ci dokładnej odpowiedzi. W każdym razie dzień wcześniej dowiesz się, że portret jest gotowy, okay? Więc jak, chcesz, żebym go namalował? – zapytał, kiedy wahałam się z odpowiedzią.

– Tak, oczywiście, chcę – powiedziałam.

– Dobrze, bardzo dobrze – wymamrotał i oddalił się, zaciskając wargi w skupionym uśmiechu jak ktoś, kto wymusił na swoim przeciwniku zgodę na coś, co nie będzie korzystne dla przeciwnika. Niepokoiło mnie to, choć miał rację, mówiąc, że w tej chwili jestem zbyt zajęta, żeby mu pozować.

Linden z nową energią zabrał się do urządzania pracowni. Postanowił zmienić kolor ścian i oświetlenie. Zamówił materiały i wziął się do roboty. Mama znów nabrała nadziei, bo wydawało się, że czarne myśli, które zaćmiewały jego umysł od czasu wypadku i operacji, całkowicie ustąpiły. Poruszał się z dużo większym ożywieniem i często się uśmiechał. Chętnie pomagał mamie i przejął część obowiązków w posiadłości. Kiedy nie przebywał w pracowni, nadzorował pracę ogrodników i nawet sam włączył się do niej, sadił nowe kwiaty i przycinał żywopłoty. Pomyślałam, że pragnie przywrócić wygląd otoczenia, jaki zapamiętał sprzed czasów Eatonów, zanim

jego świat stanął na głowie.

Lekarka Lindena, zadowolona z postępów pacjenta, zmniejszyła mu dawkę leków. Wyznała mamie, że jest miło zaskoczona, gdyż spodziewała się raczej chwilowego pogorszenia, które często poprzedza progres. W rezultacie cofnęła Lindenowi zakaz prowadzenia samochodu. Na pierwszą przejażdżkę zabrał mamę i mnie. Pojechaliśmy do miasta, żeby kupić mu smoking. Dał się nawet zaprowadzić do fryzjera i wreszcie miał profesjonalną fryzurę, bo dotąd mama strzygła go, jak potrafiła. Uznałam, że wyprzystojniał, i powiedziałam mu o tym.

– Tak? Nawet z tą paskudną blizną? – zapytał z powątpiewaniem.

– Zbladła i prawie jej nie widać, Linden, więc nie psuje ci urody – zapewniłam. – Nawet przeciwnie, dodaje jej charakteru. Powinieneś sobie wymyślić jakąś bojową historię na użytek młodych, pięknych i niewinnych kobiet, które będziesz podrywał.

– Nie wiem, czy mi się uda – odpowiedział i umknął spojrzeniem w bok.

– Och, żartowałam tylko. Możesz po prostu powiedzieć, że miałeś wypadek na żaglach.

– Nie chodzi mi o tę bajkę, tylko o podrywanie – wyznał. – Zupełnie wypadłem z gry i nawet nie wiedziałbym, jak zacząć.

– Nie bój się, Thatcher cię podszkoli – odparłam ze śmiechem.

Jego uśmiech zbladł.

– Nie potrzebuję szkolenia Thatchera. Lepiej zostanę w domu – odburknął.

– Może któregoś wieczoru wybierzemy się na podwójną randkę – zasugerowałam. – Jest parę fajnych dziewczyn w mojej grupie na studiach.

Nie patrzył na mnie.

– Wrócimy do tego tematu. – Mówiąc to, zanotowałam w myśli, że niedługo muszę zaprosić paru przyjaciół do domu. Miałam nadzieję, że w ten sposób Linden zacznie się socjalizować i budować swoją pewność siebie.

Okazja zdarzyła się już po paru dniach, w czasie lunchu z naszą grupą. Loni i Petula Butteworth, Holden Mitchell i ja rozmawialiśmy o wspólnym uczeniu się do egzaminów. zaproponowałam, żeby nazajutrz po południu, po zajęciach, przyjechali do Joya del Mar. W rzeczywistości myślałam tylko o bliźniaczkach, ale był z nami Holden i nie miałam serca go wykluczyć. Zresztą wydawało się, że wpadł w oko Loni, która coraz wyraźniej dawała do zrozumienia, że go lubi.

– On jest strasznie nieśmiały – szepnęła do mnie – ale to mi się właśnie

w mężczyznach podoba. Większości facetów, z którymi się zetknęłam, wydawało się, że powinnam im dziękować za to, że raczyli iść ze mną do łóżka.

Powiadomiłam Lindena, że nazajutrz będę miała gości, i poprosiłam, aby zechciał wypić z nami kawę na tarasie, kiedy skończymy wkuwanie. Nie był tym zachwycony.

– Co ja mogę mieć z nimi wspólnego? – Wzruszył ramionami.

– O tym nie wiesz, Linden. Zresztą jeśli chcesz malować mój portret w taki nietypowy sposób, potrzebujesz jak najwięcej paliwa dla twojej twórczej podświadomości, powinieneś więc uczestniczyć we wszystkim, co robię, nawet jako bierny obserwator.

Łypnął na mnie podejrzliwie.

– Używasz swoich psychologicznych chwytów?

– Niczego nie używam, tylko chcę, żebyś wrócił do ludzi i świata – wypaliłam szczerze, wywołując uśmiech na jego twarzy.

– Dobrze – odparł. – Spotkam się z twoimi przyjaciółmi, ale nie obiecuję, że będę siedział i słuchał, jak rozmawiają o studiach albo plotkują.

– Zgoda. W takim razie bądź na tarasie o czwartej.

Bliźniaczki i Holden przyjechali osobno. On spóźnił się o kwadrans i Pet już myślała, że się nie pokaże. Loni rozpromieniła się, kiedy wreszcie nadjechał.

– Spóźniłeś się, Holden. Musiałyśmy zacząć bez ciebie – warknęła Pet.

– Przepraszam, ale musiałem zrobić coś dla mamy. – Szybko zerknął na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy ja też się gniewam.

– Nie ma sprawy, dopiero zaczęłyśmy – uspokoiliam go.

– W takim razie do roboty – powiedziała Loni. – Siadaj tu koło mnie, Holden, skorzystasz z moich notatek.

– Mam swoje – mruknął, ale posłusznie usiadł obok niej. Zaczęliśmy wspólnie powtarzać materiał.

Sesja wyszła świetnie. Za każdym razem, kiedy Loni próbowała zagadać o czymś, co nie dotyczyło nauki, albo uwodzić Holdena, Pet spadała na siostrę jak jastrząb i przywracała ją do porządku. Sam Holden był jak sparalizowany. Jego nieśmiałość graniczyła z manią. Kiedy tylko Loni rzuciła coś choć trochę frywolnego czy aluzyjnego, czerwienił się jak piwonia i dygotał, nie mógł opanować drżenia ust. Kiedy raz go dotknęła, omal nie wyskoczył z fotela. Szepnęła do mnie z westchnieniem: „On jest beznadziejny” i skupiła całą uwagę na nauce.

Punktualnie o czwartej pojawił się Jennings i zapytał, jakiej kawy sobie życzymy. Bliźniaczki zamówiły cappuccino, Holden poprosił o herbatę, a ja zażyczyłam sobie latte. Niecierpliwiłam się, wyczekując Lindena. W momencie, kiedy Jennings zebrał zamówienia, w drzwiach tarasu pojawił się Linden.

– O, jesteś! – zawołałam. – Zaczekaj, Jennings. Czego się napijesz, Linden? Loni i Pet zamówiły cappuccino. Ty też chyba to lubisz?

– Tak, poproszę.

– Poznaj moich przyjaciół. – Odsunęłam się, żeby mógł usiąść pomiędzy mną a Loni, której oczy rozbliły się nowym zainteresowaniem. Holden skwapliwie odsunął się w prawo. Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Linden, poznaj Holdena Mitchella. A to Loni i Pet Butterworth.

Skinął im głową i usiadł.

– Słyszeliśmy, że jesteś artystą – odezwała się Loni. – Nad czym teraz pracujesz?

Spojrzał na mnie z wyrzutem, jakbym się wygadała o jego prezencie ślubnym, ale natychmiast zorientował się, że nie ma racji.

– Maluję specjalny portret.

– Aha – bąknęła.

– Zwykle nie maluję portretów – dodał. – Moim zdaniem portreciści to malarscy fotografowie. Prawdziwa sztuka potrzebuje czegoś więcej niż tylko twarzy na płótnie.

– Dlaczego w takim razie go malujesz? – Na wargach Pet pojawił się uśmiezek.

– Bo to jest specjalny obraz.

– W jakim sensie specjalny? – dopytywała się.

– Tego nie da się łatwo wytłumaczyć. Zrozumiesz, kiedy go namaluję – odpowiedział ostrym tonem.

– Dobra odpowiedź! – wykrzyknęła Loni. – Tak, Pet, czytałam gdzieś, że artyści i pisarze, którzy próbują wyjaśniać swój proces twórczy, tracą kreatywną energię i twórczą pasję.

– Uważasz, że to może być prawda? – Petula zwróciła się do mnie.

– Myślę, że tak. Jak mówił tydzień temu profesor Fuentes, impuls twórczy ma formę presji, nawet pewnego rodzaju obsesji, i dla artysty jedynym wyzwoleniem staje się kreacja, upuszczenie ciśnienia poprzez twórczość. Pamiętasz? – Zaczęłam kartkować notatki.

– Strona czterysta druga podręcznika – poinformował Holden oschle. – Przypis do rozdziału o sztuce i terapii.

– Zgadza się. Bardzo dobrze, Holden – pochwaliłam, a on się rozpromienił. Petula zwróciła się do Lindena.

– Gdzie studiujesz malarstwo? – spytała rzeczowo.

– Tu – odpowiedział.

– TU? Co to za skrót? Gdzie to jest?

– Po prostu tutaj – wyjaśnił, szerokim gestem pokazując na plażę i ocean.

Na moment zapadło kłopotliwe milczenie.

– Mówisz o oceanie? To jest twój uniwersytet? – odezwała się Petula.

– I moje uniwersum – przytaknął, zerkając na mnie. – Natura ma nam o wiele więcej do powiedzenia niż którykolwiek akademicki profesor – dodał surowym tonem.

– Dobrze! – zawołała Loni. – To mi się podoba!

– Świetnie, więc wypisz się z uczelni i zamieszkaż na plaży – poradziła ze śmiechem Petula.

Pokojówka przyniosła kawę, herbatę i biszkopty czekoladowe. Rozmowa przeniosła się na mój zbliżający się ślub. Już wcześniej poprosiłam Loni i Pet, żeby zostały moimi druhami. Nie dlatego, że zdążyłam się z nimi aż tak zaprzyjaźnić; po prostu nie chciałam, żeby Bunny Eaton zdominowała moją uroczystość swoimi ludźmi i gośćmi. Bliźniaczki przyjęły propozycję z entuzjazmem i od razu włączyły się w sprawę. Były już w salonie, żeby przymierzyć swoje suknie, i widziały moją. Holden i Linden mieli jednakowo znudzone miny. Na szczęście Loni też szybko znudziła się tematem i poprosiła Lindena, żeby pokazał jej pracownię.

Dziwne, ale prośba wpędziła go w lekką panikę.

– Hm... jeszcze nie jest gotowa.

– Oj tam, gotowe-śmotowe, po prostu chcę zobaczyć, jak pracuje prawdziwy artysta. A w pracowniach artystów zawsze jest bałagan!

– Ja maluję w plenerze. – Wskazał na ocean i plażę.

– Ale... myślałam, że masz pracownię. Przecież mówiłeś...

– Po prostu... przeważnie maluję na plaży – powiedział już spokojniej i wstał. – Muszę wracać do pracy. Miło było was poznać. Powodzenia na egzaminach. – Zanim zdążyli odpowiedzieć, ulotnił się błyskawicznie.

– Czy on dobrze się czuje? – Pierwsza ochłoneła Pet.

– Tak – zapewniłam – ale wiesz, jacy nieprzewidywalni i humorzaści są

artyści. Profesor Fuentes twierdzi, iż tyle czasu spędzają w komfortowym środowisku swoich wyimaginowanych światów, że niewielką mają tolerancję dla zamętu i problemów realnego świata.

– Cytujesz go, jakby był światowym guru filozofii – zauważyła Pet kpiąco. – Ja nie pamiętam połowy tego, o czym on nudzi na swoich wykładach.

– Bo go słucha uważniej niż ty – stwierdziła Loni.

– Czego słucha? Słów profesora czy samego profesora? – zapytała Petula z rozbawioną miną.

Poczułam, że się czerwienię.

– Och, zamknij się, Pet. Willow niedługo zostanie mężatką, więc nie interesują jej inni mężczyźni.

– Jasne – mruknęła Pet.

Holden uniósł brwi i popatrzył na nią, a potem na mnie.

– Wróćmy do poważniejszych tematów, dobrze? – zasugerowałam.

– A to nie jest poważny temat? – odparowała Pet. Loni parsknęła śmiechem i wydało mi się, że zobaczyłam uśmiech w oczach Holdena, ale tylko na moment, bo zgasił go szybki, dziwny błysk, który przemknął nagle i zniknął, jakby go w ogóle nie było.

Posiedzieliśmy jeszcze godzinę i podziękowali mi za zaproszenie.

– Fajnie jest wkuwać w takim kapitalnym otoczeniu – zauważyła Loni. – Nic dziwnego, że Linden nazywa to swoim uniwersytetem. Nie mogę się doczekać twojego ślubu, wiesz? To będzie wydarzenie sezonu!

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę miała to za sobą – wyznałam.

– Och, ja nie! Chciałabym taką chwilę zatrzymać na zawsze, na krawędzi spełnienia. – Pochyliła się ku mnie, żeby Holden nie słyszał. – Jak orgasm – dodała szeptem.

Usłyszał. I znów spiekł raka.

– Spadaj stąd, wariatko – powiedziałam do niej ze śmiechem.

Bliźniaczki pożegnały się i wyszły. Holden jeszcze zwlekał, spoglądając na ocean.

– Twój brat miał rację co do tego miejsca – stwierdził. – Zaczynam rozumieć, dlaczego go stymuluje. Chciałem powiedzieć, artystycznie inspiruje.

– Tak.

– Dokąd sięga wasz teren?

– Do tych wzgórz. – Ruchem głowy pokazałam na lewo. – I na prawo jest

jeszcze kawał dzikiej plaży. Prywatność zapewniona.

– Pięknie tu. Bardzo załuję, że nie mieszkam przy plaży. Każdy, kto słyszy, że mieszkasz w Palm Beach, myśli, że codziennie jesteś nad wodą. A ja nawet nie jestem opalony – dodał marudnym tonem. Byłam zdumiona, bo pierwszy raz powiedział do mnie tyle słów jednym tchem.

– Holden, podobno opalanie się jest szkodliwe – pocieszyłam go.

– No tak, znów ten lis i winogrona. Kolejna aluzja rodem z profesora Fuentesesa, co? Mentalność kogoś, kto nie umie przegrywać?

– To twoja interpretacja, Holden.

– Ciekawa jest ta jego metoda wykorzystywania bajek, dziecięcych rymowanek i poezji do ilustrowania wykładów, nie?

– Owszem. Dobry z niego wykładowca.

– Może i ja tak skończę... nauczając.

– Nie ma w tym nic złego, Holden.

– Czy możemy się przejść po plaży? – zapytał i szybko dodał: – Tylko kawałek. – Przełknął z wysiłkiem, aż zagrało mu jabłko Adama. Wyglądał jak mały chłopiec, który z nadzieją chłonie każde moje słowo.

Zerknęłam na zegarek. Do powrotu Thatchera zostało przynajmniej półtorej godziny.

– Dobrze, możemy, ale krótko. Mam jeszcze różne rzeczy do zrobienia przed kolacją.

Kiwnął głową i zbiegł po schodach, jakby się bał, że zmienię zdanie. Chciało mi się śmiać, ale starałam się zachować powagę i szłam za nim z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrząc w ziemię. Holden milczał uporczywie i miałam wrażenie, że spaceruję sama.

– Loni jest chyba niedojrzała jak na swój wiek – wyrzucił z siebie nagle. – Nie uważasz?

– Loni? Nie, dlaczego? To zabawna, bystra, towarzyska dziewczyna. Jej towarzystwo dobrze by ci zrobiło. Myślę, że ona cię lubi, Holden.

Ściągnął podbródek i cofnął kąciki warg w geście totalnego zdystansowania się.

– Bystra? – prychnął. – To gatunek, który ma lizak zamiast mózgu.

– Lizak? – Rozśmieszył mnie.

– Tak mówi moja mama. Kiedy jesteśmy w galerii na zakupach, pokazuje mi różne dziewczyny i opisuje, z czego są zrobione ich mózgi. Czasami z lizaków, czasami z galaretek, a czasami z marshmallowów. Opowiada tak obrazowo, że

widzę to w wyobraźni. Nazywa je „konfekcją” i mówi, że mężczyzna, który poślubi taką kobietę, będzie gadał do siebie na ulicy, zanim skończy się miesiąc miodowy.

Wzruszyłam ramionami i w milczeniu szłam obok niego.

– Moja mama bardzo cię lubi – odezwał się. – Poznałyście się na twoim wieczorze panieńskim.

– Tak, pamiętam.

– Powiedziała potem, że ty na pewno nie jesteś taką „konfekcją”.

– Miło mi – odparłam. Przygryzałam dolną wargę niemal do krwi, żeby nie dostać ataku hysterii.

– Ja też tak uważam – zaznaczył. – Moim zdaniem jesteś najbardziej inspirującą dziewczyną w całym kampusie. Uwielbiam słuchać twoich wypowiedzi na zajęciach. Wypowiadasz się inteligentnie i zadajesz inteligentne pytania, w przeciwieństwie do Loni i pozostałej „konfekcji”.

– Chyba za surowo je oceniasz, Holden.

– Nie, wcale nie.

Byłam zaskoczona, kiedy chwycił mnie za łokieć i ścisnął. Odwróciłam się do niego.

– Wiem, że jesteś zaręczona i tak dalej, ale ty i ja o wiele bardziej pasujemy do siebie. Jestem tego pewien. Interesują nas te same rzeczy. Za szybko się zaręczyłaś. Moja mama mówi, że nawet twoja przyszła teściowa tak uważa.

– Nie podoba mi się to, co mówisz, Holden. Mój ślub jest moją sprawą, a twoja mama nie ma prawa mówić takich rzeczy.

– Owszem, ma, bo ma rację. Powinnaś poczekać... na kogoś innego... całować kogoś innego...

Zanim zdążyłam zareagować, chwycił mnie za ramiona i ścisnął tak mocno, że krzyknęłam z bólu. Holden zdusił mój krzyk ustami. Wyrывałam mu się, ale był niesamowicie silny; o wiele silniejszy, niż na to wyglądał. Tak napędzało go pożądanie.

– Pomyśl o mnie! – wykrzyczał mi w twarz. – Jeśli pomyślisz o mnie...

Rozpaczliwie usiłowałam wydobyć się z jego uścisku.

– Holden, przestań! – wrzasnęłam.

Pochylił się, żeby znów mnie pocałować. Tym razem rozwarł usta tak szeroko, że zupełnie zakryły moje, i wdarł się w nie językiem. Myślałam, że się uduszę, kiedy nagle poczułam, że coś odrywa ode mnie napastnika. Rozejrzałam się i zobaczyłam Lindena z aparatem na szyi.

Zanim Holden zdołał odzyskać równowagę, Linden strzelił go pięścią w twarz. Holden zachwiał się i z pluskiem usiadł w wodzie. Rozglądał się oszołomiony z kompletnie ogłupiałą miną.

Linden zdawał się rosnąć, stojąc pomiędzy Holdenem i mną.

– Jak śmiałeś? – warknął wściekle. – Spieprzaj stąd, bo jeszcze chwila, a trafisz do ziemi!

Holden podniósł się chwiejnie i zaczął uciekać. Mokre ubranie lepiło mu się do ciała, a piasek bryzgał spod stóp. Linden odwrócił się do mnie.

– Nic ci się nie stało?

– Nic. Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło. Był taki cichy i nieśmiały!

– Nie powinnaś sama z nim wychodzić – powiedział z pretensją.

– Nie miałam pojęcia, że tak się potrafi zachować. Myślałam, że...

– Uważaj na mężczyzn, których poznajesz.

Zerknął w stronę, gdzie zniknął Holden, a potem znów przeniósł spojrzenie na mnie.

– Dzięki za pomoc, Linden. Miałam szczęście, że byłeś w pobliżu.

– Mówiłem ci, że zawsze będę w pobliżu. – Spojrzenie miał ciągle gniewne. Uniósł aparat.

– Zrobiłem zdjęcie, jak cię napastuje, na wypadek gdybyś chciała go oskarżyć.

– Nie, nie zamierzam, dzięki. Lepiej już wrócę do domu. Co za okropne zakończenie miłego popołudnia – mruknęłam. – Naprawdę miałam szczęście.

Podszedł bliżej do mnie.

– To nie jest kwestia szczęścia – powiedział z głębokim przekonaniem. – Zawsze będę przy tobie, Willow. Zwłaszcza kiedy nie będzie przy tobie Thatcher – dodał i wyprostował się z dumą. – Możesz na mnie liczyć. – Ruszył w stronę domu, ale zatrzymał się, widząc, że stoję. – Idziesz?

– Co? A tak, tak – rzuciłam z roztargnieniem i pospieszyłam za nim.

W domu, kiedy ochłonełam, zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć Thatcherowi o incydencie. Obawiałam się, że wpadnie w gniew i podejmie jakieś kroki, na przykład poda Holdena do sądu. Uznałam jednak, że ukrywanie różnych rzeczy przed sobą nawzajem nie służy związkowi. Jego reakcja zaskoczyła mnie.

Z uśmiechem pokręcił głową.

– Co cię tak śmieszy?

– Opisałaś sytuację w taki sposób, że przypomniał mi się Boo Radley

z *Zabić drozda*. Pamiętasz, ten zaburzony, tajemniczy gość, który dyskretnie chroni dziewczynkę, ocala jej życie, zabijając napastnika, który na nią polował.

– Och, Thatcher, tylko nie mów czegoś takiego Lindenowi.

– Nie powiem. Ale ciągle mam w głowie tego Radleya. – Znów się zaśmiał.

– Po twojej minie widzę, że ty też.

Potrząsnęłam głową.

Dopóki mi nie powiedział, nie myślałam o tym w ten sposób. A może jednak?

Upchnęłam te wątpliwości głęboko w szufladzie, w której składowałam drobne zmartwienia, obiecując sobie zarazem, że po pewnym czasie je wyjmę, żeby przewietrzyć, i bacznie im się przyjrzę.

Zanim nie wyrosną tam w ukryciu w coś, czego mogłabym żałować.

Zabawne, ale uczenie się do egzaminów i zdawanie ich było dla mnie najlepszym relaksem. Większej presji podlegałam w domu, bo ślub zbliżał się wielkimi krokami. Uczelnia stała się moją ucieczką. Bunny bardzo często bywała w *Joya del Mar*, zwykle z jedną czy dwiema koleżankami, i miałam wrażenie, że wcale się nie wyprowadziła. Układała całą logistykę, rozpisując na etapy każdy ruch, każde wydarzenie, dbając o każdy szczegół, jakby szykowała się do bitwy. A kiedy już się wydawało, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, sprowadziła do domu specjalistkę od *feng shui*, aby oceniła całość pod kątem swojej sztuki.

Feng shui, stara chińska nauka, zajmująca się harmonizowaniem codziennego życia z naturą, była ostatnim krzykiem mody w Palm Beach. Bunny zawsze starała się nadążyć za trendami, dopóki oczywiście wszyscy za nimi podążali. Według tej egzotycznej wiedzy czas, przestrzeń i działanie muszą być ze sobą skoordynowane, aby zwiększyć harmonię i przepływ uzdrawiającej energii.

Kiedy przedstawiła mnie i mamie mistrzynię Tee, nie miałyśmy jeszcze pojęcia, co z tego wyniknie.

– Dzień ślubu jest jak wodowanie statku, jak narodziny nowego życia – wyjaśniła pani guru. – Powinno się go zacząć z największą możliwą dawką pozytywnej energii.

Następnie mistrzyni w asyście Bunny rozpoczęła przegląd wszystkich miejsc. Na podstawie znaków zodiaku mojego i Thatchera uznała, że kwiatowy ołtarz

musi być ustawiony dokładnie odwrotnie, a w czasie weselnej uczyty my, młoda para, powinniśmy siedzieć plecami do zachodzącego słońca. Co znaczyło, że Bunny musi zaaranżować ołtarz i podium na nowo. To momentalnie podkreśliło jej obroty. Wezwała całą obsługę przyjęcia i kazała im wszystko przestawić. Dekorator dowiedział się przy tym, że krzesła, które proponuje, mają niewłaściwy kształt.

Na koniec mistrzyni zapragnęła rzucić okiem na nasz małżeński apartament. I kazała mi się pozbyć wszystkich lusterek z sypialni.

– Lustro zaburza sen – wyjaśniła. – Poza tym musicie zmienić kolor sufitu. Tak jak niebo różni się od ziemi, tak sufit musi się różnić od ścian.

Wyszła, a mama i ja zrobiłyśmy sobie na mistrzyni używanie, bezlitośnie ją parodiując.

Kiedy wszedł Linden, miałyśmy akurat atak histerycznego śmiechu, a gdy zapytał, co nas tak śmieszy, dosłownie się popłakałam.

– Biedny Thatcher – wykrztusiła mama. – Willow, musisz do niego zadzwonić, że się nie wyśpi.

Linden nadal nic nie rozumiał, ale też się roześmiał.

– Chociaż nie wiem, o co tu chodzi, cieszę się, że podchodzicie do sprawy na luzie.

Po tej historii przestałam się dziwić sama sobie, że zakuwanie do egzaminów jest wymarzoną ucieczką od rzeczywistości.

Na szczęście w czasie tego weekendu otrzymałam cudowne wieści. Właśnie wychodziłam z Thatcherem na kolację z jego dwoma współpracownikami i ich żonami, kiedy Jennings poinformował mnie, że „dzwoniła pani, która przedstawiła się jako Amou”. Aż pisnęłam z radości i pobiegłam do telefonu.

– Amou, to naprawdę ty?

– *Sim, Willow. Como são?*

– Jak się mam? Lepiej powiedz, jak ty się masz, Amou? Martwiłam się, kiedy nie odpowiedziałaś na mój ostatni list.

– Podróżowałam z siostrą. Poleciałyśmy do Brazylii. Postanowiłam, że wybiorę się na Florydę i będę na twoim ślubie.

– Och, Amou, to cudownie! Zaraz przygotuję pokój gościnny.

– Nie przejmuj się mną tak.

– Ale ja chcę! Bardzo za tobą tęsknię.

– Ja też, Willow. Ogromnie mnie ucieszyła wiadomość o twoim ślubie. Zasłużyłaś sobie na szczęście po tych wszystkich trudnych i smutnych

przeżyciach. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoją rodzoną mamę. To mi pomoże zapomnieć o tej drugiej.

– Ja już zapomniałam, Amou.

– I bardzo dobrze. Lepiej opowiedz mi o Thatcherze – poprosiła. Opisałam jej swojego przyszłego męża z taką emfazą, że zaczęła się śmiać. – Czy to jakiś grecki bóg? – zapytała rozbawiona.

– Sama zobaczysz, Amou.

– Kiedy jesteś zakochana, masz oczy pełne róż – przypomniała mi. – Ale jesteś też nieodrodną córką swojego ojca i wierzę, że mocno stąpasz po ziemi.

– Podaj mi szczegóły swojego lotu, przyjadę po ciebie na lotnisko, Amou.

– Jasne. Nie mogę się doczekać.

– Ja też. Trzymaj się.

– Ty też, Amou Um – powiedziała i się rozłączyła. Odłożyłam słuchawkę, czując na policzkach gorące łzy szczęścia. Tymczasem Thatcher pomyślał, że otrzymałam jakieś okropne wieści.

– Ależ przeciwnie, Thatcher – wykrzyknęłam. – Amou przylatuje!

– Ty mnie potrafisz wystraszyć, kobieto. – Westchnął.

– Nie możemy pozwolić, żeby strachy weszły w nasze życie, prawda?

– Absolutnie nie – zapewnił.

Scałował łzy radości z mojej twarzy.

Czy ja naprawdę stoję mocno na ziemi? Czy raczej mam oczy pełne róż?

Wkrótce się dowiesz, Willow, powiedziałam sobie w myśli. Wkrótce.

Dwa dni później miał się odbyć wieczór kawalerski Thatchera, zorganizowany przez jego przyjaciół. Wcześniej przypomniał o tym Lindenowi, który ciągle się wahał. Wreszcie udało mu się go przekonać, przy mojej wydatnej pomocy.

– Tylko nie pozwól mu pić – przypomniałam. – On bierze silne leki.

– Jasne, będę o niego dbał, przecież to mój bohater. Uratował moją kobietę z opresji, czyż nie?

Kiedy wychodzili, Linden odwrócił się w progu i popatrzył na mnie tak pociemniałymi, przerażonymi oczami, że w pierwszym odruchu chciałam go zatrzymać. Moje serce na moment straciło rytm i lodowata fala strachu podeszła mi do gardła. Unikałam mamy, żeby nie zobaczyła mojego niepokoju i sama się nie zdenerwowała.

Pod pretekstem zmęczenia poszłam wcześniej do łóżka, ale nie zamykałam oczu. Chciałam czuwać, kiedy wrócą Thatcher i Linden, obojętnie o jakiej

porze. Najwidoczniej jednak nie byłam na tyle zdeterminowana, bo powieki zaciążyły mi ołowiem i odpłynęłam, aż obudził mnie krzyk.

Wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz bosa, w nocnej koszuli. Zatrzymałam się u szczytu schodów i spojrzałam w dół. Mama, która zapewne czekała w holu na Lindena, stała przy wejściu, kiedy Thatcher wtoczył się do środka. Wciągnął ze sobą Lindena, który zwisał bezwładnie na jego ramieniu. Głowa chwiała mu się jak u tych piesków z łebkiem na sprężynce, ozdobie samochodów.

Mama przycisnęła pięść do ust, tłumiąc krzyk. Powoli zesłam na dół. Thatcher też był pijany. Uśmiechał się głupkowato z pijacką pewnością siebie.

– Nic mu nie jest – wybełkotał. – Obaj jesteśmy w porządku, no nie, stary?

W tym momencie zobaczyłam cienką stróżkę krwi, która spływała z nosa Lindena na jego górną wargę. Na moment z trudnością otworzył oczy, ale zaraz je zamknął.

– Coś ty narobił, Thatcher? On miał nie pić!

– To był wieczór kawalerski, nie? Upili mnie i nie pilnowałem chłopaka. Nie wiedziałem, że popłynął, aż zobaczyłem, jak spada z krzesła. Nic mu nie jest. Po prostu chłopak zasnął, tak bywa. Ale teraz to gość, wreszcie jest z niego facet. Wszyscy okrzyknęli go Supermanem po tym, gdy cię ocalił.

– Co takiego? – zapytała czujnie mama, otrząsając się z szoku.

– Nic, mammo, Thatcher bredzi.

– Dawajmy go do pokoju! – zawołał Thatcher i zatoczył się w stronę schodów, pociągając za sobą Lindena. Byłby zwalił się z nim na ziemię, gdybym nie podbiegła i nie podparła brata z drugiej strony. Aż się ugięłam, bo zawisł na mnie prawie całym ciężarem.

– Dzielna dziewczyna – pochwalił Thatcher. – Nie martw się, Grace. Będzie dobrze. Jestem z niego dumny. Wszyscy byli nim zachwyceni, a zwłaszcza tancerka brzucha. – Stłumił chichot, zatykając usta wolną ręką.

Mama szła za nami, kiedy mozolnie wspinaliśmy się po schodach.

– Ja się nim zajmę – oznajmił Thatcher, kiedy weszliśmy na piętro. – To nie jest robota dla kobiet.

– Daj spokój, Thatcher. Wystarczająco się nim zająłeś. Idź do łóżka – zarządziłam.

– Że co?

– Słyszałeś, idź do łóżka! – warknęłam, odciągając go od Lindena. Mama zajęła jego miejsce i razem poprowadziłyśmy Lindena w stronę sypialni.

– Puśćcie tego Supermana i dajcie mu polec z honorem – wybełkotał Thatcher.

– Idź spać! – wrzasnęłam wściekle.

Wymamrotał coś w odpowiedzi, wreszcie zawrócił chwiejnie i powlókł się do siebie.

Z pomocą mamy doprowadziłam Lindena do jego sypialni i jakimś cudem udało nam się położyć go do łóżka. Mama przyniosła z łazienki zmoczony ręcznik i zmyła mu zaschniętą krew, a ja zdjęłam buty i skarpetki.

– Popilnuję go, Willow. – Mama stanęła przy łóżku. – Całe życie to robiłam.

– Przepraszam, mamó. Jestem pewna, że kiedy Thatcher wytrzeźwieje, też przeprosi.

– Nic się nie stało, Willow. Dzisiaj już nic mu nie pomożemy. I tak nas nie słyszy. Mężczyźni są jak dzieci. Może nawet było mu potrzebne to doświadczenie. Byle tylko mu nie zaszkodziło.

– Dobrze – powiedziałam. Zanim wyszłam, przyglądałam się jeszcze chwilę, jak z troską obmywa mu twarz i rozpina koszulę.

Gdy weszłam do sypialni, zastałam Thatchera, który padł, próbując wpełznąć na łóżko, i leżał na podłodze, zaciskając w dłoniach kapę. Spał jak zabity.

Mama ułożyła do snu swojego synka, a teraz ja mam swojego, pomyślałam. Z trudem udało mi się go rozebrać i wciągnąć do łóżka. Co chwila budził się i chichotał albo chciał mnie pocałować. Kiedy jego głowa dotknęła poduszki, zasnął na dobre i zaczął głośno chrapać. Cuchnął alkoholem. Nie mogłabym przy nim zasnąć, więc położyłam się w jednym z pokoiów gościnnych.

Obudziłam się, kiedy ciemność zdejmowała swój gwiazdzisty koc z nieba, cofała się przed słońcem obiecującym jasny, gorący dzień. W domu panowała cisza. Wstałam i zajrzałam do Thatchera. Leżał skulony, owinięty ciasno w koc, wtulony w poduszkę, jakby walczył z jakimiś demonami i padł wyczerpany. Powieki miał mocno zaciśnięte, a usta lekko rozchylone.

Wyszłam i ruszyłam dalej, żeby sprawdzić Lindena. Mama, wyczerpana czuwaniem, poszła wreszcie do siebie i zasnęła kamiennym snem. Linden spał niemal w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłyśmy, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała. Spojrzałam na jego nos i zobaczyłam, że jest lekko opuchnięty. Wyglądał, jakby w nocy raczej walczył z kumplami Thatchera, niż bratał się z nimi. Miałam jednak nadzieję, że Thatcher miał rację i towarzystwo

zaakceptowało Lindena.

Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie, jak jedna z moich nauczycielek, pani Foggelman, porównała kiedyś nasze towarzyskie rytuały, takie jak wieczory kawalerskie, do rytuałów prymitywnych plemion.

„Podział pomiędzy tym, co pierwotne, a co nie, bywa często arbitralny” – tłumaczyła. – „Rozumiecie, historię piszą zwycięzcy”.

Być może to, co w ludzkości jest najbardziej podstawowe i naturalne, sprawia, że jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż sądzimy, dywagowałam. Z drugiej strony gdyby ktoś porównał tutejsze elity do prymitywnych plemion, wywołałby towarzyską eksplozję o sile bomby atomowej. Zachichotałam, kiedy wyobraziłam sobie, co by powiedziała na taką teorię Bunny Eaton.

Już miałam wyjść z pokoju, kiedy zobaczyłam na stoliku stos fotografii. Zaciekawiona zaczęłam je oglądać. Przedstawiały mnie i były robione z ukrycia, zresztą tak zapowiadał Linden. Zdumiewające, jak wiele zdjęć udało mu się zrobić w niedługim czasie, do tego w przeróżnych miejscach i porach dnia, uwieczniając mnie w trakcie tysięcznych czynności, często w towarzystwie ludzi, z którymi w danym momencie rozmawiałam. Zupełnie, jakby Linden był muchą na ścianie, która widzi wszystko i jest wszędzie, a nikt nie zwraca na nią uwagi. Nie mogłam sobie przypomnieć, że bym widziała go w którejkolwiek z tych sytuacji.

Fotografował mnie, gdy siedziałam przy stole na tarasie i w skupieniu przeglądałam notatki z wykładów. Robił mi zdjęcia, kiedy jadłam czy rozmawiałam ze służbą albo z mamą. Uwiecznił nawet bliźniaczki Butterworth, Holdena i mnie, uczących się razem – zanim jeszcze dołączył do nas na tarasie! Było wiele zbliżeń na moją twarz, cała kolekcja spojrzeń i min.

Ale dopiero drugi stos fotografii naprawdę mną wstrząsnął. Przedstawiały mnie w mojej sypialni, w różnych stadiach negliżu, kiedy rozbierałam się do snu. Nie wiem, w jaki sposób mu się udało, niczym podglądaczowi, sfotografować mnie zupełnie nagą. Miałam zdjęcia w kąpielni, kiedy brałam prysznic, kiedy pochylałam się nad umywalką, rozczesując włosy, malowałam się i nawet – o zgrozo! – siedziałam na sedesie.

Byłam zszokowana, mój gniew przerodził się w furję. Miałam ochotę rozdzierać te fotografie i ciskać mu w twarz. Kiedy opowiadał mi o swojej artystycznej idei fotografowania nieupozowanego modela i zgodziłam się na to, nie miałam przecież pojęcia, że do tego stopnia naruszy moją prywatność. Dotąd tolerowałam wiele aberracyjnych zachowań Lindena, kładąc je na karb

emocjonalnych problemów, ale to, co teraz zrobił, było nie do pojęcia i niewybaczalne. Moja furia domagała się ujścia i natychmiastowych wyjaśnień.

Po chwili ochłonęłam i opanowałam się na tyle, żeby ponownie przejrzeć zdjęcia, a potem spojrzeć na ich autora, leżącego jak kłoda na łóżku. Wówczas pojawiła się druga refleksja, bardziej obiektywna i przemyślana. Zdjęcia nie tylko budziły mój niesmak i furię, lecz także dreszcz niepokoju. Dokąd zaprowadzi Lindena obsesja na punkcie mojej osoby? Czy on w ogóle jest zdolny zaakceptować więzy krwi, które nas łączą? Czy kiedykolwiek wejdzie w normalny, szczęśliwy związek z inną kobietą?

Jeśli cisnęłabym mu te zdjęcia w twarz i zrobiła dziką awanturę, mógłby znów rzucić się w czarną przepaść. I musiałabym żyć ze świadomością, że ja go tam wtrąciłam. Miałabym stać nad jego grobem i razem z mamą zadreć się wyrzutami sumienia? Przecież jestem studentką psychologii, czyli kimś szczególnie predestynowanym do tego, aby się zdystansować, uspokoić i pomyśleć, jak można pomóc temu człowiekowi, a nie jak go ukarać.

Kiedyś zapytałam tatę, jak może zachować obiektywny ogląd i spokój w przypadku pacjentów, którzy mu się zwierniają, mówią o strasznych rzeczach, jakie zrobili sobie i innym, a potem jeszcze im pomagają.

„To kwestia wyważenia racji” – wyjaśnił. „Chirurg robiący operację serca skazanemu za morderstwo nie może myśleć o tym, kim jest jego pacjent. Musi skupić się na tym, co robi, leczyć tylko ciało.

Ludzie często oskarżają lekarzy, że są zbyt chłodni, zbyt obojętni, ale czasami muszą tacy być, żeby zachować równowagę psychiczną i wykonywać swój zawód z maksymalną obiektywnością. Jeśli stracę dystans i zbyt osobiście zaangażuję się w sprawy pacjenta, będę niepotrzebnie drżał o niego, a jeśli zdystansuję się za bardzo, zaniedbam go.

Mam pacjentów pełnych furii i agresji, którzy najchętniej skoczyliby mi do gardła i udusili. Ich oczy ciskają gromy, ale nie mogę pokazać po sobie, że uważam ich za zagrożenie albo oceniam ich tak negatywnie, że nie mam ochoty im pomagać.

Dlatego przede wszystkim bierz pod uwagę stan czyjegoś umysłu, mentalne problemy tej osoby i spróbuj je wyizolować”. Uśmiechnął się do mnie i dodał: „Nie zawsze udaje mi się zachować obiektywizm, ale zawsze się staram.

W pewnym sensie wszyscy jesteśmy aktorami. Nosimy maski, Willow. Chodzi o to, żeby starannie dobierać swoje maski”.

Znów popatrzyłam na fotografię, a potem na śpiącego Lindena.
Jaką maskę mam teraz wybrać, tato? – zapytałam go w wyobraźni.
Będiesz wiedziała, Willow.
A jeśli nie, tato?
Z głębi umysłu nie napłynęła żadna odpowiedź.
Pomyślałam, że będę musiała sama poszukać odpowiedzi w sobie. Znów
byłam małą dziewczynką, którą tata uczył jeździć na rowerze. Biegł za mną,
trzymając kijek.
I nagle go puszczał.
Zatrzymywał się.
A ja jechałam dalej sama.
Albo się wywracałam.

Rozdział dwunasty

RUTYNOWA INTERCYZA

Przez cały dzień nie wspomniałam o Lindenie i o zdjęciach. Kiedy się wreszcie obudziłam, miałam takiego kaca, że nie byłam w stanie wstać z łóżka, a mama krzątała się koło niego. Około południa Thatcher przywłókł się do kuchni na spóźnione śniadanie. Kajał się, przeproszał i zapewniał mnie ileś razy, że Linden naprawdę się świetnie bawił.

– Moi przyjaciele szybko postarali się wprowadzić go w świetny nastrój, Willow. Bardzo życzliwie się do niego odnosili. Ale tam był taki tłum, że nie mogłam bez przerwy mieć Lindena na oku. Poza tym pomyślałam, że jeśli ciągle będziemy go traktować jak kalekę niezdolnego do normalnego życia, będzie się tak zachowywał. Teraz przynajmniej wie, czego nie powinien robić na przyjęciach.

– Wątpię, czy pójdzie na następne.

– Och, nie bądź taka pewna. Przecież zależy ci, żeby Linden wyrwał się z tej swojej czarnej dziury, prawda? Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie powinien przebywać wyłącznie w towarzystwie twoim i Grace, bo to jest po prostu niezdrowe.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę i poszedł znów się położyć. Zjawiała się mama, już spokojniejsza i zdystansowana wobec tego, co się stało. Wcześniej Thatcher wpadł do niej i serdecznie ją przeprosił.

– Może Thatcher ma rację i rzeczywiście jestem nadopiekuńcza – powiedziała. – Traktuję Lindena jak małego chłopca, zapominając, ile naprawdę ma lat.

– To całkiem zrozumiałe, mamo.

– Może, ale najwyższy czas, żebym zmieniła podejście.

Wyglądała na zmęczoną i byłam pewna, że prawie nie spała tej nocy.

- Idź odpocząć, mam, dam Lindenowi kolację.
- Nie, nie musisz...
- Mam, proszę. Musisz odpocząć, bo przed nami parę bardzo pracowitych dni – moja ostatnia przymiarka, twoje przygotowania, przyloty gości i tak dalej.
- Amou?
- Tak. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę!
- Ja też. Twój ojciec mówił o niej często i bardzo ją chwalił. Mam wrażenie, jakbym znała Amou od lat.
- Wiem.

Uściskałyśmy się i mama wróciła na górę. Poszłam do kuchni i powiedziałam pokojówce, żeby przygotowała kolację dla Lindena, a potem ruszyłam na górę i od razu skierowałam się do jego pokoju. Siedział na łóżku z przymkniętymi oczami, ciągle blady, a na garbku nosa miał niewielką szramę. Kiedy weszłam, jego policzki odzyskały trochę koloru i nieco się ożywił.

- Zdaje się, że wczoraj zrobiłem z siebie głupa – wydukał zgnębiony. – Powiedziałem Grace, że przepraszam i jest mi bardzo przykro. To samo chcę powiedzieć tobie.
- Nie musisz przepraszać, Linden. Najważniejsze, że dobrze się bawiłeś. Ale chyba wiesz, że przy lekach, które bierzesz, w ogóle nie powinieneś pić alkoholu, albo tylko symbolicznie. Mogło się gorzej skończyć.
- Nie wziąłem leków – przyznał się. – Nie chcę ciągle się czuć jak trędowaty.

Popatrzył na jedzenie.

- Nie jestem głodny.
- Jedz, kiedy dają.

Spojrzałam na komodę i zobaczyłam, że fotografie zniknęły. Nie sądziłam, żeby mama je zobaczyła i nie wspomniała mi o nich słowem.

Przyglądałam się, jak je. Zdawał się cierpieć przy każdym kęsie.

- Jak to się stało, że upadłeś i rozbiłeś sobie nos?
- Nie pamiętam, naprawdę. Przepraszam, że tak się wygłupiłem i narobiłem wstydu Thatcherowi.
- Niepotrzebnie przepraszasz. Wyobrażam sobie, że na takim wieczorze kawalerskim wszyscy robią z siebie głupów.

Kiwnął głową.

– Thatcher nie był wyjątkiem – powiedział. – Byłem zaskoczony tym, co robili, on i jego kumple.

– Nie mam ochoty słuchać relacji z imprezy, Linden. Chcę, żebyśmy porozmawiali o czymś dużo ważniejszym. – Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam przy łóżku. Linden zjadł jeszcze trochę, po czym odstawił tacę.

– O czym?

– Dziś rano, kiedy przyszedłam tu, żeby zobaczyć, jak się czujesz, zauważyłam zdjęcia na stoliku.

Z obojętną miną skinął głową.

– Nie spodziewałam się, że do tego stopnia naruszysz moją prywatność, Linden – zaczęłam. – Uważasz, że to jest w porządku? – Czułam się jak mój tata, przeprowadzający ze mną rozmowę, kiedy byłam mała i matka adopcyjna doniosła mu, że coś przeskrobałam.

– Czemu się tak oburzasz? Przecież mówiłem, że będę ci robił niezapowiedziane zdjęcia, i się zgodziłaś, prawda?

– Zdjęcia, nawet z ukrycia, to jedno, a naruszenie czyjejs prywatności i fotografowanie kogoś w najbardziej intymnych i prywatnych momentach, to drugie. Jak mogłeś tak postąpić?

– Jestem artystą i nie uważam tego za naruszenie prywatności. Chciałem mieć w głowie kompletny obraz ciebie i teraz go mam. Zresztą niedługo zobaczysz.

– Mam nadzieję, Linden, że nie namalujesz portretu przedstawiającego mnie siedzącej na sedesie? – warknęłam.

– Oczywiście, że nie, ale trzeba też powiedzieć, że wszystko, co robimy, odzwierciedla inne aspekty naszej osobowości. Tak twierdzi Arliss Thornbee, jak już ci mówiłem.

– Nigdy nie słyszałam o Arliss Thornbee, a jeśli nawet bym słyszała, nie uważam, żeby racje artysty były ważniejsze niż moje prawo do prywatności.

– Posłuchaj, jestem artystą i kiedy cię maluję, nie myślę o tobie jako o nagiej kobiecie. Widzę w tobie piękno, które przejawia się we wszystkim, co robisz i gdziekolwiek to robisz.

– Nie zgadzam się i jest to dla mnie krępujące, Linden. Mam nadzieję, że zniszczysz zdjęcia.

– Oczywiście, przecież nie będę ich już potrzebował.

– Nie możesz naruszać czyjejs prywatności bez pozwolenia tej osoby. I sztuka nie może tu być pretekstem.

– A czy nie wchodzisz głęboko w czyjąś prywatność w trakcie psychoterapii? Usprawiedliwiasz to, twierdząc, że takie są zasady sztuki leczenia – skontrował z uśmiechem.

Popatrzyłam na niego i wstałam.

– Nie podoba mi się to wszystko, Linden. Rozczarowałeś mnie.

– Zmienisz zdanie, kiedy zobaczysz portret – zapewnił, nie uważając za stosowne odnieść się do moich argumentów. – I wtedy mi wybaczysz.

– Linden, są rzeczy, choćby nie wiem jak piękne, które nie są warte swojej ceny – ostrzegłam.

– Nawet miłość i małżeństwo? – odparował z taką furią, że zadrżałam wewnątrz.

– Nawet – odparłam twardo, tłumiąc drżenie głosu. Odstawiłam krzesło na miejsce. – Wypij herbatę – poradziłam i wyszłam, myśląc gorzko, że kuracja, z którą wiązałam takie nadzieje, okazała się gorsza od choroby.

Konfrontacja z Lindenem uruchomiła w mojej głowie wszystkie możliwe alarmy, ale nawał bieżących wydarzeń szybko wyparł myśli o nim. Lada chwila miały przylecieć Amou oraz moja ciotka z kuzynką. Do tego po domu kręciła się cała armia ludzi, przysłanych przez Bunny, którzy przygotowywali oprawę ceremonii i przyjęcia. Sam Linden wycofał się do azylu swojej pracowni, twierdząc, że kończy dzieło i musi poświęcić temu całą swoją uwagę i energię. Drzwi do pracowni były całymi dniami zamknięte i czasem nie schodził nawet na posiłki. W takich wypadkach Joan albo Mary przynosiły mu jedzenie pod drzwi, pukały i czekały, aż otworzy i weźmie tacę.

Widziałam, jak to martwi mamę, i usiłowałam rozwiać jej obawy, zapewniając, że lepiej będzie dla niego, jeśli odda się całkowicie swojej pasji. Jednak w głębi duszy drżałam na myśl, jaki może być ten nowy obraz. Jeśli Linden ośmieliłby się namalować mnie nagą, Thatcher zdenerwowałaby się jeszcze bardziej niż ja, nie uwierzyłaby w czysto artystyczne intencje mojego brata. I tak już trudna sytuacja w domu skomplikowałaby się jeszcze bardziej. Nasza negatywna reakcja na obraz z pewnością wtrąciłaby Lindena w jeszcze większą depresję. W rezultacie tych niełatwych rozmyślań łapałam się na tym, że odruchowo wstrzymuję oddech za każdym razem, kiedy przechodzę koło zamkniętych drzwi pracowni.

A potem, jakby tego było jeszcze mało, przysłowiowa strzelba wisząca na ścianie wypaliła.

Kobiety z Club d'Amour z absolutnym przekonaniem przewidywały, że Thatcher będzie nalegał na małżeńską intercyzę. W zamęcie ślubnych przygotowań zapomniałam o tym, ale kiedy parę razy pomyślałam o ich teorii, uśmiechałam się tylko, bo ślub był coraz bliżej, a przyszły mąż nie wspomniał słowem na ten temat.

Aż wreszcie, na pięć dni przed ślubem, Thatcher wychodząc rano do pracy, zatrzymał się w drzwiach, jak gdyby sobie coś przypomniał, po czym poprosił, żebym po południu wpadła do jego biura.

– Dlaczego?

– Willow, powinniśmy o czymś porozmawiać – powiedział. – Nie rób takiej przerażonej miny, to zwykła procedura i w sumie drobna sprawa, ale chciałbym już mieć to z głowy. Wszystko ci wytłumaczę na miejscu, bo teraz muszę lecieć. – Pocałował mnie szybko. Stałam chwilę przy drzwiach, rozmyślając o tym, co usłyszałam, i mój niepokój rósł. Po drodze do biura łudziłam się jeszcze, że chodzi o coś innego.

Z powitania mnie w biurze Thatcher zrobił prawdziwy show, z sekretarkami i asystentami jako widownią. Aż nie mogłam uwierzyć, że ma w zanadrzu coś, co mogłoby zmaćcić blask naszej miłości. Zamknął za nami drzwi swojego gabinetu i posadził mnie za biurkiem, na którym leżały przygotowane papiery.

– Byłbym niepoważnym prawnikiem, gdybym nie zrobił tego – zaczął. – Przysłowiowy szewc bez butów, rozumiesz.

– O co chodzi, Thatcher?

– Fachowo to się nazywa intercyzą, umową przedślubną, i niczym się nie różni od innych prawniczych, formalnych i nudnych kontraktów, jakie zawieram z niektórymi swoimi klientami. Po prostu musimy być rozsądni i tyle.

– Rozsądni?

Usiadł w fotelu i złożył dłonie końcami palców.

– Dotąd prowadziłem życie bon vivanta, hedonisty, czasami zupełnie bezmyślne. Zasłużyłem sobie na taką reputację w Palm Beach. Częściowo winię też rodziców i siostrę, za tę ich histeryczną troskę o towarzyską poprawność. Głównie jednak powinienem winić siebie. Jednakże – ciągnął z namaszczeniem – sytuacja diametralnie się zmieniła, kiedy poznałem ciebie,

Willow. – Wyprostował się w fotelu z poważną miną. – To było tak, jakbym spojrział w lustro i wreszcie zobaczył, kim byłem, czym byłem i kim powinienem być. Mówiłem o tym już wcześniej i powtórzę jeszcze raz, że u twojego boku chcę się stać odpowiedzialny, dojrzały i pracowity. – Uśmiechnął się. – Wydobywasz ze mnie to, co najlepsze, robisz z chłopca mężczyznę.

– Dobrze, ale co to ma wspólnego z tymi papierami, Thatcher? – Wskazałam ruchem głowy na dokumenty.

– Wszystko, Willow. Pewnego dnia założymy rodzinę, może nawet wcześniej, niż myślisz, a ponieważ rodzina jest podstawą społeczeństwa, a małżeństwo jest rdzeniem rodziny, musi być silne i dobrze chronione, aby rodzina była trwała i silna. Zapobiegając potencjalnym konfliktom, które mogą się zdarzyć w przyszłości, czy choćby je redukując, zmniejszamy i eliminujemy stres – a przecież dobrze wiesz, co stres robi z ludźmi. Ty wiesz to lepiej niż ktokolwiek, Willow.

– Daruj sobie te rozwlekłe wstępy, Thatcher. Nie jestem twoją klientką – powiedziałam ostro.

Przygryzł usta i kiwnął głową.

– Wybacz, takie gadanie jest moim zawodowym nawykiem.

– Po co mnie do siebie zaprosiłeś? – zapytałam niecierpliwie. Rozczarowanie jest jak przecieki w łodzi – może zatopić miłość i bliskość, myślałam.

– Zawarcie związku małżeńskiego to coś więcej niż tylko wyrażenie woli wspólnego zamieszkania i seksualnej bliskości. Zawierając ślub, wchodzisz w stosunki prawne, Willow. Ten stan ma poważne konsekwencje dla spraw własności i majątku, wychowania dzieci oraz naszych wzajemnych relacji.

– Uważasz, że ja tego nie wiem?

– Oczywiście, że wiesz, ale pary, które jeszcze przed ślubem przepracowały ten temat i dokonały konkretnych ustaleń, mają większą zdolność i lepsze narzędzia do zbudowania szczęśliwego związku. Namawiam swoich klientów – ciągnął – aby rozważyli tę opcję na tej samej zasadzie, jak polisę ubezpieczeniową. Przecież nie wykupujesz polisy, bo zamierzasz umrzeć, prawda? Wykupujesz ją, aby zabezpieczyć bliskich na wypadek swojej śmierci. I tylko tyle, to po prostu dobre planowanie. Czy zatem chcesz tego, czy nie, Willow?

– Tak – powiedziałam słabym głosem, walcząc z sercem, bo gubiło rytm.

– Dokumenty, które tu widzisz, porządkują nasze sprawy majątkowe, ustalają sposób podziału majątku, na wypadek gdybyśmy uznali nasze małżeństwo za pomyłkę, czego oczywiście się nie spodziewam. Lektura może się wydać nudna, lecz mówi o tak istotnych sprawach, jak postępowanie z zadłużeniem, jeśli takowe wystąpi, podziale prezentów, które otrzymaliśmy wspólnie bądź osobno, określenie, jakie dobra nie wchodzą w skład majątku wspólnego, jak mamy je traktować i tak dalej.

Mam nadzieję, że dobrze rozumiesz moje intencje, Willow? I rozumiesz, iż ten kontrakt nie znaczy, że moja miłość do ciebie zmniejszyła się choćby na jotę?

W odpowiedzi lekko zacisnęłam powieki i otworzyłam je.

– Wracam do tego, co już powiedziałem – podjął po chwili. – Jak wyglądałyby nasze sprawy, gdybym nie zadbał o tę umowę? Na jaką zawodową śmieszność bym się naraził? Jak wyglądałbym w oczach moich klientów, aktualnych i przyszłych? Chyba nie chcesz iść do lekarza, który nie dba o swoje zdrowie, prawda?

– Nie potrzebuję kolejnych tłumaczeń, Thatcher. Przeczytam to. – Dzielnie sięgnęłam po papiery.

– Widzę, że cię zdenerwowałem. – Opadł na oparcie fotela. – Może to był jednak głupi pomysł.

– Nie, nie, dobrze zrobiłeś. Zaraz to przeczytam. – Uśmiechnęłam się do niego. – I wyślę wszystko faksem do mojego prawnika, pana Bassingera, który będzie na naszym ślubie. Jestem ciekawa jego uwag. Dobrze mówię? Czy to jest racjonalne, planowe podejście, o którym mówiłeś?

Patrzył na mnie chwilę.

– Po prostu chcę dla nas jak najlepiej, Willow; pragnę chronić ciebie, tak samo jak siebie i naszą rodzinę.

– I jestem ci za to wdzięczna. Mam nadzieję, że nigdy nas nie pozwiesz, Thatcher?

Był zaskoczony, ale roześmiał się, kiedy ja się uśmiechnęłam.

– Teraz rozumiem, dlaczego aż tak mocno cię kocham. Jesteś najbardziej dojrzałą, rozsądną młodą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Co za cudowny dodatek do twojej urody!

– Twoja wiara w siłę komplementów jest mocno przesadzona – stwierdziłam. Pocałował mnie, śmiejąc się.

– Możesz skorzystać z mojego faksu i od razu wysłać dokumenty panu

Bassingerowi – zaproponował.

– Świetnie, zrobmy to.

Zadzwoił po sekretarkę i wydał jej polecenia.

– Cóż, to wszystko. Mamy sprawę z głowy i nie musimy o niej więcej rozmawiać.

– Chyba że mój adwokat będzie miał jakieś uwagi – zastrzegłam.

– Naturalnie.

Oznajmił, że ma bardzo ważną kolację z klientami, i zapytał, czy chciałabym mu towarzyszyć.

– Nie, wolałabym spędzić wieczór w domu – odparłam. – Jutro odbieram z lotniska Amou i chcę posiedzieć z mamą, bo ona strasznie wszystko przeżywa.

– Jasne. Okay, w takim razie widzimy się później – powiedział.

Obojętnie, że z jego słów przebijał czysty, obiektywny racjonalizm i bez względu na to, ile razy wmawiałam sobie, że Thatcher chce tylko naszego dobra, nie mogłam się pozbyć poczucia, że twarde, niewygodny ciężar rozrasta mi się w piersi, powodując ból. Spojrzałam na niebo, złowrogo zaciągnięte ciemnymi chmurami, co zwiastowało deszcz i wicher. Dodałam gazu, żeby szybciej znaleźć się w domowym zaciszu.

– Wszystko w porządku? – spytała mama, kiedy tylko stanęłam w progu.

– Tak – odpowiedziałam i się rozpłakałam. Poszła ze mną do pokoju, usiadła obok mnie i wysłuchiwała mojej opowieści.

– Istotnie, nie brzmi to zbyt romantycznie, ale tak już dzisiaj jest; świat stał się bardzo skomplikowany, Willow. Rozumiem Thatchera, że tak uważa, zwłaszcza że jest adwokatem i musi dbać o takie sprawy, ale rzeczywiście wyszło mało romantycznie. Nie o takich rzeczach powinni rozmawiać Romeo i Julia.

Zaśmiałam się.

– Otóż to, jakbym widziała tę scenę w sztuce! Mnich radzi obojgu, aby udali się do prawnika, zwłaszcza w sytuacji gdy obie rodziny są skonfliktowane.

Znów się śmiałyśmy i od razu poczułam się lepiej. Otarłam wysychającą łzę z policzka.

– Na szczęście mam za dużo spraw na głowie, żeby ciągle o tym myśleć – powiedziałam.

– No właśnie. A poza tym jestem pewna, że nigdy te dokumenty nie będą wam potrzebne.

Czy naprawdę jest pewna, czy tylko mówi mi to, co pragnę usłyszeć? – zastanawiałam się. Nie chcemy wiedzieć wielu rzeczy na swój temat, zwłaszcza jeśli chodzi o śmierć. Być może Bunny Eaton i podobni jej ludzie mają rację, że uparcie chcą patrzeć na świat przez różowe okulary, aby nie widzieć ciemnych chmur zbierających się nad głową; aby spędzić życie jak najdalej od smutku i depresji. Należało poświęcić całą swoją uwagę i energię na forsowanie takiego sposobu życia. Było to tak absorbujące, że nie zostawało czasu na namysł i opłakiwanie straconego dzieciństwa.

Rozszalała się burza i chmury, siekąc deszczem, zgasiły gwiazdy. Poszłam wcześniej do łóżka, nie czekałam na Thatchera, miał bowiem wrócić późno.

Tym bardziej cieszyłam się następnego dnia rano, kiedy w blasku słońca stałam przed wejściem do terminalu, czekając na Amou. Nie widziałam jej od bardzo dawna i ucieszyłam się, kiedy już z daleka zobaczyłam, że trochę przybrała na wadze. Przy swoim wzroście – prawie metr osiemdziesiąt – zawsze była za chuda. Jako dziecko martwiłam się, że kiedyś złamie się jak gałązka na wietrze. Moja matka adopcyjna również była wysoka, ale bynajmniej nie o wyglądzie wiotkiej tyczki. Być może sprawiał to jej twardy charakter. W chwilach, kiedy napadała na Amou, zarzucając ją pretensjami, miałam wrażenie, że widzę zawodnika wagi muszej, który musi stanąć na ringu naprzeciw zawodnika wagi ciężkiej. Do dzisiaj nie mogłam zrozumieć, jakim cudem Amou tak długo wytrzymała u nas. Utwierdzałam się w przekonaniu, że nie odchodziła ze względu na mnie. A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Amou nie była tak przystojna jak moja matka adopcyjna, lecz ta zazdrościła jej burzy rudozłotych włosów, sięgających do łopatek. Często towarzyszyłam niani, kiedy przed lustrem w swoim pokoju rozpuszczała włosy i rozczesywała je bez końca, upominając mnie, żebym zawsze dbała o swoje. Robiła dla siebie naturalny szampon z oliwy, żółtek i jeszcze innych składników, których tajemnicy nie chciała zdradzić nikomu – a zwłaszcza mojej matce adopcyjnej, która ciągle ją namawiała, żeby ścięła swoje piękne włosy.

„Nie rozumiem, po co hodujesz takie długie włosy, o które musisz dbać, skoro i tak nosisz je związane? Nie lepiej obciąć?” – pytała.

Amou nieodmiennie przytakiwała, po czym ignorowała te uwagi. To był jej sposób radzenia sobie z moją matką adopcyjną. Zawsze się uśmiechałam na to wspomnienie. Na swój sposób była lepszym psychologiem niż mój ojciec, gdyż bardzo szybko rozgryzła tę kobietę. Kiedyś zdradziła mi swój sekret: „Pamiętaj, Willow, że gałąź, która się nie zgina, zawsze się złamie. Poddać się

wiatrowi, to znaczy oszukać wiatr. Niech myśli, że jest mistrzem, że jest najsilniejszy – a kiedy osłabnie czy ucichnie, ty dalej będziesz robić swoje. Zmęczy się i zostawi cię w spokoju”.

Miała rację. Matka adopcyjna wreszcie przestała ją besztać i krytykować. Stwierdziła, że szkoda czasu, bo niania jest uparta i nie słucha świątłych rad. Amou nadal miała pełne i różowe usta. Jak dawniej igrał na nich wesoły uśmiech. Zielone oczy w brązowe cętki rozbłyskiwały na mój widok. W tamtych czasach byliśmy konspiratorkami, sprzymierzonymi ze sobą w wojnie, jaką toczyłyśmy z matką adopcyjną. Żadna z nas nie śmiała wystąpić przeciwko niej jawnie, ale przekradałyśmy się za jej plecami, kluczyłyśmy wokół niej, unikałyśmy jej albo – dopóki się dało – udawałyśmy, że nie istnieje. A ona, niczym potężna armia zmęczona zwycięstwem, wycofywała się z pola walki, mając dość naszych uników i biernego oporu. Jej obojętność stawała się naszym zwycięstwem.

– Amou! – zawołałam i podbiegłam do swojej dawnej niani.

Tuliła mnie i całowała ze łzami w oczach.

– Pokaż no się – powiedziała po chwili. – *Lindo! Muito lindo*. Moja piękna Willow!

– Ty też jesteś piękna, Amou. Wreszcie nabrałaś ciała.

– Oj, nie przypominaj mi. – Westchnęła. – Moja siostra mówi, że mam dwoje ust i dwa żołądki, bo wyjadam nawet resztki z garnków i z talerza. Ale wiesz, że nie lubię marnować jedzenia.

– Dużo lepiej teraz wyglądasz.

– Oj, daj spokój.

– Chodźmy. Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz moją mamę, Lindena i oczywiście Thatchera.

Włożyłam jej walizkę do bagażnika i ruszyłyśmy do Joya del Mar. W drodze opowiedziałam Amou o Milesie, wiernym lokaju mojego ojca, o pogrzebie i sprzedaży posiadłości. Potem przeszłam na Lindena i jego problemy.

– To prawdziwy ból serca dla *seua mãe*, dla twojej matki.

– Tak, mama ma wiele żmartwień, ale teraz jest szczęśliwa. Myślę, że po raz pierwszy od lat.

– Oczywiście, bo ma ciebie. Wniosłaś światło do jej domu i w jej życie. *Seu pai* tak zawsze mówił.

– Od jak dawna znałaś prawdę o moim tacie i mamie, Amou?

Zerknęła na mnie spod oka.

- Bo przecież wiedziałaś od dawna, prawda? – naciskałam.
 - Od początku. *Seu pai* zaszczycił mnie, powierzając tę tajemnicę, bo wiedział, że nigdy go nie wydam, ani też nie zostawię ciebie, dopóki nie będę pewna, że dasz sobie radę.
 - Zawsze cię będę potrzebować, Amou.
 - Dobrze, ale teraz już na odległość, Willow. – Roześmiałyśmy się. Dźwięk jej śmiechu był jak ciepła fala miłości i pięknych wspomnień, która skąpała mnie na powrót w nadziei i szczęściu.
 - Och, Amou, nie mogę uwierzyć, że znów cię widzę. Jakże się cieszę!
 - Z widoku jakiejś starej baby?
 - Mów sobie, co chcesz, ale ja potraktuję cię jak wiatr i się zegnę.
- Amou ze śmiechem pokręciła głową.
- Szkoda tylko, że doktor już nie może być z nami.
 - On tu jest, Amou. Wierzę w to.
 - Ja też wierzę. – Wjeżdżałyśmy już w bramę Joya del Mar.
 - Co za miejsce! – wykrzyknęła. – Żyjesz jak księżniczka!
 - Bez przesady.

W chwili, kiedy mama przywitała się z Amou, stało się jasne, że zostaną przyjaciółkami. Amou swoim zwyczajem cmoknęła mamę w oba policzki. Wyglądały, jakby zaraz miały się popłakać ze wzruszenia.

- Dzięki, że matkowałaś mojej córce, gdy ja nie mogłam – powiedziała mama.
 - To nic takiego. Łatwo było matkować takiemu dziecku – odparła Amou.
 - Wcale nie było tak łatwo, Amou – wtrąciłam. – A pamiętasz, że pomazałam ściany w kuchni miodem i zalęgły się mrówki?
 - Jasne. Ile razy jem miód, zawsze mi się to przypomina – przyznała.
- Jennings wniósł jej rzeczy do pokoju gościnnego, a mama zaproponowała, że pokaże Amou Joya del Mar.
- *Um palácio!* – zachwycała się Amou. – To prawdziwy pałac! Można by pomyśleć, że w Stanach są królowie i królowe.
 - Niektórzy mieszkańcy Palm Beach rzeczywiście uważają, że w ich żyłach płynie błękitna krew i są skoligaceni z królewskimi rodami Europy. – Mama się roześmiała.

Potem zaprowadziłam Amou do jej kwatery, żeby mogła odświeżyć się, odpocząć i przebrać do posiłku. Miałam nadzieję, że na kolacji pojawi się Linden i będę go mogła przedstawić. Thatcher był w sądzie, ale obiecał, że

wróci na czas.

– *Obrigado*, Willow – powiedziała.

– Nie, to ja ci powinnam dziękować, Amou. Dzięki, że zdecydowałaś się na podróż, aby być na moim ślubie, gdzie wystąpisz u boku mojej mamy, jako członek mojej rodziny.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– *Seu pai* wiele mi o niej opowiadał, opisując ją jako piękną kobietę; kogoś, kto z powrotem wprowadził w jego życie światło i muzykę. Pamiętam, jak mówił: „Ona jest żywą ilustracją słowa »anielski«”. Kiedy o niej wspominał, miał łzy w oczach.

– Dzięki, że mi to mówisz, Amou. A teraz odpocznij. – Pocałowałam ją w czoło.

Moje serce było przepełnione szczęściem, aż myślałam, że eksploduje.

Linden sprawił mi przyjemną niespodziankę, pojawiając się na kolacji. Ubrał się jak trzeba, przyczesał włosy i nawet uczestniczył w naszej rozmowie, zadając Amou wiele pytań o mnie jako małą dziewczynkę.

Z kolei Thatcher, kiedy wrócił i został przedstawiony, od razu zapytał o słynne demony.

– One straszą Willow do dzisiaj – dorzucił ze śmiechem.

– Przestań! – syknęłam i spiorunowałam go wzrokiem.

– Nie, nie, nic się nie stało. – Amou obdarzyła Thatchera jednym z tych swoich przeciągłych, oceniających spojrzeń, tak dobrze mi znanych. – Obyś zawsze potrafił śmiać się ze swoich demonów – powiedziała po chwili.

Thatcher ciągle się uśmiechał, ale słowa Amou zabrzmiały tak dziwnie i złowrogo, że zapragnął jak najszybciej zmienić temat i skierował rozmowę na najnowsze pomysły Bunny co do ślubnej uroczystości. Potem powiedział mi, że Amou przeszła jego wyobrażenia.

– To bardzo mądra, niezależna i wrażliwa osoba. Miałaś szczęście, że zajmowała się tobą. Przy niej nawet Linden zachowywał się normalnie!

– Dla mnie Amou zawsze była magiczna – powiedziałam.

– Może w przyszłym roku wyprawimy się do Brazylii, żeby ją odwiedzić? – zaproponował.

– Och, naprawdę?

– A czemu nie? Musimy tylko uzgodnić termin i dostosować do niego swoje zajęcia i zobowiązania.

Tej nocy moje serce przepełniała radość. Tej nocy kochaliśmy się tak czule

i łagodnie, a zarazem namiętnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Zasnęliśmy wtuleni w siebie, jakbyśmy się bali, że sny nas rozdziela.

Nazajutrz przyleciały ciotka Agnes i kuzynka Margaret Selby. Ciotka była kompletnie zaskoczona widokiem Amou; nie mogła uwierzyć, że moja dawna niania odbyła taki długi lot, żeby gościć na moim ślubie. Wylewnie przywitała się z mamą, ale było jasne, że nigdy nie wyjdą poza formalną uprzejmość. I tylko raz wspomniała o moim ojcu, a swoim bracie:

– Całe życie myślałam o nim, że jest wyjątkowo poukładany i akuraty. Nawet jako młody chłopak był niezwykle uważny i myślący. Widać to było w sposobie, w jaki przyglądał się ludziom czy ocierał usta serwetką po każdym kęsie. I pomyśleć, że Claude miał romans z pacjentką! Z drugiej strony – zwróciła się z tym swoim plastikowym uśmiechem do mamy – powinnam być ci za to wdzięczna, bo inaczej nie byłoby Willow, prawda?

Mama nie wydawała się urażona jej wynurzeniami. W którymś momencie pochyliła się ku mnie i szepnęła, że mój tata „dokładnie tak ją opisał”.

Kiedy zjawiała się Bunny, ona i moja ciotka momentalnie przypadły sobie do gustu i odtąd były już prawie nierozłączne. Uśmiechałyśmy się z mamą, patrząc na nie. Amou, która nie potrafiła usiedzieć bezczynnie, poszła do kuchni, żeby przygotować jedno ze swoich sławnych portugalskich dań – kurczaka w ostrym sosie piri-piri. Wszystkim bardzo smakowało.

Margaret chodziła za mną prawie przez cały dzień. Chyba z dziesięć razy tłumaczyła, dlaczego jej mąż nie mógł przybyć na mój ślub. Pilne interesy jakoby zatrzymały go w Savannah. Ze sposobu, w jaki mówiła o nim i o swoim małżeństwie, wynikało, że mąż dziewięćdziesiąt procent swojego czasu poświęcał pracy i tylko dziesięć procent żonie, ale wydawało się, że to Margaret nie przeszkadza. Rozwodziła się na temat swojego życia towarzyskiego, działalności charytatywnej i ogólnie spełnionego życia, lecz dla mnie było to raczej zaklinaniem rzeczywistości.

Bardzo intrygował ją Linden, lecz on w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

– Czy jest niebezpieczny? – zapytała szeptem.

– Nie, jeśli go nie sprowokujesz – zaznaczyłam. Na wszelki wypadek trzymała się od niego z daleka.

Aby zająć czymś Margaret i pozbyć się uciążliwego towarzystwa, przedstawiłam ją bliźniaczkom Butterworth, a potem członkiniom Club d'Amour. Dobrze się z nimi wszystkimi dogadywała, choć moim zdaniem

Manon i klubowiczki dyskretnie się z niej nabijały.

Czas gonił i przygotowania jeszcze nabrały tempa. Mama i Amou starały się jak najwięcej pomagać. Bunny prosiła, żeby powiadomić ją, kiedy jadę na ostatnią przymiarke, ale na szczęście o tym zapomniałam. Obawiałam się, że przyjedzie i skrytykuje suknię z zemsty, że nie wybrałam pracowni, którą mi poleciła.

Thatcher postanowił, że spędzi noc poza domem. Miał nocować w domu na plaży, bo jego przyjaciel, Addison Steele, przyleciał z Paryża, gdzie mieszka, specjalnie na nasz ślub.

– Ponieważ przeżyliśmy tam tyle wspaniałych chwil – powiedział – pomyślałem, że to jedyne miejsce, w którym mógłbym spędzić noc przed ślubem.

Byłam zbyt spięta, by wsłuchiwać się w potok jego słów. Jak na kogoś, kto dotąd unikał zaobrączkowania, jakby ołtarz miał być gilotyną, Thatcher był ostoją spokoju i zimnej krwi.

Kiedy pocałowaliśmy się na pożegnanie, zapytałam go, dlaczego nie jest nawet w połowie tak przejęty jak ja. Zastanawiał się chwilę, po czym pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że ciągle mam uczucie, jakby to dotyczyło kogoś innego. Ale rzeczywistość upomina się o swoje prawa i jeszcze zobaczysz, jak mi drżą kolana – zapewnił. Pocałował mnie w czubek nosa i wyszedł.

Mniej więcej w godzinę potem zadzwonił pan Bassinger, który właśnie przyleciał do Palm Beach i zainstalował się w hotelu.

– Muszę cię przeprosić, Willow. Wyjeżdżałem w interesach i potem od razu wylecieliśmy z żoną do Palm Beach. Dlatego dopiero godzinę temu biuro przesłało mi faksem twoje dokumenty i właśnie skończyłem przeglądać tę intercyzę. Jediną nieschematyczną rzeczą jest to, iż Thatcher niejako wmontował swoją osobę w status twojej posiadłości, na mocy jakiejś umowy, którą zawarliście w sprawie opłat za jej utrzymanie. Czy tak? Thatcher ponosi koszty?

– Tak, bo na razie mamy tu mieszkać, póki nie kupimy własnego domu.

– Rozumiem. Jednak Thatcher sformułował to w kategoriach twojego długu wobec niego, który obciąży nieruchomość. Czy chcesz, żebym zaproponował poprawną wersję? Jest jeszcze parę drobniejszych rzeczy, które radziłbym zmienić.

Zastanawiałam się.

– Nie – powiedziałam. – Przepraszam, że zawracałam ci głowę tymi papierami, ale po prostu nie jestem w stanie dzisiaj o tym myśleć.

– Zupełnie zrozumiałe. Takie sprawy załatwia się zwykle dużo wcześniej. Możemy porozmawiać później o tej intercyzie, jeśli chcesz – dodał miękko.

– Dobrze.

– Nie możemy się z żoną doczekać twojej uroczystości i bardzo już chcemy cię zobaczyć.

– Dzięki. Ja też nie mogę się was doczekać – odparłam. Prawnik był jednym z najbardziej zaufanych znajomych taty i miałam poczucie, że na moim ślubie wystąpi niejako w zastępstwie mojego ojca.

– Cóż, w takim razie odpoczywaj – powiedział i rozłączył się.

Nie zastanawiałam się długo nad jego uwagami, szybko i stanowczo pozbyłam się tych myśli. Ostrzegano mnie przed takim zapisem, ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek zniszczył moje szczęście. Nie pozwolę, żeby przygasł blask naszych świec.

Nie teraz.

Nigdy.

A przynajmniej spróbuję.

Czy uważasz się za realistkę, Willow? – zapytałby z całą pewnością mój tata.

A muszę ciągle nią być? Ty też nie zawsze byłeś realistą, tato. Zwłaszcza kiedy zakochałeś się w mojej mamie.

Dobrze zrobiłem, postępując w ten sposób?

Tak. Tak! – odkrzyknęłam mu w odpowiedzi.

Wyprysnął z mojej głowy niczym bańka mydlana, a ja zostałam, wpatrzona w swoje odbicie w lustrze. Z głową pełną myśli.

Rozdział trzynasty

MÓJ PIĘKNY ŚLUB

Czy będę mogła zasnąć w tę noc przed ślubem? – zastanawiałam się, krążąc po sypialni. Przeżywałam na zmianę napady odrętwienia i pobudzenia, kiedy moje zakończenia nerwowe zdawały się iskrzyć. W momentach napięć na chwilę traciłam oddech, kiedy tylko pomyślałam o nadchodzącej ceremonii i weselu. Nie wiem, ile razy zerkalam na swoją suknię ślubną, pantofle i welon, pytając sama siebie, czy podjęłam właściwą decyzję, czy raczej powinnam posłuchać Bunny.

Przestań, Willow De Beers, upomniałam się w myśli. Przestań gdybać.

Ciągle słyszałam Bunny Eaton, krążącą po domu, i głosy ludzi z ekipy, którzy ustawiali stoły i dekoracje. Nie wyobrażałam sobie, że tak po prostu zamknę oczy i zasnę. Ale nie chciałam też wziąć pigułki na sen, bo rano w dniu ślubu obudziłabym się nieprzytomna.

Przebrałam się w koszulę nocną i już miałam wejść do łóżka, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Pomyślałam, że to mama, więc szybko otworzyłam. W progu stała Margaret Selby w szlafroku i w kapciach.

– Co się stało? – zapytałam.

– Och, nic. Po prostu pamiętam, jak się czułam w nocy przed ślubem, i pomyślałam, że wpadnę do ciebie, aby dodać ci otuchy. Założę się, że masz kaktus w żołądku, bo ja miałam.

– Tak – przyznałam – ale spróbuję zasnąć.

– Skąd, nie zaśniesz. – Zbyła moją naiwność machnięciem ręki i energicznie wmaszerowała do pokoju. – Słuchaj, wspaniały jest ten dom i cała posiadłość. Mama jest pod wrażeniem i ciągle o tym gada, bo kiedy tu przyjechała, nie mogła uwierzyć, jakim cudem twoja matka, która się leczyła w klinice

Claude'a, może mieć taki majątek.

– Ale teraz już wie.

– Tak, a twoja mama jest przemiła. Nie rozumiem, jak można ją uważać za chorą umysłowo.

– Grace leczyła się dawno temu i jej stan się bardzo poprawił. Od dawna nie miała problemów ze sobą. Nikt nie ma takich rzeczy wiecznie wypisanych na czole.

– Wiem. – Spojrzała na moją suknię ślubną. – Twoja suknia jest ładniejsza niż moja. Moją tak naprawdę wybrała matka Ashleya. A dokładniej wybrały ją razem, ona i moja matka. Uważały, że model, który mi się podobał, jest nieodpowiedni, bo dekolt jest głębszy, niż wypada. Masz pojęcie? Jakby człowiek nie miał prawa wyglądać seksownie na własnym ślubie! A co powiedzieć o tych pannach młodych z brzuchem, w siódmym, ósmym, a nawet dziewiątym miesiącu ciąży? To jakoś nikomu nie przeszkadza, choć noszą biel niewinności! Ja przynajmniej byłam prawdziwą, patentowaną dziewicą, kiedy szłam w bieli do ołtarza. Założę się, że ty nie jesteś, co? – spytała, zebrawszy się na odwagę.

– Czasy się zmieniają, Margaret. Kult dziewictwa zanika.

– A ja sobie nie wyobrażałam, że mogłabym się oddać mężczyźnie, który nie byłby moim mężem i nie mogłabym go mieć wyłącznie dla siebie – oświadczyła z wyższością. – Dziewictwo jest naszym najcenniejszym klejnotem; darem, którego nie można roztrwonić, oddając się byle komu. Nie mówiąc już o tym, że kiedy po ślubie mąż kocha się z żoną, która nie jest dziewicą, może mieć wrażenie, jakby nabył używany samochód.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? – Z trudem hamowałam śmiech.

– Wiele razy rozmawiałam o tym z mamą – powiedziała urażonym tonem.

– Nie sądzę, żeby wielu mężczyzn tak myślało, Margaret. To już nie jest dziewiętnastowieczne, restrykcyjne obyczajowo społeczeństwo, w którym kobiety są traktowane jak obywatele drugiej kategorii. Skoro mężczyźni mają prawo do kochanek, czemu odmawiać go kobietom?

– My jesteśmy inne.

– Jasne, inne, ale nie aż tak.

– No tak... – Margaret na moment opuściła wzrok, a potem spojrzała na mnie z psotnym uśmiechem, który rozlał się jak roztopione masło na jej pulchnej twarzy. – Omal nie zrobiłam tego z jednym – wyznała teatralnym szeptem. – Było... o tak blisko. – Pokazała odległość pomiędzy kciukiem a palcem

wskazującym. – Miałam zaledwie szesnaście lat i Randy Karlan wszedł na mnie na tylnym siedzeniu swojego lincolna town car, gdzie było mnóstwo miejsca. Ściągnął mi majtki i zaczął wpychać we mnie ten swój instrument. Nazwał to „pukaniem do drzwi”. Kazał mi zapytać: „Kto tam? ”, a on na to: „Otwórz! ”. „Co mam otworzyć? ” „Sezamie, otwórz się! ” – zawołał i zaczął wpychać to we mnie i już prawie się stało, ale ja ciągle myślałam o tym, co mi mówiła mama, i zaczęłam krzyczeć i szarpać się tak mocno, że zrzuciłam go z siebie i strasznie się wściekł. Zagroził, iż wszystkim powie, że i tak mnie zaliczył. Kiedy się popłakałam, stwierdził, że możemy zawrzeć układ. Tobie pierwszej o tym mówię, bo przez lata milczałam jak grób.

– Jaki układ?

– Powiedział, że muszę ulżyć jego udre. Ci mężczyźni strasznie cierpią przez seks, nie?

Z uśmiechem potrząsnęłam głową.

– Dlaczego tak sądzisz? O co ci dokładnie chodzi?

– Nie wiem, oni po prostu są jak jakaś bomba i jeśli im się nie ulży, to mogą wybuchnąć do wewnątrz, albo jakoś tak. Ashley mi o tym mówił. Powiedział, że mężczyźni potrzebują więcej uwagi niż kobiety i więcej muszą udawać.

– Udawać?

– W czasie naszego miodowego miesiąca kazał, żebym go dosiadała, podśpiewując przy tym: „Hop, hop, jedzie pan, na koniku sam, sam, sam! ”, w kółko, aż zacznie krzyczeć. I tak teraz cały czas robimy. Czasami powtarzam to dwadzieścia razy, czasami aż pięćdziesiąt i wyjątkowo wystarczyło dziesięć razy. Wy też robicie takie rzeczy?

– Nie, Margaret. A gdyby nawet, tobym ci o tym nie opowiadała.

– Och, ja po prostu robię to, co powinnam robić, aby mój mąż był szczęśliwy i nasze małżeństwo było szczęśliwe.

– I jest szczęśliwe?

– Tak – odpowiedziała szybko i stanowczo.

– W takim razie twoja metoda działa i cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Skinęła głową, wstała z fotela i powoli ruszyła do drzwi.

– Przez całą noc przed moim ślubem myślałam tylko o nocy poślubnej. Bardzo się bałam, że się nie sprawdzę i Ashley mnie znienawidzi. – Urwała i popatrzyła na mnie z miną kogoś, kto zaraz wyzna swój wielki, śmiertelny grzech. – Ja nawet ćwiczyłam, wiesz?

– Co? „Hop, hop”?

– Nie, ty głupia. Przecież wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Ćwiczyłam z poduszką. Do dzisiaj – zniżyła głos do szeptu – kiedy przyjeżdżam do domu, do mamy, patrzę na tę poduszkę w moim pokoju, którą nazywam Ashleyem, i to mnie podnieca. Potem wracam do domu, czekam na Ashleya i mam nadzieję, że zabawimy się w „Hop, hop”. Tobie mogę o tym powiedzieć, bo jesteś już prawie terapeutką, a poza tym jesteśmy kuzynkami i czujemy się prawie jak siostry, nie?

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny, Margaret.

– Fajnie. – Otworzyła drzwi. – Trochę ci współczuję.

– Dlaczego?

– Bo jutro w nocy nie spotka cię żadna niespodzianka. Już wiesz, jak to jest.

– Nieprawda, Margaret. Za każdym razem jest inaczej i liczy się miłość, a nie data ślubu. Można się kochać i być razem bez ślubu. A ślub to tylko początek wspólnej drogi.

Stała i patrzyła na mnie.

Nagle usta zaczęły jej drżeć.

– Dla mnie – powiedziała, usiłując mruganiem odpędzić łzy – to już koniec.

Kiedy rozdzieliły nas drzwi, rozmyślałam, jak głęboko ukryty i utajniony jest ból, który kobiety noszą na dnie swoich serc.

Dzień rozpoczął się od melodyjnego dźwięku dzwonów, dzwonów, dzwonów. Dzwoniły wszędzie, także w mojej wyobraźni. Dzwieczyła domofon, dzwonił telefon, a w mojej głowie biły weselne dzwony. Dom przypominał szalone kulisy jakiegoś spektaklu na Broadwayu. Bunny prosiła o przydzielenie pokoi gościnnych dla niej i Ashera, aby używać ich w roli przebieralni oraz do przyjmowania gości w ciągu dnia. Przywiozła ze sobą fryzjerkę i makijażystkę. Zorganizowała armię boyów do parkowania samochodów gości. Zjawiły się firmy cateringowe i zaczęły rozstawiać bufety z potrawami i napojami. Przyjechało pół tuzina barmanów i odbyło się zebranie z kelnerami i kelnerkami, gdzie przedstawiono wytyczne obsługi i uprzątnięcia stołów. Bunny wymagała, żeby pusty kieliszek czy talerz nie stał na stole dłużej niż minutę.

Przez cały dzień nie miałam wieści od Thatchera, za to Whitney, Hans i dzieci przyjechali wcześniej i przyszli do mnie, żeby „spotkać się, zanim to wszystko się zacznie, i spokojnie złożyć życzenia”, jak uzasadnił Hans. Whitney nic nie mówiła i patrzyła na mnie, jakby miała na twarzy maskę.

„Witaj w rodzinie” – powiedział. Whitney wymruczała jakieś życzenia i zaserwowała mi najbardziej chłodny i zdawkowy uścisk, na jaki mogła się zdobyć. Dzieci były uprzejme, ale tak sztywne, że przypominały rekwizyty, przestawiane przez rodziców z miejsca na miejsce. Odetchnęłam z ulgą, kiedy wyszli.

Potrzebowałam powietrza, ale za każdym razem, kiedy wychodziłam z apartamentu, Bunny wypychała mnie z powrotem, nalegając, żebym siedziała u siebie i odpoczywała w spokoju.

– Grace, wytłumacz jej! – zawołała, szukając pomocy u mojej mamy. – Powiedz, że musi być świeża i wypoczęta.

Mama wyjątkowo się z nią zgodziła. Nawet Amou uznała, że teraz powinnam się przejmować już tylko sobą.

– Dzisiaj jest twój dzień, Willow. Dzisiaj jesteś królową i ty rządysz! – zawołała z emfazą Bunny i zrobiła szeroki gest, jakby trzymała w ręce magiczną różdżkę i spełniała nasze życzenia.

Nie miałam wyjścia, musiałam się wycofać. Byłam zbyt spięta, żeby witać gości i podejmować decyzje z ostatniej chwili. Czas ciekł leniwie jak syrop klonowy, kapiąc sekundami i minutami. Kiedy w szybkich odstępach czasu spoglądałam na zegar, wydawało mi się, że wskazówki ciągle stoją na tej samej godzinie.

Niewiele zjadłam, a to, co przełknęłam, mój żołądek miał ochotę zwrócić. Z trudem utrzymałam w nim parę łyków wody. Amou wmusiła we mnie te kilka łyków, tłumacząc, że jeśli przystąpię do ceremonii z kompletnie pustym żołądkiem, mogę nawet zemdleć.

– W zeszłym roku byłam świadkiem, jak panna młoda zemdląca przy ołtarzu – powiedziała. – Kuzynka mojej córki. Cucono ją przez prawie pół godziny, ale słabo się czuła już do końca swojego wesela.

– To mi brzmi jak jedna z tych twoich słynnych historii, Amou, z serii tych, które serwowałaś mi w dzieciństwie, kiedy nie chciałam jeść albo iść do kąpieli. Na przykład tę o małej dziewczynce, która się nie myła i pod jej brudną pachą zalęgły się robaki.

Amou ze śmiechem zarzekła się, że nie wymyśliła historii o mdlejącej pannie młodej. Uległam, zjadłam trochę i udało mi się nie zwrócić jedzenia.

Wtem uświadomiłam sobie, że przez cały dzień nie widziałam Lindena i nie słyszałam o nim, więc zapytałam mamę, czy coś wie. Uśmiechnęła się, choć w jej oczach był niepokój.

– Zamknął się w pracowni. Wiem, że zjadł tam lunch. Ale dzisiaj nie powinnaś się niczym martwić, Willow. Zostaw to mnie. Pomogę mu ubrać się w smoking i zawiązać muszkę. Wszystko będzie dobrze – zapewniła, ale zabrzmiało to bardziej jak modlitwa.

Przyszedł czas na fryzurę, makijaż i wreszcie suknię. Dopuściłam do siebie tylko mamę i Amou, zamknawszy drzwi przed intruzami takimi jak ciotka Agnes czy Margaret. Na szczęście Bunny była zbyt zajęta, żeby troszczyć się o innych. Choć raz jej egoizm okazał się pożyteczny.

Co jakiś czas zerkałam przez okno na dziedziniec i widziałam pojawiających się gości – mężczyzn w czarnych smokingach i kobiety w kreacjach prosto z Paryża, Nowego Jorku czy Londynu. Dostrzegłam Manon z mężem, także inne damy z Club d'Amour ze swoimi towarzyszami. Oraz profesora Fuenteses, który przyjechał sam. Zjawił się pan Bassinger z żoną i państwo Rossowie. Czułam się jak artystka, wyglądająca przez szczelinę w kotarze. Orkiestra zaczęła grać. Serce załomotało mi gwałtownie i przestraszyłam się, że niczym panna młoda z opowieści Amou zemdleję przy ołtarzu.

Robin Monroe, kobieta, którą Bunny wynajęła jako organizatorkę i sekretarkę, zapukała do moich drzwi i oznajmiła:

– Czas, żeby panna młoda zeszła na dół! – Jej głos był tak donośny i oficjalny, jakby wzywała skazaną na egzekucję. Swój ostatni posiłek już zjadłam.

Mama i Amou popatrzyły na mnie z uśmiechem. Wstałam i ruszyłam przed siebie z pochyloną głową.

– Ślicznie wyglądasz. – Mama lekko ścisnęła moją dłoń.

Amou szła obok. Jeszcze nigdy nie sprawiała wrażenia tak silnej i pewnej siebie. Co za szczęście, że w takim momencie mogłam ją mieć u boku! Z dołu dobiegły dźwięki marsza weselnego. Amou odłączyła się w pewnym momencie i odeszła na swoje miejsce, a my schodziłyśmy do ołtarza. Nie byłam przygotowana na widok sześciusetosobowego tłumu. Wszystkie oczy były wpatrzone we mnie. Przez moment miałam wrażenie, że całe powietrze uszło mi z płuc. Nie wiem, jakim cudem utrzymałam się na nogach i posuwałam się naprzód, ale jakoś mi się udało.

Przede mną stał Thatcher z Lindenem. Obaj wyglądali bardzo elegancko w smokingach.

– Idź – szepnęła mama tak cicho, jakby mówiła tylko do siebie.

Wzięłam kolejny głęboki oddech i sama już wkroczyłam w aureę

olśniewającego uśmiechu Thatchera i zachwyconego, oszołomionego spojrzenia Lindena. Przez ułamek sekundy miałam poczucie, że to on uważa się za pana młodego, a nie Thatcher. Moje serce na moment drgnęło, jakby połaskotał je niewidzialny palec, ale popatrzyłam przed siebie, pastor zaczął mówić i nagle wszystko, o czym myślałam przez cały dzień i czego się bałam, rozplynęło się w uroczystym rytmie jego głosu i w głębokim znaczeniu jego słów.

– Moje gratulacje – powiedział profesor Fuentes. Zawahał się na ułamek sekundy, po czym pocałował mnie w policzek.

Przedstawiłam go Thatcherowi.

– Jesteś jedynym mężczyzną, który spędza z nią więcej czasu niż ja – powiedział. – Oczywiście nie mam nic przeciwko temu.

– Dzięki. Czas spędzony z Willow jest dla mnie przyjemnością – odpowiedział profesor.

Zanim Thatcher zdążył zaserwować mu dowcipną ripostę w swoim stylu, Bunny przepchnęła się na czoło kolejki do składania życzeń, aby mi przedstawić swoich dalekich krewnych, którzy „przyjechali wprost z wakacji w Hongkongu”, jak podkreśliła.

– Jesteśmy teraz jedną wielką rodziną, a dla rodziny przylatuje się nawet z drugiego końca świata – uzupełniła.

Przywitałam się z nimi uprzejmie i zwróciłam się do kolejnych gości. Kątem oka zobaczyłam profesora Fuentes, rozmawiającego z Manon Florette i Lianą Knapp. Jego spojrzenie powędrowało do mnie, wyraźnie wzywając pomocy. Zachciało mi się śmiać. Wzruszyłam ramionami i niedostrzegalnym gestem pokazałam mu kolejkę gości, która wiła się wokół patio. Musiał sobie radzić sam. Na razie nie mogłam go ratować.

Przymowianie życzeń okazało się bardzo męczące i oczywiście nie byłam w stanie zapamiętać większości nazwisk i twarzy. Niektórzy po prostu życzyli nam wszystkiego najlepszego, podczas gdy inni opowiadali o swoim własnym ślubie albo chwalili się, dokąd pojechali w podróż poślubną. Wreszcie kolejka się skończyła i usiedliśmy na chwilę, żeby odpocząć, ale niemal natychmiast zaczęto zachęcać nas do pocałunku, a potem odtanńczyliśmy pierwszy taniec. Thatcher zostawił mi wybór melodii i wybrałam *Love Is a Many Splendored Thing*, ulubioną piosenkę taty.

Podano jedzenie. Grała orkiestra. Jaka szczęśliwa była moja mama! Ciągle

spoglądała na nas, a w oczach miała blask. Podobnie wyglądała Amou. Siedziały obok siebie i dzieliły swoją radość, przy każdej okazji powtarzając mi, że tata byłby ze mnie dumny.

W pewnym momencie profesor Fuentes poprosił mnie do tańca. Thatcher tańczył z Sharon Hollis. Wszystkie klubowiczki ze stajni Manon zdążyły już z nim zatańczyć.

– To naprawdę najwspanialsze przyjęcie weselne, w jakim uczestniczyłem – powiedział. – Co nie znaczy, że zaliczyłem ich wiele, ale trudno mi sobie wyobrazić bardziej wystawne.

– To raczej ukłon w stronę rodziny Thatchera. Ja bym wolała cichy ślub z dala od wszystkich.

Roześmiał się.

– Ja, gdybym miał się żenić, także – wyznał. – Ale tak już bywa, że większość naszych poczynań ma zadowolić tych, których kochamy i którzy kochają nas, nie uważa pani?

– O, tak – przyznałam.

– Niedługo wychodzę – powiedział po tańcu. – Życzę udanej podróży poślubnej. Mam nadzieję, że małżeństwo nie przeszkodzi pani w kontynuacji studiów.

– Absolutnie nie, profesorze.

– W takim razie się cieszę. – Skinął mi głową i się oddalił. Kiedy wracałam na patio, Linden zastąpił mi drogę. Byłam tak zaabsorbowana przyjęciem, że przestałam zwracać na niego uwagę. Po chwili uświadomiłam sobie, że przeważnie nie było go wśród gości.

– Linden, gdzie się podziewałeś? – zapytałam. – Jadłeś coś?

– Wykańczałem dar dla ciebie ostatnimi pociągnięciami pędzla. Już jest gotowy.

– Bardzo się cieszę.

– Chcę, żebyś zobaczyła go przed wyjazdem.

– Linden, obejrzę go spokojnie po powrocie.

– Nie – powiedział twardo. – Musisz go zobaczyć przed wyjazdem.

Moje serce znów zaczęło gubić rytm. Spojrzałam na mamę, która obserwowała nas z troską, udając, że słucha, co mówi do niej mąż Whitney.

– Dobrze, Linden – zgodziłam się spokojnie. – Powiem o tym Thatcherowi.

– Możesz obejrzeć ten obraz pierwsza, jeśli chcesz. Ale możesz oczywiście przyjść z Thatcherem. Wszystko mi jedno. To jest przecież prezent ślubny.

- Linden, poczekaj chwilę, nie tak łatwo jest przyciągnąć uwagę Thatchera.
- Na pewno ci się uda, jak zawsze – warknął i odmaszerował na swoje miejsce. Przez następne pół godziny siedział tam nadąsany, spoglądając spode łba na gości. Mama zagadywała go, podobnie jak bliźniaczki Butterworth, ale jego wzrok ciągle kierował się ku mnie. Czułam go nawet wtedy, kiedy byłam do niego odwrócona – a może zwłaszcza wtedy, bo zdawał się przepalać mi plecy.
- Linden chce wręczyć nam swój prezent ślubny, zanim odjedziemy – powiedziałam do Thatchera, kiedy wreszcie zdołałam odciągnąć go na stronę. Był już trochę wstawiony, bo wychylał kolejne toasty z gośćmi i świetnie się bawił.
- Co za prezent?
- Obraz, który namalował. Mówiłam ci o nim.
- O kurczę, już sobie wyobrażam, co to może być... Dwa szkielety w łóżku albo kobieta w płomieniach i jej mąż, który usiłuje gasić pożar benzyną.
- Thatcher, przestań! Chodźmy na moment do pracowni, żeby go uszczęśliwić, zobaczyć to dzieło, pochwalić je i mieć sprawę z głowy.
- Okay, okay. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, najdroższa.
- Chyba się upiłeś, co?
- A skądże! – Wyciągnął prawą rękę, udając, że kładzie ją na Biblii. – Przysięgam na wszystko, że jestem tak trzeźwy, jak władze Palm Beach.
- Ty wariacie! – Roześmiałam się.
- Spojrzałam na Lindena, siedział ze zwieszoną głową.
- Zaraz go tu sprowadzę i wpadniemy na moment do pracowni, dobrze? – powiedziałam.
- Dobrze – zgodził się. – A potem wymkniemy się stąd. Limuzyna już czeka, żeby zawieźć nas na lotnisko. Jennings wyniesie bagaże.
- Kiedy podeszłam do Lindena, jednym skokiem zerwał się z fotela, tak gwałtownie, że rozmowy wokół ucichły jak nożem uciął. Uśmiechnęłam się do mamy, dając jej znak, że wszystko jest w porządku, po czym ruszyliśmy za Lindenem.
- Co, Linden, pora zdjąć zasłonę, nie? – zagadnął Thatcher.
- To nie jest pomnik ku czci – odburknął.
- Thatcher uśmiechnął się do mnie, kiedy wchodziliśmy do domu.
- Miło, że zechciałeś poświęcić dla nas tyle czasu i wysiłku, Linden.
- Odpowiedział mu spojrzeniem w stylu „błagam, daruj sobie”. Nie mogłam

powstrzymać śmiechu. Thatcher zachnął się i zacisnął usta.

Zatrzymaliśmy się pod drzwiami pracowni, czekając, aż Linden wyciągnie klucz i otworzy. Pomieszczenie było ciemne, ale nie zapalił światła. Podeszedł do sztalugi zakrytej płótnem. Serce zabiło mi mocniej. Co wydestylował ze swoich niedyskretnych zdjęć? Czy Thatcher wybuchnie?

– Zamknijcie drzwi – nakazał. – Nie możecie od razu go zobaczyć.

Thatcher posłuchał i znaleźliśmy się w całkowitej ciemności. Linden ściągnął płótno i zapalił lampę nad sztalugą. Ukazał się obraz, skąpany w świetle. Namalował mnie w prześwitującej białej sukni, ale obraz nie miał w sobie nic z pornografii. Moja figura rysowała się pod nią wyraźnie, ale sposobem malowania i doбором barw wytworzył wokół mnie aurę anielskości. Tłem była plaża w nocy. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że przedstawił mnie wychodzącą z wody, ale nie wydawało się, żebym wybiegała z fal w pośpiechu czy w przerażeniu. Przeciwnie, uśmiechałam się, moje oczy lśniły podekscytowaniem i szczęściem, jakbym szła ku czemuś lub komuś. Przyjrzałam się jeszcze uważniej i zobaczyłam niewyraźny zarys ręki, która wyciągała się do mnie z ciemności. Włosy, zwiewane przez wiatr do tyłu, stwarzały wrażenie ruchu. Moją twarz odtworzył tak dokładnie, że widać było nawet brzoskwiniowy puszek na policzkach.

– To jest bezsprzecznie twoje najlepsze dzieło, Linden – stwierdził Thatcher.

– Udało ci się uchwycić całe piękno Willow w sposób atrakcyjny i intrygujący. Możesz być z tego dumny. Zwłaszcza że większość twoich prac nawiązuje do bardziej mrocznej strony twojej osobowości – dodał.

Linden nie zwracał na niego uwagi. Patrzył tylko na mnie.

– Za bardzo mnie upiększyłeś, Linden.

– Tak cię widzę, Willow.

– Rozumiem, że ta ledwie widoczna ręka należy do mnie – zaznaczył Thatcher.

Linden nie odpowiedział, jakby był w tym pokoju tylko ze mną.

– Powiesimy ten obraz nad naszym łóżem, co, Willow?

– Tak, Thatcher. Dzięki, Linden. Twój obraz jest najwspanialszym prezentem.

– Pocałowałam go w policzek.

– Powieszę ci go tam, gdzie będziesz chciała – zaoferował.

– Świetnie. – Thatcher energicznie, zbyt energicznie, uściśnął dłoń Lindena, po czym zwrócił się do mnie: – Musimy się szykować. Sama wiesz, ile czasu trwa pożegnanie z moją matką.

– Racja. Dbaj o Grace podczas naszej nieobecności, Linden – przypomniałam.

– Zawsze o nią dbam.

Thatcher otworzył przede mną drzwi. Obejrzałam się na Lindena. Stał z dumną miną przy swoim arcydziele i się uśmiechał. Nie miałam absolutnie żadnych wątpliwości, ani w sercu, ani w myślach, że ręka wyciągająca się do mnie z ciemności nie należy do Thatchera. To była ręka Lindena.

Mała chmurka troski została zmieciona z gwiaździstego nieba w chwili, kiedy wsiadałam do limuzyny. Mama, Bunny, Asher i Amou stali na podjeździe, życząc nam cudownej zabawy.

– Przyznasz, że ślub był wspaniały, prawda? – powiedziałam do mamy.

– O, tak. Cokolwiek by o tym myśleć, Bunny przebiła nawet inne śluby w Palm Beach. Wszystko w porządku? – dodała, mając na myśli obraz Lindena.

– Tak. Obraz jest naprawdę piękny, zupełnie inny niż to, co Linden dotąd malował.

– Cieszę się, bo on potrzebuje artystycznego sukcesu.

Uścisnęłyśmy się. Potem objęłam Amou i łzy mieszały się na naszych policzkach.

– Niedługo cię odwiedzimy, Amou – obiecałam.

– Mam nadzieję – odparła. – *O deus abençoa-o.*

– Bóg z tobą – powtórzyłam i wsiadłam z Thatcherem do limuzyny. Popatrzyłam na nich i pomachałam im po raz ostatni.

– Tylko nie płacz. – Uśmiechnął się. – Przecież nie zabieram cię do więzienia, tylko na Lazurowe Wybrzeże.

– To są łzy szczęścia, Thatcher.

Roześmiał się.

Spośród różnych ludzkich reakcji płacz jest najbardziej niesamowity, gdyż może mieć dwie diametralnie różne przyczyny, myślałam. Płaczemy, kiedy jesteśmy szczęśliwi, i płaczemy, kiedy jesteśmy smutni. Ktoś, kto nas nie zna, nie rozstrzygnie, jaki jest powód płaczu. A może doznajemy tych dwóch uczuć naraz? W tym ważnym momencie życia żegnałam się z małą dziewczynką, która ciągle siedziała we mnie. Nadszedł czas, aby zostawić przeszłość za sobą.

Ale zobaczyłam tę dziewczynkę wtuloną w Amou i machającą mi z płaczem na pożegnanie.

I jak się z tym czułaś? – usłyszałam pytanie taty.

Boli mnie to, tatusiu. Dlaczego nie można zatrzymać tych wszystkich rzeczy – naszej niewinności, młodzieńczych marzeń – i trwać razem z nimi w dorosłości?

Czemu uważasz, że nie można?

Odpowiedzialność, obowiązki, dorosłość. Ale czasami myślę, że cena jest za wysoka.

Widziałam go w wyobraźni, jak potakuje z zamyśloną miną, zastanawiając się nad własnym życiem i marzeniami, które miał i które stracił.

– Hej – zawołał Thatcher. – Przestań być taka poważna. Zaraz odlatujemy i zostawimy to wszystko za sobą. Przez tydzień będziemy w raju, okay?

– Okay. – Wtuliłam się w niego. Całowaliśmy się i próbowałam posłuchać rad Thatchera; zapomnieć o wszystkim, poza nami.

We Francji, w Eze, nietrudno było zrealizować te zalecenia. Wylądowaliśmy w Nicei, a po dwudziestopięciominutowej jeździe znaleźliśmy się w średniowiecznym, otoczonym murami miasteczku, leżącym na wzgórzu. Uliczki były zbyt wąskie dla aut, więc limuzyna zatrzymała się na parkingu pod murami. Hotel był urządzony w jedenastowiecznych zabudowaniach i część pokoiów znajdowała się w innych budynkach. Z zewnątrz wyglądał tak, jak przed wiekami, lecz wnętrza i wyposażenie były z gruntu nowoczesne, z internetem i faksami w pokojach, co bardzo ucieszyło Thatchera, choć wcześniej twierdził, że w tym bajkowym miejscu musimy się oderwać od świata.

Współczułam bagażowym, którzy musieli taszczyć nasze walizy na szczyt wzgórza, i dopilnowałam, żeby Thatcher nie skąpił im napiwku. Widok z naszego tarasu zapierał dech w piersiach; można było podziwiać panoramę wybrzeża i Cap Ferrat. Woda miała kolor turkusowy, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam. Widok tego morza, usianego białymi żaglami, wśród których śmigły motorówki, z majestatycznymi wycieczkowymi statkami, był jak świat marzeń, widziany przez magiczne okno.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było zamówienie posiłku. Zjedliśmy i położyliśmy się do łóżka, żeby odespać międzykontynentalny lot. Najpierw jednak się pokochaliśmy, bo ostatnio rzadko byliśmy ze sobą. Mimo woli pomyślałam o wyznaniach Margaret na temat jej miodowego miesiąca i życia łóżkowego. Thatcher nie był ideałem – a który mężczyzna nim jest? – ale nie

można go było nazwać egoistycznym kochankiem. Czasami miałam wrażenie, że wynikało to z jego męskiej dumy. Zawsze się dopytywał, czy jestem zadowolona.

Taka właśnie jesteś, Willow, powiedziałam sobie. Ciągłe wszystko analizujesz, nawet swoje życie łóżkowe. Postanowiłam odgrodzić się od tych myśli i cieszyć się dniami spędzonymi w tej cudownej bajce.

Dni były piękne. Śniadania na tarasie z widokiem na zatokę. Spacery po miasteczku i wizyty w niezliczonych sklepikach z wyrobami lokalnych rzemieślników i artystów, w restauracjach i kawiarniach, w ogrodach i w fabryce perfum, gdzie zachowywaliśmy się jak para nastolatków, spryskując się testerami, aż musiano uprzejmie przywołać nas do porządku.

– Ludzie na wakacjach czują się młodsi i zachowują się jak młodziki – stwierdził Thatcher. – Mają poczucie wolności, oderwania od codziennych spraw, no nie, doktorku?

Od pewnego czasu nazywał mnie żartobliwie „doktorkiem”, nawiązując do mojego nawyku analizowania ludzi i ich zachowań.

– Teraz widać, kto z nas tak naprawdę nie potrafi się oderwać od swojego warsztatu – powiedział ze śmiechem.

– Cały świat jest moim warsztatem – odparowałam.

– Masz rację – przyznał. – Muszę się pilnować.

Najwidoczniej się nie upilnował, gdyż czwartego dnia zaskoczył mnie dziwnym komunikatem po telefonie, który odebrał rano. Mówił cicho, bo myślał, że jeszcze śpię. Kiedy odłożył słuchawkę, otworzyłam oczy i zapytałam, kto dzwonił.

– Namierzyli mnie – powiedział.

– O co chodzi? – Usiadłam na łóżku.

– Mówiłem ci, że mam poważnego klienta we Francji. Jest właścicielem posiadłości w Palm Beach i kieruje firmą inwestycyjną, która zamierza zbudować u nas hotel. Negocjacje są bardzo zaawansowane i wygląda na to, że twój nowo poślubiony zarobi dla nas masę kasy.

Podszedł do szafy i zaczął wyjmować z niej ubranie.

– Dokąd się wybierasz? Jeszcze wczesnie.

– Mam spotkanie w Nicei z nim i jego dwoma pracownikami. – Uśmiechnął się. – Ciesz się, bo właśnie zyskałaś czas tylko dla siebie; chwilę przerwy od totalnie zaborczego Thatchera Eatona. Na szczęście krótką.

– Przerwa? Jak długo cię nie będzie?

– To będzie spotkanie, a potem lunch. Powinienem wrócić wczesnym popołudniem. Chciałaś kupić pamiątki, więc masz okazję. Ja nigdy nie przepadałem za chodzeniem po sklepach; nie mam do tego cierpliwości. Tylko bym ci przeszkadzał. Dzisiejszą kolację zjemy razem – dodał szybko. – Zamówiłem najlepszy stolik, przy oknie, z widokiem, który cię powali.

– Thatcher, ale to jest nasz miesiąc miodowy. Jak mogłeś zaplanować biznesowe spotkanie?

– Nie planowałem, przecież mówiłem ci, że mnie namierzeli i że sprawa jest pilna. Moja obecność tutaj to dodatkowy zysk, mamy okazję poznać jego partnerów i dzięki temu nie będę musiał za parę tygodni lecieć do Francji. Z dwojga złego chyba tak jest lepiej, prawda? Postaram się wrócić jak najszybciej.

– A jak dostaniesz się do Nicei?

– Przyślą po mnie samochód. To są grube ryby, kotku. Nie muszą się liczyć z kosztami i z samego procentu od transakcji zarobię piękną sumkę.

Pocałował mnie w policzek.

– Nie bądź taka smutna. Pamiętaj o powiedzeniu: rozłąka powoduje, że bardziej się kochamy.

– Sądziłam, że bardzo się kochamy – stwierdziłam kwaśno.

– Kochania nigdy za dużo, Willow. Warto mieć zapas. Tylko nie poderwij jakiegoś przystojnego Francuza pod moją nieobecność! – ostrzegł i ruszył do drzwi.

– Thatcher! – zawołałam, ale już go nie było.

Opadłam na poduszkę nadąsana, lecz szybko doszłam do wniosku, że miał rację. Chwila tylko dla siebie powinna mi dobrze zrobić, a rzeczywiście wybierałam się na zakupy. Zjadłam śniadanie na tarasie, przeczytałam „International Herald Tribune”, a potem wyszłam z hotelu i zapuściłam się w labirynt wąskich, brukowanych uliczek. Wchodziłam do sklepików, szukając prezentów, które spodobałyby się mamie, Amou, Lindenowi i nawet rodzicom Thatchera, choć co do nich wiedziałam, że tylko spojrzą na podarki i natychmiast o nich zapomną.

W jednym z kramów mieli interesujący zbiór różnych tabliczek i posterów. Na jednej z nich był cytat z Zygmunta Freuda. Pomyślałam, że fajnie by wyglądała w gabinecie profesora Fuentesesa. Kupiłam ją i od razu kazałam mu wysłać. Cytat brzmiał: „Po trzydziestu latach badań nad duszą kobiety ciągle nie potrafie odpowiedzieć na pytanie, czego pragnie kobieta”.

Uśmiechnęłam się do siebie, wyobrażając sobie minę profesora, kiedy otworzy paczkę i przeczyta ten tekst. Na pewno pomyśli o swoich studentkach, w tym o mnie.

Po zakupach usiadłam na małym patio jednej z miejscowych knajpek i zamówiłam sałatkę, cudowne francuskie pieczywo i kieliszek merlota. Na ulicy młody człowiek siedział na murku i grał na akordeonie. Grał świetnie, ale muzyka była raczej melancholijna. Zamyśliłam się, słuchając, ale szybko się otrząsnęłam. Nie chciałam zapaść w mroczną studnię filozoficzno-egzystencjalnych rozważań i psuć sobie tych bajkowych dni.

Po powrocie do hotelu poszłam się opalać nad basenem. Byli tam goście z Niemiec, z innych rejonów Francji i nawet z Japonii. Wokół mnie szumiał wielojęzyczny gwar i śmiechy szczęśliwych ludzi, stając się tłem dla moich uszu, coraz cichszym, aż zanim zdążyłam się zorientować, zasnąłam. Ocknęłam się, kiedy ktoś trącił mnie delikatnie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Thatchera; z uśmiechem pochylał się nade mną.

– Przesadziłaś z tym słońcem, Willow. Twarz masz czerwoną.

– Och! – wykrzyknęłam i zerwałam się szybko. – Musiałam zasnąć. Pewnie to wino, które wypiałam do obiadu...

– No ładnie, ledwie dałem nogę za próg, a ona już się samotnie upija, co? – zażartował.

Spojrzałam na zegarek. Było parę minut po czwartej.

– Ta twoja przerwa nie była taka krótka – powiedziałam z pretensją.

– Wiem. Sprawy się trochę skomplikowały. Zrobiłaś zakupy?

– Tak.

– Czyli nie traciłaś czasu – podsumował. – Proponuję, żebyś wróciła do apartamentu, wzięła zimny prysznic i porządnie się posmarowała, jeśli nie chcesz, żeby zesza ci skóra.

– Dobrze. – Wstałam szybko.

Posłuchałam rady Thatchera. Potem usiedliśmy na tarasie z drinkami i opowiedziałam mu, jakie prezenty kupiłam. Pominęłam tylko prezent dla profesora Fuentesy, gdyż instynktownie czułam, że Thatcher mógłby być lekko zazdrosny, choć przecież nie miałby powodu.

Kolacja była cudowna. Miał rację, widok po prostu mnie oszołomił. Potem siedzieliśmy na tarasie naszego pokoju i patrzyliśmy w górę, w gwiazdy, i w dół, na nocne morze. Dzień, który zaczął się rozczarowaniem, nagroził mnie romantycznym zakończeniem.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Eze, miałam dojmujące poczucie powrotu do rzeczywistości. Tam żyliśmy jak we śnie, unoszeni falą miłości, dotykaliśmy gwiazd. Samolot niósł nas z powrotem na ziemię. Kiedy dotknął kołami pasa, pomyślałam, że teraz zaczyna się moje nowe życie, z pytaniami domagającymi się odpowiedzi i drogami, którymi przyjdzie mi podążać.

Potężny wir wydarzeń i sensacyjnych wiadomości przyniósł mnie w to miejsce, dotąd dla mnie obce. A jednak było mi pisane. I teraz, po raz pierwszy w życiu, uzyskałam przynajmniej częściową kontrolę nad swoim przeznaczeniem. Jaki będzie świat, w którym urodzą się moje dzieci? Jakie dary i jakie ciężary im przekażę? Ile pozostawię po sobie pytań bez odpowiedzi i czy uda im się na nie odpowiedzieć?

Kochałam Thatchera. Był najbardziej atrakcyjnym, przystojnym i pewnym siebie mężczyzną, jakiego znałam, oczywiście poza moim ojcem. Jednocześnie miał w sobie mroczne obszary, których jeszcze nie poznałam i nie zgłębiłam. Trzeba wiele czasu, żeby kogoś dobrze poznać, nawet jeśli się go kocha. Żmudnie odrywać warstwę po warstwie, nie tracąc nadziei, że jeśli dotrze się odpowiednio głęboko, odkryje się rzeczy piękne, a nie coś, czego odkrycia będzie się żałować.

Większości ludzi będących w związkach nie zależy na takich odkryciach. Żyją na wierzchniej warstwie cienkiego lodu i krążą wokół siebie jak czujni łyżwiarze. Nie pytają. Nawet nie myślą o wnętrzu drugiego człowieka. Oddalają się od siebie, irytują siebie nawzajem, a jeśli kiedyś lód się pod nimi załamie, szybko wydobywają się na powierzchnię i odjeżdżają w dal, do innego partnera na innej tafli cienkiego lodu. Takiego partnera, który również nie zamierza zaglądać im do środka.

O czym oni śnią? O czym marzą? Moja matka adopcyjna z całą pewnością musiała wiedzieć, jak daleko odjechał od niej ojciec, jeśli chodzi o miłość, ale wolała udawać, że tak nie jest lub nie jest to dla niej ważne. Czy w momencie śmierci, w ostatnim przebłysku świadomości pożałowała tego? Przypomniła sobie swoje marzenia, te romanse rodem z ekranu i z kart książek, na które miała nadzieję? Odchodzenie z poczuciem zawodu jest bardziej bolesne? A może przeciwnie, śmierć jest ulgą?

Mnie to nie spotka, pomyślałam z przekonaniem.

Wzięłam Thatchera za rękę. Uśmiechnął się.

– Dobrze ci w domu? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałam i zaczęłam się śmiać.

– Wrócimy tam kiedyś – obiecał.

Nie, pomyślałam. Nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Każda chwila jest nowa i неповtarzalna. Możesz tylko iść przed siebie i mieć nadzieję, że podobne chwile jeszcze się zdarzą.

Miłość jest jak dobra książka – odwracasz strony i marzysz, żeby nie dojść do ostatniej.

Odwróciłam stronę.

Rozdział czternasty

BRACIA I SIOSTRY

Kiedy wróciliśmy do domu, odkryłam, że Linden wykazał inicjatywę i powiesił nad naszym łóżkiem swój obraz. Zrobił też inną bardzo dziwną rzecz – wyprowadził się ze swojego pokoju i zajął owiany złą sławą pokój, w którym Kirby Scott uwiódł mamę. Pomieszczenie znajdowało się za ścianą naszej sypialni i dotąd stało puste, gdyż wspomnienie dramatu, jaki tam się rozegrał, wypełniało go złą energią.

Miałam okazję porozmawiać z nim o tym już w dniu naszego przyjazdu. Przylecieliśmy wcześniej i Thatcher od razu pojechał do biura. Już na lotnisku nie odrywał komórki od ucha i narzekał, że lista spraw do załatwienia ciągle się wydłuża.

Jadłam lunch z mamą i Lindenem. Wyglądała na zmęczoną, ale nic nie mówiła, dopóki nie znalazłyśmy się na osobności. Chciała usłyszeć o naszej podróży i bardzo jej się podobały bluzka i spódnica z malowanego jedwabiu, które jej przywiozłam, podobnie jak szklane figurynki. Dla Lindena udało mi się znaleźć coś ciekawego – ręcznie wyrabiane i malowane maski. Uważałam, że są bardzo oryginalne, i podzielał moje zdanie.

Nie licząc dziwnego ruchu z przeprowadzką do dawnego pokoju mamy, mój brat był bardziej pogodny i ożywiony niż przed naszym wyjazdem. Rozprawiał o swoich nowych twórczych pomysłach i planie udoskonalania Joya del Mar. Jego koncepcje jak zwykle szły w stronę przywrócenia rezydencji dawnego charakteru i zatarcia śladów po Eatonach.

Po lunchu mama powiedziała mi, że Linden miał się dobrze i nie wykazywał objawów melancholii, które zawsze tak ją martwiły, gdyż mogły być sygnałem kolejnej katastrofy.

– Usiłowałam go odwieść od pomysłu przeprowadzki do tamtego pokoju, ale się uparł. Tłumaczył, że musi wypędzić wszystkie dawne duchy, stawić czoło przeszłości i raz na zawsze ją pogrzebać. Twierdził, że ty kiedyś o tym mówiłaś. Zaskoczyła mnie ta demonstracja siły, więc uznałam, że nie ma sensu z nim dyskutować. Zwłaszcza że wydawał się taki szczęśliwy. Może i nawet ma rację, ale nie potrafię się pozbyć niepokoju.

– Rozumiem, mamó. I widzę, że mało odpoczywałaś. Masz problemy z zaśnięciem?

– Tak. – Opuściła wzrok, a potem spojrzała na mnie. Dawno nie widziałam w jej oczach tyle lęku i bólu.

– Co się dzieje, mamó?

– Linden dobrze się czuje w tym pokoju, ale ja ciągle przeżywam męki, kiedy tam wchodzę. A kiedyś był taki miły i przytulny! Pamiętam swoje lalki i ukochane prezenty. Jackie Lee kazała dla mnie uszyć specjalną, kolorową narzutę na łóżko. Czułam się w nim bezpiecznie, jak w ciepłym gniazdku. – Urwała na moment, gdy opadła ją fala wspomnień, od których wołałaby uciec.

– Kiedy Kirby po raz pierwszy przyszedł do mojego pokoju, usiadł na łóżku i zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie. Potrafił świetnie opowiadać; zmieniać zwykłe historie w bajki. A ja byłam tak dziecinna i naiwna, że dałam się mu prowadzić za rączkę drogą wysłaną różami. Dlatego kiedy mnie dotknął, uznałam to za dotyk czułego rodzica; łagodną, kojącą pieszczotę.

Zaczął od trzymania mnie za rękę i kładzenia mi dłoni na ramieniu. Czasami, kiedy opowiadał mi bajkę, przeczesał palcami moje włosy i zawsze całował mnie na dobranoc – przelotnie muskał wargami moje usta, tak szybko, że nie zdążyłam zareagować. Ale potem myślałam o tym dotknięciu, bo wydawało mi się jakieś inne, dziwne.

Jak widzisz, uwodzenie było niespieszne, rozłożone w czasie. Ufałam mu. Nie wstydziłam się, kiedy przychodził i zastawał mnie w bieliźnie czy w pizamie – między innymi dlatego, że wydawał się nie zwracać na to uwagi. Umiejętnie budował we mnie poczucie, że traktuje mnie asekualnie, tak jak ojciec powinien traktować córkę.

Pewnego wieczoru wpadł na moment, kiedy się kąpałam. Na szczęście było w wannie tak dużo bąbelków i piany, że zakrywały mnie całą, więc się nie przejęłam. Ale on podszedł i powiedział, że umyje mi plecy. Zakrywałam piersi rękami, kiedy to robił. Uważałam, że w ten sposób nie zobaczy mojej nagości. A jednak, kiedy skończył i znów się zanurzyłam, jego dłoń

w przelocie musnęła moją pierś. Uśmiechnął się do mnie i wyszedł.

Wrócił trzeciego wieczoru. Jackie Lee wyszła gdzieś z przyjaciółkami. Właśnie się położyłam i czytałam książkę, kiedy wszedł i zaczął się żalić, że jest samotny, bo moja mama znów go zostawiła i poszła sobie.

Mówił, jak trudna do zniesienia jest dla mężczyzny samotność; o wiele trudniejsza niż dla kobiety. Bo – jak mi wyjaśnił – mężczyźni mają większe potrzeby. „Kobiecie łatwiej jest zostać zakonnice niż mężczyźni mnichem” – stwierdził. Wierzyłam jego słowom, bo otaczała go aura pewności, był dla mnie autorytetem.

Wypytywał mnie o moje kontakty z chłopcami i o to, czy kiedykolwiek odczuwałam zmysłowe podniecenie. Oczywiście wiedziałam, co ma na myśli, i się zaczerwieniłam. Wziął to za odpowiedź i pochwalił, że jestem taka naturalna, a potem zapewnił, że nie mam się czego obawiać ze strony mężczyzn. „Mężczyźni – mówił – szybciej i łatwiej się podniecają, a potem dłużej pozostają w stanie podniecenia”. Tłumaczył, że powinnam wiedzieć o tym wcześniej, żeby nie być zaskoczona. Do jego obowiązków jako ojczyma należy przygotowanie mnie na takie życiowe sytuacje. Po prostu musi mnie uświadomić, gdyż mama jest zajęta swoimi sprawami i nie zauważa, że jej córka dorosła.

Potem zaczął mnie komplementować, mówić o mojej urodzie, o ciele, wreszcie przyznał, że go podniecam. I pokazał mi to.

Oczywiście byłam przerażona. Pamiętam, że ledwie mogłam oddychać, a to był dopiero początek. Kirby wsunął się pod kołdrę i zaczął mnie dotykać, pieścić, aż... stało się.

Po tym mój pokój zmienił się na zawsze. Stał się sceną tego strasznego wydarzenia i podobnie jak ja stracił niewinność, stracił całą swoją magię. Odtąd nie mogłam w nim zasnąć. Serce mi łomotało, kiedy tam wchodziłam. I nadal mi łomocze – wyznała. – Teraz mieszka tam Linden, a ja przeżywam traumę za każdym razem, kiedy przychodzę do niego. Może przez to jestem taka zmęczona.

Mama popatrzyła na mnie i zobaczyła szok na mojej twarzy. Jej historia mną wstrząsnęła.

– Przepraszam, Willow. Nie powinnam ci tego opowiadać. Nikomu nie opowiadałam, jedynie twojemu ojcu, kiedy byłam w klinice.

– Nie, mamu, cieszę się, że to zrobiłaś. Ale martwię się o ciebie. Jutro pojedę z tobą do lekarza. Musisz się porządnie przebadać.

– Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest. Po prostu dopadły mnie złe wspomnienia, no i starzeję się, ale to przecież normalne. Wszystko będzie dobrze, Willow. Jak mówią, czas leczy rany. Niedługo zapomnę i znów poczuję się lepiej. Niepotrzebnie się mną martwisz, zwłaszcza że zaczynasz teraz nowe, wspaniałe życie w naszym domu. Zamierzasz chodzić na letnie zajęcia na uczelni?

– Tak, myślę o tym.

– Świetnie, więc tym bardziej przestań zawracać sobie głowę lekarzami. Ja już wyczerpałam swój życiowy przydział lekarzy i myślę, że Linden też – stwierdziła stanowczo.

– Ale jeśli nadal będziesz się czuła zmęczona...

– Wtedy pójdę.

Nie byłam zadowolona z tego kompromisu, ale nie naciskałam, nie chcąc dodatkowych napięć. Oddaliłam się, roztrzęsiona wewnętrznie, myśląc o Kirbym Scotcie i jego okrutnej, wyrachowanej metodzie uwodzenia. Mama miała rację. Musimy odgrodzić się od przeszłości, pogrzebać ją na zawsze i patrzeć w przyszłość. Teraz dopiero uświadomiłam sobie, jak głęboko mama została zraniona, a wraz z nią i Linden.

Żaden student psychologii nie przerabia w domu praktyk naukowych, tak jak ja, pomyślałam z wisielczym humorem.

Postanowiłam pogadać z Lindenem. Zastałam go w pracowni. Siedział przy sztalugach, zajęty szkicowaniem nowego obrazu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziałam, zapukawszy w uchylone drzwi.

– Nie, nie, wejdz, proszę. Tak sobie szkicuję, próbując ustalić perspektywę. Jesteś opalona i wyglądasz na wypoczętą. Domyślałam się, że miodowy miesiąc jednak się udał.

– Dlaczego miałyby się nie udać, Linden?

– Och, nie wiem. Tak mi się powiedziało.

Powrócił wzrokiem do swojego płótna.

– Mam nadzieję, że ty też będziesz podróżował, Linden. Podróże są bardzo inspirujące, zwłaszcza dla artysty.

– Racja, racja.

– Ciekawi mnie, dlaczego zmieniłeś sypialnię – zagadnęłam. – Zwłaszcza na taką.

Odwrócił się, patrzył na mnie chwilę i wzruszył ramionami.

– Ten pokój jest większy i ma więcej światła. Głupotą jest zamykać go na cztery spusty tylko dlatego, że ktoś miał tam kiedyś nieprzyjemne przeżycia. Przecież to nie jest wina tych ścian, nie? Nie zamieszkały w nich złe moce?

– Oczywiście, że nie.

– Przecież to ty przekonałaś mnie, że powinniśmy się wprowadzić do tego domu i wyrugować z niego dawne, szkodliwe wspomnienia i stare duchy. Myślałem, że mnie zrozumiesz.

– Tak, Linden, rozumiem. Po prostu byłam ciekawa.

– Raczej zaniepokojona – sprostował, mrużąc oczy. Ich spojrzenie stało się mroczne. A potem nagle się uśmiechnął. – Nie musisz się już o mnie martwić. Wszystko jest dobrze. Z każdym dniem czuję się silniejszy.

– Cieszę się, Linden. Powiedz mi, jak było z mamą po moim wyjeździe? – Chciałam sprawdzić, w jakim stopniu zwracał uwagę na jej potrzeby. – Wygląda na zmęczoną.

– Grace bardzo przeżywa powrót do dużego domu – odparł. – Wiele razy widziałem, jak siedzi na tarasie i godzinami patrzy w dal. Znam ten jej stan i wiem, że znów żyje przeszłością. Robiłem, co mogłem, aby ją z tego wybić i przekonać, żeby raz na zawsze się od niej odcięła. Dobrze, że wróciłaś, bo teraz możemy działać razem.

– Tak, Linden.

– Zajmiemy się nią, Willow. To będzie nasz wspólny plan, prawda? Tylko mój i twój.

Uśmiechnęłam się, ale sposób, w jaki to powiedział, nasunął mi skojarzenie z tajną misją, o której nie mógł wiedzieć nawet Thatcher.

Mijały dni i tygodnie, a Linden zachowywał się jak wzorowy, kochający synek, gotów uchylić nieba dla ukochanej mamusi. Kiedy zmierzała do drzwi, otwierał je przed nią. Zaczynała zbierać ze stołu, zrywał się i wyjmował jej zastawę z rąk. Role zupełnie się odwróciły. Teraz to on pilnował, by mama jadła tylko zdrowe potrawy. Dbał, żeby brała swoje witaminy, i podsuwał jej ibuprofen, kiedy miała bóle reumatyczne.

Troszczyliśmy się o mamę razem. Jeśli Linden sugerował, żeby poszła na spacer, aby zażyć świeżego powietrza, towarzyszyliśmy jej oboje.

– Willow chce iść z nami – mówił i rzucał mi znaczące spojrzenie, a ja solennie kiwałam głową.

Pewnego wieczoru, kiedy Thatcher udał się na kolację z klientami, Linden zasugerował, żebyśmy też pojechali do miasta.

– Thatcher nie będzie, więc może nie szykujemy kolacji, mamo – powiedział. – Willow zawiezie nas do jakiegoś fajnego lokalu, prawda, Willow?

Mama była rozbawiona tak jak ja, ale natarczywy, uparty sposób, w jaki Linden namawiał nas do wyjścia, uruchomił w naszych głowach ciche dzwonki alarmowe. Ostatnio przeszedł przemianę z ponurego introwertyka, który rzadko się śmiał, zwłaszcza przy obcych, w człowieka żądnego czynu, poklasku innych i towarzystwa. Miał tylko jeden warunek – żebym była u jego boku. Nie zawsze mi się to udawało. Za każdym razem, kiedy odrzucałam zaproszenia Lindena, nawet tak niewinne jak sugestia, żebym wypięła kawę na tarasie z nim i mamą, miałam wyrzuty sumienia. Zrozumiałe, bo przecież nie chciałam, żeby wpadł z powrotem w koszmarny wir depresji i myśli samobójczych.

Wróciłam na uczelnię i parę razy, w czasie lunchu, miałam okazję rozmawiać z profesorem Fuentesem. Teraz znał już całkiem dobrze moje problemy rodzinne i przejmował się nimi nie mniej niż ja. Zawsze był gotów służyć mi swoim czasem i radą.

– Jak się zachowuje Linden, kiedy Thatcher jest w domu? – zapytał, gdy opisałam mu ostatni epizod.

Opowiadałam mu już wcześniej, jak Linden uważnie słucha Thatcher, kiedy ten usprawiedliwia się, że nie będzie na kolacji, bo ma na przykład spotkanie z klientami. Ostatnio, wiedząc, że Thatcher jedzie do Miami i wróci późno, bez konsultacji ze mną kupił trzy bilety na koncert do filharmonii w Palm Beach.

Wcześniej nienawidził tłumów i eleganckich ubrań, a teraz tak ekscytował się tym wyjściem, że rozbawił mamę, która bez oporów zgodziła się pójść z nami.

– Widzisz – powiedział mi potem – wywieramy na nią dobry wpływ. Potrafimy sprawić, że zapomina o przeszłości i zaczyna cieszyć się życiem. Jesteśmy jedną drużyną.

Teoretycznie miał rację, a jednak coś mnie w tym wszystkim niepokoiło. Ale co i dlaczego? Miałam nadzieję, że profesor Fuentes pomoże mi odpowiedzieć na te pytania.

– A co się dzieje, kiedy wychodzi pani gdzieś z Thatcherem i Linden nie zostaje zaproszony? – zapytał.

– Nie dąsa się jak dawniej, ale mam wrażenie, jakby był...

- Zły?
- Raczej zawiedziony, może trochę poirytowany.
- Nadal jest pani dla niego całym światem, Willow. Dlatego ważne jest, aby Linden nawiązywał inne kontakty. Wyszedł z głębokiej depresji, przemógł własne słabości. Przypomina teraz młodego chłopaka, który przyłgął do pierwszej życzliwej mu i ładnej kobiety, jaką napotkał. To może być coś w stylu młodzieńczego zakochania się ucznia w nauczycielce. Nie sądzę, aby sprawa była poważna, ale na pani miejscu robiłbym wszystko, żeby Linden znalazł sobie jakieś towarzystwo.
- Znów dużo pracuje. Namalował nowe obrazy i Thatcher przekazał je swojemu przyjacielowi, który ma nadzieję sprzedać je w Europie.
- Tak? To świetnie. Byłoby dobrze wciągnąć go w środowisko artystyczne. Może tam nawiąże znajomości – zasugerował. – I zachęcać do tego, o czym sam mówił – do podjęcia studiów artystycznych.
- Powtórzyłam sugestie profesora Thatcherowi, on zaś od razu zaprosił Lindena, żeby pojechał z nim na wernisaż.
- Powinieneś oglądać prace innych artystów, Linden. To daje inspiracje – argumentował.
- Thatcher ma rację – dodałam.
- A ty też pójdziesz?
- Nie, muszę się uczyć. – Zerknęłam na Thatchera.
- A ja mam dużo roboty – mruknął Linden.
- Och, daj spokój, staruszkule, to zajmie nam góra dwie godziny, nie więcej – przekonywał Thatcher. – Zgódź się, nie będziesz żałował. I przez porównanie z innymi przekonasz się, jak dobrym artystą jesteś.
- Nie jestem staruszkulem – warknął Linden.
- Och, tak się mówi, nie ma się co obrażać. Więc jak?
- Powinieneś pojechać, Linden – namawiałam.
- Dobrze – odparł z rezygnacją. – Ale nie chcę tam tracić całego dnia.
- Kiedy wrócili, Thatcher powiedział, że Linden prawie cały czas stał w kącie, jakby czekał, aż ktoś go zauważy.
- Przedstawiłem go paru atrakcyjnym młodym kobietom, ale je zbył. Może potrzeba mu zastrzyku hormonów albo powinien zasłynąć jako najmłodszy facet biorący viagrę? – żartował.
- To nie jest śmieszne, Thatcher. Martwi mnie ta sytuacja i nie chcę, żeby mama się martwiła.

- Dobra, dobra. Skombinuję mu jakąś panienkę.
- Nie o to cię proszę.
- Wiem, ale jakim byłbym szwagrem dla niego, gdybym nie zadbał, żeby od czasu do czasu sobie ulżył?
- Thatcher!

Roześmiał się i odszedł. Nie byłam pewna, czy jednak nie ma racji. Może związek z kobietą, nawet przelotny, jest tym, czego Linden naprawdę potrzebuje? Z drugiej strony zastanawiałam się, dlaczego mężczyźni myślą o seksie tak samo, jak o zażywaniu aspiryny?

Czas, który spędzałam z Lindenem, chodząc z nim na przyjęcia, zakupy, kolacje czy choćby tylko spacerując po plaży, czasami także z mamą, stał się ku mojemu zaskoczeniu tematem bardzo nieprzyjemnych plotek. Drugim zaskoczeniem był sposób ich rozpowszechniania. Nic bym zresztą o nich nie wiedziała, gdybym nie została ponownie zaproszona do Club d'Amour. Powinnałam się domyślać, że klubowiczki nie zaprosiły mnie tylko dla rozrywki.

Tym razem jednak nie spotkałyśmy się w Club Florette, tylko w popularnej w Palm Beach restauracji, gdzie usiadłyśmy z tyłu, z dala od innych gości. Tak zarządziła Manon. Moje zainteresowanie tą kobiecą szajką miało aspekt naukowy. Opowiedziałam o tym profesorowi Fuentesowi i przyznał, że temat jest intrygujący.

Spotkanie zaczęło się niewinnie, od typowego paplania na temat kreacji na ostatnim balu charytatywnym w Palm Beach, znanych postaci, które się tam pojawiły, oraz śmiesznych numerów i wpadek różnych gości. Wreszcie Manon zwróciła się do mnie i powiedziała:

- Jest jeszcze coś, co niedawno do nas dotarło, i uważamy, że powinnaś o tym wiedzieć.
- Tak?

Serce zaczęło mi pikać niczym licznik Geigera–Müllera, mierzący moc i dawkę promieniowania. Wszystkie oczy wpatrywały się we mnie, czekając, jak zareaguję na słowa Manon, które zaraz padną.

– Musisz wiedzieć, że twoja szwagierka rozpowszechnia brzydkie posądzenia na twój temat i twojego brata. Opowiada, że prawie cały swój wolny czas spędzasz z Lindenem, sugerując, że nie jest to zwykła relacja siostrzano-braterska.

- Co? Whitney opowiada ludziom takie rzeczy?

– Absolutnie tak – potwierdziła Liana. – Nasze źródła w Palm Beach są wypróbowane i wiarygodne.

Sharon i Marjorie zgodnie kiwnęły głowami

– Co mówi?

– Powiedziała komuś, kogo znamy, że twój brat urządził sobie sypialnię tuż przy twojej. Czy to prawda?

– Tak, ale...

– Mówiła, że namalował obraz w prezencie ślubnym dla was, ale na nim jesteś tylko ty, przedstawiona bardzo seksownie. Podobno Linden sam powiesił go nad waszym łóżkiem i jedna z pokojówek mówiła, że kiedy was nie ma, często tam wchodzi, żeby na niego popatrzeć. I ponoć wpatruje się w ciebie jak w Świętą Panienkę. Zdaniem twojej szwagierki jest w tym coś nienaturalnego, wręcz perwersyjnego.

– Czy dzieje się coś dziwnego pomiędzy tobą a Lindenem? – zapytała Marjorie obcesowo. Reszta wstrzymała oddech.

– To jest podłe, obraźliwe pytanie! – warknęłam.

– Musiałam zapytać – tłumaczyła się. – Willow, zrozum, jeśli mamy cię wspierać, musimy znać prawdę. Na takiej samej zasadzie jak dobry obrońca.

– Nie proszę was o żadną pomoc – odparłam jeszcze ostrzejszym tonem. – Nic złego się nie dzieje, więc nie widzę potrzeby, żebyście miały mnie bronić.

– Wiesz, co mówią o tych, którzy zbyt gorliwie zaprzeczają? – wtrąciła Sharon.

– Ja po prostu nie mogę słuchać takich brudnych, obrzydliwych...

– Doskonale cię rozumiemy. – Manon rozejrzała się czujnie, sprawdzając, czy nikt nie słucha. – Willow, my naprawdę chcemy ci pomóc!

Z westchnieniem wbiłam wzrok w stół.

– Dlaczego ona robi takie rzeczy? – mruknęłam.

– Może sama ma nienaturalny stosunek do swojego brata – zasugerowała Marjorie. – Chodzi mi o sposób, w jaki patrzy na Thatchera, kiedy są razem.

– To może być plan. – Manon kiwnęła głową.

– Co? Co wy wygadujecie? Dlaczego wierzycie w jakieś obrzydliwe ploty?

– Nie ma znaczenia, czy ploty są prawdziwe, czy nie – stwierdziła Manon. – Trzeba walczyć z Whitney jej własną bronią. Nie martw się, poradzimy sobie.

– Nie. Nie życzę sobie jakiegos pojedynku na plotki z moją szwagierką – oświadczyłam stanowczo. – Porozmawiam z nią w cztery oczy i dopilnuję, żeby natychmiast przestała robić takie rzeczy, jeśli oczywiście jest to prawda.

– Nie doceniasz Whitney – ostrzegła Marjorie. – Jesteś amatorką w te klocki, Willow, a ona jest ekspertką w Grze Palm Beach. Schrupałaby cię na śniadanie.

– Dam sobie radę. – Spojrzałam na nie butnie.

– My tylko chcemy ci pomóc – powtórzyła Manon.

– Dzięki. – Pokiwałam głową. Z drugiej strony wiedziałam, że powoduje nimi nie tyle szlachetna chęć ujawnienia podłych machinacji, ile chęć udziału w tym, co nazwały Grą Palm Beach, gdyż one także uwielbiały się w nią bawić.

– Opowiedz nam o swoim miesiącu miodowym – zachęciła Sharon. Lecz czułam się jak pacjentka na kozetce u psychoanalityka. Kiedy zatrzasnęłam przed nimi jedne drzwi, wchodziły drugimi.

– Tak, mów o każdym szczególe, który pamiętasz – dodała Liana.

– I chcesz ujawnić – dorzuciła Sharon.

– Wszystko było tak, jak się spodziewałaś? – drążyła Manon.

Parsknęłam im śmiechem prosto w twarz. Wyprostowały się gwałtownie na krzesłach, jakby ktoś zwolnił sprężynę.

– Co cię tak śmieszy?

– Słowo daję, wy chyba żerujecie na życiu miłosnym innych kobiet. Taki zastępczy seks.

Ich uśmiechy zniknęły jak zdmuchnięte.

– Widać, że nasza studentka psychologii nie potrafi zostawić Freuda w domu, kiedy ma do czynienia z normalnymi ludźmi – wycedziła Marjorie przez zaciśnięte zęby.

– Jeżeli sprawy nie idą tak, jak sobie wyobrażałaś, nic ci nie da, jeśli zwalisz wszystko na nas – mówiła Manon. – Studiujesz psychologię, więc powinnaś to wiedzieć lepiej od nas.

– Nic na nikogo nie zwalam. A poza tym kto powiedział, że sprawy idą nie tak, jak sobie wyobrażałam?

– Ona za dużo zaprzecza! – zanuciła Sharon.

– Jesteście po prostu śmieszne – skwitowałam. – Przepraszam, ale muszę już iść.

Sięgnęłam do torebki i szukałam portfela.

– Zostaw to, Willow. My płacimy. Szkoda, że już uciekasz – powiedziała Manon.

– Jestem zmęczona i mam jeszcze dużo nauki. Dzięki za te paskudne

doniesienia.

Marjorie sięgnęła i złapała mnie za łokieć. Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Kiedyś, a może nawet wkrótce, będziesz nam szczerze dziękować.

Odsunęłam się od niej. Palące łzy gromadziły mi się pod powiekami, ale powstrzymywałam je dzielnie.

– Wierzcie mi, mam ważniejsze zmartwienia – rzuciłam. – Dzięki za lunch. Szczerze – dodałam i wybiegłam z lokalu.

Przez parę minut jechałam przed siebie, nie zwracając uwagi na kierunek. Parę razy gdzieś skręciłam i zorientowałam się, że jeżdżę w kółko. Już nie hamowałam łez. Spływały mi po policzkach. Dlaczego Whitney robi mi takie rzeczy? Jak ktoś, kto należy do rodziny, może tę rodzinę niszczyć? Co przez to chciała osiągnąć?

Jak teraz wrócę do domu i spojrzę w oczy mamie i Lindenowi, wiedząc, co ludzie mówią o nas i o mnie za sprawą Whitney?

Emocjonalny ból błyskawicznie przeszedł w gniew. Podjęłam decyzję. Gwałtownie zawróciłam i pojechałam do domu Whitney.

Długo trwało, zanim udało mi się sforsować bramę tej fortecy. W pewnym momencie chciałam już zrezygnować. Wreszcie brama się otworzyła i wjechałam do środka. W drzwiach powitała mnie pokojówka. W ręce trzymała miotełkę do kurzu i zauważyłam, że zirytowała ją moja niezapowiedziana wizyta, bo musiała przerwać ważne zajęcie.

– Pani Shugar jest na tarasie – poinformowała, wskazując ruchem głowy długi korytarz. – Rozsuwane drzwi na lewo.

– Dziękuję. – Szybkim krokiem ruszyłam przed siebie, stukając obcasami po kamiennych płytach, aż echo odbijało się pod wysokim sklepieniem.

Whitney siedziała pod wielkim parasolem. Była w szortach i w białym topie. Obok na stoliku leżała otwarta książka i stała wysoka szklanka z napojem – wyglądał jak piña colada – ozdobiona małą parasolką. Ten widok wywołał w mojej głowie myśl: ona uważa swój dom za hotel, a siebie za wieczną wczasowiczkę.

Kiedy się zbliżyłam, otworzyła jedno oko, westchnęła z lekką irytacją, po czym wyprostowała się i wskazała mi miejsce na kanapie.

– Co cię do mnie sprowadza, Willow? Myślałam, że jesteś zajęta studiami i swoim bratem.

– Właśnie dlatego tu przyszłam.

Uniosła brwi i sięgnęła po drinka.

- Napijesz się czegoś?
- Nie, ja tylko na chwilę.
- Aha. Dobrze, siadaj, bo boli mnie szyja, gdy patrzę na ciebie z dołu. Przysunęłam sobie krzesło od sąsiedniego stolika i usiadłam.
- Co się dzieje? Przybiegłaś tu, jakby się paliło – zagadnęła z tym swoim pokrętnym uśmiechem.
- Lepiej zapytaj, kto jest podpalaczem – odparowałam. Odstawiła szklankę.
- Co to ma znaczyć? – Zabrzmiało to ostro.
- Uświadomiono mi, bardzo boleśnie uświadomiono, że wygadujesz okropne rzeczy o Lindenie i o mnie.
- Tak? – Nie próbowała zaprzeczać.
- Czy to prawda?
- Nie powiedziałam niczego, o czym inni by nie myśleli i czego by nie podejrzewali – odpowiedziała wyniośle.
- Whitney miała tak wysokie mniemanie o sobie i swojej wyobrażonej pozycji, że czuła się bezkarna. I była zbyt arogancka, aby poczuć wstyd czy wyrzuty sumienia.
- Nie rozumiem twojej podłej, głupiej logiki, Whitney – wycedziłam. – Jestem żoną Thatchera, więc teraz staliśmy się jedną rodziną. Powinnaś nas bronić, a nie niszczyć obrzydliwymi plotkami.
- Nie rozsiewam plotek – warknęła. Na moment umknęła spojrzeniem w bok, ale kiedy znów się do mnie zwróciła, jej twarz była czerwona, a oczy płonące. Kryły się w niej mroczne moce, o których wolałam nie myśleć. – I zawsze dbam o moją rodzinę.
- Dbasz o rodzinę? Najpierw próbowałaś zniszczyć nasze stosunki, rozpowszechniając tę głupią historię o Kirbym Scotcie, a teraz, kiedy jesteśmy po ślubie, robisz coś jeszcze gorszego.
- Nie możesz winić mnie za to, że próbowałam otworzyć oczy Thatcherowi. Wparowałaś w nasze życie jak północno-zachodni wiatr, który zwiewa wszystko na wybrzeże. Tylko Thatcher mógł się ożenić z kimś, kto dźwiga taki bagaż!
- Nadal uważasz się za istotę wyższą, która wie, co jest dobre dla innych, a co nie?
- Odpowiedziała mi zimnym uśmiechem. Jej oczy miały szary, jednostajny odcień i wyglądała, jakby nie miała duszy.

– Widzę, że niczemu nie zaprzeczasz.
– Oczywiście, że nie zaprzeczam. Nie zamierzam uwiarygodniać tych bzdur. Tylko ktoś jeszcze bardziej zaburzony niż mój brat mógłby rozpowiadać ludziom takie rzeczy!

Niedostrzegalnie zacisnęła usta, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Są zdjęcia.

– Zdjęcia? Jakie zdjęcia? – Miałam wrażenie, jakby nagle wypompowano mi powietrze z płuc.

Znów się uśmiechnęła i opadła na oparcie.

– Powinnaś się domyślać, że ludzie, którzy całe lata pracowali dla Eatonów, wyrobili w sobie lojalność wobec nas. Jennings może mniej, ale pokojówki, które przejęłaś, są nadal lojalne. Tylko nie waż się nikogo zwalniać! – ostrzegła i oczy rozszerzyła jej furia.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

– O czym ty mówisz? – wykrztusiłam.

Znów ten uśmiech.

– O obleśnych zdjęciach, które za twoim pozwoleniem robił ci twój chory braciszek. – Gwałtownie wychyliła się ku mnie. – Pozowałam dla niego nago, tak?

– Nie, nie pozowałam. I nie mogę uwierzyć, że zleciłaś pokojówce, aby nas szpiegowała! Co za nieopisana podłość!

– Ja tylko chronię moją rodzinę – wyjaśniła sucho i upiła łyk drinka. – A teraz, skoro miałaś czelność przyjść do mnie, doprowadźmy tę sprawę do końca. Żądam, żeby twój brat zniknął.

– Co takiego?!

– Chcę, żeby zniknął z tego domu – powiedziała rozkazującym tonem. – Ze względu na dobro Thatchera. To jedyny sposób, by nie zaszkodziły mu perwersje, które mogą się tam zdarzyć. Jego reputacja nierozzerwalnie wiąże się z reputacją moich rodziców i moją. Nikt tutaj nie żyje w próżni. Wszystko, co ostatnio wyprawiasz, rzutuje na naszą rodzinę.

– A to, co ty wyprawiasz?

Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej wredny.

– Wątpię, abyś usłyszała choć jedną taką świńską rzecz o mnie, jakie ludzie opowiadają o tobie – wycodziła. – Pochodzisz z rodziny upośledzonej – ciągnęła z zimną satysfakcją. – Jeśli chcesz wiedzieć, najbardziej przeraża mnie myśl, jakie dzieci mogłabyś urodzić. Mam nadzieję, że Thatcher bierze to

pod uwagę i kiedy pomyśli o potomstwie, uda się do renomowanej agencji adopcyjnej. O ile wasze małżeństwo przetrwa.

Była rozluźniona i coraz bardziej pewna siebie.

– Opowiadałam ci już wcześniej, jak musiałam ratować Thatchera przed kolejnymi romantycznymi katastrofami – przypomniała.

Pokręciłam głową. Słowa gniewu uwięzły mi w gardle.

Przed oczami mignęły mi twarze kobiet z Club d'Amour. Miały absolutną rację, kiedy ostrzegały mnie przed Whitney i Grą Palm Beach.

Jednak nie mogłam okazać słabości, o którą wszyscy mnie posądzali. A zwłaszcza Whitney.

– Czemu to robisz? – Nadałam głosowi nowe, silne, twarde brzmienie.

– Co robię?

– Dlaczego tak często wdzierasz się w życie miłosne swojego brata? – zaatakowałam.

– Już ci mówiłam. Żeby go chronić. I chronić moją rodzinę.

– Naprawdę? A może to raczej ty jesteś niezdrowo zafascynowana swoim bratem? I nienormalnie go hołubisz? Masz jak najwyższe mniemanie o sobie i o swojej nienagannej reputacji w Palm Beach, a ja tymczasem wracam z lunchu z grupą kobiet, które plotkują o twoich kazirodczych zapędach!

– Kłamiesz!

– Jeśli chcesz, sprawię, żeby osobiście ci to powtórzyły. Jesteś sfrustrowana swoim małżeństwem. Twój mąż rozpowiada na prawo i lewo o twojej oziębłości. Chcesz się mnie pozbyć, żeby mieć Thatchera tylko dla siebie, tak?

– Ty chora, nienawistna...

– Ja?

Wstałam.

– Na pewno nie ja. Ja nie opłacam pokojówki w twoim domu, żeby podsłuchiwała rozmowy i wykradała różne rzeczy dla mnie. Wyobraź sobie, że nie cała twoja służba jest tak lojalna, jak myślisz. Sądzę, że łatwo będzie ich namówić, aby opowiedzieli co nieco o twoim wybujałym uczuciu do Thatchera – powiedziałam z groźbą w głosie.

– Nie ośmielisz się! Tylko spróbuj, a rozszarpie cię na kawałki! – wrzasnęła.

– Może tak, a może nie. Może obie na tym ucierpimy, ale nie martw się, Whitney. Kiedyś otworzę praktykę psychiatryczną, a wtedy zajmę się tobą *pro bono*.

Milczała, wpatrzona we mnie, i widać było, jak niepewność, zwątpienie

i wahanie wdzierają się na obrzeża jej diabelskiego umysłu.

Zerknęłam na zegarek.

– Jest parę minut po piętnastej. Oczekuję, że jeszcze dzisiaj, do godziny osiemnastej, odeślesz mi te zdjęcia. I jeśli kiedykolwiek jeszcze o nich usłyszę, albo dojdzie do mnie nawet drobna plotka o moim bracie i o mnie, zamienię się w chodzący tabloid. A wtedy na każdym balu dobroczynnym, na każdej prozanej kolacji, przy każdym wejściu do lokalu w tym mieście będą ci towarzyszyć wymowne spojrzenia i szeptki za plecami. Ja mogę mieszkać wszędzie – ciągnęłam z coraz większą swadą – nawet w Boca. Ale ty byś chyba umarła, gdybyś miała opuścić swoje ukochane, bezcenne Palm Beach.

Uśmiechnęłam się na widok jej miny.

– Tak, tak, Whitney. Przemyśl sobie to wszystko. I ja, i Thatcher możemy uprawiać nasze zawody w każdym miejscu. A gdzie ty możesz uprawiać swój zawód, Whitney? Chyba tylko tutaj i... w piekle, prawda?

Odwrociłam się i ruszyłam do wyjścia, ale przystanęłam po paru krokach i popatrzyłam na nią.

– Osiemnasta i ani minuty później. Zapamiętaj.

Moje obcasy zastukały na kamiennej podłodze jak seria z pistoletu.

Rozdział piętnasty

DRUGI MIESIĄC MIODOWY

– Muszę powiedzieć, że ciągle nie doceniam stopnia złożoności i skomplikowania stosunków rodzinnych – przyznał profesor Fuentes, kiedy opowiedziałam mu o konflikcie z Whitney. Siedzieliśmy w kawiarni nieopodal kampusu. – Po tym wszystkim, co usłyszałem – spoglądał na mnie przyjaźnie znad filiżanki kawy i uśmiechał się samymi oczami – śmiem twierdzić, że Whitney sama nie zdaje sobie sprawy ze swoich motywacji. Nie znam tej pani, ale moim zdaniem ona naprawdę wierzy, że robi coś dobrego dla rodziny, a w szczególności dla brata. Gdybym miał ją na terapii, zasugerowałbym zapewne, że używa tej racjonalizacji w dużo mniej szlachetnym celu i najlepiej by było, żeby przestała się okłamywać.

– I pewnie by pan jej pomógł – jeśli w ogóle można jej pomóc – ale do tego czasu dla mnie i dla Lindena może już nie być ratunku – powiedziałam.

Kiwnął głową.

– Możliwe. Myślę, że dobrze pani zrobiła, konfrontując się z nią. Pokazała, że nie jest bezwolną ofiarą. Udało się pani utemperować jej zapędy, ale nie przypuszczam, żeby całkiem zrezygnowała ze swojej wojny podjazdowej.

– Wiem.

– Na razie należałoby się skupić na Lindenie i pracować nad rozwojem jego kontaktów i życia towarzyskiego. Bowiem najlepszym lekarstwem dla pani brata byłoby poznanie kogoś, na kim mógłby skupić swoją uwagę.

– To też wiem.

– Przepraszam. – Znów się uśmiechnął. – Nie jestem tak błyskotliwy i pomocny, jak by pani oczekiwała.

– Och, nie, nie, panie profesorze – zaprotestowałam. – Nie ma pan pojęcia,

jak ważne są dla mnie pana opinie i w ogóle to, że zawsze chce mnie pan wysłuchać.

Kiwnął głową i popatrzył na swoją kawę.

– Czy Thatcher wie, jak bardzo pani mi ufa? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Ależ profesorze, istnieje niepisana zasada, w myśl której partnerzy osób terapeutyzowanych nie powinni pytać o przebieg terapii, prawda? Bez tej dyskrecji terapia byłaby nieskuteczna.

Roześmiał się.

– Wykapana córeczka tatusia.

– Przy takim ojcu nie miałam innego wyboru.

– Jasne. Po prostu nie chciałem być źle zrozumiany.

– Proszę się nie obawiać, panie profesorze. Thatcher ma swoje zaufane osoby i ja je mam. Z pewnością nie jest pan już dla mnie tylko nauczycielem. Jest też dobrym przyjacielem – powiedziałam szczerze.

Profesor kiwnął głową, minę miał poważną.

– Dziękuję, Willow. To dla mnie zaszczyt być twoim powiernikiem. I nie tytułuj już mnie panem profesorem, dobrze? A teraz powiedz mi, twoja matka wie, co się dzieje?

– Moim zdaniem nie, chyba że podsłuchiwała jakieś rozmowy służby, plotkującej o nas. Martwię się, bo chociaż przeprowadziliśmy się do wygodniejszego domu i wielu rzeczy nie musi już robić sama, wydaje się bardzo zmęczona. Coraz częściej ma zmarszczone czoło i zgarbione ramiona, zasypia w fotelu i traci apetyt. Z drugiej strony nie mogę poświęcić jej tyle uwagi, ile bym chciała – przyznałam. – Podobnie jest z Lindenem. Thatcher wypełnia prawie cały mój czas życiem towarzyskim. Przy czym w jego świecie rozmywają się granice pomiędzy tym, co towarzyskie, a tym, co biznesowe – do tego stopnia, że sama już nie wiem, które spotkanie jest ważne, a które nie. Dlatego boję się odmawiać, gdyż nie chcę go rozczarować ani popsuć mu układów.

Uśmiech Fuentesy nie zniknął.

– Czy mimo wszystko nie obawia się pani, że nawet pani ograniczone kontakty z Lindenem mogą być paliwem dla niemiłych plotek, które rozpowszechnia Whitney?

Z ociąganiem kiwnęłam głową.

– Czuję się jak Audrey Hepburn z filmu *Niewiniątka*, która oceniała

zachowania i wygląd ludzi, zastanawiając się, ile jest prawdy w podłych plotkach rozpowszechnianych na ich temat – przyznałam.

– Kiedy teraz wychodzę gdzieś z Lindenem, rozglądam się, czy nie widzi nas ktoś ze służby. Jeśli przypadkiem brat mnie dotknie, odskakuję jak oparzona. Za każdym razem, gdy patrzę na ten obraz nad łóżkiem, coraz bardziej dostrzegam w nim ukryty podtekst. Jeśli ktoś przypadkiem na niego spojrzy, czerwienię się, jakby on czy ona widzieli mnie nagą. A potem myślę sobie, że biedny Linden nie zasłużył na taką opinię. Ona mu to zrobiła; zrobiła to nam obojgu! Mój tata mawiał, że siła jest w oskarżeniu, a nie w skazaniu. Wtedy nie wiedziałam, o czym mówi, ale teraz już wiem.

– Thatcher nie wypowiada się na ten temat?

– Bezpośrednio nie, ale czasami wyczuwam w jego słowach ukryte aluzje. Albo dostrzegam, jak obserwuje Lindena oraz sposób, w jaki Linden patrzy na mnie. Kiedyś nasze spojrzenia się spotkały i wyczułam w jego wzroku podejrzliwość. Był to tylko przelotny błysk, ale jestem pewna, że go widziałam. A przynajmniej tak myślę. Może mam paranoidalne reakcje? Whitney powinna być usatysfakcjonowana.

– Powinna pani z nim o tym porozmawiać, Willow. I to jak najszybciej, zanim te sprawy niczym termity podkopią fundamenty waszego małżeństwa.

– Bardzo dobra rada – przyznałam. – Wiem, że powinnam jej posłuchać. Muszę. Co ja bym bez pana zrobiła? – dodałam z uśmiechem. – Chciałabym mieć pańską wiedzę. Choć małą jej część.

Roześmiał się.

– Willow, oboje nie mamy wystarczającej wiedzy. Tylko po prostu jedno z nas umie ukryć ten fakt.

Teraz już śmialiśmy się oboje. Tak zakończyło się nasze kolejne spotkanie przy kawie. Wróciłam na zajęcia. Kiedy po południu jechałam do domu, obiecałam sobie, że posłucham rady profesora i odbędę szczerą rozmowę z Thatcherem.

Na razie wydawało się, że Whitney uwierzyła w mój bluff. Odesłała mi zdjęcia. Oczywiście nie mogłam być pewna, czy nie zrobiła kopii, ale zakładałam, że jeśli nawet je ma, nie ośmieli się ich nikomu pokazać. Obojętnie, czy lubiła mnie, czy nie, byłam przecież żoną jej brata. Na razie nie miałam żadnych wiadomości od Club d'Amour i żywiłam nadzieję, że plotki ustały. Jednakże, jak powiedziałam profesorowi Fuentesowi, zło już się stało i musiałam mu stawić czoło.

Poczułam zawód, kiedy zadzwonił Thatcher, aby mnie powiadomić, że ma pilne zebranie w Tallahassee. Dodał, że chodzi o firmę i ludzi, z którymi spotkał się w Nicei podczas naszego miesiąca miodowego.

– Urabiają teraz paru naszych stanowych polityków – wyjaśnił. – To spotkania poza protokołem, jeśli wiesz, o czym mówię. Są bardzo intensywne i zajmą mi prawie dwa dni. Wrócę jutro w nocy.

– Och – jęknęłam.

– Nie rozpaczaj tak, to tylko trzydzieści sześć godzin.

– Muszę z tobą porozmawiać, ale tak, żebyśmy mieli czas tylko dla siebie, bez gości na kolacji, krewnych, telefonów i innych spraw, które by nam przeszkadzały – powiedziałam z naciskiem.

– Moglibyśmy na weekend polecieć do Nassau – zaproponował.

– Może i tak.

– Dobrze. A o co konkretnie chodzi? O twojego brata?

– Nie. Niezupełnie o niego. Problem jest szerszy.

– Nie chciałem o tym wspominać, ale chyba powinienem – powiedział po chwili wahania.

– Co?

– Myślę, że twój brat nocami czai się pod naszymi drzwiami.

– Czai się?

– Wczoraj i kiedyś poprzedniej nocy wyszedłem z sypialni, kiedy spałaś, a on rzucił się do swoich drzwi.

– Może to tylko przypadek.

– Może, a może nie. W ogóle mam wrażenie, że ciągle gdzieś się skrada. Wiem, że zdaniem twoim i Grace Linden robi ogromne postępy, ale mnie on niepokoi, Willow. Proszę, pomyśl o tym. I bądź ostrożna – dodał.

– On nie chce nikomu zrobić krzywdy, Thatcher.

– Jest wiele różnych sposobów krzywdzenia kogoś. Postaraj się być bardziej obiektywna i czujna, dobrze? A teraz muszę kończyć. Zadzwonię do ciebie.

– Thatcher...

Usłyszałam szcęk odkładanej słuchawki i stałam chwilę, trzymając swoją w ręce. Czyżby Whitney jednak dopadła Thatchera i zatrąła mu umysł? Sugestia profesora Fuentesesa pojawiła się za późno? Chyba źle, że zwlekałam tak długo, zwłaszcza z ujawnieniem Thatcherowi mojej rozmowy z Whitney. Ta zwłoka musiała obudzić w nim podejrzenia i wątpliwości. Podstawą, siłą i krwiobiegem małżeństwa jest zaufanie. Siła miłości zależy od sekretów,

które małżonkowie mają przed sobą. Im mniej ich jest, tym bardziej ich miłość kwitnie. Dla mnie najlepszą ilustracją tej prawdy było małżeństwo ojca z moją matką adopcyjną. Tajemnice, które mieli przed sobą, mogłyby wypełnić Atlantyk, a ich miłość wypełniłaby najwyżej naparstek.

Tego wieczoru mama nie zeszła na kolację. Linden mi powiedział, że skarżyła się na ból głowy, wzięła jakieś proszki i zasnęła. Poszłam do niej i zobaczyłam, że śpi mocno.

– Za bardzo się o nas wszystkich martwi – orzekł, kiedy wróciłam. Siedział przy stole i jadł kolację z apetytem, jakiego nigdy u niego nie widziałam. – Wiem, że ja jestem głównym powodem jej troski. Za dużo pracuję, snuję się po domu, ścigając każdy cień, ale na szczęście to się zaraz skończy – oznajmił.

– Tak? Dlaczego?

– Zgadnij, gdzie dzisiaj byłem, kiedy ty pojechałaś na uczelnię?

Pokręciłam głową.

– No, gdzie?

– Też na twojej uczelni. – Wręcz promieniał. – Zrobiłem wreszcie to, o czym ci wcześniej mówiłem – zapisałem się na kurs przygotowawczy na studia artystyczne. Zajęcia będą we wtorki i czwartki o dziewiątej i zaczynają się od następnego semestru. Jeśli mi się spodobają, zapiszę się jeszcze na inne, a może nawet na dwa dodatkowe.

– To cudowna wiadomość, Linden. Powinieneś też zapisać się do któregoś z klubów. Dzięki temu poznasz różnych ludzi.

– Tak. Pomyślę o tym.

Jego słowa podniosły mnie na duchu.

– Gdzie jest Thatcher? – zapytał, jakby dopiero teraz zauważył, że sami jemy kolację.

– Dziś i jutro ma ważne spotkania biznesowe w Tallahassee. Wraca jutro, późnym wieczorem.

– Aha.

Miał dziwny wyraz twarzy, jakby na moment odpłynął gdzieś myślami. Jadłam, obserwując go. Po chwili znów pochylił się nad talerzem i pochłaniał jedzenie jeszcze szybciej niż przedtem. Kiedy ze śmiechem ostrzegłam, że się udławi, wyjaśnił, że spieszy się, bo ma dużo pracy.

– Robię to, co naprawdę lubię, i dostałem obsesji na tym punkcie – przyznał, zniżając głos do szeptu. – Jednak w przypadku artysty obsesja nie musi być czymś złym. Przeciwnie, nadaje mojej pracy specjalny wymiar. Rozumiesz,

prawda? Thatcher by tego nie zrozumiał. Ale na ciebie zawsze mogę liczyć – wyznał.

– Tak, rozumiem. Miej obsesję, ale nie daj się opętać – poradziłam i Linden zaczął się śmiać.

– Wydaje mi się, że takiej rady powinnaś raczej udzielić Thatcherowi. On ostatnio pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nie odpowiedziałam, gdyż miał rację.

– Ale nie powinniśmy się tym martwić, prawda? – dodał i znów się uśmiechnął. – Kiedy się na kimś zawiedziemy, znajdzie się ktoś inny, kto dotrzyma nam towarzystwa.

Zaśmiał się po raz kolejny i powrócił do jedzenia.

Po kolacji wróciłam do siebie, żeby się pouczyć. Kiedy skończyłam, poszłam do mamy, by sprawdzić, jak się czuje. Obudziła się i pokojówka przyniosła jej na górę herbatę, tost i dżem.

– Dzisiaj się trochę posypałam – przyznała. – Ale nie patrz na mnie wielkimi oczami i nie mów o lekarzach i szpitalach, błagam. Wiesz, że tego nienawidzę.

– Jeżeli jutro też będziesz się czuła jak...

– Jutro będzie dobrze – zapewniła. Zapytała o Thatchera i powiedziałam jej o rozmowach w Tallahassee, a potem o miłej kolacji z Lindenem,

– Ma nowe projekty artystyczne. – Powtórzyłam jej, co mówił o kursach na uczelni.

– Och, to świetna wiadomość. Oby tylko wytrwał w swoim zamiarze.

– Już my go dopilnujemy – obiecałam.

Wróciłam do siebie i oglądałam telewizję, dopóki powieki nie zaczęły mi ciążyć. Chyba nawet na chwilę przysnęłam. Wreszcie wstałam, wyłączyłam odbiornik i zgasiłam światło. Tej nocy poczułam się jeszcze bardziej samotna w naszym wielkim małżeńskim łóżu. Niedługo byliśmy małżeństwem, lecz bardzo szybko przyzwyczaiałam się, że mam Thatchera obok siebie. Słyszałam jego równy oddech i wiedziałam, że w każdej chwili mogę się do niego przytulić. Ta świadomość dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Na mojej dawnej uczelni, ale także i tej, znajome dziewczyny przywiązywały taką wagę do swojej niezależności, że podśmiewały się ze mnie, kiedy mówiłam, że ktoś – zwłaszcza mężczyzna – daje mi poczucie bezpieczeństwa, obojętnie, czy to jest mój ojciec, mój chłopak, czy mąż.

„Mężczyzna wejdzie ci na głowę, kiedy mu to powiesz. Od razu poczuje się ważniejszy od ciebie i będzie przekonywał, że masz go słuchać i być

wdzięczna, że jest z tobą i cię chroni” – mówiły. Słyszałam to wiele razy i w wielu różnych wersjach tak często, że zastanawiałam się nawet, czy nie mają racji. I czy nie jestem słaba, nazbyt zależna od mężczyzn.

Choć z drugiej strony – czyż nie jest cudownie znaleźć kogoś, na kim można się oprzeć, kto może nas utulić i pocieszyć? Czyż nie jest cudownie, że mamy tę miękką, łagodną część naszej osobowości, którą powinniśmy cenić i pielęgnować w sobie? Czy zawsze trzeba być twardym, czujnym i zawsze gotowym do odparcia ataku na naszą niezależność? Po pewnym czasie to męczy. Zaczynamy się zastanawiać nad rachunkiem zysków i strat. I dochodzimy do wniosku, że musi być obszar kompromisu; miejsce, do którego przychodzimy dobrowolnie, aby się uczyć, jak być ważnym dla drugiego człowieka, jak oddawać część siebie, aby stać się jednością w dwóch osobach i przejść od mówienia „ty i ja” do „my”.

Objęłam ramionami poduszkę Thatchera i wdychałam aromat jego wody kolońskiej. Czułam go przy sobie i bez lęku, ufnie zamknęłam oczy, aby zapaść w spokojny sen.

Nie wiem, czy za sprawą konfliktu z Whitney, mojej troski o mamę oraz rozmów z profesorem Fuentesem, moja cudowna senna podróż do krainy wysłanej płatkami różanymi została nagle przerwana dziwnie realistycznym koszmarem. W tym śnie drzwi mojej sypialni otworzyły się powoli i na tle przyćmionego światła z korytarza pojawiła się męska postać. Nocny gość podchodził coraz bliżej do łóżka. Czułam, jak się zapadam w środku, zwijam się jak w ataku bólu, ale nie śmiałam krzyknąć ani się poruszyć. Musiałam udawać, że śpię.

Postać zatrzymała się na nieznośnie długą chwilę i stała, ukryta w cieniu. Potem intruz podszedł do łóżka i zobaczyłam, że to Linden i że jest nagi. Pochylił się i dotknął moich włosów. Zamarłam w oczekiwaniu. Wreszcie wyczułam, że się odwrócił, i patrzyłam, jak się oddala i wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Nadal się nie poruszyłam. Odczekałam jeszcze parę minut, aż zeszło ze mnie napięcie i zapadłam w ciężki sen bez żadnych obrazów.

Kiedy się obudziłam rano, koszmar był ciągle żywy w moich myślach i zastanawiałam się, czy to się jednak zdarzyło naprawdę. Oczywiście nie śmiałam zapytać Lindena ani wspomnieć o tym mamie. Po prostu zepchnęłam złe wspomnienie w mroczne zakamarki swojego umysłu z nadzieją, że tam się rozplynie jak duch, któremu znudziło się straszyć ciągle w tym samym domu.

To mnie zaczyna przerastać, myślałam. Potrzebuję oderwania, odpoczynku, choćby tylko krótkiego. Kiedy Thatcher wrócił, przypomniałam mu o jego obietnicy. Od razu zaczął załatwiać wyjazd.

– Zrobimy sobie taki drugi, mały miesiąc miodowy – obiecał.

– Fajnie. Ten pierwszy był stanowczo za krótki.

Byłam szczęśliwa i podekscytowana perspektywą wyjazdu, ale w tyle głowy ciągle miałam myśl, że wszystko jest uzależnione od stanu zdrowia mamy. Na szczęście od dwóch dni czuła się dużo lepiej. Albo też udawała lepsze samopoczucie, nie chcąc zmarnować mi wyjazdu. Jeśli tak, musiała być świetną aktorką. Wrócił jej apetyt, znów chodziła na spacer i raz nawet pojechała ze mną do miasta, bo potrzebowałam paru rzeczy na wyjazd na Bahamy.

Ach, co to był za weekend!

Thatcher ani razu nie wspomniał o pracy, spotkaniach czy klientach. I nawet zostawił w domu komórkę!

– Przez następne czterdzieści osiem godzin nie chcę wiedzieć o niczym i nikim, poza tobą – powiedział.

Wylądowaliśmy w Nassau i prosto z hotelu poszliśmy na basen, pływaliśmy i opalaliśmy się, popijając coś, co nazywało się Miami Ice #1 i bardzo nam smakowało. Rozkoszowałam się cudownym drinkiem, nie zdając sobie sprawy, jak podstępnie działa. Później okazało się, że składa się z wódki, sznapsa brzoskwiniowego, rumu, syropu do drinków i soku pomarańczowego. Wypiliśmy po trzy szklanki i dostałam małego rozumu. Zaśmiewałam się do rozpuku z byle czego.

Nasz pokój znajdował się w tylnej części hotelowego kompleksu, za ścianą drzew i krzewów. W pewnym momencie Thatcher uznał, że za długo byliśmy na słońcu, i zarządził odwrót znad basenu. Oboje mieliśmy czerwone twarze. Dziwne, bo nic nie czułam i nie zdawałam sobie sprawy, że tak się spiekłam. Przed wejściem Thatcher zarzucił mnie sobie na ramię i wniósł do sypialni. Tam od razu zaczęliśmy się kochać. Alkohol szumiał mi w głowie i kochaliśmy się w takim pośpiechu i tak namiętnie, że niemal traciłam świadomość.

Potem zasnęliśmy wyczerpani i obudziliśmy się dopiero około dwudziestej. Ciągle kręciło mi się w głowie, ale Thatcher odzyskał energię i zanim się obejrzałam, już całował i pieścił moje piersi, a potem zjechał ustami na brzuch i za moment znów się kochaliśmy. Nie tak łagodnie i czule, jak w czasie miesiąca miodowego i później. Teraz kochaliśmy się ostro i poządliwie.

– Zachowujesz się, jakbyś zwolnił się z klasztoru – powiedziałam do Thatchera. – Gdybyśmy nie byli małżeństwem, można by pomyśleć o gwałcie.

Roześmiał się, a potem pogonił mnie, żebym wstała, wzięła prysznic i szybko się ubrała.

– Umieram z głodu. Tak działają na mnie alkohol i łóżko – powiedział.

Był tak inny niż zwykle, że nie do końca polubiłam go w tej postaci, ale doceniałam, że cała jego uwaga jest skierowana tylko na mnie, jakby rzeczywiście nie myślał o reszcie świata. Zjedliśmy cudowną kolację nad wodą. Tym razem pozostałam przy białym winie. Thatcher pił martini, a potem też białe wino.

Po kolacji spacerowaliśmy po plaży, trzymając się za ręce. Niebo było prawie bezchmurne, a małe chmurki na horyzoncie sprawiały wrażenie, jakby szybko się wycofywały. Noc była gorąca, tak jak moja skóra. Thatcher mocno trzymał mnie za rękę i czułam błogi spokój.

Tej nocy po raz pierwszy od dawna spałam zdrowym, głębokim snem. Thatcher obudził się wcześniej i wyszedł, żeby pobiegać po plaży. Wiedziałam o tym, bo zostawił przy łóżku kartkę z wiadomością. Skąd miał w sobie tyle pary? Ja musiałam się zmusić, żeby wstać z łóżka.

Skóra mnie piekła i swędziała. Przesadziłam wczoraj z opalaniem i postanowiłam, że ten dzień spędzę w cieniu.

Wstałam, wzięłam prysznic i kiedy kończyłam się ubierać, wrócił Thatcher – zdyszany, spocony, ale szczęśliwy.

– Tu jest cudownie. Od dawna nie biegałem rano po plaży i zdążyłem zapomnieć, jakie to fajne przeżycie. Jutro wstaniesz wcześniej razem ze mną, nawet gdybym miał sam cię umyć i ubrać – zapowiedział.

– Wstanę, jeśli nie wykończysz mnie dziś w nocy – ostrzegłam.

– *Moi?* Ja? – zapytał niewinnie.

Wypiął pierś z dumną miną samca, a potem wskoczył pod prysznic, mówiąc, że dołączy do mnie przy śniadaniu.

Zeszłam na patio i kiedy się zjawiał, zdążyłam już wypić sok i kawę. Razem zamówiliśmy resztę, a kiedy kelner odszedł, wyprostowałam się w krześle, skrzyżowałam ramiona na piersi i zaczęłam opowiadać mu o mojej burzliwej rozmowie z Whitney.

Uśmiech na jego wargach powoli gasł, zmieniając się w niemiły grymas, kiedy opisywałam ostrą konfrontację z jego siostrą i próbę szantazu zdjęciami Lindena.

– Co to za zdjęcia? – zapytał. Na moment jego spojrzenie powędrowało ku potrawom, które nam przyniesiono, po czym znów wróciło do mnie. Ton głosu Thatchera wywołał u mnie złowrogie przeczucie, że musiał już o tym coś wiedzieć.

– Linden jest pod silnym wpływem idei pewnego artysty, który uważa, że namalowanie portretu wymaga totalnego poznania modela i utożsamienia się z nim – wyjaśniłam. – Zapowiedział mi, że będzie fotografował mnie bez zapowiedzi i z ukrycia, aby uchwycić, jak to określił – „prawdziwą mnie”.

– Bardzo niedyskretne są te zdjęcia?

– Bardzo. Niektórych absolutnie nie powinien robić. Byłam na niego wściekła i powiedziałam mu o tym. Nie zmienia to jednak faktu, że twoja siostra nie ma prawa płacić służbie, aby szpiegowała nas i kradła fotografie.

– Co z nimi zrobiłaś?

– Podarłam i wyrzuciłam do śmieci. Ale nic nie zmieni faktu, że Whitney zdążyła rozpuścić podłe plotki...

– W tym mieście ludzie traktują stare porzekadło „Nie ma dymu bez ognia” jak jedno z dziesięciorga przykazań. Musisz położyć kres temu pożarowi, zanim się rozprzestrzeni, Willow.

– Jaki kres? Czemu? Mój brat zafascynował się pewną artystyczną ideą i w zapale trochę przesadził. To wszystko, Thatcher.

– Dobrze wiesz, że nie. On ma bzik na twoim punkcie. To jest niezdrowe. Próbowałem go zainteresować innymi kobietami, ale uparcie się wymigiwał. Posłuchaj, Willow. – Odłożył widelec i sięgnął przez stół do mojej dłoni. – Whitney zrobiła rzecz niedopuszczalną. Porozmawiam z nią o tym, ale realny problem leży gdzie indziej. Chodzi o to, że moja siostra, albo inna wścibska plotkara chce rozdmuchać do rozmiarów sensacji twoje stosunki z bratem.

– Ale...

– On jest osobą zaburzoną, powiedzmy to sobie szczerze. Przecież widzę, co się dzieje w domu. Dlatego powiedziałem ci, że czai się pod drzwiami naszej sypialni. Jestem pewien, że nasłuchuje naszych łóżkowych odgłosów... A ten twój portret, który namalował... musimy go zdjąć. On jest zbyt... zbyt oczywisty. I nie zaprzeczaj, bo wiesz, że mam rację – dodał szybko.

– Linden tego nie zrozumie, Thatcher. Poczuje się głęboko zraniony. To tylko pogorszy sprawę.

– Musimy jednak coś z tym zrobić.

– Dobrze, zastanowię się.

Wzruszył ramionami.

– Willow, chciałem cię tylko ostrzec. Obawiam się, że Linden będzie musiał podjąć poważniejsze leczenie, i to szybciej, niż myślisz.

W głębi serca wiedziałam, że ma rację. Odwróciłam wzrok, czując łzy pod powiekami.

– Hej, spokojnie – powiedział łagodnie. Sięgnął przez stół i ujął palcami mój podbródek, zmuszając, żebym popatrzyła mu w oczy. – Na razie zostawmy te wszystkie sprawy, dobrze? To jest dalszy ciąg naszego miesiąca miodowego, nie pamiętasz? Wynająłem jacht i dzisiaj sobie popływamy.

– Ale ja już się przypaliłam! – zaprotestowałam.

– To będziesz się chronić przed słońcem i dobrze się nasmarujesz. I zapomnisz o wszystkim, poza nami.

Oczywiście mu uległam i naprawdę było fajnie. Po powrocie do hotelu znów się kochaliśmy, spaliśmy do wieczora, a potem wyszliśmy na kolację. Było tak pięknie, że zapomniałam o wszystkich problemach. Dopiero tej drugiej nocy w nagłym przebłysku rozsądku uświadomiłam sobie, że z tej radości i rozkoszy zapomniałam o pigułce antykoncepcyjnej. Przeraziłam się, ale szybko wyparłam te myśli. To był tylko bajkowy moment, wyjęty z rzeczywistości; magiczny czas, w którym obowiązują inne reguły.

Upewniałam się w przekonaniu, że nic nie może się stać w naszym małym raju.

Najwidoczniej byliśmy zbyt szczęśliwi, gdyż ledwie przekroczyliśmy bramę Joya del Mar, dopadły nas złe wieści. Jennings powitał nas jak zwykle, ale tym razem pod służbowym chłodem i profesjonalizmem, co czasami upodabniało go do robota, nie zdołał ukryć ludzkich odruchów. Wiele razy widziałam, jak z nieskrywanym zdumieniem obserwuje pewne rzeczy w domu – zwłaszcza kiedy pojawiała się u nas Bunny Eaton. Ze sposobu, w jaki traktował mamę, można było się domyślać, że ją bardzo lubi, może nawet w romantyczny sposób, choć trudno sobie wyobrazić, że mógłby tak patrzeć na kobietę.

Spodziewałam się, że mama powita nas jak zwykle, ale dziwna pustka, bezruch i cienie zalegające w domu jak szary welon smutku powiedziały mi, że coś jest nie tak.

– Co się stało, Jennings? – zapytałam, zanim zdążył nas powitać.

Thatchera zdziwił mój zatroskany ton i uniósł brwi.

– Przykro mi, ale pani mama zachorowała, pani Eaton – zaczął lokaj. – To się stało wczoraj, ale nalegała, żeby nie dzwonić i nie niepokoić pani. Lekarz już był. Chciał ją od razu zabrać do szpitala, ale odmówiła.

– Co się jej stało? – chciał wiedzieć Thatcher.

– Po kolacji poczuła się źle i miała zawroty głowy, tak silne, że gdyby nie podtrzymał jej pan Linden, byłaby upadła. Bardzo bolała ją głowa, czuła słabość w nogach i rękach. Pan Linden zaniósł ją do sypialni i wezwaliśmy lekarza pani mamy, doktora Hackforda. Przyjechał natychmiast. Kiedy odmówiła pójścia do szpitala, dał jej leki, ale powiedział jasno, że jeśli jej stan się pogorszy, więcej nie zdoła jej pomóc.

– Jaki stan? – zapytałam.

– Rozumiem, że chodziło mu o przyczynę tego samopoczucia – odparł Jennings.

– Idę do mamy – powiedziałam do Thatchera. – Gdzie jest mój brat, Jennings?

– Siedzi przy mamie. Czuwa przy niej bezustannie. Wczoraj w nocy spał w fotelu przy jej łóżku.

– Dziękuję, Jennings.

Pobiegłam na górę. Mama miała zamknięte oczy, ale widać było, że nie śpi. Linden spał skulony w fotelu. Weszłam do sypialni powoli i cicho.

– Mamo – szepnęłam. Podeszłam i dotknęłam jej ramienia. Linden nie otworzył oczu.

Mama uniosła powieki i uśmiechnęła się do mnie.

– Tylko nie płacz nade mną, Willow, bo czuję się dużo lepiej. Po prostu potrzebuję odpoczynku. A poza tym zgłodniałam. – Spojrzała na Lindena. – Biedny Linden, tak się mną przejął. Od kiedy zachorowałam, nie jadł i nie spał. Daj mu coś jeść, Willow, i niech idzie do siebie odpocząć – dodała nagłym tonem. – Nie chcę, żeby przeze mnie osłabł. A teraz powiedz, udał ci się wyjazd? – Wyraźnie pragnęła zmienić temat.

– Tak, mamo, ale to teraz nieważne. Opowiedz dokładnie, co się z tobą działo i co stwierdził doktor?

Uśmiechnęła się.

– Mam wrażenie, Willow, że już znasz odpowiedzi na swoje pytania.

– Nie rozumiem, jak mogłaś nie pójść do szpitala, skoro doktor wyraźnie to zalecił.

– Znam swój organizm. Będzie dobrze – zapewniła uparcie.

Linden drgnął i otworzył oczy. Kiedy zobaczył, że stoję przy nim, wyprostował się w fotelu.

– Kiedy wróciłaś, Willow?

– Przed chwilą. Nie dziwi mnie, że mama chciała utrzymać wszystko w tajemnicy przede mną, ale ty, Linden? Dlaczego nie zadzwoniłeś do hotelu? Przecież zostawiłam swoje namiary.

– Chciałem zadzwonić, ale mama zabroniła – odparł z pretensją, zerkając na nią. – Zagroziła, że poczuje się jeszcze gorzej, jeśli to zrobię.

– Mamo!

– Och, on przesadza. Co za różnica, czy byś tu była, czy nie? Nic się nie stało i już się dobrze czuję. A teraz idźcie sobie – dodała. – Oboje. Muszę wstać, ubrać się i coś zjeść. A potem z przyjemnością wysłucham opowieści o twoim wyjeździe, Willow. Linden, umyj się i zjedź na dół, bo też musisz coś zjeść – poleciła sucho i usiadła na łóżku.

Pokręciłam z uśmiechem głową.

– Dobrze, mamo. Tym razem wygrałaś. – Skinęłam na Lindena i wyszliśmy z sypialni. – Bardzo źle z nią było? – spytałam, kiedy odeszliśmy od drzwi.

– Nie miała siły wstać. I była blada, taką niezdrową bladością, jak mokra bibuła. Gdybym się nie uparł, nie zgodziłaby się nawet na wezwanie lekarza.

– Dobrze zrobiłeś, Linden. Musimy ją obserwować, bo objawy mogą powrócić.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. – Dobrze, że wróciłaś. Brakowało mi ciebie. Niedługo pokażę ci moją nową pracę.

Bez ostrzeżenia wychylił się ku mnie i pocałował mnie w usta, po czym błyskawicznie się oddalił. Trudno o lepszą ilustrację pojęcia „skradziony pocałunek”!

Gdy wróciłam do naszych apartamentów, Thatcher już wisiał na telefonie, konferując ze swoimi współpracownikami. Zdążyłam się rozpakować i przebrać, kiedy wreszcie skończył i zapytał, jak się czuje mama. Opowiedziałam mu, a on wzruszył ramionami i skomentował:

– Jeśli jest już lepiej, daj jej spokój.

Zapewne ma rację, pomyślałam. Czasami przesadna troska o chorego może hamować jego wyzdrowienie. Stan mamy zdawał się potwierdzać te słowa. Mijały dni i tygodnie, a mama nie wykazywała żadnych oznak choroby. Albo też, jeśli czuła się gorzej, umiejętnie to ukrywała. Wydawało mi się tylko, że rusza się wolniej i ma mniej energii niż na początku, kiedy zamieszkałam

w Joya del Mar. Ale nie opuściła żadnego posiłku, uczestniczyła w naszych rozmowach, chodziła na spacer i przesiadywała na tarasie, czytała albo po prostu wpatrywała się w ocean. Była spokojna i sprawiała wrażenie zadowolonej z życia.

Kończył się kolejny semestr i zdobywałam zaliczenia, pracowicie przygotowywałam się do egzaminów. Jednocześnie spotykałam się z profesorem Fuentesem, kontynuując nasze rozmowy przy kawie. Linden spędzał czas w pracowni, zajęty swoim najnowszym projektem. Zdradził mi, że projektuje duży fresk, który zamierza namalować na ścianie naprzeciwko wejścia w holu naszego domu. Za czasów Eatonów wisiał tam arras, który przywieźli z Europy, i teraz został po nim wielki, pusty prostokąt jasnego tynku.

Nastąpił dobry okres spokojnego, przyjemnego domowego życia. Cieszyłam się tym, nie zdając sobie sprawy, że jest to cisza przed burzą.

Sześć tygodni po powrocie moim i Thatcherem z naszej krótkiej, lecz intensywnej eskapady na Hawaje uświadomiłam sobie, że ciągle nie mam okresu. Byłam tak zajęta nauką, troską o mamę oraz bujnym życiem towarzyskim, na które nalegał Thatcher, że w ogóle o tym zapomniałam. Myśl, że coś jest nie w porządku, dopadła mnie nagle jak powiew lodowatego wiatru, kiedy po zajęciach szłam przez parking do samochodu. Skamieniałam ze strachu. Przebiegłam w myśli daty i poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

Z bijącym sercem zatrzymałam się przed apteką i kupiłam test ciążowy. Kiedy przyjechałam do domu, od razu pospieszyłam do sypialni i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Weszłam do łazienki i postępując według prostej instrukcji, wykonałam test. Z bijącym sercem czekałam na wynik. Po około trzech minutach wskaźnik powiedział mi, że to, czego się obawiałam, jest prawdą. Byłam w ciąży.

Siedziałam na sedesie, tępo wpatrując się w podłogę. Zawsze się zabezpieczałam, z wyjątkiem tego jednego weekendu na Bahamach, kiedy byłam zbyt szczęśliwa i beztroska, żeby pamiętać o takim drobiazgu. I teraz, kiedy przeznaczenie czaiło się za progiem, żeby wyciągnąć po mnie chciwe łapy, musiałam zmierzyć się z nowym problemem, choć tyle ich już miałam na głowie.

Jestem w ciąży!

Jak mogłam do tego dopuścić? Akurat teraz, kiedy rozpędały się moje

studia, kiedy musiałam dbać o mamę i Lindena, kiedy dopiero zaczęłam małżeńskie życie! Tylko palnąć sobie w łeb.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam na siebie w lustrze.

– I co? – warknęłam do swojego odbicia. – Uważasz się za nowoczesną, świadomą kobietę. Chcesz być odpowiedzialna za życie, zdrowie i szczęście bliskich ci ludzi, a popełniłaś taką głupotę? Jak mogłaś?

Dobrze ci tak! I ty chcesz leczyć ludzkie dusze?

Ukryłam głowę w dłoniach i rozpłakałam się. A potem wyobraziłam sobie, że ktoś puka do drzwi.

To był tata, który w dzieciństwie przychodził do mnie, kiedy słyszał mój płacz.

Co się stało, Willow?

Nic, tato, odpowiedziałam. Jak zwykle chciałam, żeby wyciągnął ze mnie problem; głupio mi było zbyt szybko go ujawnić.

W takim razie opowiedz mi o niczym – zachęcił i czekał cierpliwie.

Nie byłam w stanie dłużej tego tłumić.

Jestem w ciąży, tato. Osoba odpowiedzialna nie powinna do czegoś takiego dopuścić, zwłaszcza jeśli ma tak poważne obowiązki wobec innych, jak ja.

Życie mnie nauczyło, że tak zwana mądrość po szkodzie jest dla nas raczej szkodą niż korzyścią. Każe nam się oglądać za siebie, żałować tego, co się stało, i uzalać się nad sobą. Czy wiesz teraz, jakie pytania masz sobie zadać, Willow?

Jak wygląda mój problem? Jakie są jego rozwiązania? Jakie są wady i zalety każdego z tych rozwiązań? Które będzie najlepsze dla mnie i dla bliskich mi ludzi?

Czy jest coś jeszcze, o czym mogłabyś pomyśleć?

Nie.

Czemu w takim razie tracisz czas, płaczesz, jęczysz i rozpaczasz?

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i otarłam łzy z policzków.

Pomyślałam, że decyzja, którą przyjdzie mi podjąć, będzie tylko moja, gdyż sama wywołałam problem. Chciałam powiedzieć o tym mamie, ale pomyślałam, że pierwszy o ciąży ma prawo wiedzieć Thatcher. Byłam ciekawa jego reakcji.

Kiedy zadzwonił i zaczął przeproszać, że nie zdąży na kolację, przerwałam mu i powiedziałam stanowczo:

– Masz natychmiast przyjechać. Nie musisz zostać na kolacji, ale musimy

porozmawiać.

– Co tym razem? – rzucił z niezadowoleniem.

– Nic, co by się wiązało z moją mamą czy bratem. To dotyczy tylko nas.

– Tak?

– Przyjedź, Thatcher.

Milczał chwilę.

– Dobrze – powiedział. – Wpadnę po drodze na spotkanie.

Kiedy się wyłączył, obmyłam twarz, uczesałam włosy, wygładziłam ubranie i poszłam nad basen. Linden ciągle był w pracowni, a mama odpoczywała w swoim pokoju. Po drodze poprosiłam Jenningsa, żeby skierował Thatchera tu do mnie.

Mój mąż pojawił się po półgodzinie. Siedziałam pod parasolem, patrząc w wodę. Nadszedł szybkim krokiem.

– Co jest? – Stał nade mną. – Mam nadzieję, że nie wezwałaś mnie z powodu kolejnych plotek z Palm Beach?

Zabawne, że mógł pomyśleć coś takiego. Na moment zbił mnie z pantałyku.

– Nie, nie chodzi o plotki.

– W takim razie o co chodzi, Willow? Tego rodzaju dramatyzm jest raczej specjalnością mojej rodziny. Czyżbyś zaraziła się od Bunny? – Przybrany na twarz uśmiech kiepsko ukrywał irytację.

– Nie dramatyzuję, Thatcher. Staram się być spokojna i konkretna.

Skinął głową.

– Dobrze, zatem słucham cię. – Skrzyżował ramiona na piersi.

– Niedawno odkryłam, że jestem w ciąży – oznajmiłam najbardziej informacyjnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Oczy mu się rozszerzyły. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

– W ciąży? Myślałem, że się zabezpieczasz i...

– Owszem, z wyjątkiem naszych szalonych nocy na Bahamach.

Otworzył i zamknął usta, a potem kiwnął głową.

– Och. No tak. – Uśmiechnął się. – Fakt, nieźle wtedy zaszaleliśmy, co?

– Jak widać, za bardzo – stwierdziłam cierpko.

Wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął.

– Dobrze, a w czym jest problem? Będziemy mieli dziecko i tyle.

– Będziemy mieli dziecko? Chyba raczej ja będę miała dziecko, Thatcher. Chyba że nauka ma jakieś nowe osiągnięcia, o których nie wiem, pozwalające urodzić ojcu.

– Wiesz, co mam na myśli. Będziemy mieli dziecko i nie widzę w tym większego problemu.

– Nie widzisz? Podjęłam studia. Pracuję na moją karierę.

– No to na chwilę ją odłóżysz. Większość kobiet tak robi. Zresztą nikt ci nie każe siedzieć całe lata z dzieckiem. Znajdziemy mu dobrą nianię. Może nawet ściągniesz Amou z Brazylii – dodał i uśmiechnął się szeroko.

– Nie mogłabym jej o to prosić. Amou ma już swoje lata i dobrze jej tam, gdzie jest.

– Jest wiele profesjonalnych i odpowiedzialnych kobiet, które będziemy mogli zatrudnić.

Pokręciłam głową, nie patrząc na niego.

– Willow, przecież nie jesteśmy biedną rodziną, w której ty także musisz pracować. Od tego są pieniądze, żeby nie mieć takich bytowych problemów.

Gwałtownie uniosłam głowę i zmierzyłam go wzrokiem.

– Nie o to chodzi. Po prostu nie potrafię tak jak ty myśleć o swojej ciąży i dziecku jak o problemach do rozwiązania z pomocą pieniędzy.

– Och, łapiesz mnie za słowa. Tak tylko mi się powiedziało. Wcale nie mówię, że dziecko jest problemem, przeciwnie. – Kiwnął głową. – Moi rodzice będą zachwyceni. Grace na pewno też. Mówiłaś jej?

– Jeszcze nie. Pomyślałam, że ty powinieneś wiedzieć pierwszy.

– Naturalnie. Doceniam. – Przyglądał mi się dłuższą chwilę, po czym klasnął w dłonie i wstał. – Słowo daję, dawniej nie mogłem uwierzyć, że kiedykolwiek będę miał żonę, a teraz muszę przekonać samego siebie, że jestem gotowy zostać czyjś ojcem. – Podeszedł do mnie, chwycił z obu stron oparcie mojego krzesła i pocałował mnie. – Wiedziałem, że dobrze zrobię, żeniąc się z tobą, Willow. Zrobisz ze mnie szacownego ojca rodziny.

Odwrócił się i zaczął się oddalać.

– Czy tylko o to chodzi? – zawołałam za nim. Tyle mieliśmy jeszcze spraw do omówienia, ale mój mąż albo już mnie nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy.

– Nie czekaj na mnie z kolacją – powiedział przez ramię. – Mam dwóch klientów w dwóch różnych miejscach i będę raczej późno.

Patrzyłam, jak wbiega po schodach i znika w głębi domu.

Może ma rację? – zastanawiałam się. Rzeczywiście wszystko jest takie proste, jak mówi?

Czy fakt, że się mieszka w Palm Beach, że jest się częścią tego świata,

zmienia sposób myślenia? Żaden problem nie jest za wielki, jeśli ma się wystarczająco dużo pieniędzy.

Nie chciałam się do tego przyznać, ale pomyślałam, że to miejsce mogło mnie zmienić. Niepostrzeżenie, bez mojej wiedzy, zanim zrozumiałam, że można mieć inne nastawienie.

Chmura zasłoniła słońce, rzucając długi cień, który oblewał dom i teren niczym płynna ciemność. Na moment w tym ciepłym i przyjemnym miejscu przeszedł mnie dreszcz.

Jeszcze nie wiedziałam, co przyciąga ten mrok. Jeszcze tego nie rozumiałam. Ale wiedziałam jedno – on już tu jest.

Rozdział szesnasty

GROM Z JASNEGO NIEBA

Szkoda, że nie zebrałam w albumie kolekcji zdjęć, obrazujących reakcję różnych ludzi na wiadomość, że jestem w ciąży. Reakcja mamy była najbardziej szczerą i radosną. Uśmiech szczęścia rozjaśnił jej twarz i miała młodzieńcze spojrzenie, jak wówczas, gdy opowiadała mi o tacie i ich romansie. Ewidentnie umiejscowiła moją ciążę i perspektywę zostania babcią w kręgu szczęścia, jaki rezerwowała dla kilku najpiękniejszych momentów swojego życia. Miałam poczucie, że obiecałam jej cenny dar, którego zawsze pragnęła i który ją uszczęśliwi.

– Nie planowaliśmy dziecka – przyznałam.

– Z życiowego doświadczenia wiem, Willow, że większość dobrych rzeczy, zdarzających się nam w życiu, nie została zaplanowana. Dziecko wniesie do tego domu słońce – powiedziała. – Blask słońca potrafi rozgonić najczarniejszą chmurę i rozjaśnić serca.

Mama się zastanawiała, jak będzie mogła mi pomóc. Chciała sama zostać nianią, ale ja optowałam za propozycją Thatchera zatrudnienia odpowiedniej osoby.

Reakcja Lindena była dziwaczna. Nie wydawał się zaskoczony ani zmartwiony. I od razu, zanim ktokolwiek zdążył pomyśleć o takiej kwestii, zapytał, jakie imię przewidziałam dla chłopca, a jakie dla dziewczynki. Odparłam zgodnie z prawdą, że jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Kiwnął głową i oznajmił, że ma już pewne propozycje do rozważenia i napisze mi je na kartce. A potem złożył jeszcze dziwniejszą propozycję.

– Mógłbym się wyprowadzić z sypialni, którą teraz zajmuję, żebyś mogła tam urządzić pokój dziecinny. Tak byłoby najwygodniej, bo sąsiaduje z waszą

sypialnią i kiedyś był to pokój Grace, prawda? Tak – dodał z przekonaniem, kiwając głową. – Wrócę do mojej dawnej sypialni. Zrobię to już w przyszłym tygodniu.

– Nie musisz się tak spieszyć, Linden. Mamy jeszcze prawie siedem miesięcy.

– Nie szkodzi, pewne rzeczy trzeba zaplanować zawczasu. Postarasz się dowiedzieć jak najszybciej, jaka jest płeć dziecka?

– Spróbuję – odparłam. – Na pewno zrobię USG. Czasami lekarzowi udaje się rozpoznać płeć już od dwunastego tygodnia.

– Świetnie. Będziesz wcześniej wiedziała, jakich kolorów użyć przy urządzaniu pokoju dzieciennego.

Musiałam przyznać, że bawi mnie jego żywe zainteresowanie moją ciążą i dzieckiem. Ta sprawa w dużym stopniu zaprzętała jego umysł. Chodził do gabinetu Thatchera, gdzie był internet, aby wyszukiwać w sieci informacje o zdrowiu kobiety w ciąży, a nawet opiece nad dzieckiem. Codziennie drukował cały stos wskazówek i opinii różnych ekspertów, po czym rano znajdowałam te materiały na stole, kiedy schodziłam na śniadanie.

Thatchera bardzo to bawiło i nawet zaczął nazywać Lindena „Naszą Nianią”.

– Co ci dzisiaj dostarczyła Nasza Niania? – pytał po powrocie z pracy. Błagałam go, żeby nie używał tej ksywki przy Lindenie.

– Cokolwiek mi dostarcza, Thatcher, pomaga mu to oddzielić się od mroku. Mama też jest szczęśliwa, a poza tym wiele jego informacji jest bardzo przydatnych. Ze zrozumiałych względów nie mam pojęcia o ciąży i dzieciach. Nie zdobywałam tej wiedzy, bo nie spodziewałam się, że tak szybko będzie mi potrzebna.

– Słusznie, słusznie. – Milczał chwilę, po czym znów wybuchnął śmiechem, jakby przypomniało mu się coś bardzo zabawnego.

– Thatcher! – ostrzegłam. Teraz już byłam na niego zła.

– Nie gniewaj się, ale pomyślałem, że przed Lindenem otwiera się nowa ścieżka kariery. Może namówisz go, żeby poszedł do szkoły pielęgniarstwa i wybrał specjalizację z położnictwa albo opieki pediatrycznej, co? Gdyby jakaś pacjentka miała trudny poród, mógłby jej pokazać jeden z tych swoich dziwacznych, ponurych obrazów i akcja od razu by ruszyła!

– Przestań! – Szturchnęłam go w ramię.

– Dobrze, już dobrze. – Ale na odchodnym znów parsknął śmiechem.

Czasami, przy kolacji, kiedy Linden wspominał coś o opiece nad

niemowlakiem, Thatcher tłumiał śmiech, usiłując zachować poważną minę, bo gasiłam jego zapędy ostrzegawczym spojrzeniem. Wieczorami, kiedy już leżeliśmy w łóżku i znów pastwił się nad nową macierzyńską pasją Lindena, mogłam sobie pozwolić na chichot, choć gnębiło mnie poczucie winy.

– Lepiej mów szeptem – ostrzegł Thatcher – bo może podsłuchiwać nas zza ściany. Ten dom nie jest tak solidny, jak mogłoby się wydawać. Kiedyś przyłapałem Whitney na podsłuchiwanie rodziców. Oczywiście wyparła się wszystkiego, ale zachęcony jej przykładem, też spróbowałem. Niczego specjalnego nie usłyszałem.

Rodzice Thatcherów zareagowali na wiadomość o mojej ciąży w sposób typowy dla lokalnych celebrytów. Bunny od razu zaczęła snuć plany wielkiej imprezy. Obliczyła, że powinnam urodzić w samym szczycie sezonu balowego Palm Beach, i pogratulowała Thatcherowi, że postarał się o taką dobrą datę. On zaś bez mrugnięcia okiem przyjmował jej pochwały i na serio udawał, że tak sterował poczęciem, aby sprawić swojej mamie przyjemność, obdarowując ją wnuczką lub wnukiem w najlepszym towarzyskim terminie. Ze zdumieniem słuchałam, jak gładko opowiada te dyrdymały.

Bunny zasypała mnie poradami na temat najlepszych klinik położniczych i nianie. zaproponowała również, że pomoże mi wymyślić imię. W jej interpretacji imię dziecka jawiło się jako najważniejsza sprawa, dużo ważniejsza od jego zdrowia.

– Mam nadzieję, że nie wybierzesz jakiegoś imienia z opery mydlanej czy nazwy miesiąca – mówiła. – Takie rzeczy są już *passé*. April, May, June to głupoty. Syn Thatcherów powinien mieć wyraziste, poważnie brzmiące imię. Tak samo jak jego córka.

– Jak Bunny? – zapytałam usłużnie.

– Co? Och, to tylko ksywka. Kiedy będziesz w moim wieku, docenisz takie życzliwe żarty na temat swojego imienia. A poza tym – dodała szeptem – dzięki nim poczujesz się dużo młodziej. Ale maluch nie musi się czuć młodziej, prawda? Zrobię dla ciebie listę propozycji.

Wszyscy na wyścigi proponowali mi imiona, aż pomyślałam o konkursie.

Profesor Fuentes miał wyraźnie mieszane uczucia. Z jednej strony mi gratulował, a z drugiej martwił się o moją naukę. Zapewniłam go, że nie zamierzam zrezygnować ze studiów.

– Wezmę tylko urlop macierzyński, a potem dzieckiem zajmie się niania – powiedziałam. – Rozmawialiśmy już o tym z Thatcherem.

– To dobrze, ale musi pani pamiętać, że małe dziecko wymaga wiele uwagi i matczynej troski – ostrzegł. – Z tego, co mi pani opowiadała o swoim dzieciństwie, wynika, że wie o tym lepiej niż ja.

– Będę pamiętać – obiecałam.

– Po prostu musi pani myśleć realistycznie, Willow. Niech pani nie przecenia swoich sił i myśli także o sobie – poradził.

– Dzięki. – Opisałam mu szaleństwo z imionami, jakie zafundowała nam rodzina.

– Jeśli będzie chłopiec, mogłaby pani dać mu imię po ojcu – zasugerował.

– A jeśli dziewczynka?

Zawahał się. Domyślałam się, że ma propozycję, ale waha się, czy w tej sytuacji powinien z nią wyjść.

– Niech pan powie, proszę – zachęciłam. – Każdy wtrąca swoje dwa grosze, więc może i pan.

– Przyszło mi do głowy w chwili, kiedy oznajmiła mi pani nowinę – powiedział z uśmiechem. – Hannah.

– Hannah... – Ja też się uśmiechnęłam.

– Pomyślałem, że spodoba się pani skojarzenie z pani mamą – ciągnął. – Po hebrajsku „hannah” znaczy „grace”, czyli „łaska”. Kiedyś o tym czytałem.

– O, pięknie! Dzięki.

– I jeszcze drobna rada – dorzucił szybko.

– Tak?

– Niech pani nie mówi Thatcherowi, że to mój pomysł. Rozumie pani – męskie ego, inny mężczyzna, te sprawy. – Z rezygnacją machnął ręką.

– Rozumiem.

– Nie wątpię. – Uśmiechnął się.

Nagle uświadomiłam sobie, jakimi bratnimi duszami się staliśmy, i aż się zaczerwieniłam. Czy dlatego, że połączyła nas pasja do psychologii oraz fascynacja ludzkimi umysłami i zachowaniami?

Tak jak Pandorę, ostrzegano mnie przed otwarciem tajemniczej puszki. Lepiej jest nie wiedzieć o pewnych rzeczach i nie mówić o nich, gdyż są jak piękne, lecz trujące kwiaty.

Na uczelni część dziewczyn potraktowała moją nowinę niczym wiadomość o raku. Z ich twarzy można było wyczytać współczucie, a nawet dezaprobatę. Bliźniaczki Butterworth zareagowały skrajnie odmiennie. Loni uznała, że wiadomość jest cudowna, i zaczęła perorować o tym, jak sama nie może się

doczekać, kiedy będzie miała męża i dzieci. Z kolei Pet zasznurowała usta i wygłosiła gorzką tyradę o ciężarze macierzyństwa i o tym, że mężczyźni nie doceniają trudu i poświęceń żon, chociaż to one rodzą i wychowują dzieci.

– A sama ciąża? Ja bym chyba zainwestowała w surogatkę, niech urodzi za mnie! – oświadczyła.

– Mogłaby uciec z twoim zarodkiem, bo tak już się zdarzało – ostrzegła z przejęciem Loni.

– No to trudno, krzyżyk na drogę – ucięła Pet.

– Co jest winien biedny zarodek? – zaprotestowała siostra.

– Dobra, nie gadajmy o tym – powiedziała Pet. Widać było, że myśl o mojej ciąży i możliwych perypetiach jest dla niej dość przerażająca. Zapewniłam, że nie przewiduję komplikacji i na razie nawet nie mam mdłości, które na tym etapie męczą większość kobiet. Nie chciałam już wspominać, że Linden uznał mój brak objawów za dobry prognostyk, znaczy, że dziecko urodzi się łatwo i będzie zdrowe. Bałam się, że dziewczyny też zaczną go nazywać Naszą Nianią.

Jak na moją ciążę zareagowała Whitney, dowiedziałam się z drugiej ręki, kiedy zadzwoniła Manon Florette. Wcześniej wydzwaniała i zapraszała mnie na kolejne lunche, a ja konsekwentnie się wymawiałam.

– Słyszałyśmy nowinę o ciąży – zaczęła. – Twoja szwagierka powiedziała o tym wczoraj matce Liany w salonie piękności.

– Tak? Whitney się do mnie nie odezwała.

– Wcale się nie dziwię.

– Dlaczego się nie dziwisz? – Poczułam narastający ból w skroniach, bo domyślałam się, co odpowie.

– Ona się zastanawia, czy na pewno dziecko jest jej brata.

– Serio?

– Ja tylko przekazuję, co słyszała Liana. Whitney wątpi w ojcostwo Thatchera, bo nigdy dotąd nie zdarzyła mu się taka wpadka w związku. Jej zdaniem on jest za mądry, żeby do tego dopuścić.

– Och, teraz mówi, że jest za mądry, a wcześniej mi się skarżyła, że niemądrze wybiera sobie partnerki – mruknęłam i momentalnie tego pożałowałam. Jedna gorzka uwaga, niczym samopowielająca się bestia, mogła zrodzić następne, aż sytuacja wymknęłaby się spod kontroli.

– Dzięki – powiedziałam.

Ta rozmowa nieco pogorszyła mi nastrój, ale szybko wytarłam ją z myśli

niczym brzydką plamę, mając nadzieję, że więcej się nie pojawi. Nadzieja okazała się próżna. Wystarczyło, że krótko po tym zobaczyłam Whitney na przyjęciu, i wszystko wróciło w krwawym rozbłysku furii. Jej pierwsza uwaga, którą można by uznać niemal za komplement, brzmiała:

– Nie wyglądasz, jakbyś była w ciąży.

– U niektórych kobiet nic nie widać do siódmego, a nawet ósmego miesiąca. Mam rozumieć, że z tobą było inaczej? – odparłam sztywno, starając się, żeby mój głos nie zabrzmiał wrogo. Stałyśmy wśród prawie setki gości przyjęcia, odbywającego się w pięknym ogrodzie.

– Tak – przyznała z niespodziewaną goryczą. – Z Laurel miałam krwotok w trzecim miesiącu i omal jej nie straciłam. – Spojrzała na mnie podejrzliwie spod zmrużonych powiek. – Tak wcześnie zaplanowaliście dziecko. A co z twoimi studiami?

Thatcher stał nieopodal zatopiony z kimś w rozmowie, ale i musiał usłyszeć pytanie siostry, gdyż spojrzał na mnie, czekając, co powiem.

– Nie widzę problemu. – Wzruszyłam ramionami, imitując to, co nazywałam „osobowością typu Palm Beach”. – Zatrudnimy nianię i będę sobie dalej chodzić na zajęcia. Ty miałaś opiekunkę do każdego z twoich dzieci, aż do dwunastego roku ich życia. Ja nie sądzę, żebym potrzebowała opiekunki aż tak długo, ale jeśli będzie trzeba, tak się zrobi. – Uśmiechnęłam się do niej porozumiewawczo. – Przecież to tylko kwestia pieniędzy, prawda, Whitney? Chyba nie wątpisz, że pieniądze nie są dla nas problemem?

Zobaczyłam, jak Thatcher się uśmiecha.

Kamienna twarz jego siostry drgnęła.

– Nie o to chodzi – wymamrotała.

– A o co? – Udałam, że jestem ciekawa jej odpowiedzi.

– Nie sądziłam, że należysz do gatunku kobiet, które spychają opiekę nad dzieckiem na kogoś innego.

– Tak? A ty należysz do innego gatunku, Whitney? – dopytywałam się. Podeszłam krok bliżej i patrzyłam jej w oczy.

– Nieważne.

– Powiedz, Whitney, bo jestem ciekawa. Jaki to gatunek? Kobiety bardziej odpowiedzialne, czułe, kochające? – rzucałam jej pytania w twarz.

Musiałam celnie trafić, bo się zaczerwieniła i zerknęła na boki, jakby szukała kogoś, kto wsparłby ją w rozmowie. Nikt się jednak nie kwapił.

– Bo chyba nie neurotyczne, prawda? – naciskałam.

Wreszcie Whitney zebrała się w sobie. Wyprostowała się na całą swoją wysokość, popatrzyła na mnie z góry i wypaliła:

– Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, to ci powiem. Otóż sądzę, że brakuje ci obycia ze służbą, liczącą dużo osób. Nic dziwnego, bo z tym trzeba się urodzić. A jeśli nie wyssałaś z mlekiem matki umiejętności zarządzania dużym domem i służbą, musisz mieć długoletnią praktykę w tych sprawach. Ty jej nie masz.

– Och, nie martw się o to – odpowiedziałam z rozkosznym śmiechem, na tyle głośnym, że goście wokół nas nastavili uszu. – Jestem pojętną uczennicą, a do dobrego łatwo się przyzwyczaić. Myślę, że już przewyższyłam mistrzynię.

Thatcher nie zdołał się powstrzymać i parsknął śmiechem. Whitney spiorunowała go spojrzeniem, potem mnie usiłowała spalić wzrokiem, aż wreszcie się oddaliła.

– Świetnie sobie poradziłaś – szepnął Thatcher.

– Dzięki, ale to zwycięstwo nie cieszy mnie tak, jak myślisz. Może byśmy już poszli?

Choć udało mi się wywalczyć pozycję w towarzyskiej dżungli i pierwszy trymestr ciąży przebiegł bez problemów, kolejne dwa miesiące dały mi się jednak we znaki. Co prawda nie miałam mdłości i nie wymiotowałam, ale szybko traciłam energię i ciągle chciało mi się spać, toteż często musiałam ucinać sobie drzemki.

Thatcher zawiózł mnie do doktora – i zarazem swojego klienta – Hermana Marko, który słynął w okolicy jako najlepszy ginekolog położnik. Doktor Marko, mężczyzna pod pięćdziesiątkę, potrafił znakomicie wytłumaczyć pacjentkom różne sprawy, ale jego uprzejmość i przyjazne podejście wydawały się mocno wymuszone. Powiedziałam Thatcherowi, że moim zdaniem ten człowiek rozlicza swoje uśmiechy z wprawą kontrolera ze skarbówki.

Thatcher zareagował na moje uwagi w sposób standardowy, jak zwykle zarzucając mi, że psychologizuję.

– Wyluzuj i przestań analizować ludzką psychikę – poradził. – Nie musisz być córeczką tatusia.

W głębi duszy przyznałam mu rację i starałam się stłumić swoje negatywne odczucia. W siedemnastym tygodniu zrobiłam USG i doktor Marko bez żadnych wątpliwości stwierdził, że będzie dziewczynka. Wówczas zasugerowałam Thatcherowi imię Hannah. Nie spodobało mu się, gdyż

odpowiedział krótko:

– Mamy jeszcze czas, żeby podjąć decyzję.

Kiedy wróciłam do domu po wizycie, Linden już na mnie czekał i wypytał dokładnie o szczegóły. Tak jak mama ogromnie się ucieszył na wiadomość o dziewczynce. Uważałam za bardzo pozytywne zainteresowanie Lindena moją ciążą, wręcz miłe. Zarówno mnie, jak i mamę cieszyły i zarazem bawiły dziesiątki pytań, jakimi mnie zarzucał, oraz niekończące się rady i sugestie. Jednak niesłabnący nawał pytań i sposób, w jaki Linden reagował na moje wypowiedzi w różnych sprawach – zaciskanie ust, marszczenie czoła czy usztywnienie ciała – zaczynały niepokoić.

Z czasem stało się jasne, że podważa kompetencje mojego lekarza. Kwestionował jego opinie i uparcie rekomendował mi inne witaminy, ćwiczenia i diety. Poza tym miał odmienne oceny objawów, które u mnie występowały.

– Lepiej trzymaj się z daleka od lekarzy – powiedział któregoś dnia. – I znajdź sobie dobrą położną.

Początkowo nie sądziłam, że Linden naprawdę tak uważał, ale on wciąż do tego wracał i obie z mamą zrozumialiśmy, że traktuje sprawę poważnie. Postanowiłyśmy z nim porozmawiać, aby rozwiać jego obawy i złagodzić niepokój.

– Wszystko będzie dobrze, Linden – powiedziałam. – Świetnie się czuję i nie mam żadnych niepokojących objawów.

– Owszem, ale postępowanie tych lekarzy może zaszkodzić dziecku – odpowiedział z uporem. – To znaczy nie od razu, tylko potem – uzupełnił. – Traktują cię jak pozycję w statystykach, jak królika doświadczalnego, nic więcej. Nowoczesna medycyna jest bezduszna i nieludzka. Oni uważają, że my mamy im służyć, a nie oni nam. Konowały! – warknął.

Kiedy wyszedł, mama popatrzyła na mnie i powiedziała, że wreszcie zaczyna rozumieć, o co mu chodzi.

– To znaczy?

– Linden obwinia siebie za okoliczności, w jakich go urodziłam, oraz ich skutki. Jak wiesz, razem z Jackie Lee ukrywałyśmy moją ciążę przed wścibskim światem Palm Beach. Jackie wymyśliła strategię wmawiania towarzystwu, że to ona jest matką Lindena, a nie ja. W ten sposób ochroniła moją cześć i zapewniła mi spokój. Teraz, po latach, myślę, że chroniła także swoją reputację. Nie chciała, aby plotkowano o niej jako o matce, która była

ślepa na podłość i rozwiąłość Kirby'ego Scotta i nie obroniła przed nim własnej córki.

Jackie Lee znalazła lekarza, który dotrzymał tajemnicy, i jak wiesz, urodziłam syna tu, w tym domu. Jestem pewna, że Linden przemyślał to wszystko – nasze podchody, udawanie, kłamstwa, wybiegi, mój stan ducha – i doszedł do wniosku, że te trudne warunki wpłynęły na ciężę, powodując jego upośledzenie.

Złość na świat i odmowa kontaktów z ludźmi świadczą, iż Linden zdaje sobie sprawę, że nie jest zupełnie normalny – dodała, ocierając łzy. – Zresztą wiele razy mi mówił, że wie, jaki jest i co z nim nie tak. Dodawał jednak, że akceptuje swój stan, podobnie jak każda osoba upośledzona.

– Tak – powiedziałam. – Rozumiem. Dlatego nie powinnyśmy dawać mu do zrozumienia, że martwi nas jego nadmierna troska o mnie. Porozmawiam z nim później.

Mama się uśmiechnęła.

– Szczęściarz z niego, że ma taką siostrę.

– A ja mogę się cieszyć, że mam taką mamę.

Uścisnęłyśmy się serdecznie. Choć mieszkaliśmy w imponującej rezydencji i chronione jej murami, nie doświadczałyśmy codziennych problemów zwykłych ludzi, ciągle czułyśmy się bezbronne.

Pod stopami miałyśmy marmurowe posadzki. Służba ułatwiała nam życie. Na nasze zawołanie czekała cała armia fachowców i wystarczył jeden telefon, żeby ich wezwać. Mimo to nie potrafiłyśmy się pozbyć nawyku lękliwego spoglądania przez ramię czy nasłuchiwania kroków złego losu; przycupnięty za zasłoną cienia czekał tylko na okazję, by nas dopaść i obrabować ze szczęścia i nadziei, ze wszystkiego, czym jeszcze nie zdążyłyśmy się nacieszyć.

Nie było żadnych wątpliwości, że „To” się czai. Niczym ów czarny statek, tak często widywany przez Lindena, sunący po nocnych falach oceanu. Zrazu tylko punkcik na horyzoncie, robił się coraz większy, coraz bardziej widoczny i sterował nieubłaganie na Joya del Mar, z upiorną załogą przyczajoną na pokładzie.

Przeciągle buczenia boi niosły się przez noc.

Boi alarmowych.

A nam pozostało tylko czekać i mieć nadzieję, że „To” zawróci i ominie nas. Nie zawróciło.

Nie musiałam szukać wymówki, aby uniknąć lunchu z Manon i kobietami z Club d'Amour, kiedy zadzwoniły do mnie po paru tygodniach. Tego dnia miałam dużo zajęć na uczelni i terminy mi kolidowały. Manon nie ukrywała irytacji.

– Doceniam twój pęd do nauki, Willow, ale żyjemy w realnym świecie i powinnaś czasami zejść na ziemię.

Nie miałam pojęcia, do czego pije, ale nie przejęłam się zbytnio. Przeprosiłam, dodając, że postaram się szybko znaleźć jakiś termin. Manon z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Liczyłam, że na dłuższy czas mam spokój, ale w następny wtorek, kiedy wróciłam z uczelni, zobaczyłam przy telefonie kartkę od Jenningsa z wiadomością: „Manon Florette pilnie prosi o telefon” i z jej numerem.

Przekonana, że chodzi o kolejny udramatyzowany kryzys towarzyski, nie spieszyłam się do telefonu. Przebrałam się, pogadałam chwilę z mamą, a potem wróciłam do siebie i wybrałam numer Manon, przygotowana na zdawkową rozmowę w stylu Palm Beach. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Długo czekałam na twój telefon. Lokaj powiedział mi, kiedy wracasz – warknęła.

– Co się stało, Manon?

– Wszystkie cztery przesunęłyśmy swoje terminy, nawet najpilniejsze, żeby się z tobą spotkać. Bądź za kwadrans w Rosebud. Wiesz chyba, gdzie to jest. Niedaleko od ciebie.

– Ale o co chodzi?

– Po prostu przyjeżdż. – Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam wymyślić pretekst do odmowy. Zirytowałam się, ale i zaciekawiłam. Potraktowała mnie niemal obcesowo, co było dziwne nawet jak na standardy Club d'Amour.

Kawiarnia Rosebud miała ładne ogrodowe patio z widokiem na ocean – należało jednak zająć właściwy stolik. Nie wątpiłam, że Manon wybierze właściwy stolik, ale przecież nie spotkałyśmy się tu dla podziwiania pięknych widoków. Kiedy się zjawiłam, wszystkie już tam były. Pomyślałam, że chyba wcześniej przyjechały do Manon i tam wraz z nią czekały na mój telefon. Serce zareagowało lekkim werblem, który przyspieszał, w miarę jak zbliżałam się do stolika i widziałam cztery kobiety, wpatrzone we mnie z dziwnie poważnymi minami. Poczułam, że oddech ucieka mi z płuc.

– Co się stało? – wykrztusiłam, przysuwając sobie krzesło.

Zjawił się kelner.

– Tylko kawa – rzuciła Manon niecierpliwie.
Skinął głową i zmył się błyskawicznie.

– Wyjaśniłyśmy ci już, po co i dlaczego utworzyłyśmy nasz sojusz – zaczęła Manon i zerknęła na swoje towarzyszkę. Wszystkie były skupione na mnie.

– Tak?

– Mamy dla ciebie raczej niedobre wieści. Oczywiście, znając twój stan, długo dyskutowaliśmy, czy powinniśmy ci teraz powiedzieć. Przeważało jednak zdanie, że twój stan czyni tę sprawę jeszcze ważniejszą i mamy wręcz obowiązek cię ostrzec.

– Ostrzec? Przed czym, Manon? Rozumiem, że lubujecie się w dramatycznych efektach, ale...

– Thatcher ma romans – wyrzuciła z siebie. – A mówiąc dokładniej, kontynuuje dawną znajomość.

– Mówiąc bardzo dokładnie – sprecyzowała Marjorie.
Spiorunowałam ją wzrokiem i z bijącym gwałtownie sercem znów zwróciłam się do Manon.

– Coś ty powiedziała? – wyjąkałam.

– Lata temu, zanim pojawiłaś się na scenie, Thatcher miał romans z niejaką Mai Stone, zdaniem większości bardzo poważny.

– Wiem wszystko o Mai Stone.

– Czyżby?

Ich uśmieški mnie zirytowały.

– Tak. Wiem, że był bardzo zaangażowany, ale go zostawiła dla jakiegoś bogatego księcia i...

– I tak, i nie. Stale dochodzą nas słuchy o jej tajnych wypadach do Palm Beach i ognistych randkach z młodym panem Eatonem – ciągnęła Manon.

– Mają nawet swoje miłosne gniazdko – uzupełniła Sharon.

– Dom plażowy należący do Addisona Steele’a, zamożnego przyjaciela Thatchera – poinformowała Liana i poczułam, jak gorąca fala krwi zalewa mi policzki.

Zjawił się kelner i postawił przed nami kawę. Nikt nic nie mówił, ale wszystkie patrzyły na mnie. Wreszcie Sharon powiedziała do Manon:

– Mówiłam ci, że to jej może zaszkodzić. Wygląda, jakby miała zaraz poronić.

Kelner uniósł brwi.

– To wszystko. – Manon odprawiła go gestem i szybko zniknęła.

- Dobrze się czujesz? – Marjorie spojrzała na mnie z troską.
Kiwnęłam głową.
- Na jakiej podstawie twierdzicie, że ten romans trwa? – odezwałam się słabym głosem.
- Wierz mi, łudziłyśmy się, że to nieprawda. Miałyśmy podejrzenia, ale trzeba było czasu, żeby zweryfikować pewne fakty. Pierwszy jest najbardziej oburzający i co do tego byłyśmy zgodne, no nie, dziewczyny?
Kiwnęły głowami.
- Miałam wrażenie, że powietrze wokół mnie podgrzewa się z każdą sekundą, aby coraz trudniej było mi oddychać.
- Miał czelność, podłą czelność spotkać się z nią w czasie waszej podróży poślubnej. Spędzili czułe tête-à-tête w Nicei, kiedy ty byłaś w Eze – wyjaśniła Manon.
- Jakim cudem urwał ci się na tak długo w czasie miodowego miesiąca? – Sharon nie ukrywała zdziwienia. – Wszystkie się nad tym zastanawiałyśmy.
Zamarłam w osłupieniu i niedowierzaniu, przypominając sobie nagły wyjazd Thatchera w interesach.
- Skąd wiecie, że to prawda? – Z trudem wydobywałam słowa ze ściśniętego gardła.
- Rodzice Marjorie mają przyjaciół, którzy z kolei przyjaźnią się z teściami Mai Stone. Sprawa wypłynęła przypadkiem, w trakcie towarzyskiej rozmowy, i Marjorie zaczęła to badać na nasz użytek.
- Uruchomiłam swoje źródła, a wśród nich jego sekretarkę, Terri Wilson.
- Terri?
- Ona, dobrze usłyszałaś. – Manon przytaknęła z uśmiechem. – Myślałaś, że prędzej da sobie uciąć język, niż zdradzi tajemnice swojego szefa. Cóż, w sprawach biznesowych nadal jest dyskretna do bólu, ale wydaje się, że przejrzała na oczy w sprawie moralności Thatchera i musiała z kimś o tym pogadać. Byłam z nią w jednej grupie na studiach. Nie jest z całą pewnością gatunkiem plotkary, więc nie mów mi, że wyszała to wszystko z palca – zastrzegła z błyskiem w oku.
- W każdym razie – Manon upiła łyk kawy – dowiedziałyśmy się, że od tego czasu częstotliwość wizyt Mai Stone znacznie się zwiększyła.
Chciałam pokręcić głową, ale nie zdążyłam.
- Spodziewałyśmy się, że będziesz sceptyczna, to jasne. Żadna z nas ani żadna z kobiet, którym pomogłyśmy, nie chciała z początku uwierzyć, że

mężczyzna, którego kocha i który twierdzi, że kocha tylko ją, mógłby zdradzać. Ale nie miały innego wyjścia – powiedziała Manon z zimnym, stalowym błyskiem w oczach.

– O, tak, musiały uwierzyć! – wtórowała jej Marjorie.

Manon sięgnęła do swojej torby Gucci i wyjęła teczkę z papierami.

– W razie potrzeby zatrudniamy specjalnego detektywa. Oczywiście wszystko zostało załatwione dyskretnie. Ten człowiek wiele razy oddał nam nieocenione usługi i okazał się bardzo wiarygodny.

– Kiedy dowiedziałyśmy się o skokach w bok Thatchera, wynajęłyśmy detektywa na koszt klubu... powiedzmy ze składek... aby dostarczył nam informacje, których potrzebujesz. Wszystko masz tutaj. – Podsunęła mi teczkę. – Daty, godziny, miejsca. Są nawet zdjęcia.

Wpatrywałam się w teczkę, jak w jadowitego węża.

– Weź, jest twoja – zachęciła. – To prezent od nas.

– Prezent – powtórzyłam cicho. – Bezcenny dar.

– Rozumiemy, co czujesz, Willow. Każda z nas w swoim czasie przeżywała to samo, ale potem byłyśmy wdzięczne za wsparcie, którego sobie nawzajem udzielałyśmy. Dlatego zaprosiłyśmy cię do naszej grupy – dodała i włożyła mi teczkę do rąk.

Jeszcze się wahałam.

– Jeżeli nie teraz, możesz tego potrzebować później – uświadomiła mi Manon. – Lepiej, żebyś miała takie papiery w czasie rozwodu. Nie zapominaj, że masz męża prawnika, który, jak przypuszczamy, podsunął ci ślubną intercyzę.

Wyraz mojej twarzy powiedział jej, że trafienie było celne. Znowu podsunęła mi teczkę.

Wzięłam ją z wahaniem. Pod tą okładką kryła się śmierć mojej miłości, obraz kłamstw i złamanej przysięgi. Chmura maleńkich strzał tylko czekała, żeby wystrzelić w moje serce. Teczka omal nie wyslizgnęła mi się z drżących palców. Myśl o zajrzeniu do niej przerażała i zarazem pociągała.

– Wszystko w porządku? – Sharon położyła dłoń na mojej dłoni.

– Nie – bąknęłam. Łzy zapiekły mnie pod powiekami.

– Któraś z nas powinna ją odwieźć do domu. – Spojrzała na Manon.

– Naturalnie.

Pokręciłam głową.

– Willow, mam nadzieję, że zrozumiesz, czemu zrobiliśmy to dla ciebie,

i nie znienawidzisz nas – powiedziała Manon.

Powiodłam po nich spojrzaniem. Altruistki? Czy naprawdę powoduje nimi kobieca solidarność, jak mi mówiły? A może każda zdrada, każde kłamstwo, które odkryją, wzmacnia ich cyniczną niewiarę w tak zwaną wielką miłość? Dzięki temu mogą łatwiej usprawiedliwić własne błędy? Nikt nie jest całkowicie szczery i prawdomówny. Z drugiej strony to, co je spotkało, nie jest wyjątkiem w kobiecym świecie i nie powinny się za to winić.

Ja też nie powinnam ich winić, choćby działały z niezbyt szlachetnych pobudek, myślałam. Która z nas chciałaby się czuć niechciana, zaniedbana czy poniewierana, a na dodatek zdołowana poczuciem winy? To, co robią, daje im przynajmniej poczucie własnej mocy i wartości.

– Nie – odpowiedziałam. – Nie mam do was żalu.

– Lepiej, że dowiedziałaś się o wszystkim teraz, Willow. W jakimś sensie jesteś szczęściarą.

– Szczęściarą? Jak możesz tak mówić?

– Nie zdążyłaś jeszcze zainwestować tyle uczucia i poświęcenia dla drugiego człowieka, ile inne kobiety, które ten koszmar spotkał po latach.

– Mamy mieć dziecko! – wykrzyknęłam.

Klej, który spajał moją twarz, wykruszył się. Łzy przerwały tamę i wypłynęły spod powiek. Usta mi drżały i cała się trzęsłam.

– Rozumiem. – Manon sięgnęła po moją dłoń, ale cofnęłam ją i wstałam.

– Muszę jechać do domu – wykrztusiłam.

– Sharon cię zawiezie.

– Nie, nikt mnie nie będzie odwoził. Muszę do domu. – Ruszyłam chwiejnie do wyjścia, ale pomyliłam kierunki i omal nie wpadłam na parę siedzącą przy sąsiednim stoliku. Spojrzeli na mnie zdziwieni. Pokręciłam głową i wybełkotałam jakieś przeprosiny.

Członkinie Club d'Amour wstały.

– Willow! – zawołała Liana i postąpiła krok ku mnie.

Pokręciłam głową i wybiegłam z lokalu. Wyjęłam kluczyki, żeby otworzyć samochód, ale wypadły mi z rąk. Szukałam ich na kolanach, macając jezdnię, a kiedy wreszcie znalazłam, przybiegły dziewczyny.

– Willow, nie możesz jechać w takim stanie – błagała Manon. – Uspokój się. Pozwól, żeby któraś z nas cię odwiozła.

Wsiadłam i cisnęłam teczkę na siedzenie pasażera. Przekręciłam kluczyk i spojrzałam na nie. Stały na chodniku, patrząc na mnie z takim współczuciem,

że poczułam się jeszcze gorzej. Wcisnęłam gaz. Opony zapiszczały, kiedy zakręciłam na parkingu i wyprysnęłam na szosę, omal nie zderzywszy się z nadjeżdżającym autem. Kierowca wściekle zatrąbił.

Wzięłam głęboki oddech, zwolniłam i próbowałam przełknąć dławiącą gulę w gardle. Wreszcie uspokoiłam się na tyle, żeby oddychać normalnie. Dojechałam do Joya del Mar, ale nie skręciłam w bramę, tylko jechałam dalej, aż znalazłam zjazd z szosy nad ocean.

Zaparkowałam tam i siedziałam w aucie, wpatrując się w wodę. Teraz słyszałam wyraźnie głos Thatchera. Co wtedy powiedział?

„U twojego boku chcę się stać odpowiedzialny, dojrzały i pracowity. Wydobywasz ze mnie to, co najlepsze, Willow”.

Odpowiedzialny?

Śmiałam się przez łzy. Nagle przestałam, nabrałam powietrza i sięgnęłam po piekielną teczkę. Otworzyłam ją drżącą ręką i zaczęłam przeglądać dokumentację. Pierwsze parę stron stanowił suchy wykaz dat, godzin i miejsc, w których Thatcher potajemnie spotykał się z Mai Stone, tak jak opisywała to Manon. Potem były kopie rachunków hotelowych, z których najświeższe dotyczyły doby w Tallahassee, kiedy miał ponoć pilne spotkanie z klientami, przedłużające się do późnych godzin nocnych. I zdjęcia – ich dwojga siedzących w restauracji, spacerujących po plaży i trzymających się za ręce; jej głowa oparta o jego ramię, a potem najgorsze – całujących się przy fontannie przed jakimś hotelem.

Nagle, bez ostrzeżenia, mój żołądek się zbuntował. Zdażyłam otworzyć drzwi i zwymiotować na pobocze. Myślałam, że stracę dziecko, tak straszny ból przeszył mi żołądek i pierś. Kiedy minął, ciężko dysząc, opadłam na oparcie fotela i przymknęłam oczy. Pod powiekami przelatywały mi obrazy Thatchera, który patrzy z ogniem w oczach, wyznaje mi miłość i mówi, ile dla niego znaczę. Każdy z tych obrazów był niczym kolejne ukłucie żądła albo smgnięcie bicia.

– Tato! – krzyknęłam, ale tym razem odpowiedziała mi cisza.

Tym razem byłam kompletnie samotna.

Bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Tym razem musiałam sama znaleźć w sobie odpowiedzi.

Rozdział siedemnasty

WYROK: WINIEN

Mama spała na kanapce na tylnym tarasie i sprawiała wrażenie tak spokojnej, pełnej szczęśliwych snów, że nie ośmieliłam się jej obudzić. Lindena nigdzie nie było widać, pewnie malował w pracowni. I dobrze, bo nie chciałam, żeby mnie widział. Rzut oka na swoje odbicie w lustrze w korytarzu upewnił mnie, że każdy, kto zobaczy moją twarz, zrozumie, że wydarzyła się tragedia.

Nie wiedziałam, jak Linden zareaguje na tę paskudną nowinę. Zwłaszcza że nie znosił Thatchera. Utrzymanie pokojowego współistnienia pomiędzy dwoma panami wymagało ode mnie nie lada ekwilibrystyki. Najskuteczniejszym hamulcem dla mojego brata było sugerowanie, że jego reakcje i niechęć do rodzinnej współpracy bardzo mnie rozczarowują. Ale dziś nie miałam siły, żeby radzić sobie z osobą przeżywającą wieczny kryzys. Za dużo miałam własnych problemów.

Na razie bardziej napędzał mnie gniew niż rozpacz. Poszłam na górę do naszej sypialni, otworzyłam teczkę i rozpostarłam na łóżku wachlarz dokumentów, niczym dokumentację z miejsca zbrodni, przygotowaną dla prokuratora okręgowego. Wierzyłam, że to wystarczy sądowi do wydania sprawiedliwego wyroku. I miałam nadzieję, że kto jak kto, ale Thatcher temu wyrokowi się podporządkuje.

Stałam przy łóżku i długą chwilę wpatrywałam się w dowody zdrady, czując ucisk w żołądku, mdłości, których dotąd udało mi się uniknąć. Pomyślałam, że muszę natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza. Pokój pełen rzeczy Thatchera zaciskał się wokół mnie jak pętla. Włożyłam cienką wiatrówkę i wyszłam bocznymi drzwiami, żeby nie obudzić mamy, śpiącej na tarasie.

Przeszłam plażą daleko, aż do południowego krańca posiadłości. Tam usiadłam, obejmując rękami kolana, i wpatrzyłam się w ocean. Szum fal hipnotyzował. Bryza rozwiewała mi włosy. Mewy krążyły chwilę nade mną, ale szybko odleciały, uznając, że nie jestem dla nich interesująca. W oddali na falach bielił się żagiel. Na moment wyobraziłam sobie wydęte policzki psotnego wiatru, dmuchającego w białą płachtę. Oczywiście przypomniało mi to Thatchera i nasze jachtowe wyprawy, pikniki na wyspach i kochanie się pośród fal.

Kim był ten mężczyzna, który oczarował mnie swoimi oczami i uśmiechem, kiedy pierwszy raz przybyłam do Palm Beach; który podrywał mnie z takim zapałem i tak pięknie mówił o miłości? Kim był mężczyzna, który zabrał mnie na szaloną kolejkę górską, śmigającą ponad zwyczajnym światem; którego śmiech był jak muzyka, a każdy pocałunek pieczętował najpiękniejsze obietnice? Czy były to tylko dymne zasłony i lustra, wyrafinowane oszustwa i misterne kłamstwa nanizane jedno za drugim jak perły? Tak mistrzowskie, że trzeba by eksperta, żeby wyłuskał spod nich prawdę.

Tata napisał kiedyś artykuł o tym, co nazywał „syndromem Don Juana”. Powinnam wypisać z niego cytaty i powiesić je sobie na szyi, pomyślałam. Opisywał tam swojego pacjenta, który przypuszczał szturm na kolejne kobiety, oczarowywał je i zdobywał, ale nie dlatego, że był aż tak uzależniony od seksu. Po prostu na swój sposób usiłował poradzić sobie z poczuciem, że jest niekochany i nie zasługuje na miłość.

Mogłam zrozumieć, że Thatcher dorastał z poczuciem, iż nie jest kochany. Jego rodzice, a zwłaszcza Bunny, byli tak skupieni na sobie, że potrzeby syna zostały zepchnięte na dalsze miejsca hierarchii ich zainteresowań, dużo poniżej powinności towarzyskich. Jego siostra, wychowana w tym samym domu, wyrosła na osobę zimną, twardą i wyrachowaną. Tak jak nowotwór rozprzestrzenia się, powielając swoje komórki, tak ona uczyniła swoje dzieci zwierciadlanymi odbiciami siebie samej.

Thatcher poszedł w innym kierunku – kolekcjonowania niezobowiązujących romansów. Podrywał naiwne kobiety, pławił się w ich poświęceniu i miłości, a kiedy mu się znudziło, porzucał je. Prawdopodobnie byłam dla niego kolejnym podbojem, ćwiczeniem w sztuce uwodzenia. Ożenił się ze mną, gdyż zapewne uważał, że tak trzeba i tego się od niego oczekuje. Teraz już byłam pewna, że gdyby inna kobieta znalazła się na moim miejscu, zostałaby w ten sam sposób uwiedziona, zdobyta i oszukana.

Kiedy tak siedziałam, pogrążona w rozmyślaniach o Thatcherze, uświadomiłam sobie, że mogę analizować jego psychę, nawet w jakiś sposób go usprawiedliwiać, ale w żadnym razie nie potrafię mu wybaczyć. Moje serce było jak Humpty-Dumpty. Wszyscy konni i wszyscy dworzanie nie byli w stanie skleić go do kupy.

– Cześć. – Usłyszałam jego głos i uniosłam głowę. Stał nade mną na piasku. Przyglądałam mu się w milczeniu. Wydmuchał powietrze przez usta, przeczesał włosy palcami, spojrzął na ocean i kiwnął głową.

– Pomyślałem, że cię tu znajdę.

– Potrzebowałam świeżego powietrza. Atmosfera w naszej sypialni jest duszna od rozkładu i zgnilizny.

Znów kiwnął głową.

– Powiem ci, co najbardziej mnie zaskoczyło, Willow. Fakt, że wynajęłaś prywatnego detektywa, bo fakt, iż tak zrobiłaś, jest dla mnie jasny.

– Nie wynajęłam. Ktoś zrobił to za mnie.

– Ktoś? A kto? Chyba nie Linden i Grace? Kogo masz na myśli? – Przypominało to przesłuchiwanie świadka na procesie. Nagle zamarł, jakby przyszła mu do głowy straszna myśl. – Chyba nie moją siostrę, co?

Milczałam, pozwalając, żeby sam podsycił płomień swojej udręki.

– Szpiegowanie mnie musiało trwać od dłuższego czasu, Willow.

– Thatcher, naprawdę uważasz, że ta kwestia jest najważniejsza? A nie to, co spowodowało, że dokumenty ze śledztwa leżą teraz na naszym małżeńskim łóżu? Dla mnie liczy się tylko ich treść.

Popatrzył na mnie przeciągle i jego rysy złagodniały.

– Masz rację – przyznał.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po plaży, jakby przygotowywał się do mowy sądowej. Znałam go i wiedziałam, że w ten sposób zbiera myśli.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby zaprzeczać – powiedział, stając przede mną. – Jestem winien tych wszystkich występków, ale pozwól mi na mowę obrończą i zechciej mnie wysłuchać.

Opuściłam wzrok i uśmiechnęłam się skrycie. Jak łatwo było przewidzieć jego następny ruch! On, tak inteligentny i błyskotliwy, który jeszcze niedawno był dla mnie niemal ideałem, nagle skarłał w moich oczach. Teraz byłam odporna na jego adwokackie techniki i manipulatorską argumentację, która kazała jego przeciwnikom wątpić w wartość własnych argumentów i przekonań. Ale Thatcher jeszcze tego nie wiedział. Nadal trwał

w przekonaniu, że włączy swój prawniczy tryb, swoje niezrównane krasomówstwo i działa wycelowane w siebie odwróci w moją stronę.

– Proszę, Thatcher – zachęciłam. – Wygłoś swoją mowę obrończą.

– Z pewnością znasz słowa Freuda, który kiedyś powiedział, że w każdy miłosny związek jest wplątanych czworo ludzi – zaczął.

Sprytnie, że na początku nawiązał do mojej ukochanej dziedziny!

– U nas, zgodnie z tym schematem, była pierwsza kobieta, w której ja się zakochałem, pierwszy mężczyzna, w którym ty się zakochałaś, oraz my. Tych dwoje stale widzimy w sobie, nosimy ich w sobie i nie da się tego zmienić, nie sposób temu zapobiec. Taka jest potęga nieświadomości.

Nigdy tak naprawdę nie zerwałem z Mai i nie wyperswadowałem sobie uczucia do niej, choć mówiłem ci, że jest inaczej. Wiele razy sobie powtarzałem, że muszę to zrobić, ale nie miałem dość siły i determinacji. Wreszcie pomyślałem, że paradoksalnie przemogę to uczucie, jeśli się jemu poddam, zostanę z Mai i spróbuję zobaczyć w niej tylko jedną z wielu kobiet. Kiedy jesteś z dala od kogoś, kogo kochasz, puszczasz wodze fantazji i masz tendencję do idealizowania tej osoby. Konfrontacja marzeń z rzeczywistością może podziałać trzeźwiąco i pomóc w zakończeniu sprawy. I myślę, że tak się właśnie stało.

W trakcie naszego ostatniego spotkania powiedziałem jej, że bardzo się zaangażowałem w małżeństwo, że jesteś w ciąży i musimy zakończyć znajomość. Mówiłem, że nie mogę się dla niej poświęcać tylko dlatego, że sama jest w nieudanym związku. Mój związek jest udany. Rozstaliśmy się w zgodzie. Oczywiście należą ci się przeprosiny. Powinienem każdego ranka zaczynać dzień od słowa „przepraszam” i błagać cię o wybaczenie do końca moich dni.

Zamilkł, pozwalając mi odpowiedzieć.

– Tyle dat, godzin i miejsc? Tyle randek i zrad, tyle skoków w bok, nawet w czasie naszego miesiąca miodowego? Tyle musiałeś popełnić niegodziwości, nim doszedłeś do zachwycającej konkluzji, że twoje małżeństwo jest dobre? – wyrzuciłam z siebie podniesionym głosem.

– Ona nalegała, a ja byłem słaby. Przyznaję się do winy, ale teraz jestem silniejszy. Ty dałaś mi tę siłę, Willow.

– Ja? – zapytałam teatralnie, robiąc wielkie oczy. – Ja, naiwne dziewczę? Niedoświadczona studentka, której miłosne doświadczenia nie wypełniłyby nawet dziesięciu minut telewizyjnego serialu? Ktoś taki jak ja miałby dać

tobie – światowemu mężczyźnie, znającemu trzy języki, inteligentnemu, eleganckiemu, znającemu świat i ludzi – siłę, której mu brakowało? Ja miałabym nauczyć cię prawdy o udanym związku?

– Właśnie tak – powiedział z przekonaniem.

Pokręciłam głową, przeniosłam spojrzenie na ocean i zaczęłam się śmiać.

– Taka jest prawda – upierał się Thatcher.

Obróciłam się ku niemu. Byłam wściekła.

– Prawda? Thatcher, proszę cię. Ty, twoja siostra, twoja matka i cała twoja rodzina jesteście tak nawykli do kłamania, udawania, dramatyzowania i mataczenia, że żadne z was nie potrafi rozpoznać prawdy w jej rzeczywistym kształcie, nawet gdyby ta prawda była wyświetlana w formie neonowego napisu na Worth Avenue! Całe to miejsce, ten towarzyski świat Palm Beach, ten wasz ukochany sezon balowy, który traktujecie jak jeden wielki obrzęd religijny, gdzie zaproszenie równa się błogosławieństwu, a jego brak wtrąceniu do piekła – to jeden wielki zbiór nonsensów, który rządzi wami i waszym myśleniem.

– Czy nie przesadziłaś z tą protekcyjnością i poczuciem moralnej wyższości? – rzucił z irytacją.

– Nie uważam, żebym przesadziła. Nie jestem święta, ale nie mam zwyczaju okłamywać siebie.

– Myślałem, że chcesz zostać psychiatrą. Myślałem, że meandry ludzkiej psychiki są ci znane i wykażesz zrozumienie dla ludzkich problemów – poskarżył się, bezradnie rozkładając ręce.

– Źle myślałeś.

Opuścił ramiona i zgarbił się.

– W takim razie wszystko, co powiedziałem, nie ma dla ciebie znaczenia?

– Owszem, ma. Pomoże mi wydać wyrok.

Popatrzyłam na niego zimno; tak zimno, że aż się cofnął o krok.

– Jaki wyrok?

– Jesteś winny – powiedziałam ostro. – Winny kłamstw i winny małżeńskiej niewierności. Sąd nie uznaje żadnych okoliczności łagodzących. Czy oskarżony rozumie sentencję wyroku? Czy mam powtórzyć?

Pokręcił głową.

– Nie musisz. – Odwrócił się na pięcie i odszedł. A właściwie uciekł. Patrzyłam za nim, aż zniknął mi z oczu, a potem zacisnęłam powieki i położyłam się na ciepłym piasku, walcząc ze łzami.

Kiedy po niecałej godzinie wróciłam do domu, już go nie było. Zabrał większość swoich rzeczy. Teczka i dokumenty zostały na łóżku, jak symboliczne resztki naszego potrzaskanego małżeństwa. Złożyłam dokumenty, zamknęłam teczkę, a potem usiadłam na łóżku i wreszcie pozwoliłam strumieniom łez swobodnie płynąć po policzkach. Płacząc, podtrzymywałam rękami brzuch.

Wewnątrz mnie rosło dziecko. Jeszcze dzisiaj myślałam o nim jako o naszym dziecku i choć go nie planowaliśmy, nie uważałam zajścia w ciążę za swój błąd. Czy można uważać za błąd istotę, która będzie piękna i będzie nasza, krew z naszej krwi? A czyim teraz będzie dzieckiem? Rozbitego małżeństwa? Kłamstw i zdrad? Domu zbudowanego na oszustwie?

Co będę myśleć, patrząc na nią? Czy ciągle widzieć w niej Thatchera i jego zdradę? Nigdy nie zdołam oddzielić tego od mojej córki? Ile będzie w niej z ojca? Więcej niż mnie?

Nienawidziłam siebie za te pierwsze myśli po rozstaniu, gdyż pojawiła się wśród nich myśl o aborcji. Czy mam pozwolić na przedłużenie tego oszustwa? To dziecko nie będzie urodzone z miłości, tylko ze zwykłej żądz, i w tym sensie ja też poczuwałam się do winy. Nie mam do niego prawa. Popatrzyłam na siebie w lustrze.

Willow De Beers, popatrz na ten świat, na układ, w jakim twoje dziecko miałyby się znaleźć, i zapytaj siebie, czy naprawdę chcesz wydać je na świat.

Ogarnął mnie lęk, że furia rozpalona do białości, która narasta we mnie, może pochłonąć płód. Cała ta żółć, krew zgorzkniała od rozpacz i upokorzenia, mogą upośledzić i napiętnować tę niewinną istotę, nasycić goryczą jej umysł. O ile w ogóle przeżyje. Teraz dopiero zrozumiałam, jak mądra była Manon, dostarczając mi informacje o zdradzie, zanim zdążyłam zainwestować swoje poświęcenie i uczucia w nieudane małżeństwo. Wszystkie cztery siedziały tam i patrzyły na mnie, zapytując bez słów: „Czy chcesz urodzić dziecko tego mężczyzny?”

Załkałam głośniej. Trzęsłam się cała i mimo woli kołysałam się jak dziecko w przód i w tył, żeby się uspokoić.

Ktoś zapukał do drzwi, zrazu tak cicho, że nie skojarzyłam, o co chodzi. Aż podskoczyłam, kiedy zapukał głośniej. Potok łez nagle ustał. Nabrałam powietrza.

– Tak?

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich mama. Miała zmartwioną minę.

– Widziałam, jak Thatcher wyjeżdża – powiedziała. – Niósł walizki i widać było, że jest wściekły. Zawołałam do niego i wiem, że mnie słyszał, ale się nie odwrócił. Co się stało, Willow?

W milczeniu pokręciłam głową i znów popłynął potok łez, tak obfity, że mógłby nas zatopić.

Mama przypadła do mnie i zamknęła w pocieszającym uścisku. Na chwilę poczułam się małą dziewczynką, która tuląc się do swojej Amou, chłonie falę jej współczucia i miłości, trzymając się kurczowo słów nadziei. W oczach Amou zawsze zapalało się dla mnie słońce, dając mi wiarę, że zaraz będzie lepiej.

Kiedy się trochę uspokoiłam, opowiedziałam wszystko mamie, a potem pokazałam jej zawartość teczek. Przejrzała dokumenty i smutno popatrzyła na fotografie. Wzdychała przy tym tak głęboko, że zaczęłam jej współczuć jeszcze bardziej niż sobie. Miałam wrażenie, że w ciągu paru minut postarzała się o kilka lat.

– Taki zawód – powiedziała. – Takie okropne wieści. Thatcher zawsze mi imponował. Podziwiałam sposób, w jaki udało mu się wyjść poza ramy rodziny i stać się dojrzałym, szanowanym w swojej dziedzinie młodym człowiekiem.

Popatrzyła na mnie.

– Czuję się częścią tego kłamstwa. Czuję się odpowiedzialna za twoją sytuację.

– Dlaczego?

– Bo tak się cieszyłam, że z nim jesteś i że za niego wychodzisz. Wspierałam was i wierzyłam w was, nie chcąc widzieć, jakim Thatcher jest uwodzicielem.

– Jestem już dużą dziewczynką, mamó. Byłam z nim, bo tak chciałam. Wiedziałam o jego przeszłości i hedonistycznym stylu życia. Na pewne rzeczy przymykałam oczy, nie chciałam niczego widzieć. Robiłam tak z własnej woli, nikt mnie nie zmuszał. Cały czas pojawiały się różne sygnały i niepokojące objawy. Ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało. Nie pozwolę, żebyś wzięła na siebie nawet odrobinę winy.

– Tego nie możesz mi zabronić, nawet gdybyś chciała – odparła mama stanowczo, zamykając teczkę. – Co masz teraz zamiar zrobić?

– Nie mogę być dłużej żoną takiego człowieka.

Kiwnęła głową.

– I zastanawiam się, co z jego dzieckiem – dodałam. Mama popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Co takiego? Nie chcesz chyba powiedzieć... Nie myślisz o usunięciu ciąży?

– Sama nie wiem, mamó. Myślę o życiu, które miałabym temu dziecku zafundować. Łańcuch błędów, które się kumulują, może uczynić to życie nieznośnym.

– Och, nie, Willow, nie mów tak. Nie można uważać dziecka za swój błąd. Zresztą czy chcesz tego, czy nie, dziecko jest częścią ciebie. Przecież wiesz, że tak jest.

Ujęła moją dłoń i popatrzyła mi w oczy.

– Myślisz, że nie miałam takich samych dramatycznych wahań, wątpliwości i pokus? Uznałam jednak, że dziecko, które rośnie w moim brzuchu, jest częścią mnie takiej, jaką byłam i jaką jestem. I że nie mogę go za to winić ani zaprzeczać jego istnieniu. Pojęłam, że nie da się uważać dziecka wyłącznie za owoc gwałtu. A przy tym byłam młodziutką, wrażliwą dziewczyną, która tak naprawdę nie rozumiała, co jej zrobiono i dlaczego.

– Wcale nie czuję się bardziej dojrzała czy mądrzejsza od ciebie z tamtego czasu, mamó.

– Twój przypadek jest inny, Willow. Oszukano cię i nadużyto twojego zaufania, ale jest różnica. Uwierz mi, znenawidzisz siebie jeszcze bardziej, jeśli odmówisz sobie urodzenia dziecka. Przecież zapragnęłaś go, kiedy się dowiedziałaś, że jesteś w ciąży, prawda? Przemyślałaś wszystko i uwierzyłaś, że dasz radę pogodzić macierzyńskie obowiązki ze swoimi potrzebami. Postępek Thatchera nie powinien na to wpłynąć, nie może tego zmienić.

Pokręciłam głową. Przygryzłam dolną wargę i zamknęłam na chwilę oczy.

– Tak, ja też myślę, że jego postępek nic tu nie zmieni – powiedziałam przytłumionym ze zmęczenia głosem. – Oczywiście masz rację, mamó. Tylko... po prostu będzie mi bardzo ciężko. Z wielu względów.

– Wcześniej też ci nie było lekko – odpowiedziała z uśmiechem. – Ale przecież damy radę.

Patrzyłam na nią, czując się winna za moją słabość i uzalanie się nad sobą, którym ją obciążyłam. Nie powinna dźwigać takich ciężarów. Wystarczyły jej własne. Moja biedna mama, wykorzystana i skrzywdzona, dręczona emocjonalną traumą i mentalnym bólem, która musiała się rozstać z ukochanym mężczyzną i powrócić do świata, gdzie traktowano ją jak trędowatą. A teraz to ona dodawała mi odwagi i siły!

– Och, mamó! – wykrzyknęłam. – Wybacz mi.

– Nie masz za co przepraszać, Willow. Uwierz mi, kiedyś on obudzi się nagle samotny, zagubiony i przegrany. I będzie żałował.

Otoczyła mnie ramieniem i chwilę siedziałyśmy w milczeniu na łóżku, przytulone do siebie. Oparłam głowę na jej ramieniu, a mama pocałowała moje włosy.

– Zrobię kolację, dobrze? – zaproponowała.

– Nie mam apetytu, mam.

– Przestań się karać, Willow – ostrzegła surowo. – Zanim trafiłam do kliniki twojego ojca, robiłam to bardzo długo i dopiero on pomógł mi zrozumieć, jak szalone i głupie było moje postępowanie. Dobrze wiesz, że gdyby tata tu był, nie aprobowałby tego.

Uśmiechnęłam się.

– Tak jest, mam. Będę jadła, żeby być silna.

– Dobrze – powiedziała, wstając. – Dobrze.

Wyszła, zgarbiona pod ciężarem okropnych wieści. Poszłam do łazienki, żeby obmyć twarz i uczesać włosy. Zamarłam, słysząc dzwonek. Jeżeli on liczy, że załatwi coś ze mną przez telefon, to grubo się myli, pomyślałam mściwie. Ale to była Manon.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak – odpowiedziałam zdecydowanie. – Wszystko w porządku.

– Strasznie się o ciebie martwiłyśmy, Willow. Miałyśmy poważne wątpliwości, czy dobrze zrobiłyśmy. Sumienie nie dałoby nam spokoju, gdybyś straciła dziecko.

– Nie straciłam i nie zamierzam stracić. – Determinacja w głosie aż samą mnie zadziwiła.

– To dobrze. Czy...

– Czy przedstawiłam mu dowody? – podchwyciłam. Manon milczała. Domyślałam się, że taki był cel jej telefonu. Nie zamierzałam potulnie zniknąć z życia Thatchera. Musi zostać publicznie skonfrontowany z dowodami swojej zdrady. Bez Club d'Amour niewiele zdziałam. Po raz pierwszy naprawdę się ucieszyłam, że do nich należę. – Tak, widział je. I nie próbował zaprzeczać.

– A co powiedział? Oczywiście nie musisz mi mówić.

– Powiedział, że ciągnął ten romans specjalnie, żeby go szybciej zakończyć.

– Co takiego?!

– I twierdził, że ta metoda zadziałała.

– No, takiej obrony jeszcze nie słyszałam. – Jej nieopisane zdumienie mnie

rozbawiło. – To tak, jakby seryjny morderca zabił jeszcze jedną ofiarę, żeby zakończyć swój kryminalny proceder.

Roześmiałam się.

– Tak zapewne rozumował. Ale nic nie wskórał, więc się wyprowadził.

– I dobrze – powiedziała z ulgą. – Chcę, żebyś wiedziała, że murem stoimy za tobą i możesz absolutnie liczyć na naszą pomoc. Marjorie, która miała najgorsze doświadczenia rozwodowe, jest naszą ekspertką. Prosiła, żebym przekazała ci namiary na swoją adwokatkę Glorię Baker. Bo chyba lepiej, żeby rozwodziła cię kobieta, prawda? Marjorie pozwoliła sobie naświetlić Glorii twoją sytuację, więc kiedy zadzwonisz, od razu cię skojarzy i przyjmie jak najszybciej.

Podać mi numer. Zapisałam go i podziękowałam.

– Manon, podziękuj ode mnie wszystkim dziewczynom i powiedz im, że nie mam do was żadnych pretensji. Choć szczerze mówiąc, jeszcze niedawno nie przyszłoby mi do głowy, że będę wam głęboko wdzięczna. Owszem, uważałam, że wasze towarzystwo jest interesujące, ale w kwestii stosunków męsko-damskich jesteście zbyt krytyczne, wręcz zgorzkniałe. Nigdy więcej tak nie pomyślę, przysięgam!

– Bardzo się cieszę, Willow. Zadzwonimy do ciebie niedługo i jeśli się zgodzisz, chciałybyśmy cię odwiedzić.

– Jasne, dzięki.

– Jak powiedział w filmie *Casablanca* Victor Laszlo, przywódca francuskiego ruchu oporu walczącego z nazistami: „Witaj znów w walce. Tym razem jestem pewien, że zwyciężymy”.

Uśmiechnęłam się, bo nie darowała sobie odrobiny dramatyzmu, jeszcze raz podziękowałam i odłożyłam słuchawkę.

Rozmowa dodała mi ducha. Postanowiłam iść za ciosem i zadzwoniłam do biura Glorii Baker. Sekretarka od razu mnie przełączyła.

– Może spotkamy się jutro? – zaproponowała pani mecenas, kiedy się przedstawiłam. Pozwoliła mi wybrać dogodną dla siebie porę, po czym bez zbędnych słów pocieszenia zakończyła krótko:

– Zrobimy wszystko, co trzeba.

Od razu poczułam się pewniej. Kiedy wyszłam z pokoju, żeby zejść na dół, zobaczyłam w korytarzu Lindena. Stał przy drzwiach i sprawiał wrażenie, jakby czekał tam od dłuższego czasu. Jego twarz kryła się w cieniu.

– Linden? Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Co tu robisz?

– Widziałem, jak mama wychodziła od ciebie. Płakała, więc zapytałem, co się stało, i wszystko mi powiedziała.

– Och.

– Nie jestem zaskoczony. – Staął w świetle. Twarz mu jaśniała, ale uśmiech miał zimny. – Kiedy powiedziałaś Thatcherowi, że jesteś w ciąży, zadbał, żebyś odkryła jego zdradę i kazała mu odejść.

– Nie sądzę, żeby dziecko miało z tym cokolwiek wspólnego, Linden – powiedziałam miękko.

– Och, ma, i to dużo. – Dalej się uśmiechał, a jego wzrok jeszcze bardziej się ożywił.

– Zresztą wszystko jedno. Stało się to, co się stało, i nie mam ochoty dalej tego roztrząsać.

– Słusznie. Przeszłość należy zostawić za sobą – stwierdził. – Ale skoro tak się stało, to jest dobry moment, żebym pokazał ci mój najnowszy obraz. Jutro powieszę go na ścianie.

– Och, więc skończyłeś? To fajnie – powiedziałam. Z trudem zdołałam wykrzesać udawane zainteresowanie. Wiedziałam, że Linden jest dumny ze swojej pracy i jak ważna jest dla niego twórczość.

Otworzył przede mną drzwi pracowni.

– Jesteś pierwszą osobą, która zobaczy ten obraz. Nawet mama go jeszcze nie widziała.

Skinęłam głową i weszłam. Obraz był tak duży, jak zapowiadał. Ustawił go przy zachodniej ścianie i dobrze oświetlił. Kolory były jaskrawe, prawie neonowe, aż kłuły w oczy. Już samo to dziwiło, ale treść obrazu okazała się jeszcze dziwniejsza.

Scenerią była nasza plaża. Nie miałam wątpliwości, że kobietą idącą brzegiem jestem ja. Miała wyraźny ciążowy brzuch, a postać za nią była lekko rozmazana, żeby pokazać ją w ruchu. Tu również nie miałam wątpliwości, że przedstawia Lindena. Namalował siebie, jak dogania mnie i wnika we mnie od tyłu. Jednocześnie od przodu wychodziło ze mnie dziecko, namalowane w kolejnych stadiach wzrostu, aż do małej dziewczynki.

Zafascynowana dziwnym dziełem, podeszłam, żeby mu się dokładniej przyjrzeć. Dopiero teraz zobaczyłam, że w tle, niemal niewidoczna, majaczy postać kobiety podobnej do mamy.

- Nie rozumiem, Linden. Co przedstawia ten obraz?
- Jak możesz nie rozumieć? – zawołał z pretensją i na jego twarzy pojawił się bolesny zawód.
- Po prostu chcę się upewnić, czy mam rację – wyjaśniłam spokojnie. – Nie denerwuj się, proszę. Obraz jest niezwykły.
- Trochę się uspokoił.
- Wysłał ze mnie prawie całą twórczą energię – wyznał. Stał obok mnie i popatrzył na swoje dzieło z niekłamanym zadowoleniem.
- Tu widzę narodziny – powiedziałam.
- Och, tutaj jest wszystko, co z nimi związane – miłość, życie, walka, zwycięstwa. I po prostu my. Widzisz mamę? Widzisz, jak się przygląda?
- A to ty?
- Oczywiście, że ja, a któżby inny?
- Tylko dlaczego... dlaczego wnikaszkę we mnie?
- Bo każde z nas jest częścią drugiego, od zawsze i na zawsze. Przecież wiesz. I wiele razy na różne sposoby mi o tym mówiłaś, prawda? – zapytał z histeryczną nutą w głosie, która groziła wybuchem, gdybym zaprzeczyła.
- Tak. – Pokiwałam głową. – Tak.
- Teraz pokażę to Grace. Już wcześniej próbowała tu zajrzeć – dodał z uśmiechem.
- Nie dziwię się.
- To jak, podoba ci się obraz? Naprawdę ci się podoba?
- Tak, Linden. Jest bardzo interesujący.
- Cieszę się. Thatcherowi na pewno by się nie spodobał. Próbowaliby go zniszczyć.
- Nie przytaknęłam ani nie zaprzeczyłam. Thatcher byłby w szoku, na pewno.
- Jutro go zawieszę w holu – oznajmił.
- Wiesz, Linden, ten obraz powinien mieć specjalne miejsce w naszym domu.
- Jakie?
- Zawieś go w swoim pokoju.
- W moim pokoju? Dlaczego?
- Bo jest w ogromnym stopniu częścią ciebie, twoim dzieckiem, emanacją twojej osoby. Chciałabym, aby tam wisiał. Często będę do ciebie przychodziła, żeby go oglądać – dodałam.
- Aha.

Zastanawiał się chwilę, wreszcie z uśmiechem skinął głową.

– Tak, masz rację, on jest zbyt wyjątkowy, żeby pokazywać go światu. – Ogarnął swoje dzieło dumnym spojrzeniem. – Starłem się namalować ją tak, żeby była podobna do ciebie. Wiem również, jak ma mieć na imię, bo słyszałem, gdy mówiłaś mamie. Podoba mi się jej imię. Hannah. Jest idealne. Wszystko będzie idealne – dodał, obracając się ku mnie.

Wyszłam z pracowni, a on dalej stał przed obrazem, jakby nie mógł oderwać od niego wzroku; jakby wpatrywał się głęboko w siebie, w miejsce tak mroczne i ukryte, że nikt poza nim nie byłby w stanie go zobaczyć. Pomyślałam jednak z obawą, że niejedną raz widziałam przeblyski tej tajemnicy.

Wiedziałam, że obraz Lindena zaniepokoił mamę tak samo jak mnie, ale próbowała nic po sobie nie pokazać, aby nie dokładać mi zmartwień. Tak, przyznała, jest dziwny, niekonwencjonalny, ale przecież Linden zawsze tak malował. Kiedy zapytałam, co sądzi o jego słowach na temat przesłania obrazu, spojrzała na mnie bezradnym wzrokiem.

– Zawsze mu mówiłam, że jego twórczość jest bardzo interesująca i oryginalna, zarazem przyznając, że jej nie rozumiem. Pamiętam dobrze prace pacjentów z kliniki twojego ojca. Nie uważał ich za prawdziwą sztukę. Mówił mi, że dla niego ta twórczość jest wyłącznie środkiem, który pomaga wyciągnąć udręczone, splątane myśli z mrocznych studni ich umysłów i wyeksponować je, aby mogli się z nimi skonfrontować. Doprawdy, przedziwne dzieła powstawały w pracowni terapii manualnej – powiedziała z uśmiechem. Ale zostawmy na razie ten temat – dodała. – Mamy ważniejsze problemy, prawda, Willow?

– Nie martwię się nimi, mamó. Po prostu będę robić to, co muszę.

– Wiem, Willow, ale nie byłabym twoją matką, gdybym się nie martwiła o ciebie i za ciebie, prawda?

Uśmiechnęła się i jej uśmiech nie zniknął, dopóki nie odpowiedziałam tym samym. Niestety później, kiedy sądziła, że nie patrzę na nią, opuściła gardę i zobaczyłam, jak cały ciężar problemów moich i Lindena zgina jej plecy i rzeźbi bruzdy na czole. Nie powinniśmy ignorować splątanych myśli Lindena, przewijających się w podtekście obrazu, ale nie sposób było udźwignąć wszystkiego naraz. Gdzieś w głębi mojej duszy zakiełkowało ziarno żalu i wiedziałam, że wszędzie i wzrośnie, a potem niczym żarłoczny powój zdusi każdy kwiat radości, jaki zakwitnie w naszym ogrodzie, aż

zostanie ugór.

Wściekłość odrzuconego Thatchera szybko przybrała konkretną formę i dosięgła mnie już po paru dniach. Tym bardziej byłam wdzięczna Manon i reszcie sojuszniczek z Club d'Amour za wsparcie, jakiego mi udzieliły.

Moja adwokatka przejrzała naszą intercyzę małżeńską i obiecała, że zrobi wszystko, żeby uzyskać korzystne dla mnie orzeczenie.

– Twój mąż powinien wprowadzić trzecią stronę, zewnętrznego przedstawiciela prawnego – oświadczyła. – Dzieje się tak wtedy, kiedy jeden z beneficjentów umowy jest autorem owej umowy i zawarł w niej punkty, które mogą działać na niekorzyść drugiego beneficjenta. To może być dla nas podstawą.

– Tak, mówił mi o tym mój prawnik z Karoliny Południowej, kiedy przeglądał wstępną wersję kontraktu.

– I szkoda, że go nie zatrudniłaś. Jeśli Thatcher zadzwoni do ciebie i będzie chciał porozmawiać na ten temat, co z pewnością nastąpi, masz mieć tylko jedną odpowiedź: skontaktuj się z moją adwokatką. Rozumiesz? Od tej chwili ja będę barierą oddzielającą cię od niego.

Tak jak przewidywała, Thatcher wkrótce zadzwonił i zaczął mnie szantażować umową.

– Skoro jesteś tak nieprzejeđnana, będę musiał bronić swoich praw.

– Ależ tak, broń ich, Thatcher. Przecież sam umieściłeś w kontrakcie paragraf o zdradzie, więc ja mam czyste sumienie.

Milczał długą chwilę.

– Doprawdy dziwne – odezwał się wreszcie. – Jak na pokrzywdzoną ofiarę, masz wszystko starannie przemyślane i postępujesz niezwykle konsekwentnie.

– Pokrzywdzona ofiara? Po prostu zadzwoń do mojej adwokatki, Thatcher – warknęłam. Podałam mu numer i odłożyłam słuchawkę. Nie zadzwonił ponownie, ale nazajutrz ktoś przyjechał z listą rzeczy, które chciałyby zabrać z domu. Większość należała do Thatchera. Kazałam Jenningsowi, aby wydał temu człowiekowi wszystko, co potrzeba.

Tata powiedział mi kiedyś, że złe wieści szybko się rozprzestrzeniają, bo ludzie czują ulgę, że one nie dotyczą ich.

„Zupełnie jakby uważali, że puszczając je w obieg, nie pozwolą, aby pozostały na progu ich domów” – skomentował, po czym uśmiechnął się i uzupełnił: „To jest takie samo zjawisko, jak przerzucanie śmieci przez płot do sąsiada, byle własne podwórko było czyste. Ta zasada odnosi się

zwłaszcza do osób chorych psychicznie. Sąsiedzi i przyjaciele potrafią być okrutni. Najbliższa rodzina pacjenta usiłuje ukrywać problem najdłużej, jak się da, z obawy, że ktoś pomyśli, iż choroba jest dziedziczna i oni sami oraz ich dzieci też na nią cierpią. Ileż to razy miałem do czynienia z rodzinami, które ukrywały ciężko upośledzone dzieci, czy nawet rodziców, aby nikt się nie dowiedział”.

Tata napisał nawet artykuł o nastolatce cierpiącej na schizofrenię paranoidalną, którą przez dwa lata więziono w pokoju bez okien, aż popełniła samobójstwo. Konkluzją była uwaga, że nawet osoba chora psychicznie potrzebuje się socjalizować i komunikować z innymi.

Więści o moich małżeńskich problemach dotarły oczywiście na uczelnię. Bliźniaczki pierwsze rzuciły się, żeby mnie pocieszać. Pet wyznała, że od początku miała Thatchera za babiarza i czarusia. Loni tak się mną przejęła, że aż policzki się jej zapadły. Z kolei Holden Mitchell, który od czasu pamiętnego incydentu na plaży omijał mnie szerokim łukiem, miał minę pełną niezdrowej satysfakcji. Pewnego dnia odważył się nawet podejść do mnie.

– Słyszałem o tobie i twoim mężu – powiedział. – Mówiłem ci, że tak będzie.

Zignorowałam go i szybko odeszłam.

Profesor Fuentes poznał nowinę w tym samym czasie, co wszyscy, ale nie próbował ze mną rozmawiać, poza pytaniem, jak się czuję. Ja zaś nie byłam w nastroju do rozmowy. Wkrótce jednak uświadomiłam sobie, że stosuję tę samą postawę, którą my, terapeuci, próbujemy wyperswadować swoim pacjentom – wycofanie i syndrom chowania głowy w piasek. Z tą tylko różnicą, że w Palm Beach nie dało się zbyt długo chować głowy w piasku, gdyż fale plotek, wścibskie spojrzenia oraz intrygi wydobywały wszystko na wierzch i nie było już gdzie się schować.

Wreszcie sama wyznałam profesorowi, że źle się u mnie dzieje. Kiwnął głową i zaprosił mnie do naszej kawiarni na kolejne tête-à-tête.

– Jak przyjęli to pani matka i Linden?

– Mama uznała, że w sumie dobrze się stało, ale wiem, że bardzo się o mnie martwi. A Linden... znów dziwnie się zachowuje.

– Czyli jak?

Wyjaśniłam, że osacza mnie jeszcze bardziej niż kiedyś, i opowiedziałam, jak moje rozstanie z Thatcherem umocniło go w przekonaniu, że zostaliśmy sami w rozgrywce przeciwko światu.

– Nalega, żebym zmieniła lekarza, którego polecił mi Thatcher. Od początku nie byłam nim zachwycona i chętnie poszłabym do kogoś innego. Z drugiej strony jednak nie chciałam wzmocnić paranoi Lindena.

– O to niech się pani nie martwi. Przede wszystkim trzeba dbać o siebie, o swoje zdrowie i samopoczucie – poradził. – To jest teraz najważniejsze.

Całkowicie się z nim zgadzałam. Opisałam mu najnowsze dzieło Lindena.

Profesor w zamyśleniu pokiwał głową.

– On dosłownie widzi siebie w pani. Pani cierpienia są jego cierpieniami.

– Za mało starałam się mu pomóc. Można nawet powiedzieć, że po insynuacjach Whitney zaniedbałam go i stroniłam od niego, a tymczasem powinnam mu pomóc, aby odzyskał pewność siebie i mógł wyjść do świata.

– Nie może pani wziąć za dużo ciężarów na swoje barki – ostrzegł profesor.

– Niech pani go namówi, żeby zapisał się na terapię i znów brał leki.

– Spróbuję – odparłam, zdając sobie sprawę, że jest to zadanie prawie niewykonalne. Na horyzoncie zbierało się coraz więcej chmur, rzucających cień na mnie i na Lindena.

Było jasne, że Eatonowie – a zwłaszcza Whitney – nie pozwolą, żeby Thatcher został czarnym ludem w tej bajce. Wkrótce zaczęły się rozprzestrzeniać nowe plotki, niczym czarne pnącza o ostrych kolcach. I tym razem moim źródłem informacji był nieoceniony Club d’Amour. Dziewczyny wiedziały, kiedy wracam do domu po wykładach, i parę dni po mojej rozmowie z Manon wparowały do Joya del Mar. Czekwały już w domu, kiedy przyjechałam. Przyjęła je mama i siedziała z nimi na tarasie, podczas gdy Linden jak zwykle w takich sytuacjach wymknął się na plażę.

Jedno spojrzenie na nie wystarczyło, bym już wiedziała, że czekają mnie kolejne kłopoty. Mama, zasmucona, poszła na górę. Od czasu mojego rozstania z Thatcherem przybyło jej lat; stała się jeszcze drobniejsza i jeszcze bardziej krucha. Patrząc na nią, niemal żałowałam, że nie przyjąłam pokrętnego wytłumaczenia Thatchera i nie wybaczyłam mu zdrady, aby ratować nasz związek.

Szybko przysunęłam sobie krzesło i usiadłam. Klubowiczki patrzyły na mnie niecierpliwie i w napięciu.

– Co znowu? – spytałam, kiedy mama się oddaliła.

– Przeszli do kontrofensywy – zaczęła Manon.

– Zrzucili bombę – dopowiedziała Marjorie.

– Oni? Moi teściowie?

- Tak.
- Co to za bomba?
- Nowa linia obrony ich synka, która właśnie wypłynęła na światło dzienne.
- Aha. To znaczy?
- Rozpowszechniają wersję, że Thatcher odkrył twoje kazirodcze stosunki z Lindenem i nie jest nawet pewny, czy dziecko jest jego – wyjaśniła Manon.
- W tym ostatnim fragmencie widać rękę Whitney – stwierdziła Sharon. – Przecież wiesz, że ona od dłuższego czasu krążyła wokół was jak wampir, czyhający na okazję, żeby zatopić zęby i urządzić krwawą jatkę ku uciesze całego Palm Beach.
- Usiłowałam złapać oddech i przełknąć gulę w gardle, ale lodowate palce zaciśnięte na mojej szyi nie chciały zwolnić ucisku.
- Jak Thatcher może pozwolić na coś takiego? – wykrztusiłam.
- Znasz powiedzenie, że w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone? – wtrąciła Marjorie. – Tu, jak widać, wojna zastąpiła miłość.
- Poza tym muszą chronić swój wizerunek w społeczności – uzupełniła Liana. – Thatcher ma być ofiarą, a nie winowajcą. Słyszałam, że są teraz ciągle zapraszani na kolacje, bo każdy chce posłuchać tej smakowitej opowieści. Nie muszę dodawać, że Bunny ochno korzysta z zaproszeń.
- Rozczarował mnie Asher – powiedziałam.
- Dlaczego? Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zachował się jak mężczyzna.
- Manon skrzywiła się. – Jest jak chorągiewka na wietrze, jak wielu facetów z Palm Beach.
- A na tę chorągiewkę dmucha Bunny – podsumowała Liana.
- Roześmiały się, ale mnie nie było do śmiechu.
- I co mam robić? – zapytałam bezradnie i mimo woli zerknęłam w stronę drzwi. Obraz zgarbionej, postarzałej mamy trwał w moich myślach. – Jeżeli to dojdzie do mojej mamy...
- Trzeba zakończyć tę sprawę jak najszybciej i możliwie bezboleśnie – orzekła Manon. – Im dłużej się ciągnie, tym...
- ...tym więcej urodzi się takich chorych historii – dokończyła Sharon.
- Oczywiście, bo kiedy będzie po wszystkim, sprawa od razu spadnie z afisza i pies z kulawą nogą się nią nie zainteresuje – zapewniła Liana. – Tak tu jest.
- Przy czym ostrzegam, że znalezienie sobie porządnego faceta w tym mieście jest prawie niemożliwe – oświadczyła Marjorie. – Wierz mi, bo mam

w tym względzie doświadczenie.

– Och, to znajdzie go sobie gdzieś dalej – powiedziała Manon.

– A może w ogóle nie ma w przyrodzie takiego zjawiska – dodała Liana.

Spojrzałyśmy na nią wszystkie.

– Jakiego zjawiska? – spytałam.

– Porządnego faceta.

– Jasne, że nie ma – potwierdziła Marjorie.

– Mój ojciec był porządnym facetem – oznajmiłam, poirytowana ich cynizmem. – I jestem pewna, że każda z was potrafi wskazać taki przykład.

– Na pewno nie mój ojciec – mruknęła Sharon.

– Ani mój – dodała Liana.

– Mimo wszystko nie powinniśmy uogólniać. Choć moja rana jest najświeższa, zapewniam was, że nie zrezygnuję z marzeń tylko dlatego, że jakiś przedstawiciel męskiego rodu uczynił moje życie koszmarem. – Czułam, że płoną mi policzki. – Ale nie pozwolę żadnemu mężczyźnie, żeby mnie zniszczył, i żadna z was nie powinna na to pozwolić. Macie prawo być szczęśliwe. Wszystkie mamy takie prawo.

W tym momencie wyglądały, jakby znów były młodymi dziewczynami z głowami pełnymi marzeń, nawet Marjorie. A potem, jakby pękła magiczna bańka, zamrugały, spojrzały po sobie, pokręciły głowami i przykryły zmieszanie śmiechem.

– Czego się spodziewałyście po kimś, kto chce zostać psychiatrą? – odezwała się Manon. – Ona sama musi być trochę rąbnięta, bo inaczej nie zrozumie swoich pacjentów.

Znów się roześmiały.

Obojętnie, co ze mną będzie, nigdy nie stanę się taka jak one, poprzysięgam sobie w duchu.

Czy jestem nienormalna?

Popatrzyłam spod zmrużonych powiek na ich cyniczne uśmieški i poczułam, że kark mi sztywnieje.

– Śmiecie się, jeśli chcecie, ale mój ojciec mówił, że marzenia i fantazje są dla nas równie ważne jak witaminy – powiedziałam. – Gdyby kwiaty nie wierzyły, że deszcz i chmury nie są wieczne, dawno by zwiędły i umarły. Gorycz i żal żywią się sobą. Jeśli pozwolicie, żeby was zjadły, znenawidzicie siebie. Wszystko, co złe, kiedyś się kończy. – Uśmiechałam się. – Chmury odsłonią błękitne niebo, promienie słońca przebiją się przez czarne listowie

naszego mrocznego lasu i będziemy szczęśliwe. Bez względu na wszystko, nie wiem jakim cudem, ale będziemy szczęśliwe. Takie powinno być motto Club d'Amour – zakończyłam z ożywieniem.

I znów wyglądały jak dziewczynki – małe, grzecznie wyprostowane, słuchające pouczeń dorosłej cioci.

– Może i masz rację – zgodziła się Manon. – Nie będę ukrywać, że mam taką nadzieję.

Sharon kiwnęła głową.

Marjorie zamrugała gwałtownie jak ktoś, kto odgania łyzy, a Liana się uśmiechnęła.

Pomimo dołujących, paskudnych wieści, które mi przyniosły, paradoksalnie poczułam się silniejsza. Niemal wrócił mi humor – do chwili, kiedy zobaczyłam, jak Jennings pojawia się w drzwiach. Wyraz jego twarzy mnie zmroził.

Musiało się stać coś złego.

– Jennings?

– Chodzi o panią Montgomery. Właśnie zadzwoniła do mnie pokojówka.

– Co się stało? – Zerwałam się z krzesła. Serce zaczęło mi skakać jak oszalałe jo-jo. Przycisnęłam dłonie do piersi.

– Pani upadła przy łóżku.

Rozdział osiemnasty

PUSTY DOM

Miałam wrażenie, że mama ma ciasno zszyte powieki. Objęłam jej przegub palcami i wyczułam słabiutki, spowolniony puls. Zanim pobiegłam do niej na górę, kazałam Jenningsowi wezwać karetkę. Ponieważ w Palm Beach nie było szpitala, odwieziono ją do szpitala Dobrego Samarytanina w West Palm Beach.

Linden, słysząc zamieszanie, wyszedł z pracowni. Stał niczym kamienny posąg i patrzył, jak ratownicy układają mamę na noszach i wsuwają je do ambulansu. Kiedy odjechali na sygnale, poszedł ze mną do samochodu. Ruchy miał jak robot i milczał całą drogę, za to ja bez przerwy paplałam, żeby zagadać ciszę. Dziewczyny z Club d'Amour rozjechały się do domów, obiecując, że zadzwonią. Myny miały nietęgę i w oczach strach, ta obietnica wiele je kosztowała. Thatcher mi kiedyś powiedział, że choroba i śmierć są dla rezydentów Palm Beach czymś tak strasznym i odrażającym, że w mieście nie ma szpitala ani cmentarza.

W szpitalu Linden był tak samo apatyczny, jak w samochodzie. Jego twarz przypominała maskę. Jediną oznaką uczuć, jakie nim targały, było nawracające drżenie warg. Oczy miały stalowy odcień, kark był sztywny, a dłonie trzymał ciasno splecione na kolanach. Wyglądał, jakby spał z otwartymi oczami.

Po prawie trzech godzinach, jakie minęły od naszego przybycia do szpitala, lekarz wreszcie do nas wyszedł. Był wysokim mężczyzną o kędzierzawych czarnych włosach i dziecinnej twarzy, która nie pasowała do tego miejsca i do jego zawodu. Jednocześnie emanował zawodowym autorytetem, wyrażając się zwięźle i konkretnie.

– Jestem doktor Hersh – przedstawił się. – Przebadaliśmy państwa matkę

i z całą pewnością możemy stwierdzić, że doznała wylewu krwi do mózgu. Badanie tomograficzne ujawniło, że wylew niestety jest rozległy. Okazało się przy tym, że stosunkowo niedawno musiała przejść zawał serca, utworzył się też skrzep.

– Zawał? Owszem, słabo się czuła, ale nic nie wskazywało na zawał – powiedziałam ze zdziwieniem.

Pokręcił głową z pobłażliwą miną, jakby zbijał nic nieznaczący argument.

– Zdarza się, że pacjent odczuwa pewne symptomy i nikomu o nich nie mówi. Potem dochodzi do siebie, uszkodzone serce funkcjonuje, aż utworzy się w nim skrzep krwi, który wędruje do mózgu. Tam utyka w tętnicy, blokuje przepływ krwi i w konsekwencji powoduje krwotok. Takie przypadki zdarzają się częściej, niż można sądzić.

Mówiąc, przenosił wzrok to na mnie, to na Lindena, ale coś w twarzy mojego brata musiało go przerazić, bo potem patrzył już tylko na mnie.

– Jakie są rokowania? – Serce mi waliło jak oszalałe i bałam się, że mówię zbyt głośno, przekrzykując jego łomot.

– Rokowania niestety nie są optymistyczne. Pacjentka jest oczywiście w stanie śpiączki farmakologicznej. Nie czuje żadnego bólu – zapewnił.

– Czy możemy ją zobaczyć?

– Tak. Leży na OIOM-ie i zgodnie z procedurą została zaintubowana i podłączona do monitora serca. Mówię to, żebyście państwo byli przygotowani na widok, jaki zobaczycie – dodał cieplejszym tonem. Zerknął na Lindena, po czym przeniósł spojrzenie na mnie i skinął głową. – Przykro mi, ale muszę o tym powiedzieć – dodał. – Mam powody, aby przypuszczać, że pewne sygnały ostrzegawcze zostały zlekceważone. Z drugiej strony wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że przeszło zawał. Nie dalej jak wczoraj czytałem raport Uniwersytetu Cincinnati, który wskazuje, że pięćdziesiąt dwa procent pacjentów z wylewem nie zdawało sobie sprawy, że wcześniej miało atak serca. Musimy, w większym niż dotychczas zakresie, ludziom to uświadomić.

Jakie to ma dla nas znaczenie w tym momencie? – zastanawiałam się. Może pan doktor chciał jeszcze chwilę podtrzymać rozmowę, żeby nie wyjść na bezdusznego, albo na swój sposób pragnął nas przygotować do sytuacji, w której ukochana osoba jest bliska odejścia, a on, nasz lekarz, reprezentant ogromnej medycznej maszyny, tej kosztownej infrastruktury złożonej z lekarzy, pielęgniarek, aparatury i leków, jest właściwie bezsilny i może nam tylko

złagodzić nadejście tego, co nieuniknione.

Kiwnęłam głową, wzięłam Lindena za ramię i poszliśmy na OIOM. Natychmiast zjawiała się pielęgniarka i z wdziękiem urzędnika pogrzebowego, posługując się raczej gestami niż mową, poprowadziła nas do pacjentki. Mama wydawała się tak małeńka i krucha w łóżku obstawionym aparaturą, opleciona przewodami. Mocniej ścisnęłam ramię Lindena. Nadal był usztywniony, poruszał się jak automat, szczęki miał zaciśnięte, a oczy przypominały dwie zimne kamienne kulki.

– Nie wygląda, jakby cierpiała. – Tyle tylko zdołał wydusić przez ściśnięte gardło.

Wypuścił powietrze z płuc, na ułamek sekundy zachwiał się, a potem znów zeszywniał. Sięgnęłam po dłoń mamy i przytrzymałam ją. Była niemal tak zimna jak u trupa. Skóra przybrała przezroczysty odcień i miałam wrażenie, jakby ciało niknęło, zapadało się w głąb, do kości, zamykało przed światem jak skorupa małża.

Więc nie zobaczy swojej wnuczki, pomyślałam. Nie dane jej będzie cieszyć się spokojną jesienią życia i moją czułą opieką. Wszystkie obietnice, nadzieje, które w nas ożyły, właśnie umarły. Mama tak bardzo chciała mi pomóc, wspierać mnie w tym trudnym czasie. Widocznie mój ból, dodany do jej bólu i cierpienia, przeważał szalę. Być może, gdybym zostawiła ją w spokoju, gdybym jej nie odnalazła i nie włączyła do swojego życia, nie leżałaby tutaj umierająca. Nie mogłam powstrzymać takich myśli.

Łzy popłynęły mi po policzkach. Wzięłam głęboki oddech i wytarłam je. Poczułam, jak Linden mnie trąca.

– Musimy wracać do domu.

– Już?

– Wiesz, jaka jest Grace – odpowiedział, uśmiechając się łagodnie. – Nie zje bez nas kolacji.

Miałam wrażenie, że kostka lodu zsuwa mi się wzdłuż kręgosłupa.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że nie patrzy na mamę, tylko gdzieś ponad nią. Coś zabraniało mu widzieć ją w tym stanie. Zatrzasnął drzwi do rzeczywistości i wycofał się do świata, który znał z Joya del Mar. Tak jest lepiej? Sama nie wiedziałam. Ale czybym mu tym pomogła? Może jednak powinnam zmusić go, żeby zobaczył mamę, umierającą na szpitalnym łóżku?

– Dobrze, Linden – powiedziałam. – Jedziemy do domu.

Pochyliłam się, pocałowałam mamę w policzek i szepnęłam:

– Kocham cię.

Wysłałam ze szpitala, prowadząc Lindena jak ślepcę. Wcześniej podałam w dyżurce telefon kontaktowy. Kiedy przyjechaliśmy, Jennings zapytał o mamę. Przekazałam mu smutne wieści. Był zdruzgotany i zanim się oddalił, wymamrotał wyrazy współczucia. Niewątpliwie jedynym powodem, dla którego pozostał w tym domu, zamiast pójść z Eatonami, była mama. Cenił ją i uwielbiał. Ta myśl pogłębiła mój smutek.

Manon zadzwoniła jeszcze tego samego dnia w imieniu całego Club d'Amour. Wyobraziłam sobie, że musiały losować, która podejmie się tego zadania. Powiedziała jej, jaka jest diagnoza i rokowania. Szybko wypowiedziała parę słów współczucia, a potem bez zbytniego entuzjazmu poprosiła, żebym zadzwoniła, jeśli będę czegoś potrzebować. Nietrudno ją było zrozumieć. Manon, tak samo jak jej przyjaciółki oraz wielu innych ludzi, których tutaj poznałam, przez większość swojego życia poszukiwała coraz to nowych i bardziej ekscytujących sposobów ubarwienia swojego życia. W ich świecie można było scedować odpowiedzialność na kogoś innego, podobnie jak codzienne problemy. Rozpacz, bieda, starość i śmierć zaliczały się do kategorii *persona non grata*. Należało je ignorować. Bogaci ludzie z Palm Beach nie umierają, myślałam. Oni po prostu przestają być zapraszani na bale, kolacje i rauty. To jest jedyne ustępstwo tych ludzi na rzecz realnego świata.

Linden miał problemy z zaakceptowaniem rzeczywistości. Przyszedł, żeby zaprosić mnie na kolację. Usiadłam z nim przy stole. Teraz dla kontrastu był ożywiony i gadatliwy.

– Mama powiedziała, żebyśmy zjedli sami, bo poczuła się zmęczona i musi się położyć – wyjaśnił.

– Linden. Mama jest bardzo, bardzo chora.

– Och, wiem. Ciągle jej mówię, że musi lepiej dbać o siebie. Gdybym jej nie przypilnował, ani razu nie zjadłaby porządnego posiłku. To ja wyprowadzam ją na taras i na spacer, żeby zażyła świeżego powietrza. Bo ona chciałaby tylko siedzieć u siebie i nigdzie się nie ruszać. Musimy razem pilnować, żeby bardziej o siebie dbała, Willow. Mówiłem ci o tym wiele razy, prawda? Jeśli ty się w to włączysz, na pewno cię posłucha – ciągnął. – Ona ostatnio bardziej słuchała ciebie niż mnie.

– Linden...

– Tak? – Zabrał się do jedzenia.

Obserwowałam go chwilę, a potem potrząsnęłam głową i też zaczęłam jeść,

podczas gdy mój brat bez ustanku rozprawiał o tym, co musi zmienić w domu, żeby uszczęśliwić mamę i sprawić, aby czuła się jeszcze lepiej w Joya del Mar.

Nie jest dobrze, myślałam z niepokojem. Muszę sprawić, żeby zrozumiał, co naprawdę się stało. Musi stanąć twarzą w twarz z prawdą.

– Przecież wiesz, że mama jest w szpitalu, Linden. Chyba pamiętasz, że karetka zabrała ją do szpitala? Nie możesz udawać, że nic się nie stało. Proszę – powiedziałam błagalnym tonem. – Musisz być silny, bo teraz bardzo cię potrzebuję.

Zamrugnął gwałtownie i kiwnął głową, a potem się uśmiechnął.

– Wiem, ale nie musisz się o nią martwić – zapewnił. – Grace szybko wróci do domu. Ona nie znosi szpitali i lekarzy. Nigdy nie znosiła. Nie wytrzyma tam ani dnia dłużej, więc szykuj się, bo jutro ją odbieramy.

Zamyślił się na moment.

– Powinienem z tej okazji wymyślić dla niej coś nowego, specjalnego, nie uważasz? To powinno być radosne, żeby na jej twarz powrócił ten piękny uśmiech. Już wiem, co to będzie – dodał i cisnął serwetkę na stół. – Zaraz się biorę do roboty. Muszę się spieszyć! W takim tempie nie powstało jeszcze żadne z moich dzieł! Tobie też się spodoba – dodał już spokojniej, wstając. – Tylko nic jej nie mów, żeby nie zepsuć niespodzianki, dobrze? Obiecujesz, Willow?

– Obiecuję, Linden.

– Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz wybaczone, ale muszę iść. Rozumiesz, robota czeka – rzucił i wybiegł z pokoju.

Siedziałam, wpatrzona w drzwi.

I przez jeden krótki, ulotny moment pożałowałam, że ja też nie mogę tak uciec.

Mama zmarła trzy dni później. Zadzwonili do mnie rano, zanim wyszłam na uczelnię. Planowałam po zajęciach wizytę w szpitalu. Po pierwszej wizycie, kiedy mamę odwieziono tam karetką, więcej nie zabierałam ze sobą Lindena. Nadal nie potrafił przyjąć do wiadomości, w jakim stanie jest mama, nie chciał wiedzieć, że nadal przebywa w szpitalu. I chociaż przez moment udało mi się go skłonić, żeby skojarzył prawdziwy stan rzeczy, dalej uparcie twierdził, że mama odpoczywa u siebie i nie schodzi na kolację. Usiłowałam przywrócić go do rzeczywistości, opisując swoje wizyty w szpitalu. Słuchał,

milkł, a potem porywała go kolejna fala ożywienia i zaczynał perorować na temat swojego nowego projektu.

Zaabsorbowana wiadomościami od adwokatki, która załatwiała dla mnie separację z Thatcherem, zajęta studiami, bez przerwy myśląca o mamie, nie miałam już czasu dla Lindena. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli pozwolę mu żyć w świecie fantazji i skupić się na kolejnym dziele. Ale kiedy ze szpitala nadeszła ta najgorsza wiadomość, musiałam rozwiać iluzję.

Usłyszawszy ją, na moment otępiałam. Dziwne, ale nie zaniiosłam się histerycznym płaczem, jak można było się spodziewać. I tylko czasami łkałam bezgłośnie. Miałam wrażenie, że podobnie jak u Lindena, jakaś częśćka mnie uciekała w krainę fantazji i wyobrażała sobie, że mama nagle otwiera oczy, uśmiecha się do mnie ze szpitalnego łóżka i pyta: „Co się stało? Co ja tu robię? Kiedy mnie zabierzesz do domu?”. Ta wizja przywoływała uśmiech na mojej twarzy i na chwilę dodawała energii moim krokom.

A może opłakałam mamę już wcześniej? – rozmyślałam po telefonie ze szpitala. Albo też trzymałam emocje na wodzy, gdyż podświadomie przewidując kłopoty z Lindenem po jej śmierci, nie chciałam tracić sił na rozpaczanie. Kiedy człowiek musi być silny, kiedy nie ma alternatywy, sięga głębiej do studni swej własnej natury i znajduje tam źródło ukrytej energii, z którego może czerpać.

Wszystkie czarne myśli, dręczące mnie po zapaści mamy, runęły na mnie falą, kiedy odłożyłam książki i wyszłam z pokoju. Dźwigałam wieści tak ciężkie, że z trudnością stawiałam kroki. Zanim przybyłam do Palm Beach i wkroczyłam do ich świata, przynosząc ze sobą przeszłość jak błoto na butach, mama i Linden prowadzili swoje osobne, wycofane, introwertyczne życie, które na swój sposób im odpowiadało. Mama żywiła się pięknymi wspomnieniami, a Linden tkwił bezpiecznie w bąblu swej mrocznej sztuki. Czy to nie ja go unieszczęśliwiłam? Nie ja otworzyłam przed nim zapomniane drzwi, przypominając mu o jego niedoskonałościach? Czy nie przywróciłam mamie bolesnych wspomnień, skazałam ją na bezsenne noce?

Po śmierci taty czułam się straszliwie samotna i przerażona. Mój chłopak, Allan Simpson, typowy egocentryk, myślał tylko o sobie, do głowy mu nie przyszło, żeby mnie pocieszać, a ciotka i inni krewni nie byli na tyle blisko, by zapewnić mi rodzinne wsparcie. A może to ja nie stanęłam na wysokości zadania? Może powinnam zmierzyć się z samotnością i próbować ją udźwignąć?

I tak oto poczucie winy bardziej niż żal i rozpacz okryło moją twarz cieniem i wlało pustkę w oczy. Miłość jest jednak skomplikowana, myślałam. Może malujemy swoje życie kolorami, które muszą zblaknąć? Tworzymy jedną iluzję po drugiej, żeby tylko nie ujawnić jedynej prawdy, która jest z nami od początku naszego istnienia, a której usiłowałam się wyprzeć, przybywając do Joya del Mar – że zawsze będziemy samotni. Kiedy dochodzimy do kresu, nikt już nie potrzymano nas za rękę i nie będzie nam towarzyszyć. Będzie nas opłakiwał, dopóki się da, ale nie wkroczy z nami do krainy cienia.

Zapukałam do drzwi pracowni Lindena. Nie odpowiedział, więc otworzyłam i poszukałam go wzrokiem. Stał przy oknie, wpatrzony w ocean.

– Linden – zaczęłam. – Posłuchaj, dzwonili ze szpitala.

Nie odwrócił się.

– Linden.

Dopiero po chwili popatrzył na mnie.

– Znów wyszła. – Zmarszczył czoło. – Ona nigdy nie przestanie go wypatrywać. Czeka, aż do niej przypłyynie. Nie wiem, ile razy dochodziła do końca tego pomostu i stała tam godzinami, wpatrzona w ocean.

Uniósł ramiona i wyciągnął je ku mnie.

– Jak możemy ją zatrzymać? Jak mamy wytłumaczyć mamie, że jej zachowanie jest bez sensu? Przez to robi się coraz bardziej smutna i chora – wyrzucił z siebie z rozpaczą.

– Mamy już tutaj nie ma, Linden. Zabraliśmy ją do szpitala. Miała wylew. A teraz szpital zawiadomił nas, że umarła. Nie udało się jej uratować. Mama nie żyje, Linden.

Nienawidziłam dźwięku własnego głosu. Brzmiał jak u zombi.

Pokręcił głową.

– Nie, przed chwilą ją widziałem – powiedział z uporem, odrzucając moje słowa. – Jest tam. Sama zobacz. – Odwrócił się z powrotem do okna. Stał bez ruchu i ja też się nie poruszyłam. Kiedy się do mnie odwrócił, łzy spłynęły mu po policzkach. – Była tam – szepnął. – Widziałem ją. Naprawdę.

– Wiem, Linden. Wiem. – Podeszłam i go objęłam. Stał sztywno, ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż boków, a po chwili przyłgął do mnie i teraz już płakaliśmy razem.

Z wolna rozluźniłam uścisk.

– Muszę jechać, żeby załatwić różne sprawy, Linden. Chcesz mi towarzyszyć?

– Nie – odparł. – Nie mogę. Muszę tu zostać i skończyć pracę, którą robię dla niej.

– Dobrze. – Wyjęłam chusteczkę i wytarłam łzy z jego twarzy, a potem swojej. – Postaram się wrócić jak najszybciej.

Kiwnął głową i szybko odwrócił się do okna.

Kiedy spojrzałam na niego od progu, stał i patrzył w stronę pomostu. Tak bardzo bym chciała, żeby świat, który widział Linden, był realny, a ten wokół mnie okazał się tylko złudzeniem.

Nasz księgowy, pan Ross, jeden z pierwszych ludzi, których poznałam, gdy zjawiłam się w Palm Beach, okazał się najbardziej pomocną osobą w tych trudnych dniach. Kiedy usłyszał o śmierci mamy, od razu zadzwonił i powiedział, że zajmie się wszystkimi sprawami finansowymi. Eatonowie nie zadzwonili, za to odezwał się Thatcher. Rozmowa była krótka. Najpierw zadzwoniła jego sekretarka i kazała mi czekać, a potem usłyszałam jego głos. Brzmiał, jakby rozmawiał z samochodu.

– Przykro mi z powodu Grace – powiedział. – Bardzo ją lubiłem.

– Dzięki.

– Kiedy pogrzeb?

– Pojutrze o jedenastej.

– Och, mam rozprawę w sądzie, nie będę mógł być. A jak się czujesz?

– W porządku – zapewniłam skwapliwie. Nawet gdybym umierała, nie powiedziałabym mu prawdy.

– Dobrze, zatem jeszcze raz przyjmij wyrazy współczucia. – I rozłączył się.

Zadzwoniłam do ciotki Agnes, gdyż wiedziałam, że obrazi się na mnie, jeśli osobiście nie powiadomię jej o takim wydarzeniu. Wiedziałam również, że nie pojawi się na pogrzebie, podobnie jak reszta moich krewnych. Następnie zadzwoniłam do Amou i popłakałyśmy sobie razem w odległości tysięcy kilometrów od siebie. Jej słowa pocieszenia były lekarstwem, którego rozpaczliwie potrzebowałam.

Manon i klubowiczki zapowiedziały telefonicznie, że będą na pogrzebie. Szczerze im za to podziękowałam. Bliźniaczki Butterworth oraz paru bliższych przyjaciół ze studiów złożyło mi wizytę, wszyscy potwierdzili swoją obecność na pogrzebie.

Linden większość czasu spędzał u siebie w pokoju, bywało, że nie wychodził z pracowni. Gdybym nie posyłała mu na górę posiłków, nic by nie

jadł. A już na pewno nie chciał witać żadnych gości. Przez pierwsze dwie noce włóczył się po domu i wiedziałam, że często zagląda do pokoju mamy. Może to był dla niego jedyny sposób przekonania się, że naprawdę odeszła.

Kiedyś tam poszłam i zaczęłam przeglądać rzeczy. Robiłam to, aby poczuć choćby cień obecności mamy i być z nią chwilę dłużej. Tak odkryłam plik fotografii, które schowała w niewielkiej kasetce w dolnej szufladzie komody. Natrafiłam na jej dawne zdjęcia z moją babcią Jackie Lee, a także zdjęcia jej ojczyzna Winstona Montgomery'ego. Winston okazał się bardzo przystojnym mężczyzną. Mama na zdjęciach z nim była uśmiechnięta i widać było, że kocha go jak rodzzonego ojca.

Miałam okazję porównać siebie z mamą nastolatką i okazało się, że jesteśmy bardziej podobne, niż myślałam. Z tym że z pogodnej twarzy mamy wprost biła radość życia. Zdjęcia pochodziły z okresu, kiedy jeszcze nie dobrał się do niej Kirby Scott. Ciągle miała ten niewinny wygląd, który dostrzegamy w młodziutkich dziewczętach i pamiętamy, że same kiedyś tak wyglądałyśmy. To początek wieku wielkich marzeń, po których przychodzi żal, że wraz z dorosłością trzeba porzucić dzieciństwo.

Drugiego wieczoru po śmierci mamy odwiedził mnie profesor Fuentes. Był akurat w Miami, na chrzcie dziecka kuzynki, i tam dosięgła go niedobra wieść.

– Było mnóstwo ludzi, bo jesteśmy stadną rodziną – wyjaśnił. – Dzięki temu mamy duży obieg informacji.

– Zazdroszczę panu – powiedziałam.

Siedzieliśmy w saloniku przy tylnym tarasie, gdzie poznałam Eatonów i gdzie kiedyś pojawił się Thatcher, którego wcześniej poznałam w Breakers. W tamtej chwili nie miałam jeszcze pojęcia, że jest synem ludzi, którzy wynajmują posiadłość od mojej mamy. Jak wtedy pomiędzy nami zaiskrzyło! A teraz siedziałam w tym samym miejscu i zastanawiałam się, czy możemy obronić siebie samych przed zdradami, które popełniamy wobec siebie. Rzeczywiście kochałam Thatchera czy po prostu mnie ekscytował, bo wydobył ze mnie kobietę? I tak ją oczarował, że zapragnęła z nim zostać na zawsze?

W pewien sposób wierzymy, że prawdziwa miłość jest z definicji wieczna. Dlatego składamy przysięgę, że będziemy kochać, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Profesor Fuentes rozglądał się i kręcił głową. Był w Joya del Mar tylko z okazji ślubu.

– Imponujący jest ten dom. – Uśmiechnął się. – Odpowiedni dla przyszłej

pani psychiatry – dodał.

– Wiem. Zastanawiałam się, czy nie wystawić go na sprzedaż.

– Niech pani nie podejmuje decyzji impulsywnie, pod wpływem chwili – ostrzegł. – Chyba że zmusi panią do tego sytuacja finansowa.

– Nie. Jeśli miałabym sprzedawać Joya del Mar, to na pewno nie z powodów finansowych.

– A jak się miewa pani brat?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie radzi sobie z odejściem mamy, nie chce się z tym pogodzić. Może pogrzeb go przekona. Zobaczymy.

– A gdzie teraz jest?

– Albo w swoim pokoju, albo w pracowni. Po śmierci mamy znów zamknął się w sobie.

– Powinna pani jak najszybciej pomyśleć o profesjonalnej opiece dla niego.

– Wiem. Najlepsza byłaby dobra klinika. Może powinnam sprzedać dom i przeprowadzić się z Lindenem do Karoliny Południowej.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedział ze szczerością, która mnie zadziwiła. Jakby naprawdę się obawiał, że mogę tak zrobić. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Potrząsnęłam głową.

– Och, sama nie wiem, co mówię. Na razie muszę skupić się na dziecku.

– I bardzo słusznie. Na pewno znajdzie pani w sobie siłę. Proszę, Willow – dodał i sięgnął po moją dłoń, czego nigdy przedtem nie robił – żeby pani dzwoniła do mnie zawsze, kiedy tylko będzie czegoś potrzebować.

– Dobrze. – Zdumiewające, że powiedziałam to tak szczerze. Naprawdę chciałam na niego liczyć.

Profesor poklepał moją dłoń i wstał.

– Muszę wracać na uczelnię.

– Dziękuję, że pan przyjechał, profesorze.

– Willow, tak dobrze już się znamy, że możesz nazywać mnie Miguelem. Chyba że ci to nie pasuje – dodał szybko.

– Pasuje. – Uśmiechnęłam się. – *Gracias*, Miguel.

Roześmiał się, a potem mnie uściśnął i musnął ustami mój policzek. Odprowadziłam go do drzwi.

– Naprawdę tu jest pięknie – powiedział już na schodach.

– Następnym razem pokażę ci całość.

– Trzymam za słowo – odparł ze śmiechem.

Czekałam, aż odjedzie, a potem poszłam na górę, żeby sprawdzić, jak się ma Linden. Nie było go w pokoju, więc skierowałam się do pracowni. Jak zwykle drzwi były zamknięte – tym razem nawet na zamek. Zapukałam i zawołałam go. Nie odpowiedział, więc zapukałam jeszcze raz i zawołałam głośniejszym głosem. Wreszcie usłyszałam szcęk zasuwki. Drzwi uchyliły się z wolna.

Linden miał włosy w nieładzie, koszulę rozchełstaną i ślady czarnej farby na brodzie. W ręce trzymał pędzel, ale nie był to pędzel artystyczny, tylko typowo malarski.

– Wszystko w porządku, Linden? Nie widziałam cię przez cały dzień.

– W porządku – mruknął, ale nie cofnął się jak zwykle, żeby przepuścić mnie w drzwiach.

– Co robisz? – Ruchem głowy wskazałam na pędzel.

– Pracuję.

– Ale...

– Nie mogę teraz rozmawiać. Później pogadamy – uciął i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Usłyszałam, że szybko je zamyka.

Co on tam robi? Co to za sekretna twórczość? – zastanawiałam się, ale nie potrafiłam nic wymyślić, więc zrezygnowałam z dociekań. Wróciłam do siebie, żeby się wykapać i zrelaksować. Nazajutrz czekał mnie ciężki dzień. Ciągle żywy w mojej pamięci był moment pogrzebu taty, bardzo trudny dla mnie czas. Byłam z nim dłużej niż z moją rodzoną matką, ale moja więź z Grace rozwinęła się tak szybko i stała się tak silna, że miałam wrażenie, jakbym mieszkała z nią od urodzenia.

Po kąpieli położyłam się i zasnęłam. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mnie wyczerpały te emocjonalne przeżycia. Spałam do siódmej, a potem wstałam i ubrałam się szybko; pomyślałam, że jeśli nie zjem kolacji, Linden na pewno nic nie zje. Z góry usłyszałam, jak na dole Jennings rozmawia z pokojówkami. Kiedy mnie zobaczyli, zamilkli i pokojówki rozeszły się do swoich obowiązków. Jennings nie zmieszał się, tylko popatrzył na mnie z wyraźnie zmartwioną miną.

– Co się stało, Jennings? Nie zaprzeczaj, przecież widzę.

Pokręcił głową.

– Proszę iść ze mną – powiedział.

Poprowadził mnie na tylny taras, a potem zeszedliśmy do ogrodu. Kiedy oddaliliśmy się kilkanaście metrów, odwrócił się i gestem wskazał na dom.

– O co ci chodzi? – Mimo woli podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem.

Było na tyle jasno, że wyraźnie zobaczyłam, o co mu chodzi. Wszystkie okna w pracowni Lindena i w jego pokojach zostały zamalowane na czarno.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze i odruchowo się cofnęłam, przykładając dłoń do serca.

– Przypadkiem zobaczyłem, jak pani brat idzie do szopy i wynosi stamtąd farby i pędzel, więc zapytałem, co chce robić i czy mogę mu pomóc, ale mruknął coś tylko i poszedł – mówił Jennings. – On właściwie z nami nie rozmawia, ani ze mną, ani z Mary i Joan. One są coraz bardziej przerażone. Pan Linden patrzy na nie tym swoim dziwnym wzrokiem, w milczeniu, i boją się, że coś może mu przyjść do głowy. Ostatnio ciągle o tym szepczą po kątach. Joan nie chce z nim zostać sama w pokoju, a teraz, kiedy go widzi, odchodzi w drugą stronę. A przynajmniej tak mi obie opowiadają.

– No i teraz jeszcze to. – Zerknął na zamalowane okna. – Boję się, pani Eaton, że z panem Lindenem jest niedobrze. I jeszcze coś – dodał, nie patrząc na mnie. – Wiem, że to nie jest najlepsza pora na takie rzeczy, ale muszę pani powiedzieć, że znalazłem sobie nową posadę i za parę dni odchodzę. Bardzo mi przykro.

Kiedy uniósł wzrok, zobaczyłam, że oczy mu się zaszklily.

– Wiem, że po odejściu mamy, mając zajęcia na uczelni i dziecko w drodze, musi się pani martwić o koszty utrzymania posiadłości, a przecież niedługo będzie potrzebna niania. Pani potrafi żyć oszczędnie i nie wydaje nawet małej części tego, co wydawali państwo Eatonowie. Dlatego szkoda jest wydawać pieniądze na kogoś takiego jak ja, który już się tu nie przyda.

– Rozumiem, Jennings. Nie ma sprawy.

– Zapewne już ma pani dość dobrych rad, ale nie mogę się powstrzymać, aby na odchodnym nie powiedzieć pani, pani Eaton, że powinna pani pomyśleć, czyby nie sprzedać tego wszystkiego i znaleźć sobie coś mniejszego, bardziej odpowiedniego dla pani, dziecka i brata. Takie miejsce... – Powiódł spojrzeniem po budynku. – Takie miejsce jak to nie jest prawdziwym domem, tylko sceną... jeśli pani wie, o czym mówię.

– Wiem, Jennings. Dzięki za radę. Pomyślę o tym.

– Cieszę się, pani Eaton. Czy życzy pani sobie, żebym coś z tym zrobił? – zapytał, wskazując ruchem głowy na czarne szyby.

– Nie, Jennings. Na razie nie.

– Dobrze, pani Eaton. Czy mogę się zająć kolacją?

– Tak, proszę.

Kiedy się oddalił, stałam tam jeszcze chwilę, patrząc na okna, a potem wróciłam do domu i od razu poszłam do pracowni. Drzwi były zamknięte. Tym razem zapukałam bardzo głośno, niemal w nie waląc. Usłyszałam szcęk zasuwki, ale Linden nie uchylił ich dla mnie, więc po chwili przekręciłam klamkę i weszłam. Siedział w fotelu, stojącym z dala od okien. W ciemni, jaką stał się pokój, jedynym źródłem światła był blask lampy z korytarza.

– Co ty tu robisz, Linden? Dlaczego siedzisz w ciemności i dlaczego zamalowałeś okna na czarno?

– Nie chcę jej już tam widzieć – odpowiedział. – Za każdym razem, kiedy wyglądam przez okno, ona jest na pomoście.

– Jej już nie ma, Linden – powiedziałam spokojnie.

– Wiem, ale ona jest!

Nawet w półmroku dostrzegłam, jak rozszerzyły mu się oczy i stężały rysy. Napięcie wisiało w powietrzu. Pomyślałam, że jeśli będę dalej go naciskać, może wybuchnąć w ataku furii. Jutro – pocieszałam się – kiedy mama spocznie w grobie, on wreszcie zrozumie, że sprawa jest ostateczna.

– Umyj się i zjedź na kolację, Linden. Musisz mieć siłę na to, co będzie jutro. Wierz mi, wiem, co mówię.

Odprężył się nieco.

– Dobrze, zaraz przyjdę.

– W takim razie czekam na ciebie. – Wyszłam, zamykając za sobą drzwi.

Serce waliło mi jak młotem – nie szybko, ale ciężko, dudniąc, aż drżały mi kości. Próbowałam się uspokoić.

– Jesteś w ciąży, Willow De Beers – szepnęłam. – Musisz wziąć się w garść dla dobra dziecka, które nosisz w sobie.

Wciągnęłam powietrze i stopniowo udało mi się spowolnić oddech.

Przy kolacji Linden był bardzo spokojny i milczący. Jadł mechanicznie, od czasu do czasu zerkając na drzwi, jakby oczekiwał, że lada chwila pojawi się w nich mama, uśmiechnie się do nas i powie: „Na szczęście to był tylko zły sen!”.

Miałam niepokojącą ochotę wniknąć w jego obłąd i otulić się nim jak ciepłym kocem, oddzielającym mnie od bolesnej rzeczywistości.

Po minach naszych pokojówek, Mary i Joan, poznałam, że Jennings miał rację, mówiąc, ile służące kosztuje służba w Joya del Mar. Po kolacji poinformowały mnie, że zamierzają odejść po pogrzebie mamy.

– Zostaniemy jeszcze parę godzin po ceremonii, aby przyjąć pani gości, ale nie dłużej – zaznaczyła Mary.

Podziękowałam im i wróciłam do siebie. Pomyślałam, że się położę i spróbuję zasnąć. Zanim zdążyłam wejść do łóżka, zadzwonił telefon. To był Miguel. Ostatnio nalegał, żeby zwracać się do niego po imieniu, i coraz rzadziej myślałam o nim jako o profesorze Fuentesie.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie śpisz?

– Nie. I nie sądzę, żebym szybko zasnęła.

– Może lepiej wziąć proszek?

– Boję się, że rano będę nieprzytomna.

– Rozumiem. Ciągle myślę o tobie, siedzącej w tym wielkim domu z bratem odludkiem. Ja jestem przyzwyczajony do domu pełnego ludzi, zwłaszcza w takich trudnych momentach. Dzwonię, aby potwierdzić, że jutro zjawię się na pogrzebie. Chętnie będę ci towarzyszył i podtrzymywał cię na duchu – powiedział. – Jeśli oczywiście pozwolisz.

– Byłabym ci bardzo wdzięczna.

– W takim razie do jutra. Dobrej nocy, Willow.

– Nawzajem, Miguel. Dzięki, że o mnie pamiętasz.

Jaki dziwny wir odczuć wzbudził w moim sercu ten telefon, myślałam, kładąc głowę na białej, miękkiej poduszce. Troska Miguela dawała mi nie tylko pocieszenie. Także nową nadzieję, nowe marzenia i radość, choć to wszystko przyszło w tak smutnym okresie. Jakby ktoś wrzucił cukierek do czary goryczy. Czyjaś czuła troska była mi bardzo potrzebna, a jednocześnie wydawała się taka dziwna, niepasująca do tego miejsca, do tych wielkich pokoi, w ich pustce moje myśli zdawały się odbijać echem.

Po odejściu mamy ten wielki dom wydawał się jeszcze bardziej pusty niż zwykle. Wcześniej wiele razy patrzyłam na nią, kiedy mnie nie widziała, i obserwowałam, jak w zamyśleniu muska palcami jakąś wazę czy figurkę albo staje przy oknie i wygląda przez nie z ciepłym, skrytym uśmiechem, który zawsze się łączył z pięknymi wspomnieniami. Jakby słyszała zbliżające się kroki swojej matki i widziała jej odbicie w szybie za swoimi plecami. We wspomnieniach wszyscy pojawiają się jak duchy. We wspomnieniach mojej mamy musiały królować ulotne, czarowne wizje; otulały ją niczym eteryczna mgiełka, zasłaniając rzeczywistość. Te powroty do przeszłości dodawały naszemu domowi ducha indywidualizmu i stanowiły o jego tożsamości. Teraz ich zabrakło, bo dobre wspomnienia odeszły wraz z mamą. Wolałam nie

wiedzieć, jakie wspomnienia z tego domu ma Linden. Ja przebywałam tutaj zbyt krótko, żeby nabrać poczucia przynależności do tego miejsca. A już na pewno nie miałam ochoty myśleć o nim jako o domu moim i Thatchera.

Czy zdołam oswoić ten dom bez mamy? Ile uczuć pochowam jutro wraz z nią?

W dniu pogrzebu Linden zastosował bierny opór. Musiałam go obudzić i namawiać, żeby raczył się ubrać, a potem sprawdzić, czy na pewno włożył czarny garnitur. Strasznie się grzebał, aż się bałam, że się spóźnimy. Podjechała limuzyna i poszłam po niego na górę. W rezultacie nie zdążył zjeść śniadania. Współczułam mu bardziej niż sobie, bo wyglądał jak wystraszony mały chłopiec.

Zwykle, kiedy myślimy o pogrzebach, wyobrażamy sobie szary, smutny, chłodny dzień. Jednak smutek i szarość nie miały dostępu do Palm Beach, więc niebo było słoneczne i bezchmurne, wiał łagodny ciepły wietrzyk, a bujna zieleń lśniła świeżością. Tak jakby sama natura nie chciała przyjąć do wiadomości śmierci i rozkładu. Jedyne mrok trwał w duszach mojej i Lindena.

W kościele było zaledwie kilkanaście osób. Poza Manon i jej klubem przybyli jeszcze pan Ross z żoną oraz moi przyjaciele z uczelni. Miguel czekał na mnie przed wejściem. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam także siostry Carriage, przyjaciółki Bunny Eaton. Po chwili zrozumiałam, że przybyły tu w roli reporterek kroniki towarzyskiej, które potem rozsypią barwne konfetti wieści o tym, kto tam był, co mówił i jak był ubrany.

Pastor odprawiający krótkie nabożeństwo w minimalnym stopniu odnosił się do zmarłej, tak jakby się obawiał powiedzieć cokolwiek o mamie. Jakby chciał się ukryć za bezpieczną zasłoną modlitwy i śpiewu. Przez cały czas Miguel stał u mojego boku. Trzymałam Lindena pod ramię. Był zeszywniały i miał przerażone spojrzenie. Byłam pewna, że stanie się hitem plotkarskiej relacji sióstr Carriage, dzięki której będą mogły przez parę następnych dni brylować na wszystkich salonach Palm Beach.

Pod koniec miałam ściśnięte gardło i z trudem tłumiłam szloch. Miguel chwycił mnie za rękę i mocno trzymał. Kiedy wreszcie trumnę bocznym wejściem wytoczono do czekającego karawanu, odwróciliśmy się od ołtarza i wyszliśmy do limuzyny. Linden pozwolił mi się prowadzić jak dziecko.

– Pojadę za wami – szepnął do mnie Miguel, kiedy wsiadałam z Lindenem. Na chodniku zobaczyłam Manon i dziewczyny. Stały w grupie, miny miały

posępne. Byłam pewna, że tylko czekają, aby udać się do najbliższego bistro i tam szybko wychylić parę kieliszków wina czy szampana, jakby chciały zmyć z siebie przykry osad pogrzebowej ceremonii – dźwięk organów i zapach kwiatów z żałobnych wieńców. Nie obwiniałam ich za to. Nawet im zazdrościłam.

Dopiero teraz zauważyłam, że w kościele był Jennings. Oprócz Miguela tylko on towarzyszył nam na cmentarzu. Stał z opuszczoną głową przez cały czas modlitwy nad grobem, a potem otarł oczy i odszedł, zanim opuszczono trumnę.

Obserwowałam brata. Wydał z siebie rozpaczliwy jęk, kiedy trumna chowała się w dole. Przez dwadzieścia lat mama była tak naprawdę jedyną i najważniejszą osobą w jego życiu. Teraz w umyśle Lindena musiały się zogniskować wszystkie mroczne, desperackie myśli i uczucia, które wkładał w swoją sztukę, a które nagle stały się rzeczywistością. Po tym, jak wpatrywał się w grób, można się było domyślić, że najchętniej rzuciłby się na trumnę i pozwolił pochować razem z mamą.

Ładunek rozpaczki musiał być tak ogromny, że Linden błyskawicznie tracił siły. Nogi się pod nim uginały i musiałam go podtrzymywać. Miguel momentalnie zorientował się, co się dzieje, i mocno podtrzymał go z drugiej strony.

– Lepiej stąd chodźmy – szepnął. Skinęłam głową. Obróciliśmy Lindena i zaprowadziliśmy go do limuzyny.

W samochodzie opadł bezwładnie na siedzenie. Zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie.

– Pojadę z wami i pomogę ci w domu – powiedział Miguel.

Jechał tuż za nami przez całą drogę do Joya del Mar. Linden spał, a ja wreszcie mogłam się wypłakać. Kiedy przyjechaliśmy, Jennings wyszedł na podjazd i razem z Miguelem wtaszczyli Lindena na górę do jego sypialni i tam od razu położyli go do łóżka. Ja poszłam do salonu i nalałam sobie solidną porcję whisky. Joan i Mary czekały w gotowości, spodziewając się żałobników z kondolencjami, ale nikt się nie pojawił.

Kiedy Miguel zszedł na dół, od razu zapytał o okna w pokoju Lindena.

– Szyby są pomalowane na czarno?

Opowiedziałam mu, że Linden to zrobił. Pokręcił głową, wyraźnie zafasowany.

– Trudno przewidzieć, ale może kiedy zobaczył, że mamę złożono do grobu,

przestanie już mieć wizje – zastanawiałam się głośno. – Paradoks kryje się w tym, że pogrzeb dobrze mu zrobi, choć oczywiście brzmi to fatalnie.

– Możliwe. – Miguel nie wyglądał na przekonanego.

Zjedliśmy coś, a potem usiedliśmy na tarasie. Na niebie pojawiło się parę obłoczków i wiatr się nieco nasilił, ale nadal dzień był piękny.

– Mamie ten dzień by się spodobał. Pewnie siedziałyby tutaj albo spacerowała po plaży – powiedziałam z westchnieniem.

– Tu jest naprawdę pięknie. – Pokiwał głową. – Nie wierzę, że czuła się samotna i zaniedbana w tym otoczeniu, które kochała, choć od ciebie wiem, że nie zapraszano jej na salony.

– Masz rację.

– Przepraszam, pani Eaton – odezwał się ktoś za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam pokojówki Mary i Joan, ubrane do wyjścia, z walizkami w rękach. – Ponieważ nikt nie przyjechał, nie jesteśmy już pani potrzebne – stwierdziła Mary. – Dom jest wysprzątany, zadbałyśmy o porządek, a Jennings obiecał, że jeszcze dzisiaj zajmie się wszystkim, co trzeba, żeby pani mogła odpocząć.

– Dobrze – odparłam krótko.

– Zostawiłyśmy Jenningsowi dane kont, na które będzie pani mogła przesłać należne nam wypłaty – dodała Joan.

– Jasne.

– Bardzo pani współczujemy, pani Eaton – powiedziała Mary.

– Dziękuję i życzę wam powodzenia.

Uśmiechnęły się powściągliwie i odeszły.

– O co tu chodzi? – zapytał Miguel, więc mu wyjaśniłam.

– Czyli zostaniesz bez żadnej pomocy?

– Za dzień czy dwa pomyślę o tym i na pewno kogoś sobie przyjmę. Na razie niewiele nam potrzeba.

– One naprawdę nie mogły poczekać dwa tygodnie albo chociaż tydzień? – Był oburzony.

– Nie mogę ich winić.

– Powinienem już iść, bo na pewno potrzebujesz odpoczynku.

– Nie potrzebuję, ale nie chciałabym niepotrzebnie zabierać ci czasu.

Uśmiechnął się.

– Nie udawaj bohaterki, Willow. Masz tu jeszcze kogoś pod opieką. – Wskazał gestem głowy na mój brzuch.

Teraz ja się uśmiechnęłam.

– Obiecuję, że nie będę szaleć.

Chwilę patrzył mi prosto w oczy, a potem pochylił się i pocałował mnie w czoło.

– Dbaj o siebie, Willow. Niedługo znów wpadnę i sprawdzę, czy dobrze się sprawujesz.

– Będzie mi miło.

– Nie odprowadzaj mnie – poprosił. – Chyba że od razu pójdziesz na górę, żeby odpocząć.

– Posiedzę tu jeszcze trochę – powiedziałam.

Ujął moją dłoń i przytrzymał ją na moment, zanim odszedł.

Siedziałam zapatrzona w ocean.

Na górze, za czarnymi szczytami, Linden tonął w mrocznej głębi swego umysłu. Ja nie miałam możliwości takiej ucieczki ani też jej nie pragnęłam.

Jeśli ja i moje dziecko przeżyjemy, to tylko dlatego, że ból i rozpacz mnie wzmocnią, zamiast osłabić, rozmyślałam. Gdybym tak jak Linden miała teraz tylko siebie, może bym się załamala. Ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Mała Hannah czekała, aż zostanie powitana na świecie uśmiechem, radością i nadzieją, a nie łzami, smutkiem i rozpaczą.

Nie miałam pojęcia, dlaczego to robiłam ani skąd wzięłam na to siły, ale wstałam i poszłam na plażę. Tam stanęłam na końcu pomostu, gdzie zawsze stawała mama, aby wypatrywać mojego taty i czekać na spełnienie obietnicy.

W sumie zdrada Thatchera zostawiła mnie w tym samym punkcie wyjścia, od jakiego niegdyś musiała zacząć moja mama. Zostałam sama z dzieckiem, podobnie jak ona nieakceptowana przez tutejsze otoczenie. Dlaczego nie wyniosła się stąd? Czemu nie próbowała rozpocząć nowego życia w nowym miejscu? Czy tak nie byłoby lepiej dla niej i dla Lindena?

Czy tak byłoby lepiej dla mnie i dla Hannah?

Poszukałam w myślach mądrości taty, tak bardzo mi teraz potrzebnej.

Co mam zrobić, tato? Zostać czy wyjechać?

A co byś chciała?

Nie wiem.

Może w takim razie zaczekasz, aż będziesz wiedziała, co chcesz zrobić?

A jeśli nigdy nie będę wiedziała?

Tato?

A jeśli nie będę wiedziała? – powtórzyłam z desperacją.

Odpowiedziała mi cisza. Mój umysł milczał, aż w tę ciszę wlał się poszum fal i wiatru.

Może jutro.

Może jutro będę wiedziała.

Rozdział dziewiętnasty

SAMA Z LINDENEM

Po śmierci mamy życie moje i Lindena zmieniło się pod wieloma względami. Jennings, tak jak zapowiadał, wkrótce nas opuścił. Nie mogłam się zabrać do szukania kogoś do pomocy, toteż byliśmy sami. Aby ułatwić sobie życie, pozamykałam tyle pomieszczeń w domu, ile się dało, wyłączając je z użytkowania. Zamknęłam pokoje mamy i wszystkie pokoje gościnne łącznie z łazienkami. Zostały tylko pokoje Lindena i jego pracownia oraz moje, łącznie z dawną sypialnią mamy, przerobioną na pokój dla Hannah.

Ku mojemu zaskoczeniu Linden dobrze przyjął pomniejszenie przestrzeni mieszkalnej. Powiedział, że teraz dom jest bardziej przytulny i przypomina mały dom przy plaży, w którym przez tyle lat mieszkał z mamą. Tak twierdził, choć używaliśmy także dużego salonu, jadalni i tylnego tarasu z patio.

Odejście służby miało na niego niespodziewanie dobroczynny wpływ.

– Grace i ja przez całe lata obywaliliśmy się bez pokojówek i lokajów – stwierdził, kiedy mu oznajmiłam, że Jennings też nas opuszcza. – Przeżyliśmy wtedy, przeżyjemy i teraz.

Ucieszyła mnie ta nowa, optymistyczna postawa. W Lindenie zaszła ogromna zmiana. Nie został ślad po introwertyku, który na cały dzień zamykał się w zaciemnionej pracowni. Oświadczył, że teraz zajmie się domem, łącznie z robieniem zakupów i gotowaniem. Nawet w jego wyglądzie i sposobie bycia nastąpiła zdumiewająca metamorfoza. Był podekscytowany jak student pierwszego roku, który poczuł się wreszcie dorosły i w pełni odpowiedzialny za swoje życie. Nowe obowiązki wręcz podniecały go i wbijały w dumę.

– Będiesz dla nas gotował? – zapytałam z uśmiechem, kiedy zadeklarował, że przejmie obowiązki kucharza.

– Oczywiście. Wiele razy gotowałem dla Grace, a teraz czytałem dużo na temat jadłospisu kobiety w ciąży. I wiem, jakich potraw oraz innych rzeczy powinnaś unikać! – dodał, żartobliwie grożąc mi palcem.

– Serio?

– Tak. Przecież musimy się troszczyć nie tylko o ciebie – powiedział z przejęciem. – Mamy jeszcze dziecko, naszą Hannah.

Kiedy pierwszy raz to powiedział, nie zareagowałam na jego słowa. Wpisywały się w nowy ton nowego, cudownie entuzjastycznego podejścia Lindena do naszego życia i przyszłości. Jednak z czasem zaczął mnie niepokoić sposób, w jaki mówił „nasza Hannah” czy „nasze dziecko”, tak jakby sam był jego ojcem. Usiłowałam zbagatelizować niepokój, wmawiając sobie, że jestem przewrażliwiona i powinnam się cieszyć, że brat na nowo uwierzył w sens życia. Tak rzadko widywałam Lindena cieszącego się czymś i pełnego entuzjazmu! I poważnie się obawiałam, że po śmierci mamy będzie się zachowywał zupełnie inaczej.

Nalegał, żebym nie prowadziła samochodu, i sam mnie woził. Całkowicie przejął zakupy i zabronił mi dźwigania czegokolwiek. W domu nie pozwolił mi nic robić, choć byłam dopiero w połowie drugiego trymestru ciąży. Wystarczyło, żebym sięgnęła po ścierkę czy mopa, a już mi to zabierał i sam sprzątał.

– Idź na spacer – zalecał. – Kobieta ciężarna powinna dużo chodzić, ale nie może dźwigać ani za często się schylać.

– Tak, doktorze Montgomery – odpowiadałam ze śmiechem, lecz on miał poważną minę.

– Nie jestem lekarzem, ale nie uwierzysz, o ile więcej wiem od nich. Oni są albo niedouczeni, albo im nie zależy na wiedzy. Nie obchodzi ich dobro pacjenta – stwierdził autorytatywnie. – Co innego ja – dodał.

Oczywiście podziękowałam mu za troskę.

– Jak mógłbym się o ciebie nie troszczyć? Nie musisz mi dziękować. – Prawie na mnie krzyczał.

Choć ruchy miał teraz bardziej energiczne, lepiej się ubierał i bardziej o siebie dbał, nadal miał skłonność do gwałtownych wybuchów gniewu albo obrazania się, kiedy uważał, że go krytykuję. Cały czas miałam wrażenie, że stąkam po kruchym lodzie albo poruszam się w pokoju pełnym najcenniejszej chińskiej porcelany i boję się coś potrącić.

Lindena wyjątkowo wytrącały z równowagi częste teraz wizyty Miguela

w Joya del Mar. Postanowiłam wcześniej, niż zamierzałam, zawiesić zajęcia na uczelni. Uznałam, że powinnam spędzać więcej czasu w domu i dbać o Lindena, choć to on uważał, że dba o mnie. Poza tym musiałam załatwić różne sprawy prawne, wynikłe po śmierci mamy, i oczywiście rozwodowe.

– Dlaczego ten profesor tak często do nas wpada? – zapytał mnie Linden po jednej z wizyt Miguela. – Czy on nie ma wykładów, nie sprawdza prac studentów, nie prowadzi badań?

– Miguel nie ma ściśle ustalonych godzin pracy. Nie sądzisz, że to miło z jego strony, że poświęca swój czas i wpada tutaj, żeby zobaczyć, czy czegoś nam nie potrzeba?

– On nie przychodzi tutaj, żeby zobaczyć, czy czegoś nam nie potrzeba – stwierdził kwaśno. – On przychodzi, żeby sprawdzić, czy tobie czegoś nie potrzeba. To jest niesmaczne. Jesteś w ciąży i... formalnie nie rozwiodłaś się jeszcze z Thatcherem. Ten twój profesor zlatuje tu jak sęp, czekający na ucztę.

– O, nie – zaprotestowałam najbardziej łagodnie, jak potrafiłam. – On absolutnie taki nie jest, Linden.

Spiorunował mnie spojrzeniem, sapnął ze złości i oddalił się, żeby szykować kolację.

Pewnego popołudnia Miguel zasiedział się dłużej niż zazwyczaj. Piliśmy kawę na tylnym tarasie, rozmawiając – głównie o uczelni i jego zajęciach. Dużo mówił o studentach i twierdził, że poziom i wiedza kolejnych roczników są coraz gorsze.

– Oni chcą mieć wszystko szybko – utyskiwał. – Byliby szczęśliwi, gdyby ktoś wynalazł pigułkę, po której wszystko natychmiast wchodziłoby do głowy. Wydaje się, że nikogo już nie interesują rzetelna wiedza, wyzwania i ambitne cele. Ich motto brzmi: Co będę z tego miał i jak szybko to osiągnę? A przede wszystkim: Jak mogę to osiągnąć minimalnym wysiłkiem? Kiedyś szczęście będzie sprzedawane w automatach, tak samo jak dyplomy i stopnie naukowe – dodał gorzko.

Uśmiechnęłam się, słysząc tę płomienną tyradę. Miguel też się śmiał.

– Znów wszedłem na tę swoją mównicę – przyznał. – Jak zawsze, kiedy mam tak szczerego i bystrego rozmówcę jak ty.

– Nie myślę, że jesteś na mównicy, i nie ma nic zdroźnego, iż żywo reagujesz na sprawy, które są dla ciebie ważne.

Uśmiechnął się i sięgnął do mojej dłoni.

– Jesteś przemiłą i uroczą osobą, Willow. To niesprawiedliwe, że los cię tak

doświadcza.

Patrzyliśmy sobie w oczy i Miguel nie puszczał mojej dłoni.

Wtem załomotały szklane drzwi i zobaczyłam Lindena, który stał za szybą i patrzył na nas. Cofnęłam rękę i zwróciłam się do brata.

– Linden, może usiądziesz z nami na chwilę? – zaproponowałam, przywołując go gestem.

Po chwili wahania rozsunął drzwi i podszedł do nas.

– Mam garnki na kuchni – odburknął.

– Och, a co takiego szykujesz, Linden?

– Pastę primavera.

– O, fajnie brzmi – zauważył Miguel.

– Może zaprosimy Miguela na kolację, Linden? – zasugerowałam.

Zamilkł na długą chwilę.

– Mało ugotowałam – mruknął.

– A musimy dużo jeść? – zażartowałam.

– Nie ma sprawy. Ja muszę już iść – mówił Miguel. – Umówiłem się na kolację u rodziców. Może któregoś wieczoru pozwolicie się zaprosić do Havana Molena?

– Byłoby nam bardzo miło, prawda, Linden?

– Tak – odparł – ale na razie nie mogę powiedzieć, kiedy byśmy mogli pójść.

– Jeśli się zdecydujecie, dajcie mi znać – poprosił Miguel.

Linden kiwnął głową i odszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Twoim zdaniem jego stan się polepszył, Willow, ale tak naprawdę nie wiesz, jak głębokie są jego zaburzenia – mówił Miguel, odprowadzając go wzrokiem.

– Oczywiście masz rację. Teraz, kiedy sytuacja się uspokoiła, skontaktuję się z jego psychiatrą i sprawię, że Linden znów się będzie leczył.

– Bardzo mądrze. – Miguel wstał. – Jutro zadzwonię, jeśli pozwolisz.

– Jasne, dzwoń. Będę czekała na twój telefon – odparłam i Miguel się rozpromienił.

Nagle pochylił się i pocałował mnie w policzek. Chwyciłam go za ramiona, jakbym chciała go przytrzymać. Popatrzył mi głęboko w oczy, a potem pocałował mnie delikatnie w usta.

– Przepraszam – powiedział szybko.

– Za co? Że przy tobie kobieta w ciąży czuje się atrakcyjna?

Roześmiał się.

– Mam nadzieję, że nie robisz tego w ramach akcji dobroczynnej – dodałam. Jego uśmiech zamarł, a rysy spoważniały. Miguel jeszcze raz pochylił się nade mną i tym razem jego usta dłużej zabawiły na moich.

– Wierz mi, Willow – szepnął – to nie jest dobroczynność.

Pojaśniało mi w oczach. Miguel odwrócił się i ruszył do drzwi. Na moment zatrzymał się w progu, spojrzął na mnie, uśmiechnął się na pożegnanie i zniknął, zostawiając mnie drżącą ze szczęścia, które jeszcze niedawno uważałam za dobro dla mnie niedostępne.

Po paru godzinach zyskałam dobry powód, żeby się wybrać na dobrą kolację. Pani mecenas zadzwoniła z wiadomością, że Thatcher zgodził się na przedstawione przez nią warunki rozwodu.

– Wobec faktu niezbitnie udowodnionej zdrady uznał, że nie ma szans na wygranie. Poszło łatwiej, niż się spodziewałam.

– Och, jak się cieszę! Przerazała mnie perspektywa długiej walki rozwodowej.

– To już koniec. Musimy tylko dopełnić formalności. Nie mam zwyczaju gratulować klientkom wygranych spraw rozwodowych. To tak, jakby komplementować kogoś za udany pogrzeb, ale w twoim przypadku... Cóż, Willow, moje gratulacje.

Podziękowałam jej i pobiegłam z nowiną do Lindena. Wysłuchał mnie z kamienną twarzą, po czym powiedział:

– Dobrze. W takim razie uznajmy, że on dla nas już umarł.

– Nie musimy się uciekać do takich chwytów, Linden. Thatcher jest ojcem Hannah, prawda?

– Tylko formalnie. Kiedy dziecko się urodzi, zadbam, żeby o nim zapomniało.

Mówił z zajadłością, która mnie przeraziła.

– Wystrzegajmy się gniewu i złej energii, Linden. Nie chcę, żeby moja córka dorastała w domu, gdzie króluje gniew i mściwość.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

– Ja też nie chcę. Dla mnie najważniejsze jest i będzie dobro Hannah. Zawsze.

– Cieszę się. – Uśmiechnęłam się do niego. – Czy dzisiaj możemy przyjąć zaproszenie od Miguela i uczcić moje zwycięstwo dobrą kolacją?

– Możemy to uczcić w domu. Przygotuję coś ekstra.

– Nie, powinniśmy wyjść i dobrze się bawić, Linden. Najwyżej potem

zrobimy sobie coś tylko dla nas, zgoda?

Przytaknął z wyraźną niechęcią i wrócił do kuchni.

Szybko podeszłam do telefonu i zadzwoniłam do Miguela.

– To cudowna wiadomość, Willow. Wszystko się zmienia, czuję to. Wszystko dla ciebie zmienia się na lepsze. Zarezerwuję miejsca na jutrzejszy wieczór. Przyjadę po was o siódmej.

– Dziękuję, Miguelu.

Czy odważę się mu wierzyć? Wszystko naprawdę zmienia się na lepsze? Mój krok stał się żywszy, kiedy ruszyłam do kuchni, gdzie Linden szykował kolację, żeby powiedzieć mu o zaproszeniu do rodzinnej restauracji Miguela. Kiwnął głową bez entuzjazmu.

– Nie masz ochoty świętować ze mną zwycięstwa, Lindenie?

– Oczywiście, że mam. Uczymy to, obiecuję.

Usiadłam w jadalni i po chwili przyniósł na stół włoskie danie. Okazał się dobrym kucharzem i kreował swoje potrawy z artystycznym wyczuciem. Nie pozwolił mi wypić wina, podkreślając, że alkohol szkodzi kobietom w ciąży, nawet jeśli to jest jeden kieliszek, co niektórzy lekarze dopuszczają. Rozgadał się i zaczął jeden z tych swoich wykładów o opiece nad kobietą w ciąży. Pozwoliłam mu mówić, bo wolałam, żeby absorbowało go coś innego niż jego mroczna sztuka. Troska o mnie pozwalała mu wyjść z introwertycznej skorupy i powinnam się z tego cieszyć.

Jadłam, słuchając, jak peroruje, i czułam narastające zmęczenie. Ostatnio kiepsko sypiałam i mimo zakazów Lindena robiłam wiele rzeczy w domu, starając się utrzymać jaki taki porządek. Każdego dnia obiecywałam sobie, że jutro na pewno zadzwonię do agencji i zacznę szukać osoby do prowadzenia domu. A jednak się wahałam, gdyż miałam obawy, że Mary i Joan rozpuściły plotki o Lindenie i dziwnej atmosferze w naszym domu. To mogłoby zniechęcić potencjalne kandydatki.

Kolacja zbliżała się do końca, a już ledwo jadłam i z trudnością utrzymywałam głowę w górze. Powieki ciążyły mi jak ołów. Linden wylewał z siebie jednostajny potok słów. Kiedy chciał podkreślić jakąś ważną tezę, podnosił głos i uderzał ręką w stół. Jego przemowa działała na mnie jak kołysanka. Przestałam słuchać i rozumieć, co mówi.

– Poczulałam się nagle strasznie zmęczona, Linden. Chyba nie zjem deseru.

– Nie zrobiłem deseru – odparł. – Musimy pilnować twojej wagi, Willow. Kiedy urodzisz, jeszcze mi podziękujesz, bo szybciej zdołasz odzyskać swoją

wspaniałą figurę.

– Dobrze – powiedziałam słabym głosem. Nawet uśmiech sprawiał mi trudność. Kiedy wstałam, zakręciło mi się w głowie. Linden zerwał się krzesła i obiegł stół.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – tłumaczyłam się. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. W twoim stanie to normalne. Za dużo sprzątałaś. Musisz więcej odpoczywać. Pomogę ci dojść do sypialni.

Kiedy spojrzałam na schody, wydały mi się wysokie jak Everest. Nie wyobrażałam sobie, że dam radę wejść na górę. Mimo pomocy Lindena zadyszałam się po paru stopniach. Z trudem dowlekłam się do połowy schodów, aż wreszcie stanęłam i jęknęłam, że już dalej nie mogę.

– Co się ze mną dzieje? – krzyknęłam z rozpaczą, ocierając pot z czoła. – Może powinnam iść do lekarza?

– Och, Willow, po prostu jesteś zmęczona i tyle. Mówiłem, że to normalne. Wyśpisz się i jutro będziesz się czuła świetnie – zapewnił mnie.

Prawie wciągnął mnie na górę. Kiedy weszliśmy do mojej sypialni, musiałam stanąć, żeby złapać oddech. Pomógł mi położyć się na łóżku.

– Przynieś mi zimny, mokry ręcznik na czoło – poprosiłam.

– Oczywiście. – Szybko poszedł do łazienki.

Położyłam głowę na poduszce i zamknęłam oczy. Nie odnotowałam, czy przyniósł mi okład, gdyż momentalnie zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, w pokoju było całkowicie ciemno. Leżałam pod kocem, naga. Nie miałam pojęcia, jakim cudem to się stało. Czułam sztywność w karku. W pokoju unosił się zapach dobrze mi znany, choć w tym miejscu się go nie spodziewałam. Odruchowo zerknęłam na zegarek. Na szczęście mój budzik miał fosforyzujące wskazówki i widać je było wyraźnie. Wskazywały siódmą, oczywiście rano, ale dlaczego w pokoju było ciemno?

Coraz bardziej zdezorientowana odrzuciłam koc i usiadłam, spuszczać nogi z łóżka. Spojrzałam na okna. Rolety nie były opuszczone, ale...

Lodowata fala szoku i grozy sprawiła, że zadrżałam. Szyby w moich oknach zostały zamalowane na czarno, dokładnie tak, jak w pracowni Lindena. Czemu to zrobił? Malował, a ja się nie obudziłam? Przyłożyłam dłoń do czoła, bo czułam się, jakbym miała wysoką gorączkę. Dziwne zmęczenie, napadowa senność... Czyżby domieszał mi do jedzenia swoje środki psychotropowe?

Namacałam włącznik, zapaliłam światło i przeszłam do garderoby, żeby

poszukać szlafroka. Kiedy otworzyłam szafę, okazało się, że półki i wieszaki są puste. Gdzie się podziały moje ubrania? Zniknęły też buty. Zostały tylko kapcie przy łóżku. Co on zrobił? I dlaczego?

Zachwiałam się nagle. Pokój zawirował mi w oczach i musiałam się oprzeć o drzwi, żeby nie upaść. Cokolwiek Linden domieszał mi do jedzenia, ciągle krążyło w moim organizmie. Bardzo chciało mi się pić. Kiedy ugasiłam pragnienie wodą z kranu, od razu poczułam się lepiej. Owinęłam się ręcznikiem i podeszłam do telefonu. Teraz już nie miałam wątpliwości, że Lindena trzeba oddać na przymusowe leczenie. Miarka się przebrała. Miguel miał rację. Postanowiłam, że najpierw zadzwonię do niego.

W słuchawce nie było sygnału. Zdziwiłam się, ale szybko zauważyłam, że kabel został odłączony i zabrany.

– To jakieś szaleństwo – mruknęłam do siebie i podeszłam do drzwi. Spodziewałam się czegoś takiego, a jednak serce mi się ścisnęło, kiedy okazało się, że mogę je tylko odrobinę uchylić, ale nie otworzyć. Musiał zamontować z drugiej strony zasuwkę albo haczyk. Wąska smuga blasku wpadała przez szparę. Przyłożyłam do niej usta.

– Linden! Linden, gdzie jesteś? – krzyczałam. – Coś ty zrobił? Linden!

Odpowiedziała mi cisza. Na zmianę wołałam i nasłuchiwałam, ale dom był jak martwy.

– Linden, błagam! Źle się czuję! To może zaszkodzić dziecku. Proszę, wypuść mnie!

Cisza. Osunęłam się na podłogę i oparłam czoło o ścianę. Nadal miałam powieki jak z ołowiu. Zamknęłam oczy i odpoczywałam, ale co parę minut otwierałam je i zerkałam przez szparę na korytarz, wołając Lindena. Wtem usłyszałam szum odkurzacza. Kierunek, z którego dobiegał dźwięk i jego nasilenie, kazały się domyślać, że Linden odkurza schody. Nie było sensu zdzierać sobie gardła. Czekałam. Czas rozciągał się w nieskończoność. Kiedy odgłos wreszcie ustał, zawołałam jeszcze raz. Niestety Linden nie odpowiedział ani nie przyszedł.

Wyczerpana i roztrzęsiona, wróciłam do łóżka. Stwierdziłam, że w tej sytuacji muszę szybko odzyskać siły. Może wtedy uda mi się wyważyć drzwi. Zamknęłam oczy i szybko zasnęłam.

Kiedy tym razem się obudziłam, obok mego łóżka stał stolik na kółkach, a na nim taca ze srebrną pokrywą. Podniosłam ją i zobaczyłam szklanek soku pomarańczowego, dzbanuszek z kawą, mleko, tost, dwa jajka w koszulkach

oraz porcję witamin dla kobiet w ciąży. Dotknęłam potraw, okazało się, że są jeszcze ciepłe. Linden musiał niedawno tu być.

Licząc, że nie zamknął drzwi, wstałam i przekręciłam klamkę, ale powstała tylko szpara, jak poprzednio.

– Linden!

Widziałam jedynie wąziutki wycinek korytarza. Tam też było bardzo ciemno. Spróbowałam popatrzeć pod kątem i zobaczyłam fragment jednego z okien. Pozostałe również były zamalowane na czarno.

– Linden, proszę. Linden!

Usłyszałam muzykę. Coraz głośniejszą. Linden podkręcił głośność w wieży stereo i dom wypełniły dźwięki jego ulubionych koncertów Mozarta. Nie było sensu się wydierać.

Zaburczało mi w brzuchu. Wróciłam do łóżka i popatrzyłam na jedzenie. Tosty nie mogły być niebezpieczne, podobnie jak jajka. Bałam się natomiast pić sok czy kawę, bo łatwo można do nich domieszać leki. Jedzenie popiłam wodą z kranu. Od razu wróciły mi siły i rozglądałam się za czymś przydatnym do otwarcia drzwi. Nic nie wpadło mi w oko, ale po chwili zastanowienia stwierdziłam, że spróbuję wykorzystać poprzeczkę na wieszaki, posłuży za łom.

Łatwo było wymyślić, gorzej z wykonaniem. Metalowa rura, osadzona w obejmach przymocowanych śrubami do ścian szafy, ani drgnęła. Z zestawu do pielęgnacji paznokci wyjęłam pilnik, który mógł zastąpić śrubokręt, i wzięłam się do roboty. Kiedy odkręcałam śruby, musiałam długo napierać na rurę i kręcić nią, żeby wysunęła się z obejm. Ten wysiłek mnie wyczerpał. Linden musiał mi zaserwować naprawdę dużą dawkę swoich prochów. Już nie tylko powodował mną strach, byłam wściekła. W sytuacji zagrożenia zdrowia mojego i dziecka przestałam mieć skrupuły.

Wsunęłam rurę w szczelinę i naparłam na nią. Czułam, że blokada powoli ustępuje, więc naparłam jeszcze mocniej. Wtem ktoś wyrwał mi rurę z ręki tak gwałtownie, że niemal straciłam równowagę.

– Przestań! – usłyszałam szept zza drzwi.

– Linden! Linden, co ty mi robisz? Wypuść mnie!

– Ja ci tylko pomagam – odpowiedział. – Muszę cię całkowicie zabezpieczyć. Zbliży się czas, kiedy nasza Hannah przyjdzie na świat. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś znów stanął pomiędzy nami.

– Linden, co się stało z moimi ubraniami? Nie możesz mnie tu więzić.

Powiedz mi, o co ci chodzi. Nie rozumiem, po co robisz takie kłopoty nam i sobie. Otwórz te drzwi, ale już! – zażądałam.

– Kiedyś zrozumiesz, dlaczego tak robię, i podziękujesz mi za to. Mam nowy pomysł i chcę namalować obraz z nim związany, dlatego bądź cierpliwa – powiedział. Usłyszałam oddalające się kroki.

– Linden! Nie rób tego!

Muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Usiadłam na łóżku, łkając rozpaczliwie. Po chwili wrzasnęłam i znowu łkałam.

– Na pewno go ruszy sumienie – powiedziałam mściwie do swojego odbicia w lustrze. – Zrozumie, co zrobił, i otworzy drzwi!

Ledwo rozpoznałam twarz, która patrzyła na mnie z lustra. Włosy zmierzwiłone, policzki poznaczone śladami łez, dzikie spojrzenie. Tylko spokojnie, Willow, powiedziałam do siebie. Zachowaj spokój. Nic ci nie da, jeśli wpadniesz w histerię. Miguel na pewno zadzwoni, a jeśli nawet się nie dodzwoni, przyjedzie wieczorem o siódmej. Po prostu trzeba poczekać.

Godziny dłużyły się nieznośnie. Zapadałam w drzemkę i budziłam się, bo nie chciałam przegapić momentu, kiedy Linden otworzy drzwi, aby przynieść mi jedzenie i picie. Nie przychodził. Albo uznał, że nie musi, albo zapomniał. Teraz bardziej niż kiedykolwiek zagłębił się we własnym świecie i nie odróżniał swoich majaków od rzeczywistości. Więził mnie wariat, żyjący w innym wymiarze. Mógł nawet zapomnieć, że jestem tu zamknięta. W jego zachowaniu nie było już żadnej logiki. Nie kierował się żadnymi zasadami, a przynajmniej ja nic o nich nie wiedziałam.

Postanowiłam zrobić cokolwiek. Pomyślałam o prysznicu, żeby nie zwariować. Czułam się brudna i chciałam się odświeżyć. Nie wiem, czy Linden śledził mnie w jakiś sposób i czekał na okazję, czy przypadkiem przyszedł, kiedy byłam pod prysznicem – dość, że kiedy wyszłam z łazienki owinięta ręcznikiem, przy łóżku była nowa taca z jedzeniem.

– Nie! – wrzasnęłam. Rzuciłam się do drzwi i zaczęłam w nie kopać. Nie ustąpiły. – Linden, natychmiast mnie wypuść! Przysięgam, że jeśli nie... Linden, mama byłaby za to bardzo na ciebie zła.

– Nie – wyszeptał zza drzwi. – Ona kazała mi to zrobić.

– Przestań! Dostyc! – zawylałam. – Mama nie żyje. Nie mogła nakazać czegoś takiego. Wypuść mnie stąd, Linden. Coraz gorzej się czuję. Zaraz stracę dziecko!

– Nie, nie stracisz – zapewnił z niezachwianą pewnością. – Straciłabyś je,

gdybyś wyszła za Miguela. Założę się, że kazałby ci je wyskrobać. Dlaczego miałoby mu zależeć na naszym dziecku? On chciałby mieć z tobą swoje.

– Hannah nie jest naszym dzieckiem, Linden. Ona jest moim dzieckiem. Moim!

– Nie musisz tego powtarzać, Willow. To już nieaktualne. Wszyscy się o nas dowiedzą.

– O czym ty mówisz, Linden? Dziecko nie może być twoje. Jesteśmy przecież bratem i siostrą.

Roześmiał się.

– Nieprawda, Willow. To była wersja rozpowszechniana przez ciebie i Grace. Ona mi powiedziała. Po moim wypadku na łodzi powiedziała mi prawdę, żebym się nie denerwował. Dlatego byłem pewien, że ty i Thatcher nie zostaniecie ze sobą długo. Sama widzisz, że wszystko dzieje się tak, jak powinno. Dlatego nie przejmuj się i odpoczywaj spokojnie. Znow jesteśmy szczęśliwi razem.

Nie mogłam uwierzyć w te chore majaczenia. Na moment odjęło mi mowę.

– Od mamy nigdy byś nie usłyszał czegoś takiego, Linden. Ta rozmowa istnieje tylko w twojej wyobraźni. Udowodnię ci, kiedy mnie wypuścisz.

– Nie, Willow, to ty nie masz pojęcia, jak jest naprawdę. Będę musiał poprosić Grace, żeby ci wyjaśniła.

– Mama nie żyje, Linden. Nie żyje! Przecież byłeś ze mną w szpitalu, nie pamiętasz? Widziałeś ją, prawda? Przypomnij sobie!

– Nie – odpowiedział chrapliwym szeptem. – Mówiliśmy tak, żeby przestano o nas plotkować, i to zadziałało. Nikt już do nas nie przychodzi. Twój profesor dzwonił w sprawie kolacji i powiedziałem mu, że już ciebie nie ma. Wyjechałaś do rodziny i podjęłaś decyzję, że już tu nie wrócisz. Był bardzo rozczarowany. I dobrze, bo wreszcie przestanie nas nachodzić. Teraz będziemy tylko ty i ja, Willow, tak jak od dawna planowałem. I oczywiście Hannah. Nasza Hannah. A teraz odpoczywaj.

– Linden!

Oddalił się. Słyszałam, jak schodzi na dół, i za moment w domu zapadła cisza. Martwa cisza.

Zrozumiałam, że nie jestem więźniem w swoim domu, tylko więźniem zaburzonego umysłu Lindena.

Kiedy minęła siódma i Miguel się nie pojawił, zaczęłam się obawiać, że

Linden nie skłamał w sprawie telefonu. Czy Miguel mu uwierzył? Jeśli tak, spędzę tutaj wiele dni, a może nawet tygodni, zanim ktoś zainteresuje się moim losem. Podejrzywałam, że Linden, jak wielu szaleńców, będzie brzmiał spójnie i logicznie dla tych, którzy zadzwonią, żeby o mnie spytać – nawet dla mojej adwokatkę czy Manon i reszty klubu. W tej sytuacji ucieszyłabym się nawet, gdyby wpadł Thatcher.

Nie mając nic do roboty poza gorączkowymi rozmyślaniami i jałowym gniewem, zaczęłam obchodzić pomieszczenia. Niczym zwierzę zamknięte w klatce wypatrywałam dziur czy innych słabych punktów, które można by sforsować i wydostać się na wolność. Na moment skupiłam spojrzenie na obrazie, który Linden podarował mnie i Thatcherowi jako prezent ślubny. Jak ten obraz irytował Thatchera! Na jakiej zasadzie toleruję go teraz? W odruchu wściekłości wskoczyłam na łóżko, zerwałam płótno ze ściany i cisnęłam je na podłogę. Chwilę stałam, łapiąc oddech, a moje spojrzenie mimo woli pobiegło ku ścianie, gdzie Linden osobiście zawiesił kiedyś swoje dzieło. Nagle całe powietrze uciekło mi z płuc i miałam wrażenie, że zastąpiła je gorąca, dusząca para, której ciśnienie rosło. Myślałam, że eksploduję.

W ścianie ziała dziura, niczym wizjer w drzwiach. Zbliżyłam się i zajrzałam przez nią. Z tyłu widać było pomieszczenie, które zajmował Linden, zanim postanowił mi je oddać na pokój dziecienny. Tylko po co dziura w ścianie, skoro zasłania ją obraz? – zastanawiałam się. Przykucnęłam i zbadałam płótno. Dokładnie na wysokości dziury warstwa płótna i farb okazała się tak cienka, że aż przezroczysta. Można było spokojnie przez nią zaglądać. Portret został zawieszony pod kątem nad naszym łóżkiem i Linden mógł bez trudności obserwować mnie i Thatchera, a teraz już tylko mnie.

Jasne, skąd wiedział, kiedy przyjść z nowym posiłkiem. W tym szaleństwie była przerażająca metoda.

Z wysiłkiem powiesiłam duży obraz z powrotem na ścianie, wiedząc, że Linden wróci, aby mnie szpiegować. Stwierdziłam, że muszę go oszukać, udając, że śpię. Wtedy zostawi drzwi otwarte. Weszłam do łóżka, okryłam się, zamknęłam oczy i czekałam. Tak długo, że omal nie zasnęłam. Wreszcie, około dziewiętnastej trzydzieści, usłyszałam cichy szcęk otwieranych drzwi. Starłam się zrobić to jak najciszej. Spod przymkniętych powiek obserwowałam go. Stał w progu. Kiedy skierował na mnie wzrok, zamknęłam oczy i starałam się oddychać równo i powoli.

Przeszedł na palcach przez pokój, niosąc tacę z jedzeniem. Odstawił ją na

chwilę na bok i pochylił się nad stolikiem, sięgając po poprzednią tacę. W tym momencie wyskoczyłam z łóżka i mocno go odepchnęłam, aż upadł i taca grzmotnęła na dywan. Nie czekałam, co zrobi. Owijając się w biegu prześcieradłem, pognałam do drzwi.

– Willow! Stój! – zawołał za mną.

Nie zawahałam się ani na moment. Wyprysnęłam na korytarz i dopadłam schodów, ale zamiast zbiec na dół, zamarłam w szoku. Każde okno w zasięgu mojego wzroku było zamalowane na czarno. Oddech uwiązał mi w gardle. Linden w swoim szaleństwie chciał nas odciąć od świata i zamknąć w swoim własnym. Bramy i wysokie mury wokół naszej posiadłości nie wystarczyły jego paranoi.

Usłyszałam jego kroki z tyłu i jak szalona rzuciłam się na schody. W pośpiechu nastąpiłam na zwisający koniec prześcieradła i runęłam przed siebie. Desperacko usiłowałam się podeprzeć wyciągniętymi rękami, ale poleciałam w bok i rąbnęłam głową o balustradę. Bezwładnie stoczyłam się po stopniach, niczym Humpty-Dumpty, do którego się porównywałam, kiedy czułam, że się rozpadam po zdradzie Thatchera. Moją ostatnią świadomą myślą było: Po tym już mnie nie poskładają.

Ocknęłam się w ramionach Lindena, gdy wnosił mnie po schodach. Jęknęłam. Bolał mnie dół pleców i czułam, że rośnie mi guz na czole. Linden szedł jak automat, wpatrzony przed siebie.

– Puść mnie – wychrypiałam przez gardło zdarte od krzyków.

Nie odpowiedział. Usiłowałam wysunąć się z jego ramion, ale trzymał mnie w stalowym uścisku. Nie miałam szans, jak złota rybka w foliowej torebce. Nieubłaganie zmierzaliśmy do mojej sypialni. Zaraz mnie tam zamknie.

– Nieee! – jęknęłam rozpaczliwie.

– Nie możesz tak robić, Willow. Mogłabyś zrobić krzywdę Hannah. Skrzywdzić nasze dziecko. Musisz mnie słuchać. Ja wiem, co jest dla nas najlepsze – wyrzucał z siebie zdania jak w transie. Taki był, kiedy wróciłam do Palm Beach i widziałam go chodzącego po plaży jak lunatyk. Nie słyszał, co do niego mówiłam, i trwał zatopiony w swoim śnie na jawie.

Kiedy doszliśmy na półpiętro, usłyszałam szcęk tłuczonego szkła. Linden znieruchomiał. Hałas powtórzył się i nagle w moich uszach rozległ się najpiękniejszy dźwięk – głos Miguela. Wołał moje imię.

Na twarzy Lindena pojawiła się panika. Chwycił mnie mocniej i przyspieszył kroku.

– Miguel! Pomocy! – krzyknęłam.
W ułamku sekundy znalazł się przy schodach.
– Linden! – zawołał. – Puść ją! Natychmiast ją puść!
Linden przystanął i spojrział w dół.
– Idź stąd – nakazał. – To jest nasz dom. Nie masz prawa tu być. Odejdź.
Ruszył dalej w górę.
– Musisz ją puścić, Linden. Nie możesz jej tak trzymać, bo zrobisz krzywdę.
Proszę, postaw ją delikatnie na podłodze. Wszystko będzie dobrze, jeśli zrobisz to powoli, Linden. No już – ponaglił Miguel.
Linden pokręcił głową.
– Nie zbliżaj się! – krzyknął. – Nie masz prawa tu być! To jest nasz dom. Nasz, a nie twój. Idź precz!
Przesunął się tak, że trzymał mnie tuż przy balustradzie. Miguel zatrzymał się i ostrzegawczo uniósł rękę. Linden przełożył mnie przez balustradę, jakby chciał mnie zrzucić w dół.
– Co robisz? Uważaj! – rzucił Miguel ostro.
– Wyjdź stąd! – wrzasnął Linden. – Wyjdź stąd! – powtórzył głosem pełnym groźby. Przycisnął mnie mocniej do balustrady, aż krzyknęłam.
Miguel stał i patrzył na mnie z przerażeniem. Jego strach zwielokrotnił mój strach. Serce mi waliło szaleńczo i bałam się, że zaraz zemdleję. Nie będę nawet wiedziała, że spadam.
– Dobrze, Linden – powiedział Miguel po chwili. – Zaraz wychodzę, więc puść ją.
Na dowód, że nie kłamie, zszedł jeden stopień w dół. Linden nawet nie drgnął.
– Już idę, ale proszę, żebyś uważał z nią, dobrze? Pamiętaj, że ona jest w ciąży, Linden.
– Wiem, że jest w ciąży. Pierwszy o tym wiedziałem i nie musisz mi przypominać.
– Oczywiście, że ty wiedziałeś pierwszy. – Miguel uśmiechnął się przeproszająco. – Wybacz, zapomniałem o tym.
– Ona urodzi naszą Hannah! Naszą!
– O tak, wiem. Właśnie wpadłem, żeby ci pogratulować. Chcę być twoim przyjacielem. I bardzo chciałbym wam pomóc.
– Nie potrzebuję twojej pomocy i nie potrzebujemy tu żadnych przyjaciół. Po prostu zostaw nas w spokoju i powiedz innym, żeby też nie zawracali nam

głowy.

– Dobrze, Linden, jeśli tak sobie życzysz.

– Owszem, życzę sobie.

– Jasne. – Miguel kiwnął głową i zszedł kolejne parę stopni niżej. – W takim razie idę.

– Dobrze. Idź.

Miguel rzucił mi ostatnie spojrzenie. Niedostrzegalnie skinęłam głową, dając mu znak, że nic mi nie jest i że powinien dalej zwodzić Lindena.

– Zadzwońcie, gdybyście czegoś potrzebowali.

Odwrócił się, zszedł na dół i ruszył do drzwi.

Linden patrzył za nim podejrzliwie. Miguel odwrócił się w progu, pomachał nam na pożegnanie i wyszedł.

– No i dobrze – podsumował Linden z satysfakcją. – Widzisz? Teraz już nikt nie będzie nas nachodził.

Odwrócił się i wniósł mnie na górę. Już nie protestowałam. Położył mnie na łóżku.

– Przyniosłem ci dobrą kolację, ale zrzuciłaś ją na podłogę – mówił z pretensją. – Teraz będziesz musiała poczekać, aż przygotuję nową.

– Dobrze – odpowiedziałam potulnie.

Popatrzył na mnie uważnie.

– Wiesz, że robię to wszystko dla nas i że to jest dla nas najlepsze, prawda? – upewnił się.

– Wiem, Linden.

Zebrał wszystko na tacę.

– Niedługo wrócę. Może nawet zjem tutaj z tobą.

– Byłoby mi miło, Linden.

– Dobrze. – Wyszedł i zamknął drzwi z zewnątrz.

Zaledwie po paru minutach usłyszałam, jak Miguel majstruje przy zasuwce. Drzwi otwarły się gwałtownie i wpadł jak burza do pokoju.

– Willow! – zawołał, wyciągając do mnie ramiona.

Rzuciłam mu się w objęcia i wybuchnęłam płaczem.

– Zadzwońiłem po pomoc. Policja i ambulans zaraz tu będą.

– Nie chcę, żeby trafił do więzienia.

– Wiem. Dopilnuję, żeby zabrali go na oddział psychiatryczny.

– Co on teraz robi?

– Jest w kuchni. Rozmawia, jakby... – Zawahał się.

– Co?

– Jakby siedział tam z matką.

– To smutne.

– Ale co ty musiałaś przeżyć! – Miguel pokręcił głową. – Kiedy zadzwoniłem i opowiedział mi historyjkę o twoim wyjeździe, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Powiadomiłem policję, ale powiedzieli, że nie mają prawa wkroczyć na teren posesji. Tym niemniej zadzwonili do niego, a Linden rozmawiał z nimi bardzo rozsądnie.

Przyjechałem do Joya del Mar jak najszybciej i musiałem wspiąć się na bramę. Kiedy zobaczyłem, że wszystkie okna w domu są zamalowane na czarno, wpadłem w panikę i wybiłem szybę w drzwiach na taras.

Znów się rozpłakałam.

– Już dobrze, Willow, nic ci nie grozi. Jestem przy tobie. Zawsze będę przy tobie – powiedział z przejęciem.

Scałował mi łzy z policzków i przytulił mnie mocno.

Słyszałam kroki i głos Lindena na dole. Poruszał się w swoim świecie iluzji, zaludnionym przez duchy, które od tak dawna prześladowały go i torturowały.

Nadszedł czas, żeby raz na zawsze przegnać je z jego życia.

Nie potrafiłam sama tego zrobić, ale teraz wiedziałam, że nie jestem już osamotniona w swojej walce, tak jak byłam dotąd, od chwili przybycia do Palm Beach.

I jak Linden, ja także muszę odegnąć swoje duchy.

EPILOG

Mała Hannah okazała się tak silna, jak się spodziewałam. Mój upadek ze schodów i wcześniejsze przejścia nie wpłynęły, na szczęście, na przebieg ciąży i stan dziecka. Kiedy nadeszła data porodu, wyznaczona przez lekarzy, energicznie domagała się wyjścia na świat. Miguel na sygnale zawiózł mnie do szpitala i urodziła się o siódmej rano. Ważyła prawie cztery kilogramy.

Moja umowa rozwodowa z Thatcherem dopuszczała widzenia z dzieckiem, ale nie łudziłam się, że będzie często z nich korzystał. Nie bez podstaw. Kiedy zadzwoniłam do niego z wiadomością o narodzinach Hannah, pojawił się w szpitalu dopiero następnego dnia. Natomiast ani Bunny, ani Asher nie pofatygowali się, żeby zobaczyć wnuczkę. Pewnie uwierzyli w ohydne plotki, które rozpowszechniała Whitney.

W momencie urodzenia Hannah miała włoski jaśniejsze od moich, prawie jak babcia, co mnie ucieszyło. Z drugiej strony byłam pewna, że to rozdmucha na nowo obrzydliwe pomówienia Eatonów, pragnących usprawiedliwić zdradę Thatchera.

Byłam zbyt zajęta, żeby się tym martwić. Choć bardzo chciałam wrócić na studia, nie wynajęłam niani. Postanowiłam, że sama zajmę się Hannah przez przynajmniej półtora roku. Zatrudniłam natomiast pokojówkę, która również doskonale gotowała. Nazywała się Davis, Betty Davis, co wywoływało oczywiste skojarzenia ze słynną gwiazdą, zwłaszcza kiedy przedstawiała się jako „prawdziwa Betty Davis”.

Wyglądem zupełnie nie przypominała aktorki. Moja „gwiazda” była wysoka i krzepka, o silnych ramionach, z siwiejącymi jasnymi włosami. Szczyty pyzatych policzków były usiane piegami. Powiedziała mi, że ma pięćdziesiąt

jeden lat, ale kiedy wpadł do mnie Miguel i pogadał z nią, wyznała mu, że ma o dziesięć lat więcej. Dowiedziałam się, że jej mąż zmarł piętnaście lat temu, zostawiając Betty bez środków do życia. Był ciężko pracującym akwizytorem, któremu zawsze kiepsko szło. Nie mieli dzieci. Ona pracowała jako bibliotekarka w powiatowej bibliotece w Wirginii. Potem przeprowadziła się na Florydę, gdzie zamieszkała z siostrą i szwagrem. Tam jednak, jak mi mówiła, czuła się jak piąte koło u wozu, więc zaczęła szukać pracy jako pokojówka i gospodyni domu na stałe. Jej ostatni pracodawca zmarł, ale zdążyła sobie wypracować pochlebne referencje. I co najważniejsze, znakomicie zajmowała się Hannah, co zrodziło we mnie wątpliwości, czy rzeczywiście nie miała dzieci.

Miguel nalegał, żebym nie traciła kontaktu z uczelnią, i znalazł dla mnie program, w którym mogłam uzyskać punkty po napisaniu referatu. Niedługo po urodzeniu Hannah rozpoczął się nasz romans, a w jej pierwsze urodziny Miguel mi się oświadczył i został przyjęty.

Mój drugi ślub był nieporównanie skromniejszy i prostszy niż pierwszy, choć Miguel miał tak liczną rodzinę, że przez moment pomyślałam o Joya del Mar jako o miejscu pojemniejszym niż kościół i bardziej odpowiednim na ceremonię. Postanowiliśmy, że wyprawimy tam wesele. O ślubie wiedzieliśmy tylko my dwoje i nikt więcej. Udzielił go nam sędzia pokoju w czasie naszego romantycznego weekendu. Stałam przed urzędnikiem z Hannah na rękach, wypowiadając słowa małżeńskiej przysięgi. Sam sędzia i jego żona z trudem ukrywali zdumienie. Wymieniali pomiędzy sobą spojrzenia, z których potem się śmialiśmy.

Regularnie odwiedzałam Lindena w klinice, gdzie go umieściliśmy. Moim zdaniem nie była tak dobra, jak dawna klinika taty, choć z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że podświadomie zawieszam poprzeczkę zbyt wysoko. Czy ktokolwiek potrafił lepiej leczyć choroby psychiczne niż mój wybitny ojciec?

Leczono Lindena farmakologicznie, lecz pod koniec pierwszego roku pobytu w klinice leki odstawiono i mój brat wszedł w fazę uspokojenia i wyciszenia. Dość aktywnie uprawiał swoją sztukę i był do tego zachęcany. Miałam podejrzenia, że niektóre jego dzieła sprzedawano na boku. Bardzo dobre warsztatowo, jak zwykle budziły zainteresowanie, choć większości ludzi wydawały się niepokojące i dziwaczne.

Przestał już pytać o mamę, ale ciągle pytał o Hannah. Wreszcie, za namową

Miguela i z jego błogosławieństwem, przyjechałam z małą do kliniki. Nigdy nie zapomnę, jak Linden na nią patrzył! Thatcher, choć ciągle mówił o ojcowskiej miłości i trosce, nie okazywał nawet części tej radości i zachwytu. Rozmawiałam później o tym z Miguelem i zgodnie doszliśmy do wniosku, że uczucia Lindena do Hannah, choć wpisane w syndrom jego zaburzenia, pozostały szczere i autentyczne.

– To jest jak z bólem psychosomatycznym – wyjaśnił Miguel. – Pacjent naprawdę go odczuwa, choć nie ma żadnej fizycznej, realnej przyczyny bólu. Odczucie w żadnym razie nie jest udawane.

Wizyty u Lindena i rozmyślenia o tym wszystkim sprawiły, że nabrałam ochoty na powrót na studia. Kiedy Hannah podrosła, zaczęłam szukać odpowiedniej niani, choć pani Davis twierdziła, że z powodzeniem może się małą zająć.

– Dziecko w jej wieku wymaga wiele uwagi – argumentowałam, wspominając siebie i Amou. – Pilnując Hannah, nie będziesz miała czasu na inne obowiązki, Betty. Rozmawiałam z mężem i myślimy o przywróceniu do użytkowania zamkniętych części domu, co będzie się wiązało z zatrudnieniem dodatkowej służby.

Przyjęła moje wyjaśnienie do wiadomości, ale w głębi duszy wiedziałam, że żadna, nawet najlepsza niania nie prześcignie jej w przywiązaniu do tego dziecka. Musiałam być przygotowana na krytyczne uwagi i próby storpedowania każdego, kogo zatrudnię i kto będzie przez Betty uważany za konkurencję. Nie myliłam się. Za każdym razem, kiedy wracałam z uczelni czy z jakiejś podróży z Miguelem, pani Davis już czekała na mnie z listą przewinień.

Wreszcie jednak udało mi się znaleźć kogoś, kogo była w stanie zaakceptować. Mimo początkowej zazdrości i pewnych tarć, panie zostały przyjaciółkami. Niania nazywała się Donna Castilla, pochodziła z Kuby i została nam polecona przez matkę Miguela. W dużym stopniu przypominała mi Amou, która notabene znów przyjechała do nas z siostrą, żeby zobaczyć Hannah. Ich wizyta była cudowna, a na odjeźdźnym Amou powiedziała mi, że señora Castilla będzie wspaniałą nianią. „Naprawdę, Amou Um? Z panią Davis wiecznie zaglądnącą jej przez ramię?” – zapytałam ze śmiechem.

Byłam szczęśliwa, że mogę ją znowu widzieć. Hannah od razu przykleiła się do Amou i nie chciała jej puścić. Za każdym razem, kiedy patrzyłam na swoją dawną nianię czy słyszałam jej głos, falą wracały do mnie najpiękniejsze

wspomnienia młodości. Pojechałyśmy na grób mamy, a potem przegadałyśmy pół nocy – a właściwie to ona mówiła, a ja chłonięłam jej słowa. Miała jeszcze tyle rzeczy do powiedzenia o moim ojcu, zupełnie mi nieznanym, że czułam się, jakbym poznawała go na nowo.

Żegnając się z Amou, miałam wrażenie, że raz jeszcze żegnam się z tatą.

Wiedziałam jednak, że nigdy na dobre się z nim nie pożegniam. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, jego głos i myśli mieszkały w moim sercu i umyśle.

Pewnego wieczoru, kiedy Hannah poszła spać, a Miguel miał zebranie na uczelni, zeszłam na pomost i stanęłam tam, gdzie nocami stawała moja mama, wypatrując na oceanie małego światełka łodzi w nadziei, że zacznie rosnąć jej w oczach, aż zobaczy tatę, machającego do niej. Byłam pewna, że wiele razy je widziała.

Kiedy przestajemy być samotni, tato? – zapytałam go.

Nadal jesteś samotna?

Mam dziecko, kochającego męża, ale to nie przerwało pasma mojej samotności. Nic nigdy go nie przerwie. Zawsze będą wieczory takie jak ten albo noce, kiedy człowiek musi być samotny i nie może powstrzymać tęsknoty za tym, co odeszło na zawsze. Tata musiał być straszliwie samotny przez całe lata.

Tak pojmowana samotność nie musi być dojmująca, Willow. Dobrze jest pamiętać rzeczy, które się bardzo kochało i które głęboko w nas zapadły. I tęsknić za nimi. Dzięki smutkowi, który stale o nich przypomina, masz szansę zapewnić tak samo piękne chwile ludziom, którzy są ci bliscy dzisiaj.

Na pewno?

Na pewno? – odpowiedział jak echo.

Uśmiechnęłam się.

To odpowiadanie pytaniem na pytanie. Typowy psychiatra.

Typowa córka psychiatry – odpowiedział.

Droga Willow!

Moja przyjaciółka z Provincetown, miasta na samym czubku Cape Cod, gdzie obecnie mieszkam ze swoim mężem Carym, pożyczyła mi Twoją książkę. Przyjaźnimy się od lat i opowiadałam jej wiele o moim życiu oraz powodach, dla których trafiłam do tego miasta.

Zaintrygowały mnie słowa, z jakimi wręczyła mi tę książkę.

„Podobnie jak ty, Melody, młoda Willow De Beers odbyła odyseję w poszukiwaniu swojej matki. Matka musiała ją zostawić, podobnie jak twoja, choć w przypadku Willow przyczyny były zupełnie inne, a spotkanie po latach okazało się szczęśliwe dla córki i matki”.

Urodziłam się i wychowałam w górniczym rejonie Wirginii Zachodniej. Mój tata zginął w wypadku w kopalni. Ojciec nie utrzymywał kontaktów z rodziną z Cape Cod. Przez całe lata próbowałam od niego wyciągnąć, jak do tego doszło, a on za każdym razem odpowiadał, że lepiej nie odgrzebywać tego tematu, niech zostanie w szafie.

Mieliśmy sąsiadów, cudownych ludzi, których kochałam jak rodzinę. Po śmierci taty obdarzyli mnie troską i czułością jak własną córkę, ale to nie osłabiło mojej tęsknoty za prawdziwą rodziną, której nie znałam.

Podobnie jak Twoja mama, Willow, moja też była piękna. A raczej jest piękna, bo przecież żyje. Jednak w przeciwieństwie do Twojej mamy zawsze lubiła błyszczeć. Nic dziwnego, wszak jest aktorką i modelką. Po śmierci taty stałam się dla niej ciężarem, więc wymyśliła sposób, żeby się mnie pozbyć. Pewnego dnia ucieszyła mnie wiadomością, że wybieramy się z krótką wizytą do tamtej rodziny. Tymczasem zostawiła mnie tam na zawsze. Teraz sądzę, że

była to dla mnie najlepsza opcja.

Rodzina taty posiadała wielką plantację żurawiny. Cape Cod kojarzy się zwykle z wędkarskim rajem, turystyką, homarami i słynnymi rodami, jak ród Kennedych. Podobnie jak Ty trafiłam do wielkiego świata. Też musiałam nauczyć się w nim żyć i nie było to łatwe, gdyż w moim przypadku dystans pomiędzy dawnym i nowym życiem był znacznie większy.

Zrządzeniem losu zamieniłam Wirginię Zachodnią na Cape Cod, a potem na Hollywood. Tak, Hollywood w Kalifornii, gdzie omal nie wpadłam w sieć, w którą zaplątała się moja matka. Tyle że ona dała się w nią złapać dobrowolnie. Zawsze marzyła o takim życiu.

Przesyłam Ci książkę o swoim życiu. Myślę, że zainteresują Cię ludzie z moich stron, górski folklor Wirginii Zachodniej i klimat tamtych czasów. A potem zmiana i przejście do olśniewającego świata Cape Cod. Z pewnością przeczytasz z zainteresowaniem, jak trafiłam na ślad swojej matki i jak przebiegło spotkanie po latach. W trakcie tej wyprawy w Nowym Jorku poznałam niezwykłych ludzi i podobnie jak Ty przejechałam śladem mamy kawał kraju.

W mojej historii pełno jest rodzinnych intryg, zdrad, pięknych ludzi, artystów, niespodzianek oraz pięknych i wzruszających momentów. Składają się na nią trzy tomy: *Melody*, *Pieśń serca* i *Niedokończona symfonia*. I tomy dodatkowe: *Nocna muzyka* oraz *Olivia*.

Myślę, że przyznasz mi rację, kiedy powiem, że ocean miał wpływ na życie każdej z nas. Ty, mieszkając w Palm Beach, byłaś świadoma potęgi oceanu. Ludzie, których kochałaś, sprzęgli z nim swoje losy, moi bliscy także. Jednak lektura książki uświadomi Ci, że w moim przypadku ten oceaniczny wpływ był jeszcze większy i bardziej znaczący.

Cape Cod, podobnie jak Palm Beach, przyciąga tłumy turystów, ale najbardziej interesujący są jego stali mieszkańcy. Moje miasto nie olśniewa tak, jak pływające się w luksusie Palm Beach, ale istnieją zdumiewające podobieństwa – zwłaszcza jeśli chodzi o rozdęte ego, zadufanie w sobie i przerośnięte towarzyskie ambicje.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że w Ameryce ludzie nie rodzą się z koroną na głowie, tylko muszą ją sobie kupić. Wznoszą dla siebie pałace większe i nawet bogaciej wyposażone niż prawdziwe siedziby europejskich rodów. Majątek i wpływy dają im niemal monarszą władzę. Ich walka o utrzymanie pozycji jest równie interesująca, jak intrygi europejskich rodów. Znasz te

mechanizmy z Palm Beach, ale w moim świecie też możesz je zaobserwować.

I na koniec jeszcze jedno, najbardziej zaskakujące podobieństwo.

Tak jak Ty, stale tęsknię za ojcem, którego kocham. Ja też czasami słyszę jego głos i w każdym poznanym mężczyźnie szukam jego najlepszych cech, a jeśli ich nie znajduję, jestem głęboko rozczarowana. Na szczęście są jeszcze takie ideały i każda z nas ma szansę zobaczyć wreszcie tęczę po burzy.

Ja w każdym razie widzę i mam nadzieję, że po przeczytaniu mojej książki Ty również zobaczysz.

Całuję

Melody

Spis treści

PROLOG

Rozdział pierwszy. POWRÓT DO JOYA DEL MAR

Rozdział drugi. WALKA O DOM

Rozdział trzeci. NOWE POCZĄTKI

Rozdział czwarty. W KRĘGU PLOTEK

Rozdział piąty. UTAJNIONY PIERŚCIONEK

Rozdział szósty. WYSTRZAŁOWA KREACJA

Rozdział siódmy. HERBATKA Z BUNNY

Rozdział ósmy. LUNCH Z WHITNEY

Rozdział dziewiąty. CLUB D'AMOUR

Rozdział dziesiąty. RADA OD KOBIET Z PALM BEACH

Rozdział jedenasty. MÓJ OBRONCA

Rozdział dwunasty. RUTYNOWA INTERCYZA

Rozdział trzynasty. MÓJ PIĘKNY ŚLUB

Rozdział czternasty. BRACIA I SIOSTRY

Rozdział piętnasty. DRUGI MIESIĄC MIODOWY

Rozdział szesnasty. GROM Z JASNEGO NIEBA

Rozdział siedemnasty. WYROK: WINIEN

Rozdział osiemnasty. PUSTY DOM

Rozdział dziewiętnasty. SAMA Z LINDENEM

EPILOG